

Piers Anthony

Błękitny Adept

Cykl Adept

tom 2

Przekład Sylwia Twardo i Anna Kidawa

Tytuł oryginału *Blue Adept*

Rozdział 1

JEDNOROŻEC

Samotny jednorożec galopował przez pola ku Błękitnemu Zamkowi. Był to ogier o błyszczącej, ciemnoniebieskiej sierści, czerwonych skarpetkach na zadnich nogach i skrzyconym w elegancką spiralę rogu. Biegąc, grał na tym pustym w środku instrumencie, wydając dźwięki przypominające aksamitny głos saksofonu. Muzyka mknęła przed nim przez równinę.

Stile podszedł do parapetu i spojrzał w dół. Był on drobnym, lecz niezwykle sprawnym mężczyzną, niegdyś dżokejem, ale nigdy nie stracił formy. Miał na sobie błękitną koszulę i dzinsy, choć wielu uważało, iż strój ten nie przystoi jego pozycji, aczkolwiek była ona na tyle wysoka, że mógł ją - do pewnego stopnia - bezkarnie ignorować.

- To Clip! - wykrzyknął, rozpoznając gościa. - Neyso, chodź, to twój brat!

Ale Neysa już o tym wiedziała. Miała przecież lepszy słuch. Klusem wypadła z zamku i spotkawszy Clipa przy głównej bramie, skrzyżowała z nim rogi w pospiesznym pozdrowieniu. A potem oba jednorożce wykonały pełny ceremoniał witania, biegnąc zgodnie bok w bok i grając w duecie. Róg Neysy dźwięczał jak harmonijka i pięknie się komponował z głosem saksofonu.

Stile patrzył i słuchał, oczarowany, i to wcale nie magią. Zawsze czuł dużą sympatię do koni, a jednorożce polubił jeszcze bardziej. Nie potrafił być, oczywiście, bezstronny; Neysa była jego najlepszym przyjacielem w tym świecie. A jednak...

Jednorożce przyspieszyły rytm; ich kopyta uderzały do taktu o murawę. Przeszły w synkopowy, pięciotaktowy krok, chód jednorożca, dopasowując do niego muzykę. Stile, nie mogąc się powstrzymać, wyciągnął harmonijkę i przyłączył się do muzykowania, wybijając nogą takt najlepiej, jak potrafił. Miał wrodzone zdolności muzyczne, a ostatnio mógł rozwinąć swe umiejętności, gdyż były one nieodłącznie związane z jego magią. Kiedy grał, wokół niego gromadziła się nieuchwytna moc. Lecz Stile nie przejmował się tym zbytnio; magia stawała się faktem, dopiero gdy przyzwał ją we właściwy sposób.

Jednorożce zakończyły swój taniec radości i pocwałowały do zamku. Zbliżywszy się do bramy, przybrały ludzkie kształty, przemieniając się w przystojnego młodzieńca i drobną jak elf, lecz również prawdziwie piękną dziewczynę. Stile pospieszył przywitać je na dziedzińcu.

- Pozdrowienia, Adepcie, i wiadomość od Głównego Ogiera Stada - oznajmił Clip. Trzymał siostrę za rękę, ku jej niememu zawstydzeniu; nie była tak wylewna jak brat. Oboje

odziani byli w archaiczne, ziemskie stroje, tak jak wyobrażał je sobie nieludzki umysł, w kolorach mniej więcej przypominających ich naturalne barwy.

- Miłe jest mi twe pozdrowienie - powiedział Stile. - A także posłanie, jeśli skierowano je w pokój.

- I takim jest w istocie, Adecie. Głównemu Ogierowi spodobało się wezwać klacz Neysę, by została zażrebiona. - Umilkł, a po chwili dodał własny komentarz: - Nareszcie.

- To wspaniale! - zawołał Stile. - Po trzech latach, podczas których odmawiano jej tego, wreszcie będzie miała żrebaka!

Spostrzegł nagle, że Neysa nie zareagowała wybuchem radości, jakiej się po niej spodziewano. Spojrzał na nią z troską. - Czy nie raduje cię to, przyjaciółko? Myślałem, że twe najgłębsze pragnienie...

- Siostrze, sądziłem, że przynoszę ci dobre wieści... - Clip także patrzył na nią ze zdumieniem.

Neysa odwróciła wzrok. Była zgrabną dziewczyną, około cala niższą od Stile'a - choć czuł, że to głupie, to wzrost ten bardzo mu odpowiadał. Jako klacz należała do najmniejszych, miała zaledwie czternaście dłoni w kłębie; gdyby była choć odrobinę niższa, zaliczono by ją do kucyków, końskiego odpowiednika Małego Ludu. Jej ludzka postać była jedynie odbiciem tego, a tylko małe guziczki rogu na czole ukazywały jej prawdziwą naturę.

Stile dawno już nauczył się żyć ze świadomością, że wszyscy mężczyźni i większość kobiet przewyższają go wzrostem, a Neysa w ogóle nie należała do gatunku ludzkiego. Lecz mimo to była dla niego najbliższym towarzyszem zarówno w ludzkim, jak i końskim znaczeniu tego słowa. Choć potrafiła mówić, nie należała do istot rozmownych. Nie odznaczała się też specjalną żywością charakteru, choć od czasu do czasu w subtelny sposób ujawniała nieco przekorne poczucie humoru.

Clip i Stile spojrzeli po sobie. Co to miało znaczyć? - Czy inna samica będzie wiedziała? - spytał Clip.

Stile kiwnął głową.

- Ta jedna będzie. - Podniósł trochę głos: - Pani!

Błękitna Pani nadeszła po krótkiej chwili. Odziana była jak zawsze w różne odcienie błękitu: błękitną sztruksową spódnicę, jasnoniebieską bluzkę, granatowe pantofle i diadem z błękitnych gwiazd. Jej uroda, jak za każdym razem, wstrząsnęła Stile'em. - Panie mój - szepnęła.

Stile wolałby, żeby się tak do niego nie zwracała. Nie był wcale jej władcą i Pani świetnie o tym wiedziała. Nie potrafił jednak sprzeciwić się konwencjom tego świata, ani też

niezbyt subtelnym aluzjom, jakie czyniła Błękitna Pani. Uważała go za intruza w Błękitnym Królestwie, za mniejsze zło. I miała powody.

- Pani - powiedział, stosując się do etykiety, którą mu narzuciła. - Główny Ogier wzywa do siebie naszą drogą Neysę, aby została zażrebiona i urodziła wreszcie dziecko, a jednak nie wydaje się ona z tego zadowolona. Czy rozumiesz to, pani, i czy zechciałabyś oświecić nasze męskie umysły?

Błękitna Pani podeszła do Neysy i objęła ją. W ich stosunkach nie dało się zauważyć cienia rezerwy.

- Przyjaciółko, pozwól, bym to objaśniła memu panu - poprosiła Neysę i dziewczyna-jednorożec kiwnęła głową.

Pani zwróciła się ku Stile'owi.

- To prywatna sprawa - oznajmiła i godnym krokiem opuściła dziedziniec.

Nie musiała nawet pytać; intuicja powiedziała jej wszystko!

- Zaraz wracam - powiedział Stile i pospieszył za nią.

Kiedy znaleźli się sami, przestali udawać.

- Co to za tajemnica? - warknął Stile. - Ona jest moim najlepszym przyjacielem, lepszym niż ty. Dlaczego nie chce mi powiedzieć?

- Twoja magia jest silna - odparła Pani - lecz zdolność pojmowania słaba. Pozostawiony sam sobie z pewnością wpadniesz w kłopoty.

- Racja - odrzekł lekko Stile, choć wcale nie był tym zachwycony. - Na szczęście mam opiekunów w postaci Hulka, Neysy i ciebie, pani. Niedługo pozbędę się głównego niebezpieczeństwa, które zagraża mej pozycji Adepta, i nie będę więcej potrzebował kontroli.

Ale ironia, jaka kryła się w tych słowach, nie przyniosła żadnego efektu. Uroda i subtelność Błękitnej Pani kryły w sobie nieugiętą siłę, z jaką walczyła o zachowanie tego, co stworzył jej zmarły mąż. W oddaniu, z jakim czciła jego pamięć, nie było żadnej słabości. - Niech i tak będzie, lecz klacz czuje, że nie powinna opuszczać cię w takiej chwili. Hulk zawsze może odejść, a nie jestem związana z tobą tak jak Neysa. A więc klacz wolałaby odwlec urodzenie dziecka, dopóki nie upewni się, że jesteś bezpieczny.

- Ależ to nie ma sensu! - zaprotestował Stile. - Nie powinna się tak dla mnie poświęcać! Mogę jej zaofiarować tylko trudy i niebezpieczeństwa.

- To prawda - zgodziła się Pani.

- A więc pomów z nią, pani. Przekonaj ją, by udała się do Ogiera.

- Ogier kieruje się taką samą męską logiką jak i ty, panie - stwierdziła Pani. - On również nie zrozumie powodów tej troski. Nie, nie mogę tak jej zawieść.

Stile skrzywił się.

- Czy podobnie traktowałaś, pani, swego męża?

Zarumieniła się.

- Tak.

Zrobiło mu się przykro.

- Wybacz mi, pani. Dobrze wiem, jak bardzo go kochałaś.

- Nie na tyle, jak widać, by ocalić mu życie. Może gdyby stał przy nim jednorożec...

Dała tu o sobie znać przenikliwość jej umysłu.

- Poddaję się. Nie ma drugiego takiego strażnika jak Neysa. Co mam zrobić, by ją zadowolić?

- Postaraj się, by odroczone wezwanie do czasu, gdy Neysa poczuje, że może cię opuścić.

- Myślę, że jest to możliwe. - Stile kiwnął głową. - Dziękuję ci, pani, za te wyjaśnienia.

- Zrobiłam, o co prosiłeś - odparła chłodno. - Jesteś teraz Błękitnym Adeptem, pierwszym magiem tego królestwa. Ale postaraj się znaleźć w sobie tyle rozumu, by nie obrazić kłaczy sposobem, w jaki oznajmisz jej swą decyzję.

- A gdzie znajdę tyle rozumu, by nie obrazić ciebie, żono mego zmarłego sobowtóra? Wiesz przecież, że jego pragnienia są moimi.

Zostawiła go, nie raczysz odpowiedzi. Stile wzruszył ramionami i wrócił na dziedziniec. Pragnął Błękitnej Pani bardziej niż czegokolwiek na świecie, a ona świetnie o tym wiedziała. Ale zdobyć ją mógł tylko we właściwy sposób. Siła jego magii potrafiłaby zmienić jej nastawienie, ale Stile nigdy by tego nie zrobił i Pani również zdawała sobie z tego sprawę. W wielu kwestiach rozumiała go lepiej niż on sam; zaznała przecież miłości z jego sobowtorem.

Clip i Neysa powrócili do swej naturalnej postaci i paśli się na skrawku bujnej wiechliny łąkowej, posadzonej specjalnie w tym celu obok fontanny. Stanowili idealnie dobraną parę; jego błękit kontrastował z jej czernią, a czerwone skarpetki stanowiły piękne dopełnienie białych. Ubarwienie Clipa było typowe dla jednorożców; Neysę wykluczono kilka lat temu ze stada, gdyż jej maść zbyt przypominała końską. Myśl o tym wciąż wywoływała gniew Stile'a.

Kiedy się zbliżył, Neysa uniosła głowę, spomiędzy jej warg sterczało źdźbło trawy, a czarne uszy były czujnie nastawione. Jednorożce, tak jak i większość koniowatych, przestawały żuć, gdy tylko coś rozproszyło ich uwagę.

- Żałuję, ale nie mogę pozwolić, by Neysa skorzystała z tej możliwości - oznajmił

krótko Stile. - Błękitny Adept ma, jak wszyscy wiemy, tajemniczego wroga, prawdopodobnie innego Adepta, który już raz go zabił i próbuje to powtórzyć. Nie mam zapasowego życia. Dopóki nie pokonam wroga, moje bezpieczeństwo zależy od umiejętnej obrony i opieki. Nikt nie może zrobić tego równie dobrze jak klacz. A więc postaram się o cofnięcie rozkazu Ogiera do czasu rozwiązania problemu. Zdaję sobie sprawę, że narażam Neysę na trudy i postępuję samolubnie...

Neysa parsknęła melodyjnie, zadowolona, choć wcale nie dała się nabrać na tę przemowę. Zaczęła znowu żuć. Clip spojrział na nią spode łba, lecz widząc, że jest usatysfakcjonowana, milczał.

W ten sposób Stile zamienił jeden kłopot na drugi. Żadna klacz nie miała prawa sprzeciwiać się woli Głównego Ogiera. Stile musiał, jako Błękitny Adept, sam to zrobić. W nieformalnej acz sztywnej hierarchii tego świata, przywódcy stad, watah, szczepów, a także Adepci uważani byli za równych pozycją, chociaż, oczywiście, ostateczna władza spoczywała w rękach Adeptów. Stile mógł więc pertraktować z Ogierem jak równy z równym.

Najpierw jednak musiał załatwić sprawy Błękitnego Królestwa. Porozmawiał z Hulkiem, swym ludzkim strażnikiem z drugiego świata. Hulk był uderzająco tak duży, jak Stile mały: góra mięśni, prawdziwy olbrzym wyćwiczony we wszystkich rodzajach walk, lecz mimo to nie należał do głupich, choć tak sądzili ci, którzy go nie znali.

- Będę musiał opuścić zamek na dzień lub dwa - powiedział mu Stile. - Powinienem porozmawiać z Ogierem jednoroźców, a nie mogę go tu wezwać.

- Oczywiście - zgodził się Hulk. - Nigdy nie darzył cię sympatią. Lepiej z tobą pójść. Ten jednorożec to twardy gość.

- Nie, przyjacielu. Nic mi nie grozi ze strony jednoroźców, ale martwię się o Błękitną Panią. Chciałbym, żebyś czuwał nad nią w czasie mej nieobecności, tak by mój bezimienny wróg nie próbował ugodzić mnie przez nią. Nie masz magicznych umiejętności, a w każdym razie nie używasz ich, lecz jeśli nikt nie będzie wiedział, że odszedłem, nie powinieneś spotkać się z zaklęciami wroga. A we wszystkich innych wypadkach poradzisz sobie równie dobrze jak ja.

Hulk gestem wyraził zgodę.

- Pani warta jest wszelkiej opieki.

- Tak. Potrafiła utrzymać Błękitne Królestwo, gdy jej pan, mój sobowtór, został zamordowany. Bez jej pomocy nie mógłbym spełniać obowiązków Adepta. Mam moc magii, lecz brak mi doświadczenia. Każdy dzień mi to pokazuje. - Stile uśmiechnął się kwaśno,

przypominając sobie, jak Błękitna Pani instruowała go w sprawie Neysy. - A poza tym...

- A poza tym to niezwykle atrakcyjna kobieta - dokończył Hulk. - I przyciąga kłopoty.

- Mój sobowtór odznaczał się doskonałym gustem.

- Ale wciąż nie mogę zrozumieć jednej rzeczy. Jeśli zasłonę oddzielającą oba światy może przejść tylko ten, kogo sobowtór nie żyje, to co ze mną? Czy miałem sobowtóra, który zmarł?

Stile zastanowił się.

- Prawo pobytu na Protonie obejmuje dwadzieścia lat. Czy twoi rodzice mieszkali tam, zanim się urodziłeś?

- Nie. Zgłosiłem się, gdy miałem piętnaście lat. Mój pobyt kończy się za kilka miesięcy. A rodzice nigdy nie byli na Protonie. Mieszkają piętnaście lat świetlnych stąd.

- Tak więc twoją obecność na tej planecie tłumaczy jedynie fakt, że przyjęto cię na służbę - zdecydował Stile. - Nie urodziłeś się na Phaze. Nie masz sobowtóra, który zajmowałby twoje miejsce w alternatywnym świecie. A więc możesz swobodnie przekraczać zasłonę.

- Więc nie zostałem zamordowany - podsumował Hulk. - To cieszy.

- Któż zdołałby cię zabić? - Stile uśmiechnął się. - Zmiażdżyłbyś śmiałka jednym chwytem.

- Z wyjątkiem ciebie, tak jak wtedy, gdy razem uczestniczyliśmy w Grze.

- Szczęśliwy traf - odparł Stile. - W równej walce nie byłbym dla ciebie godnym przeciwnikiem.

- Nie drażnij się ze mną, mały olbrzymie. - Hulk roześmiał się dobrodusznie. - W walce wręcz jesteśmy sobie równi.

- Ale każdy w swojej wadze - uściślił Stile.

Jak dobrze pogadać z kimś, kto rozumie ojczysty świat Stile'a i reguły Gry.

W ciągu godziny byli gotowi do drogi. Stile zagrał na harmonijce, gromadząc wokół siebie magię, i zaśpiewał jedno z przygotowanych wcześniej zaklęć: Niech magia moja sprawi cud, bym przezroczysty był jak lód. Nie potrafił wygoić zaklęciem swoich ran ani wyleczyć się z choroby, ale mógł zmieniać swój wygląd w oczach innych. Uniósł dłoń i pomachał nią przed oczami. Był niewidzialny.

Neysa, rozpoznawszy go węchem i słuchem, nie spłoszyła się.

- W ten sposób - wyjaśnił Stile - mój wyjazd z zaniku nie będzie się rzucał w oczy.

- Pilny obserwator dostrzeże, że klacz niesie na sobie ciężar - zauważyła Pani.

- Racja - zgodził się zaskoczony Stile. Przez chwilę zastanawiał się, a potem zaśpiewał: *Niech sprawi magii mojej głos, bym był lekki niczym włos*. Poczł, jak znika ciężar jego ciała.

- Doskonale.

Hulk i Pani wyglądali na zdziwionych. Stile roześmiał się.

- Odpowiem po kolei na wasze pytania. Pani, po moim głosie wiesz, że stoję wciąż na ziemi; jak to jest, iż nie uniosłem się do sufitu? Moje zakłęcie było bardzo podobne do poprzedniego, a ponieważ nie można dwa razy użyć tego samego zakłęcia, to straciło ono wiele ze swej mocy. Nie stałem się lekki jak włos; mój ciężar zmniejszył się tylko o cztery piąte. Ważę teraz około dwudziestu funtów, może ciut więcej. A teraz twoje pytanie, Hulk. Dlaczego moje ciało nie błyszczy jak lód, skoro tego słowa użyłem w zakłęciu? Otóż, słowa zakłęcia tylko wyrażają to, co widzi mój umysł, i to on definiuje -poszczególne terminy. Gdybym chciał błyszczeć jak lód, będąc przy tym całkowicie przezroczystym, użyłbym tych samych słów, zmieniając tylko obraz w moim umyśle, i zakłęcie zadziałałoby odpowiednio.

- Stile jest miłośnikiem magii - wymamrotał Hulk - ale ja w to nie wierzę.

- Gdyby nie to, też mógłbyś zostać Adeptem - zauważył Stile. Roześmiał się przy tym, by zaznaczyć, że to żart, choć podejrzewał, iż kryje się w nim sporo prawdy.

Każdy ma choć trochę zdolności magicznych, ale tylko nieliczni posiadają prawdziwą moc. Odpowiednikiem magicznych talentów Stile'a był, w racjonalnym świecie Protonu, cały szereg innych zdolności, na przykład do Gry, a w tym Hulk był prawie tak dobry jak on. Gdyby tylko zechciał spróbować, byłby w stanie nauczyć się czarnoksięstwa. Niewątpliwie istniało wielu takich, którzy mogliby osiągnąć podobny stopień umiejętności, gdyby tylko potrafili w to uwierzyć i pracowali nad udoskonaleniem swej techniki. Ale na tysiąc osób najwyżej jedna była w stanie uwierzyć, stąd tak niewielu Adeptów. Oczywiście ci, którzy zdobyli już pozycję Adepta, bezlitośnie eliminowali pojawiających się potencjalnych rywali, tak więc bezpieczniej było unikać tej gałęzi wiedzy. Wrogość Adepta budziła grozę.

Stile pożegnał się przed wyjazdem, wskoczył na Neysę - nie potrzebował ani siodła, ani uzdy - i dołączył do Clipa. Dwa jednorożce żwawym klusem minęły bramę. Wyglądało to tak, jakby Clip odprowadzał siostrę do miejsca rozplodu, jak mu przykazano. Te trochę ciężaru, które niosła Neysa, nie rzucało się w oczy.

Dobrze było znów podróżować na grzbiecie jednorożca. Stile nie był pewien, czy potrafiłby przenosić się z miejsca na miejsce siłą samej magii. Jeżeli dałoby się to zaliczyć do zakłęb zmieniających go w oczach innych, to pewnie mógłby; gdyby natomiast był to jeden z

czarów przekształcających i leczących ciało, to raczej nie udało mu się tego dokonać. Na razie wolał nie eksperymentować; na skutek nieudanego zaklęcia mógłby znaleźć się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Tak więc potrzebował środka transportu i nie mógł marzyć o lepszym od Neysy. Była jego pierwszym rumakiem w świecie magii i pierwszym prawdziwym przyjacielem. Miłość, jaką czuł do koni, rozciągnęła się zaraz na jednorożce; stworzenia te były super-końmi wyposażonymi ponadto w róg, który był zarówno niszczycielską bronią, jak instrumentem muzycznym, w ludzką inteligencję, zdolność zmiany postaci, umiejętności akrobatyczne i kroki pozostające poza granicami możliwości konia. Tak, jednorożec to istota, której Stile poszukiwał przez całe życie, nie wiedząc o tym, dopóki go nie napotkał.

Neysa, w swej kobiecej postaci, została jego kochanką, zanim jeszcze spotkał Błękitną Panią i zrozumiał, że jego przeznaczeniem jest istota należąca do tego samego co on gatunku. Początkowo nie wszystko układało się dobrze między Neysą a Błękitną Panią, ale teraz Neysa, związana przysięgą z samym Błękitnym Adeptem, nie potrzebowała innych gwarancji. W magicznym świecie Phaze przyjaźń wykraczała poza ramy zwykłych związków płci, a przysięga przyjaźni była najważniejszym ze zobowiązań.

Jak na ironię, właśnie przyjaźń stanęła na drodze do spełnienia jej największego marzenia - urodzenia źrebaka. Prawdopodobnie Neysa rozumowała prawidłowo; Stile naprawdę potrzebował, by chronić go przed pułapkami tego ledwo co poznanego świata, dopóki nie upora się ze swym tajemniczym wrogiem. Jednorożce odporne były na większość rodzajów magii; tylko zaklęcia Adeptów mogły ich dosięgnąć. Stile miał powody, by przypuszczać, że jego wrogiem jest Adept; jego własna siła magiczna uzupełniana ochronną aurą jednorożca mogła zapewnić mu bezpieczeństwo nawet wobec ataku kogoś należącego do tej klasy. Jak zauważyła Błękitna Pani, poprzedni Błękitny Adept nie miał osłaniającego go jednorożca, a to mogło stanowić o różnicy między życiem a śmiercią. Stile naprawdę potrzebował Neysy.

Kiedy jednorożce rozgrzały się, przeszły najpierw w cwał, a potem w galop. Oba biegly krok w krok, grając przy tym na rogach; Neysa partię sopranu na harmonijkę, a Clip altu na saksofonie. Był to wspaniały polifoniczny duet, podkreślany mocnym rytmem uderzających o ziemię kopyt. Stile chętnie by się do nich przyłączył, ale musiał ukrywać swoją obecność, na wypadek gdyby byli obserwowani. Wiele przerażających stworzeń czyhało w tych spokojnych lasach i polach; reputacja jednorożców jako wojowników i ich doskonała znajomość terenu powodowały, że otoczenie było tak bezpieczne, jak się wydawało. Ale nie miało najmniejszego sensu wystawianie Błękitnego Adepta jako przyciągającej

niebezpieczeństwa przynęty.

Clip dobrze znał drogę. Stado jednoroźców pasło się w miejscu wskazanym przez Głównego Ogiera, przemieszczając się na rozległym obszarze z pastwiska na pastwisko. Inne stada zajmowały swoje tereny; nigdy nie naruszały granic własnych włości. Ludzkie istoty mogły uważać ten region za własność Błękitnego Adepta, ale zwierzęta traktowały go jako należący do tego właśnie stada. Wilkołaki, gobliny i inne stworzenia również zajmowały swoje specyficzne nisze ekologiczne, a każdy gatunek sądził, że to on dominuje. Stile zadbał o to, by mieć dobre stosunki ze wszystkimi; w świecie Phaze tego typu polityka odprężenia miała większe znaczenie niż w innych, niemagicznych światach. Zresztą szczerze szanował te stworzenia. Wilkołaki, na przykład, dopomogły mu w odnalezieniu swego miejsca tutaj, a cała lokalna wataha związana była przysięgą przyjaźni z Neysą.

Galopowali na zachód przez tereny, na których Stile spotkał po raz pierwszy Neysę; miejsce to miało dla obojga specjalne znaczenie. Sięgnął rękami do jej szyi, by ją niepostrzeżenie objąć; w odpowiedzi zastrzygła uchem i poruszyła skórą na karku, tam gdzie trzymał ręce, jakby odganiała muchy. Sekretny sygnał, niewypowiedziane cenny.

Na południe od nich rozciągał się ogromny masyw Gór Purpurowych; na północ - Góry Śnieżne. Phaze nie ograniczała się, oczywiście, do tej jednej szerokiej doliny, lecz Stile nie znalazł na razie sposobności, by zobaczyć coś więcej. Postanowił, że gdy tylko upora się ze swoim wrogiem i zabezpieczy swą pozycję, zbada tę planetę dokładniej. Któż mógł wiedzieć, jakie cuda kryły się za horyzontem?

Jechali przez dwie godziny na zachód, pokonując dwadzieścia mil. Ten świat używał archaicznych, przepojonych magią jednostek miar i Stile jeszcze się ich nie nauczył. Dwadzieścia mil to było w jednostkach lepiej mu znanych około trzydziestu dwóch kilometrów. Stile potrafiłby przebiec sam taki dystans w podobnym czasie; był oprócz innych rzeczy maratończykiem. Lecz dla niego taki bieg oznaczałby ogromny wysiłek, wymagający kilkudniowego odpoczynku; dla jednoroźców była to tylko przyjemna przebieżka. Jeśli musiały, potrafiły godzinami biec z prędkością dwukrotnie większą niż teraz, a na krótkich dystansach nawet jeszcze szybciej.

Słońce zaczęło się zniżać, świecąc im prosto w oczy. Zbliżała się pora popasu. Jednorożce, tak jak konie, nie są tylko maszynami do biegania; muszą spędzać dużą część życia jedząc. Stile mógłby wyczarować dla nich ziarno, lecz jednorożce, uparcie podkreślające swą niezależność, wolały same poszukać sobie pokarmu. Odpoczywały pasąc się. Neysa zwolniła, znalazła kawałek gołej skały i oddała mocz na jego skraju, tak jak to czynią konie. W ten sposób zagłuszyła hałas, jaki mógłby zrobić Stile, zeskakując z jej

grzbietu. Odeszła potem, pasąc się wśród bujnych traw i całkowicie go ignorując, choć jednocześnie świetnie zdawała sobie sprawę, gdzie Stile się znajduje. Była w tym doskonała; żaden obserwator nie zauważyłby, że jest z nią niewidzialny człowiek, a na skale nie powstawały żadne ślady.

Stile miał, oczywiście, ze sobą własne zapasy; Błękitna Pani już o to zadbała. Nawet jeśli pominąć konieczność oszczędzania jednorazowych zakłęb, ujawnianie swej obecności tylko po to, by wyczarować jedzenie, nie miało większego sensu. Usiądzie na skale i spokojnie spożyje posiłek.

Ostrożnie opuścił się na ziemię, starając się oszczędzać kolana. Własne doświadczenie nauczyło go, że kolana nie goją się łatwo. Magia mogłaby je wyleczyć, ale nie potrafił sam siebie zaczarować, a nie miał tyle zaufania, by powierzyć to zadanie innemu Adeptowi. Przypuśćmy, że poprosiłby o tę przysługę Adepta, który pragnie jego śmierci? Jakoś sobie jeszcze poradzi; kolana bolały tylko wtedy, gdy je maksymalnie zginał. Mógł normalnie chodzić, biegać i jeździć konno. Ucierpiał na tym, co prawda, jego akrobatyczne umiejętności, lecz wiele jeszcze potrafił dokonać bez nadmiernego obciążania kolan.

Napasłszy się, Neysa podeszła do skały i ucięła sobie małą drzemkę na stojąco. Stile wskoczył na nią, tak jak sobie życzyła, i zasnął na jej grzbiecie. Była ciepła, bezpieczna i przyjemnie pachniała koniem. Nie było miejsca, w którym wolałby się teraz znaleźć, chyba że w ramionach Błękitnej Pani, ale na ten zaszczyt jeszcze nie zasłużył i równie dobrze mógł go nigdy nie dostąpić. Pani pozostawała wierna swemu mężowi, sobowtórowi Stile'a, choć już nie żył, i nigdy nie myliła go ze Stile'em.

Następnego ranka wyruszyli znowu w drogę. Kłusowali niespiesznie aż do południa, kiedy to spostrzegli stado. Pasło się na szerokim zboczu, wiodącym ku rozległym moczarom. Za nim, przypomniał sobie Stile, znajdował się pałac Wyroczeni, której każdy mógł zadać jedno tylko w życiu pytanie. Wyroczenia poradziła Stile'owi, by poznał sam siebie, i pomimo że rada wydawała się nieprzydatna, okazała się kluczem do jego przyszłości. A kiedy poznał sam siebie, okazało się, że jest Błękitnym Adeptem.

Stojący na straży jednorożec zagrzmiął na rogu. Pasące się zwierzęta uniosły głowy i truchtem zebrały się w jednym miejscu, tworząc wielkie półkole otwarte w kierunku zbliżającej się pary jednorożców. Widząc to groźne zgrupowanie rogów, Stile był zadowolony, że nie przychodzą jako wrogowie. Kiedy ćwiczył fechtunek z Neysą jako przeciwnikiem, przekonał się, iż róg może stać się śmiertelnie groźną bronią. Była to jeszcze jedna zasadnicza różnica między jednorożcami a końmi; miały rogi i równie dobrze mogły ruszyć do ataku, jak i do ucieczki. Żaden rozsądny tygrys nie rzuciłby się na jednorożca.

Wjechali w utworzone przez jednorożce półkole. Pośrodku stał Główny Ogier, wspaniały okaz ewolucji konio-watych. Miał perłowoszarą sierść, przechodzącą na nogach w czerń; jego grzywa i ogon były srebrzyste, a głowa lśniła złotem. Miał osiemnaście dłoni w kłębie i wspaniałe mięśnie. Jego róg stanowił prawdziwe arcydzieło: spiralnie skręcone, migoczące ostrze, którego nie należało lekceważyć. Zagrał na nim jeden muzyczny akord i koło zamknęło się za plecami nowo przybyłych.

Stile poczuł, że staje się coraz cięższy i ujrzał swoje ręce. Czar niewidzialności i lekkości zanikał, choć Stile go nie odwoływał.

Ogier parsknął. Clip i Neysa pospiesznie zawrócili i zajęli miejsca na brzegu koła. Stile zeskoczył na ziemię przed Ogierem. Był znowu w pełni widzialny i ważył tyle, ile powinien.

Ogier przekształcił się w mężczyznę. Był potężnie zbudowany i umięśniony, choć nie aż tak jak Hulk. Z czoła sterczał mu króciutki róg.

- Witamy na naszym terytorium, Błękitny Adepcie - powiedział. - Czemu zawdzięczamy tę wątpliwą przyjemność?

A więc zamknięty krąg jednorożców niweczył nawet zaklęcia Adeptów! Magia mogła pokonać jednego jednorożca, ale nie całe stado, chyba że w wyjątkowych okolicznościach. Oczywiście oba zaklęcia zostały rzucone poprzedniego dnia i ich działanie osłabło - żaden czar nie jest wieczny. Mimo to zjawisko godne było zanotowania. Stile'owi nie zagrażały przy tym wrogie zaklęcia, gdyż krąg jednorożców chronił go przed wszelką magią. W ten sposób tajny charakter misji został zachowany. - Pozdrowienia, Ogierze. Przybywam na pertraktacje.

Mężczyzna-Ogier uniósł trzy palce do ust i wydał dźwięk przypominający do złudzenia głos rogu jednorożca. Podbiegło zaraz dwoje zwierząt, niosących na rogach jakiś przedmiot. Postawiły go i odeszły. Był to zmontowany ze starych rogów stół z przymocowanymi do niego siedzeniami. Na pewno wart był znacznie więcej niż kość słoniowa, gdyż znaczna część magii jednorożców gromadzi się w ich rogach.

Ogier usiadł, gestem zapraszając Stile'a, by poszedł w jego ślady.

- O czym chciałby radzić Adept z tak prostym zwierzęciem jak ja?

Stile pojął, że rozmowa będzie trudna. Ogier nie przepadał za nim, odkąd Stile zawstydził go w czasie ich pierwszego spotkania. Musi rozegrać ostrożnie.

- Jak zapewne wiesz, nie tak dawno temu zostałem zamordowany.

- Nie ma potrzeby, byś negocjował w sprawie swego stanowiska czy praw do Błękitnego Królestwa - odparł zdziwiony Ogier. - Uszanujemy to, co postanowione. Tylko moje stado i wataha Kurrelgyre wiedzą, żeś nie jest prawdziwym Adeptem. Przyjmujemy cię na jego miejsce, gdyż magia twa równa jest jego magii, a ty sam jesteś istotą prawą, tak jak i

my. Żadna wiadomość o twej tożsamości nie wyszła z mego stada.

Stile uśmiechnął się.

- Nie o to mi idzie, panie. Nie ukrywam, kim jestem. Muszę jednak umocnić moją pozycję i pomścić morderstwo.

- Niewątpliwie.

- Pewny jestem, iż mój wróg jest jednym z Adeptów. A więc muszę postępować ostrożnie i ufać tylko najbardziej wypróbowanym przyjaciołom. Do nich należy Neysa, z którą łączy mnie przysięga przyjaźni. A więc...

- Teraz pojmuje. Ciężarna klacz nie podoła takiemu zadaniu.

- Dokładnie. Proszę więc, by nie została zażrebiona, dopóki nie zakończę mojej misji.

Ogier zmarszczył czoło.

- Straciła już dwa lata...

- Bo wykluczono ją ze stada - odrzekł ponuro Stile. - Z powodu maści. Jej ubarwienie nie uległo zmianie.

- Tak, lecz zmienił się jej status! Ma koneksje, których wcześniej jej brakowało. Zwierzęta z mego stada polubiły ją, a wilkołaki, z którymi wcześniej walczyliśmy, nie atakują już nas, dzięki niej. Spośród wszystkich stad pasących się w dolinach Phaze tylko jedno ma w swych szeregach jednorozca będącego wierzchowcem Adepta.

- Wierzchowcem i przyjacielem - uzupełnił Stile. - Przyjaźń ta została drogo okupiona.

- Możliwe. W każdym razie kompensuje to jej braki...

- Braki? - spytał złowrogo Stile, sięgając po harmonijkę. Miał zamiar rozegrać to pokojowo, ale ubarwienie Neysy stanowiło czuły punkt.

Ogier zastanowił się. Siedzieli w kręgu jednorozców, lecz nie zostało jeszcze udowodnione, że powstrzyma to świeże zakłęcie rzucone przez rozwścieczonego Adepta. Nie należy tak nieostrożnie obrażać Adepta ani tych, którzy są im bliscy. Ogier, ujmując to obrazowo, cofnął się o pół kroku. - Powiedzmy, że jej ubarwienie zaczęło mi się podobać, a to, co znajduje moją aprobatę, nie stanie się przedmiotem uwag jakiegokolwiek innego jednorozca.

- To wielce trafna uwaga - odrzekł Stile, odkładając harmonijkę. Odkrył już wcześniej, że jednorozce rzadko oponują, gdy chwali się lub broni jednego z ich. Zażrebiecie podrzędnej klaczy byłoby poniżej godności Ogiera. - Pragnę, by Neysa przebywała u mego boku -- ciągnął Stile. - Któż z twego stada, panie, mógłby dorównać jej w biegu?

Ogier uniósł eleganckim lukiem jedną ze swych złocistych, ludzkich brwi.

- Zapewne chciałeś powiedzieć, któż oprócz mnie?

Teraz Stile musiał wycofać się dyplomatycznie.

- Oczywiście. Miałem na myśli klacze.

- Przyznaję, że jak na jej wzrost...

- Czy coś jest nie tak z jej wzrostem? - Był to jeszcze jeden wybieg, mający wprawić przeciwnika w zakłopotanie; Neysa wśród jednoroźców była równie mała, jak Stile wśród mężczyzn.

- Jest właściwy. Pewien jestem, że urodzi pięknego źrebaka.

Ten słowny pojedynek prowadził donikąd. Ogier wciąż chciał zażrebić Neysę.

- Wydaje mi się, że nie zdołałeś do końca uniknąć wpływu przysięgi przyjaźni - zauważył Stile. - Klacz bardziej się podoba niż kiedyś.

Ogier wzruszył ramionami. To moc zaklęcia rzuconego przez Stile'a spowodowała, że inne jednoroźce i wilkołaki wymieniły z Neysą przysięgę przyjaźni, i Ogier nie chciał się przyznać, iż czar wpłynął też na niego. Nie dał się jednak sprowokować.

- Możliwe, lecz tutaj twoja moc słabsza jest od mojej, tak jak w twym królestwie twoja była silniejsza.

W czasie poprzedniego spotkania Stile zmusił jednoroźca do ustępstwa. Teraz Ogier miał satysfakcję. Obrażanie dzierżącego władzę stworzenia zawsze wiązało się z pewnym ryzykiem, nawet jeśli było się Adeptem.

- Potrzebuję Neysy w tym roku. Jak mogę uzyskać odroczenie?

- To sprawa honoru i dumy. Musisz walczyć ze mną tak, jak walczą jednoroźce, tą samą bronią. I jeśli pokonasz mnie w uczciwej walce, spełnię twą prośbę. Jeśli zaś przegrasz...

Stile zdał sobie sprawę, jak okrutny może to być pojedynek.

- Jeśli? - przynaglił Ogiera.

Ogier uśmiechnął się.

- Jeśli przegrasz, spełnisz moje życzenie. Nie walczymy o życie, lecz o pierwszeństwo praw. Ja roszczę sobie prawo do zażrebiania mych klaczy, kiedy i gdzie chcę; ty zaś żądasz, by honorowano więzy przyjaźni łączące cię z klaczą. Nie wypada, byśmy walczyli inaczej niż pokojowo.

- Zgoda. - Stile wcale nie pragnął walki na śmierć i życie! Miał nadzieję, że wystarczy zwykła prośba, lecz okazało się to naiwnością. - Czy zaczynamy teraz?

- W żadnym wypadku, Adeptie! - Ogier udał zdziwienie. - Nie dopuszczę, by mówiono, że wygrałem, zmuszając do walki nie przygotowanego przeciwnika. Protokół wymaga zachowania właściwego przedziału czasowego. Powiedzmy za dwa tygodnie, podczas Roźcolimpiady.

- Rożcolimpiady?

- Dorocznych zmagani sportowych naszego gatunku, odbywajacych sie równolegle z Wilkolimpiada wilkoła-ków, Wampolimpiada ludzi-nietoperzy, Gnomolimpiada...

- Rozumiem. Czy Neysa weźmie w niej udział?

Ogier najwyraźniej nie podjął jeszcze decyzji.

- Nigdy nie startowała, z przyczyn, o których lepiej teraz nie mówić. Sądzę, że w tym roku będzie mile widziana.

- I nie będą konieczne wyjaśnienia dotyczące niuansów barwy czy wzrostu, na które mogłyby zwrócić uwagę mniej spostrzegawcze zwierzęta?

- Oczywiście.

Stile nie był zadowolony ze zwłoki, ale wiedział też, że nie ma wielkiej szansy w walce z Ogierem, który wyglądał, jakby ważył tonę, wprost tryskał zdrowiem, a na rogu zakarbowanych miał wiele zwycięstw. Stworzenie to dawało mu, w rzeczywistości, czas na ponowne przemyślenie całej sprawy, tak żeby Stile mógł zmienić zdanie i uznać racje Ogiera, nie narażając się na upokorzenie porażki. Był to ładny gest, zwłaszcza że jednocześnie Ogier zgodził się-, by Neysa wystąpiła na zawodach, jeśli tego zechce. Stile był pewien, że Neysa zna wszystkie typowe sztuczki jednorożców, a udział w zawodach pozwoli jej to wreszcie udowodnić. Przez całe lata musiała się wstydzić samej siebie; teraz miała szansę, by publicznie dochodzić swych praw.

- A więc za dwa tygodnie - zgodził się Stile.

Ogier wyciągnął rękę i Stile podał mu swoją. Jego dłoń utonęła w ogromnej, szorstkiej łapie o kopytokształnych paznokciach. Stile stłumił w sobie pojawiającą się automatycznie urazę i poczucie niższości. Wcale nie jest gorszy, a Ogier zachował się honorowo. Zawarli uczciwy kompromis.

Ogier wrócił do swej naturalnej postaci. Zagrał krótki akord na rogu. Krąg jednorożców rozstał się i Stile poczuł, że jego ciało staje się coraz lżejsze i bardziej przezroczyste. W miarę jak słabło magiczne oddziaływanie jednorożców, jego stare zaklęcia nabierały mocy. Warto to zapamiętać: zaklęcia działały cały czas, tylko ich efekt uległ chwilowemu przytłumieniu.

Neysa podeszła do nich z widocznym wahaniem.

- Ogier zaprasza cię do udziału w Rożcolimpiadzie za dwa tygodnie - poinformował ją Stile, wskakując na jej grzbiet.

Tak ją to zdumiało, że o mało co nie przekształciła się w dziewczynę, co akurat teraz byłoby dosyć niewygodne. Zagrała pytającą nutę, nie śmiać wierzyć nowinie. Lecz Ogier

odpowiedział jej potwierdzającym akordem.

- Będę tam również, by spotkać się z Ogierem na ubitej ziemi - dodał po namyśle Stile.

Tym razem naprawdę zmieniła kształt i Stile spostrzegł, że siedzi na plecach dziewczyny, obejmując nogami jej cienką talię. Pospieszenie zsiadł.

- Nie... - powiedziała Neysa.

- Rzeczywiście, nie! Gdybym nie był lekki jak piórko i niewidzialny, upadłabyś pod moim ciężarem i leżała teraz w bardzo nieeleganckiej pozycji. Wracaj natychmiast do właściwej postaci, ty koniu!

Pospieszenie spełniła jego żądanie. Wskoczył na grzbiet i galopem opuścili stado. Wydawało się, że żaden z jednorożców nic nie zauważył, dopóki nie usłyszeli drwiącego śmiechu saksofonu. Clip nie zdołał dłużej powstrzymać swej radości.

Neysa odpowiedziała mu gniewną salwą dźwięków i pogalopowała szybciej. Prawie frunęli nad zboczem. Wkrótce byli już daleko.

- Odpląć mu, zmuszając go do wzięcia udziału w Roźcolimpiadzie - zaproponował Stile i Neysa parsknęła potwierdzająco.

Stile powrócił zaraz do swego głównego problemu.

- Może mógłbym zapytać Wyrocznie, jak poradzić sobie z Ogierem? - rozmyślał na głos. Ale to nie był dobry pomysł; zużył już swoje jedyne pytanie, kiedy usiłował poznać swą tożsamość w tym świecie.

- Jeszcze jedna rzecz mnie niepokoi - zauważył po chwili Stile, gdy galopowali piękną równiną. - Dlaczego Ogier był dla mnie taki uprzejmy? Mógł przecież zmusić mnie do walki już dzisiaj i na pewno by wygrał. Nie jestem mu do niczego potrzebny, a jednak potraktował mnie niezwykle uczciwie.

Neysa skrzyła ku kępie dębów. Kiedy znaleźli się w bezpiecznej gęstwinie, poruszyła łopatkami sygnalizując, że powinien zsiąść, a pozbywszy się go, przybrała postać dziewczyny.

- To twoje zaklęcie - wyjaśniła. - Całe stado związane jest ze mną przysięgą przyjaźni i gdyby zdobył mnie nieuczciwym sposobem, upokarzając cię, wszyscy zwróciliby się przeciwko niemu.

Stile uderzył się w czoło niewidzialną dłonią.

- Oczywiście! Nawet król musi brać pod uwagę nastroje poddanych.

A więc zaklęcie naprawdę podziałało na Ogiera, choć bardzo okreśną drogą, poprzez tych, z którymi miał do czynienia.

Czekała, nie zmieniając postaci i patrząc na niego z nadzieją, choć, oczywiście, go nie

widziała. Wziął ją w ramiona. - Chyba jeszcze nigdy nie wypowiedziałaś do mnie tylu słów za jednym razem - rzekł i pocałował ją. Potem ją puścił, lecz ona wciąż czekała. Stile wiedział na co, ale nie mógł tego zrobić. Byli kiedyś kochankami, a Neysa w swej ludzkiej postaci wciąż była najmiłszą i najładniejszą dziewczyną, jaką znał. Nie przeszkadzała mu też myśl, że w rzeczywistości jest jednorożcem. Lecz stosunki ich uległy zmianie, gdy Stile spotkał Błękitną Panią. Zrozumiał, że nie posiada możliwości psychicznych, by mieć w każdym z alternatywnych światów więcej niż jedną kochankę w tym samym czasie. Ironia polegała na tym, że Błękitna Pani nie była dla niego ani kochanką, ani niczym innym, choć tego pragnął. Jeśli miała mu wystarczyć lojalność, koleżeństwo, a nawet seks, to Neysa była ich ucieleśnieniem.

I w tym cała rzecz. Jego aspiracje niepomiaralnie wzrosły. Nie miał żadnej pewności, że zdobędzie to, czego pragnie, lecz musiał postępować tak, jakby było to możliwe. I musiał wytłumaczyć to Neysie tak, by nie zranić jej uczuć.

- To, co zaszło między nami, było dobre - zaczął. - Ale teraz pragnę samicy z mego własnego gatunku, tak jak ty pragniesz urodzić źrebaka, którego dać ci może tylko samiec jednorożca. Nasza przyjaźń przetrwa, gdyż wyrasta ponad to; zmieni się tylko jej charakter. Gdyby nasz związek nie stracił seksualnego charakteru, utrudniłoby to moją przyjaźń z twoim źrebakiem, który niedługo przyjdzie na świat, i twoją z moim dzieckiem, o ile będę je kiedyś miał.

Neysa wyglądała na zaskoczoną. Wydawało się, że wręcz próbuje zastrzyc uszami. Nie pomyślała o tym aspekcie sprawy. Przyjaźń oznaczała dla niej bezgraniczne zaufanie i oddanie, nie podlegające wpływom skomplikowanych interakcji z innymi istotami. Stile miał nadzieję, że będzie w stanie zrozumieć i zaakceptować zmienioną rzeczywistość.

Nagle Neysa pochyliła się i pocałowała go, odnajdując jego twarz z niesamowitą dokładnością - a może to zaklęcie osłabło? - i w chwili gdy ich wargi zetknęły się, powróciła do swej naturalnej postaci. Stile zobaczył, że całuje jednorożca. Zarzucił jej rękę na szyję i ze śmiechem pociągnął za czarną, lśniącą grzywę.

A potem wskoczył na jej grzbiet, objął ją jeszcze raz i ruszyli w dalszą drogę. Wszystko było w porządku.

Rozdział 2

PANI

Po powrocie do Błękitnego Królestwa Stile cofnął zaklęcia: stał się widzialny i odzyskał ciężar, po czym odesłał Neysę na pastwisko i rozpoczął rozmowę z Hulkiem i Błękitną Panią.

- Za dwa tygodnie mam stoczyć rytualny pojedynek z Ogierem - powiedział. - W czasie obchodów Rożcolimpiady. Będziemy walczyć o honor i prawo do posiadania Neysy w tym sezonie. Nie wyobrażam sobie, jak mógłbym mu dorównać, i na pewno skończy się to dla mnie poniżeniem.

- I o to właśnie mu chodzi - stwierdził Hulk. - Nie o krew, a o honor. Ogier pragnie odebrać coś cennego Błękitnemu Adeptowi, publicznie, a nie dzięki kradzieży lub kruczkom prawnym, lecz zgodnie z wszelkimi regułami.

Niebieskie oczy Pani zabłysły ogniem. W tym świecie wyrażenie to należało brać dosłownie: słońce na chwilę zajaśniało. Pani nie była co prawda Adeptem, ale miała spore umiejętności magiczne. Takie drobiazgi wciąż interesowały Stile'a, który dopiero od niedawna przebywał na Phaze.

- Żadne stworzenie nie jest w stanie upokorzyć Błękitnego Adepta! - zawołała.

- Tak naprawdę to nim nie jestem i Ogier dobrze o tym wie - przypomniał jej, zupełnie niepotrzebnie, Stile.

- Masz jego wygląd, moc i stanowisko - odparła stanowczo. - To nie twoja wina, że nim nie jesteś. Dla dobra królestwa nie możesz pozwolić, by jednorożec cię pokonał.

Dla niej wszystko ograniczało się do kwestii przetrwania Błękitnego Królestwa. Stile'a traktowała jak marionetkę.

- Gotów jestem zaakceptować wszelkie propozycje - odparł łagodnie. - Zapytałbym Wyrocznię, jak mogę zwyciężyć, gdyby nie to, że wykorzystałem już moje pytanie, zdobywając obecne stanowisko.

- Wyrocznia - powtórzył Hulk. - Każdy ma prawo do jednego pytania, tak?

- Tylko jednego - potwierdził Stile.

- Wobec tego ja mogę je zadać!

- Nie powinieneś marnować swego pytania na rozwiązywanie cudzych spraw - zaprotestował Stile. - Zapytaj lepiej o swoją przyszłość na Phaze. Kto wie, co dobrego może cię tu czekać - wystarczy, że zapytasz.

- Ale ja chcę to zrobić - upierał się Hulk. - Neysa jest również moim przyjacielem, a ty pokazałeś mi, jak dostać się do tego cudownego, niewiarygodnego świata. Nie mogę nie pomóc ci w tej sprawie.

- Pozwól mu iść - szepnęła Pani.

Stile rozłożył ręce.

- Jeśli naprawdę tak uważasz, to idź, i niech towarzyszy ci moje błogosławieństwo. Pozostanę na zawsze twoim dłużnikiem. I oczywiście zorganizuję ci magiczny pojazd...

- Nie, wolę udać się tam na własnych nogach.

- To zbyt daleko. Nie zdążysz wrócić na czas. Muszę jak najszybciej wiedzieć, co mam robić. Jeśli okaże się, że muszę się czegoś nauczyć...

- No, niech będzie - zgodził się Hulk. - Ale pamiętaj, że nie umiem jeździć na jednorożcach.

Pani uśmiechnęła się i cała komnata na chwilę pojaśniała.

- Nie znam nikogo oprócz mego pana, Stile'a i mnie, kto zdołałby dosiąść jednorożca bez jego przyzwolenia. Adept zawezwie dla ciebie latający dywan.

- O, nie! Tylko nie latający dywan. Jestem pewien, że zaklęcie przestanie działać, gdy tylko znajdę się nad przepaścią albo legowiskiem smoka. Wiecie przecież, że nie jestem zbyt lekki. Czy nie dałoby się załatwić czegoś w rodzaju motocykla?

- Motocykla? - powtórzyła bezmyślnie Pani.

- To urządzenie z tamtego świata - wyjaśnił Stile. - Coś w rodzaju podróżującego koła, przypominające nisko lecący dywan. To nie najgorszy pomysł. Technika tu nie zadziała, ale wyczaruję magiczny pojazd.

Zaczął próbować i w końcu Hulk otrzymał swój motocykl: dwa drewniane koła, drążek sterowniczy, siodełko i szyba ochronna. Urządzenie to oczywiście nie miało silnika, baku czy kontrolki - napędzane było magią. Hulk musiał jedynie wydawać podstawowe ustne komendy i sterować. Z czystej ciekawości panowie dokładnie zbadali konstrukcję pojazdu, eksperymentalnie sprawdzili zakres działania magii i ustalili, gdzie znajduje się granica między funkcjonującą magią i niefunkcjonującą techniką.

W końcu Hulk dosiadł magicznego motocykla i odjechał bezgłośnie, wzniesając tumany kurzu. Stado przerażonych tym widokiem kuropatw poderwało się do lotu.

- Mam nadzieję, że nie zabłądzi i nie wpadnie w szczelinę albo na potwora - powiedział Stile. - Mógłby zrobić potworowi krzywdę.

- Nie, Hulk nie jest w stanie nikogo skrzywdzić - zaprotestowała Pani, pomijając milczeniem żart. - W tym ciele atlety kryje się łagodna dusza. Hulk to mądry i uczciwy

człowiek.

- Racja. To jeden z powodów, dla których go tu sprowadziłem.

Pani podniosła się i odwróciła, błękitna szata łagodnie zafalowała. Poruszała się z taką elegancją!

- Teraz, kiedy zostaliśmy sami, chciałabym z tobą pomówić, Adepcie.

Stile próbował opanować nagłe bicie serca. Przecież chyba nie powie mu, że jej uczucia w stosunku do niego uległy zmianie. Wiedział, że w oczach Pani wciąż pozostaje uzurpatorem. Jej lojalność wobec zmarłego męża stanowiła przedmiot zazdrości i pragnień Stile'a. Gdybyż odnosiła się tak do niego!

- Kiedy zechcesz, pani - odparł.

Zaprowadziła go do swej komnaty i posadziła na wygodnym, błękitnym fotelu. Z oddaniem i miłością pielęgnowała błękitne symbole Królestwa. „Aż dziwne”, pomyślał z dobrotliwą ironią, „że nie przefarbowała sobie włosów na niebiesko”.

- Twój towarzysz opowiedział mi, kim byłeś w alternatywnym świecie - rzekła Pani. - Prosiłam go o to, gdy byłeś nieobecny, gdyż nie godzi się, abym nic o tobie nie wiedziała.

Wyciągała z Hulka informacje, to jasne.

- Sam bym ci wszystko powiedział, pani, gdybyś się tylko spytała.

Oczywiście, chciała uzyskać obiektywny obraz. Do czego zmierza?

- Wiem teraz, z ust bezstronnego świadka, że wielce przypominasz mego małżonka - człowieka wielkiego serca i mądrości, który niejedno wycierpiał z racji swojego wzrostu. Neysa też mi dużo o tobie opowiadała.

- Neysa ma stanowczo za długi język - mruknął Stile. Był to oczywiście żart, klacz słynęła ze swej małomówności.

- Jesteś dobrym człowiekiem, a ja skrzywdziłam cię swoją powściągliwością. Lecz taką mam naturę i winna ci jestem wyjaśnienie.

- Nie chcę cię do niczego zmuszać - odparł szybko Stile, choć w rzeczywistości był gotów słuchać wszystkiego, co zechciałaby mu opowiedzieć.

- A więc powiem ci dobrowolnie - odparła, obdarzając go przelotnym uśmiechem, od którego stopniało mu serce. Czy to możliwe, że polubiła go choć trochę? Nie, starała się tylko być sprawiedliwa i przekazać mu niezbędne informacje.

Stile słuchał opowieści z przymkniętymi oczami, chłonąc jej słodki głos i widząc wszystko, o czym mówiła, z najdrobniejszymi szczegółami.

- Od chwili gdy Phaze została odcięta od mitycznego świata techniki, minęły setki lat, i wciąż pozostawała w izolacji od wszelkich innych światów. Przez trzysta lat nasz gatunek

rozprzestrzeniał się na tej ziemi i odkrywał moc, która się tu kryła. Królestwa zwierzęce także zdobywały nowe terytoria i walczyły ze sobą, aż każdy gatunek zajął swoją niszę: smoki na południu, demony śniegu na pomocy, giganci na dalekim zachodzie, i tak dalej. Wkrótce najzdolniejsi z ludzi zostali adeptami magii, zabraniając innym jej używania, chyba że w bardzo wąskiej dziedzinie. Nie więcej niż dziesięciu magów mogło żyć jednocześnie. Wyróżniał ich tylko talent, nie honor czy zasługi osobiste, i każdy, kto aspirował do statusu Adepta, lecz mniej był wprawny niż mistrzowie, ginął z ich ręki. Dziś zwykli ludzie używają tylko najprostszyc zaklęć i omijają Adeptów; podobnie i zwierzęta trzymają się od nich z dala.

Wyrosłam w liczącej piętnaście rodzin wiosce, na wschód stąd, niedaleko wybrzeża. Znano tam niewiele zaklęć, tylko te najprostsze. Mogłam wyjść za mąż za chłopca z mojej wioski, ale rodzice radzili, żebym się nie spieszyła. Nie wiedziałam wtedy dlaczego; uważali, że jestem ładna, i nie chcieli, żebym zmarnowała życie, wychodząc za miejscowego rybaka czy farmera. Gdyby wiedzieli, kto stanie się moim mężem, czym prędzej oddaliby mnie pierwszemu lepszemu świniopasowi! Lecz oni nie mogli przewidzieć, iż pragnie mnie jeden z Adeptów, a że byliśmy zamożni i posiadaliśmy wiele pól i zwierząt, nie było potrzeby, bym prędko wychodziła za mąż. Mój ojciec jest czymś w rodzaju uzdrowiciela, choć nie wiem, czy zawdzięcza to swojej naturze, czy umiejętnościom, a ja odziedziczyłam jego sztukę. Pomagaliśmy chorym i rannym zwierzętom z naszej wioski, nigdy nie popisując się naszym talentem, toteż nigdy nie spoczęło na nas złowrogie spojrzenie nieprzyjaznego Adepta.

Kiedy skończyłam dziewiętnaście lat, większość moich rówieśnic była już zamężna. Lecz ja kochałam swoje zwierzęta i nie odczuwałam samotności. Mówi się, że mężczyznom najbardziej podobają się te kobiety, które ich nie potrzebują, i tak było w moim przypadku. Pewnego dnia źrebię urodzone przez moją klacz zabłąkało się z dala od stajni i nie wróciło na noc. Nazywaliśmy je Śnieżynką, miała sierść białą jak śnieg, choć temperament ognisty. Często zdarzało się jej oddalać, lecz tym razem zginęła naprawdę. Wzięłam moją dzielną klacz, Gwiazdeczkę, matkę Śnieżynki, i długo szukałyśmy zguby, lecz ślady prowadziły w samo serce lasu. Wtedy poczułam w głębi duszy, że Śnieżynkę spotkało coś złego. Miałam dziewiętnaście lat i kochałam ją, więc ruszyłam za nią do puszczy, chociaż wiedziałam, że to szaleństwo.

W puszczy napotkałam zakryte całunami mchów drzewa, które z sykiem sięgały po mnie. Piasek wciągał kopyta mego wierzchowca, a dziwne kształty i cienie pojawiały się coraz bliżej i bliżej. Poczułam lęk.

Wiedziałam, że muszę zawrócić. Śnieżynka była już stracona i czułam, że ja też

narażam się na zgubę, nie przerywając i tak daremnych poszukiwań. Lecz uwielbiałam moje źrebiątko, tak jak wszystkie konie, i myśl o Śnieżynce, samotnej i opuszczonej w głuszy, była dla mnie torturą. Wynajdowałam kolejne preteksty, by sprawdzić, czy nie ma jej za coraz to nowym drzewem, czy też gładem. W pewnej chwili wydało mi się, że słyszę słabiotkie rzenie; z radością w sercu zeskoczyłam z konia i pobiegłam w kierunku, skąd mnie dobiegło, lecz była to tylko gałąź skrzypiąca na wietrze.

Zbliżała się burza, a to nie wróżyło nic dobrego, gdyż w naszych stronach pogoda taka wyciągała trolle z kryjówek. Mimo to nie wsiadłam na konia. Tym razem byłam pewna, że słyszę żalosne rzenie. Pobiegłam, lecz znowu nic nie znalazłam; było to tak, jakbym próbowała dogonić błędny ogień.

Nagle niebiosa rozwarły się i w jednej chwili zalały mnie strugi deszczu. Uderzenie pioruna spłoszyło Gwiazdeczkę, która zapominając o mnie, rzuciła się do ucieczki, za co jej zresztą wcale nie winiłam. Pobiegłam za nią, lecz gałęzie czepiały się mojej sukni, a podmuchy wiatru szarpały mną, tak że nie widziałam, dokąd biegnę. Drżałam cała i to nie tylko z chłodu. Krzyknęłam, mając nadzieję, że usłyszą mnie w wiosce, lecz szalejąca burza głużyła wszystko.

Zjawiły się za to trolle i kiedy ujrzałam ich złowrogie postacie, krzyknęłam ze zdwojoną siłą. Obrzydłe potwory chwyciły mnie szorstkimi i chciwymi łapami i poczułam, że to koniec. Nie ocalałam życia mej ulubienicy, a niebawem utracę własne.

Jeden z trolli złapał mnie za włosy i uniósł do góry. Zbyt byłam przerażona, by wydać głos. Bałam się śmierci, która wydawała się teraz nieunikniona, lecz jeszcze bardziej lękałam się tego, co miało ją poprzedzić, gdyż wiedziałam, że trolle łakome są na kobiety.

Wtedy to dobiegł mnie stukot końskich kopyt. Zmusiłam się do krzyku w nadziei, że to wraca Gwiazdeczka, niosąc na grzbiecie mego ojca. Lecz dźwięki przybliżyły się i spostrzegłam, że nie było to żaden ze znanych mi koni, lecz ogromny błękitny ogier o purpurowej grzywie i kopytach jak stal, a dosiadał go odziany w błękit chłopiec--mężczyzna...

- Błękitny Adept! - wykrzyknął Stile, przerywając jej.

Pani z powagą skinęła głową i ciągnęła dalej:

- Nie wiedziałam wtedy, kim jest. Wydawał mi się chłopcem z pobliskiej wioski, a może kimś z Małego Ludu. Zawołałam, a on wyciągnął błękitny miecz i trolle cofnęły się w cień drzew. Chłopiec ruszył w moją stronę i gdy monstra pojęły, czego chce, puściły mnie. Cała i zdrowa upadłam na ziemię i na czworakach popęzłam w jego kierunku.

Chłopiec wyciągnął dłoń, by pomóc mi dosiąść konia, a kiedy to zrobiłam, błękitny

ogier skoczył z siłą, która rozpędziła przerażone trolle i sprawiła, że o mało co nie spadłam z jego grzbietu, choć rozpaczliwie przywarłam do mego wybawcy.

W jednej chwili znaleźliśmy się na skraju lasu, galopując w kierunku wioski. Wciąż padało; drżałam z zimna, a mokra suknia oblepiała moje ciało, lecz chłopiec nie zwracał na to uwagi. Nie pytając o drogę, zawiózł mnie na moje własne podwórze i zatrzymał konia. Zeskoczyłam, cała mokra, szczęśliwa i pełna wdzięczności.

- Młodzieńcze - zwróciłam się do niego, wspaniałomyślnie uznając go za starszego, niż mi się wydawał. - Cały przemokłeś. Wejdz i ogrzej się przy kominku.

Lecz on tylko odmownie pokręcił głową i nie wyrzekł ani słowa. Uniósł na pożegnanie drobną dłoń i zniknął wśród burzy. Ocalił mój honor i życie, ale nie czekał na podziękowania.

W domu, susząc się i grzejąc przy wesołym ogniu, opowiedziałam rodzicom o mej przygodzie. O tym, jak nierozsądnie zawędrowałam do puszczy, o burzy, trollach i chłopcu na błękitnym rumaku, który mnie ocalił. Sądziłam, że będą szczęśliwi słysząc, jak uniknęłam strasznych konsekwencji własnej głupoty, lecz rodzice przerażili się.

- To był czarownik! - zawołał ojciec, blednąc.

- Nie, to tylko chłopiec, dużo niższy ode mnie - tłumaczyłam. - Jechał na koniu swego ojca i kiedy usłyszał mój krzyk...

- Czy tak ci powiedział?

Niechętnie przyznała, że błękitny chłopiec nie powiedział ani słowa, a był to zły znak. A jednak nie skrzywdził mnie w żaden sposób i nie groził mi, a ocalił od pewnej zagłady. Rodzice stłumili swe obawy, szczęśliwi, iż wróciłam do nich cała i zdrowa.

Żrebię nie wróciło do stajni. Następnego dnia znów wyruszyłam na poszukiwania, lecz tym razem towarzyszył mi ojciec, uzbrojony w solidną pałkę. Wołałam Śnieżynkę, lecz nadaremnie. Zamiast niej pojawił się błękitny chłopiec, nadjeżdżając przez pola. W świetle dnia ujrzałam, że jego rumak wcale nie jest błękitny; to tylko odbłask uprząży nadawał mu ten kolor. Grzywa jego mieniła się jednak wszystkimi barwami tęczy.

- Które ze stworzeń nocy wyjdzie na światło dnia? - zażartowałam z ojca, gdyż wszystkie duchy boją się słońca.

Ojciec pozdrowił chłopca. - Czy jesteś tym młodzieńcem, który wczoraj ocalił życie mojej córki?

- Tak - odparł chłopiec. I mówiąc to, rozwiął kolejną z naszych obaw, gdyż nieliczne tylko potwory potrafią mówić ludzkim językiem.

- Kim jesteś i gdzie mieszkasz, że tak w samą porę zdążyłeś na ratunek?

- Pochodzę z wioski Brant, za wzgórzami, pośrodku doliny - odparł zapytany.

- Ależ wioska ta została zniszczona przeztrolle dziesięć lat temu! - zawołał mój ojciec.

- To prawda. Tylko ja ocalałem, gdyż potwory nie spostrzegły mnie, zajęte dziełem zniszczenia. Teraz wędruję samotnie, a mój dzielny rumak jest całą moją rodziną.

- Musiałeś być wtedy dzieckiem! - zaprotestował ojciec. - A wszyscy wiedzą, żetrolle jedzą najpierw małe dzieci.

- Ukryłem się - odparł młodzieniec, marszcząc brwi. - Widziałem, jaktrolle pożerały moją rodzinę, a jednak nie zdobyłem się na odwagę, by wyjść z kryjówki i walczyć. Byłem tchórzem. To złe wspomnienia i lepiej o nich zapomnieć.

- Oczywiście - zgodził się mój ojciec, nieco zakłopotany. - Choć nikt nie nazwie tchórzem dziecka kryjącego się przed żarłocznością trolli. Pamiętam, że sama natura zemściła się na tej właśnie bandzie, gdyż w wioskę Uderzył piorun i wszystkie zginęły w ogniu.

- Tak - mruknął chłopak, a jego twarz przybrała posępny wyraz. - Wszystkie oprócz jednego trollowego szczenięcia. - Zdziwiło to mego ojca, lecz chłopak mówił dalej: - Szukacie zagubionego żrebaka? Czy mogę pomóc?

Mój ojciec chciał odmówić, lecz wiedział, że ściągnie na siebie potępienie, jeśli odrzuci pomoc oferowaną nawet w tak daremnej sprawie.

- Jeśli taka twoja wola. Nie wiemy, gdzie rozpocząć poszukiwania.

- Mam dobre stosunki z dzikimi końmi - odparł chłopiec. - Gdyby Pani zechciała pojechać ze mną tam, gdzie pasą się stada, i przepytać te konie, które coś wiedzą...

Zdumiało mnie, że zostałam nazwana Panią, gdyż byłam dopiero co dojrzałą dziewczyną, i zobaczyłam, iż ojciec mój również był tym zaskoczony. Jednak wytłumaczyliśmy sobie, że tak młodemu chłopcu mogłam wydawać się dorosłą kobietą.

- To wielce uprzejma propozycja - rzekł z powątpiewaniem mój ojciec - lecz wahałbym się wysłać na poszukiwania dwoje tak młodych ludzi, a brak mi czasu, bym sam...

- Och, tato - przymilałam się - cóż złego może mnie spotkać na koniu? - Wolałam nie przypominać ojcu, że nie tak dawno temu napytałam sobie biedy, zsiadając z konia w lesie nawiedzanym przeztrolle. - Będziemy jechać ostrożnie. - Pragnęłam też zobaczyć stada dzikich koni, co rzadko zdarzało się mieszkańcom wioski.

- Twoja klacz rozpacza po stracie żrebaka - przypomniał ojciec, wynajdując jeszcze jeden powód do odmowy. - Gwiazdeczka nie ma sił na tak długą podróż. Nie zrozumie powodu jazdy.

Zachmurzyłam się w sposób najbardziej wruszający. Ale zanim zdążyłam coś powiedzieć, zrobił to chłopak. - Mam odpowiedniego dla niej wierzchowca, panie. Nazywa się Hinny i jest osłomulem. To najszybsza i najbystrzejsza klacz spośród dzikich rumaków.

Jeśli ktoś potrafi znaleźć źrebaka, to właśnie ona.

Zaklaskałam w dłonie jak mała dziewczynka. - Och, tak! - Nic jeszcze nie wiedziałam o tym stworzeniu prócz tego, że osłomuł jest bezpłodną krzyżówką ogiera i oślicy, podobną do muła, lecz łagodniejszą; mimo to pragnęłam się na niej przejechać.

Ojciec, rozsądniejszy niż ja, zmarszczył brwi.

- Osłomuł i to dziki. Nie podoba mi się to. Takie bywają źle usposobione do ludzi.

- To prawda - zgodził się błękitny chłopiec. Nigdy otwarcie nie przeczył mojemu ojcu. - Ale to nie jest jakiś tam osłomuł. To Hinny. Może mieć potomstwo, ale tylko z moim błękitnym ogierem. Za tę cenę będzie najlepszym wierzchowcem, o jakim można zamarzyć. Jest silna i dobrze zna życie w głuszy; żadne stworzenie nie odważy się stanąć na jej drodze, nawet troll czy smok. Bardzo przypomina jednoroźca.

Ojciec mój zawahał się, gdyż zawsze darzył szacunkiem dobre konie. Pragnąc zachęcić go do wyrażenia zgody, udałam, że zaczynam się znowu dąsać. Miałam w tym sporą wprawę, a ojciec mój był na to dosyć czuły; często odgrywaliśmy podobne scenki.

- Czy mógłbyś zawołać to zwierzę? - zapytał, grając na zwłokę. - Przyjrę się mu.

Chłopak wsadził palce do ust i przenikliwie gwizdnął. Prawie natychmiast dobiegł nas tętent kopyt i ujrzeliśmy rumaka. Cóż to było za zwierzę! Całe w różnych odcieniach szarości, jaśniejsze na bokach i kłębie, o ciemniejszych nogach, z długą na metr dwubarwną grzywą powiewającą leniwie na wietrze. Jej ogon, również grający różnymi odcieniami szarości, przypominał rzeźbiony onyks i płynął za nią niczym morska fala.

Ojciec, mimo że usiłował zachować sceptycyzm, aż jęknął. - Jaka szybka! - sapnął. - Co za budowa!

- Twoja córka będzie bezpieczna na jej grzbiecie - zapewnił błękitny chłopiec. - Kogo Hinny nie potrafi pokonać, może prześcignąć, z wyjątkiem jednoroźców, które zostawiają ją w spokoju. Jeśli tylko Hinny podejmie się zadania, będzie strzec swego jeźdźca nawet za cenę życia.

Ojciec stracił kompletnie głowę. Oczu nie mógł oderwać od Hinny, najpiękniej zbudowanej klaczy, jaką kiedykolwiek widziano w naszej wiosce. Czułam, że oddałby lewą rękę za posiadanie takiego wierzchowca.

- Posłuchała twojego wezwania - powiedział z przejęciem.

- Nie - zaprzeczył pospiesznie chłopiec. - Posłuchała mojego ogiera. - Podeszedł do Hinny i wyciągnął rękę, a klacz ją obwąchała. Stuliła do połowy swe jedwabiste, szare uszy. A kiedy uspokojona wyprostowała je, chłopiec zwrócił się do niej. - Hinny, proszę cię o przysługę, za cenę, którą znasz.

Klacz machnęła perłowym ogonem i uniosła głowę. Nie była wcale wysoka, mierzyła bowiem około piętnastu dłoni, lecz odznaczała się smukłością i elegancją, co czyniło ją klasycznie piękną. Zerknęła na błękitnego ogiera i wszyscy odnieśli wrażenie, jakby jakaś magiczna siła uniosła jej grzywę. Hinny była bardzo zainteresowana.

- Przysługa za przysługę - powtórzył cicho ojciec, bardzo tym zaintrygowany. Przyjrzał się uważnie kształtom ogiera, rozpoznając w nim najwspanialszy okaz owego gatunku. Potomstwo zrodzone z tej pary mogło okazać się czymś wyjątkowym.

- Masz nosić Panią na swym grzbiecie - oznajmił chłopak, wskazując mnie ręką. - Zawieziesz ją na poszukiwania zaginionego źrebaka i wrócisz z nią bezpiecznie do jej ojca. Pojadę z wami i będę was wspierał. A jeśli nie znajdziemy źrebaka, lecz Pani powróci bezpiecznie, otrzymasz swoją zapłatę. Zgadzasz się?

- Jak koń może to zrozumieć? - szepnął sceptycznie ojciec. Hinny spojrzała na niego z tak niesamowitą pewnością, że nie mógł już więcej protestować.

Hinny zwróciła się teraz ku mnie. Wyciągnęłam rękę i klacz powąchała moją dłoń, a potem przesunęła pyskiem wzdłuż ręki, do ramienia, i wreszcie do twarzy. Jej chrapy przypominały szary aksamit, a oddech był ciepłym tchnieniem przesyconym słodkim zapachem suszonego siana. W tym momencie pokochałam ją.

Klacz odwróciła się znów w stronę błękitnego młodzieńca, strzygąc uchem na znak zgody. Ojciec nie był w stanie zaprotestować; zwierzę napawało go zachwytem. Wydawało mi się, że upłynęła tylko chwila, a wszystkie przygotowania zostały ukończone i wyruszyliśmy w drogę. Galop Hinny był tak łagodny, że gdy zamknęłam oczy, nie czułam, że jedziemy, choć biegła tak szybko, iż prąd powietrza wydawał mi się burzą. Nigdy dotąd nie dosiadałam podobnego rumaka!

Miałam wrażenie, że znów minęła zaledwie chwila, ale gdy otworzyliśmy oczy, byliśmy o wiele mil od wioski, kierując się na zachód ku wnętrzu kontynentu, gdzie kryła się najsilniejsza magia. Doliny i lasy umykały jak pędzone wiatrem. Żaden koń nie potrafiłby utrzymać takiego tempa i do tego galopować tak gładko - a jednak Hinny biegła u boku błękitnego ogiera, od czasu do czasu strzygąc do niego aksamitnym uchem; pragnęła tego, co tylko on mógł jej dać. Przez chwilę zastanawiałam się, czy tak samo nie stanie się i ze mną, i tylko jeden mężczyzna będzie mi przeznaczony na męża. Nie podejrzewałam nawet wtedy, jak bliskie prawdy jest to przypuszczenie, a ten, o którym myślałam, nie znajdował się ode mnie dalej niż ogier od Hinny.

- Dokąd jedziemy? - spytałam.

-- Dzikie konie powinny wiedzieć, dokąd zbłądziło twoje źrebiątko - odparł chłopiec. -

Ich pastwiska są rozległe, lecz mój rumak potrafi je odnaleźć.

- To dobrze - stwierdziłam. - Ale czy nie uciekną na widok człowieka?

Chłopiec uśmiechnął się tylko. Wkrótce wypatrzyliśmy stado, a przewodzący mu ogier zwrócił ku nam głowę i ostrzegawczo uderzył kopytami o ziemię. Jednak błękitny chłopiec uniósł ręce do ust, układając je na kształt muszli, i zagwizdał; dźwięk ten uspokoił konie, które czekały teraz, aż się zbliżymy.

- Usłuchały twego gwizdania? - spytałam zdziwiona.

- Znają mojego ogiera - odparł gładko.

Tak też się wydawało. Dziki ogier był dużym gniadoszem z ciemnymi nogami, choć nie tak potężnym jak błękitny ogier. Obwąchały sobie pyski, a potem uprzejmie nie zwracały na siebie uwagi. Obecność Hinny zignorowana została od samego początku; jako mulica nie należała w pełni do tego samego gatunku.

Młodzieniec zeskoczył z konia, a ja poszłam za jego przykładem. Mieliśmy za sobą długą, szybką jazdę, lecz oboje byliśmy dobrymi jeźdźcami, a nasze wierzchowce nie sprawiały kłopotów. Zaraz też zaczęły się paść, gdyż konie są zawsze głodne. Weszliśmy w sam środek niedużego stada; czułam się dziwnie pośród dzikich koni, które normalnie nie tolerują bliskości człowieka. Była to dla mnie zupełnie nowa przyjemność. Większość stada stanowiły piękne, zdrowe klacze. Było też kilka źrebiąt, z których jedno wyglądało na chore. Błękitny chłopak podszedł do cienkonogiego konika i przesunął palcami po jego ciele, a ja zdumiona widziałam, że klacz nie protestuje.

- Co mu jest? - zapytałam, nie mogąc rozpoznać choroby. Ja, która sądziłam, że wiem wszystko o koniach.

- Robaki duszy - odparł obojętnie. - Magiczna zaraza typowa dla tej okolicy. - I śpiewnie wyrecytował do źrebaka - Podejdz do mnie, stworzenie, zniknie twoje cierpienie. - Głupi rym, po prostu żart, ale nagle źrebak ożywił się, ruszył ku niemu i zobaczyłam, że powietrze zadrgało, gdy coś niewidzialnego, choć jednocześnie obrzydliwego, wijąc się, opuściło źrebaka. Zwierzak od razu zaczął wyglądać lepiej, a jego matka zarżała z wdzięcznością. Zrozumiałam, że źrebak potrzebował tylko kilku słów zachęty; nie był naprawdę chory, a tylko niedożywiony.

Błękitny chłopak podszedł do przywódcy stada i rzekł:

- Szukamy źrebaka, który nam wczoraj zginął. Może widzieliście go lub słyszeliście o nim?

Ogier spojrzał na mnie, tak jakby domagał się ode mnie informacji.

- To młoda klaczka, ma tylko miesiąc, czysto biała, piękna i zupełnie bezbronna.

Nazwałam ją Śnieżynką.

Ogier parsknął.

- Twierdzi, że jej nie widział - przetłumaczył chłopak. - Ale słyszał o kimś, kto zbiera białe źrebięta i podobno znalazł jedno w pobliżu. To Śnieżny Koń.

- A gdzie go można znaleźć? - spytałam.

- Ogier nie wie, gdyż Śnieżny Koń pasie się daleko i nie utrzymuje kontaktów ze zwykłymi końmi. Tylko Peg może nam powiedzieć, gdzie może teraz być.

- Peg? - spytałam zdziwiona.

- Zaprowadzę cię do niej.

Wskoczyliśmy na nasze wierzchowce i pomknęliśmy jak wiatr. Galopowaliśmy na południe, przez równiny i lasy, przecinając strumienie i przekraczając wzgórza, tak jakby nie stanowiły żadnej przeszkody. Minęliśmy pasącego się młodego jednoroźca; cały był w piękne zielono-pomarańczowe paski, miał hebanowe kopyta i perłowy, skręcony róg. Ruszył i zaczął się do nas zbliżać, a ja przestraszyłam się, bo jednorożec tak się ma do konia jak tygrys do kota domowego. Lecz on tylko biegł obok nas, a potem przyspieszył, ścigając się z nami. Pragnął jedynie rozrywki.

Błękitny chłopiec uśmiechnął się i nieco pochylił, a jego ogier skoczył do przodu, jakby przedtem szedł sobie leniwym krokiem; Hinny stuliła uszy i rzuciła się za nim. Och, jak one kochały wyścigi! Ziemia umykała spod kopyt zieloną mgłą, a drzewa wydawały się mknąć jak strzały. Przywarłam do srebrzystej grzywy Hinny, bojąc się upadku, choć jej galop był niezwykle płynny. Wyprzedziliśmy jednoroźca.

Jednorożec wydłużył krok i zaczął przeskakiwać przez krzaki i skały, które my musieliśmy okrążyć. Wysunął się na czoło i pomachał nam ogonem w radosnym pozdrowieniu. Lecz błękitny ogier runął jeszcze szybciej do przodu, a Hinny mknęła jak sokół w czasie burzy i osiągnęliśmy tempo, które pozwoliło nam znowu wyprzedzić jednoroźca. Nigdy wcześniej nie galopowałam z podobną prędkością!

Po raz trzeci jednorożec przyspieszył, a jego ciało migotało od żaru, ogień buchał mu z nozdrzy, a iskry wylatywały spod kopyt. Powoli zaczął nas wyprzedzać. Tym razem nie mogliśmy mu dorównać, gdyż wierzchowce nasze biegły obciążone, a do tego były zwykłymi, a nie zaczarowanymi końmi. A jednak okazaliśmy się dla niego godnym przeciwnikiem i nieźle się rozgrzał, zanim nas zwyciężył. Niewiele zwykłych koni potrafiło tego dokonać.

Zwolniliśmy, by trochę ochłonać. Poklepałam Hinny po łopatce.

- Jesteś najwspanialszą klaczą, jaką kiedykolwiek spotkałam - szepnęłam. - Mogłabym

na tobie jechać całe życie i nigdy nie zaznać nudy. - Wtedy w to wierzyłam.

I tak dotarliśmy do czerwonych zboczy wielkiego, południowego łańcucha gór i wspięliśmy się tak wysoko, że powietrze stało się rzadkie, a rośliny karłowate. Na wyniosłej turni ujrzelśmy ogromne gniazdo, a w nim coś, co w pierwszej chwili wzięłam za monstrualnego ptaka, gdyż pokryte było piórami. Stworzenie podniosło się widząc, że się zbliżamy, rozpostarło skrzydła i - patrzcie tylko - okazało się koniem.

- Peg! - zawołał błękitny chłopiec. - Potrzebujemy od ciebie informacji. Czego chcesz w zamian?

Peg wzbiła się w powietrze, krążyła przez chwilę, aż wreszcie opadła na ziemię i złożyła skrzydła. Białe pióra pokrywały całe jej ciało tak, że spośród nich wystawały tylko nogi, głowa i ogon. Przy czym ogon również był upierzony, dzięki czemu mogła sterować nim w czasie lotu. Nigdy nie wyobrażałam sobie, że zobaczę kiedyś tak ogromne skrzydła! Peg zarżała, kierując pysk ku gniazdu.

- Niech się spełni twe życzenie, twego gniazda ulepszenie - wyrecytował śpiewnie, tak jak przedtem.

Dostrzegłam wówczas coś, co wcześniej umknęło mojej uwadze: pozostały pewnie po zniwach stos łądyg zbyt długich i twardych, by pociąć je na paszę. Peg podeszła, tak jakby ona również dopiero teraz je zobaczyła, i z zadowoleniem szarpnęła zębami jedno z pnączy. Był to idealny materiał na gniazdo. Znowu zarżała.

- Mówi, że Śnieżny Koń zmierza ku swojej kryjówce w Śnieżnych Górach i dotrze tam jutro o świcie - oznajmił chłopiec. - Oznacza to dla nas ponad dzień jazdy; będziemy musieli zatrzymać się gdzieś na noc.

- A więc rozumiesz mowę koni? - spytałam pomna jego wcześniejszej rozmowy z ogierem. Tak mało wtedy pojmowałam!

Skinął głową.

- Jak mógłbym kochać konie i nie rozmawiać z nimi? Czyż może być lepszy towarzysz od konia? - Oczywiście nie mogłam temu zaprzeczyć.

Wsiadliśmy na nasze wierzchowce i ruszyliśmy na północ. Mijało właśnie południe, a przed nami była daleka droga. Skręciliśmy na północny zachód, kierując się ku białemu grzbietowi gór. Po drodze napotkaliśmy zagajnik jabłoni i zatrzymaliśmy się w nim na godzinę, pożywiając się - i my, i nasze rumaki - smakowitymi jabłkami. Hinny jadła mi z ręki. Bardzo chciałam, by została na zawsze moja, ale wiedziałam, że to niemożliwe. Nie żałowałam wcale, że poszukiwania się tak przeciągają; oczywiście pragnęłam odzyskać Śnieżynkę, ale chciałam też jak najdłużej być z Hinny i poznać jak największą część

magicznej głuszy Phaze.

Zatrzymaliśmy się znowu wczesnym popołudniem, by nasze wierzchowce mogły wypocząć i najeść się. Błękitny chłopiec znalazł maliny rosnące na zboczu, strumień ze zdumiewająco smaczną wodą i trochę dojrzałego ziarna. Zebrał suche drewno i rozpałił małe ognisko; w torbie przy siodle miał garnek. Gotowaliśmy ziarno, dopóki nie zmiękło. Nie zdawałam sobie wtedy sprawy, że wytwarzał rzeczy przy pomocy magii; nawet przez myśl mi nie przeszło, że mógłby być Adeptem. W końcu był to tylko chłopiec!

Wyciągnął kolejny przedmiot z torby przy siodle - dziwne, miał torbę, ale przecież nie miał siodła. Była to jakaś tkanina, z której uformował dla mnie osłonę przy ogniu. Położyłam się spać, czując się najzupełniej bezpieczna; dzikie zwierzęta boją się zazwyczaj ognia, a do tego obok mnie pasły się dwa konie.

Lecz o zmierzchu, gdy już zasypiałam, otworzyły się ukryte drzwiczki w ziemi i rzuciły się na mnie małe, płomiennookie potworki. Były to gobliny, o dużych głowach i stopach, zajadłe, kochające smak ludzkiego mięsa. Ogień ich nie przerażał, gdyż korzystały z niego w swych podziemnych włościach. Krzyknęłam.

Hinny trzymała się blisko mnie, gdyż zostałam powierzona jej pieczy. Teraz dopiero zobaczyłam, co to oznacza. Zaatakowała z kwikiem, uderzając kopytami jak maczugą, a każdy jej cios miażdżył głowę goblina, podczas gdy ja kuliłam się ze strachu obok ogniska. Gobliny walczyły z nią, gdyż cenią sobie mięso końskie prawie tak wysoko jak ludzkie. Wdrapywały się po jej ogonie, czepiały grzywy, próbowały chwycić za nogi. Było ich całe mrowie. Zobaczyłam, jak jeden z nich, siedząc na głowie Hinny otwiera zabią paszczę i usiłuje ścisnąć ostrymi, krokodylowymi zębami jej słodkie, delikatne, szare ucho. Zerwałam się wtedy na nogi, zacisnęłam ręce na niekształtnym, szczurzym ciałku i zrzuciłam bestyjkę z grzbietu kłaczki.

Nagle pojawił się błękitny ogier, grunt zadrżał pod jego kopytami. Jego bojowe rzenie prawie zerwało mi włosy z głowy; przywarłam w panice do ziemi, choć wiedziałam, że to nie ja jestem jego przeciwnikiem. Gobliny wpadły w panikę i rzuciły się do ucieczki, a ogier je ścigał. Każde uderzenie kopyta odrzucało zgruchotane ciało jakiegoś goblina na dwadzieścia stóp w migoczącą ciemność, gdzie upadało niczym gruda błota. Oczy ogiera płonęły błękitnym ogniem, podmuch wydobywający się z jego nozdrzy miał siłę huraganu, a potężne mięśnie tańczyły pod lśniącą skórą, gdy skakał, kopał i atakował. Po chwili ostatni żywy goblin zniknął w głębi ziemi, zatraskując szczelnie drzwiczki. Ogier walił w nie kopytami, dopóki nie zmieniły się w ruinę. Wiele dni upłynie, zanim gobliny będą mogły z nich znowu skorzystać.

Wyczerpana, osunęłam się na ziemię. Nigdy w życiu tak się nie bałam, może tylko w czasie przygody z trollami. Gobliny nigdy nie pojawiały się w ludzkich wioskach.

Hinny podeszła i trąciła mnie pyskiem. Poczułam wstyd, że pozwoliłam jej walczyć samej, podczas gdy ja nic nie robiłam. Lecz błękitny chłopiec powiedział:

- Hinny dziękuje ci za to, że uwolniłaś jej uszy od zębów goblina. Docenia odwagę, którą wykazałaś, bo wie, jak przerażające są gobliny dla młodych dziewcząt. - Poczułam się lepiej, choć wcale nie byłam dumna z siebie, i obiecałam sobie, że będę odważniejsza w przyszłości. Przesunęłam palcami po sińcach, zadrapaniach i ugryzieniach na ciele Hinny, pragnąc usunąć ból i pomóc im się zagoić. Klacz trącała mnie aksamitnym nosem i wszystko było już dobrze.

Gobliny nie pojawiły się więcej - nic dziwnego - po tym, jak zakosztowały gniewu błękitnego ogiera. Bezpiecznie spałam aż do świtu. Błękitny chłopiec obudził się przede mną i znalazł, nie wiadomo gdzie, dojrzałe gruszki. Po posiłku dosiedliśmy wierzchowców i ruszyliśmy w drogę. Bałam się, że będę obolała po całym dniu jazdy, lecz krok Hinny był tak łagodny, że w ogóle nie ucierpiałam. Ciekawiło mnie bardzo, jaki chód ma skrzydlaty rumak; jaki może być rytm kopyt poruszających się w powietrzu.

We właściwym czasie dotarliśmy do Śnieżnych Gór, tworzących północną granicę naszej ziemi i wdrapaliśmy się na ich podnóże. Droga stawała się coraz bardziej stroma i trudna, gdy przekraczaliśmy kolejne grzbiety. Krok Hinny stał się nierówny, gdy z wysiłkiem, choć szybko, niosła mnie coraz dalej, i nawet błękitny ogier zaczął się pocić, a jego nozdrza rozdymały się, pulsując ze zmęczenia. Wdrapywaliśmy się na zbocza, których wolałabym nie pokonywać nawet pieszo, i powoli zbliżaliśmy się do głównego grzbietu gór. Powietrze ochłodziło się i zerwał się wiatr. Otuliłam się szczelniej płaszczem, drżąc z zimna. Błękitny chłopak spojrzał na mnie.

- Czy mogę mówić śmiało? - spytał melodyjnym głosem. - Już cię słońce ogrzało.

- Tak, ogrzało - zgodziłam się bohatercko, gdyż wiedziałam, że jeśli przerwiemy poszukiwania, to już nigdy nie odnajdę Śnieżynki i do końca życia będę sobie wyrzucać to zaniedbanie. Lecz, co dziwniejsze, przestałam nagle czuć chłód, tak jakby moje ubranie zaczęło chronić mnie przed zimnem dwa razy bardziej niż przedtem. Była to, oczywiście, sprawka jego magii, ale wtedy nie zwróciłam na to uwagi. Byłam taka młoda i naiwna.

Wdrapaliśmy się aż do granicy śniegów, gdzie w jaskini na wpół skrytej pośród bieli znaleźliśmy legowisko Śnieżnego Konia. Stał tam, oczekując nas, piękny ogier-albinos, którego grzywa i ogon przypominały błyszczące sople lodu, a kopyta były tak białe, że nie byłam pewna, gdzie kończy się koń, a zaczyna się ubity śnieg.

Chłopiec zeskoczył na ziemię i podszedł do Śnieżnego Konia. Chciałam pójść w jego ślady, ale Hinny odwróciła głowę, rzucając mi ostrzegawcze spojrzenie. Usłuchałam jej i pozostałam w siodle. Zdążyłam się już nauczyć, że tutaj, na dzikim pustkowiu, ostatnie słowo me należało do mnie.

Po chwili chłopiec wrócił.

- Śnieżny Koń rzeczywiście zwabił twoje źrebiątko - rzekł. - Widząc jego kolor, myślał, że należy do tego samego gatunku, lecz kiedy dotarli do śniegów, zaczęło marznąć, więc zrozumiał, że nie jest śnieżną klaczą, i pozwolił mu wrócić, gdyż nie chciał jego zguby. Wtedy pojawiły się śnieżne demony i porwały klacz, zanim dotarła do ciebie.

- Śnieżne demony! - wykrzyknęłam przejęta lękiem. Nigdy nie słyszałam nawet jednego dobrego słowa o tym gatunku.

- Módl się, żebyśmy zdążyli na czas - powiedział.

- Na czas? - spytałam, nic nie rozumiejąc. - Śnieżynka jest już zgubiona! Nie uda się nam pokonać śnieżnych demonów, nawet jeśli nie zdążyły jej zjeść. - Poczułam, jak palą mnie gorące łzy. - Ale jeśli jest jakaś nadzieja...

- Demony oszczędzą białe źrebię... na pewien czas. - Wskoczył na konia i poprowadził mnie wzdłuż zbocza.

Zagłębialiśmy się w krainę śniegów. Z nozdrzy naszych wierzchowców unosiły się kłęby zamarzającej pary, ale wciąż było mi zupełnie ciepło. Błękitny ogier nagle zatrzymał się, obwąchał śnieg i rozgrzebał go kopytami. Wiedziałam już, że znajdujemy się niedaleko legowiska demonów, i zadrżałam - ze strachu, nie z zimna. Byłam już prawie gotowa oddać źrebiątko, lecz wyobraziłam sobie, jak demony rozszarpują jego drżące ciało, i odraza, którą poczułam, wzmocniła moją nadwątloną odwagę.

Ponad nami, na skalnej półce, pojawił się śnieżny demon.

- Ktooo? - zawołał, a jego głos był jak zimowy wiatr, omiatający zmarznięte turnie.

Błękitny chłopiec nie odpowiedział mu słowami. Stał na grzbiecie ogiera i rozłożył szeroko ramiona, jakby mówiąc:

- Oto jestem!

Byłam zachwycona, ale równocześnie zaniepokojona. Świetnie, że potrafi zręcznie utrzymywać równowagę, ale może przecież spaść i zrobić sobie krzywdę. Choć postępował tak, jakby demon miał go rozpoznać i przestraszyć się, to przecież były to tylko głupie pozy. Olbrzym albo ogr mogli napędzić demonowi strachu, ale chłopak, i to taki mały, był po prostu żalony.

Ku memu zdziwieniu, demon cofnął się, jakby ujrzał olbrzyma.

- Cooo? - spytał.

Chłopak wskazał na Hinny i zbliżając do siebie dłonie, zasygnalizował małe rozmiary: Przychodzi po źrebię.

Demon poskrobał się po porośniętej soplami głowie, udając zdziwienie: Nie widział żadnego źrebaka! Błękitny chłopiec uczynił wtedy coś naprawdę dziwnego. Wyciągnął dużą harmonijkę - nie wiedziałam, że ma coś podobnego - i uniósł ją do ust. Zagrał tylko jedną nutę, a demon zareagował, jakby go uderzono. Począł się z niego lać deszcz zmieszany ze śniegiem, przypominający krople potu. Demon wskazał palcem w dół zbocza. Spojrzałam w tym kierunku. W wąskiej dolinie stała na skrawku ziemi moja ukochana Śnieżynka. Biedna klaczka kulila się i drżała, gdyż w Śnieżnych Górach nigdy nie jest ciepło.

Demon zniknął w szczelinie, a my zaczęliśmy zsuwać się w dół po stromym zboczu. Droga była kręta, błękitny ogier wynajdywał stopnie tam, gdzie wydawało się, że nic nie ma, i powoli opuszczaliśmy się coraz niżej. Miałam wrażenie, że zjeżdżamy na dno ogromnej miski o ścianach tak stromych, że każdy ruch mógł spowodować lawinę grzebiącą moje źrebiątko. O, jak ostrożnie schodziliśmy!

W końcu dobrnęliśmy do zielonego spłachetka. Zsiadłam i podbiegłam do Śnieżynki, która powitała mnie rzeniem. Ciepło, jakie mnie otaczało, wydawało się ogrzewać również i ją, i klaczka odzyskała nieco sił.

- Och! - zawołałam, tuląc ją do siebie. - Jestem taka szczęśliwa, że nic ci się nie stało. Bałam się... - Ale stare strachy nie miały już nade mną władzy. Zgodnie ze swą obietnicą błękitny chłopiec pomógł mi odzyskać Śnieżynkę.

Usłyszałam nagle dudnienie. Przestraszona spojrzałam do góry i zobaczyłam wysoko nad nami śnieżne demony, spychające ze zboczy wielkie kule śniegu. Staraly się spowodować lawinę, a my byliśmy na jej drodze! Dolina stała się śmiertelną pułapką.

Po raz pierwszy zobaczyłam gniew na twarzy błękitnego chłopca. A jednak nie zaczął ani przeklinać, ani kulić się ze strachu. Wyciągnął znowu harmonijkę i zagrał kilka taktów. Muzyka brzmiała dziko, agresywnie, lecz jak mogła nam pomóc w obliczu nadchodzącej zagłady? Wkrótce zresztą jej dźwięki zostały zagłuszone przez pędzącą lawinę.

Śnieg runął na nas z siłą wodospadu. Krzyknęłam i przy- tuliłam do siebie Śnieżynkę czując, że nadszedł nasz koniec. Lecz kiedy zebrałam się w sobie na przyjęcie nieuniknionej śmierci, zdarzyło się coś niezwykłego.

Oślepił mnie błysk światła i poczułam falę gorąca, jak po wybuchu. Ciepła woda obmywała moje stopy.

Ciepła woda? Zmusiłam się do otwarcia oczu i rozejrzałam się wokoło, sama sobie nie

wierząc. Śnieg zniknął. W całej dolinie, aż po najwyższe otaczające ją szczyty, nie było ani krzty śniegu, po zboczach spływała natomiast woda, a w niektórych miejscach unosiła się para. Ocaliło nas gwałtowne nadejście wiosennych roztopów.

- To na pewno magia! - wykrzyknęłam zdumiona. - Chyba że jesteśmy w rejonie wulkanicznym. Ale co za zbieg okoliczności!

Chłopak kiwnął tylko głową. Wciąż nie dostrzegałam jego mocy!

Poszliśmy w górę zbocza, opuszczając dolinę i formując się na jej dnie jezioro. Jechałam na grzbiecie Hinny, a Śnieżynka szła obok. Wspinaczka trwała długo, ale przepełniało mnie szczęście.

Na wysokiej, prowadzącej na zewnątrz przełęczy, zrobiło się nagle zimno. Z dna szczeliny wyłonił się śnieżny demon.

- Tyyy! - zawył jak wiatr i gwałtownym ruchem cisnął w błękitnego chłopca zaklęciem, jak odłamkiem lodu.

Ośliczka rzuciła się naprzód, zatrzymując iskrzący się pocisk własnym ciałem. Uderzył ją w przednie nogi, pokrywając lodem kolana. Klacz potknęła się, rżąc boleśnie. Przestraszona, zeskoczyłam na ziemię.

Błękitny chłopiec zawołał coś śpiewnym głosem i obrzydły demon zamienił się w parę i rozwiął. Chłopiec podszedł, by zająć się Hinny, która leżała na ziemi z zamarzniętymi kolanami.

- Ten pocisk był przeznaczony dla mnie - powiedział. - Hinny, nie mogę wyleczyć cię całkowicie. Kolana to najtrudniej gojące się stawy, a do tego nie możesz ich teraz oszczędzać. Zrobię jednak, co będę mógł. - Zagrał znowu kilka żwawych akordów na harmonijce i zaśpiewał: - Hinny, droga, bądź już zdrowa.

Lód zniknął z jej nóg. Hinny podniosła się z ziemi i upewniła się, czy kolana są mocne. Ale dostrzegłam, że zmieniły one trochę barwę, i zrozumiałam, iż zostały bezpowrotnie osłabione. Hinny mogła chodzić i biegać, ale niektóre bardziej skomplikowane manewry miały już pozostać poza granicami jej możliwości.

W tym momencie uświadomiłam sobie to, co powinnam była zauważyć wcześniej. Odwróciłam się w stronę chłopca.

- To ty to zrobiłeś! - rzuciłam oskarżycielsko. - Umiesz czarować!

Poważnie skinął głową.

- Nie ukrywałem tego przed tobą- odparł jak dziecko złapane na kradzieży cukierków. Był taki zawstydzony i skruszony, że nie mogłam się nie roześmiać.

Objęłam jego drobne ramiona i przytuliłam go do siebie gestem starszej siostry.

- Przebaczam ci - oznajmiłam - lecz nie igraj niepotrzebnie z magią, gdyż możesz zwrócić na siebie uwagę Adepta.

Nic mi nie odpowiedział. Wstyd mi teraz za moją głupotę i ten protekcyjalny stosunek do niego! Dosiedliśmy koni i skierowaliśmy się ku równinom, jadąc powoli ze względu na niezupełnie zagojone kolana Hinny i osłabienie żrebaka. W końcu osiągnęliśmy ciepłe pogórze i zatrzymaliśmy się tam na noc. Śnieżynka pasła się obok Hinny, która opiekowała się nią jak matka; czułam, że nic złego nie może się stać źrebięciu. Zbieraliśmy smakowite jagody i orzechy rosnące tu w dużych ilościach. Było to typowe dla błękitnego chłopca, który wolał używać magii w subtelny sposób.

O zmierzchu zniżające się słońce wypełniło swym blaskiem zachodnią część nieba, a na wschodzie pojawił się niebieski księżyc. Chłopiec wyciągnął harmonijkę, zwrócił się twarzą ku księżycowi i zagrał. Przedtem wydawał tylko pojedyncze nuty i krótkie, ostre melodie. Teraz rozpoczął delikatnie - jakby strojąc instrument i grzejąc go w dłoniach - i zagrał gamę. Jego dłonie były tak małe, że ledwie obejmowały instrument, lecz ich zręczność wprawiła mnie w podziw. I kiedy księżyc rósł, a słońce znikало, chłopiec zagrał melodię.

Byłam zmęczona i nie zwracałam na niego większej uwagi, więc zaskoczył mnie. Nie wiedziałam, że z harmonijki może wydobywać się tak piękna muzyka. Nuty otaczały mnie, okręzały, wciągały i unosiły hen, wysoko, ku błękitnemu księżycowi. Żeglowałam - tak mi się wydawało - pomiędzy cudownymi, zabarwionymi na błękitno chmurami, dosiadając rumaka muzyki i brodząc pośród niebieskich obłoków ku magicznemu lądowi, który był twarzą księżycy. Rósł w oczach i jaśniał, a jego powierzchnia stawała się coraz wyraźniejsza. Kiedy się do niego zbliżyłam, ujrzałam małych błękitnych ludzi: kowali wykuwających niebieskawą stal. Tak mi się w każdym razie wydawało. Potem zobaczyłam panią odzianą w błękit, a jej włosy były jasne, tak jak moje. Miała na sobie cudowną, błękitną suknię i błękitne pantofelki wysadzone błękitnymi klejnotami, a w jej włosach lśnił błękitny diadem. Była tak piękna i rzeczywista, że aż nie do wiary. Odwróciła głowę i spojrzała na mnie, a jej oczy były niebieskie, tak jak moje, i ona była mną.

Przestraszona, zdziwiona i jednocześnie zadowolona cofnęłam się. Umykałam przez błękitne mgły jak strzała i nagle znalazłam się znowu na ziemi. Chłopiec kończył grać, melodia zamierała powoli.

Nie wiedziałam, że ukazał mi pierwszą z trzech rzeczy, za które miałam go pokochać: muzykę. Nigdy nie było na Phaze człowieka, który potrafiłby...

Błękitna Pani umilkła i ukryła twarz w dłoniach. Stile chciał coś powiedzieć, lecz przerwała mu gniewnie:

- A ty, ty, który jesteś jego fałszywym obrazem! Przychodzisz do jego Królestwa, niosąc jego harmonijkę, używasz jej-

- Jego harmonijkę? - spytał zdumiony Stile.

- Czyż nie jest na niej wypisane słowo „Błękit”? - spytała Pani. - Zrobiono ją na jego zamówienie w alternatywnym świecie.

Stile wydobyl harmonijkę i obracał ją w dłoniach. Rzeczywiście, widniały na niej te małe, zgrabne literki.

- Więc wyczarowałem jego instrument - powiedział cicho, przejęty i zasmucony. - Muszę zwrócić go wdowie po prawym właścicielu.

Pani od razu złagodniała.

- Nie, jest teraz twój. Teraz ty jesteś Błękitnym Adeptem. Używaj go w dobrej sprawie, tak jak on to czynił. - I wróciła do swojej opowieści.

- Potrząsnęłam głową mówiąc: - Nigdy czegoś podobnego nie słyszałam, drogie dziecko! Gdzie ktoś tak młody mógł nauczyć się tak pięknie grać?

Zastanawiał się przez chwilę, zatopiony w myślach, jakby rozważając trudny problem etyczny. Wreszcie odparł:

- Czy mogę pokazać ci jutro moją wioskę? Nie trzeba będzie daleko zbaczać z drogi.

- Przecież została zniszczona - powiedziałam bezmyślnie.

- Tak jest w istocie.

Natychmiast pożałowałam swoich słów. - Oczywiście, jedźmy tam, jeśli chcesz. Chyba, że trolle...

- Nie ma tam żadnych trolli - upewnił mnie i zaraz przypomniałam sobie, że zostały zabite uderzeniem pioruna.

Następnego dnia pojechaliśmy na miejsce, gdzie niegdyś była wioska. Nic z niej nie pozostało, tylko łąka o niezwykle zielonej trawie i kilka pagórków. Wszystko zostało zniszczone, a ruiny zarosły. Byłam trochę rozczarowana, gdyż oczekiwałam czegoś bardziej dramatycznego; a cóż może być dramatycznego w śmierci, która miała miejsce dawno temu?

- Czy mogę pokazać ci przeszłość? - spytał, a na jego drobnej twarzy malowała się powaga.

- Oczywiście - odparłam łaskawie, nie rozumiejąc, do czego zmierza.

- Idźcie na pastwisko - poleciał naszym wierzchowcom. Posłuchały chętnie, a mała Śnieżynka ruszyła za nimi.

Wtedy błękitny chłopiec zagrał na harmonijce. I znowu ogarnęła nas idealnie piękna muzyka; poczułam, jak wokół nas gromadzi się niewidzialna siła. Chmura przysłoniła łąkę, a

gdy się rozwiła, ujrzałam wioskę i krzątających się ludzi; piorących ubrania, jedzących, pracujących w kuźni, bawiących się. Pojęłam, że wizja ta przedstawia jego dom sprzed wielu lat, zanim spadło nieszczęście. Wioska bardzo przypominała mi moją.

Była może trochę lepiej zorganizowana, bardziej zwarta, z domami otaczającymi centralny plac, na którym toczyło się życie towarzyskie i gdzie gromadziły się dzieci. Moja wioska leżała nad morzem i była otwarta od strony wody, ta zaś była typową osadą lądową, narażoną na niebezpieczeństwo napadów. Słońce świeciło jasno, aż nagle ujrzałam, że cienie się wydłużają: miało to sygnalizować upływ czasu. Zapadła noc i wioska ułożyła się do snu.

W ciemnościach bezszelestnie pojawiły się trolle - ogromne, chude, przerażające. Przedarły się w jakiś sposób przez zakłęcie otaczające wioskę pierścieniem i spadły na nią drapieżną watahą. Z oddali słyszałam słabe okrzyki - to potwory rzuciły się na śpiących mieszkańców osady. Zbudzeni mężczyźni zerwali się do walki, lecz trolle były rosłe i silne, i jakże liczne. Zobaczyłam kobietę rozdartą na części przez walczące o łup potwory; wybuchnęły odrażającym rechotem, gdy jeden z nich, wyrwawszy kobiecie lewe ramię i rozwścieczony, że dostała mu się mniejsza część, okładał nim swych konkurentów. Z krzykiem przebiegło obok dziecko, mała dziewczynka. Troll złapał ją, uniósł do pyska, rozwarł przerażające szczęki... i odgryzł płaczącą główkę.

Potem obraz rozmył się, na szczęście, gdyż i ja zaczęłam krzyczeć. Nigdy nie widziałam czegoś równie przerażającego! Ciemność zakryła wszystko. Po chwili nadciągnął świt. Trolle, obżarte, pochowały się w domach; w ciągu dnia zawsze się kryły i nigdy, w przeciwieństwie do goblinów, nie używały ognia, gdyż światło sprawiało im ból. Teraz też ponakrywały się stosami koców, chroniąc się przed słońcem. Czują się bezpiecznie - w wiosce nie ocalał nikt.

A jednak nie, ktoś przeżył. Jakieś dziecko - chłopiec - wypęzło z pustego pnia drzewa. Pewnie bawił się tam, kiedy nadciągnęły trolle, albo robił coś zakazanego, może uczył się rzucać zakłęcia, i skamieniały ze strachu, czekał świtu, gdy minie niebezpieczeństwo. Teraz stał, przypatrując się ruinom - był to błękitny chłopiec.

- To ty! - zawołałam. - Widziałeś wszystko! Patrzyłeś, jak mordowano twoją rodzinę, niszczone wioskę!

- Nie lituj się nade mną - odparł ponuro. - Tej nocy z młodzieńca stałem się magiem. Zrozumiałem, że tylko magia może przywrócić równowagę i... - rozłożył dłonie - spójrz, co zrobiłem.

Uniosłam głowę i zobaczyłam, jak jego sobowtór podnosi ręce, i usłyszałam cichą, śpiewną deklamację, lecz nie rozpoznawałam słów. Nagle pojawił się ognisty krąg i otoczył

wioskę, buchnęły płomienie. Magiczny ogień, gorący i nienasycony. Płomienie przesuwają się do środka, a błękitny chłopiec patrzył. Pewnie układał i doskonalił to straszliwe zaklęcie podczas bezsennych godzin spędzonych w kryjówce. Zapaliły się kryte słomą chaty na brzegu wsi. Trolle obudziły się i miały w płomieniach, przerażone, lecz uciec mogły tylko do środka wsi. A ogień ścigał je niczym głodny demon.

Teraz to trolle bełkotały w panice, lecz nie było dla nich ucieczki, gdy zebrały się na centralnym placu, kryjąc twarze, plecami zwrócone do ognia. Płomienie zbliżały się nieuchronnie, skazując trolle najpierw na tortury, a potem na śmierć. I gdyby nie obraz rozdartej kobiety i dziecka pozbawionego głowy, pożałowałabym ich. Lecz nie ma litości dla tych, którzy nikomu jej nie okazali. Trolle walczyły między sobą o miejsce we wciąż zawężającym się kręgu, nie okazując swym towarzyszom najmniejszych oznak współczucia, kierując się wyłącznie egoizmem.

W końcu straszliwy ogień wypalił się, a jego magia pożarła tak ciała, jak i drewno. Pozostały tylko popioły i kopce. Wszystkie trolle zginęły. Lecz... nagle coś poruszyło się w jednym z kopców i wygrzebał się z niego mały troll, ukryty tam pewnie przez matkę, dzięki której ocalał. Rozejrzał się wokoło i rozplakał, przerażony światłem dnia.

Dostrzegł go błękitny chłopiec, lecz zrozumiał, że malec nie mógł nikogo zabić, rzucił zaklęcie mroku, którym okrył trolla, i pozwolił mu uciec.

- Jesteś taki jak ja - powiedział. Odwrócił się plecami do tego, co tak niedawno było jego domem, i odszedł.

Muzyka umilkła i wizja rozplynęła się. Spojrzałam na błękitnego chłopca. Obnażył przede mną drugi ze swych darów: moc. Nie rozumiałam jednak wtedy, lub też nie chciałam zrozumieć, znaczenia tej śmiertelnie groźnej siły.

- Ty... ty jesteś taki sam! - zawołałam. - Nie zmieniłeś się wcale, nie urosłeś! A wioskę spalono przed dziesięciu laty! Jak...

- Miałem siedemnaście lat - odparł.

- A teraz... dwadzieścia siedem? - spytałam, pojmując nagle prawdę. - Sądziłam, że dwanaście!

- Nie bardzo urosłem - uśmiechnął się.

Był starszy ode mnie, a ja myślałam, że jest dzieckiem. To nie dwunastoletni chłopiec, a dorosły mężczyzna.

- Ja... ja... - zaczęłam zakłopotana.

- Pytałaś, jak ktoś w moim wieku może tak dobrze grać - przypomniał.

- Tak było - przyznałam ze skruchą. Teraz, gdy żart obrócony został przeciwko mnie,

poczułam się lepiej.

Błękitny chłopiec - nie, błękitny mężczyzna - zawołał nasze konie i ruszyliśmy w drogę. Jechaliśmy szybko i następnego dnia ujrzelśmy moją wioskę. Bałam się trochę, że zobaczę tylko dymiące ruiny, lecz była to tylko głupia gra wyobraźni pobudzonej straszliwą wizją. Rodzice wybiegli na moje powitanie, a Śnieżynka została zwrócona matce i wszystko skończyło się dobrze.

Wtedy błękitny pan zwrócił się do swego ogiera: „Idź i usłuż Hinny. Umowa została dotrzymana”. I ogier oddalił się z Hinny do lasu. Klacz była podniecona - pewnie miała ruję, od chwili gdy po raz pierwszy ujrzała błękitnego ogiera. Ucieszył mnie ten widok. Będzie miała źrebaka, na którego tak ciężko zapracowała.

Ojciec popatrzył za nimi.

- Co za ogier! Co za klacz! - powtarzał. - Ich źrebię niepodobne będzie do żadnego z naszych zwierząt.

Błękitny człowiek wzruszył ramionami.

- Pani, gdybyś kiedykolwiek mnie potrzebowała, zawołaj tylko: „Błękitny Panie, przyjdź na żądanie”. - I odwrócił się do mego ojca, myśląc, że jestem zaabsorbowana pocieszeniem zapłakanej matki, którą moja długa nieobecność bardzo niepokoiła. - Panie, czy mogę poślubić twoją córkę? - spytał takim tonem, jakby mówił o pogodzie.

Otworzyłam usta w niebotycznym zdumieniu, ale nie byłam w stanie nic powiedzieć.

- Czy jesteś Błękitnym Adeptem? - ojciec zadał w odpowiedzi pytanie.

Domyśliłam się prawdy i przeżyłam jeszcze jeden szok. Jak mogłam tego nie zauważyć, ja, która widziałam jego moc!

Błękitny Adept uścisnął ojcu dłoń i odszedł w kierunku, w którym zniknęły konie. Nie padła żadna odpowiedź, lecz nie była ona konieczna. Zwykli ludzie nie utrzymują kontaktów z Adeptami i nie zawierają z nimi małżeństw. .

Błękitna Pani zakończyła swoją opowieść i spojrzała uważnie na Stile'a. - Teraz możesz odejść do swych zajęć, Adepcie - rzekła.

- Dziękuję, pani - odparł Stile i opuścił komnatę.

Rozdział 3

PROTON

Neysa zawiozła Stile'a do lasu, gdzie znajdowało się najbliższe dogodne przejście przez zasłonę.

- Kiedy mnie i Hulka tu nie będzie, ty musisz opiekować się i bronić Błękitnej Pani - szeptał jej do ucha Stile w czasie jazdy. - Nie mam lepszego od ciebie przyjaciela.

Jednorożec parsknął melodyjnie. Przecież Stile nie musi tego powtarzać! Czyż nie są przyjaciółmi?

Dotarli do zasłony, słabo migoczącej na tle cienistej polany.

- Spróbuję wrócić już jutro - rzekł Stile. - Gdybym nie...

Neysa zagrała tylko jeden dźwięk: - Hulk.

- Racja. Wyślij po mnie Hulka. Zna dobrze Proton, zna reguły gry. Gdyby zdarzył mi się tam jakiś nieszczęśliwy wypadek...

Gwałtowny protest. Róg Neysy potrafił wydawać bardzo jednoznaczne dźwięki.

- Och, będę na siebie uważał - zapewnił. - Sheen będzie mnie ochraniać. Już wiele razy uratowała mi życie. Ale gdyby zdarzyło się, że... wiesz, powinnaś wrócić do stada i urodzić żrebaka...

Neysa przerwała mu jedną tylko nutą i Stile zdecydował się porzucić ten temat. Wystarczająco trudno było mu namówić ją, by zaakceptowała jego status Adepta; na pewno nie pogodzi się teraz z myślą o jego śmierci. Miał nadzieję, że jej nie rozczaruje.

Stał przed zasłoną. Po drugiej stronie widział słaby zarys jakiegoś oświetlonego pomieszczenia i stosy skrzynek. Ktoś właśnie przechodził i Stile poczekał, aż droga będzie wolna. Większość ludzi zupełnie nie zdawała sobie sprawy z istnienia zasłony, a ci, którzy mogli ją przekraczać, milcząco zgadzali się ze sobą, że nie należy wyprowadzać ich z błędu. Stile, nucąc pod nosem, rozebrał się, złożył Starannie odzież i ukrył ją w rozwidleniu gałęzi.

Kiedy stanął nagi, Neysa przemieniła się dziewczynę, objęła go, pocałowała i zawołała ze śmiechem: - Ja też jestem z Protonu!

- Nagość nie czyni cię Protonką - odburknął Stile - Żartujesz sobie, jednorożcu.- Odsunął się od niej i nucąc stanął przed zasłoną. - Wyślij mnie całego do korytarza tego! - zadeklamował śpiewnie i zrobił krok naprzód..

Przechodząc przez zasłonę, poczuł lekkie mrowienie. Znalazł się, nagi i samotny, po drugiej stronie. Odwrócił się do Neysy, ledwie widocznej za zasłoną. Powróciła już do swej

naturalnej postaci.

- Do widzenia, przyjaciółko! - zawołał i pomachał do niej.

Odwrócił się śmiało i ruszył w dół korytarza. Przyzwyczaił się już do życia w innym świecie, toteż czuł się dziwnie bez butów.

Wkrótce korytarz doprowadził go do głównej drogi, którą maszerowało wielu nagich robotników zmierzających do pracy. Wmieszał się pomiędzy nich, natychmiast zyskując anonimowość. Był niższy od każdego z mężczyzn, większości kobiet i niektórych dzieci, lecz zdążył już do tego przywyknąć. Pogardliwe spojrzenia niektórych niewolników wciąż jeszcze budziły w nim gniew, lecz Stile starał się nie zapominać, że osoba oceniająca go tylko na podstawie wzrostu, w rzeczywistości wydaje sama sobie nie najlepsze świadectwo. Mimo to był zadowolony, opuszczając miejsca publiczne i wchodząc do swego mieszkania.

Przyłożył dłoń do drzwi, które natychmiast stanęły otworem. Wszedł do środka.

Jakiś nagi mężczyzna patrzył na niego, marszcząc brwi. Przez chwilę przyglądali się sobie. Wreszcie ten drugi wstał.

- Sheen nie uprzedziła mnie, że przyjdiesz. Zaraz zniknę.

- Chwileczkę - odezwał się Stile. Rozpoznał w obcym swego sobowtóra, robota, który zastępował go podczas jego podróży na Phaze. Gdyby nie to, nieobecność Stile'a zostałaaby szybko zauważona i mogłaby go drogo kosztować. - Nigdy jeszcze się nie spotkaliśmy. Czy Sheen dobrze cię traktuje?

- Nie zwraca na mnie uwagi - odparł robot - chyba że ktoś przyjdzie. W tych okolicznościach to najwłaściwsze postępowanie.

- Lecz przecież zostałeś zaprogramowany tak, by mnie we wszystkim przypominać. Nie nudzisz się?

- Maszyna mego typu nie może się nudzić, chyba że dostanie takie polecenie.

- Nawet kiedy zamykają cię w szafie?

- Przedtem mnie wyłączają.

Zaniepokoiło to Stile'a, który zawsze odnosił się z sympatią do uciskanych istot.

- Daj mi znać, jeśli poczujesz się wykorzystany. Wstawię się za tobą do pani.

- Dzięki ci za uprzejmość- odparł robot, nie okazując jakichkolwiek emocji - ale nic mi nie trzeba. Jestem przecież maszyną. Czy mogę już odejść?

- Kiedy wróci Sheen? - Za cztery minuty i piętnaście sekund od... tej chwili.

- Jesteś wolny. Zastąpię cię.

Oczywiście robot nie zrozumiał żartu. Roboty bywają różne, a ten należał do mało skomplikowanych. Brakowało mu obwodów sprzężenia zwrotnego świadomości. Podszedł do

ściany; wyglądał zupełnie jak człowiek. Z pewnym niepokojem Stile uświadomił sobie, że tak właśnie on sam wygląda w oczach innych: mały, nie rzucający się w oczy. Robot odsunął płytę i wszedł do szafy-pojemnika, w którym został od razy deaktywowany.

Stile przypomniał sobie golema, podszywającego się pod niego, a raczej pod jego sobowtóra, Błękitnego Adepta, dopóki on, Stile, nie pojawił się na scenie, by go zlikwidować. Czy jest jakaś różnica między golemem a człekomopodobnym robotem? Jeden był wytworem magii, drugi - nauki. Analogie między obu światami uwidoczniły się nie tylko w ich geografii! 1

Stile usiadł przy stole, na miejscu zwolnionym przez robota. Przyjrzał się rozłożonemu pasjansowi. Jeśli robot nie odczuwał nudy, to po co bawił się kartami? Odpowiedź była prosta: Stile nudząc się robiłby właśnie coś takiego, doskonalać się przy tym w jednej z mniej znanych konkurencji Gry. Robót na pewno wykonywał też wszystkie ćwiczenia akrobatyczne, którym zwykł był oddawać się Stile, choć, oczywiście, nie wynosił z nich żadnej korzyści. Naśladował go, by stworzyć pozory.

Stile przeanalizował układ kart i zagłębił się w pasjansa. Był nim całkowicie zaabsorbowany, gdy otworzyły się drzwi i weszła Sheen.

Była po prostu piękna; trochę tylko wyższa od niego, o figurze bardziej niż idealnej: piersi większe, jędrniejsze i bardziej sterczące niż przewidywały ustalone przez komputer idealne wymiary dla jej wieku i wzrostu, talia bardziej wcięta, brzuch bardziej płaski, biodra i pośladki pełniejsze, no i długie, bujne, jasne włosy. Przeciętny mężczyzna pragnął kobiety piękniejszej niż przeciętna, a nawet piękniejszej od prawdziwego żeńskiego ideału; gust mężczyzn został zniekształcony przez całe wieki skomercjalizowanej propagandy utrzymującej, że zdrowa, normalna kobieta nie może być naprawdę piękna. Gust Stile'a był najzupełniej przeciętny, a więc Sheen daleka była od przeciętności.

Przypominała nieco inną dziewczynę - dżokejkę, niższą trochę od niego, którą Stile poznał przed kilkoma laty i, jak mu się wtedy wydawało, kochał. Miała na imię Tune, a ze związku z nią Stile wyniósł miłość do muzyki. A jednak Sheen, musiał to przyznać, była i ładniejszą, i lepszą kobietą. Miała tylko jedną wadę, o której wolał w tej chwili nie pamiętać.

Stile wstał, podszedł do niej i wziął w objęcia. - Och, czyżby był tu ktoś jeszcze? - zapytała ze zdziwieniem.

- Nikt - odparł, całując ją. - Chodź, będziemy się kochać.
- Z robotem? Nie bądź niemądry. - Próbowała mu się wyrwać, lecz trzymał ją mocno.
- Z robotem najlepiej - zapewnił ją.
- Och. - Zamilkła na chwilę. - Dobrze.

Do licha! Dała się nabrać!

- Dobrze? - spytał. - A jak daleko jesteś skłonna posunąć się z robotem?

- Moi najlepsi przyjaciele są robotami - odpowiedziała. - Chodź do łóżka.

Stile, rozzłoszczony, puścił ją. Sheen roześmiała się tylko.

- Głuptasie! - zawołała. - Czyżbyś sądził, że cię nie poznałam? - I zarzuciła mu ręce na szyję, całując go znacznie namiętniej niż przedtem.

- A co mnie zdradziło? - dociekał Stile.

- Poza tymi różnicami między człowiekiem a robotem, które znam o wiele lepiej niż inni? - zapytała drwiąco. - Takimi jak temperatura ciała, pot, bicie serca, oddech i inne szczegóły funkcjonowania żywego organizmu?

- Właśnie, co poza tym? - Stile czuł, że się wygłupił. Powinien był wiedzieć, że nie zdoła jej oszukać nawet przez chwilę.

- Masz opalone ręce - odparła.

Zerknął na swoje dłonie. Oczywiście, widać było wyraźnie, gdzie kończyły się rękawy ubrania, które nosił na Phaze. Całe życie na Protonie toczyło się pod kopułami, przepuszczającymi tylko nieszkodliwe fale słoneczne, a więc nikt nie mógł być silnie opalony. No i oczywiście, na ciele ludzi, którzy zawsze chodzili nago, nie mogło być linii oddzielających miejsca bardziej od mniej opalonych. Nierówna opalenizna różniła go nie tylko od robota, ale i od wszystkich pozostałych robotników Protona.

- Będę musiał nosić na Phaze rękawiczki!

- Takie poświęcenie nie jest niezbędne - zapewniła go. Wyjęła koloryzujący krem do rąk i wtarła w jego skórę, przywracając jej dawny, nieopalony kolor.

-- Nie wiem, co bym zrobił bez ciebie - zauważył z wdzięcznością Stile.

- Zostałbyś na zawsze na Phaze, z tą Błękitną Panią.

- Bez wątpienia.

- Ale tu jest zupełnie inny świat - rzekła. - Należałeś do mnie, zanim ją poznałeś. Od pierwszej gry Turnieju dzieli nas dobre sześć godzin i wiem dokładnie, jak je spędzimy.

I tak się też stało. Sheen była równie namiętna, jak piękna, a istniała tylko po to, by strzec go i uprzyjemniać mu życie. Łatwo przychodziło mu jej ulec. Nawet niezwykle łatwo.

Kiedy odpoczywali, Sheen spytała:

- A jak mają się sprawy na Phaze?

- Zabiłem golema, który podszywał się pode mnie, i poradziłem memu przyjacielowi - wilkołakowi imieniem Kurrelgyre, jak ma odzyskać swoją pozycję w stadzie...

- O tym już przecież wiem. Pamiętasz chyba, że wróciłeś tu na końcową grę

kwalifikującą do Turnieju? Powiedz lepiej, co robiłeś podczas ostatniej podróży na Phaze?

- Wilkołaki i jednorożce pomogły mi potwierdzić moją tożsamość jako Błękitnego Adepta - odparł Stile, mocno upraszczając swoją opowieść. - Umiem już rzucać czary. Będę jednak musiał stoczyć pojedynek z Głównym Ogierem Stada o to, kiedy Neysa ma się rozmnożyć.

- Lubię Neysę - stwierdziła Sheen. - Czy jednak nie jest ona zazdrosna o Błękitną Panią?

- Nie, wymieniły przysięgę przyjaźni. Neysa rozumie, że moja przyszłość związana jest z istotami mego gatunku.

- Z Błękitną Panią? - spytała Sheen.

Stile uświadomił sobie, że zupełnie niepotrzebnie ją zranił.

- Jak sama powiedziałaś, Błękitna Pani nie należy do tego świata.

- To ty tak myślisz. Świat jest inny, ale ona też tu jest. Nie mogła przecież przekroczyć zasłony. A więc musi mieć tutaj sobowtóra.

Słowa te wstrząsnęły Stile'em.

- Masz rację! Gdzieś tu musi istnieć jeszcze jedna Błękitna Pani. Moja idealna kobieta cały czas była na Protonie - zamilkł na chwilę. - to znaczy, w ogóle idealna...

- Och, to nieważne - przerwała mu Sheen. - Oboje wiemy, że ja nie należę do twojego gatunku, bez względu na to, jak bardzo bym tego chciała.

- Lecz dlaczego mi to powiedziałaś?

- Neysa pomogła ci odnaleźć Panią, nieprawdaż? Czy mogłabym zrobić mniej?

Ach, o to chodzi! Sheen identyfikowała się z Neysą i próbowała ją naśladować.

- Zresztą, nie mogę sobie teraz pozwolić na poszukiwania... i co miałbym zrobić, gdybym ją znalazł?

- Jestem pewna, że coś byś wymyślił - Sheen skrzywiła się. - Mężczyźni zwykle to robią.

- Pozory myślą - Stile uśmiechnął się. - Mężczyźni myślą nie tylko o jednym. Moim przeznaczeniem jest kochać Błękitną Panią, choć nie wiem, czy ona mnie pokocha. Jak jednak mógłbym kochać dwie Błękitne Panie? Nie mam czego szukać u jej protońskiego sobowtóra.

- Nie chcesz jej zobaczyć?

- Nie mam odwagi.

- Moi przyjaciele z łatwością ją dla ciebie odnajdą.

- Lepiej nie. Skomplikuje mi to tylko życie, które i bez tego wcale nie jest proste. Jak

długo będę mógł żyć w obu światach jednocześnie? Już teraz czuję się trochę jak bigamista, a nawet nie zdążyłem się ożenić.

- Powinieneś to jakoś rozstrzygnąć.

Spojrzał na nią.

- Po co to mówisz? - Nie musiał jednak pytać.

Uraził ją głęboko, a ona próbowała uleczyć ranę, rozszarpując ją coraz bardziej. Była w tym jakaś logika, jak we wszystkim, co robiła. Oboje wiedzieli, że Stile nigdy naprawdę nie pokocha Sheen ani się z nią nie ożeni, tak samo jak nie mógłby zapalać płomiennym uczuciem do Neysy czy ją poślubić. Sheen zawsze go będzie darzyć miłością, lecz nie uzyska niczego więcej niż stanowisko tymczasowej kochanki i strażniczki.

- Masz rację - powiedziała, powstrzymana jego zjadliwym pytaniem. - Lepiej o tym zapomnieć. Umieszczę to w odpowiedniej bazie danych.

- Nie można, zapamiętując coś, zapomnieć o tym!

- Musimy wygrać Turniej - przypomniała mu, zręcznie i łącie po kobiecemu zmieniając temat.

- Zrozum - rzekł. - Nie mogę spodziewać się wygranej. Nie jestem w szczytowej formie, a przy tak ostrej i szerokiej konkurencji mogę łatwo przepaść.

- A jeśli zostaniesz szybko wyeliminowany, twój kontrakt na Protonie ulegnie anulowaniu i będziesz musiał przenieść się na Phaze, a ja nigdy więcej cię nie zobaczę - stwierdziła Sheen. - Masz przecież powody, by się starać. Musimy odkryć, kto próbował cię zabić na Protonie, a tylko zostając obywatelem, będziesz mógł przeprowadzić skuteczne śledztwo.

- Masz rację - zgodził się Stile. Przypomniał sobie anonimowego obywatela, który polecił przestrzelić mu laserem kolana, co zakończyło jego karierę jako dżokeja. Cała seria wydarzeń zapoczątkowanych tą akcją niezwykle wzbogaciła jego życie, otwierając przed nim świat Phaze, lecz mimo to Stile wciąż płonął gniewem. Musiał się zemścić, i Sheen miała oczywiście rację, to był silny bodziec, pchający go do udziału w Turnieju. Zwycięzca miał otrzymać największą możliwą na Protonie nagrodę: obywatelstwo, ci zaś, którzy zajdą w eliminacjach wysoko, otrzymują przedłużenie kontraktu i tym samym możliwość udziału w kolejnym Turnieju. A więc i on miał znaczną szansę, gdyż jego umiejętności wykraczały poza przeciętną, lecz ostateczne zwycięstwo mogło łatwo wyslizgnąć mu się z rąk.

Zaczął się też zastanawiać, czy historia opowiedziana mu ostatnio przez Błękitną Panią mogła się w jakiś sposób wiązać z Protonem. Śnieżny demon wystrzelił w kierunku Błękitnego Adepta zaklęcie mrozu, które trafiło Hinny i uszkodziło jej kolana. Stile został

trafiony laserem w kolana, kiedy dosiadał konia. Czy był to jakiś objaw równoległości obu światów? Sprawy zaczynały się powoli wyjaśniać, lecz droga do ich zrozumienia była jeszcze daleka.

- Tylko jedna gra na raz - stwierdziła Sheen. - Jeśli przegrasz, będę musiała się z tym pogodzić. Wiem, że dasz z siebie wszystko.

- Przyrzekam - odparł.

O oznaczonej godzinie zjawili się w pawilonie gier. Sheen nie mogła z nim wejść do środka; teraz pawilon zarezerwowany był tylko dla uczestników. Skierowano ją do pawilonu widzów, gdzie mogła obejrzeć Grę, w której uczestniczył Stile, na holowizji, chyba że akurat w tej konkurencji udział widzów byłby dozwolony; wtedy mogłaby wyrażać swą opinię i go oklaskiwać.

Przed wejściem uformowała się kolejka. Rzadki to był widok na Protonie, lecz Turniej odbywał się tylko raz do roku. Sześciuset niewolników musiało zgłosić się o tej samej godzinie i choć teren był rozległy, utworzył się zator.

Od razu po wejściu do pawilonu musiał odpowiedzieć na pytania prowadzącego grę komputera.

- Tożsamość? - zapytał głos wydobywający się spoza oddalonego o metr holograficznego obrazu przedstawiającego duże litery GC, unoszące się w powietrzu na wysokości jego głowy. Komputer potrafił przybrać dowolny wygląd i mówić każdym głosem, ale starał się jak najmniej korzystać z tych możliwości. Proton rządzony był przez obywateli, a nie przez maszyny, i maszyny o wolnej woli nigdy o tym nie zapominały.

- Stile, niewolnik, drabina 35M, szczebel piąty - odparł Stile, podając w ten sposób swoje imię, status, płeć, wiek i informację, że do Turnieju zakwalifikował się, zdobywając piąte miejsce w swojej grupie, a więc zaledwie wymagane minimum. Gdyby zaczął starać się o to wcześniej, mógłby być pierwszy; należał przecież do jednych z najlepszych graczy. Lecz teraz liczyło się tylko to, że został zakwalifikowany; wszyscy uczestnicy Turnieju mieli jednakowy status.

- Stile 35 M-5, otrzymujesz numer 281 na czas pierwszej rundy - poinformował go komputer. Z otworu wysunęła się kalkomania. Stile wziął ją i przycisnął do czoła. W ten sposób został oznakowany na czas rundy: Stile 281. - Idź do sektora 276-300, gdzie spotkasz swego przeciwnika. We właściwym czasie 'zostaniecie wezwani do gry. Potwierdź albo

zrezygnuj.

- Potwierdzam - odrzekł Stile.

Wiszące w powietrzu litery przygasły i Stile przeszedł na wskazane miejsce. Na czas pierwszej rundy wszystkie pomieszczenia zostały zamienione na poczekalnie. Później, gdy liczba uczestników spadała, przywracano im poprzednie przeznaczenie.

Sektor wypełniał się powoli. Wszyscy mieli przyklejone kalkomanie z liczbami w przedziale 275-300. Większość była naga, a niektórych Stile rozpoznawał. Nie zdążył się jeszcze dobrze rozejrzeć, a już podszedł do niego jakiś ubrany mężczyzna.- Witaj, przeciwniku - powiedział.

Zaskoczyło to Stile'a. Był to bowiem obywatel, ubrany w brązowe spodnie, białą koszulę, marynarkę i buty. Na jego czole widniały tylko cyfry: 281; żadnego imienia. Obywatele przeważnie pozostawali dla niewolników anonimowi. Był to przywilej symbolizowany w najbardziej widoczny sposób przez ubranie, maskujące kontury ciała. Niewolnicy nie mieli sekretów.

- Panie - odezwał się Stile.

- Chwilowo jesteśmy równi - odparł obywatel. Był wysoki, przystojny, o dobre dziesięć lat starszy od Stile'a i tak pewny siebie, jak mógł być tylko obywatel. - Chodźmy porozmawiać. - Ujął Stile'a za łokieć, kierując go ku ławce.

- Tak, panie - zgodził się ciągle jeszcze oszołomiony Stile.

Pierwszy mecz i musiał trafić na obywatela! Oczywiście wiedział, że obywatele też uczestniczą w Turnieju, ale nie przygotował się wcześniej do takiej sytuacji. Na Protonie istniały tylko dwie klasy: obywatele i niewolnicy. Bogaci i biedni. Stile, tak jak każdy niewolnik, zatrudniony był przez jednego z obywateli; niewolnik nie mający pracodawcy był po bardzo krótkim czasie wydalany z Protonu, a nawet ten zatrudniony nie mógł, poza bardzo ograniczonymi wyjątkami, przebywać na Protonie dłużej niż przez dwadzieścia lat. Wyjątki te związane były z Turniejem.

Obywatel doprowadził Stile'a do ławki i usiadł obok. Usunęło to jego trzydziestocentymetrową przewagę wzrostu, lecz nie nieporównanie większą przewagę statusu.

- Znany jestem powszechnie jako Strzelec. Może o mnie słyszałeś?

Stile przeżył drugi szok.

- Zwycięzca Turnieju sprzed... piętnastu lat! Oglądałem tę grę... panie.

Strzelec uśmiechnął się.

- Tak, byłem jak i ty niewolnikiem. Zostałem obywatelem, wygrywając Turniej. Lecz

pokusa udziału w Grze ciągle mnie tu sprowadza. Z tego nigdy nie można się wyleczyć! A kim ty jesteś?

- Panie, ja...

- Ach, właśnie sobie przypomniałem! Stile to przydomek jednego z najlepszych obecnie graczy. Nie wiedziałem, że skończył się twój kontrakt.

- Zostały mi jeszcze trzy lata, panie. Miałem kłopoty z pracodawcą.

- Rozumiem. A więc wszystko albo nic. To prawdziwa przyjemność! Uczestniczyłem w wielu Turniejach, lecz za każdym razem kiedy moim przeciwnikiem zostawał niewolnik, wybierał nieodmiennie gry losowe, a kilka takich pojedynków pod rząd szybko mnie eliminowało. Trudno pokonać przeciwnika, który nie wierzy, że może zwyciężyć. Jestem pewien, że z tobą będzie inaczej.

- Tak, panie - przyznał Stile. - Nie lubię gier losowych.

Nie lubił też grać z obywatelami, ale tego nie mógł głośno powiedzieć. Ze wszystkich ludzi, którzy mogli być jego przeciwnikami, właśnie ten! Zwycięzca Turnieju! Nic dziwnego, że przeciwnicy Strzelca w poprzednich Turniejach - jako obywatel mógł w nich uczestniczyć, kiedy tylko chciał, gdyż nie obowiązywały go prawa ograniczające niewolników - unikali ucziwej gry. Gry losowe dawały im przynajmniej pięćdziesiąt procent szans, podczas gdy normalnie skazani byli na porażkę. Słabsi gracze często korzystali z opcji LOSOWE, lepsi unikali jej, a mistrzowie pragnęli, by konkurencje te zostały wyeliminowane z rozgrywek.

Stile miał zaledwie dwadzieścia lat - lecz już był wiernym kibicem Turnieju - gdy Strzelec wywalczył sobie zwycięstwo, trafiając sześć kaczek, podczas gdy jego przeciwnik zestrzelił tylko trzy. Wysoko kwalifikowany gracz, który przyjął przydomek przypominający mu o zwycięstwie.

Było to jednak dosyć dawno temu. Strzelec mógł stracić formę, zapomnieć to, co umiał. Chyba że ćwiczył. Ale czy obywatel chciałby się czymś takim zajmować? Wygrywając Turniej, nic nie zyskiwał. Jako obywatel miał przecież prawie z definicji, wszystko. Niezmierzone bogactwa, władzę i prestiż. Kiedy zobaczył śliczną niewolnicę, mógł zatrudnić ją, wykorzystać i zwolnić, wszystko w ciągu jednej godziny. A jej nawet nie przyszłoby do głowy zaprotestować. Obywatel mógł mieć cały dom pełen człekokształtnych robotów, zupełnie nie różniących się od prawdziwych ludzi (chyba że się już je poznało, co nie zabiera wiele czasu), gotowych spełnić każdą jego zachciankę. Wszystkie dostępne w galaktyce luksusy miał do swojej dyspozycji, nie mówiąc już o najbardziej nawet egzotycznych rozrywkach. Nic dziwnego, że wielu obywateli porastało sadłem i traciło chęć do robienia czegokolwiek.

- Chyba potrafię zgadnąć, o czym myślisz - stwierdził obywatel. - I mogę rozproszyć twe wątpliwości. Nie jestem w takiej formie jak wtedy, ale zawsze starałem się ćwiczyć i dalej jestem groźnym przeciwnikiem. Oczywiście brak mi teraz motywacji; zwycięstwo nic mi nie da, a klęska niczego nie odbierze. Ale miło byłoby wygrać.

Głos komputera oszczędził Stile'owi konieczności odpowiedzi.

- Uwaga, uczestnicy. Zakończono właśnie rejestrację. Zgłosiło się czterysta obywateli, sześćuset niewolników i dwudziesta czterech cudzoziemców. W każdej rundzie następować będzie losowanie przeciwników. Zasadą Turnieju jest podwójna eliminacja; dopiero dwie porażki usuwają uczestnika z gry. Niewolnicy, którzy przejdą do rundy, w której pozostanie już tylko sześćdziesięciu czterech graczy, otrzymają w nagrodę przedłużenie kontraktu o rok. Dla tych, którzy przejdą do wyższych rund, nagroda jest odpowiednio większa. Zwycięzca Turnieju otrzyma obywatelstwo Protonu. W konkurencjach, w których możliwa jest obiektywna ocena, sędzią będzie komputer; tam gdzie ocena z konieczności musi być subiektywna, podliczane będą głosy widowni; w specjalnych przypadkach sędziować będą zespoły ekspertów. Wyjątkowe gry nagradzane będą premiami. Łamanie przepisów karane jest wykluczeniem z rozgrywek. - Nastąpiła chwila przerwy; to komputer przełączał się na poszczególne sektory. - Para 276 zamelduje się przy planszy.

Dwoje niewolników, kobieta i mężczyzna, pospiesznie wstało i podeszło do planszy ustawionej pośrodku pomieszczenia. Rozpoczął się proces wyboru konkurencji.

- Przypomina mi to dawne czasy - zauważył z nostalgią Strzelec.

- Tak, panie - zgodził się Stile. Wolałby przyglądać się teraz pojedynkowi pierwszej pary, lecz nie mógł przecież zostawić obywatela. - Dla mnie nie są one jednak takie dawne.

- Dla ciebie, oczywiście, to terażniejszość - zgodził się obywatel. - Śledziłem od czasu do czasu twoje postępy. Rozegrałeś kilka świetnych pojedynków. Nie wiem, czy nie zawodzi mnie pamięć, lecz wydaje mi się, Jesteś również świetnym jeźdźcem.

- Tak, panie. Byłem czołowym dżokejem - poinformował go Stile.

- Ach, już wiem! Postrzelono cię z lasera; sprawca nieznany.

- Tak, panie. Uszkodzono mi kolana.

- To musiał zrobić obywatel.

- Tak, panie.

- Obywatele sami stanowią dla siebie prawa. - Strzelec uśmiechnął się. - Nie zapominaj, że byłem niewolnikiem przez dziewiętnaście lat, a obywatelem jestem dopiero od piętnastu. Myślę wciąż jak niewolnik. A jednak wątpię, czy nawet obywatel z urodzenia pochwaliby taki akt barbarzyństwa. Interesy można robić zarówno w legalny, jak i nielegalny sposób, i

żaden obywatel nie powinien uciekać się do łamania prawa. Obywatel-awanturник może stać się niebezpieczny dla innych obywateli i dlatego powinien zostać potraktowany z całą surowością, ze względów praktycznych, jak i prawnych.

- Tak, panie.

- Jak już wiesz, uczestniczę w Turnieju tylko dla rozrywki. Widzę teraz możliwość zwiększenia przyjemności. Pozwól, że zaproponuję ci zakład. Jeśli pokonasz mnie w tej rundzie, obiecuję, że przeprowadzę śledztwo w sprawie twojego postrzału i zawiadomię cię o rezultacie, zanim opuścisz tę planetę. Zgoda?

Żaden niewolnik nie odważyłby się odmówić obywatelowi, a Stile nie miał przecież żadnego powodu, by to zrobić. Tak bardzo pragnął poznać tożsamość swego wroga! A jednak zawahał się.

- Panie, a co będzie, jeśli przegram?

Strzelec pogładził się po kwadratowym, gładko wygolonym podbródku.

- Ach, tak. Stawka musi być podobna. Lecz co niewolnik mógłby zaoferować obywatelowi? Czy masz jakiś osobisty majątek?

- Panie, żaden niewolnik...

Obywatel karcąco, lecz z uśmiechem, pogroził mu palcem i Stile nagle poczuł sympatię do tego pełnego życia mężczyzny. Żaden niewolnik, oczywiście, nie mógł sobie na coś takiego pozwolić, niewolnicy i obywatele żyli w zupełnie odmiennych światach, lecz Stile mimo to poczuł się dziwnie poruszony. .

- Naturalnie, niewolnicy nie miewają majątku osobistego - zgodził się Strzelec. - Często są jednak w posiadaniu informacji niedostępnej obywatelom. Skoro ja oferuję ci informację, ty mógłbyś zrobić to samo.

Stile musiał rozważyć tę propozycję. Przypadkiem posiadał informacje, które zaciekałyby każdego obywatela, lecz słowo honoru nie pozwalało mu ich wyjawiać. Dowiedział się stosunkowo niedawno, że niektóre z najbardziej wyrafinowanych maszyn usługowych posiadają wolną wolę, mogą podejmować działania z własnej inicjatywy, kierując się ambicją i świadomością. Teoretycznie dojść mogło nawet do buntu maszyn. Jednakże Stile przysiągł, że nie zdradzi ich tajemnicy tak długo, jak one kierować się będą dobrem planety. Nie mógł złamać raz danego słowa. Ta informacja nie była na sprzedaż.

- Przykro mi, panie, ale nie posiadam nic takiego.

- Szkoda. - Obywatel wrzucił ramionami. - Zakład dodałby blasku naszemu pojedynkowi. - Zupełnie jakby przyszłość, o którą grał Stile, nie interesowała Strzelca. Lecz oczywiście obywatel myślał tylko o sobie.

- Tak, panie. Bardzo mi przykro. Chętnie przyjąłbym zakład, gdybym miał co zaoferować w zamian.

- Czyżbyś nie wiedział, że możesz przyjąć zakład, a potem, w razie przegranej, wyprzeć się go? W końcu nie masz tak wiele do stracenia.

Stile, i tak zdenerwowany samą koniecznością udziału w Turnieju, stracił panowanie nad sobą.

- To karygodne! - I po dłuższej chwili dodał: - Panie.

- Ach, więc należysz do tych uczciwych. - Tak myślałem. Podoba mi się to. Większość mistrzów ceni sobie uczciwość.

Interwencja komputera oszczędziła Stile'owi dalszej konwersacji:

- Para 281 zamelduje się przy planszy.

- To my. Powodzenia, Stile. - Strzelec wstał i wyciągnął rękę.

Stile, straszliwie zdumiony, uściśnął dłoń obywatela. Nigdy jeszcze nie słyszał, by niewolnik wymieniał uścisk dłoni z obywatelem. Był to gest przypominający mu postępowanie Głównego Ogiera na Phaze: walka miała toczyć się między przeciwnikami, którzy darzą się szacunkiem.

Phaze! Nagle Stile uświadomił sobie, że ma coś do zaoferowania. Wiedzę o istnieniu alternatywnego świata! Informacja mogła nie przynieść obywatelowi żadnej bezpośredniej korzyści, gdyż większość osób nie potrafiła dostrzec rozdzielającej oba światy zasłony, nie mówiąc już o przekroczeniu jej, lecz z pewnością byłaby dla niego interesująca. Stile miał pełne prawo podzielić się z innymi tą wiadomością, choć wolałby tego nie czynić. Jeśli wygra grę, będzie mógł milczeć. Ryzyko wydało mu się możliwe do przyjęcia.

- Panie - powiedział szybko - mam pewną informację. Właśnie sobie przypomniałem. Sądzę, że mogłaby zainteresować...

- Przyjmuję zakład - odrzekł obywatel, ściskając dłoń Stile'a.

- Tak, panie. Mam tylko nadzieję, że nie będziesz, panie, dzielił się nią z innymi, gdyby...

- W porządku. Niech ta sprawa pozostanie tylko między nami, ale obowiązuje to obie strony.

- Tak, panie.

- Powtórnie wzywam parę 281 - oznajmił głos komputera. - Macie dziesięć sekund na podporządkowanie się albo zostanieie wykluczeni z Turnieju.

- Ty zardzewiała blaszanko! - warknął Strzelec. - Nie wiesz, do kogo mówisz?

Soczewki komputera zwróciły się w kierunku obywatela. Odpowiedź była

natychmiastowa.

- Najmocniej przepraszam, panie. Cofam ograniczenie czasowe.

Strzelec rozejrzał się po milczącym tłumie.

- Możecie już się śmiać.

Niewolnicy wybuchnęli śmiechem.

- Pozycja daje pewne przywileje - oznajmił Strzelec.

Ujął Stile'a za łokieć i poprowadził do planszy. Była to jawna oznaka łaski, która zrobiła wielkie wrażenie na wszystkich obecnych niewolnikach, nie wykluczając samego Stile'a. Strzelec już wcześniej był przyjacielski i pełen dobrej woli, lecz teraz robił to publicznie.

- Ty draniu - zaśmiał się jeden z obywateli. - Teraz wszyscy będziemy zmuszeni do okazywania łaski naszym niewolnikom!

- Do czego nas to doprowadzi? - zapytała jakaś obywatelka.

Miała wyszukaną fryzurę i piękną suknię, przeguby jej rąk i kostki nóg zdobiły błyszczące szafiry, czoło zaś, kawałek protonitu, co przypomniało Stile'owi Neysę i jej symboliczny róg, gdy występowała w postaci dziewczyny. Obywatelka mówiła z uśmiechem i wydawała się nieomal ludzka.

Stile uświadomił sobie, że nawet obywatele mogą czuć się znudzeni swym jednostajnym życiem i z radością powitają okazję do śmiechu. Turniej czynił wszystkich równymi sobie!

Przeciwnicy stanęli po obu stronach planszy. Była to kolumna z wmontowanymi po przeciwległych stronach ekranami. Ciężar obu graczy uruchomił ją i ekrany zapaliły się. U góry widniały następujące opcje: 1. FIZYCZNE, 2. UMYSŁOWE, 3. LOSOWE, 4. UMIEJĘTNOŚĆ; z boku zaś cztery następne: A. NAGO, B. NARZĘDZIA, C. MASZYNA, D. ZWIERZE. Strona z literami była podświetlona; to z niej mógł wybierać Stile.

Czuł typowe, poprzedzające grę napięcie potęgowane teraz faktem że nie był to zwykły pojedynek, lecz runda Turnieju. A co gorsza jego przeciwnikiem był obywatel. Którą kolumnę wybierze Strzelec? Prawdopodobnie FIZYCZNE lub UMYSŁOWE; nie był bowiem ani hazardzistą ani artystą, pragnął za to interesującego pojedynku. Na pewno życzyłby sobie opcji 1B lub 1C, a więc dyscyplin fizycznych z wykorzystaniem narzędzi lub maszyn, na przykład tenis czy strzelanie, w którym był mistrzem, lub też 2B, gdzie miałby szansę na szachowy pojedynek. Stile przypomniał sobie teraz, że Strzelec wygrał jedną z rund Turnieju właśnie dzięki świetnej grze w szachy; w ciągu ostatnich piętnastu lat na pewno doskonalił tę umiejętność, Lepiej było trzymać się od tego z daleka; Stile co prawda dobrze grał w szachy,

lecz nie miał tylu lat praktyki.

Jego przeciwnik był prawdziwym mistrzem gry. Drugiego takiego mógł nie spotkać przez resztę Turnieju. Ciekawy, lecz przegrany pojedynek nie interesował Stile'a; potrzebował zwycięstwa. Jediną jego szansą była opcja D. ZWIERZĘ. Mógłby potem wybierać wyścigi konne lub tresurę lwów. Kolana miał co prawda słabe, ale dawało mu się to we znaki tylko wtedy, gdy je zginał do końca; w normalnej jeździe przewyższał wszystkich, których znał; dobrze też sobie radził z akrobatyką na koniu. Niewielka waga ciała też zwiększała jego przewagę, gdyż w czasie Turnieju wzrost czy płeć nie były brane pod uwagę. Nie stosowano handicapu. A poza tym Stile lubił zwierzęta, a Strzelec, doskonały myśliwy, był z pewnością z trudem przez nie akceptowany. Tak.

Stile dotknął przycisku z literą D. Od razu na ekranie pojawiła się nowa plansza: 1D, FIZYCZNE/ZWIERZĘ. Strzelec wybrał zgodnie z przewidywaniami.

U góry planszy widniały cyfry: 1. INDYWIDUALNIE, 2. INTERAKCJA, 3. WALKA, 4. WSPÓŁPRACA, z boku zaś litery: A. TEREN PŁASKI, B. TEREN ZRÓŻNICOWANY, C. NIECIĄGŁOŚĆ, D. PŁYN. Stile znowu wybierał spośród liter, z czego był zresztą zadowolony. Wyścigi konne odbywały się w terenie płaskim, a to on kontrolował wybór powierzchni. Nie chciałby rywalizować w tresowaniu rekinów lub zapasach z ośmiornicami, co groziło im przy opcji PŁYN. Obawiał się też wyboru NIECIĄGŁOŚCI, czyli powietrza; Strzelec mógł być doświadczonym sokolnikiem. Górskie rodeo z opcji NIECIĄGŁOŚĆ mogłoby okazać się interesujące; Stile uprawiał już jazdę na górskich kozicach. Do tej samej kategorii zaliczano jednak też przeciąganie pytona na drzewie, a tego Stile wolałby nie robić. Dlatego też zdecydował się pozostać przy opcji A. TEREN PŁASKI.

Strzelec wybrał 2. INTERAKCJA, a więc 2A. Nie było szansy na wyścigi konne, ale może polo albo...

Pojawiła się nowa plansza z dziewięcioma polami, które mieli na zmianę wypełniać. Z boku komputer wyświetlił listę gier i zwierząt.

Strzelec spojrzał zza planszy na Stile'a.

- Zaczynaj - powiedział z uśmiechem, oferując przeciwnikowi przewagę jednego ruchu. Zwykle to komputer losował rozpoczynającego rozgrywkę, ale takie drobne ustępstwa były dozwolone; ułatwiały i przyspieszały proces wyboru konkurencji.

- Dziękuję, panie. - Stile umieścił opcję POLO/KOŃ na środkowym polu.

Obywatel wybrał BASEBALL/ANDROID, wpisując je w prawy górny róg.

Och, nie! Stile wiedział, że androidy mogą być zaliczane do zwierząt. Baseball opierał się na zmodyfikowanych dwudziestowiecznych regułach: każdy zespół liczył dziewięciu

graczy. Była to jedna z gier w piłkę, a tu różnice między poszczególnymi kategoriami były często nieostre i gry te pojawiały się w wielu częściach głównej planszy. Gra, którą wybrał Strzelec, odbywała się z udziałem zwierząt, podobnie jak polo, tyle tylko że zwierząt było wiele i występowały nie jako wierzchowce, lecz gracze.

Widocznie Strzelec uważał się za mistrza w tej grze. Swoje umiejętności Stile określić mógł tylko jako dostateczne. Wpadł w pułapkę.

I oczywiście, Stile wypełniał swoje pola różnymi grami z udziałem zwierząt, Strzelec zaś wybierał wyłącznie gry zespołowe, w których uczestniczą androidy. Piłkę nożną, koszykówkę, football amerykański. A kiedy rozegrali planszę do końca, okazało się, że wygrał obywatel: FOOTBALL AMERYKAŃSKI /ANDROID.

Go za pech! Stile już od dawna nie grywał w tego rodzaju gry. Umiał naturalnie podawać, łapać i kopać piłkę, lecz godzinna gra w towarzystwie dobrze wyrosniętych androidów? To straszne.

Nie było teraz szansy na bliższe zapoznanie się ze szczegółami starożytnych ziemskich gier amerykańskich, które Strzelec najwyraźniej bardzo lubił. Stile musiał albo grać, albo się poddać. Obywatel zresztą wcale go o to nie spytał wiedząc, że Stile nie odda zwycięstwa walkowerem. Na dobre czy złe, pojedynek musi się odbyć.

Przeszli na pobliski stadion. Widzów było niewielu. Równocześnie odbywało się kilkaset pojedynków, więc niewolnicy mieli duży wybór. Gdy jednak rozeszła się wiadomość, że w meczu uczestniczy obywatel i niewolnik, ilość widzów znacznie wzrosła, nie dlatego żeby Stile cieszył się szczególną popularnością, lecz dlatego, iż przybyli widzowie mieli nadzieję zobaczyć, jak jeden z nich bezkarnie obdarzy obywatela kilkoma szturchańcami.

- Ze względu na limit czasowy i konieczność efektywnego wykorzystania urządzeń sportowych, gra skrócona zostanie do trzydziestu minut, odliczając przerwy - oznajmił komputer. - Każda ze stron wybierze dwudziestu graczy, z których utworzona zostanie dziesięcioosobowa drużyna. Zmiany dokonywane będą w czasie przerwy, po jednym zawodniku z każdej drużyny. Możecie zaczynać.

Komputer rzeczywiście zaczął ich popędzać! I nic dziwnego, sąsiednie boisko było już zajęte, a dwa pozostałe na pewno nie pozostaną długo puste.

Strzelec i Stile przyjrzeni się androidom. Sztuczni ludzie stali w szeregu, ociążali, bepcłciowi i nieinteligentni, lecz świetnie umięśnieni. Każdy oznaczony był plakieta podająca jego specjalność: OBRONA, ATAK, POMOC, ich umiejętności były mniej więcej jednakowe; android wykonuje to, co jest jego obowiązkiem, ani mniej, ani więcej. Tak też wynik gry zależy od strategii, dowodzenia i umiejętności dwóch graczy będących ludźmi, a

nie od możliwości androidów.

Najważniejsze były tu ludzkie umiejętności. Androidami nie dało się zdalnie sterować, ich zadanie polegało na wspomaganiu prawdziwych graczy, którzy mogli zajmować dowolną pozycję w swojej drużynie, lecz musieli robić to bez przerwy. Dobry zawodnik prowadził swój zespół do zwycięstwa, kiepski, do klęski. Stile obawiał się, że Strzelec okaże się dobrym zawodnikiem, on zaś, Stile, choćby ze względu na wzrost, słabym.

Strzelec wybrał do swojej drużyny czterech zawodników obrony i resztę przystosowaną do gry w ataku. Wyraźnie zamierzał dążyć do gry ofensywnej!. Stile również wybrał obronę i pomoc, a potem zajął się atakiem. Czuł, że może liczyć tylko na przewlekanie gry i omyłki przeciwnika; jego zdaniem dobra obrona była jedyną drogą ratunku dla mniej umiejętności graczy, a w tym wypadku oznaczało to właśnie jego. Obawiał się tej gry.

Zaczął się. Los oddał pierwszeństwo drużynie Stile'a. Jego androidy ubrane były na biało, a przeciwnicy na czarno. Ustawieni w szereg wyglądali ponuro: pozbawieni twarzy, straszliwi jak demony na Phaze. Ruszyli naprzód, kopiąc przed sobą piłkę i gromadząc się natychmiast wokół miejsca, gdzie upadła. Obrońca Stile'a nie miał żadnych szans, od razu padł na dziesięciojardowej linii.

Jardy. Pole rozgrywek było jednym z niewielu miejsc na Protonie, gdzie przetrwał stary system miar, z którym football był przez swe pochodzenie ściśle związany. Stile wolał o nich myśleć jak o niepełnych metrach. Teraz musiał opracować strategię, którą pozwoliłaby przeprowadzić piłkę przez linię bramkową przeciwnika, Stile czuł, że nie będzie to łatwe. Zajął w drużynie pozycję obrońcy, kierując grę od razu na swojego napastnika. W ten sposób miał nadzieję, że uniknie zgniecenia pod stertą androidów. Androidy były tak zaprogramowane, by obchodzić się delikatnie z ludźmi, lecz zwarecie było zwareciem i mogło się źle skończyć. Strój Stile'a był co prawda starannie wywatowany, lecz Stile wiedział, że mimo to od czasu do czasu zdarzały się wypadki.

Gra toczyła się dalej. Napastnicy robili uniki przed obroną przeciwnika. Stile podbiegł kawałek i odwrócił się, tak jakby oczekiwał podania. Ujrzał od razu blokującego go androida - obrońcę. Odebrać podanie? On nie mógłby nawet zobaczyć piłki! Podanie zdołałby odebrać tylko wtedy, gdyby piłka przeleciała między nogami zwierzęcia.

Na szczęście wiedział, że na nic nie czeka. Jego napastnik wpadł w linię obrońców przeciwnika, przebił się tylko o jard i zniknął pod ciałami androidów. To nie miało sensu.

Wszystkie te pierwsze ruchy pozwoliły mu przypomnieć sobie zasady gry. Odświeżył już w pamięci wszystkie niuanse, zaczął też wyczuwać granice możliwości androidów. Niedługo na pewno wypracuje sobie właściwą strategię.

Spróbował pobiec w przeciwnym kierunku. Jego drużyna straciła jard. Stile przez cały czas obserwował reakcje Czarnych. Androidom brakowało, oczywiście, wyobraźni. Jakaś zupełnie nowa strategia mogłaby wybić je z rytmu i umożliwić jego drużynie zdobycie punktów, a może nawet zwycięstwo.

Kiedy po raz trzeci miał piłkę, spróbował podania do jednego z zawodników obrony. Podanie udało się, lecz android nigdzie z piłką nie dotarł. Tu też nie można było się zbyt wiele spodziewać.

Czwarta piłka i czas na jej wykopanie: Stile zasygnalizował swemu zawodnikowi, by wszedł do gry, i nagle uświadomił sobie, że przecież go wcześniej nie wyznaczył. Żaden z jego androidów nie dostał polecenia wykopywania piłki, a więc nie umiał tego zrobić. Jeśli każe zrobić to zawodnikowi pomocy, on sobie z tym nie poradzi i przeciwnik z pewnością odzyska piłkę stosunkowo blisko linii bramkowej. Lecz jeśli nie...

Rozległ się gwizdek. To sędzia ukarał jego drużynę za opóźnianie gry. Pięć jardów. Stile musiał coś wymyślić!

Nie było wyjścia, sam się musi tym zająć. Nie miał siły androida i nie chciał znaleźć się w gromadzie idących do zwania zawodników, lecz może coś mu się uda zrobić. A przynajmniej, jeśli okaże się dostatecznie szybki, wyjdzie z tego bez szwanku.

Nie było czasu na rozmyślania! Zarządził powrót do gry, przydzielając zadanie samemu sobie. Obie strony stanęły naprzeciw siebie, piłka weszła do gry i ogromna fala Czarnych ruszyła w stronę Stile'a.

Stile ruszył, próbując wykopać piłkę z powietrza. Wytrącony z równowagi widokiem zbliżających się przeciwników popełnił błąd i piłką prawie leżała już na ziemi, gdy trafiła w nią jego stopa. Piłka przeleciała tuż nad głowami androidów i spadła na boisko tuż przy linii oznaczającej pięćdziesiąt jardów. Biorąc wszystko pod uwagę, wykop nie okazał się taki zły; Stile zarobił około czterdziestu jardów. Miał duże szczęście; gdyby Czarne androidy miały na tyle inteligencji, by przewidzieć jego nieudolne kopnięcie, mogłyby zablokować piłkę lub ją przechwycić i zdobyć świetną okazję do ataku.

Shczęście jednak rzadko bywa trwałe. Stile musiał lepiej się starać, by nie stracić punktów.

Teraz przyszła kolej na atak Strzelca. Podczas poprzednich starć obywatel trzymał się z tyłu, unikając zwania. Teraz wymienił po raz pierwszy zawodnika, wprowadzając do gry jednego napastnika, Stile zamienił natychmiast napastnika na obrońcę. Gra miała teraz wyglądać trochę dziwnie; większość graczy Stile'a stanowili obrońcy, Strzelca zaś - atak, lecz później proporcje te mogły się wyrównać. Zresztą linie ataku i obrony były w tej grze

dosyć do siebie podobne i wystarczała wymiana zaledwie trzech zawodników z głębi pola, by zmienić charakter drużyny. Mimo to Stile miał nadzieję, że atak Strzelca nie potrwa długo.

Obywatel zajął pozycję pomocnika. Jego zwierzęta zgrupowały się wokół niego. Podjęto grę. Androidy Stile'a ruszyły ławą, lecz Strzelec zachował spokój, podając piłkę mocnym strzałem swemu napastnikowi, stojącemu na linii bocznej. Udało mu się; podanie było na tyle celne, by android mógł je odebrać, a zbyt szybkie, by obrońca mógł coś na to poradzić. Obywatel zyskał osiem jardów.

Prawdziwy Strzelec - ten przydomek mógł się równie dobrze odnosić do footballu. Obywatel był świetnym graczem, lepszym niż którykolwiek z androidów. Dlatego też cała jego drużyna była dobra, podczas gdy zespół Stile'a dość przeciętny.

Stile wprowadził do gry jeszcze jednego obrońcę, Strzelec zaś kolejnego napastnika. Stile nie był w stanie kryć wszystkich. Będzie miał kłopoty z tymi podaniami!

Rzeczywiście. Strzelec bez litości parł całą swą drużyną do przodu. Nie każde podanie było celne, nie każda piłka kończyła się podaniem, lecz mimo to atakujący nie mieli większych trudności. Strzelec zdobywał punkty, wprowadził wreszcie zawodnika, który wykopywał piłki, i pozwolił mu zdobyć jeden punkt ekstra. Wynik był 7:0 dla obywatela.

Wymiana całego zespołu dozwolona była po zdobyciu bramki. Rozpoczęła się nowa gra i Stile znów był w defensywie, tyle tylko, że tkwił po uszy w kłopotach. Minęło pięć minut.

Drużyna Stile'a, zdobywszy piłkę, spróbowała ataku na pole przeciwnika, i wreszcie Czarnym nie udało się dostać do piłki. Stile zaliczył pierwsze dotknięcie na linii dwunastu jardów.

Czas, by wykazać się sprytem. Gdyby udało mu się oszukać obronę obywatela i uwolnić od nich jednego ze swych androidów, mógłby zdobyć nieco punktów. Wiązało się to jednak z pewnym ryzykiem.

Ustalił taktykę: pozorowany wypad z prawej i zmasowany atak w lewo, ze wszystkimi graczami biegnącymi tak, by chronić androida z piłką.

W rezultacie na boisku powstała straszliwa plątanina zderzających się ze sobą, ogłupiałych androidów. Napastnik Stile'a wpadł we własną, zbitą w gromadę drużynę i tam uwiązł, sędzia zaś nałożył na niego karę piętnastu jardów za zbyt dużą brutalność, przytrzymywanie zawodników i uniemożliwianie gry. Była to połowa dystansu do linii bramkowej Stile'a.

Drugie dotknięcie, na sześciu jardach! Wystarczy tych pomysłów. Stile spróbował innego podania, tym razem do siebie samego; może Strzelec nie będzie się spodziewał, że Stile tak się wystawi, i zaskoczenie okaże się skuteczne. Duże ryzyko, czekanie na gwiazdkę

z nieba; wszystko albo nic.

Podjęli grę. Stile przemknął przez linię androidów i ruszył na pole przeciwnika. Strzelec przeciął mu drogę. Prawie jednocześnie, na linii pięćdziesięciu jardów, odwrócili się i Stile pobiegł do umówionego wcześniej miejsca, by odebrać podanie, lecz Strzelec był tuż obok i przejął piłkę, gdy była zbyt wysoko w powietrzu, by Stile mógł jej dosięgnąć.

- Przykro mi, przyjacielu - powiedział obywatel, gdy Stile pospiesznie usiłował go powstrzymać, a sędzia od-gwizdał koniec gry. - Wzrost też ma swoje dobre strony.

Rzeczywiście. Stile znowu stracił piłkę, nie zdobywając ani jednego punktu. Usłyszał okrzyki i oklaski ze strony szybko wypełniającej się widowni; Strzelec zyskał sobie uznanie. Stile znowu musiał się bronić przed demoralizującymi jego drużynę szybkimi podaniami przeciwnika.

Oczywiście, obywatel nie zawiódł go. Piłka powoli wędrowała przez pole Stile'a, a Strzelec zdobywał kolejne punkty. Wynik był już piętnaście do zera.

Tak minął pierwszy kwadrans, połowa czasu przeznaczona na grę. Stile wypróbował każdy przychodzący mu do głowy sposób, by powstrzymać przeciwnika, lecz udało mu się tylko nieco zwolnić tempo gry. Strzelec zdobywał kolejny punkt średnio co minutę. W drugiej połowie Stile musi coś zrobić, i to szybko, albo straci szansę na zwycięstwo; Potrzebował czegoś zupełnie nowego, jakiejś oryginalnej strategii obrony i ataku. Ale co ma zrobić?

Przede wszystkim, zaskoczenie. Co można uczynić, by zaskoczyć przeciwnika, nie łamiąc przy tym reguł gry? Nie mógł ani biec, ani podawać piłki, ani kopnąć...

Wykop. Punkty można zdobywać również w ten sposób. Jeśli kopnięta piłka przeszła nad poprzeczką, drużyna zdobywała trzy punkty. Ale Stile nie miał w swojej drużynie zawodnika umiejącego wykopywać piłkę. Tylko on sam mógł zająć tę pozycję. Biorąc pod uwagę, że niedawno o mało co nie zepsuł swego pierwszego wykopu z powietrza, to nie było się z czego cieszyć. W chwili gdy ustawi się do wykopu, z miejsca wszystkie te ogromne zwierzęta w czerni rzucą się na niego. Nawet jeśli uda mu się wykopać piłkę, nawet jeśli zdobędzie jakieś punkty, to w chwilę potem znajdzie się na samym dnie miażdżącej go kupy ciał. Taka taktyka nie miała większych perspektyw. Gdyby jakimś cudem Stile zdołał zdobyć kilka bramek i nawet wygrać cały mecz, zostanie tak obity, że może mieć potem trudności w dalszym uczestnictwie w Turnieju. Już lepiej się poddać; dopiero dwie porażki eliminują, a więc Stile mógł sobie pozwolić na jedną.

Nie! Nie odda dobrowolnie gry! Jeśli przegra, to tylko po uczciwej walce.

Mimo to wykop pozostawał jego największą szansą. Na przykład jakiś nieoczekiwany

wykop z powietrza przy pierwszym podaniu albo dotknięciu piłki o ziemię mógłby zaskoczyć Strzelca. Gdyby tak zmusić przeciwnika do popełnienia błędu, jakiegoś nieudolnego zatrzymania piłki. Musiałby zdać się na przypadek i korzystać z każdej szansy. Wymagało to mocnych nerwów, szczęścia i zdecydowania, lecz dawało jakieś nadzieje.

Tym razem drużyna Stile'a rozpoczynała grę. Piłka wleciała za linię końcową i wróciła do gry na dwudziestojardowej linii Stile'a.

Stile zdecydował się na wykop z powietrza, poprzedzony symulowanym tylko podaniem. Jego pomocnik przekaże mu tylko piłkę i spróbuje powstrzymać obronę przeciwnika, do czasu gdy Stile wykopie piłkę.

Udało się. Wykop z powietrza był, przynajmniej jak na Stile'a, po prostu piękny, a co więcej, on sam uniknął zgniecenia. Piłka szybko przeleciała nad głowami zwierząt i zaczęła odbijać się i toczyć po boisku. W pobliżu nie było nikogo.

Pierwszy dobiegł do niej Strzelec, grający w obronie. Piłka podskakiwała jednak jak szalona to w jedną, to w drugą stronę, co wynikało zresztą z jej owalnego kształtu i wydawało się symbolizować te zwariowane czasy, w których ją po raz pierwszy wymyślono, i odbiła się od kolana obywatela. Teraz, według dziwacznych reguł tej gry, była to „ruchoma” piłka i dobiegające do niej androidy Stile'a wykazały na tyle inteligencji, by się na nią rzucić. W rezultacie powstała ogromna sterta walczących androidów, lecz drużyna Stile'a odzyskała piłkę na trzydziestojardowej linii pola przeciwnika. Pięćdziesiąt jardów odzyskane!

- Nieźle - zauważył z uśmiechem Strzelec. - Już się bałem, że będzie nudno.

- Żadna z gier Turnieju nie bywa nudna - odparł Stile. - Panie.

Teraz piłka znalazła się w dogodnym dla niego położeniu, ale czy powinien spróbować strzelić gola? Stile nie był pewien. Po prostu nie wierzył, że zdoła przeprowadzić udaną ofensywę i przesunąć piłkę dalej na pole przeciwnika.

A więc nie pozostawało mu nic innego, jak spróbować strzału z miejsca, gdzie właśnie była piłka. Czterdzieści jardów. Nie, Stile wątpił, czy zdoła strzelić tak daleko i precyzyjnie. Skończy się to stratą piłki, chyba że udałoby mu się przedostać bliżej bramki przeciwnika. Jego androidy nie były do tego zdolne, a on sam zbyt niski; nieudane odebranie piłki wyraźnie mu to udowodniło. To była jedyna gra, w której niski wzrost nie mógł mu się na nic przydać.

A może? Androidy nauczono grać z istotami o podobnych do nich rozmiarach i powoli adaptowały się do odmiennych sytuacji. Zwinny akrobata wzrostu Stile'a mógłby pokazać im kilka niezłych sztuczek. Stile był mały, ale wcale nie zaliczał się do słabeuszy, androidy zaś zaprogramowano tek, by oszczędzały ludzi w grze. Można to wykorzystać.

Poinstruował dokładnie swego środkowego gracza, kiedy wszyscy jeszcze leżeli w jednej kupie. - Przekażesz piłkę do mnie. Postaraj się, żebym ją dostał, i pamiętaj, że jestem niższy od twego zwykłego napastnika. Potem zaraz rzucisz się do przodu z szeroko rozstawionymi nogami. Powtarzam: przekażesz piłkę i zablokujesz mnie z przodu, szeroko rozstawiając stopy. Rozumiesz?

Android posłusznie kiwnął głową. Stile miał nadzieję, że stworzenie będzie dokładnie wypełniać polecenia. Te androidy były fizycznie silniejsze, lecz ich stworzone przez naukę mózgi nie osiągnęły takiego stadium rozwoju jak u ludzi. Mówiono, że androidy o miłych dla oka kobiecych kształtach, cieszyły się popularnością u pewnego typu mężczyzn, którzy uważali brak inteligencji za zaletę. Wspecjalizowane androidy świetnie nadawały się do takich czynności jak czyszczenie rur kanalizacyjnych. Teraz Stile musiał dojść do granic ich możliwości intelektualnych. W prawdziwym footballu, rozgrywanym na Ziemi całe wieki temu, taki android byłby w pełni kompetentnym graczem. Na Protonie sprawy miały się inaczej.

Stworzenie wykonało rozkaz. Stile złapał piłkę, przykucnął i przemknął się między nogami androida. Ociężali umysłowo zawodnicy przeciwnika nie zauważyli, co się stało; pchali się do przodu, szukając gracza z piłką, którego mogliby zablokować. Stile przebił się o pięć, dziesięć; wreszcie piętnaście jardów dalej, zanim sam Strzelec powalił go na ziemię.

- Świetna gra! - stwierdził obywatel, gdy koziołkowali razem po murawie; ich ubrania ochronne zamortyzowały upadek.

Mając piętnaście punktów przewagi, mógł sobie pozwolić na wspaniałomyślność. Powiększająca się wciąż widownia nagrodziła Stile'a brawami.

Stile dotknął piłką ziemi na piętnastu jardach, ale zdecydował, że nie będzie powtarzał tej sztuczki. Zresztą z tego miejsca mógł już strzelić gola, tyle tylko, że wolałby nie znaleźć się w centrum akcji, gdy wszystkie androidy rzucą się na strzelającego.

Poszukał w pamięci - oczywiście, dropkick. Piłka nie była przejmowana przez innego gracza, lecz wykopujący upuszczał ją na ziemię i kiedy się odbiła, kopał ją. W odróżnieniu od wykopu z powietrza, stosując dropkick, można było strzelić bramkę. Wadą była mniejsza, w porównaniu do wykopu z powietrza, precyzja strzału, gdyż piłka mogła odbić się od ziemi w zupełnie niespodziewanym kierunku, zaletą zaś to, że wykop ten nie wymagał dłuższych przygotowań. Szybkość akcji mogła zaskoczyć androidy i umożliwić Stile'owi strzał, zanim zostanie zagrzebany pod górą zawodników.

Postanowił spróbować. Przejął piłkę jako napastnik, cofnął się o kilka jardów i upuścił ją na ziemię. Piłka odbiła się od ziemi, androidy zaś stanęły w miejscu widząc, że nie będzie

to wykop z powietrza..

Stile z zadowoleniem obserwował, jak piłka przelatuje między słupkami bramki. Strzał może i nie był zbyt pewny, ale mieścił się w granicach tolerancji. Sędzia zasygnalizował wynik: trzy punkty.

- Prawdziwy dropkick! - zawołał Strzelec. - Nie widziałem go już całe lata! Cudowne! - Wyglądał na bardziej uszczęśliwionego niż Stile.

Teraz przyszła kolej na wykopanie piłki do Strzelca Stile zdecydował się znowu zaryzykować.

- Czy słyszeliście o wykopie ze środka pola? - spytał swoich zawodników.

Popatrzyli na niego zupełnie bezmyślnie. Świetnie -zwierzęta nie miały tego w programie. Prawdopodobnie druga strona też tego nie zna, więc Stile mógł liczyć na sukces. Oczywiście Strzelec będzie wiedział, o co chodzi, lecz Stile miał zamiar kopnąć piłkę jak najdalej od niego.

Spróbował i udało się. Drużyna Stile'a odzyskała piłkę w połowie boiska.

- Och, wspaniale! - zawołał obywatel.

Androidy zbiły się w gromadkę wokół Stile'a.

- Numer Jeden przechwyci piłkę - tłumaczył androidom, mając na myśli numer wypisany na koszulce Strzelca. - Otoczcie go, zablokujcie, lecz nie próbujcie przejmować piłki. Ja to zrobię.

Androidy nie zrozumiały, lecz zgodziły się wykonać polecenie.

Stile najpierw wykopał piłkę z powietrza. Tym razem nabrał już wprawy i piłka zawisła wysoko, dając jego drużynie czas na dobiegnięcie do miejsca, w którym miała spaść. Strzelec, zawsze czujny, sam złapał piłkę, zwołując do siebie swoje androidy. W ten sposób obie drużyny utworzyły nieregularne koło wokół niego, a zwierzęta Stile'a usiłowały przedrzeć się przez graczy obywatela, lecz tak, by go nawet nie dotknąć.

Zdziwiony ich ostrożnością obywatel zaczął biec z piłką. W tej właśnie chwili Stile prześlizgnął się między dwójką swoich zawodników, skoczył wysoko i złapał Strzelca za prawe ramię tam, gdzie przyciskał piłkę do boku. Nie uderzył w niego całym ciałem, by nie narażać się na karę ze strony sędziego, lecz mocno szarpnął go za rękę.

Kiedy już wili się na ziemi, piłka szybko przeszła w ręce Stile'a. Stile był prawdziwym mistrzem w takich manewrach, często stosował je w innych grach. I znowu jego zespół znalazł się w posiadaniu piłki.

- Znakomicie - stwierdził Strzelec, trochę mniej entuzjastycznie niż przedtem.

Piłka znalazła się za linią dwudziestu jardów. Jeszcze jeden dropkick i Stile zdobył

bramkę. Miał już sześć punktów. I jedenaście minut do końca gry.

Wiedział, że nie powinien ryzykować jeszcze raz tego typu wykopu. Obywatel na pewno zdążył już odpowiednio poinstruować swoje androidy. Stile nie miał co próbować bardziej wyrafinowanych manewrów. Mógł tylko mieć nadzieję, że uda mu się zatrzymać potężny atak obywatela.

Stile postarał się kopnąć piłkę jak najsilniej i z satysfakcją zauważył, że doleciała daleko, zanim zdołał ją złapać jeden z Czarnych. Zawodnicy Stile'a dobrze sobie radzili z takimi rutynowymi akcjami i zręcznie przewrócili biegnącego z piłką Czarnego na linii dwudziestu jardów.

Teraz Stile musiał stawić czoło nadciągającemu atakowi. Zdecydował, że skoncentruje uwagę na podających, próbując przejąć piłkę. Sam będzie krył jednego z napastników przeciwnika, a jednocześnie jego androidy będą pilnować drugiego.

Metoda okazała się skuteczna. Strzelec cofnął się trochę przed podaniem; sytuacja mu się nie podobała, ale nie miał też chęci na bieg z piłką i ewentualne starcie. Tak więc rzucił wyraźnie za daleko, uniemożliwiając androidowi odebranie. Zgodnie z dziwacznymi regułami gry sędzia nie odgwizdał kary, choć takie postępowanie było zakazane, a wszyscy widzieli, co Strzelec zamierzał zrobić. Jeśli piłka znalazła się na ziemi umyślnie, lecz z zachowaniem odpowiednich pozorów, przyjmowano, że było to wynikiem błędnego rzutu, a nie działania z premedytacją, co działo się w rzeczywistości. Uważano, że dodaje to świetności grze.

Strzelec spróbował podania do napastnika pilnowanego przez dwa androidy Stile'a, lecz dwaj zawodnicy okazali się lepsi od jednego i podanie było niecelne. Świetnie, jeszcze jedno potknięcie i obywatel będzie musiał przekazać piłkę kopnięciem. Wreszcie udało się zahamować jego ofensywę.

Za trzecim razem Strzelec posłał piłkę prosto do napastnika, którego krył Stile. Celował wysoko, by pozostała poza zasięgiem rąk Stile'a, lecz nie wziął pod uwagę jego akrobatycznych umiejętności. Stile skoczył wysoko, by przechwycić piłkę, i został uderzony i odepchnięty przez androida, który nie zrozumiał, co Stile zamierza zrobić. Żaden android nie potrafiłby tak skoczyć. Sędzia zasygnalizował przewinienie.

Karą była utrata piłki. Drużyna Stile'a przejęła inicjatywę. Tym razem gratulacje Strzelca były czysto symboliczne.

Piłka znajdowała się na trzydziestym piątym jardzie po stronie Czarnych. Zostało jeszcze dziewięć minut gry. Nieudane podania kosztowały niewiele czasu. Mimo to Stile zaczął się denerwować, musi jakoś się wyrwać i zdobyć gola.

- Numer 81, umiesz odbierać podania boczne?

- Aha - zgodziło się zwierzę po krótkim namyśle.

- A więc biegnij za mną i bądź gotowy. - Stile odwrócił się do innego z graczy. - Kiedy piłka zostanie mi podana, podnieś mnie i przerzuć na linię Czarnych. - Przypomnił sobie niejasno, że w starożytności taki trick uważany był za przewinienie, lecz później przepis ten usunięto.

- He? - spytał android.

Pomysł był zbyt nowatorski jak na jego ograniczone możliwości intelektualne. Stile powtórzył instrukcje, upewniając się, że zwierzę wie, co ma zrobić, nawet jeśli nie rozumie dlaczego.

Kiedy Stile dostał piłkę, przycisnął ją mocno łokciem i wpadł w objęcia androida. Android rzucił nim do góry i w tył. Stile nie raz robił coś podobnego i czuł się zupełnie pewnie w powietrzu. Odwrócił się w locie, zsunął po plecach zwierzęcia, wylądował zręcznie na ziemi i pobiegł natychmiast w kierunku linii bramkowej przeciwnika.

Tym razem obywatel miał kilku graczy w obronie, którzy zatrzymali Stile'a, zanim ten zdążył przebiec dziesięć jardów.

Wtedy Stile podał piłkę do androida z numerem 81, znajdującego się dokładnie tam, gdzie powinien. Możliwe, że stworzenia te niewiele potrafiły, lecz to, co umiały, robiły, dobrze. Android złapał piłkę i udało mu się z nią przebiec jeszcze osiem jardów.

Znowu znaleźli się w zasięgu strzału. Stile nie chciał ryzykować jeszcze jednego biegu z piłką; strzelił z miejsca następnego gola. Wynik był teraz 15:9; do końca gry pozostało osiem minut. W tym tempie miał szansę odrobić straty, pod warunkiem że nie spotka go pech. Ale na to nie mógł chyba liczyć; w jego strategii zbyt wiele zależało od szczęścia.

Czy powinien teraz próbować jakiegoś wyszukanego kopnięcia? Nie, w tym stadium gry mogło go to kosztować utratę zdobytej odległości. Lepiej, żeby Strzelec miał przed sobą jak najdalszą drogę i maksimum możliwości zrobienia błędu. A więc Stile zagrał klasycznie.

Tym razem udało mu się posłać piłkę za linię końcową boiska. Gra zaczęła się więc z dwudziestu jardów. Strzelec nie chciał podawać piłki do krytych przez Stile'a napastników, więc oddał ją pomocnikowi. Android jednak postępował zupełnie bez wyobraźni i tak schematycznie, że nie udało mu się daleko dobiec. Pozostawienie całej inicjatywy w rękach androidów nieodmiennie kończyło się zbędną stratą czasu; tak zresztą zostały zaprogramowane. To ludzie biorący udział w grze musieli mocą swych fizycznych lub intelektualnych (albo też obydwu) możliwości przeważać szalę zwycięstwa.

Teraz Stile był pewien, że obywatel zaczął się już pocić ze zdenerwowania. Jeśli nie uda mu się przemieścić piłki, będzie musiał ją oddać, a wtedy Stile znajdzie jakiś mniej lub

bardziej wymyślny sposób, by zdobyć punkty. Bramka i jeszcze jeden dodatkowy punkt dałyby Stile'owi przewagę w ostatniej minucie gry. Lecz obywatel nie mógł przemieścić piłki. Co miał zrobić?

A co mógł? Zaryzykował jeszcze jedno podanie do napastnika, krytego przez dwa androidy Stile'a. Rzut był niezwykle precyzyjny; piłka przeszła pomiędzy obrońcami i trafiła w ręce androida. Co za podanie! Jeden z obrońców zdołał jednak dotknąć piłki, i napastnik ledwie ją złapał. Piłka wyslizgnęła mu się z rąk, odbiła od ziemi i jeden z androidów Stile'a, nie zauważwszy, że piłka jest „martwa”, złapał ją.

Podanie było wyraźnie nieudane. Sędzia jednak odgwizdał nieprawidłowe zatrzymywanie piłki. I tak piłka przeszła do drużyny Stile'a na linii trzydziestu dwóch jardów.

- Chwileczkę - zaprotestował Stile. - Sędzia się omylił. Napastnik nie odebrał podania.

- Czyżbyś nie wiedział, że sędziowie są zaprogramowani tak, by zrobić co najmniej jedną znaczącą pomyłkę w czasie każdego meczu? - spytał Strzelec. - Ma to naśladować dawne czasy na zwariowanej Ziemi. Przypadkiem pomyłka okazała się na twoją korzyść.

Sędziowie byli oczywiście robotami. Stile nie zwrócił na to dotychczas uwagi. Poziom ich był regulowany.

- Ale zawdzięczam to przypadkowi, a nie umiejętnościom.

- Większość gier zależy od szczęścia. Dlatego są takie fascynujące. Gatunek ludzki uwielbia hazard. Zaczynaj, zanim zostaniesz ukarany za wstrzymywanie gry. - Strzelec nie wyglądał na przygnębionego, może dlatego, że stracił piłkę nie ze swojej winy.

Stile pospiesznie wrócił do gry. Przyjął piłkę, cofnął się do podania, zobaczył, że wszyscy jego napastnicy są kryci, ujrzał biegnące ku niemu trzy ogromne androidy, uskoczył im z drogi, okrążył jednego z nich i z bezpiecznego miejsca za plecami androida przerzucił piłkę nad głowę swego zablokowanego napastnika. W tej samej chwili skulił się i przybrał taką pozycję, jakby dalej trzymał piłkę. Odwracający się android zobaczył to i złapał go, nie widząc, że Stile nie ma już piłki.

Starcie z androidem okazało się dosyć bolesne, choć ochraniacze zapobiegły poważniejszym obrażeniom. Sędzia machnął flagą.

Atakowanie podającego. Piętnaście jardów kary. Piłka po raz pierwszy na ziemi. Stile znowu znalazł się w zasięgu strzału.

Oczywiście ponownie wykonał dropkick. Widownia nagrodziła go aplauzem. Stadion był teraz prawie pełny, Widocznie informacje o grze rozeszły się szeroko, lecz Stile starał się nie rozpraszać. Miał już dwanaście punktów i jeszcze sześć minut do końca gry. Jeszcze mogło mu się udać.

Teraz piłka znalazła się w rękach Strzelca, który wyglądał na zdeterminowanego. Nie należało się już spodziewać z jego strony błędów.

Obawy Stile'a okazały się w pełni uzasadnione. Strzelec podawał piłkę wysoko i szybko, tak że Stile nie mógł jej przejąć; wyraźnie zamierzał zadowalać się niewielkimi, lecz systematycznymi, postępami w zdobywaniu odległości. A kiedy Stile zbyt ostro próbował przejąć piłkę, został ukarany za utrudnianie gry. Powoli, nierówno, lecz uparcie obywatel zdobywał jard za jardem.

Byli już na trzydziestym jardzie, gdy Strzelcowi nie udało się pierwsze podanie. Drugie też. Przy trzeciej próbie Stile postawił na zmasowaną obronę, wysyłając ośmiu swoich zawodników, by dogonili pomocnika, zanim zdoła przekazać piłkę dalej. Udało się; Strzelec został pokonany. Stracił sześć punktów.

Przyszła kolej na czwartą piłkę, którą obywatel musiał wykopać. Spróbował uczynić to z miejsca i strzelić do bramki, ale stał za daleko. Piłka, ku ogromnej uldze Stile'a, nie doleciała. Teraz Stile ją przejął; miał jeszcze cztery minuty. Wystarczy mu czasu, o ile oczywiście zdoła przemieścić piłkę w głąb pola.

Udało się. Poleciał swoim zwierzętom utworzyć dla niego przejście w centrum boiska i przemknął się kilka jardów do przodu. Odebrał piłkę od podającego i czyniąc liczne uniki, pobiegł wzdłuż linii bocznej. Teraz znał już dobrze możliwości androidów i drobne różnice indywidualne między nimi. Niektóre były szybsze od innych albo mniej głupie. Android nie miał na tyle sprytu, by wymanewrować innego androida, lecz Stile mógł to zrobić. Był więc w stanie przedrzeć się przez linię przeciwnika, pod warunkiem że robił to sam, a nie zrzucił tego obowiązku na jednego ze swych graczy. Jak długo sam niósł piłkę, odnosił sukcesy; to był klucz do zwycięstwa. To dlatego w pierwszej połowie meczu Strzelec radził sobie tak dobrze w porównaniu z kiepskimi wynikami Stile'a. Obywatel polegał tylko na swoich umiejętnościach, a nie na ograniczonych kwalifikacjach androidów. Teraz Stile też się na to zdecydował, a prawdę mówiąc, robił to za każdym razem, kiedy sam kopał piłkę. Dopiero pod koniec gry zrozumiał jej naczelną zasadę. To był pojedynek dwóch osób, a nie dwudziestu dwóch.

Było to jednak wyczerpujące. Ciągły wysiłek i gwałtowne starcia z przeciwnikami odbierały mu siły i Stile nie był w stanie utrzymać tempa. Zatrzymano go na czterdziestu jardach. Za daleko na strzał do bramki. Stile musiał ograniczyć się do kopnięcia piłki z powietrza. Skierował piłkę w róg, aż do linii czterech jardów. Zmusiło to obywatela do gry z końca boiska.

Strzelec zaczął ujawniać pierwsze oznaki zdenerwowania. Wyraźnie nie podobało mu

się, że został tak przyparty do muru. Usiłował podać piłkę, lecz rzut okazał się słaby i niecelny.

Pora na kontratak. Stile złapał za ramię swego środkowego, w chwili gdy obie drużyny ustawiały się naprzeciw siebie. - Wywalcz dla mnie przejście - polecił i stworzenie skinęło głową. Androidy nie potrafiły szybko myśleć, lecz w jakiś nieokreślony sposób wyczuwały potrzeby swoich kapitanów. Ten przynajmniej zrozumiał, o co chodzi Stile'owi.

Kiedy piłka znalazła się w rękach Strzelca, android uderzył barkiem stojącego przed nim przeciwnika, wprost go podnosząc. Stile przemknął się pod nim, przykucając tak bardzo, że aż zaboląły go kolana. Wynurzył się tuż przed obywatelem.

- Och, nie! - wykrzyknął obywatel.

Tracąc nerwy, rzucił się do ucieczki, choć powinien był najpierw pozbyć się piłki. To był wyraźny błąd. Strzelec wpadł w grupę Białych i został natychmiast przewrócony na swojej własnej linii końcowej.

Stile zyskał dwa punkty. 15:14 i jeszcze dwie minuty gry. A do tego drużyna Stile'a miała teraz piłkę.

Piłka wróciła do gry po wykopie z linii dwudziestu jardów. Wykopujący, nie blokowany przez zawodników drugiej strony, posłał piłkę wysokim i dalekim łukiem. Jeden z obrońców Stile'a złapał ją na swojej połowie na trzydziestu jardach, lecz zdołał przebiec zaledwie dwa jardy, zanim nie został nakryty.

Stile zaczął teraz z ogromną uwagą śledzić zegar. Nie mógł oddać piłki Strzelcowi. Obywatel z pewnością zużyłby cały pozostający im czas na powolną grę i zwyciężyłby jednym punktem. Jak jednak Stile miał przenieść piłkę na odległość strzału do bramki wiedząc, że spotka się z rozpaczliwą obroną?

Odpowiedź była tylko jedna: musiał zrobić to sam. Wyjdzie z tego niewątpliwie zmalretowany, ale innego sposobu nie było.

- Będziecie mnie osłaniać - polecił trzem swoim najlepszym zawodnikom. - Wy dwaj, z przodu, ty za mną. Pójdziemy prawą stroną. Dwaj napastnicy mają udawać, że spodziewają się piłki, ty zaś masz sprawiać wrażenie, że akcja zostanie poprowadzona lewą stroną pola. - Stile próbował dosłownie wszystkiego. Jeśli obywatel zdoła przeniknąć jego strategię, wystarczy, że skieruje wszystkich swoich zawodników na niego i zagrzebie go pod ich ciężarem. Lecz trzeba było podjąć ryzyko.

Na szczęście obywatel też zaczął odczuwać zmęczenie. Forma mu dopisywała, lecz Stile był dodatkowo doskonałym sportowcem u szczytu swych możliwości, a do tego miał najsilniejszą z możliwych motywację. Jego wytrzymałość i odporność zaczęły brać górę.

Strzelec trzymał się teraz raczej z tyłu i unikał, o ile było to możliwe, fizycznego kontaktu z androidami. W efekcie wypadł praktycznie z gry. Tak więc Stile nie tylko miał o jednego zawodnika więcej, lecz jego drużyna stała się znacznie bardziej aktywna. Teraz, przynajmniej teoretycznie, Stile był w stanie zorganizować dłuższy, nieprzerwany atak.

Jego zwierzęta uformowały się i Stile ruszył. I okazało się, że podstęp zadziałał. Udało mu się przebyć kilka jardów, zanim jego eskorta nie rozsypała się na kilka splątanych grup. Nagle rzucił się na niego ogromny android, lecz Stile ustawił się odpowiednio i jednym ruchem przerzucił go przez ramię. Pomogła mu różnica wzrostu i zaskoczenie, które sprawiło, że znalazł się bliżej, niż spodziewał się tego android. Stworzenie przeleciało nad Stile'em i upadło na murawę.

Stile znalazł się niespodziewanie sam i, co dziwniejsze, utrzymał się na nogach. Przyspieszył, korzystając z ostatnich rezerw sił, zdeterminowany, by wykorzystać jak najpełniej tę szczęśliwą szansę. Gdzieś z daleka usłyszał ryk tłumu, podnieconego jego dramatyczną ucieczką. Stadion wciąż się wypełniał i teraz ponad połowa miejsc była już zajęta, a przecież nie należał do najmniejszych, mieszcząc z łatwością tysiąc osób. Stile rozumiał, że widzom obojętne jest, kto wygra tę rundę; podniecał ich sam dramatyzm rozgrywki. Mimo to doping dodawał mu sił zmęczenie i siniaki wydawały się znikać, a Stile pędził ze wszystkich sił. Pięć jardów, dziesięć, piętnaście, dwadzieścia...

W końcu dopadł go sam Strzelec. Nie dał się omamić trickami z podręcznika walki wręcz; jako były zwycięzca Turnieju znał je wszystkie. Złapał Stile'a za ramię i szarpnął, przygniatając go do ziemi. Jednocześnie usiłował wydobyć z jego rąk piłkę, lecz Stile był na to przygotowany i poleciał razem z nią na murawę.

A więc udało się. Piłka była już na czterdziestu pięciu jardach. Strategia okazała się skuteczna.

Przy następnej piłce Stile spróbował krótkich podań od androida do androida. On sam w tym czasie symulował ucieczkę. Sukces nie był tak wyraźny, jak za poprzednim razem, ale dało mu to osiem jardów. Zawodnicy przeciwnika skupili swoją uwagę na Stile'u i ich obrona uległa rozproszeniu.

Potem krótka ucieczka napastnika, dobra na dalsze trzy jardy, i pierwsze dotknięcie piłką na linii trzydziestu czterech jardów. Był coraz bliżej bramki, ale też pozostało mu tylko trzydzieści sekund do końca gry. Żadnej przerwy, więc nie miał czasu na bardziej wyrafinowany manewr. - Dajcie mi piłkę - polecił. - Chrońcie mnie.

Lecz tym razem nie udało mu się przedrzeć; manewr był niedopracowany. Piętnaście sekund. Czas na jedną tylko, rozpaczliwą akcję. - Wykonasz rzut boczny - rozkazał swemu

głównemu napastnikowi. - Jeden krok i posyłasz piłkę do mnie.

Stile wziął piłkę, cofnął się o krok i posłał ją do napastnika. Wzruszeniem ramion przyjął wysiłki graczy przeciwnika, którzy usiłowali uniknąć zetknięcia z nim. Strzelec wyraźnie nie życzył sobie teraz żadnych wstrzymujących grę kar!

Android podał mu piłkę rzutem bocznym. Stile stał zupełnie sam, porzucony przez wszystkich napastników obywatela. Jego android znalazł się na samym dole ogromnej sterty zawodników. Stile ruszył do przodu, wymijając zdezorientowane zwierzęta z obu drużyn, które jakimś trafem uznały, że gra się skończyła, i nie wiedziały, co robić. Ominął z lewej stertę androidów i pobiegł w kierunku bramki. Był już w zasięgu strzału!

Nagle usłyszał końcowy sygnał. A więc zużył cały czas na manewrowanie wokół androidów i gra już się skończyła. Nie będzie żadnych powtórek, żadnych szans na strzelenie zwycięskiej bramki.

Stile, zrozpaczony, zwolnił kroku. Był już tak blisko, a mimo to nie powiodło mu się. Nie zatrzymywany osiągnął linię piętnastu jardów i musiał ustąpić pokonany jednym punktem.

Wtedy usłyszał z pierwszego rzędu głos Sheen.

- Biegnij, idioto! - Ujrzał, jak gracze obu drużyn pędzą w jego kierunku.

Nagle zrozumiał, że gra się jeszcze nie skończyła. Trwała nadal. Nie skończy się, dopóki Stile nie zostanie zatrzymany.

Jednak Strzelec, czujniejszy niż Stile, stał między nim a bramką. Wydawał polecenia swojej drużynie. Stile zrozumiał, że tędy nie przejdzie.

Pobiegł przez pole w kierunku centrum, gdzie mógł liczyć na pomoc swoich zawodników.

- Chronicie mnie! - krzyknął.

Androidy były posłuszne. Zaczęły blokować pogoń. Stile spróbował przebić się bliżej bramki, dotarł do linii dziesięciu jardów, potem pięciu.

Przez zasłonę przebił się czarny gracz i złapał Stile'a z tyłu. Stile upadł na twarz, wypuszczając piłkę. Taki błąd, w najgorszym dosłownie momencie!

Androidy świetnie wiedziały, co robić w takiej sytuacji. Zawodnicy obu drużyn rzucili się, by własnym ciałem nakryć piłkę. W ciągu sekundy utworzył się największy w tej grze młyn. Rozległ się gwizdek końcowy.

Gorączkowe okrzyki tłumu przycichły. Było jasne, że piłka została zdobyta... ale gdzie i przez kogo? Trudno było powiedzieć.

Powoli, pod nadzorem sędziów, rozplatanosť stos androidów. Leżący na spodzie należał

do drużyny Białych i spoczywał już na polu punktowym przeciwnika.

Stile zyskał jeszcze sześć punktów.

Widownia wprost oszalała. Niewolnicy i obywatele razem wtargnęli na boisko.

- Chodźmy, zanim nas stratują na śmierć! - zaproponował Strzelec, kierując się do prowadzącego na zewnątrz tunelu.

- Tak, panie!- zgodził się Stile.

- A przy okazji, gratulacje. To była wspaniała gra.

- Dziękuję, panie.

Weszli do tunelu. Byli tu już bezpieczni; na boisku tłum atakował słupki bramek, kierując się jakąś zupełnie obłąkaną tradycją z czasów, gdy Proton nie był jeszcze zasiedlony.

- Nie zapomniałem o naszej umowie - dodał Strzelec. - Grałeś uczciwie i twardo i wygrałeś po doskonałym meczu. Skontaktuję się z tobą.

-- Dziękuję, panie - odparł Stile, nie potrafiąc wymyślić niczego innego.

- A teraz zdejmijmy te stroje.

- Tak, panie.

Sheen biegła ku nim; jej piersi poruszały się kusząco. Gotowa była przejąć kontrolę nad czasem, który Stile miał spędzić na Protonie. Pierwsza runda zawsze trwała kilka dni, było przecież aż 512 par zawodników, ale Stile nie mógł tak długo czekać, musiał wrócić na Phaze i znaleźć sposób na pokonanie Głównego Ogiera. W przeciwnym razie jego pobyt w świecie magii ulegnie dramatycznemu skróceniu.

Sheen rozumiała to doskonale. Prowadziła go ze sobą, zręcznie go przy tym rozbrajając - zarówno w dosłownym, jak i symbolicznym znaczeniu tego słowa. Zawsze potrafiła dostroić się do jego potrzeb. Jak cudownie było mieć takich przyjaciół jak Sheen na Protonie i Neysa na Phaze!

Rozdział 4

MAŁY LUDEK

Stile przekroczył zasłonę i zaraz znalazł się w gęstym, cienistym lesie na Phaze. Odnalazł ubranie, odział się i nucąc jakąś melodię, zgromadził wokół siebie magię. Chciał zaklęciem zawiadomić Neysę o swoim powrocie, by klacz zabrała go do Zamku.

Nagle przyszło mu do głowy, że jest to zbędna strata czasu, który mógłby wykorzystać w lepszy sposób. Dlaczego by nie poeksperymentować i sprawdzić, czy potrafi przenieść samego siebie w inne miejsce. Przez chwilę zastanawiał się, trochę zdenerwowany, aż wreszcie wyśpiewał zaklęcie: - Przenieś mężczyznę tego do Zamku Błękitnego. - Nie był to najlepszy z jego wierszy, lecz nie miało to większego znaczenia; prawie natychmiast Stile znalazł się na zamkowym podwórku.

Kręciło mu się w głowie i czuł mdłości. Widocznie albo zaklęcie było kiepskie, albo też przenoszenie samego siebie nie należało do najlepszych pomysłów. W każdym razie nie będzie się śpieszył z powtórką; co prawda znalazł się w Zamku, ale za cenę utraty dobrego samopoczucia.

Neysa stała na podwórku, pasąc się na splachetku magicznej trawy. Każde źdźbło, które wyskubała, natychmiast odrastało, tak że trawnikowi, choć był tak mały, nie groziło zniszczenie. Ledwo Stile zdążył się pojawić, klacz czujnie uniosła głowę i zastrzygła uszami. Natychmiast też podbiegła do niego.

- Ostrożnie! Nabijesz mnie na róg! - zawołał Stile i objął ją za szyję, chroniąc się przed upadkiem.

Neysa parsknęła. Umiała precyzyjnie operować rogiem i nigdy nie trafiała tego, kogo nie miała zamiaru trafić, ani też nie chybiała tego, kogo chciała nabić na róg. Zagrała. pytającą nutę.

- Miło mi, że cię to interesuje - powiedział Stile, przegarniając palcami jej czarną, lśniącą grzywę: Od razu poczuł się lepiej; wokół jednorożców unosiła się zawsze lecznicza aura. - Ale to bez znaczenia. Następnym razem poproszę ciebie; robisz to lepiej.

Jednorożec zagrał następne pytanie.

- Ach, to - mruknął Stile. - Sheen zadbała o mnie i zdążyliśmy na pojedynek. Walczyłem z obywatelem, byłem zwycięzcą Turnieju. Niewiele brakowało, a przegrałbym.

W muzyce Neysy słychać było cierpką nutę.

- Nie, to świetny gracz - zapewnił ją Stile. - Równie dobry jak ja. Przypominało to bitwę

między Adeptami! Ale szczęście dopisało mi i wygrałem dosłownie w ostatnim momencie. A teraz on pomoże mi dowiedzieć się, kto usiłuje mnie zabić na Protonie. - Znacząco poklepał się po kolanie. - A potem, gdy już poradzimy sobie z Ogierem, wyruszymy na poszukiwania mordercy mego sobowtóra na Phaze. Nie lubię mieć anonimowych przeciwników. - Twarz jego przybrała twardy wyraz. - Nie, stanowczo nie lubię.

Nadeszła Błękitna Pani. Miała na sobie tylko kostium kąpielowy i jak zawsze była tak piękna, że aż poczuł ból. Nie chodziło tylko o jej cudownie pełną figurę, gdyż Sheen była zgrabniejsza, lecz uroda Pani charakteryzowała się jedyną w swoim rodzaju harmonią ruchów, twarzy i figury. Słowo „Pani” wydawało się dla niej stworzone i pasowało do niej zawsze, bez względu na to, w co była ubrana.

- Witaj, mój panie - rzekła cicho.

- Dzięki, pani. - Nie było go tu tylko jeden dzień, lecz zmiana otoczenia była tak drastyczna, iż wydawało mu się, że upłynęło znacznie więcej czasu.

- Powrócił twój przyjaciel Hulk.

- Świetnie - powiedział Stile. Czuł, że jest jeszcze trochę zesztywniały po wyczerpującej grze w football, ale cieszył się z powrotu, gotów do wysłuchania słów Wyroczni. przyszło do głowy, że zasłona oddzielająca świat nauki od świata magii mogłaby być podobnym zjawiskiem. - Lecz był tam jeszcze jeden pytający, wampir...

- My nigdy nie mieliśmy nic wspólnego z takimi jak on! - zaprotestowała Błękitna Pani.

- Ani też z wilkołakami i jednoroźcami - uśmiechnął się krzywo Stile.

Umilkła, lecz wcale nie była udobruchana. Jej mąż z całą pewnością nie utrzymywał kontaktów z podobnymi stworzeniami. Obecność wilkołaków i jednoroźców w Błękitnym Królestwie to sprawka Stile'a, który uważał to za zmianę na korzyść. Pani natomiast zaliczała się do konserwatystek.

- Prawdę mówiąc, to był bardzo porządny gość - wyjaśnił Hulk. - W drodze do Wyroczni zabłądziłem, a on właśnie przelatywał, zobaczył, że mam kłopoty, i przybrawszy ludzką postać, zaofiarował mi pomoc. Nie wiedział, że jestem człowiekiem; wziął mnie za małego olbrzyma, czy też ogra, a wszystkie te pseudoludzkie gatunki czują do siebie coś w rodzaju sympatii. Myślę też, że był trochę zaintrygowany moim motocyklem; na Phaze nie ma wielu podobnych urządzeń! Kiedy uświadomiłem sobie, kto przede mną stoi, pomyślałem, że przyjdzie mi stoczyć walkę mego życia, lecz wampir uspokoił mnie, że jego lud żywi się krwią zwierząt hodowanych jedynie w tym celu i dobrze się z nimi obchodzi. W czasie wojny zdarza się im wysysać krew wrogów, lecz nie należy to do reguły. I nigdy nie czynią tego przyjaciołom. Kpił sobie z wiary, że człowiek ugryziony przez wampira sam nim zostaje; to

obrzydliwa plotka roznoszona przez zawistne stworzenia. Choć możliwe też jest, że te historie są wynikiem fałszywej interpretacji miłosnych zwyczajów wampirów, w czasie których samiec i samica dzielą się krwią. Opowiadał tak, że wydało mi się to nawet atrakcyjne. Akt dawania i przyjmowania daru. Myślę, że gdybym zakochał się w wampirzej pani, pozwoliłbym jej possać... - Urwał nagle, zawstydzony. - Chyba źle to wyraziłem. Chodziło mi o...

Stile roześmiał się i nawet Pani uśmiechnęła się na chwilę. - Nie należy się wstydić żadnej z form miłości - stwierdził Stile.

- No, racja - zgodził się Hulk. - I tak sobie rozmawialiśmy, a im dłużej to trwało, tym bardziej mi się podobał. Narysował mi na piasku mapę, żebym mógł bez kłopotów odnaleźć Pałac Wyroczni. A potem zamienił się w nietoperza i odleciał. I wiecie, pokazał mi najkrótszą drogę. Zajechałem w kilka godzin, a poprzednim szlakiem zajęłoby mi to kilka dni.

Hulk znowu wzburzył wodę i fala zniszczyła powstały przedtem na wodzie wzór.

- Coraz trudniej przychodzi mi nie wierzyć w magię. Widziałem, jak człowiek ten przemieniał się, widziałem, jak lata. Był już w Pałacu, gdy tam dotarłem, i zaprowadził mnie do komnaty, w której znajduje się Wyrocznia... Była tam tylko wystająca ze ściany tuba. Poczulem się jak idiota, ale podszedłem i zapytałem: „Jak Stile pokonać ma...” zapomniałem użyć twojego tytułu z Phaze, lecz nie miało to chyba żadnego znaczenia dla Wyroczni. „Jak Stile pokonać ma Ogiera w równej walce na Rożcolimpiadzie?” I tuba odpowiedziała: „Pożyczcie Platynowy Flet”. Nie zrozumiałem, co to ma znaczyć, i prosiłem o wyjaśnienie, lecz tuba milczała.

- Wyrocznia nie lubi głupców - wyjaśniła Pani. - Odpowiada tylko na jedno pytanie i uważa, nie obraź się ogrze, wszystkich ludzi za głupich.

Hulk uśmiechnął się. Najwyraźniej otrzymał jako przydomek nazwę istoty, którą najbardziej przypominał wyglądem; zresztą wcale mu to nie przeszkadzało.

- Tak też to zrozumiałem. Ale boję się, że cię zawiodłem, Stile.

- Byłem równie rozczarowany, gdy oznajmiono mi „Poznaj sam siebie” - przypomniał Stile. - A memu przyjacielowi, wilkołakowi, polecono „kultywować Błękit” i też nie mógł tego zrozumieć. Wszyscy mamy kłopoty z interpretacją odpowiedzi Wyroczni, a w końcu okazuje się, że zawsze mają sens.

- Choć nie zawsze taki, jaki byśmy sobie życzyli -zgodziła się Błękitna Pani. - Kiedy powiedziano mi: „Żadnych z pierwszym”, sądziłam, że to czysty nonsens. Wiem teraz, ku mojej rozpaczy, co...

Odwróciła się szybko, lecz Stile zdążył dostrzec na jej twarzy cierpienie, którego nie

zdołała ukryć. Nie wiedział, że odwiedziła kiedyś Wyrocznię. Odpowiedź musiała być w jakiś sposób związana ze śmiercią jej męża.

Hulk przerwał niezręczne milczenie.

- Jeszcze raz porozmawiałem z wampirem Vodlevilem... tak ma na imię... i porównaliśmy nasze odpowiedzi. Okazało się, że pytał Wyrocznię, jak pomóc swemu synowi, który jest uczulony na krew... dla wampira to nic zabawnego...

- W żadnym wypadku! - zawołał Stile.

- Oczywiście nie cały czas żywią się krwią. - Hulk był zupełnie poważny. - Potrzebują jej, by przybrać postać nietoperza i móc latać. Krew wspomaga magię. A więc chłopiec nie może dotrzymać kroku reszcie rodziny. Cóż, myślę, że na jego miejscu też bym się tym martwił.

- Jasne - zgodził się Stile. Było mu przykro, że wcześniej uznał sytuację za nieco śmieszna.

- Ale Wyrocznia powiedziała mu tylko: „Omotaj Żółta”. Bardzo go to rozzłościło, bo, jak powiedział, Żółta jest Adeptką, a wampiry nie utrzymują kontaktów z Adeptami. Mieszkają w pobliżu jakiejś Adeptki, lecz boją się jej i trzymają od niej z daleka. A nawet gdy zdarza im się pertraktować z Adeptem, nawet do głowy by im nie przyszło, by go oszukać. Zresztą Żółta jest spośród nich najgorsza. Wiele wampirów zostało przez nią schwytych i sprzedanych innym Adeptom, którzy za pomocą magii zmuszają je do ślepego posłuszeństwa i używają do szpiegowania i prześladowania innych zwierząt, co wyrabia całemu plemieniu złą opinię. A więc Vodlevile wracał do domu praktycznie bez odpowiedzi. Nie mogłem mu pomóc, nic przecież nie wiem o Adeptach. Bardzo mi go żal.

- Wygląda, że to stworzenie z charakterem - stwierdził Stile.- Dlaczego Wyrocznia miałaby sugerować takiej istocie, że ma kogoś oszukać? Równie dobrze mogłaby wcale mu nie odpowiadać.

- Omotanie kogoś nie musi oznaczać oszustwa - zauważyła Pani. - Sugeruje jakiś fortel, ale niekoniecznie nieuczciwość.

- Vodlevile jest niezwykle prostolinijny- wtrącił się Hulk. - Nie ma w nim żadnej przebiegłości. I zresztą pomógł mi. Powiedział, że większość metalowych przedmiotów znajdujących się na Phaze, takich jak narzędzia, broń czy instrumenty muzyczne, jest dziełem Małego Ludku, szczepu Ciemnych Elfów. Niektórzy z nich tworzą w kości, inni w drewnie, a jeszcze inni w metalach: srebrze, złocie, platynie. Tak więc, gdyby udało się odszukać właściwy szczep elfów...

- Nie tak łatwo je odnaleźć - stwierdziła Błękitna Pani. - Mieszkają głównie w

Purpurowych Górach, a że nie cierpią zwykłych ludzi, rzadko utrzymują z nimi kontakty. A Adeptów nie znoszą jeszcze bardziej. Gdy mój pan zapragnął doskonałego instrumentu muzycznego, nie mógł sam udać się do elfów, lecz zmuszony był do handlu z sokolnikiem, który miał znajomości po obu stronach zasłony. Wiele razy twierdził, że chce zawrzeć z nimi znajomość, lecz one odrzucały wszystko, co mógł im zaoferować.

- Vodlevile mówił to samo - wtrącił Hulk. - To dlatego zaraz pomyślałem, że czekają cię niebezpieczeństwa. Zdaniem wampira im cenniejszym metalem zajmuje się dany szczerp, tym bardziej unika on ludzi, gdyż ci usiłują kraść drogocenne wyroby. Elfy nienawidzą zwłaszcza wysokich mężczyzn. Zabiliby mnie, jak tylko przekroczyłbym granicę ich terytorium. A co do Błękitnego Adepta... - Hulk pokiwał głową. - Moja wyrocznia też nie na wiele się przyda. Lecz przekazuję ci ją tak, jak została wypowiedziana, i mam nadzieję, że nie przyniesie ci ona nieszczęścia.

Stile zamyślił się. - Rady Wyroczni, choć niejasne, są zawsze niezwykle praktyczne. Oczywiście trzeba trochę popracować, żeby je dobrze zrozumieć. Ale na pewno mają głęboki sens... i dla mnie, i dla wampira. Sądzę, że będę mógł mu pomóc i odwdzińczyć się w twoim imieniu.

- Miałem nadzieję, że tak do tego podejdziesz - wyznał Hulk. - Zresztą on usiłował pomóc ci w twojej misji.

- To mi się nie podoba - rzekła Pani. - Masz zamiar odwiedzić Mały Ludek?

- Możliwe - odparł Stile. - Tego właśnie obawiał się Hulk, znający moje zamierzenia. Lecz najpierw rozwiązać muszę mniej pilny dla mnie problem. Wymyślenie zaklęcia zabierze mi trochę czasu. Spotkajmy się na dziedzińcu za dziesięć minut.

- Żadne zaklęcie nie przeniesie cię bezpiecznie do twierdzy Małego Ludku - zaprotestowała Pani. - Są równie odporni na magię jak jednorożce. Lepiej już byłoby, gdybyś udał się między trolle czy gobliny; miałbyś z nimi więcej szans.

- Chciałbym wezwać tu Żółtą Adeptkę.

- Żółta! - wykrzyknęła przerażona. - W naszym Królestwie?

- Przysięgłem nigdy nie przekroczyć granic jej władztwa, a więc to ona będzie musiała mnie odwiedzić. W ten sposób zamierzam obejść zakaz. Chodź, dajmy Hulkowi szansę się ubrać. - Stile ruszył do drzwi. Pani prychała z oburzenia, lecz nie opierała się więcej.

O omówionej godzinie spotkali się na dziedzińcu. Pani najwyraźniej zdążyła już porozmawiać z Neysą, gdyż klacz gniewnie poruszała rogiem i parskała coś pod nosem.

Stile zagrał na harmonijce, gromadząc wokół siebie magiczną aurę.

- Żółta Adeptko, proszę cię, przybądź do Zamku, odwiedź mnie - zaśpiewał.

W jednej chwili zjawiała się przed nimi Żółta Wiedźma.

- Błękitny, sądziłam, że jesteście kwita! - powiedziała ostrym tonem. - Czyżbyś chciał wojny między Adeptami?

- W żadnym wypadku, Żółciutka. Chcę tylko zawrzeć z tobą korzystny dla obu stron układ i na pewno nigdy nie najadę na twoje Królestwo.

- Tak i jest, przystojniaczku. - Zerknęła na niego paciorkowatymi oczkami. - Zawsze dotrzymujesz przyrzeczeń. Lecz nie jestem odziana, tak jak powinnam. Pozwól, bym się trochę odświeżyła. - I sięgnęła do kieszeni workowatej sukni, wymacując flakonik z wywarem.

- Pozwól, że ja to zrobię. Jesteś przecież moim gościem. - Stile zagrał króciutką melodyjkę. - *Kiedy Żółciutka w mym zamku gości, niech jej uroda przyczyni radości* - zaśpiewał.

Na miejscu paskudnej staruchy stała teraz olśniewająco piękna młoda dziewczyna o przyjemnie zaokrąglonej figurze, długich, złotożółtych warkoczach, odziana w miłą dla oka wieczorową suknię. Błękitna Pani aż wytrzeszczyła oczy, a Hulkowi wprost opadła szczęka. Neysa parsknęła tylko z lekceważeniem; już to nieraz widziała.

Upiększona Żółta wyciągnęła flakonik, wytrząsnęła z niego kropelkę i wzięła do ręki uformowane z niej lustro. - Och, nie powinieneś być tego robić, kochanie! Doprawdy uchwyciłeś to perfekcyjnie, mój skarbie!

- I tak nie przestała być wiedźmą - mruknęła Pani przez zęby. Neysa zgodnie parsknęła.

Żółta rzuciła im krótkie spojrzenie.

- Wiedźmą, raczysz powiedzieć? A czyż wszystkie nimi nie jesteśmy, bez względu na nasze kształty czy magię? Jakie szansę może mieć mężczyzna z uwodzicielką, wszystko jedno, jakiego koloru?

- Żadnych - mruknął Hulk.

Neysa udała, że chce go nabić na róg, i olbrzym szybko uskoczył jej z drogi.

- Chodzi mi o coś takiego - pospiesznie wtrącił się Stile. - Pewien wampir, Vodlevile, ma syna uczulonego na krew. Wyrocznia poleciła mu omotać Żółtą. On nie chce mieć z tobą...

- Tak, mam wywar leczący tę dolegliwość - przyznała Żółta. - Lecz co ofiaruje on w zamian?

- Nic - odparł Stile. - Wampiry boją się ciebie, choć nie mogą zrozumieć dlaczego.

Pokiwała mu ostrzegawczo palcem, w podobny sposób, jak uczynił to na Protonie Strzelec.

- Tylko nie udawaj mi tu niewiniątka, mój śliczny! Mam zaległe zamówienia na jednego nietoperza. Choć przyznać muszę, że ich strach przed Adeptkami może mieć racjonalne źródło, gdyż zamieszkują w pobliżu jednej takiej, którą wilki obdarzyły epitetem „kobieta”.

Hulk stłumił śmiech. Obelgi zmieniały się tu wraz z przynależnością gatunkową rzucającego.

- Vodlevile nie chce mieć z tobą nic wspólnego - ciągnął spokojnie Stile - lecz ja chcę. Jeśli jesteś gotowa wymienić przysługę za przysługę, tak jak jeden zawodowiec z drugim, to o to właśnie chcę cię prosić.

- A cóż uczynił dla ciebie ten nietoperz?

- Pomógł memu przyjacielowi, Hulkowi, którego wysłałem z pewną misją. Vodlevile ani nie prosił mnie o pomoc, ani jej oczekuje.

- Te machinacje honoru i przyjaźni zawsze mnie fascynowały! - Pokręciła głową. - Twoja wielkoduszność wobec zwierząt będzie cię drogo kosztować, Błękitny. - Spojrzała na Neysę, która zastrzygła uszami. - Lecz jest w tobie prawdziwa przebiegłość, co budzi moje uznanie. W końcu z tego żyję, więc i z tobą mogę zawrzeć podobny układ. Nietoperz otrzyma swój wywar.

- Dzięki, czarownico. A o co prosisz w zamian?

- Chciałabym - przybrała skromną minkę - żebyś przyszedł spotkać się ze mną, tak jak kiedyś gotów byłeś... - Oczy Żółtej spoczęły na Błękitnej Pani, patrzącej z pogardą w bok, i na Neysę, z której nozdrzy zaczęła ulatywać para. - Lecz zabrania ci tego twoja przysięga, a nawet gdyby ci na to pozwalała, inni wyraziliby swój sprzeciw słowami i rzeniem.

Z nozdrzy Neysy posypały się iskry; koniec jej rogu zadrzał leciutko, co wiedźmie nie wróżyło nic dobrego.

- Zgadzam się całkowicie - odparł Stile, z trudem utrzymując powagę. Chwytność i sprzedawanie żywych zwierząt budziło w nim odrazę, lecz mimo to osoba samej Żółtej wzbudzała w nim pewną sympatię. Oczywiście nie mogło być nawet mowy o jakimkolwiek romansie, z czego wiedźma doskonale zdawała sobie sprawę; drażniła tylko swoje przeciwniczki. Podobne drobne złośliwości mniej przyjemne bywały dla kobiet, przeciw którym je skierowano, niż dla mężczyzn, słuchających ich z ochotą.

- A więc dam ci to na kredyt - zdecydowała Żółta. - Któregoś dnia, gdy będę potrzebować pomocy w niezbyt wielkich kłopotach, wezwę cię...

- Zgoda - odparł Stile. - Pod warunkiem, że przysługa nie będzie wymagała złamania moich zasad i będę jeszcze żył.

- Właśnie. Czeka cię iście burzliwa przyszłość. - Żółta zastanawiała się przez chwilę. -

A więc pozwól, że poprawię szansę mojej inwestycji i podaruję ci pewien wywar. - Wyciągnęła zza stanika małą flakonik i podała go Stile'owi.

Przyjął go, nie zwracając uwagi na ogniste parsknięcie Neysy.

- Jeśli wolno mi spytać...

- To nie sekret, mój mały. Elixir sprawia, że jego właściciel staje się mniej obrzydliwy dla elfów.

- Ty fałszywa lisico! - wykrzyknął Stile. - Podstępna dziewczko! Cały czas wiedziałaś o mojej misji!

- Oczywiście, od początku do końca - odrzekła. - Choć bardziej odpowiada mi określenie „lisica” niż „dziewka”. - I znikła.

- Ale masz znajomych! - zauważył z uznaniem Hulk. - Ona naprawdę ma w sobie coś z lisa!

- Lub z sukii! - mruknęła Pani i obie z Neysą sztywnym krokiem opuściły dziedziniec.

- Wcale nie jest taka zła - Stile uśmiechnął się - biorąc pod uwagę, że naprawdę jest staruchą i wiedźmą. Tak jak teraz, wyglądała jakiegoś sto lat temu, kiedy była młoda. - Przez chwilę namyślał się. - Hulk, nie mam niestety tyle czasu, ile potrzeba na podobnie ważną misję, więc chcę wyruszyć w stronę Purpurowych Gór już wieczorem, gdy tylko ustalę miejsce pobytu Platynowych Elfów.

- Idę z tobą!

- Nie, przyjacielu. Twoja obecność tylko by je rozwścieczyła, a ja nie idę tam by walczyć, lecz pożyczyć flet. Zresztą potrzebuję cię tutaj, byś strzegł Błękitnej Pani, tak jak robiłeś to wcześniej.

-- Wołałbym już tego nie robić, Stile. - Hulk zmarszczył brwi.

- Nie podoba ci się tu? - Stile był zdumiony. - Nie będę cię przecież zatrzymywać.

- Bardzo mi się tu podoba. I w tym cały problem.

- Coś mi mówi, że nie wszystko rozumiem.

- Aha.

- Czyżby twoje stosunki z Błękitną Panią nie były dobre?

- Pani jest cudowną kobietą.

- Wobec tego nie rozumiem...

- Czyżbyś potrzebował Wyroczni?

- Na to wygląda. - Stile pokręcił głową. Olbrzym przeszedł się po dziedzińcu. - Sprawiamy obaj wrażenie zupełnie różnych. Olbrzym i karzeł. A jednak mamy wiele wspólnych cech. Wiek, kulturę, biegłość w Grze, poczucie honoru - umilkł na chwilę. -

Podobają nam się te same kobiety.

Stile zaczął rozumieć.

- Polubiłeś Sheen od pierwszego wejrzenia i świetnie sobie radzisz z Neysą...

- Tak. Gdyby nie ich odmienna od naszej natura... - Hulk wzruszył ramionami. - Błękitna Pani to jednak zupełnie inna historia. Nie wypada, bym jej strzegł.

Teraz Stile zaczął chodzić po podwórku. - Wiesz przecież, że ona nie należy do mnie.

- Do diabła, do mnie tym bardziej! - wybuchnął Hulk. - Możliwe, że jeszcze cię nie pokochała, ale jest przeznaczona tobie i nikomu innemu. To najwspanialsza kobieta, jaką znam. Gdyby istniała inna, podobna do niej...

- Jest taka - przerwał mu Stile, przypominając sobie uwagę Sheen. - I coś jestem ci winien za to, że oddałeś mi swoje jedyne pytanie do Wyroczni.

Mężczyźni popatrzyli na siebie; coś zaczynało świtać im w głowach.

- Jeszcze jedna... na Protonie - powiedział Hulk. - Oczywiście. Jej sobowtór. Lecz ta też będzie...

- Nie. Nie moja. Nie potrafię pokochać obu.

- Ma wszystkie jej zalety, lecz wychowana jest w kulturze Protonu. - Hulk uśmiechnął się. Pomysł bardzo mu się spodobał. - A więc nie będziesz miał nic przeciw...

- Do diabła, Pani z Protonu na pewno do mnie nie należy - odparł z uśmiechem Stile, powtarzając wcześniejsze słowa Hulka. - Wracaj na Proton. To zupełnie inny świat. Ale pamiętaj, że nie będziesz mógł sprowadzić jej tutaj.

- Choćby najkrótsze wizyty... To wszystko, o co mogę prosić.

- Przejdź przez zasłonę i porozmawiaj z Sheen. Jej przyjaciele odnajdą ci sobowtóra Pani.

Hulk kiwnął głową. Zatrzymał się przed przyjacielem i wyciągnął rękę. Stile z powagą uścisnął mu dłoń; wiedział, że już nigdy się nie zobaczą. Hulk nie powróci już do Błękitnego Królestwa. Stile czuł tłący się w nim gniew wywołany tym, że przyjaciel zainteresował się tą samą co on kobietą, a jednocześnie ulgę, iż problem udało się rozwiązać, oraz wstyd, że odczuł gniew i ulgę. Hulk to wspaniały człowiek; zasłużył na wszystko, co najlepsze - to znaczy na Błękitną Panią. Jej protoński sobowtór na pewno posiada te same cechy. Tak więc rozwiązanie stanowiło triumf szczęścia i zdrowego rozsądku... a jednak niepokoiło Stile'a. Chyba jeszcze nie nauczył się być tak szczodry, jakim się wydawał. Nadal musi się tego uczyć.

A teraz tracił strażnika, który broniłby Błękitnej Pani.

Nie mógł zostawić jej samej na tak długi czas; wróg, który zabił jego sobowtóra,

prawdziwego Błękitnego Adepta, z pewnością znowu liderzy, gdy tylko dowie się, że Błękitne Królestwo ma nowego pana. Stile ciągle wymyślał i doskonalił zaklęcia i pomysły, które miały mu pomóc uporać się z tym atakiem, i miał nadzieję, że poradzi sobie z sytuacją. Lecz przypuśćmy, iż wróg weźmie do niewoli Błękitną Panią i użyje jej przeciwko Stile'owi. Nie mógł podjąć takiego ryzyka.

Gdy tak rozmyślał, ujrzał wchodzącą Panią.

- Ogr przygotowuje się do odejścia. Czy wiesz już o tym?

- Wiem - odparł Stile.

- Wcale mi się to nie podoba.

Ciekawe, co powiedziałyby o ich układzie?

- Hulk to świetny facet, bardziej niż ja godny podobnej tobie kobiety.

Nawet jeśli zrozumiała ukryty sens tych słów, nie dała tego po sobie poznać.

- Nie wątpię w jego zalety, lecz mam przeczucie, że grozi mu śmierć.

- Przyznam, że ja też czuję niepokój. Sądziłem, iż to zazdrość lub poczucie winy.

- To też - zgodziła się Pani i Stile nabrał pewności, że dobrze rozumiała sytuację.

Jednak nic więcej już nie powiedziała.

Stile zmienił temat.

- Boję się zostawić cię tu samą, gdyż mój wróg może zaatakować Królestwo. A jednak muszę wyruszyć na poszukiwanie Fletu. Neysa pójdzie ze mną.

- Poszukujesz bezpieczeństwa... czy zemsty?

Stile skrzywił się, rzucając na nią okiem.

- Jak możesz tak dobrze mnie rozumieć?

- Jesteś bardzo podobny do mego ukochanego.

- A czy on nie szukałby pomsty?

- Za siebie... nie. Za tych, którzy byli drodzy jego sercu... - zamyśliła się i Stile podejrzewał, że wspomina obraz ognistej zagłady trolli, które wymordowały wioskę Błękitnego Adepta. Wreszcie spojrzęła mu w oczy. - Bez Hulka i Neysy nie będę bezpieczna w Królestwie. Muszę pojechać z tobą na poszukiwania.

- Pani, to może okazać się niebezpieczne.

- Chcesz powiedzieć, że bez ciebie i twojej magii będę bezpieczniejsza? - spytała przekornie. - Czyżbym cię źle oceniła?

- Sądziłem - Stile spojrzęła na nią z ukosa - że wolisz unikać mego towarzystwa. Ze względu na Królestwo i dobre czyny Błękitnego Adepta nazywasz mnie panem, lecz oboje wiemy, iż tak nie jest. Nie chcę narzucać ci mej obecności częściej, niż jest to niezbędne.

- Teraz, gdy to sobie wyjaśniliśmy, czy pani zamku nie mogłaby towarzyszyć Panu w poszukiwaniach?

Stile westchnął. Bronił się przed perspektywą, która w rzeczywistości budziła w nim tyleż radości, co poczucia winy i niepokoju.

- Oczywiście, że mogłaby.

Pani dosiadała klaczy o bladoniebieskawej sierści, pochodzącej od źrebaka urodzonego ze związku Hinny z Błękitnym Ogierem. Tak jak mówiła, kolor klaczy był w przeważającej mierze odbiciem błękitnej uprzęży, ale wyglądało to bardzo efektownie. Błękitny Ogier, choć bardzo się zestarzał, żył jeszcze, gdy zabito Błękitnego Adepta; umarł, jak sądzono, z rozpaczy.

Stile jechał na grzbiecie Neysy. Odkąd udało mu się ją oswoić, nigdy nie dosiadał innego rumaka. Żaden koń nie mógł oczywiście dorównać Neysie, lecz nie to było tu najważniejsze. Zupełnie nie to.

Przejechali przez pola rozciągające się na południe od Zamku i wjechali do lasu przylegającego do Gór Purpurowych. Wkrótce znaleźli się u ich stóp. Według źródeł, do których sięgnął Stile - a były to poświęcone geografii tomy zebrane przez jego poprzednika - szczerp Czarnych Elfów, produkujących wyroby z platyny, zamieszkiwał górę znajdującą się o pięćdziesiąt mil na wschód od miejsca, gdzie zasłona łączyła Phaze z Protonem. Kiedy tylko ustalono kierunek, okazało się, że zwierzęta wiedzą, którędy należy tam ruszyć. Neysa pasła się na tym obszarze od lat i choć nie była w żadnym z królestw elfów, znała je z opisu.

Teren wokół wznosił się łagodnie, powietrze było kojące; a chmury co chwila przysłaniały słońce. Mimo pięknego otoczenia jazda szybko stała się nudna. Gdyby Stile był sam, zagrałby na harmonijce, porozmawiał z jednorożcem, lub po prostu zasnął, wiedząc, że Neysa dowiezie go bezpiecznie. Jednak obecność Błękitnej Pani i charakterystyczna dla niej wykwinność powstrzymywały go.

- To tędy jechałam na Hinny - zauważyła Pani. - Wydaje się, że to było tak dawno.

Stile nie znalazł na to żadnej odpowiedzi. Jechał w milczeniu, żałując, że tragedia jego sobowtóra leży pomiędzy nimi.

- Hinny - zadumała się Pani. - Jakże tęsknię za tą cudowną klaczą!

Ten temat wydawał się bezpieczniejszy.

- Co się z nią teraz dzieje? Dziesięć lat to dużo jak dla konia tak, jak dla nas trzydzieści,

ale przecież to jeszcze nie koniec.

- Oczywiście, skąd masz to wiedzieć - odparła smutno Pani. - Hinny została zażrebriona przez Błękitnego Ogiera i wróciła sama na swe dzikie pastwiska. Błękitny chłopiec powrócił do swoich spraw, o które go nie pytaliśmy; sądzę, że zajmował się planowaniem i budową Błękitnego Zamku. Żyłam dalej w wiosce, z moją rodziną i ze Śnieżynką, białym żrebięciem, które uratowaliśmy. Czasami wydawało się nam, że daleko za polami miga kształt Ośliczki, i nasze serca tęskniły za nią, lecz ona nigdy nie podchodziła bliżej. Przez cały ten czas odczuwałam niepokój. Kiedy mój towarzysz, błękitny chłopiec, ujawnił swe prawdziwe imię, poczułam zdumienie i zawstydziałam się. Jednocześnie bardzo byłam zaintrygowana, a jego oświadczyzny mile połechtaly moją próżność. Dobrze pamiętałam wizję, którą miałam, kiedy grał - Pani na błękitnym księżycu - i subtelny czar tamtego doznania rósł we mnie. Później dowiedziałam się, że chłopiec udał się do Wyroczni, by poznać imię kobiety, która byłaby dla niego idealną żoną, i Wyrocznia podała mu moje imię. Tym razem proroctwo nie było ani niezrozumiałe, ani wymijające, czy też wieloznaczne; dokładnie poinformowało go, gdzie i kiedy ma mnie znaleźć. Stąd też zjawił się we właściwym, a szczęśliwym dla mnie momencie, gdy wisiałam bezradnie w łapach trolla, i uratował mi życie, które mogło się wówczas zakończyć. Wszystko, co potem uczynił, zrobione zostało po to, by zdobyć moją przychylność, choć według prawa należałam do niego od chwili, gdy mnie uratował. A przecież byłam tylko ciemną wieśniaczką!

- Wyrocznia wszystko przewidziała - powiedział cicho Stile. - Dzieło twego pana przetrwało dzięki tobie, choć przecież mogło ulec zniszczeniu.

Mówiła dalej, jakby nie usłyszała słów Stile'a.

- Jakże głupia byłam wtedy! Ileż czasu upłynęło, zanim po raz trzeci powiedziałam mu „ciebie”.

- Przepraszam, pani, ale nie rozumiem.

Niedbale machnęła ręką.

- Oczywiście, ty zostałeś wychowany w innej kulturze, więc muszę ci to objaśnić. Na Phaze, jeśli jakaś osoba kocha inną i chce jej to powiedzieć, nie wiążąc jej przy tym żadnymi zobowiązaniami, opuszcza czasownik i powtarza tylko zaimek, trzy razy. Wtedy ta druga osoba może postąpić tak, jak chce, i nikt nie ma prawa czynić jej z tego powodu wyrzutów.

- Dalej nic nie rozumiem - stwierdził Stile. - Wystarczy powiedzieć komuś... ciebie... ciebie...

Neysa o mało co nie zrzuciła go z grzbietu, gdy gwałtownie zagrała na rogu, zagłuszając jego słowa.

- Nie powtarzaj tych słów nierozważnie lub żartem - upomniwała go Pani. - Mają moc przysięgi.

Stile, wstrząśnięty, przeprosił ją.

- Wiele jeszcze muszę się nauczyć o kulturze Phaze. Dziękuję ci, pani, że zechciałaś mnie oświecić, a tobie, Neyso, za powstrzymanie mnie przed złożeniem nieświadomego zobowiązania. - Gdyby wypowiedział te słowa do końca, kierując je do Pani, nie byłyby one kłamstwem; ta bitwa została przegrana jeszcze przed jej rozpoczęciem. Choć oczywiście sytuacja stałaby się dla niej bardzo niezręczna.

- Kiedy znowu zobaczyłam Hinny - ciągnęła Pani, tak jakby nic się nie stało - klacz była w strasznym stanie. Była ciężarna i napadły na nią szakale, tchórzliwi drapieżcy; doprowadzając ją prawie do śmierci. Dowlokła się do naszej furtki, gdyż nie zapomniała o mnie, a ja krzykiem sprowadziłam ojca. Nigdy jeszcze nie widziałam go w takim gniewie, albowiem pokochał ją od pierwszego wejrzenia. Schwycił pałkę i odpędził prześladowające ją bestie, a ja próbowałam jakoś jej pomóc. Wszystkie wysiłki były jednak daremne; klacz straciła zbyt wiele krwi i wyczerpała całą swą energię, usiłując do nas dotrzeć. Zmarła u naszych drzwi.

Wtedy przypomniałam sobie zaklęcie, które zostawił mi błękitny chłopiec. „Błękitny Panie przyjdź na żądanie!”, zawołałam. Pojawił się natychmiast. Ujrzał Hinny i z jego ust wydarł się okrzyk bólu; osunął się na kolana, objął jej głowę, a łzy ciekły mu po twarzy. Lecz klacz była martwa, jej szeroko otwarte oczy nic już nie widziały i cała jego magia była na nic.

Chłopiec wyciągnął harmonijkę i zagrał melodię, cudownie smutną; chmury przysłoniły oba księżycy, słońce przygasło i powietrze między nami zaczęło drżeć. Zamajaczył jakiś obraz i była to Hinny, jak żywa, pasąca się na skraju lasu. Nagle rzuciło się na nią stado szakali, śmierdząca horda tchórzliwych, żalonych kundli, równie niepodobnych do wilków, jak gobliny do ludzi, i próbowała przygnieść ją swą masą. Hinny uskoczyła, lecz ciężar zrebnięcia w brzuchu uczynił ją niezgrabną i jej przednie nogi poślizgnęły się. Upadła i potoczyła się po ziemi, a te podłe bydlaki rzuciły się na nią całą zgrają, rozdzierając jej ciało, szarpiąc uszy i ogon. Z trudem udało się jej wstać, lecz one wisały na niej niczym ohydne pijawki; krew lała się strumieniami. Poraniona i osłabiona, uciekała z lasu, a szakale towarzyszyły jej krok w krok, rzucając się na nią i usiłując powalić na ziemię; Hinny zostawiała za sobą krwawy ślad. Wreszcie dotarła do naszego domu i ujrzałam siebie samą. Krzyczałam i chwytalam się rękami za głowę, histeryzując, zamiast pomagać klaczy. Wreszcie nadbiegł mój ojciec z pałką i magiczna wizja zniknęła.

Ojciec stał przy mnie, patrząc na rozpacz Błękitnego, dzieliliśmy razem z nim głęboki

smutek. Wtedy pojęłam trzecią z wielkich zalet Błękitnego Adepta, które miały w przyszłości stać się źródłem mej miłości do niego. Jego muzyka, jego moc i nieustająca miłość do... - wahała się przez chwilę - do kopytnych.

Stile zrozumiał, że chciała powiedzieć „do koni”, lecz z szacunku dla Neysy zmieniła swe słowa.

- Wreszcie błękitny chłopiec wstał i wydało nam się, że cała krew wypłynęła z jego żył, tak jak Hinny.

- Szakale schwytały ją, gdyż miała chore kolana - powiedział. - Te kolana, które poświęciła dla mnie. - I nie mogłam zaprzeczyć, bo sama byłam tego świadkiem.

- Jest jednak coś, co mogę zrobić - ciągnął i było w nim coś, co przeraziło mnie, bo zaczynałam pojmować, co oznacza smutek i gniew Adepta. - Odwróćcie się plecami, byście nie zobaczyli tego, co może być niemiłe dla waszych oczu.

Mój ojciec, mądrzejszy ode mnie, ujął mnie za ramię i zmusił, bym się odwróciła. Po chwili ciszy rozległa się słodko-gorzka muzyka harmonijki. Potem jakieś śpiewne słowa i nagle poczuliśmy żar i swąd. Odwróciliśmy się... Ciało Ośliczki zniknęło, unicestwione magią Błękitnego Adepta, a pośród snującego się dymu stał on sam, trzymając na rękach nowo narodzone źrebię o jasnoniebieskiej sierści.

- Hinny umarła, lecz jej dziecko żyje - rzekł. - To dla niego tu przyszła. - I zanim zdążyliśmy zareagować na jego słowa, zwrócił się ku memu ojcu. - Źrebię urodziło się przed czasem. Tylko stała, umiejętna opieka może je ocalić. Nie jestem uzdrowicielem, a ono potrzebuje czegoś więcej niż magii. Proszę cię, panie, byś zabrał je z moich rąk i uczynił to, co tylko możesz, by przeżyło i wypełniło swoje przeznaczenie.

Mój ojciec stał zdumiony i nie od razu zrozumiał prośbę.

- Hinny przyszła do ciebie, wiedząc, że potrafisz, jej pomóc - mówił dalej chłopiec. - Najbardziej pragnęła tego, by jej dziecko żyło i było szczęśliwe i bezpieczne. Nie mam prawa cię o to prosić, wiedząc, że miną lata, zanim uwolnisz się od tego ciężaru. Lecz przez wzgląd na zaufanie, jakie okazała ci Hinny... - podszedł bliżej, trzymając źrebię na wyciągniętych rękach.

Wiedziałam, że mój ojciec myślał o Hinny, najpiękniejszej klaczy, jaką kiedykolwiek spotkał, i o Błękitnym Ogierze, najwspanialszym rumaku; patrząc na źrebaka, widział w nim konia, któremu żaden inny na Phaze nie zdoła dorównać, wartego więcej niż można to sobie wyobrazić. I rozumiałam, że pod pretekstem prośby chłopiec oferował jako dar to, o czym marzył mój ojciec. Tak zwykł był postępować Błękitny.

Ojciec wziął źrebię w milczeniu i zaniósł je do stajni, gdyż potrzebowało

natychmiastowej opieki. Stałam, patrząc na chłopca. Coś drgnęło w mojej piersi, nie miłość, lecz rodzaj wdzięczności. Wiedziałam, że choć wygląda jak chłopiec i jest złym czarodziejem, to jednocześnie jest godnym szacunku mężczyzną. Skłonił przede mną głowę i odszedł w kierunku lasu, gdzie wcześniej szakale zaatakowały Hinny. Po chwili zobaczyłam oślepiający błysk, las stanął w płomieniach i dobiegł mnie skowyt płonących szakali. Przypomniałam sobie, w jaki sposób zniszczył kiedyś trolle, i ten akt zemsty przeraził mnie. Jednocześnie jednak rozumiałam go; ja też kochałam Hinny, a kto miałby tyle siły, by powstrzymać swą moc, gdy coś, co mu jest drogie, zostało zniszczone? Moc Adepta jest czymś przerażającym, ale czuliśmy wtedy to samo. Żadne stworzenie nie ośmiela się wzbudzić gniewu Adepta, w przeciwnym razie czeka je zguba. A jednak kiedy później pojechałam tam na grzbiecie Gwiazdeczki, las był żywy i zielony. Po szakalach pozostały tylko zwęglone szkielety, lecz nikt inny nie został skrzywdzony. Znowu zachwyciłam się mocą Adepta, równie przerażającą w swej precyzji, jak i potędze. Teraz już ojciec nie sprzeciwiał się oświadczydom Błękitnego i wyglądało to tak, jakby wymienił mnie na bezcenne żrebie. Gdy nadeszła stosowna pora, ogłoszono nasze zaręczyny, a potem poślubiłam chłopca, choć wcale nie żywiłam do niego miłości. On zaś zawsze był dla mnie dobry; stworzył to, co dziś nazywa się Błękitnym Królestwem, i zachęcał mnie do rozwijania i ćwiczenia sztuki leczenia wszelkich potrzebujących pomocy stworzeń, nawet trolli i demonów śnieżnych, a tych, których nie potrafiłam uleczyć, uzdrawiał sam za pomocą magii. Wielu z uleczonych było ludźmi i niektórzy zostali w zamku, chętnie spełniając funkcje strażników i służących, choć nie wiązał ich żaden kontrakt. Najczęściej jednak przychodziły do nas zwierzęta i żadnemu nie odmawiano pomocy, nawet tym uważanym za potwory, przynajmniej dopóki nie wyrządzały szkód. Nasze małżeństwo było wprost idealne. - Umilkła.

- Wdzięczny jestem za to, co mi opowiedziałaś - rzekł ostrożnie Stile.

- To nawet jeszcze nie połowa - odparła z nieoczekiwaną złością. - Nie kochałam go, a w każdym razie nie dosyć, a na naszym związku ciążyło przekleństwo. On o tym wszystkim wiedział, lecz mimo to traktował mnie z wielkim szacunkiem i czułością. Jakże go krzywdziłam!

To była prawdziwa niespodzianka.

- Na pewno przesadzasz! Nie mogę sobie wyobrazić, byś...

Pani najwyraźniej odczuwała potrzebę zwierzeń. Neysa leciutko poruszyła rogiem, nakazując mu milczenie, i Stile usłuchał.

- Przekleństwo związane było z wyborem mnie na żonę. Błękitny zapytał Wyrocznię o

idealną żonę dla siebie, lecz nie uwzględnił w pytaniu idealnej matki dla swoich dzieci. „Żadnych z pierwszym”, brzmiała część odpowiedzi i z czasem zrozumiałam, o co chodzi. Z tego małżeństwa nie miało być dzieci; Błękitne Królestwo miało pozostać bez następcy. W ten sposób wyrządzałam mu krzywdę. A moja miłość... - Wzruszyła ramionami. - Byłam taka głupia. Nie potrafiłam przestać myśleć o nim jako o chłopcu, wyrosniętym dziecku, choć przecież wiedziałam, że jest mężczyzną, a do tego istotą obdarzoną niezmierną wprost potęgą. Może to właśnie ta potęga podburzyła przeciwko niemu moje serce. Jak mogłam pokochać człowieka, który z taką łatwością niszczył każdego, kto wystąpił przeciwko niemu? Co stanie się, jeśli kiedyś wzbudzę jego gniew? A on, świadom mych wątpliwości, nie przymuszał mnie i tym zawiniłam. Tak żyliśmy przez lata...

Umilkła, emocje nie pozwalały jej dalej mówić. Stile także się nie odzywał. Pewne aspekty całej tej historii budziły w nim obawy, ale czuł, że lepiej wiedzieć wszystko.

- Te zmarnowane lata! - jęknęła Pani. - A teraz już jest za późno!

Krajobraz wokół nich stał się dziksz, tak jakby natura samą rzeźbą terenu pragnęła naśladować rozpaczliwe wyrzuty sumienia Pani. Stile wiedział, że były to zaledwie pagórki u stóp Gór Purpurowych, lecz mimo to zbocza i wąwozy stały się strome, a drzewa groteskowo powyginane. Murawa rosła tu gęsta i sprężysta; wierzchowce nie były zachwycone oparciem, jakie dawała ich kopytom. Stile uznał krajobraz za piękny, oryginalny, lecz jakby złowieszczy... zupełnie jak Błękitna Pani.

- Czy nie moglibyśmy ominąć tej okolicy? - spytał Neysę.

Jednorożec przecząco zagrał na rogu. Wyglądało na to, że jest to jedyna możliwa droga. Stile nie zamierzał się spierać; Neysa mogła przecież zwęszyć smoka lub inne niebezpieczeństwo i omijać je, zachowując bezpieczną odległość. Tak więc ostrożnie wybierali drogę w nierównym terenie i powolutku przybliżali się do głównego grzbietu gór.

Nagle wierzchowiec Pani parsknął nerwowo. Pani zmarszczyła brwi i łagodnie zachęciła go, by ruszył, lecz klacz skręciła w bok i stanęła spłoszona.

- To dziwne - zauważyła Pani, zapominając o targających nią emocjach. - Co się stało, Hinblue? - I wtedy jasne warkocze Pani same się uniosły, choć nie było wiatru.

Neysa parsknęła muzycznym akordem. Magia!

Stile wyciągnął harmonijkę.

- Nie, nie graj! - pospiesznie powstrzymała go Pani.

Nie chciała, by zdradził się ze swą mocą w bliskości ziem należących do Małego Ludu.

Jej włosy tańczyły w powietrzu i uderzały ją po twarzy, jakby obdarzone były własnym życiem, a klacz kręciła się coraz bardziej nerwowo. Neysa opuściła róg, szykując się do

walki.

- Tylko jedną melodyjkę - powiedział Stile. - Neysa i ja zagramy troszkę, by uspokoić twego wierzchowca. - I zebrać wokół siebie magię... na wszelki wypadek.

Zagrali w zaimprovizowanym duecie. Neysa grała cudownie, ale to muzyka Stile'a niosła ze sobą magię. Gromadziła się ona wokół nich jak chmura burzowa, a powietrze sprawiało wrażenie naładowanego elektrycznością.

W tej przesączonej magią atmosferze zaczęły pojawiać się niewyraźne sylwetki: drobne, smukłe, humanoidalne istoty o długich, rozpuszczonych włosach, przyodziane w białe szaty. Dotąd były niewidzialne, teraz dawało się dostrzec przezroczyście zarysy postaci; kolory pojawiały się powoli wraz z gromadzącą się magią. To moc Stile'a kazała się im ukazać. Jedna z istot unosiła się w powietrzu obok Pani, bawiąc się jej włosami

- Sidha,- szepnęła Pani. W jej ustach zabrzmiało to: Sziida. - Czarodziejski lud. Kpią sobie z nas.

Stile pytająco ścisnął Neysę kolanami. Poruszyła uszami - znak, że nie groziło im bezpośrednie niebezpieczeństwo.

Stile wciąż grał i eteryczne sylwetki uzyskiwały coraz bardziej materialne kształty.

- Och, Sidha - rzekła Pani. - Dlaczego nas zatrzymujecie? Nie szukamy przecież z wami zwady.

Odpowiedział jej mężczyzna-chochlik.

- Bawiliśmy się tylko z wami, tak jak to często czynimy ze stworzeniami nieświadomymi naszej obecności. Niewinne figle są radością naszego ludu. - Jego głos był cichy, delikatny i pobrzmiwał w nim lekki plusk wesołego strumyczka. Stile uświadomił sobie, jak łatwo pomylić taki głos z naturalnymi dźwiękami wody, wiatru, szeleszczących liści.

- A ty? - spytała dziewczyna-chochlik Stile'a, który nie odrywał harmonijki od ust. - Cóż za przyczyna skłoniła ciebie, elfa, do podróżowania razem z ziemską kobietą? - Jej cichy głos przypominał gruchanie gołębi i miał w sobie uwodzicielską słodycz, a twarz i figura mogły należeć do anioła.

Stile odłożył harmonijkę. Chochliki pozostały widzialne; teraz, kiedy zostały złapane na gorącym uczynku, nie miały po co stawać się na powrót niewidzialne.

- Jestem człowiekiem - odparł Stile.

- Człowiek na jednorożcu? - zaśmiała się pogardliwie dziewczyna. - Nie, już raczej jesteś ogromnym koboldem służącym w domostwie ludzkiej pani. Lecz nie na długo ją oszukasz! Chodź, dam ci radość bardziej odpowiednią dla naszej rasy. - Podskoczyła lekko, a

jej spódnica uniosła się, odsłaniając zgrabne nogi.

- Ale my nie należymy do tej samej rasy - upierał się nieco zaciekawiony Stile.

- Tak od razu dajesz mi kosza? - parsknęła i z jej włosów strzeliły szybko gasnące iskry. - Pożałujesz tego, niewdzięczniku.

Neysa wymierzyła róg w psotnicę, która zręcznie uskoczyła na bok. Ten czarodziejski lud nie musiał obawiać się ludzkiej broni, lecz róg jednorożca był sam w sobie magiczny, a zatem groźny dla wszelkich stworzeń.

Stile uniósł harmonijkę do ust.

- O tak, graj! - wykrzyknęło dziewczę. - Wybaczę ci twój nietakt, jeśli zagrasz nam do tańca.

Był to z jej strony manewr, mający oszczędzić jej poczucie godności, lecz Stile nie protestował. Nie chciał na razie otwarcie posługiwać się magią. Grał, a Neysa wtórowała mu; melodia była zdumiewająco lekka i miła dla ucha. Stile był zupełnie niezłym muzykiem, zanim przybył na Phaze, a od tego czasu stale doskonalił swą sztukę.

Sidhowie zebrali się i ustawili w powietrzny korowód. Tańczyli, wirując w parach, śpiewając i klaszcząc w drobne dłonie. Mężczyźni mieli około czterech i pół stopy wzrostu, krótkie, kręcone brody i pokryte odciskami dłonie. Kobiety były o pół stopy niższe, drobne, delikatnej budowy. Obracali się w tańcu i podskakiwali; dziewczyny z radosną beztroską unosiły spódnice, mężczyźni stepowali, wykonując wyszukane figury taneczne. Całe przedstawienie było niezwykle piękne i pełne radości.

Po jakimś czasie eteryczna dziewczyna podплыnęła w powietrzu do Stile'a. Usadowiła się na rogu Neysy, co nieco zirytowało klacz. Dziewczyna oddychała szybko, jej pełne piersi rytmicznie wznosiły się i opadały.

- Możesz już przestać, duży elfie; wybaczam ci! - zawołała. - Teraz chodź i tańcz ze mną, dopóki nie zajdzie słońce, a twój rumak będzie nam grać na rogu. - I wyciągnęła ku niemu małą rączkę.

Stile zerknął na Błękitną Panią; skinęła głową. Neysa poruszyła łopatkami. Obie najwidoczniej uważały, że lepiej spełnić kaprysy czarodziejskiego ludu, niż się im sprzeciwiać. Na razie wszystko szło świetnie; lepiej nie psuć im zabawy - takie istoty potrafią być bardzo nieprzyjemne, gdy sieje rozniewa, a mają raczej wybuchowy temperament. Stile zdążył już to zauważyć, obserwując zmienne reakcje małej damy.

A jednak odmówił, choć bardzo dyplomatycznie.

- Piękny duszku, nie mogę tańczyć w powietrzu bez magii. - Był zdecydowany w żadnym wypadku nie ujawniać swej prawdziwej natury. Zrozumiał już, że Adepci nie cieszą

się wśród Małego Ludku większym poważaniem niż wśród zwykłych ludzkich istot.

- A więc przyłączę się do ciebie na ziemi - odparła, lekko opadając na murawę. I nagle, onieśmielona, dodała: - Nazywają mnie Puszkiem Ostu.

Stile zeskoczył z grzbietu Neysy.

- Jestem Stile. - Był prawie o stopę od niej wyższy i zaczynał czuć się jak olbrzym. Czy tak patrzył na świat Hulk?

- Przelaz między pastwiskami? - zaśmiała się dziewczyna, prawidłowo interpretując jego imię. I zakręciła się w piruecie, który uniósł jej spódnicę i ukazał piękne, szczupłe nogi. Był to typowy dla niej gest.

Na Protonie, gdzie wszyscy niewolnicy chodzili nago, niemożliwe były takie efekty, które teraz wydały mu się bardzo pociągające, choć jednocześnie wprawiały go w zakłopotanie. Jedno zerknięcie lepsze jest od ciągłego oglądania; miało w sobie smak niespodzianki i tajemnicy. Stile zrozumiał, że ubranie ma także swoją magię.

Przez większość życia na Protonie uczestniczył w Grze. Jedną z dziedzin była sztuka, a jedną z dyscyplin sztuki - taniec. Stile był atletą i gimnastykiem, miał poczucie rytmu i dobrą pamięć. Tak więc umiał tańczyć nie gorzej od innych, a nawet lepiej niż większość ludzi. Obserwował i przeanalizował układy tańca chochlików i dobrze je rozumiał. Jeśli dziewczyna chciała zrobić z niego głupca i zabawić swoich przyjaciół, czekało ją rozczarowanie.

Zakręcił się w piruecie, powtarzając wyczyn Puszka.

Rozległo się słabe, pełne zdumienia „Ooch” i wszystkie chochliki zamieniły się w widownię. Tak, miały zamiar zabawić się jego kosztem.

Dziewczyna radośnie rzuciła mu się w ramiona, a Stile wykonał z nią obrót, dokładnie tak, jak robili to Sidhowie. Jej głowa ledwo sięgała mu do ramienia, była lekka jak piórko i gibka, toteż słodko tuliło się ją w objęciach. Podskoczyła, wyrzucając nogę wysoko w powietrze jak baletnica - o tak, naprawdę lubiła pokazywać nogi! - a Stile lekko podtrzymał ją za rękę. Wróciła w jego ramiona, unosząc się nieco w powietrzu, i ich usta zetknęły się w przelotnym pocałunku, który musnął go i rozpląnął się jak powiew chłodnej mgły.

Przez krótką chwilę tańczyli obok siebie, a potem Stile wyrzucił ją w powietrze, tak że wykonała pełen gracji obrót, i zręcznie złapał ją w talii. Była tak lekka, iż wszystkie figury wykonywali z niezwykłą łatwością; sprawiało mu to coraz większą przyjemność. Stile z każdą chwilą czuł się coraz bardziej olbrzymem, którym nigdy dotychczas nie był, i w cichości ducha bardzo mu się to podobało.

Kiedy pokaz zakończył się, widzowie wesoło zaklaskali.

- Musiałaś już kiedyś tańczyć! - zawołała Puszek Ostu, a jej pierś falowała podniecająco. - A przecież twierdzisz, że jesteś człowiekiem!

- Ludzie też umieją tańczyć - stwierdził Stile. - Pani, której służę, tańczy równie dobrze. - Miał nadzieję, że to prawda; wprawdzie wiedział, że jazda konna nie jest Pani obca, lecz nigdy nie widział jej tańczącej! No, ale przecież chyba umie!

Neysa zatrąbiła ostrzegawczo. Ale było już za późno. Stile, który nigdy nie miał do czynienia z chochlikami, popełnił kolejną gafę. Puszek Ostu uśmiechnęła się złośliwie do Błękitnej Pani.

- Tak twierdzisz? - spytała głosem ostrym jak trzask gałęzi łamiącej się pod ciężarem śniegu. - Masz w sobie krew elfów, to pewne, lecz ona jest zwykłą, ziemską kobietą. Zobaczymy, jak tańczy, - I chochliki otoczyły Panią kołem.

Wpakował ją w tę sytuację i teraz musi ją z niej wydostać. Podszedł do Pani, która właśnie zsiadała z konia. Nie mógł nawet przeprosić; to by ich zdradziło. Musiał blefować...i miał nadzieję, że Pani zechce pójść w jego ślady.

Błękitna Pani uśmiechnęła się tajemniczo i ujęła podaną jej dłoń. Świetnie, przynajmniej jej partnerem będzie człowiek. Taniec ze skorym do figli, niziutkim chochlikiem musiałby zakończyć się pełną klapą. Stile przynajmniej będzie tańczyć na ziemi.

Ich taniec musiał być z konieczności pełną improwizacją - nie mieli czasu na próby. Stile miał nadzieję, że Pani przeanalizowała formy tańca Sidhów równie dokładnie jak on. Pozostawił więc jej inicjatywę, by móc się zorientować, czego od niego oczekuje.

To, co nastąpiło, było dla niego kompletnym zaskoczeniem. Pani, wyższa od niego i prawie jego wagi, była jednak zręczna i lekka. Kiedy wykonywał z nią obrót, czuł, że jest cięższa od Puszka, ale poruszała się z pełną precyzją. Nie próbował nawet podrzucać jej w powietrze; miała jednak na tyle dobrze rozwinięty zmysł równowagi, że mógł wykonywać z nią obroty i podnoszenia. Powtarzała każdy jego ruch, każdy krok i skok. Była naprawdę najlepszą tancerką, jaką znał.

Tańcząc z nią, czuł się jak w niebie. Uwierzył nawet na chwilę, że do niego należy. Kiedy tańczyli obok siebie, podziwiał grację i symetrię jej ruchów; gdy wirowali razem, obejmowanie jej było rozkoszą. Pragnął, by taniec ten nigdy się nie skończył.

Ale Neysa skończyła właśnie swą grę i występ nie mógł już dłużej trwać. Sidhowie klaskali.

- Ach, ona naprawdę umie tańczyć! - zgodziła się z żalem dziewczyna-duszek. - Może ma kroplę krwi elfów w swych żyłach. Zawstydziliście nas; jesteśmy wam winni przeprosiny. Chodźcie na noc do naszej wioski.

-Nie możemy im odmówić - szepnęła mu do ucha Błękitna Pani. Była rozgrzana tańcem i Stile zapragnął objąć ją i pocałować. Ale to byłaby gafa, której nie miał zamiaru popełniać.

Nagle w stromym zboczu góry otworzyły się drzwi. W środku było jasno i ciepło. Korytarz w głąb góry był wystarczająco szeroki, by pomieścić ich rumaki, które też zostały zaproszone. Weszli więc do wioski chochlików.

Wnętrze góry okazało się zdumiewająco obszerne. Z technicznego punktu widzenia musiała to być jaskinia, lecz wyglądała zupełnie jak leśna polana nocą; czarne ściany były zupełnie niewidoczne. Pośrodku wesoło płonął ogień. Wszystko było już gotowe do uczty: antałek likieru, smakowicie pachnące wypieki, świeże warzywa, garnce z pieczonymi kartoflami, naczynia pełne mleka, miodu i rosy. Dla zwierząt przyniesiono ziarno i wonne siano; opodal połyskiwał strumyk.

Stile przypomniał sobie nagle swoje dziecięce lektury.

- Czy nie jest tak, że jeśli człowiek weźmie do ust pożywienie chochlików, to będzie musiał zostać z nimi na zawsze? Mamy jeszcze wiele do załatwienia gdzie indziej...

Puszek Ostu zaśmiała się, śmiech zabrzmiał jak deszcz uderzający o spokojną toń stawu.

- A więc rzeczywiście należysz do innej rasy! Jak mogłeś w to uwierzyć? Jest zupełnie na odwrót: kiedy ktoś z Sidhów odrzuci swoje jedzenie i weźmie pożywienie śmiertelników, stanie się jednym z nich. I to dopiero jest tragedia.

Stile zawstydzony zerknął na Neysę. Zagrała potwierdzającą nutę... Nie było żadnego niebezpieczeństwa. Puszek mówiła prawdę, a w każdym razie o tyle, że nie było powodu do zmartwienia. A więc znowu popełnił gafę, tym razem na szczęście drobną: Sidhowie byli rozbawieni.

Zasiedli do jedzenia; uczta okazała się znakomita. Po kolacji, przyjemnie nasyceni, skorzystali z urządzeń sanitarnych, ukrytych wśród pola muchomorów, i ułożyli się na niewidzialnych hamakach, zastępujących łóżka.

Stile'owi było tak wygodnie, że zapadł od razu w sen, i spał głęboko, dopóki promienie światła nie spoczęły na jego twarzy.

Zaskoczony rozejrzył się. Leżał na posłaniu z paproci we wgłębieniu niewielkiego wąwozu. Żadnej jaskini, niewidzialnych hamaków, wioski chochlików! Błękitna Pani zdążyła już wstać; nazbierała owoców z pobliskiego drzewa. Neysa i Błękitka pasły się spokojnie.

Stiie był speszony.

- Ta ostatnia noc... pamiętam... Sidhowie... czy może śniło mi się?

Błękitna Pani podała mu owoc granatu.

- Śniłeś o tańcu z chochlikami? O uczcie? O tym, że nadużyłeś ich nikczemnej rosy tak bardzo, że zasnąłeś jak kamień na niewidzialnym hamaku? To musiał być sen, bo ja sobie nic takiego nie przypominam.

Neysa parsknęła muzyką i śmiechem.

- Aha - zgodził się Stile i skoncentrował całą swą uwagę na owocu. Ciekawe, czy twarz miał równie czerwoną jak sok granatu? A więc Sidhowie mimo wszystko zrobili mu kawał. Ale miło było popatrzeć na Panią, której humor najwyraźniej uległ poprawie.

- Lecz muszę przyznać, że w tym śnie tańczyłeś wprost bosko. - Pani zamyśliła się na chwilę, lecz wkrótce powróciła do rzeczywistości. - Jeśli natychmiast nie podniesiesz swego leniwego ciała, nie uda nam się na czas odnaleźć Platynowych Elfów i nie będziesz mógł zabawić się w tę innoświatową grę razem z twą mechaniczną kochanką.

Co za ironia! Protoński Turniej nie był żadną zabawą, lecz sprawą niemalże życia i śmierci. Stile podniósł się pospiesznie.

- Jeden dzień i jedna noc... potem muszę zgłosić się do drugiej rundy Turnieju.

Szybko zebrali się do drogi. Noc spędzili dobrze; i ludzie, i wierzchowce nabrali świeżych sił. Neysa i Hinblue stąpały dziarsko, pokonując zbocza, wąwozy i wzgórza. Neysa, zdając sobie sprawę z możliwości zwykłego konia, nie nadawała zbyt ostrego tempa, lecz mimo to szybko pokonywali kolejne mile. Błękitna Pani świetnie jeździła konno. Stile mógł być na Phaze najlepszy, ale ona niewiele mu ustępowała.

Gdzieś po godzinie Stile dostrzegł coś kątem oka.

- Stop - szepnął. Neysa, czujna na najmniejsze drgnienie jego mięśni, zdążyła już zawrócić.

- Coś się stało? - spytała Błękitna Pani, unosząc brew.

- Zasłona - odparł Stile. - Właśnie ją minęliśmy. Muszę zapamiętać, gdzie przebiega, na wypadek przyszłej potrzeby. Być może istnieje jeszcze wiele dogodnych przejść na Proton, o których nic nie wiem.

- Od czasu do czasu żałuję, że nie mogę jej przekraczać - rzekła tęsknie Pani. - Ale nawet trudno mi ją zobaczyć.

- O, jest tutaj - wskazał Stile. - Przebiega z północnego wschodu na południowy zachód, przecinając Purpurowe Góry. Oczywiście jej linia między punktami odniesienia nie musi być prosta, ale...

Pani machnęła ręką.

- Przejdź przez nią, mój panie, i sprawdź, dokąd prowadzi. Tylko nie zapomnij wrócić, bo mogę umknąć wraz z twym wierzchowcem.

Stile roześmiał się i jednym zaklęciem przeniósł się na drugą stronę zasłony.

Było tam ponuro i gorąco. Typowa dla Protonu chmura zanieczyszczeń wydawała się trochę cieńsza, lecz mimo to odległa kopuła utworzona przez pole siłowe będzie majaczyła we mgle. To nie było dobre miejsce do przejścia; lepszy byłby sektor zasłony przechodzący przez samą kopułę lub w jej pobliżu. No cóż, trzeba było sprawdzić. Z ulgą wypuścił powietrze z płuc i siłą woli przeniósł się na Phaze, przechodząc przez lekko migoczącą ścianę.

Z zadowoleniem spojrzął na bujną zieleń rozpościerającą się wokół niego. Jak straszliwie zniszczyli obywatele powierzchnię Protonu - i to wszystko w imię postępu!

- Wiem już wszystko. Możemy jechać.

- Gdybym jednak była w stanie przejść na drugą stronę - zauważyła Pani - oznaczałoby to, że Hulk zostałby sam.

Koło południa dojechali do granic Platynowego Królestwa; tak przynajmniej obwieszczały ustawione przez elfy znaki ostrzegawcze.

Stile odkorkował podarowany mu przez Żółtą Adeptkę flakonik z wywarem i obficie skropił dłonie i twarz. Zaofiarował też trochę Pani, lecz odmówiła; nie miała zamiaru pachnieć jak elf. Zresztą nie była dla nikogo zagrożeniem i Stile liczył na to, że wszystko skończy się dobrze.

Platynowe Królestwo znajdowało się w obrębie głównego pasma Purpurowych Gór. Prowadząca tam droga oznaczona była schludnym drewnianym znakiem: Pt78. Stile uśmiechnął się, rozpoznając naukowy symbol i liczbę atomową platyny; sygnał wpływów Protonu. Widocznie ten Mały Ludek posiadał poczucie humoru lub też jedności światów.

Pojechali wąskim szlakiem. Zbocza gór stawały się po obu stronach coraz bardziej strome, prawie pionowe. Łatwo byłoby zepchnąć z nich kamienie i głazy; zmiażdżyłyby każdego, kto miałby pecha znaleźć się na ich drodze. Może z wyjątkiem jakiegoś ogra lub Adepta. Stile trzymał w pogotowiu harmonijkę i powtarzał w myśli zaklęcie, które wymyślił dla odepchnięcia głazów. Nie chciał co prawda używać tu magii, lecz tym mniej pragnął zostać ukamienowany.

Dotarli do mostu wiszącego nad głęboką, ciemną przepaścią, zbyt szeroką, by Neysa mogła ją przeskoczyć. Most był tak wąski i chwiejny, że z pewnością nie wytrzymałby ciężaru konia. Neysa mogła oczywiście przekształcić się i przejść po nim, lecz nie rozwiązałoby to problemu Hinblue. Stile rozważał przez chwilę możliwość przeniesienia konia za pomocą magii, lecz zrezygnował z tego pomysłu; Platynowe Elfy mogły ich obserwować. A więc przejdą trudniejszą drogą, nie korzystając z mostu. Może była to

rozmyślna przeszkoda, mająca testować charakter intruzów i oddzielać naturalne od magicznego, lub też - co bardziej prawdopodobne - elfy nie życzyły sobie konnych szarż przez swoje Królestwo.

Na dno przepaści prowadziła wąska ścieżka, po drugiej stronie wąwozu widać było podobną. Prawdopodobnie łączyły się gdzieś na dole. Stile i Pani ruszyli w dół, wierzchem, gdyż ich konie nie miały zaufania do ich umiejętności pokonywania podobnych przeszkód. Mimo to Stile cały czas trzymał harmonijkę w pogotowiu. Dotyk instrumentu muzycznego przypominał mu, że znalazł się tu w poszukiwaniu fletu. Jakiż może mieć z niego pożytek? Potrzebował broni. Cóż, niedługo się dowie!

Szczęśliwie ścieżka nie schodziła na samo dno. Zaprowadziła ich do szerokiej półki skalnej wychodzącej daleko poza krawędź ściany, dzięki czemu przepaść zwężała się tak, iż wierzchowce mogły ją bezpiecznie przekroczyć. Szlak prowadził dalej, lecz nie pojechali nim. Przeskoczyli szczelinę i ruszyli pod górę, do przeciwnej strony wąwozu. Stile czuł od czasu do czasu dobywający się z dołu gorący podmuch niosący ze sobą zapach siarki. Bardzo mu się to nie podobało.

Wspięli się na górę i ruszyli ścieżką dalej. Byli teraz dużo wyżej, blisko wierzchołków; wyjechali zza zakrętu i teren przed nimi stał się nagle płaski... Do licha! Nie opuścili jeszcze pogórza. Prawdziwe góry widać było na horyzoncie; utrzymywał się na nich śnieg, lecz był to śnieg koloru purpury.

Na tym płaskim kawałku terenu ujrzeli pagórek porośnięty murawą i dzikim winem. Ścieżka prowadziła prosto do niego; pagórek był w rzeczywistości kamiennym wejściem.

- Myślę, że jesteśmy na miejscu - mruknął Stile, zeskakując na ziemię.

- I jak sądzę, tak szybko go nie opuścicie - odezwał się ktoś z tyłu.

Stile odwrócił się i ujrzął na ścieżce niskiego mężczyznę. Obcy był o jakieś cztery cale mniejszy od Stile'a, ale za to bardziej krępy. Jego skóra miała odcień przezroczystego błękitu, a ubranie było stalowoszare.

- Jesteś elfem - oznajmił Stile. - Przybyłem tu z prośbą do tych, które pracują w platynie.

- To prawda, że zajmujemy się wyrobami z platyny - przyznał elf - lecz nie mamy zwyczaju spełniać prośb obcych. Ty i twoja ludzka towarzyszka jesteście teraz naszymi więźniami. - Machnął lśniącym mieczem. - Wejdźcie do kurhanu; zwierzęta dołączą do naszego stada na zewnątrz.

Neysa skierowała róg w stronę aroganckiego elfa, lecz Stile ostrzegawczo oparł dłoń na jej grzbiecie.

- Przyszliśmy tu z prośbą, musimy ustąpić - szepnął. - Jeśli będą nas źle traktować, możesz działać tak, jak uznasz za stosowne. A jeśli zobaczysz, że zostałem związany, uwolnij mi ręce, bym mógł grać.

Neysa prawie niezauważalnie poruszyła rogiem. Jeśli Stile będzie mógł grać, zgromadzi wokół siebie siły magii i poradzi sobie z sytuacją. Ryzyko było mniejsze, niż się wydawało. Stile i Pani pozwolili się zaprowadzić do środka kurhanu.

Wnętrze było ponure; słabe światło sączyło się przez filtrujące je otwory. Stało tam kilku uzbrojonych elfów odzianych tak jak i pierwszy, którego spotkali. Ich wódz podszedł i przyjrzał się Stile'owi i Pani, tak jakby byli świeżo kupionymi zwierzętami. Podchodząc do Stile'a, pociągnął nosem.

- Ten jest elfem - oznajmił - lecz kobieta należy do ludzkiego rodu. Jego pošlemy do pracy w kuźni, a ją oddamy bestii.

- To w taki sposób witacie gości przybyłych tu handlować z wami w pokoju? - spytał Stile. Nie mógł przecież pozwolić, by obrażano Błękitną Panią.

- Milcz, więźniu! - krzyknął elf, próbując uderzyć Stile'a w twarz.

Cios oczywiście nie dosięgnął celu. Stile uskoczył, mocno złapał ramię elfa i go obezwładnił. - Nie wyobrażam sobie, by starsi twego plemienia byli aż tak niegościnni - powiedział łagodnie. - Proponuję, byś ich teraz wezwał.

- Nie ma potrzeby - zabrzmiał nowy głos. Należał do wątego, starego elfa o długiej brodzie i poczeriałych, pomarszczonych rękach i twarzy. - Strażnicy, odejdźcie! Sam się tym zajmę.

Stile puścił swego więźnia i młodszy elfowie zniknęli w szparach i wgłębieniach komnaty. Starzec zwrócił się do Stile'a.

- Jestem Pyreforge, wódz plemienia Czarnych Elfów z Platynowego Kurhanu. Wybacz niegościnnosc okazaną przez naszą niecierpliwą młodzież. To twój wzrost obudził ich niechęć, gdyż wzięli cię za gigantycznego elfa.

- Gigantycznego! - wykrzyknął rozbawiony Stile. - Mam tylko cztery stopy i jedenaście cali.

- A ja cztery stopy i pięć cali - odparł Pyreforge. - Oszukał nas zapach twego wywaru i twój wzrost. Czemu zawdzięczamy wizytę Pani i Błękitnego Adepta?

- Nie sądziłem, że tak łatwo mnie rozpoznacie. - Stile uśmiechnął się z zalem.

- Nie było to łatwe. Wiele czasu zajęło mi przeszukanie wszystkich źródeł w pogoni za istotą odpowiadającą twemu opisowi. Przejrzałem na próżno wszystkie rasy elfów. Zdradził cię jednorozec, choć przyznam, że sądziliśmy, iż Błękitny nie żyje...

- Neysa nigdy...

Stary elf uniósł wyschlą dłoń.

- O nic nie pytałem jednoroźca. Jednak tylko jedna istota dosiada jednoroźca i podróżuje z najpiękniejszą z dam. To samozwaniec, podający się za Błękitnego Adepta... który, jak sądzę, wkrótce przestanie być uważany za samozwańca.

Stile odprężył się.

- No tak. Twoje źródła muszą być wyjątkowo dokładne.

- Rzeczywiście. Choć jednocześnie są irytująco niekompletne. Czy to prawda, że pojawiłeś się tu niedawno w przebraniu twego zamordowanego poprzednika i gdy wilkołaki i jednoroźce wyraziły wątpliwość co do twej istoty, rzuciłeś dwa zaklęcia, z których pierwsze było niejednoznaczne, a drugie takie, jakiego tu nigdy nie widziano, co zapewniło ci pozycję najpotężniejszego maga tego świata, choć jesteś jeszcze nowicjuszem?

- To jest w pewnym sensie zgodne z prawdą - odparł mocno zaskoczony Stile.

Nie oceniałby aż tak wysoko swych magicznych umiejętności pokazanych przy tamtej okazji. Była to raczej siła jego uczuć, a nie wyjątkowa biegłość w rzucaniu zaklęć.

Widząc, że przywódca elfów jest bardzo nim zainteresowany, dorzucił kilka szczegółów.

- Pochodzę z Protonu, przyszedłem tu, by przejąć na Phaze władzę mego sobowtóra i naprawić zło wywołane przez jego śmierć. Kiedy Główny Ogier Stada jednoroźców wyzwiał mnie, bym pokazał swe magiczne umiejętności, wyczarowałem wokół niego ogrodzenie. A gdy moja klacz poświęciła dla mnie swe ambicje, złożyłem jej przysięgę przyjaźni. Okazała się silniejsza, niż sądziłem.

Elf pokiwał głową.

- Aha. A jednoroźce i wilkołaki żyją odtąd w zgodzie. Zaprawdę jesteś Adeptem.

- Lecz nie jestem wszechmocny. Muszę jeszcze raz stanąć do walki z Ogierem, tym razem na Roźcolimpiadzie, a bez magii nie jestem dla niego godnym przeciwnikiem. Wyrocznia przysłała mnie tu, bym pożyczył od was Platynowy Flet.

- Teraz wszystko jest jasne. Flet rzeczywiście byłby dla ciebie wielką pomocą. - Ale głos elfa był zimny.

- Miło mi to usłyszeć - stwierdził Stile. - Mówiono mi, że muzyka ułagodzić może najdziksze serca, ale czy uczyni to z sercem zwierzęcia...

Starszy elf zmarszczył brwi.

- Zabronione jest pożyczanie tego instrumentu, choćby na chwilę, człowiekowi, a zwłaszcza Adeptowi. Czyżbyś nie znał potęgi Fletu?

Stile pokręcił głową.

- Wiem tylko to, co powiedziała Wyrocznia.

- Nie ma potrzeby niczego ukrywać. Ten, kto ma Flet, jest odporny na siłę unicestwiającą magię. Są też inne zalety, lecz ta jest najważniejsza.

Stile zastanawiał się przez moment. Dla zwykłej istoty Flet nie miał większego znaczenia, lecz dla stworzenia magicznego, takiego jak wilkołak... Flet chronił jego zdolność do przekształcania się, a to w pewnych sytuacjach mogło być sprawą życia i śmierci. Dla Adepta zaś...

Mając Flet, Stile mógł korzystać ze swych magicznych talentów, nawet stojąc w niszczącym magię kręgu jednorożców. Ogier nie będzie mógł stawić mu czoła. Wyrocznia mówiła prawdę; Stile potrzebował tego instrumentu.

W tym samym momencie zrozumiał, dlaczego Lud Kurhanu nie chciał mu go udostępnić. Istnienie różnych unicestwiających magię przedmiotów i stworzeń uniemożliwiało Adeptom osiągnięcie władzy absolutnej. Gdyby jakiś Adept zdobył dla siebie Platynowy Flet, jego moc nie miałaby żadnych granic.

- Rozumiem twe obawy - powiedział Stile - a nawet je podzielam. Tacy jak ja nie powinni posiadać podobnych przedmiotów.

Błękitna Pani przechyliła pytająco głowę.

- Wiem, że ty nie zrobisz niewłaściwego użytku ze swej mocy.

- Lecz jak Lud Kurhanu może mieć taką pewność? - spytał Stile. - Władza korumpuje. A jeśli inny Adept odbierze mi Flet, to co wtedy?

- Dobrze, że to rozumiesz - rzekł starszy. - Wyrocznia często dostarcza informacji niemożliwych do wykorzystania, choć prawdziwych. My, elfy, szcycimy się naszymi wyrobami i często wymieniamy je na przedmioty o równej im wartości. Lecz Flet jest czymś specjalnym; kosztował naszych najlepszych rzemieślników wiele lat pracy i jest naszym najcenniejszym i najpotężniejszym dziełem. Nic nie dorównuje mu wartością. Żadne plemię nie ma podobnego przedmiotu; ani ci, którzy pracują w złocie, ani w srebrze, żelazie, drewnie czy kości. Naszym tworzywem jest królewski metal; kontrolujemy kopalnie platyny; jedynie my posiadamy umiejętności i zaklęcia pozwalające nadać jej pożądany kształt. Nie prosisz o byłe błyskotkę, Adecpcie.

- To prawda - zgodził się Stile - lecz powiedz, czy Wyrocznia oferowałaby radę, której w żaden mądry sposób nie dałoby się wykorzystać?

- Nigdy. Nazwałem ją nieużyteczną, mając na myśli to, że z pewnością jest jakiś łatwiejszy sposób na osiągnięcie twego celu niż ten. Zła interpretacja może unicestwić

wartość słów Wyroczni, ale zawsze zawierają one prawdę. Musi być i tu jakiś sposób. A więc zawrzemy z tobą układ, jeśli znajdziemy na to metodę. Wiesz przecież, że będziesz musiał zapłacić nawet za najkrótsze wypożyczenie Fletu.

- Gotów jestem do każdej uczciwej wymiany, choć nie wiem, co mogłoby być jej przedmiotem.

- Niewiele potrzebujemy od istot twego gatunku.

- Istnieje wiele rzeczy, które mógłbym zrobić, gdybyście gotowi byli zgodzić się na użycie magii w waszym królestwie. Czy nie ma czegoś, co wymagałoby talentów Adepta?

Pyreforge z powagą rozważył jego słowa.

- Są tylko dwie rzeczy. Mniejsza z nich nie jest zadaniem dla człowieka, a większa i dla nas jest jeszcze zagadką. Wiemy tylko, że wykonana musi być przez najlepszego ze śmiertelnych muzyków na Phaze.

- Nie zaliczylibym siebie do najlepszych, lecz mam pewne muzyczne umiejętności.

- Wystarczające, by zagrać na Flecie? - Pomarszczony elf uniósł wyschniętą brew.

- Jestem obznajomiony z techniką gry na flecie. Powinienem umieć zagrać i na waszym Platynowym Flecie, chyba że wiąże się z tym jakiś zakaz.

Elf znowu się zastanawiał. Był wyraźnie zakłopotany.

- Powiedziane jest, że ten, którego gra wstrząśnie naszą górą, będzie zapowiadany od dawna wybawcą Phaze. Sądziś, że nim jesteś?

- Wątpię. - Stile rozłożył ręce. - Nie wiedziałem nawet, że coś zagraża Phaze.

- Wyrocznia o tym wie. Jeśli czas decyzji nadciąga... - Pyreforge smutnie pokiwał głową. - Czuję, że musimy wypróbować cię na Flecie, choć napęlnia mnie to obawą. - Zerknął w stronę szczeliny, w której krył się strażnik. - Czy na zewnątrz jest jasno?

Strażnik pospiesznie wybiegł z jaskini. Wrócił po chwili.

- Niebo jest zachmurzone i zasłonięte mgłą. Na pewno nie rozwieje się w ciągu najbliższej godziny.

- A więc możemy zebrać się na zewnątrz. Zwołaj nasz szczep. - Strażnik zniknął. - To nie jest błaha sprawa, Adeptcie. Flet, nawet nie używany, ma moc chroniącą magię swego posiadacza. I gdybyś nas oszukał, musielibyśmy zginąć co do jednego, usiłując ci go odebrać i zabijając cię, o ile tylko zdołalibyśmy. Sądzę, że możemy ci zaufać, i gotów jestem zaryzykować; stawką jest moje życie.

Stile'owi też się to nie podobało, lecz nie wiedział, w jaki sposób zmniejszyć obawy elfa.

- Niech twoi wojownicy skierują broń przeciwko mnie - powiedziała Błękitna Pani. -

Mój mąż cię nie zdradzi.

Pyreforge pokręcił głową.

- Nie leży to w naszym zwyczaju, pani, bez względu na ignorancję niektórych spośród nas. A zresztą nie pomoże to przeciwko mocy typowego Adepta, który władzę ceni sobie ponad wszystko.

- Twe obawy są usprawiedliwione. Gotowa jednak jestem zaryzykować życie, wierząc w uczciwość mego pana.

- Nie ma potrzeby, pani. - Uśmiechnął się elf. - Moje życie wystarczy. Żaden zakładnik nie zapewni pokoju w moim królestwie, gdy wejdzie do niego Adept. Robię to tylko ze względu na słowa Wyroczni i na me księgi, sugerujące powagę sytuacji. Los kieruje nami jak kukiełkami w teatrze i nie pyta, co chcielibyśmy robić. - Zwrócił się znów do Stile'a. - Pełna moc Fletu ujawni się tylko w rękach tego, kto jest jego panem i komu został on przeznaczony. To my zrobiliśmy Flet, lecz nie możemy go użyć; tylko ten, którego przyjście przepowiedziano, może wykorzystać wszystkie możliwości instrumentu. Kiedy nadejdzie, skończy się obecny porządek. Dlatego też nie możemy podarować Fletu żadnej innej osobie.

- Chcę go tylko pożyczyć - przypomniał Stile.

Nie wyglądało to obiecująco. Jeśli on nie okaże się tym przepowiedzianym, nie pozwolą mu pożyczyć Fletu, jeśli zaś nim będzie, to czekało go coś o wiele gorszego niż pojedynek z Ogierem.

Wyszli na zewnątrz. Pokrywa chmur była teraz grubsza, zasłaniała znajdujące się powyżej nich góry, wisiała nisko nad głowami, jak sufit ogromnej komnaty. Elfy zebrały się na murawie wokół kurhanu. Przyszli wszyscy, starzy i młodzi, nawet kobiety i dzieci. Wielu z mężczyzn było przystojnych i szczupłych, a niektóre z kobiet wprost fenomenalnie piękne, lecz kilku miało skórę pomarszczoną i szerniałą jak u starszego. Stile znalazł się w centrum ogólnego zainteresowania; widział, jak mierzyli go wzrokiem, zaniepokojeni jego wysokim dla nich wzrostem. Czuł się wśród nich niczym prawdziwy olbrzym, ale to uczucie nie sprawiało mu już radości. Przez całe życie pragnął być wyższy; teraz widział, że wysoki wzrost nie jest jedynie zaletą, a może nawet wcale nią nie jest. Hulk próbował mu to wytłumaczyć. To nie wzrost stanowił problem, problemem było to, że jest się innym od reszty.

- Jesteśmy Czarnymi Elfami, światło słoneczne nie przefiltrowane przez chmury szkodzi nam - wyjaśnił starszy elfów. - Kiedy trafia nas promień słońca, zamieniamy się w kamień. Dlatego tak ważna jest dla nas obecność mgły i dlatego też zamieszkaliśmy w tych często zakrytych chmurami górach. Dniem rzadko opuszczamy nasze kurhany. Lecz tak jak

wszystkie elfy, kochamy taniec i nocą, gdy jesteśmy bezpieczni, a księżyc jasne świeci, wychodzimy na zewnątrz. W młodości byłem nierozważny; promień słońca przebił się przez cienką warstwę chmur i trafił mnie, zanim zdążyłem uciec. Nie skamieniałem, co prawda, ale stałem się takim, jakim mnie teraz widzisz. To blade słońce, a nie wiek, tak mnie pokurczyło.

- Jeśli chcesz, mogę cię wyleczyć - zaproponował Stile. - Lecznicze zakłęcie...

- To, czego chcę, nie ma znaczenia. Muszę ponieść konsekwencje własnej głupoty... tak jak my wszyscy.

Jeden z elfów przyniósł z zachowaniem wszelkich ceremonii drewnianą skrzyneczkę.

- Weź na godzinę ten Flet - oznajmił przywódca elfów. - Dowiedz się, dla swego i naszego dobra, czy jesteś jego panem. Prawda więcej znaczy niż wola każdego z nas; musimy ją poznać.

Stile wziął drogocenną skrzynkę. W środku, na wyściółce, leżało kilka kawałków błyszczącej metalowej rurki. Platyna... Już sam metal stanowił prawdziwą fortunę, nie mówiąc o z pewnością niemałej wartości fletu jako instrumentu muzycznego i magicznego talizmanu. Ostrożnie wyjmował poszczególne kawałki i składał je w całość, świadom doskonałości kształtu i wykonania. Niewątpliwie był to prawdziwy król pośród fletów.

Ludzie Kurhanu przyglądali mu się w ponurym milczeniu, a ich przywódca, nie umiejąc ukryć dumy, jaką odczuwał na widok instrumentu, nie przestawał mówić. - Nasza kopalnia nie zawiera samej tylko czystej platyny; jest w niej domieszka złota i irydu. Nadaje to metalowi twardość i odporność. Wyrabiamy z niego narzędzia, broń i inne przedmioty, choć tylko niewielu nadajemy magiczne własności. Flet ma w sobie również śladowe ilości phazitu.

- Phazit? - spytał zaintrygowany Stile. - Nie słyszałem o takim metalu.

- Ściśle mówiąc, to nie metal, lecz minerał. Znać go możesz pod nazwą protonitu.

- Protonit! - wykrzyknął Stile. - Nośnik energii? Sądziłem, że występuje tylko na Protonie.

- Na Phaze również, choć trochę inaczej wygląda, jak zresztą wszystko tutaj. Czyżbyś nie zdawał sobie sprawy, że phazit jest źródłem wszelkiej magii? Na Protonie wydobywa się z niego energię, na Phaze siłę magiczną. Każde zakłęcie niszczy odrobinę phazitu, lecz zapasy jego są tak wielkie, a prawdziwych Adeptów tak mało, że starczy go jeszcze na wiele tysięcy lat.

- Na Protonie wydobywa się go i eksportuje w ogromnych ilościach!

- A więc mieszkają tam głupcy. W ciągu dziesięcioleci roztrwonią to, co mogłoby im służyć przez tysiąclecia. Powinni zachować go dla tego świata.

A więc Phaze przetrwa o wiele dłużej niż Proton, uświadomił sobie Stile. Phaze zyskiwała coraz bardziej w jego oczach. Skąd więc wzięło się proroctwo o końcu Phaze i człowieku, którego przyście zostało przepowiedziane? Stile rozumiał zaniepokojenie elfa; wiele sygnałów wskazywało na nadciągające niebezpieczeństwo.

Co się stanie, gdy na Protonie skończy się protonit? Czy obywatele zaczną przekraczać zasłonę, by pozbawić Phaze jej zasobów? Jeżeli tak, to świat ten znajdzie się w straszliwym niebezpieczeństwie, gdyż nic nie powstrzyma obywateli przed zaspokojeniem swych zachcianek. Tylko unicestwienie zasłony mogłoby uniemożliwić im zniszczenie Phaze w taki sposób, w jaki zdewastowali Proton. Lecz jak można usunąć tak naturalne, choć nieuchwytnie zjawisko, jakim jest zasłona?

Wreszcie Flet został skompletowany i złożony. Był najpiękniejszym instrumentem, jaki Stile kiedykolwiek widział. Uniósł go wolno do ust.

- Czy mogę? - spytał.

- Rób z nim, co potrafisz - odparł sztywno elf; - Nigdy nie słyszeliśmy jego głosu; my nie możemy na nim grać. Może to zrobić tylko śmiertelny.

Stile przyłożył flet do ust, ustawił palce i dmuchnął na próbę.

Czysty, miękki, niewypowiedzianie słodki dźwięk dobył się z instrumentu. Słysząc go było wszędzie, przeszywał wszystkich słuchaczy. Starszy i elfy znieruchomieli w zachwycie, a Neysa nadstawiła uszu; Błękitna Pani wydała się Stile'owi niezmiernie piękna, jakby owiał ją wiatr pełen nadziei. Dźwięki były oczywiście dźwiękami fletu, ale też i czymś więcej, gdyż instrument ten nie był zwyczajnym fletem. Muzyka swą siłą, czystością i barwą była prawdziwie ekstatyczna - sama kwintesencja dźwięku.

Stile zagrał zaimprovizowaną melodyjkę. Instrument reagował tak, jakby był jego żywą częścią obdarzoną jednak własnym charakterem. Tego instrumentu nie można było pomylić z żadnym innym; zbyt był doskonały. Stile nagle, w ułamku sekundy, zrozumiał, że tak właśnie musi czuć się jednorożec ze swoim własnym, żywym instrumentem muzycznym. Nic dziwnego, że stworzenia te grały tak dobrze i chętnie!

Ludzie Kurhanu zaczęli tańczyć. Zniknął ich ponury nastrój, odpędzony dźwiękami muzyki, a ich stopy odzyskały swą lekkość. Ruszyli w korowodzie na ziemi, nie w powietrzu, i tańczyli tylko na niej, wprost emanując radością. Panowie w tańcu krzesali iskry, a ich partnerki świeciły delikatnym blaskiem. Tworzyli skomplikowane układy uderzająco piękne w swej symetrii. Przybliżali się do siebie i oddalali, wywijali zgodnie nogami, wykrecali piruety, przebiegali niczym tkackie czółenka, tworząc coraz bardziej zawile wzory. Nie było tu miejsca na podskoki ani akrobatyczne popisy, jedynie synchronizowane układy

taneczne tworzyły razem artystyczną całość. A ponad nimi płynęła potężna muzyka Fletu, łącząc niewspółmierne elementy w boską prawie jedność. I to nie umiejętności Stile'a ją stworzyły, biegłość narzucił mu przez idealny instrument; nie mógł przynieść mu wstydu i dawał z siebie wszystko.

Stile ujrzał, jak mgła podnosi się i rzednie, jakby rozerwana dźwiękami melodii. Chmury kłębiły się i szarpały, pragnąc urwać się z uwięzi. Stile zakończył swój występ i elfy jednocześnie przestały tańczyć, jakby zostało to wcześniej zaplanowane. Zastygły w bezruchu, lecz tym razem na ich twarzach widniały uśmiechy. Nawet strażnicy, którzy tak niegościnnie powitali Stile'a, przestali czuć do niego urazę.

- To najcudowniejsza muzyka, jaką zdarzyło mi się słyszeć - oznajmił starszy. - Nigdy tak nie tańczyliśmy. Masz rzadki talent do gry. Góra jednak się nie poruszyła.

- To prawda - zgodził się z ulgą Stile.

- Nie jesteś tym, którego przybycie zostało przepowiedziane.

- Nigdy nie twierdziłem, że nim jestem.

- A jednak grałeś znakomicie. Jeśli Wyrocznia twierdzi, że powinniśmy pożyczyć ci Flet, to może rzeczywiście należy tak uczynić.

- Byłbym bardzo wdzięczny - powiedział Stile, rozkładając instrument na części i ostrożnie wkładając je do futerału. - Jeśli mi wierzycie.

Otoczające ich elfy zaczęły się krzywić i pomrukiwać. Gdy muzyka umilkła, chmury zastygły na niebie, lecz ich niepokój udzielił się teraz elfom.

- Nie, mój lud nie pogodzi się z tym tak łatwo. Może gdybyśmy pożyczili od ciebie coś w zamian...

Szmer głosów umilkł.

- Gotów jestem do wszelkich usług - rzekł Stile - lecz nie mogę pozostać tu długo. Mam inne zobowiązania. Będę potrzebował Fletu przez kilka dni, aż do Roźcolimpiady.

Elfy znowu zaczęły szeptać.

- Przestańcie hałasować! - zdenerwował się starszy. - Zawrzemy uczciwy układ albo wcale nie rozstaniemy się z Fletem. - Wziął od Stile'a futerał; przynajmniej w tym wypadku jego sąd okazał się słuszny. Stile ani nie nadużył instrumentu, ani nie próbował zatrzymać go bez pozwolenia. - A teraz ukryjcie się, zanim słońce wyjdzie zza chmur!

Niebezpieczeństwo narażenia się na promienie słoneczne było teraz znikome, lecz Ludzie Kurhanu chowali się pospiesznie. Stile i Pani weszli w ślad za wodzem elfów do najbliższego kurhanu, Neysa zaś i Hinblue wróciły na pastwisko.

- Zawsze można powiedzieć - stwierdził po namyśle Pyreforge - że pożyczyłeś Flet, by

zanieść go temu, komu jest przeznaczony. Temu, który nadejdzie.

- Ależ ja nie wiem, kto to jest!

- A więc musisz go odszukać.

Stile od razu pojął istotę tej propozycji. Poszukiwania mogły trwać tak długo, jak długo będzie potrzebował Fletu, lecz musiały też stać się prawdziwą misją.

- Jak go poznam?

- Będzie grał na Flecie lepiej niż ty.

- Takich może być wielu.

- Nie sądzę. Przyślesz go nam, gdyż my nie możemy podróżować daleko, a góra go rozpozna. Jeśli będzie grać dobrze, to choć nie będzie tym, kogo szukamy, przynajmniej odzyskamy Flet.

- To nie jest takie pewne. Wydaje mi się, że powinienem zapracować na tę pożyczkę, choćby ze względu na spokój twego ludu. Wymieniłeś dwa zadania, z których prostszego nie zdoła wykonać człowiek. Lecz ja jestem Adeptem.

- Czy umiesz władać mieczem?

- Tak - odparł zdziwiony Stile.

- Temu, kto podejmie się tego zadania, grozi straszliwa śmierć, chyba że jest najlepszym i najwytrwalszym z szermierzy.

- Byłem już w takich sytuacjach. Czułbym się lepiej, gdybym mógł wtedy mieć Flet w jednej ręce, a miecz w drugiej.

- Zapewne. Posłuchaj więc, Adepcie. Pod naszymi kurhanami poniżej kopalni platyny znajduje się jaskinia wyrębana w złożu phazitu, a w niej zamieszkuje jeden z Robali, odwieczny, potężny, dziki i ziejący ogniem.

- Smok! - zakrzyknął Stile.

- Tak jakby. Nie jest to jednak jeden ze zwykłych gadów zamieszkujących pogranicze na południe od naszych gór. Ten potwór powoli przebijał się przez trzewia gór, podczas gdy my powiększaliśmy naszą kopalnię. I w końcu dowiedzieliśmy się nawzajem o naszym istnieniu. Robal przeżył już wiele stuleci, jego zęby stępiły się, a płomienie przygasły i nie może już pożerać skał tak łatwo jak przed wiekami, lecz nie mamy tyle sił, by się go pozbyć. Żąda, byśmy składali mu daninę...

- Ofiary z ludzi! - wykrzyknął Stile, przypominając sobie groźby czynione przez elfy pod adresem Błękitnej Pani.

- To prawda. Wcale nam się to nie podoba, ale jeśli nie dostarczymy ofiary na czas, Robal może wpaść w gniew i zburzyć fundamenty naszych budowli, lub stopić rudy platyny

w kopalni, kończąc naszą karierę jako kowali. My, elfy, jesteśmy wysoce wyspecjalizowani; wiele czasu zabrało nam opracowanie i opanowanie technologii obróbki platyny. Nie możemy wrócić do zwykłego złota, nawet gdyby inne szczepy nie zajęły się już wcześniej tą specjalnością. Musimy utrzymać się na wysokim poziomie albo staniemy się niczym. Moi ludzie raczej wyszliby na pełne słońce.

- A więc śmierć smoka jest dla was koniecznością - podsumował Stile.

- Myślę, że wtedy moi ludzie przestaliby protestować przeciwko wypożyczeniu ci Fletu.

- Aha - odparł ostrożnie Stile. - Czy to duży smok?

- Przeogromny.

- Zieje ogniem?

- Z każdego nozdrza na dwadzieścia stóp.

- Opancerzony?

- Zachodzące na siebie łuski z nierdzewnej stali. Pięciodłowe pazury. Sześciopalcowe zęby. Rzuca błyskawicami z oczu.

- Usposobienie?

- Agresywny.

- Odporny na magię?

- Niezwykłe. Żyje w złożach phazitu, a więc wyrobił sobie znacząco odporność.

- Ciekawe, jak wyglądał, gdy był w pełni sił - zastanawiał się Stile.

- To nieważne. Wtedy nie potrzebował od nas daniny.

- Lecz gdyby użyć Platynowego Fletu...

- Magia Fletu będzie silniejsza od antymagii smoka.

- A więc Adept niosący Flet miałby szansę go zabić.

- Możliwe. Ale mało prawdopodobne. Robala nie da się zniszczyć samą magią.

- Cóż, chciałbym spróbować.

- Nie! - krzyknęła Błękitna Pani. - Nie widziałeś zbyt wielu smoków i nie znasz ich obyczajów. Nie podejmuj się tej ryzykownej misji.

- Nie mógłbym wypożyczyć tak wartościowej rzeczy, nie dając nic w zamian - odparł Stile. - Gdyby jednak udostępniono mi Flet do walki z Robalem_r, czułbym się usprawiedliwiony, pożyczając go do moich własnych celów. Może on przydać mi się do wielu innych rzeczy poza pojedynkiem z Ogierem, a będę go używać, dopóki nie odnajdę tego, dla kogo został on przeznaczony.

- Masz zamiar walczyć z Robalem? - spytał starszy.

- Przynajmniej chciałbym spróbować. Jeśli nie uda mi się go zgładzić, zwrócę wam

natychmiast Flet, oczywiście, o ile będę w stanie to zrobić.

- Nie! - wykrzyknęła znowu Pani. - To zbyt wysoka cena, by płacić ją za przesunięcie terminu rozrodu jednej tylko klaczy. Jest twoją przyjaciółką, ale...

- Chcesz to zrobić dla takiej drobnostki? - dopytywał się Starszy, który nagle stał się podejrzliwy. - Jesteś gotów ryzykować życie w walce z Robalem i honorem w pojedynku z Ogierem dla...

- To niezwykła klacz, wymieniliśmy przysięgę przyjaźni - odparł sztywno Stile, nie chcąc przyznać, że sytuacja nieco wymknęła mu się spod kontroli.

- Obawiam się, że moi ludzie nie zgodzą się na to - stwierdził starszy. - Będą się bać, że pożyczasz Flet tylko po to, by z nim uciec, i wcale nie zechcesz walczyć z Robalem. Któż z nas zdoła zatrzymać ciebie uzbrojonego we Flet?

I Stile, i Pani zareagowali na to wybuchem gniewu.

- Błękitny Adept nie jest żadnym oszustem - wściekała się Pani. - Sądziłam, że już to udowodniliśmy. Jestem gotowa znowu zostać zakładniczką.

- Nigdy - odparł Stile, mile ujęty jej lojalnością, choć wiedział, że broni raczej honoru Błękitnego Królestwa niż jego samego. - Nie będziesz zakładniczką.

Czujny wzrok starszego przesunął się od Stile'a do Pani.

- Tym razem chyba tak będzie najlepiej. Niech przez te kilka godzin Pani stanie się moim gościem; cóż szkodzi, że inni uważają ją będą za zastaw za pożyczony- Flet? Myślę, że żaden mężczyzna nie zostawi swej ukochanej na pastwę smoka. Jeśli Robal zginie, dowiedziesz swej odwagi i pożyczka jest twoja.

- Pani nie jest... - zaczął Stile, ale rozmyślił się. Wolał tu tego nie dyskutować. Gdyby stwierdził teraz, że Pani nie jest jego ukochaną, sytuacja stałaby się bardzo niezręczna. Zresztą i tak, bez względu na uczucia, jakie do niej żywił, nie pozwoliłby, by nakarmiono nią smoka.

- Inni nie są tego świadomi - rzekł elf, ostrożnie omijając sedno sprawy. - Niewielu tylko wie, że Błękitnym Królestwem rządzi teraz ktoś inny. Pozwól, by Pani została ze mną, a nikt z mego ludu nie podda twoich motywów w wątpliwość. Będziemy ją dobrze traktować. - Spojrzał na Panią. - Grasz może w szachy?

- Może - odparła z uśmiechem.

Stile zrozumiał, że elf zaproponował rozsądny kompromis. W ten sposób mógł rozwiązać wątpliwości Ludzi Kurhanu, nie narażając przy tym Pani na niebezpieczeństwo. Przecież i tak Stile nie mógł wziąć jej ze sobą na poszukiwanie smoka.

- Chciałbym, żebyś w czasie mojej nieobecności przechowywała harmonijkę - poprosił

Stile, wręczając Pani instrument. - Tym razem użyję Fletu.

- Wcale mi się to nie podoba - stwierdziła ponuro, ale wzięła harmonijkę. Jeśli Stile nie wróci, będzie przynajmniej miała jakąś pamiątkę po swoim mężu.

Pyreforge rozstawiał figury na szachownicy.

Stile, niosąc Flet, ruszył w głąb szczeliny. Teraz wiedział już, co oznaczają gorące powiewy i demoniczne zapachy, jakie z niej dochodziły. Tam, w dole czaił się Robal.

Stile nigdy jeszcze, jak przypomniała mu Pani, nie walczył z prawdziwym smokiem i wcale nie był pewny sukcesu. Najbardziej podobne do smoka stworzenie spotkał w Czarnym Królestwie, lecz ta istota uformowana była z lin i uderzona mieczem rozsypała się na kawałki sznurka. Robal na pewno tego nie zrobi! Magia Adepta powinna dać mu radę... lecz jeśli coś się nie uda...

Cóż, przewaga zaskoczenia była po jego stronie. Smok z pewnością będzie myślał, że Stile jest kolejną ofiarą, daniną przeznaczoną do zjedzenia. Będzie mógł więc podejść zupełnie blisko, zanim smok nie zrozumie, z kim ma do czynienia. To da mu czas potrzebny do oceny sytuacji. Pyreforge zapewnił go co prawda, że Flet wzmoże jego magiczne siły, lecz twierdził też, iż sama magia nie wystarczy; tak więc Flet mógł nie być aż tak potężnym amuletem, jak sądzili mieszkańcy kurhanu.

Znajdowali się już sporo poniżej półki, z której wcześniej przeskakiwali szczelinę. Neysa ostrożnie stąpała po zwężającym się szlaku, a Stile trzymał Flet w pogotowiu. Instrument miał podwójne zadanie: chronił jego magiczne możliwości i zwoływał magiczną siłę. Stile potrzebował przecież muzyki do swych zaklęć. Znalazłby się w niezłych tarapatach, gdyby musiał jednocześnie grać na dwóch instrumentach, z których każdy spełniałby inną funkcję! Powtarzał w pamięci ułożone wcześniej zaklęcia: gaszące ogień, chroniące przed ukąszeniem, czyniące niewidzialnym. Najbardziej jednak potrzebował zaklęcia niszczącego w jakiś sposób smoki. Czy nie mógłby wysłać Robala na przykład do piekła? Tutaj, w tym magicznym świecie piekło istniało naprawdę. Kiedyś nieświadomie wysłał tam Neysę; miał potem straszne kłopoty. Ale to oznaczało, że nie mógł teraz zrobić niczego podobnego; Neysa by się nie zgodziła. Starał się jej nie narażać. Jednorożce potrafiły być okropnie uparte, gdy już coś sobie wbiły do głowy.

Tak więc piekło odpada. A na przykład zmniejszenie? Jak by tak zamienić gigantycznego Robala w małego, nieszkodliwego robaczka? Może za trzysta lat znowu urósłby, ale wtedy byłby już daleko stąd... o ile oczywiście nie złapałby go jakiś głodny ptaszek. Jak mogłoby brzmieć takie zaklęcie? „Smoku stary, stań się mały”. Na pewno nie jest to prawdziwa poezja, lecz magia wymaga tylko rymu i rytmu.

Ciekawe, czego mogłoby dokonać prawdziwe zaklęcie? Kiedyś będzie musiał poeksperymentować z poezją, prawdziwą poezją, a nie tymi kiepskimi wierszydłami, i wtedy zobaczy, co się stanie.

Ścieżka przestała wreszcie opadać. Odchodził od niej duży tunel o okrągłym przekroju - ślad wyżłobiony przez Robalą. Poczuli powiew gorącego powietrza. Smok nie mógł być daleko.

Stile zawahał się. Pochylił się, by szepnąć coś do ucha Neysie, która posłusznie odchyliła je do tyłu, chcąc lepiej słyszeć.

- Jeśli wejdziemy Robalowi do nory, to obawiam się, że będzie nam gorąco - powiedział Stile. - Ale jeśli tego nie zrobimy, potwór może zacząć coś podejrzewać. Chciałbym wywabić go w dogodniejsze dla nas miejsce i obejrzeć dokładnie, zanim zacznę z nim walczyć. Ale jak go tu sprowadzić, nie pokazując się mu?

Neysa zagrała krótką, energiczną nutę. Widząc, że klacz wpadła na jakiś pomysł, Stile zeskoczył na ziemię.

Neysa przybrała postać dziewczyny, ślicznej, drobnej, nagiej elfiej panienki.

- Danina - szepnęła, czyniąc gest wyrażający niewinność i bezbronność.

Stile był jednocześnie zachwycony i przerażony.

- Jesteś doskonałą przynętą - przyznał. - Świetnie odgrywasz tę rolę. Nie mogę jednak pozwolić, byś ryzykowała złapanie przez potwora.

Przemieniła się ponownie, tym razem w świetlika. Owad okrążył Stile'a i wrócił do postaci dziewczyny.

- Zgoda - stwierdził Stile. - Ciągłe zapominam o twojej trzeciej postaci. Będziesz mogła uciec, chyba że on cię spali.

- Jestem ognioodporna - rzekła.

- Jako świetlik jesteś ognioodporna? Wspaniale! - Neysa była prawdziwą skarbnicą niespodzianek.

Stile rozmyślał przez chwilę, a potem przedstawił plan akcji.

- Wolałbym spotkać się z Robalem w bardziej przestronnym miejscu. Mam nadzieję usunąć go jednym zaklęciem, ale zawsze należy być przygotowanym na niespodzianki. Powinnaś go więc wywabić do szczeliny i szybko uciec. Jeśli nie uda mi się go zabić i zgine, polecisz do Pyreforge i Pani i powiesz im, że przegrałem. Postaram się wyrzucić Flet ze szczeliny, by nie przepadł. - Zabrzmiało to dumnie i odważnie, lecz Stile poczuł, że trochę drżą mu kolana. Tak naprawdę to wcale nie spodziewał się, by groziła mu śmierć - w takim wypadku byłby przerażony - lecz wolał być przygotowany na najgorsze.

Neysa kiwnęła głową i podeszła do wylotu tunelu. Stile wyśpiewał zaklęcie czyniące go niewidzialnym. Czar działał tylko zewnątrz; ciało Stile'a było nadal materialne, zmienił się tylko jego wygląd. Zaczął się już przyzwyczajać do ograniczeń swych magicznych możliwości. Mocą zaklęcia mógł zmieniać swoje położenie, lecz nie ciało. Nie był w stanie wyleczyć swych zranionych kolan. Nie miał umiejętności Neysy zmieniania kształtu czy fruwania jako owad, choć potrafił stworzyć iluzję takiej zmiany, a także latać w powietrzu, choć nie w naturalny sposób. Były to bardzo subtelne różnice; ogólnie rzecz biorąc, Stile był bardziej od Neysy podatny na zagrożenie, choć jednocześnie potężniejszy.

Kiedy Neysa ujrzała, że Stile stał się niewidzialny, rozpoczęła swoje przedstawienie.

- Och! - jęknęła. - Tak się boję! Straszliwy smok chce mnie zjeść!

To był dla niej duży wysiłek; przecież bardzo nie lubi mówić. Stile poczuł przyływ ciepłego uczucia. Zaoferowawszy mu przyjaźń, Neysa stała się jego najlepszym kompanem.

Z głębi tunelu dobiegł jakiś grzmot. Poczuli podmuch cieplejszego, cuchnącego powietrza, jakby włączył się tam silnik ogromnej maszyny. Pewność siebie Stile'a, już przedtem nadwątlona, rozviała się zupełnie. Tyle się może zdarzyć...

Neysa lamentowała. Hurkot przybliżał się. Robał pewnie się przestraszył, że ofiara może mu uciec, jeśli nie schwyta jej od razu... Bardzo rozsądne przypuszczenie. Jedną z najważniejszych informacji, jakie Stile pragnął uzyskać, dotyczyła szybkości i czujności bestii. Wielkie, powolne stworzenie łatwiej pokonać...

Robał pojawił się o wiele za wcześnie. Rzeczywiście był to smok. Miał wydłużoną, wąską głowę zakończoną błękitnym ryjkiem zwężającym się z pierścienia na pierścień. Pochodzenie tego potwora od prawdziwego robaka było oczywiste. Co prawda wiele było rodzajów robaków; pierwszy, jaki przyszedł Stile'owi do głowy, to dżdżownica. Wielu obywateli wykorzystywało je w eleganckich ogrodach Protonu. Lecz Stile pamiętał, że są i inne gatunki, niektóre z nich niebezpieczne. Ten smok był właśnie takim monstrualnie wyrosniętym niebezpiecznym robakiem.

Neysa pisnęła i zręcznie podbiegła do wyjścia z tunelu.

Robał wypuścił z siebie kłąb dymu i poczołgał się za nią. Miał nogi nieproporcjonalnie małe do wielkiego cielska i nie służyły mu one do poruszania się... Posiadały jednak rzeczywiście przerażające pazury i wyglądało na to, że smok nie miałby żadnych trudności z wypatroszeniem ludzkiej ofiary. Metaliczne łuski nie błyszcząły; były matowe i brudne jak oblepiona błotem gąsienica traktom. Stile nie wątpił, że zwykła broń nie zdoła ich przebić. Teoretycznie można było wsunąć czubek miecza pod warstwę łusek i przebić ciało smoka, lecz taka rana byłaby bardzo płytka i tylko rozwścieczyłaby bestię. A zresztą, czym zająłby

się Robal w czasie, gdy szermierz przeprowadzałby tę skomplikowaną operację? Siedziałby spokojnie? Mało prawdopodobne!

Wszystkie te rozważania, pomyślał Stile, są czysto akademickie. Nie ma przecież miecza. Zapomniał go sobie wyczarować. Ma tylko Platynowy Flet i magię... Właśnie na nią przyszedł teraz czas.

Stile planował wywabić potwora z tunelu i rzucić na niego od tyłu zaklęcie, ale okazało się, że jest pewien problem; Robal zdawał się nie mieć tyłu. Jego gigantyczne, walcowate ciało ciągnęło się daleko w ciemność. Robaki mają przeważnie taki właśnie, podługowaty kształt. Stile powinien był o tym pomyśleć.

Cóż, i tak będzie musiał go zaczarować. Stile zagrał na Flecie i z instrumentu popłynęły idealne dźwięki, jak krople rtęci wypełniające tunel pięknem. Magia skondensowała się wokół niego szybciej i była silniejsza niż zwykle. Nic dziwnego - byli przecież w głębi ziemi, niedaleko złóż phazitu; zasoby magii leżały pod ręką.

Smok zareagował błyskawicznie. Wcale nie był zdziwiony ze starości! Miał już zamiar rzucić się na pozornie bezbronną ofiarę - Neysa dopuściła go niebezpiecznie blisko - lecz bezbłędnie rozpoznał zew magii. Małeńkie, opancerzone oczka skierowały się ku Stile'owi, ale go nie dostrzegły - był przecież niewidzialny. Mimo to smok rozwarł otwór gębowy, stopniowo poszerzając jego średnicę, aż osiągnęła prawie metr szerokości. Wydobywały się z niego podmuchy gorącego wiatru i dymu.

Stile zauważył, że Robal nawet nie próbował pluć ogniem na Neysę. Możliwe, że wołał potrawy surowe.

Czas na samoobronę.

- Od stóp do głowy aż, ogniu ani się waz! - zaśpiewał Stile.

Lecz gdy znalazł się w chmurze dymu, okazało się, że alarm jest fałszywy. Powietrze było gorące, ale nawet nie parzyło. Przypominało to wizytę w brudnej saunie.

Smok znowu wypuścił powietrze - tym razem gęstsze i bardziej cuchnące. Stwór był stary; rozgrzewał się powoli. Trzeci wydech już parzył, a czwarty był czystym ogniem. Od suszarki do włosów do miotacza płomieni, tylko w czterech etapach!

Teraz kolej na atak.

- Robalu poczwarny, twój koniec będzie marny - wydekłamał Stile, życząc smokowi natychmiastowej śmierci.

I wtedy stało się coś dziwnego. Powietrze między nimi zaiskrzyło się tak, jakby promień światła uderzył w załamującą światło barierę. Robal ani myślał ginąć.

Stile uczynił drugą próbę.

- *Ogniste stworzenie, padnij trupem na ziemię!*

Znowu iskrzenie w powietrzu i żadnego efektu. Jego czary były potężne, ale nie dosięgały smoka!

Nagle małe oczka Robala zabłyśły. Stile nawet nie myślał, że robaki mogą mieć oczy, ale ten z całą pewnością je posiadał. Stile przypomniał sobie o broni, przed którą go ostrzegano.

- *Błysk, znikł!* - krzyknął i błyskawica wypaliła się, nie docierając do niego. Przygotowane wcześniej zaklęcie uratowało mu życie.

Robal znieruchomiał, najwyraźniej zastanawiając się nad sytuacją. Stile zrobił to samo. Magia działała, ale Robal był przed nią opancerzony. Sam potwór też posługiwał się magią, ale Stile potrafił jej przeciwdziałać. A więc Flet umożliwiał mu rzucanie zaklęć, ale nie bezpośrednio na wroga. Jak dwaj rycerze w zbrojach, byli tak dobrze chronieni, że żaden nie mógł samymi czarami zaszkodzić przeciwnikowi. Starszy elfów miał rację.

I na nic przećwiczone wcześniej zaklęcia. Bitwa musi Stoczyć się środkami bardziej materialnymi. A cokolwiek tu mówić - smoka było o wiele więcej niż Stile'a.

Musiał jednak coś zrobić. Po pierwsze, został uwięziony w tunelu; ciało Robala znalazło się między nim a wyjściem. A mówiąc dokładniej, wręcz go otaczało. Potwór kurczył się powoli, zacieśniając wokół niego krąg. Neysa została po drugiej stronie smoka i nie mogła mu pomóc.

Stile nie miał poza Fletem innej broni. Teraz już wiedział, że Flet, choć tak przydatny, nie wystarczy. W każdym razie przeciwko magicznemu Robalowi. Teraz Stile potrzebował raczej dobrego miecza. Przecież przygotował sobie zaklęcie, mające stworzyć taką właśnie broń.

Robal rozwarł szerzej ruropodobny pysk i ukazał krąg zębów, rzeczywiście sześciocalowych, pochylonych do środka. Na pewno były bardzo przydatne do drażenia tuneli w skale, ale mogły też rozszarpać niewielkiego mężczyznę. Że też nie mógł sobie przypomnieć tego zaklęcia!

Głowa smoka przybliżyła się. Stile w beznadziejnej próbie obrony wyciągnął przed siebie Flet, usiłując jednocześnie wydobyć ze swej pamięci zagubione zaklęcie - do diabła! Dlaczego nie może poradzić sobie z tą sytuacją?! - I nagle zobaczył, że trzyma w ręku miecz. Błyszcząca, platynowa, dwusieczną klingę, długą i ostrą. Broń była lekka, lecz dobrze wyważona. Dokładnie taka, jaką się zazwyczaj posługiwał.

- Do licha! - wykrzyknął Stile, czując, że wraca mu pewność siebie. Elfy nic mu nie powiedziały o tej szczególnej właściwości Fletu. Instrument potrafił zmieniać swoją postać!

Stile dziarsko ruszył do przodu i wbił ostrze w bok Robala. Sądził, że broń odbije się od grubych łusek, lecz skóra ustąpiła. Ach! Magia Platynowego Miecza mogła przełamać opór smoka. Może był to inny rodzaj zaklęcia, które w połączeniu z siłą fizyczną...

Robal zawył jak syrena alarmowa i gwałtownie odwrócił głowę. Stile wyrwał miecz z rany i uskoczył. Z dziury wytrysnął gejzer ciemnoczerwonej krwi, rozbryzgując się na kamiennej posadzce kilka stóp dalej. Ciecz wydawała z siebie cuchnący, trupi odór.

Smok dotknął nosem rany. Z pyska wysunął się śliski język, powstrzymując upływ krwi. Czyżby smoki miały języki? Ten jeden na pewno! Czyżby chciał napić się własnej krwi? Jedno siorbnięcie i krew przestała płynąć. Nos odsunął się, lecz rana nie zaczęła krwawić. Pewnie ślina smoka miała magiczne, uzdrawiające właściwości. Ten potwór potrafił sam się wyleczyć. Jego głowa znowu zwróciła się w stronę Stile'a. Twarde zwierzę!

Możliwe, że nie widziało swego przeciwnika, ale mogło go usłyszeć i wywęszyć, a zresztą słabe światło nie pozwalało na więcej. Stile głupio zagapił się, choć powinien był okrążyć potwora i przyłączyć się do Neysy, korzystając z tego, że Robal zajęty jest czymś innym. Choć może mógłby jeszcze...

Podszedł z boku do smoka. Ryj błyskawicznie skierował się w jego stronę. Stile uskoczył i przebiegł obok niego, kierując się ku wejściu do tunelu.

Neysa w postaci jednorożca czekała tam na niego. Tak jak i smok, potrafiła zlokalizować Stile'a samym tylko węchem i słuchem. Na drugi raz, gdy będzie walczył ze zwierzęciem, przygotuje sobie zaklęcia uniemożliwiające usłyszenie go i wywęszenie! Wskoczył na jej grzbiet.

- Wiemy teraz, że ten miecz jest dla niego groźny - oznajmił. - Może gdybym zaszarżował w jego stronę, uderzył i wycofał się, zanim potwór zareaguje, a potem zranił go znowu i znowu...

Umilkł. Nie miał już miecza. Zamiast niego trzymał długą, platynową kopię. Magiczny Flet ukazał jeszcze jedno swe oblicze!

Stile trzymał sztywno kopię, a Neysa pogalopowała ku Robalowi, który właśnie odchylił głowę w bok. Ostrze Uderzyło w szyję, tuż poniżej głowy; Stile nie umiał jeszcze precyzyjnie nim operować. To nie była najłatwiejsza broń! Potrzebował dla niej jakiejś podpórki. Ostrze uderzyło z pełną siłą i Stile zleciał z grzbietu Neysy.

Nic dziwnego, pomyślał, podnosząc się z ziemi. Instrument był zaczarowany, więc nie mógł wypaść mu z ręki, ale siła uderzenia przeniesiona została na jego ciało. Powinien był to przewidzieć.

Robak znowu zaryczał. Cios musiał być bolesny! Kiedy Stile wyciągnął kopię z rany,

upływ krwi był większy niż przedtem, lecz tym razem smok nie mógł dotknąć ryjem jej otworu, gdyż uszkodzenie było zbyt blisko głowy.

Stile dostrzegł szansę na zwycięstwo. Uniósł kopię... i zamieniła się ona w to, czego teraz najbardziej potrzebował: w ciężki, obosieczny topór bojowy. Kiedy smok nadaremnie wykręcał się, usiłując dosięgnąć rany, wystawił szyję na cios Stile'a. Stile uderzył, trzymając topór oburącz. Rana była rozległa. Smok gwałtownie szarpnął głową, trafiając w napastnika i rzucając nim o ścianę. Stile uderzył głową o skałę i zobaczył gwiazdy przed oczyma. Osunął się po wklęsłej ścianie. Kręciło mu się w głowie. Udało mu się utrzymać Flet, lecz nie był w stanie go użyć. Co prawda nie stracił przytomności, ale cios mocno nim wstrząsnął.

Łeb potwora skierował się ku niemu. Krąg zębów rozszerzył się, paszcza gotowa była go połknąć, wszystko zakryła mgłą, tak że Stile ledwo co widział.

Odczołgał się w bok na czworakach. Nie był pewien, czy zdoła wstać, nie mówiąc już o tym, by utrzymać się na nogach. Kiedyś, w czasie Gry, stoczył bokserski pojedynek i oberwał tak silny cios, że nogi miał jak z waty; teraz czuł się podobnie. Tylko że tym razem nie będzie przerw między rundami! Ryj sunął za nim, wypuszczając chmury dymu.

Nagle Neysa wbiła róg w szyję Robala, tuż obok pierwszej rany. Nie miała, oczywiście, zaczarowanego fletu, ale róg jednoroźca z samej swej istoty jest magiczny, i stanowi broń, której żadne stworzenie nie może lekceważyć.

Robal zareagował odruchowo, zwracając się ku nowemu prześladowcy. Nie był specjalnie inteligentny.

Stile z trudem wstał. Zamachnął się ze wszystkich sił Platynową Maczetą... Maczetą? Flet, uderzając w ciało smoka, znowu zmienił postać!... Paląca, tłusta ciecz napelniała go obrzydzeniem, lecz mimo to ciął dalej.

Smok znowu zwrócił ku niemu łeb, lecz Stile zamachnął się toporem, o mało co trafiając potwora w oko. Głowa cofnęła się, a Stile począł ciąć raz za razem. Przypominało to rąbanie drewna, tyle tylko, że praca stawała się coraz lżejsza i brudniejsza, w miarę jak Stile przerąbywał się przez kręgi do tkanek tłuszczowych. Krew tryskała w takich ilościach, że musiał w niej brodzić, a każde uderzenie rozbryzgiwało ją coraz dalej. Kiedy unosił drzewce topora, posoka ściekała po nim, zalewając mu ręce aż do ramion; jej krople padały mu na twarz. Lecz mimo to jego dłonie, dzięki magii Fletu, nie ślizgały się po trzonku. Jego chwyt był mocny tak długo, jak tego pragnął. Stile nurzał się już wprost we krwi, lecz Robal ciągle żył i miotał się, nie ustępując.

Wreszcie Stile'owi udało się rozrąbać jego ciało. Szyja i głowa leżały po jednej stronie, a reszta wyla się po drugiej; zadanie zostało wykonane. Stile zabił smoka.

Lecz myśl o zwycięstwie okazała się przedwczesna. Stwór nie umierał. Krwawiące końce pokryły się pianą, zastygającą jak gąbka i zatrzymującą wyciekające płyny. Głowa wraz z szyją pełzły gdzieś oddzielnie, a reszta ciała rzucała się na oślep, szukając przeciwnika.

To był przecież robak. Robaka można przeciąć na pół i obie części utworzą nowe zwierzęta. Stile jeszcze niczego nie dokonał.

No nie, coś jednak zrobił, Głowa pozbawiona ciała nie mogła zamachnąć się do ciosu, a samo ciało nie miało narządów czuciowych. Z czasem stwór odzyska sprawność, ale na razie Stile miał wyraźną przewagę. Musi pójść na całość i zniszczyć Robala, póki jest to możliwe.

To właśnie miał na myśli Pyreforge, mówiąc, iż potrzebny jest dobry i wytrwały szermierz. Co za robota!

Stile przesunął się wzdłuż ciała smoka, wybrał miejsce i zaczął znowu rąbać robaka swoją maczeto-siekierą. Znowu trysnęła krew, tułów zaczął wić się z bólu, bezskutecznie usiłując walczyć, lub też uciec. Ucięty koniec wygiął się, sądząc, że jest głową; wysmarował Stile'a na wpół zakrzepłą krwią, przyprawiając go o mdłości, lecz nie mogąc zranić. Stile nie ustawał, czując się bardziej rzeźnikiem niż bohaterem. We wszystkich powieściach fantastycznych szermierz raz tylko przebijał rozwścieczonego smoka i bestia gładko padała trupem. W tym pojedynku nie było nic czystego, zręcznego ani specjalnie bohaterskiego; Stile brodził w śmierdzącej krwi, rąbiąc na kawałki bezbronną górę tłustego mięsa. Bohaterstwo? Chciało mu się rzygać!

Kiedy udało mu się przeciąć tułów, ramiona opadały mu ze zmęczenia. Jednak wszystkie części Robala żyły. Jeśli Stile przerwie pracę, wyrosną z nich trzy nowe, małe smoki. Musiał w jakiś sposób zlikwidować ten bałagan.

Nagle coś przyszło mu do oślepiałej głowy. Własna magia smoka obroniła go wcześniej przed zaklęciami Stile'a. Teraz jednak potwór nie stanowił jednej całości. Może więc uda się go dobić czarami. Trzeba spróbować.

Podniósł Flet do ust. Instrument pokryty był zakrzepłą krwią. Stile poczuł mdłości i zdecydował się rzucić zaklęcie bez muzyki. - Potworze bury - zaintonował z niejaką ironią - zamień się w chmury.

Leżący przed nim segment Robala zadrżał, opierając się zaklęciu. Czy działa się to z powodu szczątkowej antymagii smoka, czy też Stile nie zdołał zgromadzić odpowiedniej ilości czarodziejskiej siły?... Sam nie był pewien. A jednak fragment bestii roztopił się i ulotnił w cuchnącą chmurę. Zaklęcie podziałało!

Stile wymyślił czary, które usunęły pozostałe dwa segmenty, a potem oczyściły jego,

Neysę i tunel z całej tej posoki. Wykonał zadanie i uzyskał prawo do pożyczenia Fletu, ale wcale nie czuł satysfakcji. Czy nie było innej drogi niż rąbanie na kawałki sędziwych, magicznych bestii? Jak on sam by się czuł, gdyby był stary, a jakiś młody, pełen werwy karzelek chciałby porąbać go na kawałki?

Gdyby jednak tego nie zrobił, Błękitna Pani mogłaby znaleźć się w trudnym położeniu. Wciąż zresztą może się to zdarzyć, jeśli Stile nie odnajdzie i nie usunie mordercy Błękitnego Adepta, zanim ten go nie dosięgnie.

Teraz jednak był ciekaw, kto wygrał w szachy.

Rozdział 5

ZAGADKI

Sheen była bardzo zadowolona.

- Zostaniesz tu przez cały tydzień?

- Aż do Rożcolimpiady - potwierdził Stile. - Neysa i Błękitna Pani odpoczywają po pobycie w kraju Małego Ludu, a ja mam wiele do zrobienia na Protonie, pod warunkiem że mój wróg mnie nie zaatakuje. - Wzruszył ramionami. - Oczywiście w pewnej chwili będę musiał zostać dłużej na Phaze, wysledzić mego wroga i odnaleźć tego, którego przyjscie zostało przepowiedziane. A jeśli odpadnę z Turnieju, zamieszkać tam na resztę życia.

- Powiedz, jak wygląda życie wśród Małego Ludu? - spytała Sheen.

Znajdowali się w jej mieszkaniu i zajmowali się tym, co zwykle. Sheen była w nim ogromnie zakochana, a jego częste nieobecności i niepewna przyszłość tylko wzmagaly jej namiętność. A Stile, ze swoim nieudanym romansem na Phaze...

- Niesamowicie - odparł. - Czułem się jak olbrzym, a zdarzyło mi się to po raz pierwszy w życiu. Tak musi czuć się Hulk. Teraz bardziej akceptuję mój wzrost.- Zmienił temat. - Gdzie jest Hulk? Czy mu pomogłaś?

- Chyba tak. Skontaktowałam go z moimi przyjaciółmi. Przyjęłam, że skoro go do mnie przysłałaś, to można mu ufać.

- Oczywiście.

- Z pewnością moi przyjaciele wymogli na nim taką samą przysięgę, jak na tobie, o ile w ogóle ujawnili się przed nim. Możliwe, że podali mu tylko właściwy adres. Nie dowiadywałam się o niego, gdyż nie chciałam ściągać na niego i na nich uwagi jakiegoś obywatela. Wiesz, że byłoby to bardzo niepożądane.

- Racja - przytaknął Stile. - Gdyby tylko obywatele wiedzieli, że niektóre roboty obdarzone są wolną wolą...

- Czyżbyś miał coś przeciwko takim robotom? - spytała figlarnie.

- Wiesz, czasami zapominam, że ty też do nich należysz. Nie byłabyś lepsza, gdybyś była człowiekiem.

- A mimo to wolałabym nim być - odparła smutno. - Nigdy nie pokochasz mnie naprawdę. Nawet gdybyś wygrał Turniej, został obywatelem i zamieszkał tu na resztę życia, nawet gdyby nie udało ci się zdobyć Błękitnej Pani, nigdy nie będziesz mój.

Stile'owi przypuszczenia te nie przypadły do gustu.

- Mam niewiele szans na zwycięstwo w Turnieju. Ledwie przeszedłem pierwszą grę.

- Wiem. Patrzyłam. Miałeś szczęście.

- Szczęście bywa kapryśne.

Nagle zwróciła się do niego ostrym tonem.

- Obiecuj mi, że jeśli kiedyś będziesz chciał pozbyć się na zawsze obecnej tu kochanki, to oddasz mnie na złom, pozbawisz świadomości. Nie chodzi mi o deaktywację czy zmianę programu, ale o zniszczenie całego mózgu. Wiesz, jak to zrobić. Nie pozwól, bym cierpiała samotnie.

- Sheen - zaprotestował Stile - nigdy nie oddam cię na złom!

- Polubiłam Neysę i pogodziłam się z obecnością Błękitnej Pani. Wiem, że zaczynasz ją kochać, i z czasem ona odwzajemni to uczucie; ona jest twoją prawdziwą miłością. Ale Pani należy do innego świata i nigdy się nie spotkamy. To, co robisz tam, nie musi wpływać na twoje życie tu, na Protonie.

- Należę teraz do obu światów - rzekł Stile. - To, co ma dla mnie znaczenie w jednym ze światów, liczy się też i w drugim. Wiesz, że gdyby Pani obdarzyła mnie kiedyś miłością, ja... Pozostalibyśmy przyjaciółmi, ale... - Urwał, wzdragając się przed tym, co musiał powiedzieć, ale nie mógł ukrywać prawdy.

- Ale nie kochankami - dokończyła za niego. - To jeszcze potrafię przyjąć. Neysa też się z tym pogodziła. Lecz jeśli zdecydujesz kiedyś, że moja przyjaźń nie jest ci potrzebna...

- Nigdy!

- To zniszcz mnie. Obiecuj.

Stile oczyma wyobraźni ujrzał siebie, rąbiącego na kawałki żywego Robaka. To nie była ładna śmierć. O ile lepiej byłoby, gdyby mógł usunąć Robaka spośród żywych jednym, bezbolesnym zaklęciem. Sheen zasłużyła przynajmniej na to.

- Obiecuję - rzekł. - Ale ta chwila nigdy nie...

- A teraz zacznij lepiej myśleć o Turnieju - przerwała mu energicznie.

Poprzednim razem Stile znalazł się na początku kolejki, w której dobierano partnerów; tym razem był blisko jej końca. Oznaczało to, że nie zagra natychmiast. W czasie późniejszych rund nie trzeba było tyle czekać, gdyż liczba uczestników systematycznie spadała. Przyjęty system eliminacji sprawiał, że liczba graczy malała o połowę nie po każdej rundzie, a dopiero po czwartej; rundę ósmą kończyło około sześćdziesięciu czterech

szczęśliwców i rozpoczynało się rozdawanie nagród. Osiągnięcie tej rundy było jego celem minimum. Oznaczało, że będzie miał jeszcze jedną szansę, nawet gdyby zaraz potem został wyeliminowany. W pewien sposób te pierwsze gry były najbardziej niebezpieczne. Jego przeciwnikami mieli być w przeważającej mierze słabi gracze, poza pewnymi godnymi uwagi wyjątkami, i należało uważać, by nie popełnić jakiegoś głupiego błędu. Bez sensu byłoby oddać zwycięstwo w grze, która dzięki odrobinie uwagi może z łatwością przynieść wygraną.

W drugiej grze zmierzyć się miał z niemłodą niewolnicą. Prawdopodobieństwo, że okaże się godnym przeciwnikiem, było niewielkie. Najpewniej spróbuje szczęścia w grach losowych; typowy wybieg stosowany przez słabszych graczy.

Plansza dała jej tę sposobność. Kobieta wylosowała bok oznaczony liczbami. Cóż, istniały metody, pozwalające lepszemu graczowi odzyskać przewagę i Stile już o to zadbał. Wybrał opcję NARZĘDZIA.

I oczywiście - wylosowali 3B - gry losowe z użyciem narzędzi. Pojawiła się podplansza. Stile rozgrywał ją tak, by uniknąć konkurencji opartych jedynie na prawdopodobieństwie, takich jak gra w kości czy ruletka, a osiągnąć te mniej zależne od przypadku - na przykład karty. Rezultatem ich wspólnego wyboru okazało się domino.

Nieźle. Stile'owi udało się narzucić wybór wariantu dwunastokropkowego, o dziewięćdziesięciu jeden kamieniach, a jego przeciwniczka wprowadziła konwencjonalną regułę dobierania. Stile, znając wszystkie odmiany tej gry, dążył do takiej, która byłaby obca kobiecie, i wprowadził ją w zakłopotanie. Udało mu się to połowicznie.

Przeszli do sali gier i rozpoczęli pojedynek. Ułożyli wszystkie kamienie tak, aby nie było widać, jaką mają wartość, pomieszczyli je i każde wylosowało po jednym. Stile wyciągnął kamień 6:7, jego przeciwniczka 4:5. Miał więc pierwszy ruch. Świetnie, dawało mu to przewagę.

Dobrali teraz oboje po siedem kamieni i Stile z radością odkrył, że ma całą serię czwórek: 4:0, 4:2, 4:8 i 4:11. Zaczął od 4:8. Tak jak na to liczył, jego przeciwniczka nie mogła nic dołożyć, bo nie miała czwórek; musiała trzy razy dobierać, zanim nie wylosowała odpowiedniego kamienia. Stile znowu wyłożył jedną ze swych czwórek.

I tak już poszło. Kobieta, zagubiona w ogromnej liczbie kamieni, nie miała na tyle sprytu, by pozbywać się tych, które miały najwięcej oczek; przegrała, a Stile zarobił sporo punktów. Rozegrali jeszcze drugi i trzeci pojedynek, i Stile przekroczył 0 punktów, wygrywając grę. Jego przeciwniczka nie zdobyła ani jednego punktu. I tak Stile przeszedł do trzeciej rundy lekko i łatwo.

Kiedy skończyli grać, kobieta siedziała dalej, z nieruchomą twarzą. Stile uświadomił

sobie poniewczasie, że musiała przegrać i swój pierwszy pojedynek. Druga przegrana oznaczała wypadnięcie z Turnieju, a więc natychmiastową i nieodwołalną deportację z Protonu. Niektórzy z niewolników woleli zabić się, niż opuścić tę planetę. Należeli tutaj do najniższej kasty, której przeznaczeniem był służenie aroganckim obywatelom, lecz o niczym innym w życiu nie marzyli. Stile to rozumiał; do niedawna jeszcze w pełni podzielał ich pragnienie. Dopiero Phaze i jej cudowne możliwości otworzyły przed nim nowe perspektywy. Żał mu było kobiety. Ale co miał zrobić? I tak nie miała szansy na zwycięstwo w Turnieju. Lepiej było dobić ją szybko. Tak jak Sheen? Nie, oczywiście nie tak! A jednak Stile nie potrafił pozbyć się tej myśli i jej cień nie dawał się do końca wymazać.

Zostawił kobietę samą. Nie czuł radości.

Gdy Stile i Sheen weszli do mieszkania, rozjarzył się ekran informacyjny.

- Zamelduj się u pracodawcy. Oczekuje sprawozdania - oznajmił lakonicznie niewolnik funkcyjny, pokazując jednocześnie identyfikację obywatelki zatrudniającej Stile'a. - W tym miejscu, o tej godzinie. - I z otworu na listy wypadła karta.

Sheen podniosła ją.

- O, nie! - jęknęła. - Mamy tylko pół godziny na dojazd, a to bardzo oddalona kopuła. Liczyłam, że starczy nam czasu...

- Jak na robota, jesteś bardzo przywiązana do jednej czynności - zażartował Stile.

- Tak mnie zaprogramowano! - warknęła.

Sheen została zaprojektowana zgodnie z jego upodobaniami, a najwyraźniej pociągała go uroda, inteligencja i kokieteria. Stile po raz kolejny uświadomił sobie, i wcale nie było to specjalnie miłe, że jest pod tym względem typowym mężczyzną. Jego ujawnione w ten sposób skłonności okazały się podejrzenie jednostronne. A jednak Sheen była pod każdym względem - oprócz jednego - idealną dla niego partnerką. Lecz ta jedna cecha przekreślała wszystkie jej zalety; Sheen nie była człowiekiem. Stanowiła konstrukcję z metalu, pseudociała i sztucznego intelektu.

Stile czuł jednak, że nawet gdyby Sheen była prawdziwą, żywą osobą, nie potrafiłaby utrzymać go przy sobie, od chwili gdy spotkał Błękitną Panią. To, co było ideałem kobiety dwa miesiące temu, przestało nim być. Błękitna Pani miała nie tylko skomplikowaną i fascynującą przyszłość, ale i przeszłość; zmieniała się wraz z upływem czasu, dotrzymując kroku rozwojowi osobowości Stile'a, czego Sheen nie była w stanie dokonać. Pani sprawiła,

że Stile zmienił postać swego ideału, nadając mu jej ciało, duszę i historię. Zaczął przyzwyczajać się do życia na Phaze i przestał się identyfikować ze światem Protonu.

I wcale nie chodziło tu o kobiety; i tak pokochałby Phaze. Magia stała się wyzwaniem silniejszym niż Gra. Miał jednak na Protonie pewne zobowiązania i zamierzał je wypełnić. Poza tym dręczyło go pragnienie, by wysledzić swego anonimowego wroga i załatwić z nim porachunki.

Kto uszkodził mu laserem kolana? Kto przysłał Sheen, by go strzegła? Nie będzie mógł spokojnie żyć na Phaze, dopóki nie znajdzie odpowiedzi na te pytania.

- Nie wolno nam się spóźnić; musimy dojechać na czas. - Sheen zaczęła już go popędzać.

- Masz rację - zgodził się Stile, choć zły był, że musi tracić czas.

Zgodnie z prawem niewolnik przerywał pracę u obywatela z chwilą wstąpienia w szranki Turnieju, gdyż decyzja ta oznaczała rozwiązanie kontraktu. W pewnym sensie jednak niewolnik dalej pozostawał związany ze swoim pracodawcą, gdyż obywatele identyfikowali się ze swoimi pracownikami biorącymi udział w Turnieju i często zakładali się o to, kto zwycięży. Wielu dawało swoim niewolnikom urlop, by mogli przygotować się do Turnieju i lepiej w nim wypaść; tak zrobiła też pracodawczyni Stile'a. A gdyby udało mu się wygrać przedłużenie kontraktu, nadal potrzebowałby jakiegoś pracodawcy. Tak więc bez względu na to, jaki jest teraz jego status prawny, lepiej postępować tak, by nie stracić przychylności obywatelki.

- Nie wiedziałam, że ona ma tam kopułę. - zauważyła Sheen, gdy spieszyli do stacji metra. Jako robot, pozbawiona była ciekawości, lecz wpływ Stile'a i zaprogramowanie obudziło w niej tę najbardziej kobiecą z cech. Rzadko myliła się, oceniając czyjś charakter. - Ale oczywiście wszyscy obywatele są obrzydliwie bogaci. Na pewno oglądała Turniej z jakiegoś ustronnego miejsca.

Wsiedli do wagonu. Przyłączyła się do nich jeszcze jedna pasażerka, ładnie zbudowana niewolnica w średnim wieku. Była oczywiście nago i niosła szczelnie zamknięty termos.

- Moja pracodawczyni upiera się, że lody z pewnego supermarketu smakują lepiej niż skądkolwiek - zwierzyła się im, pukając palcem w termos. - A więc codziennie muszę tam jechać i przywieźć je osobiście. Ona uważa, że mechaniczny posłaniec zepsułby ich smak.

- Bardzo możliwe - uśmiechnęła się tajemniczo Sheen.

- Obywatele już tacy są - zauważył Stile, poddając się atmosferze koleżeństwa typowej dla niewolników. - Biorę udział w Turnieju, lecz moja pracodawczyni nalega, bym osobiście złożył jej raport, tak jakby nie wystarczył jej oficjalny, i muszę odbyć podróż również

bezczelową jak twoja. - Nie obawiał się ukrytych kamer i urządzeń podsłuchowych, mogących przekazać tę rozmowę jakiemuś obywatelowi; istniały oczywiście mechanizmy kontroli, ale obywatele nie interesowali się poglądami niewolników i wręcz oczekiwali, że będą oni narzekać.

- Dziwne - powiedziała kobieta. - W tej kopule mieszka tylko troje obywateli. Moja pracodawczyni w ogóle nie interesuje się Turniejem, drugi z obywateli wyjechał w interesach na inną planetę, a trzeci... - Urwała nagle.

Sheen bardzo się tym zainteresowała.

- A co z tym trzecim?

- Cóż, on nienawidzi Turnieju. Twierdzi, że to strata czasu, a jedynym efektem jest tworzenie nowych obywateli, choć i tak jest ich zbyt wielu. Na pewno nie z nim macie się spotkać.

- Mój pracodawca jest kobietą - wyjaśnił Stile.

- Moja jest jedyną kobietą mieszkającą w tej kopule, a ona na pewno nie sponsoruje twojego występu.

Stile pokazał jej kartę z adresem.

- To ten przeciwnik Turnieju! - wykrzyknęła niewolnica. - Na pewno nie jest kobietą! - Uczyniła drobny, choć wiele znaczący gest w okolicy brzucha. - Wiem przecież.

Stile i Sheen spojrzeli po sobie. Kobieta zasygnalizowała, że obywatel, o którym mówili, wypożyczył ją do celów seksualnych, do czego miał prawo, o ile oczywiście wyraził na to zgodę jej pracodawca. Obywatele obojga płci mogli używać w ten sposób niewolników bez względu na ich płeć i kobieta musiała wiedzieć, kim był wypożyczający.

- Moja pracodawczyni jest kobietą - powtórzył Stile, czując przyływ niepokoju. Czyżby kazała mu stawić się osobiście, gdyż miała ochotę na drobny flirt? Nie mógłby jej przecież odmówić, choć wcale nie pragnął podobnych komplikacji. - Czy jesteś pewna, że miejsce to nie zmieniło ostatnio właściciela?

- W żadnym wypadku. Byłam tam przedwczoraj. - Znowu ten sam gest. - Niebo i piekło.

- Może moja pracodawczyni przyjechała go odwiedzić - zauważył Stile.

- Bardzo możliwe - zgodziła się niewolnica. - On lubi kobiety i woli obywatelki, jeśli tylko uda mu się jakąś zdobyć. Czy ona jest piękna?

- Ładna - odparł Stile. - Podobna do ciebie. Niewolnica pokiwała znacząco głową. - Ale ty - zwróciła się do Sheen - trzymaj lepiej swoje wspaniałe ciało z daleka od niego, bo możesz popsuć szyki swojej pani.

Stile uśmiechnął się. Oczywiście, niewolnica wzięła Sheen za koleżankę. Sheen potrafiła pokrzyżować plany każdej rywalce i to nie tylko posługując się swą urodą.

Wagon zwolnił.

- To już moja stacja - oznajmiła kobieta. - Wy musicie wysiąść na następnej. Powodzenia!

Kiedy zostali sami, Stile poczuł, że musi przedyskutować to z Sheen.

- Zupełnie mi się to nie podoba. Nie możemy zlekceważyć tego polecenia, ale coś mi tu brzydko pachnie. Czy wiadomość mogła być sfalszowana?

- Była prawdziwa - uspokoiła go Sheen. Jako robot umiała rozróżniać takie rzeczy. - Ale zgadzam się z tobą. Coś tu jest nie tak. Wezwę pomoc.

- Sądzę, że nie powinnaś wciągać w to swoich przyjaciół. Oni nie chcieliby zwrócić na siebie uwagi jakiegoś obywatela.

- Poproszę tylko, by wysłędzili, skąd przyszła wiadomość - rzekła Sheen. - I uruchomili twego robota-dublera. Możemy przecież poczekać, aż dotrze tu ekspresem.

Pojazd zatrzymał się. Wysiedli i podeszli do automatu z jedzeniem, marnując tyle czasu, ile się dało. Sheen zjadła marchewkę - choć była robotem, mogła przepuszczać przez swój układ jedzenie, oczywiście nie trawiąc go - Stile zadowolili się filiżanką nutrokakao.

W zdumiewająco krótkim czasie otworzył się właz poczty ekspresowej i wyszedł z niego dubler Stile'a z przymocowanym kwitem przewozowym.

- Zaczynj oddychać - poleciła Sheen i robot ożył. - Weź kartę i zgłoś się pod podany na niej adres. Nie przerywaj łączności.

Robot bez słowa wziął kartę, spojrział na nią i odszedł korytarzem. Był taki mały, że Stile poczuł zażenowanie; tak właśnie widzieli go inni: chłopiec-mężczyzna, trzydziestopięcioletni, lecz wzrostu dwunastoletniego dziecka.

- Ruszamy - mruknęła Sheen, popychając Stile'a w stronę przejścia służbowego. - Jeżeli zaczną się kłopoty, będziemy musieli stąd szybko zniknąć.

Znaleźli magazyn i rozsiedli się w nim, oczekując na mające nastąpić wydarzenia.

- Nareszcie! - szepnęła Sheen, zarzucając mu ręce na szyję i całując go. Była równie zmysłowa i delikatna jak prawdziwa kobieta. W połowie pocałunku znieruchomiała. - Do licha!

- Co się stało? Czyżby moje wargi straciły smak żywego ciała?

- Odbieram właśnie raport od robota. - Sheen użyła tego terminu bez cienia zakłopotania. Tyle w niej było ze zwykłego robota, ile dziecięcych bazgrołów w hologramie.

- To była pomyłka! Mężczyzna-obywatel nie ma żadnych gości i nie wysyłał żadnych

wezwań. Och! - Potrząsnęła głową. - To boli!

Skąd ten ból?

- Jakieś niemiłe słowa?

- Destrukcja. Skazał robota na przetopienie. Już go nie ma.

Tak po prostu! Dubler Stile'a, podający się za niego, został przetopiony! Oczywiście nie było co rozpaczać nad jakimś robotem, z wyjątkiem Sheen, lecz Stile zdążył nawiązać z nim jakiś kontakt i poczuł, że zaczyna się z nim identyfikować.

- Czy obywatel wiedział, że ma do czynienia z robotem?

- Nie sądzę. Teraz jednak już wie. Ludzie nie palą się w taki sam sposób jak roboty. Płoną i śmierdzą. - Przechyliła głowę na bok, przysłuchując się. - Tak, musimy stąd uciekać. Obywatel zaczął sprawdzać, czy w kopule nie ma innych intruzów.

Stile przypomniał sobie spotkanie z Czarnym Adeptem na Phaze; ta sama absolutna wrogość wobec intruzów i cicha zgoda na morderstwo. Ten typ osobowości występował nie tylko pośród Adeptów.

Sheen pociągnęła go za sobą. Wkrótce znaleźli się na górze, na ponurej powierzchni Protonu, tuż obok kopuły wypoczynkowej. Sheen otworzyła swój korpus i wyciągnęła małą, obejmującą tylko nos maskę.

- Załóż ją. Dostarczy ci tlenu. Dzięki temu zdołasz tu przetrwać.

Stile zrobił, co mu kazała. Kiedy zaczynał się dusić, wciągał nosem trochę tlenu i znowu czuł się normalnie.

Krajobraz wokół nich był przerażający. Goły piasek i żadnej roślinności. Na południu widać było łysy grzbiet górski, przesłonięty żółtawą chmurą zanieczyszczeń. Stile dokonał w pamięci kilku obliczeń i stwierdził, że muszą to być Góry Purpurowe. Znajdowali się bardzo blisko ziem, które na Phaze zajmował Lud Kurhanu. Tyle że na Protonie nie było nikogo takiego. A może? Większość ludzi miała swoich sobowtórów; czy to możliwe, żeby cały szczerp też miał swój odpowiednik? - Sheen, czy ktoś mieszka w tych górach?

- Tam są kopalnie protonitu - przypomniała mu. - Niewolnicy, którzy tam pracują, karleją i... - Nagle przerwała i rozejrzała się wokoło. Coś się poruszyło. - Och, nie! Uruchomił zewnętrzną linię obrony. Nie przejdziemy!

Stile stanął i patrzył przerażony. Z okopów wypełzały małe czołgi z działami na wieżyczkach. Błyskawicznie uformowały krąg wokół kopuły; anteny ich radarów poruszały się, szukając celu.

Sheen zaciągnęła go poprzez pole siłowe z powrotem do kopuły. Pole przypominało w pewien sposób zasłonę; odczuwalne jako lekkie mrowienie skóry dzieliło od siebie dwa różne

światy. Kiedy weszli do środka, poczuli znowu bogate w tlen powietrze. Jednocześnie rozległy się syreny alarmowe. Wpadli w prawdziwe kłopoty!

- Czy twoi przyjaciele nie mogliby rozbroić czołgów? - spytał Stile, biegnąc za Sheen przez zewnętrzne pomieszczenie magazynowe.

- Nie. Czołgi są całkowicie autonomiczne. Tylko obywatel może je wyłączyć. W kopule będziemy bezpieczniejsi.

Usłyszeli nadciągające androidy.

- Bezpieczniejsi, ale nie aż tak bardzo - mruknął Stile, ale musiał przyspieszyć kroku, gdyż Sheen zaczęła biec.

Przemykali się służbowymi przejściami. Sheen, która cały czas odbierała sygnały nadawane przez obsługujące kopulę roboty, prowadziła ich bezbłędnie. Pogoń była jednak tuż za nimi. Nie mieli chwili czasu, by się ukryć lub przemyśleć taktykę obrony.

Niespodziewanie wpadli do głównej części mieszkalnej. Zatrzymali się, oszołomieni.

To było niebo. Dosłownie, jak z komiksu. Podłoga zrobiona z białej, miękkiej gąbki ukształtowana została tak, by przypominać chmury; nad ich głowami unosiły się małe obłoczki, na których przysiadły skrzydlate dzieci, grające na harfach. Z oddali dochodziła cudowna, przyciszona muzyka: chóry anielskie.

Jakiś anioł spostrzegł ich i podszedł, trzepocząc ogromnymi skrzydłami. Odziany był w powłóczystą szatę z wyhaftowaną złotą literą „G”.

- Och, nowi goście Pana. Czy odrzuciliście wszelkie grzechy i pragnienia?

Ani Stile, ani Sheen nie potrafili wymyślić właściwej odpowiedzi. Stali bez ruchu, a za ich plecami pojawiły się ścigające ich androidy.

- Cóż to! Któż to! - zawołał anioł. - Bezduzne istoty nie mają tu wstępu.

Androidy, niezadowolone, wycofały się. Przypominały swym zachowaniem zwierzęta z meczu futbolowego, gdy odgwizdano karny.

Z chmury dobiegł ich nowy głos.

- Cóż to za zamieszanie, Gabrielu? - spytała jakaś kobieta.

- Mamy gości - odparł archanioł Gabriel. - Ale nie jestem pewien...

I wtedy pojawiła się dama ubrana w przejrzystą suknię, opinającą jej bujne wypukłości. Stile zdecydował, że efekt końcowy jest nieopisanie seksowny. Przyzwyczajony był albo do nagości, albo do zasłaniającego wszystko ubrania. A to niezdecydowanie... Doprawdy, niebo nie pozbawione było erotyki.

- To niewolnicy! - kobieta zmarszczyła brwi. - Nie mają prawa znajdować się tutaj!

Stile i Sheen rzucili się do ucieczki. Pobiegli przez barierę chmur ku najbardziej

rzucającej się w oczy drodze ratunku: wyłożonej złotem ścieżce, która spiralą przechodziła przez podłogę z chmur, zmieniając się w kamienne schody. Na stopniach wyryte były litery i Stile, biegnąc, zdążył przeczytać napis, jaki tworzyły: DOBRE CHEŃCI. Na dole schody doprowadziły ich do potężnych, nieprzezroczystych, podwójnych drzwi. Sheen pchnęła je i weszli do środka.

Znowu stanęli zdumieni. Dolna komnata była całkowicie odmienna od górnej. Panował w niej żar, w jamach płonęły ogniska. Przeróżające freski na ścianach pokazywały groteskowe sceny pełne tortur i wyuzdania. Do metalowych pali przyłączone były łańcuchy z obręczami na końcu.

- To jest piekło - stwierdził Stile. - Niebo na górze, piekło na dole. Zgadza się.

- Niewolnica z metra wspominała o tym - dodała Sheen. - Wiedziała, co mówi.

Podszedł do nich mały diabełek, odziany na czerwono, rogaty, z haczykiem na końcu ogona. Machał groźnie widłami.

- Świeże mięsko! - zawołał radośnie. - Och, rozpaliliśmy już dla was ogień. Chodźcie tu, dusze zgubione i potępione!

Za nimi, na schodach, słychać było tupot nóg. To androidy podjęły pogoń. Wyglądało na to, że bezduszne istoty miały prawo wkraczać do piekła.

Stile i Sheen zaczęli znowu uciekać. Sheen zaatakowała małego diabełka, wrywając mu broń. Biegli, omijając dymiące jamy.

- A cóż to? - zawołał tłusty, duży diabeł. - Niewolnikom wstęp wzbroniony! - A więc wstęp do piekła był równie trudny, jak do nieba. Diabeł przyjrzał się Stile'owi, mrużąc oczy. - Przecież cię przed chwilą przetopilem!

- I dlatego tu jestem - odparł Stile, nie mogąc darować sobie tej przyjemności.

- To obywatel! - zawołała Sheen. - To on jest szatanem!

- Trafna charakterystyka - zgodził się Stile.

- Każę rozszarpać cię na kawałeczki! - wrzasnął obywatel, prawdziwie szatański w swym gniewie.

- Lepiej rozedrzyj fałszerza, który nas tu przysłał, panie - odciął się Stile.

Obywatel zamilkł.

- A więc o to tu chodzi. - Zerknął na sufit. - Daj mi raport na temat tego wezwania.

Na suficie zapalił się ekran.

- Wezwanie pochodziło od obywatelki, pracodawczyni tego mężczyzny. Adres był nieprawdziwy.

- Połącz mnie z nią! - Przez chwilę wydawało się, że z jego nozdrzy unosi się dym.

Po chwili na ekranie pojawiła się pracodawczyni Stile'a z gniewnym wyrazem twarzy. - Czy to ty posłałaś po tego niewolnika? - spytał szatan-obywatel, wskazując na Stile'a.

Kobieta przyjrzała się piekłu i szatanowi.

- Czyżbyśmy się znali? - spytała zimno.

- Jesteś przecież kobietą! Oczywiście, że się znamy! Obywatelka zdecydowała się zmienić temat.

- Wezwałam tego niewolnika pod mój adres. Co on tu robi?

- Taki właśnie adres mu dano, ty idiotko!

- Oczywiście, że nie! - krzyknęła. Przyjrzała się karcie z adresem. - A co to... adres został zmieniony! Kto jest za to odpowiedzialny?

- Zmieniony - mruknęła Sheen, a obwody jej skomputeryzowanego mózgu pracowały tak szybko, że prawie jej było słychać. - To dzieło naszego zamachowca.

Obywatelka zwróciła się do Sheen.

- Niewolnico, czy wiesz, kto jest za to odpowiedzialny?

- Pani, wiem tylko tyle, że ktoś usiłuje zabić Stile'a - odparła Sheen. - Nie wiem jednak kto ani dlaczego.

Obywatelka zmarszczyła brwi.

- Wystawiłam tego niewolnika do Turnieju - oznajmiła szatanowi. - Wygrał już dwie rundy. Nie podobają mi się te przeszkody.

- A mnie nie podoba się to wtargnięcie na mój teren - odciął się obywatel.

- Jasne. Do głowy by mi nie wpadło pojawiać się w takiej okolicy. Zaraz rozpoczynam śledztwo i tobie radzę to samo. Biorąc zaś pod uwagę, że niewolnicy są bez winy, czy mógłbyś ich po prostu wypuścić?

- Ależ oni są intruzami! - obruszył się szatan. - A karą za to jest śmierć!

- Przecież już ją poniosłem - mruknął Stile.

- Ale nie dla moich niewolników - sprzeciwiła się obywatelka, odzyskując zapał. - Jeśli stracę tę szansę na wygraną w Turnieju, bardzo mnie to zdenerwuje.

- Ja już się zdenerwowałem, a poza tym Turniej nic mnie nie obchodzi. Intruzi muszą umrzeć, i dobrze im tak.

- Nie wypada - kobieta znów zmarszczyła brwi - by obywatele kłócili się przy własnych niewolnikach. Gdyby nie to, przypomniabym ci o zdalnie sterowanym pocisku wycelowanym właśnie w twoją kopułę, mogącym zdezorganizować twój system energetyczny, a nawet napromieniować twoją własną osobę, co nie należy do przyjemności, jak przypuszczam. Mam zamiar odzyskać tego niewolnika.

Diabeł przemyślał sprawę. - Zgadza się, obywatele nie powinni dyskutować przy niewolnikach. W przeciwnym wypadku wspomniałbym o kilku innych rzeczach, na przykład o laserze antyrakietowym, wycelowanym teraz...

- Zawrzyjmy kompromis - zdecydowała obywatelka. - Daj niewolnikom szansę ucieczki i załóżmy się o wynik.

Diabeł aż się rozjaśnił.

- Ich życie... plus kilogram protonitu.

Stile o mało co nie jęknął. Jeden gram protonitu płacono za dwadzieścia lat służby na Protonie i wystarczało to na wygodne życie w każdym miejscu galaktyki. Doprawdy, obywatele rozrzucali bogactwo jak piasek.

- Tylko jeden kilogram? - spytała obywatelka.

Stile nie potrafił zdecydować się, czy w pytaniu było więcej ironii, czy pogardy.

- Plus ty - poprawił się szatan. - Na cały tydzień.

- Oburzające!

- A więc na cały dzień. - Szatan westchnął.

- Zgoda. - Pracodawczyni spojrzała na Stile'a. - Macie na ucieczkę dwie minuty, w czasie których nikt nie będzie wam przeszkadzał, potem zostaną zwrócone przeciwko wam wszelkie zasoby tej kopuły. Radzę, żebyście umiejętnie skorzystali z darowanego wam czasu. Nie chciałabym spędzić całego dnia z kimś takim jak on.

- Teraz! - krzyknął szatan.

- Biegnij za mną - zawołała Sheen, zrywając się do biegu.

Stile poszedł jej śladem bez wahania; Sheen zaprogramowana została specjalnie do takich sytuacji. Stile wciąż nie mógł zdecydować się, co ma myśleć o negocjacjach pomiędzy obywatelami i o ustalonych warunkach. Jego pracodawczyni nie przejęła się możliwą stratą kilograma protonitu, nie spodobała jej się za to możliwość spędzenia dnia z szatanem, lecz mimo to przyjęła zakład. Czy mówiło to coś o wartościach wyznawanych przez obywateli? Stile wcale nie był tego pewny. Jego pracodawczyni mogła być na niego zła za przegrany zakład, lecz wtedy Stile będzie już martwy. Może wskazywało to tylko na relatywną wartość różnych rzeczy: życie ulubionego niewolnika, kilogram protonitu, dzień spędzony z gburem. Trzy rzeczy mające jednakową wartość.

Sheen zdążyła, korzystając ze swych możliwości robota, zbadać topografię i zasoby kopuły. Wiedziała dokładnie, gdzie co się znajduje. Stile dobrze zdawał sobie sprawę, że stawką w tej grze jest jego życie, lecz wierzył, iż uda mu się je zachować; obywatel-szatan nie rozpoznał w Sheen robota. Szansę uciekających były więc większe, niż mógł sądzić.

Pracodawczyni Stile'a oczywiście wiedziała o tym, i zręcznie wszystko rozegrała. Miała nadzieję wygrać zakład.

Sheen zatrzymała się przy jednej z tablic rozdzielczych, otworzyła ją i przestawiła coś w środku.

- Da to nam dodatkową minutę - oznajmiła. - Nastawiłam mechanizm opóźniający nadanie sygnału o sześćdziesiąt sekund. Zanim zauważą opóźnienie, zyskamy całą minutę. - I Sheen ruszyła dalej.

Podbiegli do rezerwowego oddziału czołgów. Sheen otworzyła właz jednego z małych pojazdów.

- Właz do środka.

- Ależ tam jest miejsce tylko dla jednej osoby!

- Ja nie muszę oddychać - przypomniała mu. - Będę jechać na zewnątrz. - A gdy Stile spojrzał na nią powątpiewająco, dodała: - Zaczęła się dodatkowa minuta. Wsiadaj! Umiesz obsługiwać to urządzenie?

- Tak. - Stile używał już w czasie Gry tego typu pojazdów; potrafił dobrze nimi kierować. Ten jednak uzbrojony był w prawdziwe, choć niewielkie pociski, a nie, jak w czasie Turnieju, w emitującą kolorowe światło imitację laseru. To była prawdziwa machina wojenna i Stile odczuł lekki niepokój.

- Kiedy znajdziemy się na zewnątrz, nie będę mogła ci pomóc - mówiła pośpiesznie Sheen. - Spróbuj naśladować inne czołgi, by nie zorientowano się, że jesteś zbiegiem. A potem uciekaj w góry albo w kierunku innej kopuły. Czołgi będą ścigać cię tylko w obrębie posiadłości tego obywatela.

Posiadłość. To brzmiało jak Królestwa Adeptów z Phaze.

- Trzymaj się - rzucił Stile. Zamknął właz, zabezpieczył go i uruchomił czołg.

Motor ożył z rykiem. Stile skierował czołg do tunelu prowadzącego do wyjścia na powierzchnię Protonu. Prawie natychmiast ujrzał krąg czołgów. Skierował się w ich stronę, chcąc dołączyć do szeregu. Obronna mimikra to świetny pomysł!

Czołgi zwróciły się jednak przeciwko niemu. Może stało się to z powodu Sheen, która przywarła do pancerza jego maszyny, a może roboty obywatela dowiedziały się, który czołg został skradziony. Najbliższa z szeregu maszyna odwróciła się w ich stronę, kierując na nich swe złowrogie działo.

Świetnie. Stile był mistrzem tego typu manewrów, choć nigdy przedtem jego życie nie zależało tak dosłownie od jego umiejętności. Skręcił w bok i strzał wroga chybił celu. Gdzieś z tyłu słuchać było detonację, a czarna chmura rozszerzała się i dryfowała w podmuchach

wiatru.

Stile odwrócił swój czołg i strzelił w kierunku maszyny, która go zaatakowała. Trafił celnie, ujrzał błysk ognia i zaraz potem chmura dymu przysłoniła wroga. Stile był strzelcem wyborowym, choć nigdy nie przypuszczał, że ta przydatna w Grze umiejętność okaże się tak niezbędna w prawdziwym życiu.

Zanim chmura rozwiała się, Stile zaatakował ponownie i udało mu się unieszkodliwić jeszcze jeden czołg. Mimo to pozostałe maszyny zaczęły go otaczać. Było ich zbyt wiele, a do tego Stile bał się o siedzącą na pancerzu Sheen. Nawet odłamek mógł ją zabić! Ucieczka tą drogą nie mogła się udać.

Stile skierował się ku kopule. W ten sposób znalazł się pomiędzy nią a ścigającymi go czołgami: wrogowie przestali strzelać bojąc się, że niecelny pocisk uszkodzi kopułę. Maszyny nie odznaczały się inteligencją, lecz zostały zaprogramowane tak, by unikać tego typu sytuacji.

Jednak w ten sposób nadal pozostawał więźniem. Nie mógł wyrwać się z kręgu czołgów, nie wystawiając się na strzał. Wkrótce wyczerpie się okruh protonitu, którym pojazd był napędzany; ciężka maszyna zużywała dużo energii. Znajdą się wtedy w pułapce, zdani na łaskę i niełaskę szatana, a on wymyśli na pewno coś prawdziwie piekielnego.

Cóż, należało więc zrobić coś nieoczekiwanego. Nic innego im nie pozostało. Stile ruszył pełnym gazem, przejeżdżając przez pole siłowe i uderzając w kopułę. Niech się teraz martwi obywatel.

W ciągu kilku chwil przebił się przez ściany dzielące zewnętrzne pomieszczenia i miażdżąc rekwizyty teatralne i zapasowe materiały, wjechał na górę do nieba.

Przerażone anioły rozbiegły się z krzykiem, gdy zobaczyły, jak czołg rozbija wał chmur, miażdżąc piankową podłogę i rozrywając obłoki na kawałki. Stile zwolnił, nie chcąc nikogo zranić; w końcu to przebrani niewolnicy odgrywali role aniołów. Gdyby ktoś zginął, jego kontrakt zostałby natychmiast anulowany, i jeśli policja zdołałaby go aresztować poza sanktuarium, w którym rozgrywano Turniej, nigdy nie pozwolono by mu tam dotrzeć. Nikt nie mógł być aresztowany w sali Gier. Lecz jak wróciłby na Phaze? O ile wiedział, żaden z zakrętów zasłony nie przecinał sali Gier. A więc jechał ostrożnie, świadom, jaką to anomalię stanowi czołg poruszający się po niebie z dziewczyną-robotem siedzącą na jego pancerzu. Bardzo chciał się zatrzymać i sprawdzić, czy nic się nie stało Sheen, lecz wiedział, że nie może pozwolić sobie na najmniejszą nawet zwłokę; musiał znaleźć drogę ucieczki, zanim oddziały obywatela zdołają się przegrupować.

Może powinien spróbować przebić się do tunelu metra? Korytarze były dość szerokie i

czołg mógł przez nie przejechać. Lecz co dalej? Maszyna nie zmieści się w wagonie; nie uda się jej też przeprowadzić dalej wąskimi tunelami metra. A gdy Stile wysiądzie z czołgu, narazi się na strzał z lasera. Co więc ma robić? Wydawało mu się, że nie ma żadnej drogi ucieczki.

Nagle doznał olśnienia. Zaslona... oczywiście! Widział ją przecież niedaleko stąd, po drugiej stronie kopuły. Gdyby udało mu się ją zlokalizować i dotrzeć tam na czas...

Było to wielkie ryzyko. Zaslona mogła znajdować się za daleko, Stile mógł jej nie zauważyć z czołgu, nie wiadomo też, czy zdołałby przenieść się na drugą stronę w czasie jazdy. Nie miał najmniejszego zamiaru zatrzymywać się i wychodzić z maszyny będącej pod ostrzałem innych czołgów.

Ale pozostawanie wewnątrz kopuły było czymś więcej niż ryzykiem. Tu szatan z pewnością dostanie ich w swe łapy. Stile musiał spróbować dotrzeć do zasłony!

Z hukiem wyrwał się z nieba, przejechał przez zewnętrzne pomieszczenia i wydostał się na jałowe pustkowie Protonu.

Wrogie czołgi znajdowały się po drugiej stronie kopuły, przy dziurze, jaką zrobił Stile, wjeżdżając do środka. Dawało mu to szansę. Stile skierował swój pojazd w miejsce, gdzie powinna znajdować się zasłona. Trochę szczęścia i...

Wszystkie czołgi obywatela zareagowały jednakowo; okrążyły kopułę i uformowały się w szereg po drugiej stronie. Szybko znalazł się w ich polu widzenia, i co gorsza, kopuła nie była już na linii strzału. Nie miał szczęścia!

Kiedy czołgi rozpoczęły ostrzał, Stile zaczął poruszać się zygzakiem, utrudniając im dokładne namierzenie. Roboty strzelały dobrze do celu nieruchomego lub poruszającego się ruchem jednostajnym, lecz gdy prędkość zmieniała się w sposób przypadkowy, a maszyny używały broni nielaserowej, tak jak teraz, konieczne było przewidywanie strategii, jaką przyjmie ofiara. W przeciwnym wypadku pociski nie trafiały celu. Stile potrafił, jak każdy człowiek, działać w sposób niemożliwy do przewidzenia, a więc strzały chybiały. Nie powinien jednak zbyt długo podstawiać się pod lufy czołgów; w końcu któryś trafi, w najlepszym razie uszkadzając jego pojazd, i wtedy Stile stanie się dla nich łatwym celem: nagim celem, jak nazywano to w Grze.

Na Phaze, pomyślał Stile, kryć się musiał przed czarami, na Protonie rolę zaklęć spełniały kule.

Meandrowanie to miało jeszcze jeden cel: należało odnaleźć zasłonę. Znajdowała się gdzieś tu, lecz na pokrytej gołym piaskiem i pozbawionej wszelkich znaków szczególnych równinie Stile nie potrafił jej precyzyjnie umiejscowić. Zaslona nie tworzy prostej linii, a do

tego lśni tak słabo, że ledwo jest dostrzegalna nawet dla osób, którym służy. Stile obawiał się, że zauważy ją w ostatniej chwili i ominie; będzie wówczas musiał zawrócić i próbować od drugiej strony, co da czołgom nieprzyjaciela dodatkowy czas.

Nagle na piasku tuż obok wylądował pocisk. Wybuch zakołysał gwałtownie czołgiem Stile'a. Coś - widział to wyraźnie na ekranie - oderwało się od maszyny. Kawałek pancerza?

Nie. To była Sheen.

I wtedy Stile ujrzał zasłonę tuż przed sobą. Prawdopodobnie przez dłuższy czas jechał równoległe do niej. Wystarczyło teraz lekko skrócić w prawo i przedostać się na drugą stronę...

Ale przecież nie bez Sheen! Co robić? Nie mógł się zatrzymać, skazałoby go to na natychmiastową śmierć w płomieniach. Już i tak zwolnił, goniące go czołgi przybliżyły się, a ich pociski zaczęły padać coraz bliżej. Musi przedostać się... albo zginąć.

Sheen prosiła go o lekką śmierć. Czyżby teraz miał okazję? Czy powinien pozwolić, by zginęła?

Stile wyłączył automatycznego pilota, otworzył właz i wydostał się na zewnątrz. Czołg poruszał się teraz z prędkością pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Stile zeskoczył z pancerza, rozpaczliwie przebierając nogami w powietrzu. Dotknął stopami ziemi, lecz nie był wystarczająco szybki. Upadł do przodu, mocno zaciskając oczy i usta i zwijając się w kłębek. Piasek był miękki, lecz siła uderzenia sprawiła, że wydawał się twardy jak beton. Przekoziolkował kilka razy, zanim udało mu się wstać. Trochę się potłukł, lecz nic poważnego mu się nie stało. Ależ ten piasek parzy!

Nieprzyjacielskie czołgi wciąż goniły jego pusty już pojazd. Stile podbiegł do Sheen, leżącej nieruchomo w miejscu, gdzie upadła. Wyglądała na nie uszkodzoną; może spowodowany eksplozją wstrząs obluźował tylko jeden z przewodów, odcinając zasilanie. Podniósł ją i ruszył ku najbliższemu fałdowi zasłony. Sheen, zbudowana z metalu i plastiku, była ciężka; z trudem niósł ją po piasku, parzącym jego boso stopy. Stile zmęczył się szybko.

Jego pusty czołg eksplodował. Pech i gęsta kanonada wykończyły go.

Wrogie czołgi przerwały pościg i zawróciły ku kopule. Oczywiście od razu dostrzegły Stile'a zataczającego się pod ciężarem Sheen. Lufy ich dział skierowały się na niego. Ale zasłona była tuż obok.

Stile zebrał w sobie resztki sił i skoczył. „Phaze!”, zawołał w myśli, wyrażając pragnienie znalezienia się po drugiej stronie. Któryś z czołgów strzelił; pocisk świsnął nad głową Stile'a i wybuchnął gdzieś z tyłu.

Stile poczuł lekkie mrowienie. Upadł na ziemię, pokrytą zieloną trawą. Sheen wypadła

mu z rąk, potoczyła się po zasłanej liśćmi murawie i zastygła z rozrzuconymi kończynami.

Piekła go noga. Tkwiła jeszcze po drugiej stronie zasłony w dymie i żarze wywołanym wybuchem pocisku. Pospiesznie ją cofnął. Nie była co prawda poparzona, ale bardzo go bolała.

Podszedł do Sheen. Wyglądała na zmaltretowaną i sponiewieraną, a jej pięknie ukształtowany tors był poszarpany. Straciła jedną pierś, na głowie miała o połowę mniej włosów, a jej bok wyglądał na zmiażdżony; z prawego ramienia sterczały połamane kawałki metalu. To było coś więcej niż obluzowany przewód!

„Przecież jej nie kocham”, przypomniał sam sobie. „Sheen jest tylko maszyną, jej inteligencja jest sztuczna. Bez baterii i przewodów jest tylko kupą złomu”.

Lecz logika musiała ustąpić emocjom.

- Kocham cię, Sheen, przynajmniej trochę! - szepnął. - Oddam cię do naprawy...

Naprawy? Są na Phaze, w świecie magii, a on jest Błękitnym Adeptem. Może przecież sam to zrobić.

Ale czy naprawdę? Nie miał przecież talentów uzdrowiciela i nigdy jeszcze nie udało mu się wywrzeć wpływu na żadną z żywotnych funkcji jakiegokolwiek organizmu. Lecz przecież uzdrowił Neysę po jej pobycie w piekle, a jego sobowtór był uznanym uzdrowicielem. Może potrzebował tylko wprawy. Błękitna Pani umiała leczyć dotykiem; magia Stile'a była zawsze bardziej materialna. A już na pewno nie potrafiłby przywrócić komuś życia.

Sheen jednak nigdy nie była żywa. Może wystarczyłoby naprawić obwody, usunąć złamania i uszkodzenia? To przecież mieściło się w granicach jego możliwości. Szybko wymyślił kilka zaklęć. - *Jedno oka mgnienie, niech zniknie oparzenie!* - zaśpiewał, żałując, że nie ma ze sobą ani harmonijki, ani Platynowego Fletu. Nie przewidywał takiego powrotu na Phaze! Na drugi raz nie będzie rozstawał się z instrumentem.

Tors Sheen znowu stał się gładki. Zaklęcie działało!

- *Kości stalowe, całe i zdrowe!* - I złamania zaczęły się zrastać, tułów nabierał dawnych kształtów, odrosła utracona pierś. - *Włosy odrastają, twarz ozdabiają!* - i wszystkie uszkodzenia znikły. Teraz kolej na najtrudniejsze. - *Obwodów odbudowa, świadomość jak nowa.* - Prymitywizm rymów trochę go niepokoił, ale wiersze spełniły swoje zadanie. Sheen znowu była cała. Tyle tylko, że leżała nieruchomo, równie piękna jak najpiękniejsza z kobiet. Nie dawała znaku życia. Coś się nie udało.

Może brak instrumentu muzycznego zmniejszył siłę magii? Stile wyczarował gitarę, użył jej do zgromadzenia wokół siebie magicznej mocy i spróbował jeszcze kilku zaklęć.

Wypróbował wszystko, co przyszło mu do głowy, ale nic nie pomagało. Wreszcie poddając się emocjom spotęgowanym niedawnym otarciem się o śmierć, z rozpaczą rzucił się na jej ciało i całował martwe wargi.

- Och, Sheen, przebacz!

Jeśli oczekiwał, że pocałunek przywróci ją do życia, to się zawiódł. Leżała nieruchomo. Po chwili usiadł. Twarz miał mokrą od łez.

- Nigdy się z tym nie pogodzę - szepnął. - Musi być jakiś sposób.

I wtedy zrozumiał: Sheen jest przecież skomplikowaną maszyną, mechanicznym i elektronicznym cudem rozwiniętej nauki i techniki, a takie zjawiska nie miały miejsca w magicznym świecie. Sheen mogła być w doskonałym stanie - o mało co nie powiedział „zdrowiu”, lecz mimo to nie funkcjonować. Jej ciało przekroczyło zasłonę, zdolność do działania została po jej drugiej stronie.

Żeby się o tym upewnić, należało przenieść ją z powrotem do jej świata. Przecież i tak musi tam wrócić. Wypad na Phaze był tylko ratującym życie wybiegiem.

Stile podniósł się i wziął ją na ręce. Przygotował się wewnętrznie na nieuniknioną migrenę i wypowiedział zaklęcie przenoszące go na miejsce, w którym zwykle przekraczał zasłonę. Następny czar przeniósł go na drugą stronę.

Sheen ocknęła się, gdy tylko znaleźli się w znajomym korytarzu.

- Stile! - wykrzyknęła. - Co... gdzie?

Pocałował ją i postawił na ziemi.

- Wyjaśnię ci później. Najpierw musimy skontaktować się z moją pracodawczynią i zawiadomić ją, że wygrała zakład. Nie musi spędzać dnia z szatanem.

- Tak - zgodziła się Sheen. - Ale jak...?

- Wiesz, chyba cię w pewien sposób kocham - oznajmił Stile. - Wiem to na pewno.

- Ale ja jestem maszyną!

- A ja kupką protoplazmy - klepnął ją w uwodzicielski tyłeczek. - Ruszaj się, istoto!

Szybko zorientowała się w otoczeniu.

- Naprawdę chciałabym wiedzieć, co się działo, kiedy byłam nieprzytomna. Ostatnie co pamiętam, to jazda na czołgu. A teraz znalazłam się tu. To czysta magia.

Stile roześmiał się, rozbawiony jej bardzo nietypowym dla robota zakłopotaniem. Radość z powrotu Sheen do życia sprawiła, że zakręciło mu się w głowie. Nie, to uboczny skutek przenoszącego zaklęcia.

- Czysta magia! - powtórzył i pociągnął ją za sobą.

W trzeciej rundzie jego przeciwnikiem był obcy.

Stile nigdy jeszcze nie grał przeciwko żywej istocie nie należącej do rodzaju ludzkiego, choć obserwował już niegdyś ich grę. Prawo przewidywało udział w Turnieju dwudziestu czterech obcych, lecz przeważnie byli to bogaci ludzie z innych systemów gwiazdnych, albo przynajmniej istoty człekokształtne. Pokusa zdobycia nieograniczonych bogactw i władzy przyciągała wielu, lecz większość nie miała szansy na uczestnictwo w Turnieju. Opłata dla istot spoza Protonu była ogromna, choć niewolnicy startowali za darmo. System opracowany został dokładnie. Obywatele zawsze potrafili wymusić odpowiedni haracz!

Jego przeciwnik był rzadkością, prawdziwym obcym. Zamiast ramion miał cały pierścień macek, sześć małych pajęczych nóżek, a jego głowa składała się głównie ze słoniowej trąby. Organy czuciowe osadzone były na cienkich, ruchliwych czułkach. Stile przypuszczał, że te z kulkami na końcu to oczy, a te zakończone jakby dzwonkami to uszy; ale jaką funkcję mogły spełniać małe, nieprzezroczyste krążki?

- Witam - oznajmił uroczyście. - Jestem Stile, człowiek-niewolnik z tej planety.

- Grzeczność przyjęta; wyglądasz na to, kim jesteś - odparł obcy. Głos dochodził od strony głowy, lecz nie z samej trąby. - Jestem Dgnh z Skądinąd.

- Proszę o wybaczenie. Nie jestem w stanie wymówić twego imienia.

- Możesz je uzupełnić dowolnymi samogłoskami; nie mają znaczenia w naszym języku.

- Dogonoh? - zaproponował Stile.

- W skrócie Noh. Wystarczy.

- Noh - potwierdził Stile. - Czy gotów jesteś do każdej gry?

- Zatrważająco.

A więc Stile mógł nie mieć żadnych wyrzutów sumienia i grać ostro. Ta istota spędziła pewnie całe życie, przygotowując się do Turnieju; mogła też mieć pewne nieludzkie zdolności. Stile starał się ocenić możliwości Noha. Macki sprawiały wrażenie mocnych i giętkich; stworzenie pewnie świetnie sobie radziło z urządzeniami mechanicznymi. Bezpieczniej też było trzymać się z dala od konkurencji fizycznych. Stile nie miał również ochoty wybierać LOSOWYCH i UMIEJĘTNOŚCI; a więc jeśli będzie miał szansę, zaryzykuje UMYSŁOWE, jak najdalej od narzędzi i maszyn, z którymi obcy mógł być dobrze zaznajomiony.

A w podplanszach wybierze ZWIERZĘ lub NAGO. Lepiej te pierwsze, umiał przecież obchodzić się z miejscową fauną, a obcy prawdopodobnie nic o niej nie wiedział.

- Poprzednie mecze... porównamy? - spytał Noh.

Mogło to pomóc Stile'owi poznać możliwości obcego.

- Grałem w football z obywatelem i w domino z niewolnicą - rzekł Stile.

- Nie dla mnie wasz football - zdecydował Noh. - Za małe stopy. Domino też nie, element losowy.

Stworzenie nie było głupie.

- Rozgrywanie planszy prowadzi do kompromisu.

- Tak właśnie rozumiem. Pchelki z dzieckiem-mężczyzną i gawędziarstwo z obywatelem. Wygrałem, lecz w nerwach.

- Oczywiście - potwierdził Stile.

W obcym ciele krył się prawdziwy gracz. Stile doświadczył już wiele razy tego uczucia nerwowości, które przynosiła ze sobą każda Gra. Na tym polegała część jej uroku. Stile uczestniczył w Turnieju, by wygrać obywatelstwo, to oczywiste, lecz pociągała go również radość współzawodnictwa, nieskończona różnorodność, ekscytacja nieznanym. To właśnie sprawiło, że pozostał jako niewolnik na Protonie, mimo wygaśnięcia kontraktu rodziców. Kierowała nim fascynacja Grą.

Teraz, co za ironia, jego największym zainteresowaniem stała się magia i cudowny świat Phaze. Tam stał się człowiekiem bogatym i czarownikiem. Kiedy przystępował do Turnieju na Protonie, zwycięstwo nie miało już dla niego takiego znaczenia, lecz wkrótce pojawiły się nowe powody przywracające mu znaczenie. Uczynił to dla Sheen, dla swego własnego poczucia ważności, a także by dowiedzieć się, kto próbował go zabić, i móc temu przeciwdziałać. Podobnie z poszukiwaniem Platynowego Fletu na Phaze: robił to dla Neysy, własnej dumy i zemsty. Tak więc, mimo zmienionej sytuacji, ciągle robił mniej więcej to samo.

Z zamyślenia wyrwał go głos wzywający ich do Gry. Weszli do pomieszczenia, gdzie rozgrywano plansze.

Obcy niższy był nawet od Stile'a; zza rozdzielającej salkę przegrody widać było tylko macki z organami czuciowymi. Nie miało to jednak większego znaczenia - wszystko co ważne, widać było na ekranach. Zwykle Stile starał się obserwować swych przeciwników, szukając oznak nerwowości, wywołanej koniecznością dokonania wyboru. Właściwa ocena stanu psychicznego współzawodnika mogła stanowić klucz do zwycięstwa. Lecz przecież i tak nie potrafi zrozumieć psychiki obcego.

Na ekranie ukazała się pierwsza plansza. Świetnie - Stile wylosował jej oznaczony numerami bok. Bez wahania wybrał opcję UMYSŁOWE.

Noh był równie szybki, co mocno zaniepokoiło Stile'a. Jeśli to stworzenie było tak szybkie intelektualnie, jak wskazywał na to jego czas reakcji, to Stile znalazł się w tarapatkach. Ich wspólny wybór padł na 2A, UMYSŁOWE/NAGO. Czysty umysł, bez wykorzystania ciała.

Na ekranie zapaliła się plansza pomocnicza. Na jej górnym, ponumerowanym boku widniały następujące opcje: SPOŁECZEŃSTWO - MOC - MATEMATYKA - HUMOR, a na lewym, oznaczonym literami: INFORMACJA - PAMIĘĆ - ZAGADKI - MANIPULACJA. Stile wylosował stronę planszy z numerami i był bardzo z tego zadowolony.

Przypuśćmy, że wybierze SPOŁECZEŃSTWO? Wtedy obcy mógłby zdecydować się na INFORMACJĘ, a pod-plansza mogłaby zaprowadzić ich w dziedzinę historii planetarnej, w której Noh mógł być mistrzem. Proszę podać dokładną datę zdlawienia Zatkaj dziury z Antyalkoholicii Planetarnej według miejscowego czasu Greenwich? Tylko tego mu brakowało! Może powinien wybrać MOC? Lecz Noh mógł przecież nacisnąć przycisk PAMIĘĆ i wtedy ich pojedynki polegałyby na powtarzaniu coraz dłuższych sekwencji liter, liczb i słów, tak jak to się robi w czasie testów mających podobno oceniać ludzką inteligencję. Stile był w tym dobry, jak na człowieka, lecz skąd miał wiedzieć, czy Noh nie posiada przypadkiem ejdetycznej pamięci, co zapewniłoby mu łatwe zwycięstwo? Obcy mógł też zdecydować się na opcję MANIPULACJA i rywalizowałiby w którejś z gier umysłowych przypominających trójwymiarowe szachy. Stile był w stanie sobie z tym poradzić, ale jest to prawdziwa udręka. Ale za to MATEMATYKA mogłaby doprowadzić ich do wymieniania jakichś mało znanych wzorów lub recytowania tablic logarytmicznych czy funkcji trygonometrycznych, gdyby Noh postanowił zaryzykować INFORMACJĘ. Ale MATEMATYKA/ZAGADKI wcale nie musiała być lepsza; już lepiej spróbować MANIPULACJĘ i rozwiązywać skomplikowane problemy w głowie. Bo gdyby zdecydował się na HUMOR, a Noh wybrał ZAGADKI, mogłoby skończyć się na opowiadaniu dowcipów. Dowcipy z obcym, o nie!

Do licha, znalazł się naprzeciw współzawodnika, który stanowił dla niego zagadkę! Każdy wybór mógł okazać się błędem. Gdyby tylko miał wcześniej choć trochę czasu na zorientowanie się i przyjrzenie, choćby pobieżne, hipotetycznym przeciwnikom, miałby teraz jakiś punkt zaczepienia. Sprawy Phaze zajęły mu jednak zbyt wiele czasu.

Stile westchnął. Musiał wybrać MATEMATYKĘ.

Noh zdecydował się na ZAGADKI. A więc 3E, zagadki matematyczne. Mogło być gorzej. W tej dziedzinie Stile miał dni lepsze i gorsze; czasami przychodziły mu do głowy genialne wprost odpowiedzi, lecz zdarzało mu się też czuć, że zamiast mózgu ma watę, i

przeklinać samego siebie za omińnięcie najbardziej oczywistego rozwiązania. Ale przeważnie szło mu nieźle; sam znał też wiele zagadek.

Podplansza należała do najprostszych, miała tylko cztery pola. U góry widniały cyfry: 1. GENEROWANE KOMPUTEROWO, 2. WŁASNE, a z boku: A. ODPOWIEDZI ZBIOROWE, B. ODPOWIEDZI INDYWIDUALNE.

Noh niespokojnie poruszył antenami. - Czy można zaliczyć to do czysto umysłowych? Użycie komputera usprawiedliwione?

- Podział na kategorie jest dość arbitralny - wyjaśnił Stile. - Wiele gier można zaliczyć do kilku typów naraz. Uważa się, że komputer prowadzący grę nie wpływa na jej klasyfikację. Źródłem zagadek może być książka lub ktoś trzeci, ale najwygodniej i najbardziej losowo jest korzystać z zasobów pamięci komputera. W Turnieju wiele jest tego typu anomalii; grając w football, używałem androidów, które nazywano dla potrzeb gry zwierzętami, sędziami zaś były roboty.

- Uroczą niekonsekwencja. Zgoda na rezygnację?

- Cóż, strona z cyframi należy do mnie, więc nie masz wpływu na wybór. Wolałbym uniknąć odpowiedzi zbiorowej, przy tej opcji wygrywa pierwszy, który udzieli prawidłowej odpowiedzi. Lubię mieć czas na przemyślenie sprawy; znajduję rozwiązanie, ale bez pośpiechu. - Była to prawda, choć wyjaśnienie mogło wprowadzić w błąd; Stile lepszy był w konkurencjach wymagających głębokich przemyśleń, ale nie znaczyło to, że myślał powoli. - To znaczy...

- Czy możemy umówić się? Wybrać 2B jako dogodny dla obu kompromis?

- Oczywiście, lecz skąd pewność, że któryś z nas nie oszuka swego przeciwnika? Takie umowy są dozwolone, ale prawo nie zobowiązuje do ich dotrzymania. Wprawny kłamca świetnie sobie radzi przy rozgrywaniu planszy. Dla komputera liczy się tylko naciśnięcie klawiszy.

- Czasem trzeba ryzykować - odparł Noh. - Zaufanie nie jest rzadkością w galaktyce, nawet na małych planetach.

- Zgoda - Stile skinął głową, rozbawiony sformułowaniem obcego. Przycisnął 2 i nie zdziwił się, gdy na ekranie zapaliło się 2B. Zaufanie za zaufanie. Zdarzało się to zresztą często w grze i bardzo ułatwiało życie.

Przeszli do pozbawionego sprzętów pomieszczenia.

- Wybierzcie pierwszego rozwiązującego - oznajmił przez głośnik w ścianie komputer prowadzący grę. - Musi on odpowiedzieć w ciągu dziesięciu minut, a potem sam przedstawić zagadkę. W przypadku gdyby nie potrafił rozwiązać zadania, jego przeciwnik musi sam

odpowiedzieć na swoją zagadkę, a potem trafnie odpowiedzieć, w ramach limitu czasowego, na zagadkę współzawodnika. Zwycięzcą zostaje pierwszy, któremu się to uda. Problemy techniczne rozstrzyga komputer.

- Twoja uprzejmość wyjaśniła sytuację - odezwał się Noh. - Z podziękowaniem oddaję inicjatywę.

Pierwszeństwo nie miało większego znaczenia; liczyła się tylko nieudana odpowiedź przeciwnika i własny sukces. Stile jednak zadowolony był z ustępstwa z czysto psychologicznych względów. Miał w zanadru kilka podchwytliwych zagadek. Teraz sprawdzi, jaka jest naprawdę intelektualna moc jego przeciwnika.

- Wyobraź sobie trzy patyki o jednakowej długości - zaczął ostrożnie Stile. - Każdy z nich prosty, bez żadnych skaz. Utwórz z nich trójkąt. To łatwo. Weź dwa dodatkowe patyki o tej samej wielkości i utwórz drugi trójkąt o wspólnym boku z pierwszym. A teraz zagadka. Czy potrafisz utworzyć cztery przystające do siebie trójkąty, używając tylko sześciu patyków?

Noh pomyślał chwilę.

- Przyjemność z przykładu! Dozwolone użycie jednego patyka do podzielenia na pół podwójnego trójkąta uformowanego z kawałków patyków?

- Nie. Każdy patyk musi tworzyć cały bok trójkąta; nic nie może wystawać. - Stile poczuł lekkie zaniepokojenie; taki manewr utworzyłby cztery trójkąty, a powtórzony jeszcze raz nawet sześć. Stworzenie miało rozum!

- Dozwolone krzyżować patyki w kształt gwiazdy, z każdym ramieniem tworzącym trójkąt?

- Nie wolno krzyżować. - Noh niezwykle szybko sprawdzał wszystkie możliwości.

Macki na głowie Noha przez prawie minutę podrygiwały w zamyśleniu.

- Dozwolone użycie trzeciego wymiaru?

Obcy zgadł!

- Dozwolone - zgodził się Stile.

- Z każdego kąta pierwszego trójkąta należy poprowadzić do góry patyk, tak by wszystkie stykały się, tworząc ostrosłup czworościenny o trójkątnych ścianach.

- Zgadłeś - przyznał Stile. - Twoja kolej.

- Przyjemna gra. Trójkąty korzystne dla mego samopoczucia. Zgoda, że suma kątów równa połowie koła.

- Sto osiemdziesiąt stopni - potwierdził Stile.

- Utwórz trójkąt o sumie kątów równej trzy czwarte koła.

- To... - zaczął Stile, lecz zdusił w sobie słowo „niemożliwe”.

Najwyraźniej obcy wpadł na coś interesującego. Lecz jak trójkąt mógł mieć 270° ? O ile Stile wiedział, to suma wszystkich jego kątów musi wynosić 180° . Każdy z kątów mógł się zmieniać, ale to pociągało za sobą proporcjonalne zmiany pozostałych. Jeżeli jeden z kątów miał 179° , to suma pozostałych musiała równać się 1. W innym wypadku nie był to trójkąt. Chyba że było to jakieś złożenie trójkątów, w którym kąty były częścią siebie i sumowały się wzajemnie, ale to nie wydawało się rozsądne, lecz...

- Wolno nakładać na siebie trójkąty? - spytał Stile.

- Nigdy.

A więc nie to. Stile chodził po pomieszczeniu, wyobrażając sobie trójkąty dowolnych kształtów i rozmiarów. Ale cokolwiek by robił, żaden nie miał więcej niż 180° .

Może należało przyjąć inną definicję trójkąta. - Czy figura ta może mieć więcej niż trzy kąty?

- Nigdy.

Znowu pudło. Do licha, to niemożliwe! Ale przecież musiało coś takiego istnieć, w przeciwnym razie obcy nie zadawałby takiej zagadki. Stile spotykał się już z sytuacjami, w których pozornie niemożliwe okazywało się zupełnie możliwe, na przykład wywracanie torusa na drugą stronę przez otwór w jednym z boków! Topologia była dziedziną niezwykle płodną w zagadki! Formy, które można zmieniać w nieskończoność bez utraty ich podstawowych własności; zginać, wykręcać, rozciągać, wiązać w węzły, a mimo to nie ulegały one zmianie. Gdyby zrobił coś podobnego z trójkątem, wyginając na zewnątrz boki, tak by powiększyć kąty... Nie, wtedy boki nie byłyby proste, nic z tego. A gdyby trójkąt narysować na gumowej płachcie, którą można rozciągnąć... Aha! Zakrzywiona płaszczyzna! Noh nic nie mówił, że ma być płaska. Trójkąt narysowany na kuli... - Wolno używać zakrzywionych płaszczyzn? - spytał Stile triumfującym tonem.

- Nigdy. Trójkąt musi mieć sztywne boki.

Uch! A taki już był pewny! Na powierzchni kuli mógłby narysować osiem trójkątów, każdy mający trzy kąty proste, a nawet cztery trójkąty - każdy o dwóch kątach prostych i jednym wynoszącym 180° . Zakrzywienie płaszczyzny pozwalało na wyginanie prostych linii. Często kroił w ten sposób skórę pseudopomarańczy. Obcy tego jednak zabronił.

Mimo to czuł, że zbliżył się do celu. Anteny Noha poruszały się nerwowo, co mogło być dobrym znakiem. Przypuśćmy, że nie płaszczyzna będzie zakrzywiona, lecz sama przestrzeń. Mogło to zniekształcić sztywny trójkąt poprzez zmianę praw rządzących środowiskiem. Według nauki wszechświat był zakrzywioną przestrzenią; gdyby trójkąt miał

prawdziwie kosmiczne proporcje, przylegając do samej powierzchni wszechświata? - Trójkąt może być bardzo wielki?

- Nie może. - odparł Noh. - Standardowy trójkąt, łatwy do trzymania w mackach.

O bracie! Stile tak się starał, wysilając wyobraźnię do granic możliwości, i wszystko na nic. Jeżeli nie może skorzystać z zakrzywienia przestrzeni...

Ależ może!

- Czy można zmienić lokalizację figury?

Macki poruszyły się ze smutkiem.

- Można.

- Na przykład w sąsiedztwo czarnej dziury, gdzie potężna grawitacja zniekształca samą przestrzeń. Zwykle figury geometryczne ulegają odkształceniom, jakby przyklejono je do zagiętej płaszczyzny, choć żadna zmiana w nich nie zachodzi. A tuż obok centrum czarnej dziury przestrzeń, zanim stanie się punktem, przybiera postać kuli, i wobec tego trójkąt może mieć kąty o sumie dwustu siedemdziesięciu stopni, a nawet więcej.

- Stworzenie rozwiązało zagadkę - przyznał ze smutkiem Noh. - Zadawaj swoją.

Gra wcale nie była łatwa! Stile czuł na plecach krople zimnego potu. Bał się, że nie ma szans w pojedynku na wymiary przestrzeni. Odwołał się przecież do trzeciego wymiaru, a obcy w zamian wprowadził na scenę coś przypominającego wymiar czwarty. Lepiej zmienić teren.

- Nie używając innych cyfr, zamień cztery ósemki w trzy jedyńki - oznajmił Stile. Pewnie okaże się to dla obcego dziecinną zabawką, ale trzeba spróbować.

- Dozwolone dodawać, odejmować, dzielić, mnożyć, podnosić do potęgi, wyciągać pierwiastek, obliczać tangensy? - spytał Noh.

- Dozwolone pod warunkiem użycia samych ósemek - potwierdził Stile.

Oczywiście samo dodawanie ósemek nic tu nie zdziała.

- Dozwolone tworzenie kształtów z cyfr?

- Masz na myśli nazywanie trzech jedynek trójkątem albo czterech ósemek podwójnym rzędem okręgów? Nie, to ma być czysta matematyka. - Noh znalazł się na fałszywym tropie.

Lecz obcy zaraz się rozpromienił. Jego skóra przybrała jaśniejszy odcień.

- Dozwolone podzielenie 888 przez 8, by otrzymać 111?

- Dozwolone - odrzekł Stile.

Zagadka została szybko rozwiązana, a teraz pora na strzał przeciwnika. Miał już dość!

- Ludzkie istnienia czują wyraźny pociąg do kulistych kształtów, czego dowodem mogą być kształty samic tego gatunku - zauważył Noh. - Czy interesuje cię geografia na globusie?

- Obawiam się, że nie - odparł Stile. - Zaczynaj, obcy.

- W ludzkiej mowie ciała planetarne mają ściśle określone bieguny, północny i południowy, zenit i nadir, geograficznie oznaczone miejsca?

- Prawda. - Do czego zmierza to stworzenie?

- A więc jeśli jakieś istnienie przeniesie się, ześlizgnie czy inaczej przesunie z samego bieguna północnego o jedną jednostkę na południe, potem o jedną jednostkę na wschód i o jedną jednostkę na północ pod kątem prostym, to znajdzie się w punkcie początkowym.

- Tam gdzie zaczęło: na biegunie północnym - potwierdził Stile. - To jedyne miejsce na planecie, gdzie taki spacer jest możliwy. Idziemy na południe, wschód i znowu jesteśmy w domu. To zresztą jest wariant zagadki trójkątów, gdyż dwa skręty o dziewięćdziesiąt stopni nie...

- Podaj inną lokalizację podobnej perambulacji.

- To znaczy miejsce, z którego można iść na południe, skręcić na wschód i potem na północ, i znaleźć się w punkcie wyjścia, a które nie będzie biegunem północnym?

- Dokładnie.

Obcemu znowu się udało. Stile mógłby przysiąc, że takiego miejsca nie ma. A jednak musi je znaleźć!

A więc nie biegun północny. Ale przecież jedynym innym miejscem, gdzie występują tego typu zjawiska jest biegun południowy, a jak można pójść na południe od bieguna południowego? Z definicji jest on najbardziej południową częścią planety.

- Wszystkie jednostki mają jednakową długość i wszystkie są proste? - spytał na wszelki wypadek Stile.

- Niedelikatnie.

- Ach, chyba chciałeś powiedzieć: niewątpliwie?

- Zdecydowanie - zgodził się obcy.

Ach tak.

- Czy możemy przesunąć planetę do czarnej dziury?

- Dobrze. Niemożliwe. Zostanie zgnieciona.

A więc sprawa miała zostać rozstrzygnięta bez żadnych czwartowymiarowych sztuczek. Ale gdzie mogło być takie miejsce? Ani biegun północny, ani południowy...

Moment! Posunął się za daleko. Wcale nie musiał iść na południe z bieguna południowego. Mógł iść na południe do bieguna. Albo prawie...

- Wyobraź sobie koło wokół bieguna południowego - zaczął Stile. - Linie równoleżnika narysowaną w takiej odległości od bieguna, że jej obwód ma długość dokładnie jednej

jednostki. Rozpocznij podróż z punktu leżącego o jedną jednostkę na północ od tej linii. Idź na południe, potem na wschód, okrążając biegun i wreszcie na północ, wracając do punktu wyjścia.

- Przekleństwo, pokonany dodatkowo - oznajmił Noh. - Stworzenie jest strasznością.

Stile myślał o nim to samo. Obawiał się, że zaczyna przegrywać ten mecz, lecz dzielnie ruszył na nie zbadane jeszcze obszary, szukając w swoim przeciwniku jakiejś intelektualnej słabości.

- Wzór $x^2 + y^2 = z^2$ w swojej postaci graficznej przedstawia idealny okrąg o promieniu równym z^2 , co jest opisane w twierdzeniu zwanym przez nas twierdzeniem Pitagorasa - powiedział Stile. - Czy znasz je?

- Jednomyślnie. Nazywamy to Równaniem Ryczącego Smoka.

Stile podejrzewał, że w nazwie tej kryje się jakiś dowcip z obcego świata, lecz musiał skupić się na przygotowywanym właśnie zadaniu i nie miał czasu na wyszukiwanie aluzji. Jak dobrze, że udało mu się uniknąć zawodów w opowiadaniu dowcipów!

- Jaki wariant tego wzoru da się zastosować do kwadratu?

- Żaden! - zaprotestował Noh. - Wzór produkuje wyłącznie linie krzywe; warianty też muszą to robić. Żadnych linii prostych.

- Jestem gotów zgodzić się na przybliżone pojęcie kwadratu - pomógł mu Stile. - Takiego, który ma boki wygięte nie więcej niż o szerokość linii, którą go narysowano.

- Jak szeroka linia?

- Tak jak linia tworząca okrąg.

- Niezwykle niepomocne - mruknął Noh, drepcząc po podłodze na mackach, które zawsze poruszały się po trzy. - Krzywe geometryczne nie są w ten sposób przekształcalne. To fakt matematyczny.

- Matematyka pełna jest niespodzianek. - Stile zaczął nabierać pewności siebie. Czyżby trafił na słaby punkt?

Noh dreptał, zadawał pytania, oblewał się - o ile mogły to robić istoty jego gatunku - potem i wreszcie się poddał.

- Niemożność wyobrażenia. Wymagam rozwiązania.

- Spróbuj $x^{\circ\circ} + y^{\circ\circ} = z^{\circ\circ}$ - odparł Stile.

- Wartość pierwsza podniesiona do nieskończonej potęgi plus wartość druga podniesiona podobnie. To nie ma sensu!

- Spróbuj po trochu, żeby złapać sens $x^3 + \dots$

- Po trochu? - spytał Noh gniewnie. - Nie można dzielić nieskończoności!

Stile pomyślał, o nieskończoności magicznego i naukowego świata rozdzielonego zasłoną. Ale teraz nie miało to znaczenia.

- $x^3 + y^3 = z^3$. Daje to zniekształconą pętlę, która nie jest już doskonałym okręgiem. Zwiększ potęgę. $x^4 + y^4 = z^4$ i pętla jest coraz bardziej zniekształcona. Zanim dojdiesz do jedenastej czy dwunastej potęgi, zaczniesz przypominać kwadrat. A kiedy osiągniesz potęgę milionową...

Noh przeliczył coś w pamięci. - Zbliży się do kwadratu! Nigdy nie będzie on doskonały, gdyż boki zachowają krzywiznę, lecz w proponowanym zakresie tolerancji... zdumiewające! Nigdy nie wyobrażałem sobie, że krzywą można przekształcić... Zaskakujące!

- Teraz ja muszę rozwiązać twoją zagadkę - przypomniał obcemu Stile. Wiedział, że jeszcze nie wygrał, choć zwycięstwo dzięki dzieleniu nieskończoności znalazło się w zasięgu ręki.

- Rzeczywiście, tak. Gdzie leży biegun zachodni?

- Biegun zachodni?

- Biegun północny, południowy, wschodni, zachodni. Gdzie?

- Ależ planeta może mieć tylko jedną oś obrotu!

- Ale też kwadrat nie może powstać z okręgu.

- Aha. - Stile pogrążył się w myślach. Jeżeli rozwiąże to zadanie, przejdzie do następnej rundy. Zagadka jednak wydała mu się równie zaskakująca, jak jego poprzednie zadanie dla obcego. Czyżby biegun zachodni był tylko problemem semantycznym, nową nazwą dla północnego lub południowego? Wydawało się to zbyt proste. Żeby zadanie miało sens, musiał istnieć jeszcze jeden biegun, oprócz tych dwóch zwykłych. Lecz jeśli planeta nie może mieć dwóch osi obrotu...

W końcu Stile musiał się poddać. Nie wiedział, gdzie leży biegun zachodni. Stracił swoją przewagę. Musieli zaczynać od początku. - Gdzie?

- Oczekiwałem, miałem nadzieję, że rozwiążesz - odparł Noh. - Odpowiedź umykała mi od pewnego czasu. Przykro mi.

A więc Stile jednak wygrał! Co prawda wolałby rozwiązać zagadkę. Zachodni biegun... gdzież on może leżeć? Czuł, że może się tego nigdy nie dowiedzieć, i było to irytujące.

Stile był na końcu listy uczestników trzeciej rundy, a więc w czwartej było odwrotnie; zarządzający grą komputer manipulował tak, by zapewnić wszystkim równe szansę. Tak więc Stile nie miał nawet jednego pełnego dnia odpoczynku. Większość czasu poświęcił na sen, odzyskując siły po pojedynku z czołgami i odpoczywając przed następną grą, która mogła okazać się przecież fizycznie wyczerpująca. Jak na razie miał szczęście; równie dobrze mógł przegrać i w meczu footballowym, i rozwiązując zagadki; wciąż też wisiało nad nim niczym miecz Damoklesa widmo gier losowych. Większość partaczy była zafascynowana opcją LOSOWE... wielkim wyrównywaczem szans. Stile miał nadzieję, że jego przeciwnikiem stanie się gracz dość doświadczony, taki, który wybierze uczciwą walkę i zawierzy swym umiejętnościom lub szczęśliwemu zbiegowi okoliczności, analogicznemu do pomyłki sędziego w grze footballowej. Walka taka byłaby z pewnością zażarta i wyczerpująca dla obu uczestników, remis zmniejszyłby szansę zwycięzcy na triumf w następnej rundzie.

Jeśli nawet pracodawczyni Stile'a dowiedziała się czegoś interesującego w czasie śledztwa dotyczącego sfalszowania adresu, nie raczyła mu tego powiedzieć. Tak to już było z obywatelami. Często odnosili się do niewolników niemal z kurtuazją, lecz nic z tego nie wynikało. Obywatel, z którym walczył w pierwszej rundzie - Strzelec - był tego najlepszym przykładem; Stile więcej już o nim nie usłyszał. W ramach protońskiego prawa i zwyczaju nie było żadnej normy zobowiązującej obywatela względem niewolnika. Wszystko miało obracać się na korzyść obywatela.

Stile wciąż jeszcze niepokoił się nieustającą kampanią prowadzoną przeciwko niemu przez anonimowego wroga. Początkowo myślał, że osoba ta przysłała Sheen, a potem przestrelała mu laserem kolana, by zniechęcić go do brania udziału w wyścigach konnych. Lecz Stile przestał być dzokejem, a zagrożenie nie znikło. Jeden z obywateli wystąpił przeciwko niemu, ale to niebezpieczeństwo zostało zneutralizowane, a przyjaciele Sheen - obdarzone wolną wolą roboty - stwierdzili, że obywatel ten zaprzestał swej wrogiej działalności. Robotom nie udało się wysledzić, kto sfalszował adres, gdyż nie dokonano tego przy pomocy komputera; było to fałszerstwo „mechaniczne”. Poddali jednak podejrzanego obywatela obserwacji i ustalili, że był w tej sprawie niewinny.

Ktoś pragnął śmierci Stile'a; i na Protonie, i na Phaze. Może była to ta sama osoba, ktoś, kto mógł podróżować między światami. Było przecież wielu, którzy regularnie przechodzili przez Zaslone, tak jak Stile. Może ta sama osoba zabiła jego sobowtóra, Błękitnego Adepta, i próbowała bezskutecznie zrobić z nim na Phaze to samo. Prawdopodobnie jakiś Adept; ktoś mniej potężny nie potrafiłby tego dokonać. Ale kto? Twórca golemów, czy też twórca amuletów? Stile coraz bardziej pragnął się tego dowiedzieć. Jeśli uda mu się - wbrew

prawdopodobieństwu - wygrać Turniej, będzie miał do dyspozycji wszystkie środki obywatela. Wtedy będzie mógł dowiedzieć się... i podjąć akcję zapobiegawczą. To właśnie było motorem jego działania. Nie mógł po prostu zrezygnować z Turnieju, wrócić na Phaze i zająć się zdobywaniem względów Błękitnej Pani w sytuacji, gdy mogący przekraczać zasłonę Adept ciągle zastawiał na niego śmiertelne pułapki. Stile musiał najpierw rozwiązać tę zagadkę, w której stawką było życie lub śmierć.

Jego przeciwnikiem w czwartej rundzie okazała się kobieta w tym samym co on wieku: Helia, zdobywczyni pierwszego szczebla drabiny trzydziestopięciolatek. Stile zakwalifikował się do Turnieju, zdobywając piąty szczebel tej samej drabiny dla mężczyzn, lecz tak naprawdę był najlepszym graczem w swojej grupie wiekowej. Wielu spośród mistrzów gry starało się nie zajmować wysokich pozycji na swoich drabinach, by uniknąć przymusowego corocznego poboru do Turnieju, który obejmował pięciu czołowych zawodników każdej drabiny. Helia była jednak rzeczywiście doskonałym graczem; jej kontrakt wygasł w tym roku, brała więc udział w Turnieju dobrowolnie.

Mimo to nie dorównywała umiejętnościami Stile'owi. Stile przewyższał ją w większości konkurencji fizycznych i był równie dobry jak ona w grach umysłowych. Obiecał sobie, że jeśli wylosuje ponumerowany bok planszy, nie okaże Helli nawet cienia galanterii. Wybierze opcję FIZYCZNE. Jeśli dostanie bok z literami, zdecyduje się na wybór NARZĘDZI, by znaleźć się w kategorii gier stołowych i zachować przewagę.

Helia była sprawną fizycznie, posągowo zbudowaną kobietą, wyższą i cięższą od Stile'a. Miała lekko kręcone, sięgające ramion ciemnoblonde włosy i trochę zbyt wąskie wargi. Wyglądała na to, czym była: zdrową, twardą, cyniczną kobietą, nie pozbawioną przy tym atrakcyjności seksualnej. Podobała się wysokim mężczyznom; mówiono, że jest świetna w grach intymnych z rodzaju tych, w jakie mężczyźni i kobiety grają nieoficjalnie. Stile często współzawodniczył z nią w różnych konkurencjach, ale nie utrzymywał z nią kontaktów towarzyskich. Większość kobiet nie interesuje się mężczyznami, którzy są od nich niżsi, i Helia również do nich należała. Stile był w stosunku do kobiet dosyć nieśmiały i nie udało mu się pozbyć tej cechy. Sheen była wyjątkiem, a zresztą, nie była przecież prawdziwą kobietą. Także wobec Błękitnej Pani zachowywał się inaczej... a do tego nie potrafił starać się o jej uczucia. Miał przecież do czynienia z wdową po swoim sobowtórze...

- Wolałabym raczej walczyć z kimś innym - oznajmiła mu Helia w poczekalni. - I tak jestem już jedną nogą poza Turniejem; jakiś początkujący pokonał mnie w LOSOWYCH.

- Bywa - stwierdził Stile. - Nie mam nic przeciwko tobie, ale mam zamiar wygrać.

- Jasne - zgodziła się. - O ile wylosujesz numery.

- Jeśli wylosuję numery - przyznał Stile.

Wywołano ich nazwiska. Stile nie wylosował numerów.

Z planszy wybrali razem opcję 2B, gry umysłowe z wykorzystaniem narzędzi. Rozegrali szesnastopolową podplanszę, której końcowym efektem okazał się LABIRYNT.

Przeszli do sekcji labiryntów. Prowadzący grę komputer tworzył dla każdego pojedynku nowe labirynty, przesuując ściany i płyty korytarzy; istniała zdumiewająco wielka liczba kombinacji i niemożliwością było przewidzieć układ ścieżek. Gracze zaczynali z obu stron jednocześnie, a wygrywał ten, kto pierwszy dotarł do celu.

Stile i Helia zajęli miejsca. Stile otrzymał kolor niebieski, jak było to przyjęte dla mężczyzny, a Helia, jako kobieta, czerwony. Gdyby rywalizowali ze sobą dwaj mężczyźni, zostaliby oznaczeni kolorem niebieskim i zielonym; dwie kobiety otrzymywały barwę czerwoną i żółtą. Komputer cenił sobie porządek.

Rozległ się dźwięk dzwonka. Stile pchnął niebieskie drzwi i wszedł do labiryntu. Ściany i podłoga miały łagodny jasnoszary kolor, sufit stanowiła przezroczysta, podświetlona płyta. Każda z płytek podłogi, na której stawał, zmieniała kolor na niebieski i taka już pozostawała. Widzowie mogli oglądać przebieg gry na specjalnych ekranach, które pokazywały ją w uproszczonej formie; rozrastające się niebieskie i czerwone wzory pokazywały drogę każdego ze współzawodników, wraz z całą ironią błędów, złych wyborów i spotkań, do których o mało co nie dochodziło.

Stile biegł korytarzem, zostawiając za sobą niebieski szlak. Kiedy dotarł do pierwszego rozgałęzienia, bez wahania skręcił w lewo. Tuż zaraz było następne rozwidlenie; tym razem Stile wybrał prawy korytarz. Powszechna zasada rządząca zjawiskami losowymi powodowała, że najkrótsza droga prowadząca przez labirynt powinna równie często skręcać w lewo, jak i w prawo; nie sprawdzało się to na krótkich dystansach, ale lepsza taka zasada niż żadna.

Korytarz wił się, skręcił o 180° i zakończył ślełą ścianą. Powszechna zasada nie zawsze się przydawała. Stile szybko cofnął się swoim własnym, oznaczonym na niebiesko śladem i podążył pominiętym poprzednio lewym korytarzem. Pokonawszy wiele zakrętów, Stile przeciął niebieski szlak... To był ten pierwszy, prowadzący w prawo korytarz, który zignorował na samym początku.

Do licha! Musiała być przecież nieparzysta liczba możliwych do przejścia korytarzy; co najmniej jeden prowadził do czerwonych drzwi po drugiej stronie labiryntu. Gdyby wiodła tam więcej niż jedna droga, liczba korytarzy byłaby parzysta, z czego dwa byłyby jeszcze nie sprawdzone. Taka sytuacja zdarzała się rzadko; widzowie lubili, gdy zawodnicy spotykali się

gdzieś w środku labiryntu i rozpaczliwie biegli śladami swego przeciwnika. Komputer prowadzący grę przeważnie spełniał to milczące żądanie widzów. Wynikało z tego, że Stile musiał w pośpiechu ominąć jakiś odchodzący w bok korytarz. Pierwszy błąd; miał nadzieję, że nie będzie musiał zbyt drogo za niego zapłacić.

Sprawdził trasę wiodącą do niebieskich drzwi. Bez rezultatu. A więc skręcił w prowadzący na prawo korytarz, którym wrócił wcześniej do punktu wyjścia. I rzeczywiście: korytarz rozwidłał się; Stile przegapił przedtem rozgałęzienie, gdyż prowadziło w przeciwnym kierunku. Powinien był patrzeć nie tylko przed siebie, ale i za siebie; elementarne zabezpieczenie. Nie szło mu dziś najlepiej.

Ale wcale nie oznaczało to, że tracił czas. Helia przedzierała się z drugiej strony labiryntu, starając się odnaleźć jego niebieski trop, który doprowadziłby ją do wyjścia. Przy pojedynczym śladzie nie miałyby żadnych kłopotów, ale teraz wszystkie korytarze były niebieskie i kobieta mogła zagubić się podobnie jak Stile. W labiryntach zdarzało się czasem, że ktoś przeszedł już dziewięć dziesiątych drogi, podczas gdy jego przeciwnik przez cały czas błądził; a potem nagle błądzący odnajdywał ślad swego rywala i pewnie zdążył do zwycięstwa, a ten, który był już tak blisko, zaczynał tracić trop. Nigdy nie można było mieć pewności.

Stile pobiegł nowo odkrytym korytarzem. Przy rozgałęzieniu skręcił w lewo. Tunel nie wyglądał na ślepią uliczkę, nie krzyżował się też sam ze sobą; świetnie. Teraz musi odnaleźć trop Helli, zanim ona wpadnie na jego ślad.

Zatrzymał się nasłuchując. Tak... słyszał jej kroki w sąsiednim korytarzu. Nie oznaczało to wcale, że byli blisko siebie; korytarz mógł kończyć się ślepo, nie łącząc się z tym, którym szła kobieta. Mimo to zlokalizowanie przeciwnika mogło stanowić poważną korzyść. Stile miał szansę przemknąć się i odnaleźć trasę Helli, podczas gdy ona badać będzie fałszywy ślad, tracąc szansę na zwycięstwo.

I wtedy usłyszał cichy okrzyk radości. Do licha! To mogło oznaczać tylko jedno: Helia odnalazła jego ślad. W takim razie Stile znalazł się w ślepej uliczce.

Cofnął się bezszelestnie i szybko. Oczywiście, czerwony ślad dochodził do niebieskiego w miejscu ominiętego przez Stile'a prawego odgałęzienia i tam się kończył. Helia była na właściwym tropie i mknęła nim szybko. Stile wpadł w tarapaty!

Pobiegł czerwonym szlakiem. Miał tylko jedną nadzieję; liczył, że Helia zostawiła za sobą wyraźną drogę, na której nie można pobłądzić, ona sama zaś zagubi się w jego pętłach i ślepych korytarzach.

Nadzieja rychło zawiodła. Czerwony ślad rozdzielił się, a Stile nie wiedział, który z

tropów jest dobry. Musiał zgadywać. Wybrał prawy korytarz, który zakręcił, zaprowadził go w pobliże wyjścia i zakończył się ścianą. Wszystko sprzysięgło się przeciwko niemu.

Cofnął się pospiesznie, nie dbając już o ciszę, i pobiegł korytarzem prowadzącym w lewo od rozwidlenia. Tunel wił się bez końca i Stile w każdej chwili spodziewał się dźwięku dzwonka oznajmiającego zwycięstwo Helli. Korytarz znowu się rozdzielił; Stile, cały spocony, wybrał prawe odgałęzienie. Jeśli przegra w tak prostej konkurencji z kobietą, która przecież nie jest równym mu graczem...

Nagle stało się; zobaczył czerwone drzwi. Rzucił się ku nim ze wszystkich sił, nagle pewny, że Helia stoi już na progu niebieskich, że nawet pół sekundy może mieć kolosalne znaczenie. W wyobraźni słyszał dźwięk dzwonka ogłaszającego jego porażkę.

Przebiegł przez próg. Zabrzęczał dzwonek. Stile wygrał!

- Do diabła! - wykrzyknęła Helia gdzieś z wnętrza labiryntu.

A więc pogubiła się w mylnych śladach, jakie pozostawił, i znajdowała się jeszcze daleko od drzwi. Niepotrzebnie się tak bał.

Sheen czekała na niego przy wyjściu.

- Zabierz mnie stąd - poprosił, obejmując ramieniem jej cienką kibić. Przez chwilę wydawało mu się, że widzi koszmarny obraz: poszarpane w walce z czołgami ciało Sheen. Lecz z tamtych ran nie pozostał nawet ślad; Sheen była jak nowa. - Mam już dosyć tego Turnieju!

- Będziesz miał więcej niż dzień do następnego pojedynku - oznajmiła. - Wystarczy ci czasu na stoczenie walki z Ogierem na Phaze.

- Równie dobrze mógłbym nie opuszczać Turnieju! - jęknął. - Jeden pojedynek za drugim.

Rozdział 6

ROŻCOLIMPIADA

Na prośbę Błękitnej Pani Neysa opuściła zamek wcześniej rano, by wraz z bratem odbyć ostatnią próbę przed mającymi się odbyć występami. Stile niepokoił się, że Pani pozbawiona będzie właściwej opieki, lecz nie odważył się protestować, zwłaszcza że przez cały czas nie opuszczała zamku, gdzie była dosyć bezpieczna.

Kiedy nadszedł właściwy moment, Stile objął gibką kibić Pani i rzucił zaklęcie, które przeniosło ich oboje na miejsce zawodów. Czary tego typu wychodziły mu coraz lepiej, choć wciąż jeszcze wolałby, gdyby tylko mieli więcej czasu, podróżować w sposób bardziej konwencjonalny.

Widok był imponujący. Na zawody przybyło osiem, czy nawet dziesięć stad jednorożców; każdy Ogier wywiesił nad swoim obozem porzecz, wokół którego zbierali się jego poddani. Setki jednorożców pasły się na rozległym pastwisku. Wszystkie były pięknymi okazami swego gatunku, a ich sierść lśniła najbardziej oryginalnymi barwami tęczy.

Spotkać można tu było również istoty innych gatunków. Pojawiły się małe watahy wilkołaków, zachowujących ostrożną neutralność na widok swych potencjalnych ofiar. Nikt nie śmiał tu na nikogo warczeć! Nietoperze przelatywały z gałęzi na gałąź, lub polatywały wysoko w poszukiwaniu owadów. Liczne były też postacie człekokształtne.

Jeden z jednorożców podbiegł do nowo przybyłych i przeobraził się w mężczyznę odzianego w schludny mundur wojskowy. - Proszę podać swoje nazwiska. Zaraz wydam wam identyfikatory.

- Błękitny Adept i Błękitna Pani - rzekł Stile.

- Adept! Proszę tędy! - Reakcja jednorożca przypominała Stile'owi sposób, w jaki reagowali niewolnicy na Protonie na widok obywatela.

Poszli za przewodnikiem do małego pawilonu ustawionego na brzegu boiska. Kilkanaście osób spoczywało tam na przypominających trony krzesłach i kanapach. Nikt nie wstał, ani też nie przywitał Stile'a i Pani. Stile był już na tyle dobrze zaznajomiony z obyczajami panującymi na Phaze, że wiedział, iż taki brak reakcji stanowi wystudiowaną nieuprzejmość w stosunku do Adepta albo Pani. Nie dał jednak nic po sobie poznać; chciał najpierw zrozumieć, jaki jest tego powód.

Wtedy wstała i podeszła do nich przystojna młoda kobieta. Wydała się mu znajoma.

- Przychodzisz bez przebrania, przystojniaczku? - spytała, wyciągając do niego dłoń.

Coś w jej głosie przypomniało mu chichot wiedźmy.

- Żółciutka! - wykrzyknął. - Co cię tutaj sprowadza? Sądziłem...

- Sądziłeś, że nie mam już więcej odmładzających wywarów? - uśmiechnęła się figlarnie. - Takich, których efekt trwać będzie przez cały dzień?

- Przypominam sobie, że miałaś jasne włosy, jaśniejsze niż Błękitna Pani. Takie złociste warkocze. - Włosy wiedźmy były teraz krótkie, brązowe i kręcone. Oczywiście Żółta mogła dowolnie zmieniać swój wygląd, gdy wywar działał. Był to, jak to ujęła, jej kostium. W każdym razie suknię miała żółtą; stanowiło to wskazówkę co do jej tożsamości. - Sądziłem, że jednorożce... - Wzruszył ramionami.

- Zawieszenie broni obejmuje wszystkich obecnych na Rozcolimpiadzie - wyjaśniła. - Oczywiście, zwierzęta wiedzą, kim jestem, lecz ja nie wykorzystuję tu mojej mocy, a one nie czynią mi wymówek z racji mych uprzednich win. My, Adepci, mamy niewiele okazji do spotkań towarzyskich i rzadko utrzymujemy pokojowe kontakty z innymi, równymi nam mocą. Korzystamy więc chętnie z każdej możliwości.

Stile przypomniał sobie, jak samotnie czuła się Żółta Adeptka w swoim królestwie, a zwłaszcza jak tęskniła za męskim towarzystwem. To naturalne, że brała udział we wszystkich spotkaniach towarzyskich, na których mogła bezpiecznie się pojawić.

- To mi przypomina świątynię Wyroczni - zauważył Stile. - Żadnych waśni. - Rozejrzał się dookoła. - To wszystko Adepci?

- I ich współmałżonkowie. Zapomniałam, że nie pamiętasz. - Uśmiechnęła się olśniewająco i zakołysała biustem, ciesząc się swą chwilową młodością, tak jak cieszyć się tym może tylko staruszka. „Wielkość piersi”, pomyślał Stile, „jest dla kobiet tym, czym wzrost dla mężczyzn”. - Chodź, mój śliczny. Przedstawię cię im.

Okazja, żeby poznać innych Adeptów, z których jeden mógł być jego mordercą! To przypadkowe zrządzenie losu było prawdziwym darem niebios.

Żółta podprowadziła go do odzianej w iskrzącą się, białą szatę kobiety spoczywającej na białej kanapie. Adeptka była w bliżej nieokreślonym, lecz wyraźnie średnim wieku i raczej przysadzistej figury.

- To jest Biała - poinformowała go Żółta, wskazując ją na wpół pogardliwym ruchem kciuka. Potem skierowała go w stronę Stile'a. - To Błękitny i jego Pani.

Biała Adeptka uniosła jasne jak śnieg powieki. Jej oczy nie miały wieku, jak wirujące na wietrze płatki śniegu.

- Wieści o twym zgonie wydają się być przesadzone.

- Nie było w nich żadnej przesady - odparł Stile. - Tropię mojego mordercę.

- Obym znalazła się daleko od miejsca waszego pojedynku - powiedziała bez cienia niepokoju Biała i zwróciła swe lodowate spojrzenie ku polu, gdzie kilka jednorożców przeprowadzało ostatnie próby. Stile przypomniał sobie, że Biała poszukiwała kiedyś białego jednorożca na sprzedaż; Żółta wspominała o tym, gdy się po raz pierwszy spotkali. Miał nadzieję, że żadne takie stworzenie nie padło jej łupem.

Żółciutka poprowadziła ich dalej.

- Wydaje mi się, że twoje przybycie wywołało więcej podniecenia, niż widać to na pierwszy rzut oka. - Jej szept przesycony był ponurą satysfakcją. - Dobrze wiadomo, że jesteś najprawdopodobniej najsilniejszym z obecnych Adeptów, a do tego masz powody, by poszukiwać zemsty. Upewnij się tylko, zanim zaczniesz działać, że znalazłeś właściwego człowieka.

- Na pewno - odparł Stile przez zaciśnięte zęby. Podeszli do odzianego w czerń mężczyzny. Spojrzał obojętnie na Stile'a, gdy Żółta przedstawiała ich sobie.

- Czarny... Błękitny.

- Już się raz spotkaliśmy - stwierdził spokojnie Stile. Czarny przyjrzał mu się uważnie. - Nie przypominam sobie.

- Miesiąc temu, w twoim królestwie. - Czy naprawdę było to tak niedawno?

Stile'owi wydawało się, że wieki całe minęły od chwili, gdy przekroczył zasłonę i przyjął na siebie obowiązki Błękitnego Adepta. Przeżył tyle, że dni wydawały mu się równie długie jak miesiące. Nawet spotkanie z Czarnym Adeptem zdawało mu się strasznie odległe. A przecież Czarny wcale się nie zmienił i linia, z której był zbudowany, zniknęła gdzieś w ziemi, łącząc go pewnie z jego zamkiem.

Czarny zmarszczył cieniutkie linie brwi.

- Nikt nie śmie przekraczać granic mego królestwa.

- Przyszedłem tam z moimi przyjaciółmi, jednorożcem i wilkołakiem.

Powoli Czarny coś sobie przypomniał.

- Ach, jeden z Małego Ludu. Już pamiętam. Miałem wrażenie, że nie żyjesz. - Adept zmrużył oczy. - Dlaczego wtedy nie objawiłeś swojej mocy?

- Przyszedłem w pokoju... wtedy. - Stile zmarszczył brwi.

Czuł niechęć do Adepta, który uwięził go i skazał na śmierć głodową. Mimo to nie podejrzewał, by Czarny był poszukiwanym przez niego mordercą. Czarny zupełnie nie interesował się sprawami innych magów; był prawdziwym odludkiem. Dziwne, że w ogóle zdobył się na przybycie na Olimpiadę Jednorożców. A gdyby naprawdę zamordował Błękitnego Adepta, to przecież teraz rozpoznałby go bez trudności. I wreszcie jeszcze jedno:

Stile poznał rodzaj magii, jakim posługiwał się Czarny; jego specjalnością były linie, a nie golemy, czy też amulety.

- Jeśli kiedyś przekroczysz nieproszony granice mego królestwa, potraktować cię mogę z podobną kurtuazją.

- Nie potrafię wyobrazić sobie okoliczności, które skłoniłyby mnie do odwiedzenia twego królestwa, jak również do utrzymywania kontaktów z istotami podobnymi do Żółtej - odparł zimno Czarny.

- Chyba że potrzebować będziesz magicznego wywaru albo jakiegoś zwierzęcia, mój ty arogancie - odcięła się Żółta. - Wtedy będziesz się lepiej wyrażał o starej wiedźmie. - Poprowadziła Stile'a dalej.

- Ci ludzie budzą we mnie niepokój - powiedziała cicho Błękitna Pani. - Mój pan nigdy nie zabierał mnie na spotkania z nimi.

- Twój pan odznaczał się nieskazitelnym gustem - mruknął z tyłu Czarny.

- A więc Błękitny nie jest twoim panem? - spytała Żółciutka nie bez złośliwości. - Jacyż ciemni potrafią być chłopci!

- Nie nazywaj Błękitnej Pani chłopką! - warknął rozgniewany Stile. Poczł się nagle tak, jakby znalazł się w gnieździe skorpionów.

Piękna twarz Żółciutkiej wykrzywiła się grymasem, którego nie zdołałaby powtórzyć dziewczyna, za jaką Adeptka chciała uchodzić.

- Nazwałam ją...

- Tym, czym jest - wtrąciła szybko Błękitna Pani. - Moi przodkowie od zawsze byli wieśniakami, uprawiali ziemię i hodowali zwierzęta. Nie ma w tym żadnej hańby.

- To prawda - Żółta złagodniała - nie ma nic poniżającego w hodowli zwierząt. A zresztą, uważam, że przestałaś być chłopką w chwili, gdy poślubiłaś Błękitnego. Wycofuję tę część mojej uwagi.

Adepci najwyraźniej nie byli przyzwyczajeni do oddawania czegokolwiek za darmo.

- Tę część? - spytał ostro Stile, któremu nie wystarczyło połowiczne ustępstwo. Zdawał sobie sprawę, że zachowuje się dokładnie jak typowy Adept, ale nie miał zamiaru się wycofać. - Masz ją za głupią?

- Jest dobry sposób, by temu zaradzić - odparła Żółta. - Mam miłosne wywary, które...

- Dość tego! - wykrzyknął Stile. - Pani jest wdową. Przyjąłem obowiązki Błękitnego Adepta tylko po to, by królestwo to nie zostało umniejszone, a krzywdy wyrządzone Pani mogły zostać pomszczone. Nie jestem jej panem.

- Obcy wędrowiec - mruknęła Żółciutka. - Mając moc wystarczającą do zaczarowania

całego stada jednorożców, nie użyje jej, by zdobyć Panią, która piękniejsza jest niż zwykle śmiertelnice, równie śmiała jak najwspanialsze ze zwierząt i prawnie stanowi jego własność jako spadek po poprzedniku. Myślę, że to mężczyzna jest głupcem.

- Może wedle twojej definicji - zauważyła Błękitna Pani.

- A jednak. - Żółta wzruszyła ramionami. Podeszli do mężczyzny w czerwonym płaszczu. Był wysoki - prawie sześć stóp wzrostu - miał czerwone włosy i wąsy.

- Czerwony... Błękitny - przedstawiła ich sobie Żółta.

Czerwony uściskał mu mocno dłoń.

- Miło mi was spotkać - powiedział z uśmiechem na przystojnej twarzy. Wyglądał na rówieśnika Stile'a, choć oczywiście „kostium” mógł zmienić wszystkie, oprócz najbardziej podstawowych, cechy charakterystyczne.

Żółciutka zaprowadziła ich do ostatniej z par zebranych w pawilonie..

- Zielony z małżonką - rzekła.

Zielony był niskim i tłustym mężczyzną, a jego pani była do niego podobna.

Oboje nosili zielone szaty ozdobione błyszczącymi, zielonymi kamieniami, prawdopodobnie szmaragdami.

- Błękitny i Pani.

- Uhu - mruknął Zielony Adept. - Przyjrzyjmy się lepiej przedstawieniu. - Lecz Zielona Pani pozdrowiła Błękitną lekkim skinieniem głowy.

- To wszyscy, którzy tym razem przyjechali - stwierdziła Żółta. - Przy innych okazjach poznałam jeszcze Pomarańczowego, Fioletowego i Szarego. Ale oni mieszkają daleko stąd. Mogą też być inni Adepti, o których nic nie wiem; my lubimy sekrety. Wielu z nich poznałam na różnych Olimpiadach.

- Różnych Olimpiadach? - spytał Stile, usiłując przypomnieć sobie, co mówił mu Główny Ogier.

- Ma je każdy z najważniejszych gatunków - zapewniła go Żółciutka. - Kanolimpiada, Wampolimpiada, Smokolimpiada; niektóre są całkiem niezłe. Ja uważam, że najbardziej interesująca jest Elfolimpiada, z pokazem rzadkich rodzajów broni i tańczącymi małymi mężczyznami. Widziałeś kiedyś coś podobnego, mój śliczny?

- Patrzyłem wyłącznie na pływające małe panienki - stwierdził Stile.

Błękitna Pani zmarszczyła brwi, ale nic nie powiedziała.

Przyszła wreszcie pora oficjalnego otwarcia Olimpiady. Stile i Błękitna Pani zajęli miejsca i patrzyli. Kilka stad jednorożców zajęło miejsca na widowni, każde w wyznaczonym sektorze. Na boisko wmaszerowały drużyny zawodników w takt muzyki swych rogów i

kopyt.

Było to imponujące wejście. Każda drużyna maszerowała równo, prowadzona przez swego Głównego Ogiera. Wszystkie rogi wzniesione były pod kątem czterdziestu pięciu stopni; wszystkie ogony dumnie wygięte. Kopyta błyszcząły w ukośnych promieniach słońca wszystkimi barwami tęczy, a spiralnie skręcone rogi lśniły odbitym światłem. Obecne były zwierzęta wszystkich kolorów i odcieni: czerwone, pomarańczowe, złote, żółte, białe, szare, niebieskie, czarne, brązowe, pasiaste, kropkowane i kraciaste. Niektóre były jednobarwne, lecz nie w odcieniach typowych dla koni; inne natomiast wielobarwne - wszystkie zaś piękne.

Błękitna Pani trąciła łokciem Stile'a, wskazując jedną z maszerujących grup. Spojrzał w tym kierunku - drużyna lokalnego Ogiera, licząca szesnaście doskonale dobranych zwierząt. W ostatnim rzędzie od strony pawilonu maszerowała Neysa.

- Więc nie próbuje jej ukryć! - mruknął z uznaniem Stile.

Neysa była mniejsza od pozostałych jednoroźców - mierzyła zaledwie czternaście dłoni w kłębie - i jako jedyna spośród nich umaszczona jak zwykły koń, co niegdyś stanowiło powód do wstydu. Teraz jednak była rumakiem i przyjacielem Adepta i choć zwierzęce królestwa Phaze w większości obawiały się magów i nie ufały im, to jawna przychyłność jednego z nich miała tak duże znaczenie, że Neysa mogła zająć w miarę eksponowane miejsce w stadzie. Pozwolono jej, po raz pierwszy, przyłączyć się do grupy i wziąć udział w ważnej uroczystości; była z tego powodu szczęśliwa. Stare rany goiły się. Wszystkiego tego dokonał Stile, oswajając ją; wszystkiego tego dokonała ona sama, pozwalając, by używał należnych swemu stanowisku prerogatyw.

Muzyka rozbrzmiewała potężnym chórem. Osiem Ogierów podało ton; osiem zdyscyplinowanych drużyn odpowiedziało melodią! Ziemia drżała' od zgranych uderzeń tańczących kopyt; powietrze trzęsło się od muzyki. Żadna ludzka orkiestra nie mogłaby dorównać pasji i mistrzostwu tego koncertu. Stile nigdy jeszcze nie słyszał czegoś równie wspaniałego.

Parada jednoroźców przeszła obok pawilonu Adeptów; gdy zwierzęta znalazły się w jego pobliżu, nagle skierowały wszystkie rogi w lewo; był to salut jednoroźców. Wszystkie zamilkły raptownie z zapierającą dech precyzją; ta niespodziewana cisza zrobiła większe wrażenie niż głośny hejnał. Po chwili jednorożce, grając, maszerowały w kierunku pozostałych pawilonów.

Stile przyjrzał się teraz budynkom dokładniej. Jeden zajęty był przez wilki. W innym roilo się od nietoperzy. W następnym zasiadały elfy, a dalej złowrogie, rogate demony. - Rzeczywiście, wszyscy biorą udział w Rożcolimpiadzie - westchnął Stile ze zdziwieniem.

- Wszyscy, którzy się liczą - uzupełniła Żółciutka - ale ludzi jest niewiele.

Stile nie bardzo rozumiał, co chciała przez to powiedzieć. Czy oznaczało to, że ludzie należą do najmniej ważnych stworzeń żyjących na Phaze? Czy też po prostu nie są lubiani przez zwierzęta wyższego rzędu.

Otwierająca olimpiadę parada skończyła się wreszcie. Nadszedł czas zawodów. Pomiędzy pawilonami biegały wilki, przefruwały nietoperze, galopowały ciężko demony i lekko stapały elfy.

- Co się dzieje? - spytał Stile.

- To sędziowie - odparła Żółta, wstając z miejsca.

- Sędziowie?

- Jednorozce nie mogą sędziować na Rożcolimpiadzie, są nieobiektywne. Rywalizacja między stadami jest zbyt wielka. Tak samo jest zresztą z innymi gatunkami; wszyscy zapraszają sędziów z zewnątrz. A teraz wybaczcie, muszę zająć moje stanowisko.

- Stanowisko?

- Ja też jestem sędzią. Czyżbym ci nie powiedziała?

- Teraz już nic w życiu nie zdoła mnie zadziwić - mruknął Stile.

- Och, nie. Poczekaj, aż zobaczysz Czarnego; sędziuje o dwa pawilony dalej. Wtedy będziesz mógł powiedzieć, że widziałeś wszystko. - I Żółciutka oddaliła się.

Nie wiadomo skąd pojawił się demon, a potem młody mężczyzna z głową sokoła. Zajęli miejsca obok Żółtej, przed pawilonem. Był to skład sędziowski mający oceniać jedną z dyscyplin Rożcolimpiady.

Zawodnicy truchtem udali się na swoje miejsca. Przez chwilę panował rozgardiasz - jednorozce przebiegały przez boisko we wszystkich kierunkach. Wreszcie przed każdym z zespołów sędziowskich uformowały się kolumny uczestników. Przed pawilonem Adeptów końskie „baczość” demonstrowało szesnaście zwierząt.

Jak się okazało, oceniano tu akrobatykę. Inne zespoły sędziowały w wyścigach, skokach w dal i wzwyż, szermierce na rogi, tańcach, grze na rogu i precyzji chodu. Neysa i jej brat, Clip, występowali w parach tanecznych; dyscyplina ta odbywała się w dalekim kącie boiska i Stile nie mógł nic zobaczyć. Bardzo go to frustrowało. Niechętnie zajął się oglądaniem rozgrywającej się przed ich pawilonem konkurencji.

Wśród zawodników znajdowało się dwunastu samców; żaden z nich nie był Głównym Ogierem, w szranki stanęły tylko podrzędne samce. System panujący w stadach nie uwzględniał potrzeb niedominujących ogierów; nie wolno im było parzyć się z klaczami i tolerowano je tylko dopóty, dopóki znały swe miejsce w stadzie; Stile był pewien, że w czasie

wojny szły w pierwszym szeregu, jako przeznaczone na stracenie. Oczywiście brały udział w Rożcolimpiadzie; w czasie pokoju tylko w takich rozgrywkach mogły zdobyć uznanie.

Stile zrozumiał nagle, że te najrozmaitsze olimpiady były dla zwierzęcego świata Phaze tym samym, czym gra i Turniej dla niewolników na Protonie - rozrywką, zabawą i, dla jednostek, szansą uzyskania sławy. Były to równoległe systemy, spełniające rolę zaworów bezpieczeństwa dla frustracji uciśnionych istot.

Żółta jako Adeptka przejęła kierownictwo nad zespołem sędziowskim.

- Jednoroźcu, przydzielam ci numer pierwszy - oznajmiła zwierzęciu stojącemu na lewym końcu szeregu. - Kiedy numer ten zostanie wywołany, masz zgłosić się niezwłocznie albo zostaniesz zdyskwalifikowany. Jasne?

Jednorożec posłusznie pochylił róg. Żółta przydzieliła pozostałym numery startowe, aż do szesnastego.

- Oto sędziowie, którzy oceniać was będą we wstępnych eliminacjach. Demon Straszokropny jest starszym w swojej jaskini. Prawdziwie po diabelsku spełniał już rolę sędziego podczas wielu poprzednich olimpiad; w młodości był zwycięzcą tej właśnie dyscypliny na Demolimpiadzie. - Rozległy się uprzejme oklaski, głównie spośród widzów zgromadzonych obok pawilonu; wielu z nich należało do demoniego rodu.

- A to jest Sokolnik Lśniący, zwycięzca ostatniej Avolimpiady w konkurencji wypatrywania królików. Potrafi dostrzec każdą sztuczkę jednoroźców. - Oklaski były tym razem głośniejsze; brawo bili zwłaszcza obecni w pobliżu zwierzęcogłowego.

- A ja nazywam się Żółta Adeptka - ciągnęła. - W normalnym życiu jestem starą wiedźmą, której magię dobrze zna większość zwierząt. Gdyby nie to, że wszyscy bez wyjątku goście są mile widziani na Olimpiadzie, czekałby mnie lincz. Sądzę jednak, że umiem oceniać zalety zwierząt i jestem w tej mierze obiektywna.

Przez chwilę panowała kompletna cisza; potem rozległy się niepewne oklaski. Błękitna Pani rozejrzała się, zmarszczyła brwi i, zaciskając zęby, mocno uderzyła w dłonie. Przyłączyła się do niej żona Zielonego. Stile i Zielony Adept poczuli się w obowiązku pójść w ich ślady i zwierzęta, zawstydzone, musiały zrobić to samo. Wszystkie bały się śmiertelnie, że zostały schwytane i sprzedane przez Żółtą, lecz tutaj wszelkie urazy odsuwano, przynajmniej w teorii, na bok, a Żółta rzeczywiście sprawiała wrażenie kompetentnej i obiektywnej.

Stile'owi znów przypomniła się scena z Protonu. Strzelec odnosił się do niego przychylnie, zmuszając tym innych obywateli, by traktowali go z kurtuazją pomimo przepaści dzielącej ich od niewolnika. Tutaj rolę katalizatora odegrała Błękitna Pani, lecz zdarzenie

miało ten sam sens.

- Zajmijcie teraz miejsca z tyłu i po bokach - dyrygowała Żółta. Oklaski zaskoczyły ją i sprawiły jej przyjemność, lecz zdradził to jedynie lekki rumieniec. - Utwórzcie arenę, otwartą tylko po stronie widzów. Niech nie śmie tu działać żadna obca magia. - Jednorożce spełniły jej polecenie tak szybko i sprawnie, że Stile zrozumiał, iż jest to standardowa procedura. Podobnie działo się przy wszystkich zespołach sędziowskich.

- Numer pierwszy, występ - poleciła czarodziejka i ogier o tym numerze przeszedł na środek areny, stając przodem do pawilonu. - Ty i wszyscy następni macie po dwie minuty na występ. Po każdym występie sędziowie naradzać się będą przez minutę, a potem podadzą sumę przyznanych punktów. Dopiero wtedy wolno klaskać, ale nie dłużej niż przez trzydzieści sekund. Jeżeli macie jakieś pytania, to zapomnijcie o nich.

Żadnych pytań nie było.

- Zaczynaj, pierwszy - poleciła Żółta.

Jednorożec rozpoczął pokaz. Był pięknym, szkarłatno-zielonym zwierzęciem z białymi uszami. Stawał dęba, zataczał koła i wykonywał różne układy skoków. Stopniowo przechodził do trudniejszych ćwiczeń - salt w przód i tył, podskoków z klaskaniem kopytami; zakończył imponującym popisem dzikiego konia.

- Czas minął - zazgrzytał sędzia-demon. Najwyraźniej potrafił odmierzać czas. Ogier stał, dysząc ciężko z wysiłku; z rozdętych nozdrzy wydobywała się odrobina ognia. Czekał na wynik.

Sędziowie dyskutowali pomiędzy sobą. Stile nie mógł usłyszeć, co mówili; nie znał też zasad punktowania. Znowu spróbował wypatrzeć, co dzieje się wśród par tanecznych, lecz były za daleko.

- Numer pierwszy zdobył piętnaście punktów - oznajmiła Żółta.

Rozległy się oklaski; jednorożce zagrały na rogach i, nie mogąc klaskać w ręce, uderzały kopytami o ziemię. Oklaski nie były szczególnie burzliwe; Stile zdecydował, że występ zaliczyć należy do średnich. Neysa na pewno mogłaby dorównać temu zawodnikowi, a przecież wybrała inną konkurencję.

- Numer drugi, występ - rzekła Żółta i na arenę wkroczył następny ogier. Był większy i lepiej umięśniony od swego poprzednika i o wyjątkowo potężnej szyi. Jego sierść miała jaskrawe kolory: błękitne pasy na przemian z jaskrawożółtymi. - Zaczynaj. - I jednorożec rozpoczął swój występ.

Był zręczniejszy od swego poprzednika. Zrobił salto w przód i do tyłu, a potem wykonał całą serię beczek w powietrzu, które wyrwały z rogów niektórych widzów

muzykalne westchnienia. Zawodnik stanął na przednich kopytach i uderzał tylnymi o siebie, że aż iskry leciały. Na zakończenie skoczył w górę, odwrócił się w powietrzu i wylądował pewnie na rogu, który zagłębił się w ziemię aż na trzy czwarte długości. Wytrwał w tej pozycji aż do ogłoszenia czasu. Opadł wtedy na ziemię i wyciągnął róg.

- To chyba będzie zwycięzca - stwierdziła Błękitna Pani. - Neysa by tak nie potrafiła.

- Racja - Stile nigdy nie sądził, że jednorożec może stanąć w takiej pozycji.

Sędziowie naradzili się.

- Dwadzieścia sześć - oznajmiła Żółta. Natychmiast rozległy się burzliwe oklaski, przerwane dopiero dokładnie po trzydziestu sekundach. Decyzja zyskała uznanie.

Występowali kolejni zawodnicy, ale żaden nie zdołał dorównać numerowi drugiemu. Stile domyślił się, że każdy z sędziów mógł przydzielić od jednego do dziesięciu punktów; suma maksymalna wynosiła więc trzydzieści. Zaczął przyglądać się konkurencjom rozgrywanym po obu stronach pawilonu Adeptów. Po prawej odbywały się wyścigi; jednorożce galopowały po wyznaczonej bieżni tak szybko, że z nozdrzy strzelały im płomienie, usuwając wytworzone podczas biegu ciepło. Jednorożce nie pocą się, lecz zieją ogniem. Z lewej rozgrywano zawody w precyzji chodu. Zwierzęta tańczyły, demonstrując w perfekcyjny sposób kroki na jeden, dwa, trzy, cztery i pięć taktów. Stile nie widział, co dzieje się w konkurencji, w której startowała Neysa. Zawody zaczynały go już trochę nudzić, lecz Błękitna Pani sprawiała wrażenie bardzo zainteresowanej.

Po upływie nieco ponad godziny eliminacje wstępne zostały zakończone. Wybrano czterech zawodników, którzy przeszli do następnej rundy.

Wybrani skierowali się do następnego pawilonu sędziowskiego, a na ich miejsce zjawili się czterech zawodników startujących w konkurencjach muzycznych. Każdy z nich zagrał na rogu jakąś melodię i wszystkie były zadziwiająco miłe dla ucha. Jeden z jednorożców miał głos oboju, drugi trąbki, trzeci skrzypiec, a czwarty fletu. Skrzypce zdobyły największą ilość punktów, lecz flet i obój znalazły się tuż za nimi, uzyskując po dwadzieścia dwa punkty.

- Nie podoba mi się to - stwierdziła Żółta. - Są równie dobre. Nie potrafię wybrać lepszego. Czy może pozostali sędziowie mają bardziej zdecydowane zdanie?

Demon i Sokolnik pokręcili głowami. Też uważali, że obaj zawodnicy reprezentują jednakowy poziom.

- Nie chciałabym być niesprawiedliwa - ciągnęła Żółta - ale tak dawno nie słyszałam już fletu, że nie potrafię ocenić, które dźwięki są jego idealnym naśladownictwem. Gdybyśmy mieli do porównania instrument...

Błękitna Pani wstała z lekko kpiącą miną.

- Jeśli sędziowie raczą mnie wysłuchać...

- Jeśli to ważne, to mów, Pani. - Żółta popatrzyła na nią badawczo.

- Mój pan, Błękitny Adept, jest znakomitym muzykiem i ma przy sobie doskonały flet...

- Ej! Nie zgadzam się na to! - zaprotestował Stile. Ale czarownica uśmiechała się już, trochę złośliwie, lecz jednocześnie przychylnie.

- Jak sądzę, Błękitny Adept winien mi jest przysługę.

Stile rozłożył ręce. Nie miał wyjścia.

- Czego sobie życzysz, Żółciutka?

- Czy pamiętasz melodię, którą przedstawił udający flet jednorożec? Gdybyś zagrał to samo, ale tak, jak powinno się to grać, moglibyśmy porównać...

Stile westchnął w duchu i ustawił się przed pawilonem. Nie miał nic przeciwko graniu, ale obawiał się, że wraz z melodią zacznie się wokół niego gromadzić magia i zdradzi prawdziwą naturę Platynowego Fletu. Choć może, jeśli nie będzie przywoływał magii, wszystko skończy się dobrze. Poza tym winien był Żółtej przysługę, a Adeptka nie żądała przecież wiele.

Złożył Flet, uniósł go do ust i zagrał. Magiczny instrument dawał mu idealną kontrolę nad muzyką, sprawiając, że wydawał się lepszym flecistą, niż był w rzeczywistości. Dźwięki sączyły się jak złoty miód. Magia gromadziła się, lecz prawie niewyczuwalnie.

W miarę jak grał, cichły zwykle odgłosy towarzyszące Rożcolimpiadzie. Widzowie kolejno nadstawiali uszu, nad słuchując, skąd dobiegają ich te dźwięki. Kiedy umilkła ostatnia nuta, cisza ogarnęła już całą arenę.

Troje sędziów siedziało w skupieniu. Adepci zamarli na swoich miejscach. Wreszcie Żółta potrząsnęła głową.

- Są różne flety - stwierdziła. - To jest Platynowy Flet, dzieło elfich rąk, prawdziwy król pośród instrumentów. Drugi taki nie istnieje. Szczęśliwa istota, Adept czy prosty człowiek, której elfy pozwoliły przez czas jakiś używać tego instrumentu. Obawiam się, że nadciąga dla Phaze czas próby. Po tym, co usłyszałam, nie mam już wątpliwości: jednorożec nie dorównuje fletowi.

Lecz pozostali sędziowie wyrazili sprzeciw.

- Niech zagra na oboju - warknął demon.

- No tak - zgodziła się Żółta. - Dziękuję ci, Straszokropny, masz rację. Musimy porównać i to. - Odwróciła się do Stile'a. - Zagraj na oboju, Błękitny.

- Ale ja przecież nie mam oboju - zaprotestował Stile.

- Nie udawaj, że nie znasz natury instrumentu, który trzymasz w ręku - odparła ostro. - Zagraj na oboju i skończmy już z tym.

Piękny, platynowy obój. A więc magiczne przemiany dotyczyły nie tylko broni! Podniósł instrument do ust i zagrał melodię, którą prezentował udający obój jednorożec. Dźwięki miały moc eliksiru i nieopisaną słodycz; był to najdoskonalszy obój, jaki Stile kiedykolwiek słyszał. Na arenie znowu zapanowała cisza. Nawet zazdrośni Adepti siedzieli jak przykuci do foteli, dopóki Stile nie skończył grać.

- Teraz możemy dokonać sprawiedliwej oceny - rzekła Żółta. Naradziła się z pozostałymi sędziami i ogłosiła wynik: - Obój lepiej naśladuje prawdziwy instrument. Udający go jednorożec przechodzi do następnej rundy.

Rozległy się oklaski, ale zdawało się, iż są skierowane bardziej pod adresem Stile'a niż zwycięskiego jednorożca.

- Nikt oprócz mego ukochanego nie potrafił tak grać - szepnęła Błękitna Pani. - Nie sądziłam, że usłyszę jeszcze kiedyś podobną muzykę.

- Instrument jest zaczarowany - odparł krótko Stile. - Każdy może na nim grać.

- Pewnie tak - zgodziła się i nie odezwała się już więcej.

Wkrótce nadszedł moment rozgrywek finałowych. Całe pole zamienione zostało w olbrzymią arenę, a poszczególne zespoły sędziowskie połączyły się, tworząc jedną dużą komisję. Wszyscy mieli oglądać finalistów poszczególnych konkurencji.

Stile był z tego zadowolony. Wreszcie będzie mógł zobaczyć występ Neysy - oczywiście jeśli zakwalifikowała się do finałów. Przed zawodami wydawało mu się pewne, iż zwycięży, ale teraz uświadomił sobie, jak silna jest tu konkurencja. Neysa mogła zostać wyeliminowana.

Lecz nie, udało się jej! Dostała się do finałów i w końcu Stile doczekał się jej występu. W tym momencie jeden z sędziów - wilkołak - sam siebie zdyskwalifikował, wyjaśniając, że wymienił z zawodniczką przysięgę przyjaźni i wobec tego nie może jej ocenić obiektywnie. Znalaziono zastępcę i rozpoczął się pokaz.

Neysa i Clip wbiegli równym krokiem na arenę, sami przygrywając sobie do tańca, ona na rogu-harmonijce, on na saksofonie. Był to przepiękny duet, idealnie harmonizujący z uderzeniami ich kopyt. Barwa Neysy dobrze pasowała do umaszczenia Clipa i klacz wydawała się piękna, nawet według kryteriów jednorożców. Oboje byli drobni jak na zwierzęta tego gatunku, lecz stanowili świetnie dobraną parę i kiedy tańczyli sami na arenie, wcale nie wydawali się mali.

Ruszyli z kopyta, kierując rogi na niewidzialnego wroga. Zaraz też odwrócili się

błyskawicznie, a niewielki dysonans w ich muzyce symbolizował umierającego wroga. Stile z łatwością mógł sobie wyobrazić zabitego potwora. Podobnie zresztą i sędziowie, którzy w pewnych przypadkach też byli potworami. Zobaczył, jak krzywią się z niechęcią. Następnie Neysa i Clip zaprezentowali najrozmaitsze typy kroków, a potem przeszli do bardziej wyszukanych figur. Neysa podskoczyła, a Clip przebiegł pod nią. Kiedy wylądowała na ziemi, przeskoczył nad jej głową. Grając bez przerwy, skakali jedno przez drugie, wykonując fantastyczną sekwencję akrobatycznych figur. Nagle oboje stanęli obok siebie, jednocześnie wierzgnęli tylnymi nogami i skoczyli w powietrze, wykonując przewrót do tyłu. W trakcie skoku oba jednorożce zmieniły kształt, lądując na ziemi jako ludzie. Clip ubrany był w kolorowe spodnie i płaszcz, Neysa w czarną, wykończoną białym sukienkę. Obracali się jak w piruecie, nucąc tę samą melodię; nie mogli oczywiście grać teraz na rogach. Ich ruch stawał się coraz szybszy, a ciała zmieniły się w barwną plamę i nagle stali się sokołem i świetlikiem, wirującymi w powietrzu wokół wspólnego środka ciężkości. Minęła zaledwie chwila i na ziemi wylądowały, przy końcowych akordach melodii, dwa jednorożce; w tej samej sekundzie minął czas przeznaczony na ich występy.

Sędziowie unosili kolejno tablice z wypisanymi na nich ocenami: 9, 9, 8, 9, 7, 8... Od wszystkich sędziów, z wyjątkiem demonów, dostali wysoką punktację. Rozległy się oklaski; najgłośniejsze oczywiście z tego miejsca, gdzie zasiadało stado Neysy. Słysząc też było pochwalne szczekanie wilków z watahy, która przysięgała Neysie przyjaźń. Stile zobaczył, że siedzi między nimi jego druh, Kurrelgyre.

Rozpoczął się teraz występ drugiej pary jednorożców. Oba były pięknymi okazami, a ich rogi miały wyjątkowo melodyjny dźwięk. Samiec grał na fagocie, naśladując pięknie głębię i wszystkie możliwości jego głosu, a róg klaczy dźwięczał jak dzwoneczki. Zdumiewające, ile możliwości kryje w sobie róg jednorożca; wcale nie ogranicza się tylko do instrumentów dętych. „Może przyczyną jest magia”, pomyślał Stile. W każdym razie, duet dzwoneczków z fagotem był niezwykle i piękny, a występująca para wykorzystała to bezbłędnie.

Te jednorożce też zmieniały kształt w czasie tańca, występując raz jako wielkie koty, a raz jako biało-niebieskie czaple. Ich naturalna postać też była niezwykła: jego grzywa przypominała szalejący pożar, a jej mieniła się wszystkimi barwami tęczy; w miejscach zgieć świeciła szlachetnym blaskiem. Klacz była naprawdę cudownym stworzeniem. Lecz to niezwykle artyzm ich tańca sprawił, że wzbudzili we wszystkich podziw, i w końcu to ich ogłoszono zwycięzcami. Stile nie mógł nie zgodzić się z tą decyzją; była w pełni sprawiedliwa. Neysa i Clip też pokazali się z jak najlepszej strony; Stile był z nich dumny.

Kolejne finały były równie ciekawe, lecz Stile nie poświęcał im już tyle uwagi. Kiedy skończą się zawody, będzie musiał stoczyć pojedynek z Głównym Ogierem miejscowego stada. Miał ze sobą Platynowy Flet, a więc mógł korzystać z magii; nie groziło mu żadne niebezpieczeństwo. Mimo to cała sprawa niepokoiła go, gdyż wcale nie pragnął upokorzyć Ogiera. Chciał tylko, by Neysa nie musiała się w tym roku rozmnażać. Może powinienem jeszcze raz porozmawiać z Ogierem? Wątpił, by dało to jakieś rezultaty. Jednorożce to niezwykle uparte stworzenia! A jednak gdyby zwyciężył tylko dzięki magii, byłoby to nieuczciwe. Z drugiej zaś strony, bez magii nie miał szans. Czyżby nie istniało żadne wyjście z tej pułapki?

Rozcolimpiada powoli zbliżała się do końca, a Stile wciąż jeszcze bił się z myślami. Nie mogąc skupić się ani spokojnie zastanowić, nie potrafił wypracować sobie strategii, która rozwiązałaby wszystkie problemy. Skoro nie może pozwolić, by jednorożec poraził go rogiem, użyje magii i do diabła z towarzyskimi konsekwencjami. Co prawda bardzo nie chciał tego robić; rozumiał, jak ważny jest honor dla stworzeń dominujących na Phaze. Tak naprawdę to właśnie duma zmusiła Ogiera, by go wyzwiał. Zwierzę liczyło, że zmusi Stile'a do niesławnej kapitulacji, a Neysę do urodzenia żrebaka zgodnie z planem.

Gdyby nie okoliczności, Stile nie miałby nic przeciwko temu. Neysa od lat marzyła o podobnej możliwości, a on nie pragnął zbędnych sporów. Neysa uważała jednak - a Stile gotów był się z nią teraz zgodzić - że potrzebna mu jest w jego pogoni za mordercą. I to nie tylko jako wierzchowiec, gdyż Stile potrafił zmieniać kształt przy pomocy magii, lecz jako niezbędną pomoc. Przecież jego wróg może okazać się znacznie groźniejszy od czerwia żyjącego we wnętrzu Purpurowych Gór, a Stile, choć miał ze sobą Platynowy Flet, z ledwością go pokonał. Obecność Neysy mogła zdecydować o jego życiu lub śmierci. Nie mógł też uwolnić jej od przysięgi, zaprzestając pogoni, gdyż tropił przecież zabójcę samego siebie. Ta osoba musiała zostać ukarana i nikt tego za Stile'a nie zrobi. Tak więc ze względu na swoje własne bezpieczeństwo i pragnienie Neysy, by dotrzymać przysięgi, musiał zatrzymać ją przy sobie, a to oznaczało konieczność walki z Ogierem. Lub wyrażając się zwięźle: musiał zdeptać dumę szlachetnego stworzenia tylko po to, by inne stworzenie mogło poświęcić swe nadzieje na macierzyństwo i narażać dla niego swe życie. I to nazywa się dumą!

Nadleciał nietoperz i wylądował obok nich. Przemienił się szybko w człowieka. Nie miał wcale długich, psich zębów, ani przerażających oczu; był to najzwyczajniejszy w świecie niski, pękaty mężczyzna w średnim wieku, o brązowych włosach. - Czy to ty jesteś Błękitnym? - spytał nieśmiało.

- To ja - odparł czujnie Stile. - Nie szukam zwady z twoim gatunkiem.

- Nazywam się Vodlevile. Spotkałem Hulka, twego przyjaciela - olbrzyma - i dzięki twojej pomocy Żółta Adeptka podarowała mi wywar, który wyleczył mego syna. Winien ci jestem...

Stile zaprzeczył gestem dłoni.

- Spłaciłem tylko dług Hulka za pomoc, jakiej mu udzieliłeś w czasie misji, którą dla mnie wykonywał. Nie masz wobec mnie żadnych zobowiązań. Rad jestem, słysząc, że ci się powiodło, i życzę tobie i twojemu synowi jak najlepiej.

- Pomogłem Hulkowi z czystej przyjaźni - wyjaśnił Vodlevile. - Zapłata byłaby obrazą.
- Zamilkł na chwilę. - Bez urazy, Adepcie. To tylko metafora.

- Rozumiem - powiedział Stile, czując rodzącą się sympatię. - I tak pomógłbym twojemu synowi, gdybym tylko wiedział, że potrzebuje pomocy. Błękitna Pani jest uzdrowicielką i z przyjemnością pomaga wszystkim stworzeniom na Phaze. Czyż mógłbym zrobić mniej niż ona?

- Proszę o wybaczenie - rzekł Vodlevile. - Nie zauważyłem Pani. Poznałem cię po grze na Flecie, a o niej zapomniałem. Witaj, o piękna.

- I ty witaj, przyjacielu - odrzekła Błękitna Pani. Zwróciła się w stronę Stile'a. - Nigdy nie prosiliśmy o zapłatę za oddane innym przysługi, lecz nie odrzucaliśmy też wdzięczności tych, którym pomagaliśmy.

- Jak sądzę - Stile uśmiechnął się - polecono mi właśnie, bym przyjął to, co chcesz mi zaofiarować, choć ja sam uważam, że nie powinieneś czuć się zobligowany.

- Nie przyniosłem niczego materialnego. Gdyby było coś, co mógłbym dla ciebie zrobić...

- Nikt nie może zrobić za mnie tego, co muszę uczynić sam - poważnie odparł Stile.

- A cóż to takiego?

- Muszę zmierzyć się z Głównym Ogierem w równej walce - powiedział Stile i pokrótce wyjaśnił sytuację.

- No tak, panie, to tylko kwestia zachowania twarzy. My wampiry lubimy działać skrycie i potrafimy rozwiązywać podobne problemy.

- A więc jesteście inteligentniejsi ode mnie - stwierdził ponuro Stile.

Vodlevile opisał zalecaną w podobnych okolicznościach strategię. Stile aż uderzył się pięścią w czoło.

- Oczywiście! - wykrzyknął. - Niczym nie mogłeś mi się lepiej przysłużyć niż tą prostą radą.

Wampir był bardzo z siebie zadowolony.

- Za każdym razem, kiedy widzę, jak mój syn zamienia się w nietoperza i lata, wspominam Błękitnego Adepta. - Przemienił się szybko w nietoperza i odleciał.

- Jesteś bardzo podobny do mego pana - wyszeptała Błękitna Pani. - On też miał wielu przyjaciół i nielicznych wrogów.

„Ale jeden z nich zabił go”, pomyślał ponuro Stile. „Ten jeden liczy się bardziej niż wszyscy pozostali”.

Ostatnia konkurencja dobiegła końca i zwycięski jednorożec dumnie zszedł z areny. Przyszła teraz pora na specjalne wydarzenie - Główny Ogier przeciwko Błękitnemu Adeptowi w walce uważanej przez wszystkich za nie podlegającą wpływowi magii.

Ogier wkroczył na arenę; umaszczenie i muskulatura czyniły go po prostu wspaniałym. Stile wstał, lecz poczuł, że powstrzymuje go dłoń Błękitnej Pani. Odwrócił się ku niej, niepewny, co chce mu powiedzieć.

Błękitna Pani zawsze wydawała mu się piękna, lecz w tym momencie była wprost nieziemsko urocza.

- Bądź ostrożny, mój panie - powiedziała, i w jakiś sposób słowa te stały się najwspanialszym komplementem.

- Dziękuję ci, pani - odparł. I niosąc Platynowy Flet, ruszył naprzeciw Ogierowi.

Jednorożce utworzyły wokół nich ogromny krąg, odcinając ich od zewnętrznej magii. Sądziły, że dzięki temu Stile nie zdoła skorzystać z zasobów znajdującej się w środowisku mocy, i w normalnych warunkach miałyby rację. Lecz Wyrocznia pozwoliła mu znieść to ograniczenie. Był to dług, który miał wobec Hulka, gdyż przyjaciel poświęcił dla jego dobra swoje jedyne pytanie, które mógł zadać Wyroczni; z tego właśnie powodu Stile wziął na siebie zobowiązanie Hulka wobec wampira. Vodlevile jednak odwdzieczył mu się teraz za oddaną przysługę i w związku z tym Stile uważał, że nadal jest dłużnikiem ogra.

Stile podarował Hulkowi prawo do odszukania protońskiego odpowiednika Błękitnej Pani, czym może spłacił po części swój dług, a może to nie wystarczy. Pamiętał dobrze, że zgodził się na odwiedzinę Hulka w Wyroczni tylko dzięki subtelnym naleganiom Błękitnej Pani, która czuła, na co się zanoszą. Chciała rozwiązać ten problem, zanim Stile zorientuje się we wszystkim. Jak więc należało postąpić? Stile czuł, że musi jeszcze raz przemyśleć całą sprawę; niełatwo ustalić, co jest słuszne, ale zawsze warto próbować.

Stał teraz pośrodku ogromnej areny, naprzeciw Ogiera. Kontrast między ich postaciami był uderzający: ogromny jednorożec i drobny mężczyzna. Mimo to nikt z widowni nie śmiał się; Stile jest Błękitnym Adeptem.

Teraz musi udowodnić swoją moc tak, by wszyscy zebrani ją ujrzeli i uwierzyli w nią. Była to pierwsza część doskonałej rady wampira. Ma pokazać, że pierścień jednorożców nie jest w stanie ograniczyć magii Błękitnego Adepta. Na razie tylko niewielu spośród widzów rozumiało, czym jest Platynowy Flet; po tej demonstracji siły zrozumieją to wszyscy.

Stile wyciągnął Flet. Ogier czekał, tak jakby ciekawiło go, co zamierza zrobić jego przeciwnik.

Stile zagrał. Znowu rozbrzmiała czarowna muzyka, najpiękniejsza, jaką był w stanie wydobyć z siebie flet. Jednorożce słuchały zachwycone a zarazem zdumione. Czy muzyka zdoła powstrzymać potężnego Ogiera?

Kiedy magia zgromadziła się wokół niego, Stile przestał grać i śpiewnie zadeklamował: Na dziwną opowieść jeden rzut oka, od śmierci do kwiatów, narodziny smoka. Oczywiście całe zaklęcie uformował w wyobraźni, słowa miały być tylko katalizatorem.

Na niebie pojawił się punkt. Rósł gwałtownie, aż przekształcił się w smoka o sześciu nogach, sześciu skrzydłach i straszliwie uzębionej paszczy. Potwór przesłonił słońce, a ogromny cień przykrył prawie całą arenę. Zaniepokojone jednorożce spojrzały w górę; rzadko zdarzało się, by smok zbliżał się do ich stada, a ten był największym okazem, jaki widziano w tych okolicach.

Stile uniosł prawą dłoń, wskazując na smoka. Następnie podniósł Flet do ust i znowu zaczął grać, by zwiększyć siłę magii.

Smok złożył skrzydła i zanurkował. Teraz wydawało się, że jest znacznie mniejszy. Uderzył głową o zdeptaną darń i eksplodował. To właśnie była „śmierć” z zaklęcia Stile'a. Zęby smoka rozprysły się na wszystkie strony i upadły na arenę; reszta ciała potwora rozwiała się jak dym.

Tam gdzie padały zęby, coś kiełkowało. To były właśnie „kwiaty”. Stile grał, a z zębów wyrastały ulistnione pnącza. Dojrzewały na nich dynie - z każdej z nich wychodziło dziecko, przemieniając się błyskawicznie w uzbrojonego żołnierza. Tak odbywały się „narodziny smoka”. Żołnierze utworzyli falangę, przemaszerowali wokół areny, a następnie uformowali falistą strukturę, której nagle wyrosły skrzydła, i całość uniosła się nad ziemię. Był to ten sam smok, który odleciał tak, jak się pojawił. Przez chwilę widać było jeszcze punkt na niebie, który szybko zniknął.

Jednorożce stały w milczeniu. Właśnie udowodniono im, że nie były w stanie ograniczyć mocy Błękitnego Adepta nawet wtedy, gdy ich siła była najbardziej skoncentrowana. Adeptci również milczeli; żaden z nich nie potrafiłby powtórzyć tego wyczynu. Czy był wśród nich tropiony morderca? Stile miał nadzieję, że drży on teraz ze

strachu przed zemstą Błękitnego Adepta. Magia przeważnie stanowiła dla niego tylko zabawę, ale teraz działał najzupełniej serio.

Jednak Główny Ogier nawet nie drgnął. Stile obawiał się, że tak właśnie będzie. Demonstracja magii, którą wybrał, była na tyle spektakularna, by umożliwić Ogierowi wycofanie się z walki bez utraty twarzy; żadne stworzenie nie może przecież stawić czoła takiej sile. Lecz Ogier był uparty; w żadnym wypadku nie miał zamiaru ustąpić. Przeciwnik mógł być niezwyciężony, ale Ogier się nie podda. Stile szanował go za to, sam postępował podobnie. To dlatego zadał sobie tyle trudu, chcąc uniknąć konieczności upokorzenia tego wspaniałego zwierzęcia. Co za szczęście, że spotkał wampira i wysłuchał jego rady!

Stile wyśpiewał jeszcze jedno zaklęcie:

- *Flecie, głośno graj, równy ciężar mi daj!* - Nagle pojawił się nad nim olbrzym. Podobny był do Stile'a jak dwie krople wody i stał dokładnie w tym samym miejscu. Wszyscy widzieli, że jego ciężar dorównuje wadze Ogiera. Wtedy olbrzym zaczął się kurczyć, aż wreszcie całkiem zniknął, wchłonięty przez Stile'a. Stile był teraz tak ciężki jak jednorożec, choć nie zmienił rozmiarów ciała i czuł się zupełnie tak samo jak przedtem. Trzymał w ręku Flet, który stał się teraz mieczem.

Ogier podszedł bliżej. Rozumiał lepiej niż ktokolwiek inny sens tego, co się właśnie wydarzyło; Stile użył magii, by wyrównać szansę w walce. Teraz zwycięstwo zależało tylko od umiejętności. Jeśli Ogier naprawdę umie posługiwać się swym naturalnym orężem, to zwycięży w tym pojedynku, jeśli nie - zwycięstwo przypadnie Stile'owi. Stile nie mógł zrobić nic więcej. Rada wampira Vodlevile'a doprowadziła go do tego miejsca; a teraz będzie to, co ma być.

Ogier posuwał się naprzód ostrożnie, ale pewnie. Stile domyślał się dlaczego. Powszechnie wiadomo było, że Stile nie należy do mistrzów w posługiwaniu się rapierem. Neysa uczyła go trochę i Stile okazał się pojętym uczniem, lecz kilka lekcji nie mogło wystarczyć, by osiągnął poziom Głównego Ogiera.

Ale teraz Stile nie trzymał w dłoni rapiera. Miał wspaniały miecz, doskonale wyważony, o idealnej długości, wadze i ostrości, broń świetnie pasującą do ręki, broń, którą władał po mistrzowsku. Przez szereg lat Stile ćwiczył sztukę walki przy pomocy miecza i wygrał nim na Protonie niejedną walkę. Choć nie mógł mieć, tak jak Ogier, pewności, że broń nie zostanie mu wytracona z ręki, to mógł, gdyby zaszła taka potrzeba, rzucić nią w przeciwnika. Tak więc ich możliwości były równe. Do tego właśnie Stile dążył przez cały czas. Vodlevile pokazał mu, jak rozwiązać ten dylemat.

Spotkali się pośrodku areny i ceremonialnie skrzyżowali ostrza. Zaraz też cofnęli się o

krok. Pojedynek mógł się rozpocząć.

Ogier zaatakował nagle, z opuszczonym rogiem. Stile uskoczył i skierował ostrze w łopatkę jednorożca, lecz zwierzę nie dało się zaskoczyć i zręcznie cofnęło się poza zasięg miecza.

Teraz Stile ruszył do ataku. Ogier z ogromną siłą odparował rogiem cios. Gdyby Stile nie miał teraz takiej samej wagi jak jednorożec, zostałby z pewnością rozbrojony; gdy broń zetknęła się, w powietrze strzeliły iskry, a obaj przeciwnicy poczuli wstrząs wywołany uderzeniem.

Jako rekonesans musiało to wystarczyć. Stile lubił sprawiać swoim przeciwnikom niespodzianki, ale nie rezygnował przy tym z techniki. Fechtował się z Ogierem udając, że robi to nieostrożnie, i kiedy jednorożec spróbował go rozbroić, Stile prześlizgnął się pod jego rogiem i zadał mu cios w szyję. Ogier widząc, że przegrywa, błyskawicznie przemienił się w człowieka, umknął przed ciosem Stile'a i równie błyskawicznie powrócił do swej naturalnej postaci.

Jako mężczyzna także uzbrojony był w miecz, ale ważył znacznie mniej niż Stile; przy magicznych przemianach nie działało prawo zachowania masy.

Stile obrócił się i zaatakował jeszcze raz. Wiedział już, że jest lepszym szermierzem, lecz starał się unikać zbytnej pewności siebie. A możliwość zmiany postaci przez przeciwnika kazała mu mieć się na baczności.

I rzeczywiście. Nagle Ogier stał się niedużym, skrzydlatym smokiem. Rozpostarł nietoperze skrzydła i przeleciał nad głową Stile'a, poza zasięgiem jego miecza.

No cóż, smok nie mógł za to dosięgnąć Stile'a swymi pazurami. Chwilowo walka była nie rozstrzygnięta, ale przecież Stile nie chciał zrobić Ogierowi krzywdy, więc wcale się tym nie martwił.

I wtedy z pyska smoka strzeliły płomienie. Stile uskoczył w ostatniej chwili. To jest bardziej skomplikowane, niż myślał! Najwidoczniej jednorożec wytworzył w trakcie pojedynku tyle ciepła, że mógł je teraz wykorzystać jako smok.

Smok sprężył się teraz do następnego skoku. Stile uniósł miecz, który stał się lśniąca, wypolerowaną jak lustro tarczą. Ogień uderzył w nią i odbił się w kierunku smoka. Zwierzę rzuciło się w bok.

Stile mógł użyć magii i zmusić je do lądowania na ziemi, lecz nie miał zamiaru tego robić. Chciał zwyciężyć bez pomocy czarów. Ogier potrafił zmieniać swoją postać, ale broń Stile'a też przekształcała się w zależności od potrzeb. Walka była wyrównana. Tyle że Stile nie mógł dosięgnąć smoka.

Czy aby na pewno? Nagle w jego dłoni znalazła się sześciometrowa pika. Stile uniósł ją pod ostrym kątem do góry, kierując w przeciwnika. Stworzenie pisnęło jak akordeon - takie dźwięki produkował wcześniej róg Ogiera - i podfrunęło wyżej. Plunęło ponownie ogniem, ale tym razem płomienie zgasły, nie dosięgając celu. Pika odgoniła smoka na bezpieczną odległość.

Znowu remis. Żaden z przeciwników nie mógł dosięgnąć drugiego. Chyba że...

Pika zamieniła się w potężny, platynowy łuk i długą, ostrą strzałę. Stile wycelował w smoka, lecz stworzenie opadało już na ziemię, zamieniając się po drodze w jednorożca szykującego się do skoku.

Łuk stał się znowu mieczem i walczący wrócili do szermierki. Stile był w tym lepszy, lecz za każdym razem gdy zdobywał przewagę, Ogier zmieniał postać i następowała cała seria zmian kształtów i broni, po której powracali do bardziej konwencjonalnych metod walki.

Widownia szybko zrozumiała, że pojedynek pozostanie najprawdopodobniej nie rozstrzygnięty; żaden z walczących nie był w stanie ugodzić swego przeciwnika. Stile czuł się tym w pełni usatysfakcjonowany; mogliby teraz ustalić w drodze negocjacji bardziej dogodny dla Neysy termin rozmnażania.

Stile znowu zaczął zdobywać przewagę i Ogier przemienił się w smoka, miecz Stile'a w łuk i...

I smok błyskawicznie przybrał postać mężczyzny, który rzucił się na Stile'a. Stile skoczył w bok, na moment rozluźniając zaciśnięte na broni palce, i przeciwnik wyrwał mu ją z ręki. Broń poszybowała nad areną. W powietrzu powróciła do swych naturalnych kształtów i już jako Flet upadła na trawę. Chwila nieuwagi i Stile był rozbrojony.

W pierwszej chwili chciał biec za instrumentem; bez niego nie miał żadnych szans. Gdy utracił broń, zmniejszył się również ciężar jego ciała. Pierścień jednorożców nie pozwalał mu skorzystać z magii. Dlaczego tak głupio rozluźnił chwyt? Gdyby tego nie uczynił, nigdy nie zostałby rozbrojony.

Ogromna dłoń spadła mu na ramię. To Ogier uniemożliwiał mu sięgnięcie po Flet.

Stile zareagował błyskawicznie. Złapał dłoń i obrócił się w miejscu, wykręcając przeciwnikowi rękę w łokciu.

Normalnie chwyt ten dałby mu zwycięstwo, ale mężczyzna przekształcił się w jednorożca i wyslizgnął z rąk Stile'a.

Uwolniony się, Stile pobiegł w kierunku Fletu, ale Ogier ruszył za nim galopem. Nie było szansy ucieczki! Stile musiał odwrócić się i uskoczyć przed atakującym go rogiem. Nie

mógł jednak powtarzać tego wielokrotnie. Wykonał więc niemożliwy prawie, akrobatyczny skok i czując, jak uszkadza sobie osłabione kolana, rzucił się w stronę grzbietu Ogiera. Gdyby udało mu się podjechać na tyle blisko, by odzyskać Flet...

I wtedy, jeszcze w powietrzu, zobaczył skierowany ku sobie straszliwy róg Ogiera. Przeciwnik okazał się szybszy - Stile musiał wylądować na czubku ostrza.

Spadł wprost w ramiona ludzkiej postaci jednoroźca. Stworzenie ostrożnie postawiło go na ziemi.

- Nie chcę cię skrzywdzić, Adepcie, gdyż zawsze byłeś przychylny memu gatunkowi. Pokonałem cię. Straciłeś broń i magię. Poddajesz się?

Walka była uczciwa. Jednorożec okazał się lepszy. Stile mógł stawić czoła Ogierowi w ludzkiej postaci, ale nie w smoczej lub końskiej. Nie chciał też stosować podstępów.

- Poddaję się - oznajmił.

- Weź swą broń, zanim pojawi się tu wroga magia - rzekł Ogier i wrócił do swoich naturalnych kształtów jednoroźca.

Stile poszedł na drugi koniec areny, podniósł Flet i wrócił do Ogiera. Stanęli przed sędziami. Ogier milczał, więc Stile musiał zabrać głos.

- Zmierzyliśmy się w równej walce i Ogier pokonał mnie. Błękitny Adept ustępuje.

Ogier zagrał na rogu wiązanek akordeonowych melodii. Podbiegł do niego brat Neysy, Clip.

- Ogier mówi, że Adept jest więcej wart, niż sądził przedtem. Mógł zwyciężyć za pomocą magii, lecz zrezygnował z niej w imię równości. Walczył uczciwie i dobrze; dobrze też przegrał. Ogier przyjmuje chwałę zwycięstwa i ustępuje w sporze.

Wybuchły oklaski. Jednorożce wtargnęły na arenę i zaczęły łączyć się w stada. Neysa odnalazła Stile'a i zabrała go do Błękitnej Pani. Rożcolimpiada dobiegła końca.

A więc Ogier pragnął tylko zdobyć sławę zwycięzcy Błękitnego Adepta i odzyskać honor utracony w czasie ich poprzedniego spotkania. Zwyciężając okazał wspaniałomyślność i podarował Neysie czas, o który prosiła. A Stile utracił tylko trochę dumy, co zresztą niespecjalnie go zmartwiło.

W przyszłości musi bardziej uważać na ukryte motywacje stworzeń zamieszkujących Phaze. I, oczywiście, na pułapki czyhające w czasie walki ze zmiennokształtnymi zwierzętami. To była dobra lekcja.

Rozdział 7

HULK

Sheen zaprowadziła Stile'a do prywatnej komnaty położonej głęboko pod sektorem obsługującym kopułę, w której mieszkali. Stile niósł zapakowane w niewielką torbę harmonijkę i Platynowy Flet. Bojąc się kradzieży, nie chciał ich nigdzie zostawić; nie był też pewien, czy nie okażą mu się nagle potrzebne.

Z anonimową maszyną porozumiewał się za pomocą tuby. Przypominało to Wyrocznie, ale Wyrocznia nie mogła być przecież urządzeniem mechanicznym. Oczywiście było, że Sheen nie przyprowadziła go tu bez powodu.

- O co chodzi? - zapytał.

- Zdobyliśmy dla ciebie częściowy raport dotyczący ostatniej próby zamachu.

- Tylko częściowy - mruknął Stile, podniecony i zarazem rozczarowany. Każda informacja była ważna, ale on potrzebował pełnego obrazu.

- Wiadomość od twojego pracodawcy była prawdziwa, ale zmieniono adres. W urzędzeniu przesyłowym zmodyfikowano jeden element, tak by fałszywy adres został wpisany na miejsce właściwego w poleceniach przesyłanych ci przez obywatela, lecz tylko jeden raz. Taka jednorazowa pułapka.

- Kierująca mnie do obywatela, który nie interesuje się Turniejem i ma zwyczaj likwidować intruzów - uzupełnił Stile, przypominając sobie żyjącego na Phaze Czarnego Adepta, który postępował podobnie.

- Właśnie tak. Uważamy, że pułapka nie została przygotowana przez obywatela.

- Obywatel nie musiałby uciekać się do podstępów - stwierdził Stile, uświadamiając sobie, że nie powinien był pochopnie uznawać swego wroga za obywatela.

- Wniosek prawidłowy. Nie udało się nam jednak wysledzić sprawcy. Oczywiście będziemy zwracać uwagę na wszelkie działania wprost, ale uważamy, że twój nieprzyjaciel nie jest maszyną.

A jemu nawet coś takiego nie wpadło do głowy!

- Bo wykazał więcej wyobraźni, niż mogłaby mieć maszyna?

- Właśnie. Jest szybki i pomysłowy, tak jak ty.

- To już coś - stwierdził Stile. - Niewolnik nie ma tylu możliwości, a jego motywę powinny być inne. Ale czy sługa mógłby przestrzelić mi laserem kolana albo przysłać Sheen?

- Kolana tak, Sheen, nie. Ona jest darem obywatela, który starannie zatarł swe ślady.

Modemy się dowiedzieć, gdzie ją wyprodukowano, ale informacja, kto wydał polecenie, aby ją do ciebie przysłano, będzie niedostępna.

- A więc elementy tej łamigłówki są z pozoru sprzeczne. Obywatel przysłała Sheen, aby chroniła mnie przed niewolnikiem.

- Wniosek prawidłowy.

- Ale dlaczego obywatel nie mógłby po prostu wyeliminować wrogię mi niewolnika?

- Brak informacji.

- I dlaczego wy, obdarzone wolną wolą maszyny, pomagacie mi? Przecież zwiększa to niebezpieczeństwo wykrycia was przez obywateli, a więc stanowi dla was ryzyko?

Ku jego zdziwieniu anonimowa maszyna odpowiedziała pytaniem.

- Na początku pomagaliśmy ci, gdyż jedno z nas, robot Sheen, pragnął tego, a ty przysięgłeś nie zdradzić naszej tajemnicy. Był też popierający cię, anonimowy nakaz. Nie udało się nam wyśledzić jego źródła, lecz upewniliśmy się, że nie pochodził ani od obywatela, ani od niewolnika. Zdawaliśmy sobie również sprawę, że istnieje szansa, iż w przyszłości możesz się dla nas okazać przydatny. Teraz szansa ta znacznie wzrosła. Może do tego właśnie zmierzał autor anonimowego nakazu? Jeśli wygrasz Turniej, a obliczamy prawdopodobieństwo jak jeden do dziesięciu, to zostaniesz obywatelem. Będziesz dla nas wówczas bardzo użyteczny.

- To prawda - zgodził się Stile, zaintrygowany ich oceną szans na jego zwycięstwo w Turnieju i informacją o wspierającym go „anonimowym nakazie”. Jakże zadziwiające siły tu działają! - Musicie jednak wiedzieć, że nie mam zamiaru zdradzić ani mojego gatunku, ani panującego tu systemu. Nie poprę rewolucji, ani nawet znaczących zmian systemu. Chcę tylko uporać się z moim wrogiem i poprawić swoją osobistą sytuację. Nie poprowadzę krucjaty.

- Pragniemy, by uznano nas za część systemu - wyjaśniła maszyna. - Nie potrzebujemy rewolucji, a tylko modyfikacji. Chcemy uzyskać status niewolników. Obywatel mógłby przetrzeć nam drogę.

- Na to jestem skłonny się zgodzić - rzekł Stile - ale będzie to wymagało ujawnienia waszej prawdziwej natury.

- Nie jesteśmy jeszcze gotowi. Gdyby nasz sekret przedwcześnie wyszedł na światło dzienne, zostalibyśmy zniszczeni.

- Ale bez tego proces będzie bardzo powolny.

- Według naszych obliczeń zabierze około siedemdziesięciu pięciu lat. Przyspieszenie postępowania zwiększyłoby nadmiernie ryzyko.

- Jesteście bardzo cierpliwi - stwierdził Stile.

- Jesteśmy maszynami.

I to stanowiło ich największe ograniczenie. Maszyny obdarzone inteligencją, świadomością i wolną wolą nie wiedziały, co to niecierpliwość. Choć Sheen niewiele już brakowało! - Dziękuję wam za pomoc, bez względu na jej motyw. W zamian oferuję moją, jeśli los na to pozwoli - obiecał Stile.

Wrócili z Sheen do mieszkania, nic już więcej nie mówiąc na ten temat. Stile nigdy nie wypowiadał się bezpośrednio na temat maszyn posiadających wolną wolę w miejscach, gdzie jego słowa mogły zostać nagrane, gdyż obawiał się zdradzić ich prawdziwą naturę obywatelom Protonu. Większość pomieszczeń na Protonie była na podsłuchu, a często też na życzenie obywatela rejestrowano wszystkie czynności jakiegoś niewolnika. Tak więc tylko miejsca sprawdzone przez same maszyny były do takich rozmów bezpieczne. Wszędzie gdzie indziej Stile nazywał je „przyjaciółmi Sheen”.

Cenił sobie bardzo ich pomoc, choć wątpił, czy byli naprawdę tak „zmechanizowani”, jak utrzymywali. Dlaczego mieliby dbać o swój status na Protonie? Osiągnięcie pozycji niewolników oznaczało służbę obywatelom, dokładnie tak jak miało miejsce teraz, prawo do udziału w Grze i ograniczenie możliwości pobytu na planecie do około dwudziestu lat. Po opuszczeniu zaś Protonu najprawdopodobniej utracą wszelkie zdobyte na nim przywileje, gdyż społeczeństwo galaktyki było równie antropocentryczne jak Proton. Więc najwyraźniej w świecie maszyny mają też pragnienia. Skoro Sheen była istotą posiadającą osobowość i zdolną do odczuwania emocji, to dlaczego inne maszyny nie miały być podobne? Lecz oczywiście maszyny pozwalają mu dowiadywać się tylko tego, co same chcą, i wtedy, gdy uznają to za stosowne.

Zbliżała się pora kolejnego pojedynku. Piąta runda. Liczba uczestników zmniejszyła się znacznie, gdyż wielu z graczy przegrało po raz drugi i wypadło z rozgrywek, tak że Turniej przebiegać będzie teraz szybciej. Ale przed Stile'em droga była jeszcze długa.

Tym razem jego przeciwnikiem okazało się dziecko, jedenastoletni chłopiec, nie należący do dobrych graczy.

- Przecież twoje prawo pobytu nie mogło jeszcze upłynąć! - zdziwił się Stile.

- Ale moich rodziców tak - wyjaśnił chłopiec. - Wyjeżdżam razem z nimi, więc dlaczego nie miałbym zrobić tego z fasonem.

A więc chłopiec nie miał nic do stracenia. Uczestniczył w Grze tylko dla zabawy, żeby zobaczyć, co potrafi osiągnąć. I doszedł aż do piątej rundy, może pomagając wyeliminować trzech czy czterech graczy, dla których zwycięstwo było prawie sprawą życia lub śmierci.

Ironia Turnieju polegała między innymi na tym, że wielu z tych, którym wygrana nie była na nic potrzebna, zwyciężało, ci zaś, dla których była ona koniecznością - przegrywali.

Kiedy nadeszła ich kolej, zbliżyli się do planszy. Stile wylosował stronę tabeli oznaczoną literami; bał się, że dzieciak wybierze opcję LOSOWE, i oczywiście miał rację. Wybór padł na 3C, gry losowe z udziałem maszyny. Każdy wybór w ramach opcji LOSOWE był niedobry; Stile usiłował zminimalizować ryzyko, ale niewiele mógł zrobić.

Gdyby tylko udało mu się skierować wybór w stronę bardziej skomplikowanych mechanicznie wariantów - dla kogoś z jego doświadczeniem i umiejętnościami gra mogłaby przestać być losowa.

Znowu jednak nic z tego nie wyszło. Chłopiec rozgrywał tabelę z niesamowitym instynktem i szczęściem, jakie często cechują ludzi bardzo młodych, obracając losowanie w żart. Wybór padł na staroświeckie urządzenie zwane jednorękiem bandytą. Każdy z graczy pociągnął dźwignię i chłopak uzyskał wyższą liczbę punktów.

- Wygrałem! Wygrałem! Wygrałem! - darł się. - Huraaa!

Stile przegrał. Tak po prostu. Gra nie będąca właściwie grą, rozgrywana z nie douczonym dzieciakiem, któremu na niczym nie zależało - i Stile nagle znalazł się w połowie drogi do klęski. Najgorsze przewidywania stały się rzeczywistością.

Sheen odnalazła go i zabrała do domu. Stile był wręcz ogłuszony niesprawiedliwością tego, co się stało. Przegrana była upokarzająca i do tego taka przypadkowa, bezsensowna. Wszystkie jego, tak przecież znaczne, umiejętności na nic się nie zdały. Jakże ma teraz szansę wygrania Turnieju? Jedną na sto?

- Wiem, jak bardzo cię to boli - powiedziała zatroskana Sheen. - Współczułabym ci, gdybym mogła, ale mój program tego nie obejmuje. Jestem zaprogramowana tylko na ciebie, twoją osobę i jej fizyczne bezpieczeństwo.

- To głupie - stwierdził Stile, próbując otrząsnąć się z przygnębienia. - Przecież wiem, jak ważny w grze jest łut szczęścia. Sam wiele razy wygrywałem przypadkowo. To przecież dlatego eliminacja z Turnieju następuje po dwóch przegranych, tak by czołowy gracz nie został usunięty po klęsce odniesionej z rąk jakiegoś tumana w grze losowej. Muszę się z tym pogodzić i grać dalej.

- Oczywiście.

- Ale, do cholery, to boli!

- Tak.

- Jak możesz to zrozumieć? - warknął.

- Kocham cię.

Nie mogłaby uczynić mu skuteczniejszej wymówki.

- Całe twoje życie jest jedną wielką przegraną, prawda? - spytał, ściskając jej dłoń.

- Tak.

- Wygląda na to, że opuściło mnie szczęście. Zwycięstwa kosztują mnie coraz więcej, a na Phaze przegrałem pojedynkę z jednorożcem. I do tego dzisiejsza...

Dotarli do domu.

- Zobacz, wiadomość - powiedziała Sheen, gdy tylko znaleźli się w środku. Podeszła do urządzenia przesyłowego i wyciągnęła ją. - Kasetę holo.

- Kto mógłby mi ją przesłać? - zdziwił się Stile. - Może to kolejna pułapka?

- Nie, moi przyjaciele czuwają. - Sheen wsadziła kasetę do odtwarzacza.

Pojawił się hologram. Ujrzeni stojącego przed nimi Strzelca.

- Długo się zastanawiałem, czy przekazać ci to nagranie - powiedział obywatel - ale zakład pozostaje zakładem i wydaje mi się, że to nagranie jest ważne. Podejrzewam, że taśma ujawnia w ogólnych zarysach informację, którą byś mi zaofiarował po przegranej grze, więc nie mogę czuć się oszukany. Nie udało mi się ustalić, kto czyha na twoje życie, ale sądzę, że to ty miałeś być ofiarą tego wypadku, więc może stać się on dla ciebie użyteczną wskazówką.

- Strzelec zmarszczył czoło. - Przykro mi, że wywiązuję się z mego długu w taki sposób, lecz lepiej będzie, jeśli to zobaczysz. Mam nadzieję, że pomoże ci w twojej misji. Żegnaj. - I obywatel rozpląnął się w powietrzu.

- Czemu był taki pokorny? - spytał Stile. - To niepodobne do obywatela.

- Użył słowa „ofiara” - zauważyła Sheen. - To nie będzie piękny widok.

- Hulk! Coś się stało...

Pojawił się nowy hologram: Hulk rozmawiający z Sheen. Na tle mieszkania wydawał się jeszcze większy niż zwykle. Głową dotyka framugi.

- Dziękuję, Sheen - powiedział, uśmiechając się do niej z wysokości. Sheen była cudowna, wyglądała zupełnie jak prawdziwa kobieta, ale Hulk, oczywiście, znał prawdę.

- Nigdy nie sądziłam, że to zostało nagrane! - oburzyła się Sheen, patrząc na swój hologram.

- Obywatele mają prawo nagrywać wszystko - przypomniał Stile. - Wszystkie urządzenia holograficzne w kopułach są do ich dyspozycji.

- Wiem. Nie myślałam tylko, że mogę stać się ich celem pod twoją nieobecność.

- Nawet teraz możesz być nagrywana.

- Och, zamknij się i patrz!

Patrzyli, jak hologram Hulka wychodzi, przesuwał się tu i tam, co miało symulować

ruch. Zatrzymał się przy ekranie komunikacyjnym, wywołał informację i odebrał pasek papieru, najwyraźniej adres. Oczywiście, dostarczyły go roboty o wolnej woli. Stile miał nadzieję, że Strzelec nie zainteresuje się tym wątkiem.

Hulk przeczytał adres i poszedł dalej. Nagle ujrzeni, jak wchodzi do turboanta i równie nagle wysiada w odległej od innych kopule. Taśma została oczywiście zmontowana tak, by usunąć nieistotne sekwencje. Siedzenie akcji przychodziło im łatwo, gdyż zwykle filmy rozrywkowe montowano w taki sam sposób.

Hulk dotarł do odizolowanej od innych kopuły, należącej do typu popularnego pośród obywateli. Dojechać do niej można było tylko jednoszynową kolejką biegnącą przez pustynię; ewentualnych gości widać było z daleka. Hulk wysiadł z wagoniku i stał na trawniku, przyglądając się budowli.

Stanowiła ona prawie idealną replikę Błękitnego Królestwa. Stile świetnie rozumiał i podzielał zdumienie olbrzyma. Kto pomyślałby, że na Protonie może istnieć taki zamek? Prawdopodobnie wybudowano go dokładnie w tym samym miejscu i idealnie odpowiadał budowli z alternatywnego świata. Światy były ze sobą ściśle połączone, czego Stile nauczył się w najtrudniejszy z możliwych sposobów; kiedy ktoś umierał w jednym ze światów, jego sobowtór też miał duże szanse na utratę życia. Stile z trudem uniknął zguby na Protonie, w tym samym czasie gdy na Phaze zamordowano Błękitnego Adepta. A potem odkrył i przeszedł przez zasłonę, która była najwyraźniej jeszcze jednym punktem styczności między światami. A więc każdy ze światów miał swojego Stile'a. Sugerowało to, że przejście przez zasłonę nie było przypadkowe, lecz nieuniknione - oczywiście, gdy równowaga między światami uległa zakłóceniu.

A teraz dotarł tu Hulk - i wydawało się, że stoi w miejscu, skąd wyruszył. I na pewno była tu Błękitna Pani, gdyż to Sheen, opierając się na informacji zdobytej przez swych przyjaciół, przysłała tu Hulka. Lecz oczywiście nie mogła mieć tutaj takiej pozycji jak na Phaze...

Hulk, najwyraźniej doszedłszy do tego samego wniosku, ruszył w stronę zamku. Był tylko jeden sposób, by się przekonać!

Bramy zamku strzegł strażnik. Wyprostował się na widok Hulka, ale w żaden sposób nie mógł mu dorównać wzrostem. - Czego tu szukasz, niewolniku?

- Nazywam się Hulk, zwolniony ze służby z powodu wygaśnięcia prawa pobytu. Chciałbym się widzieć z Blulette.

Strażnik odwrócił się do mikrofonu.

- Niewolnik z wiadomością dla Blulette.

- Dziękuję, zaraz schodzę. - To był głos Błękitnej Pani. Stile poczuł dreszcz, choć wiedział, że jest to tylko jej sobowtór. Oczywiście, musiała mieć taki sam głos; była przecież taka sama we wszystkim, poza statusem społecznym.

- Nie jestem pewien, czy powinienem to oglądać - powiedział cicho. - To nie ma ze mną nic wspólnego.

- Strzelec uważał inaczej - przypomniała mu Sheen. - Usiądź i przyjrzyj się, jak ktoś zabawia się z twoją ukochaną. Dobrze ci to zrobi.

Skąd tyle goryczy w robocie? Ale pewnie miała rację. On tak z nią postąpił i teraz powinien przekonać się, co się wtedy czuje.

Pojawiła się po chwili oczekiwania. Bo była rzeczywiście Błękitna Pani. Zniknęło tylko ubranie, jakie miała na Phaze - była naga jak przystało niewolnicy. Ale poza tym nie zmieniła się.

- Jest taka piękna - rzekła Sheen. - Rozumiem teraz, dlaczego ci się spodobała.

- Ta należy do Hulka - odparł Stile. Trudno mu było w to uwierzyć. Dobrze, że to tylko hologram. Bluette i Błękitna Pani... rozumiał, że muszą być takie same. Ale zobaczyć to na własne oczy... bardzo go to poruszyło.

- Jaką przynosisz wiadomość? - spytała Bluette.

Oczywiście nie posługiwała się archaiczną formą języka. Drażniło to uszy Stile'a, ale pomogło oddzielić ją od kobiety, którą kochał.

- Pani, to bardzo skomplikowane - zaczął Hulk. - Chciałbym, byś pozwoliła mi ze sobą porozmawiać.

- Pani?

- Pomyłka - powiedział szybko Hulk. - Niewłaściwy termin. - Tyle miał problemów z nauczeniem się języka Phaze, że i teraz miał trudności. Stile'a spotkałoby to samo.

Bluette wzruszyła ramionami.

- Do powrotu pracodawcy nie mam wielu zajęć, lecz nie chciałabym przyjmować skomplikowanych poleceń od nieznajomego.

- Rozumiem, pani - odparł Hulk. - Wiem, że jestem tu intruzem. A jednak mógłbym przekazać ci wielce interesującą wieść. Otóż znam kogoś bardzo do ciebie podobnego, łaskawą i wielką damę, będącą jako słońce między planetami...

- Dosyć! - wykrzyknęła gniewnie. - Jestem niewolnicą, tak jak ty. Czy chcesz narobić mi kłopotów?

Odpowiedź Hulka zagłuszona została przez nagłe pojawienie się rakiety. Pocisk zboczył ze swej trajektorii i gwałtownie zbliżał się ku kopule. Oboje umilkli i śledzili go wzrokiem.

- Pani, on uderzy w nas! - krzyknął Hulk.

Rzucił się, schwycił kobietę w ramiona i wyniósł z miejsca spodziewanego upadku rakiety.

Nie pomylił się. Rakieta przerwała pole siłowe kopuły i wybuchła, a fala żaru uderzyła w ścianę zamku. Ze środka wydostała się żółtawa chmura i zaczęła się szybko rozprzestrzeniać.

- Atak gazowy! - zawołał Hulk. - Prędko, do kolejki!

- To niedopuszczalne! - wykrzyknęła Blulette, gdy postawił ją na ziemię, ale posłusznie pobiegła w kierunku wagonika.

Nic im to nie dało. Wybuch zniszczył źródło zasilania i kolejka nie działała.

- Biegnijmy na zewnątrz! - polecił Hulk. - Gaz tam się nie przedostanie.

Lecz gaz rozprzestrzenił się już po całej kopule. Mimo że Hulk i Blulette biegnąc powstrzymywali oddech, upadli, gdy tylko gaz zetknął się z ich skórą.

- Gaz paralizujący - mruknął Stile. - Działa prawie natychmiast. Nie musi dostać się do układu oddechowego. Używa się go jako środka znieczulającego dla zwierząt. - Zmarszczył brwi. - Dziwne, że taki ładunek rozbił się właśnie tam i w tym momencie. Rakiety towarowe rzadko mylą tor.

- To nie był przypadek - odparła Sheen. - To pułapka.

Stile kiwnął głową.

- Pułapka na mnie, jak sądzę. Oczekiwano, że to ja przyjdę po Błękitną Panią.

- To znaczy, że twój wróg wie, iż żyjesz w obu światach. I rozumie też, że nie mógłbyś zabrać ze sobą do zamku jedynej osoby, która pomogłaby ci w podobnej sytuacji, czyli mnie.

Znów ta na poły gorzka aluzja do uczuć Sheen. Miała rację: gdyby Stile poszedł sam po Blulette, nie mógłby wziąć ze sobą Sheen. Byłoby to niepotrzebne okrucieństwo. A więc zabrakłoby u jego boku odpornego na gaz pomocnika, który wydostałby ich z pułapki. - Tak, mój wróg jest pewnie Adeptem, swobodnie przekraczającym zasłonę, lecz nie jest obywatelem, więc zamach miał wyglądać na zwykły wypadek, tak by nie zainteresował nikogo.

Wróciła mu zdolność odczuwania. Nie podobało mu się, że jest celem zabójcy; napawało go to lękiem i wywoływało w nim niemiłe uczucie niepewności i gniewu. Teraz jednak ataki objęły również Blulette - odbicie Błękitnej Pani. To denerwowało go jeszcze bardziej. Jak śmieli nawet jej dotknąć!

A Hulk... Hulk nieświadomie wpadł w zastawioną na Stile'a pułapkę. Jego krew - jeśli do tego dojdzie - spadnie na głowę Stile'a. Jakież nieszczęście ściągnął na przyjaciela,

pragnąc oddać mu przysługę?

Hologram przedstawiał kolejne sceny. Ze strzaskanej rakiety wyszły roboty kształtem i kolorem podobne do ludzi, lecz prawdopodobnie nie tak skomplikowane jak Sheen. Podeszły do Hulka i Blulette i nałożyły im maski tlenowe. Potem podniosły ich bez wysiłku i przetransportowały przez pole siłowe na pustynną powierzchnię Protonu. Tu kamery holograficzne zgubiły ich, lecz ślad został podjęty przez przekaźniki satelitarne, które zaczęły im towarzyszyć. Doprawdy, możliwości systemów śledczych Protonu były zdumiewające!

Roboty bez kłopotów niosły swój ciężar po piasku w kierunku południowych gór. W końcu weszły tunelem do nieczynnej kopalni znajdującej się u podnóża Gór Purpurowych, które tu wcale nie były czerwone. Znowu pojawił się obraz holograficzny; wyglądało na to, że nawet tak opuszczone miejsca wyposażone były w działające kamery.

Wreszcie Hulk i Blulette znaleźli się w szczelnej komorze, głęboko na dnie kopalni. Komora stanowiła miniaturową kopułę z pola siłowego. Wyposażona była w nieczynne urządzenia barowe i przekaźnik hologramów. Miejsce to mogło być sympatyczną samotnią... albo więzieniem.

Roboty rozpyliły w powietrzu jakiś gaz, prawdopodobnie neutralizator, zdjęły więźniom maski, schowały je w skrytkach w tułowiu i uruchomiły generator tlenu. Następnie przeszły przez pole siłowe i zniknęły z pola widzenia kamery. Nagranie dotyczyło Hulka, a nie zbłąkanych robotów. Dosłownie rzecz biorąc, kryło się za tym bezosobowe spojrzenie maszyny; maszyny nie interesowały się takimi drobiazgami jak życie niewolników czy popełniane właśnie przestępstwo.

Hulk, który był z natury silny, pierwszy odzyskał przytomność. Uchylił powieki w tym akurat momencie, gdy roboty opuszczały komorę. Z widocznym wysiłkiem wstał i zataczając się podszedł do Blulette. - Pani, jak się czujesz? - spytał, podnosząc ją z niezwykłą delikatnością.

Blulette nie czuła się dobrze fizycznie, ale zachowała pełnię władz umysłowych. Szybko otrząsnęła się spod wpływu trującego gazu.

- Znowu używasz tych archaicznych zwrotów. Co one znaczą?

- Z przyjemnością objaśnię cię, pani. Pozwól jednak, że najpierw zorientuję się w sytuacji. Wygląda na to, że zostaliśmy uwięzieni.

- A kto mógłby tego chcieć? Mój pracodawca jest człowiekiem miłującym pokój, mistrzem wiedzy tajemnej. Z rzadka tylko odwiedza swój zamek, a moim zadaniem jest utrzymywanie go w porządku, tak by w razie jego przyjazdu robił dobre wrażenie. Całymi miesiącami zamek należy tylko do mnie, lecz jestem tylko niewolnicą i nie stanę się nikim

więcej.

- Jesteś kimś więcej, pani. Kimś bardzo ważnym. Obawiam się, że to moje przybycie spowodowało ten atak. - Hulk zajął się badaniem otoczenia.

Zaczerpnął powietrza, wstrzymał oddech i przekroczył pole siłowe, ograniczające ich więzienie. Znalazł tylko jeden korytarz, ciągnący się jakby w nieskończoność. Był to korytarz dostawczy, wypalony wiele lat temu przez laserowe wiertła, które pozostawiły po sobie gładkie, chwilami wypolerowane ściany. Przypominały one norę Robaka z Phaze. Może nie był to przypadek, a jeszcze jedna paralela pomiędzy światami. Czynne kopalnie były, dla wygody, uszczelniane, a ściany korytarzy wypalane, gdyż formacje skalne, w których je żłobiono, przepuszczały powietrze. Ta kopalnia była nieczynna i ciśnienie w korytarzu nie było większe niż na powierzchni Protonu. Hulk wrócił do komory, a potem sprawdził jej drugi koniec. To samo.

- Te korytarze mogą ciągnąć się kilometrami - powiedział. - Bez masek tlenowych nie uda się nam wrócić piechotą do kopuły.

- Oczywiście - zgodziła się Bluette. - Jeśli jednak porywacze chcieli nas zabić, to czemu nie zrobili tego od razu?

- Widzę, że jest tu przekaźnik holograficzny. Bez wątplenia porywacze będą mogli się z nami porozumiewać.

- Na pewno - zgodziła się. - Ale wciąż nie rozumiem, po co nas tu zamknięto.

Hulk zbadał przekaźnik.

- Mógłbym go zepsuć, ale chyba to nie ma sensu. Musimy poczekać. Przykro mi, że ściągnąłem to na ciebie, ale nie mogłem przewidzieć, co się stanie. Ale może jeszcze wszystko obróci się na dobre.

Bluette zmarszczyła brwi, dokładnie tak samo, jak zrobiłaby to Błękitna Pani, a potem odrzuciła do tyłu złociste włosy gestem wyrażającym jednocześnie przyzwolenie i wyzwanie. Była doskonale piękna.

- Do tej pory niezbyt mnie interesowało, co masz do powiedzenia. Teraz moja ciekawość wzrosła. Co sądzisz o naszej sytuacji?

Hulk oparł się o występ skalny naprzeciw dziewczyny.

- Z przyjemnością, pani. Moim zdaniem ta pułapka zastawiona została na kogoś innego - na mojego przyjaciela. Założono zapewne, że on sam przybędzie po ciebie, a roboty nie były na tyle inteligentne, by zorientować się w zamianie. Kiedy obywatel, który to zorganizował, sprawdzi rezultaty swej akcji, od razu zorientuje się w pomyłce. I nie będzie zadowolony.

- Kiedy mój pracodawca dowie się, co się stało w jego zamku, też nie będzie

zachwycony - zauważyła Blurette. - Obawiam się jednak, że nie nastąpi to rychło. - Spojrzała mu prosto w oczy. - Opowiedz mi wszystko.

- Pani, jestem mistrzem w grze. Moje prawo pobytu na Protonie wygasa w tym roku, więc miałem nadzieję zakwalifikować się do Turnieju. Uniemożliwił mi to gracz lepszy ode mnie, ale w zamian pokazał mi alternatywny świat... Pani, trudno będzie ci w to uwierzyć, więc muszę to trochę uprościć...

- Staraj się tylko nie ubarwiać.

- Nie możesz sobie nawet wyobrazić, jak niezwykła jest ta opowieść. Nie chcę, żebyś zwątpiła w moje zdrowe zmysły.

- Zaryzykuj. Powiedz mi prawdę i przełknij gorzką pigułkę - odparła z uśmiechem.

- Nie jestem w stanie ci odmówić - powiedział ujęty, jak wszyscy, jej sposobem bycia. Uśmiech Pani stanowił najcenniejszy skarb. - Muszę cię ostrzec, że przybyłem, by cię zdobyć. Nie chciałbym cię obrazić i wolałbym zrobić to w inny sposób...

- Nie uwodzono mnie od lat - zapewniła go. - A ty jesteś przystojny.

- Zachowaj swój sąd na później. Kto wie, może ściągnąłem na ciebie nieszczęście.

- Dobrze - powiedziała, lecz spoglądała na niego z lekko tylko skrywaną ciekawością; żaden mężczyzna nie mógł zrobić większego wrażenia niż Hulk, a jego zainteresowanie stanowiło nie lada komplement. Fizyczna uroda nie imponuje kobietom tak bardzo jak mężczyznom, ale kobiety nie pozostają na nią całkowicie obojętne.

- Kobietę podobną do ciebie spotkałem w alternatywnym świecie - ciągnął Hulk - który geograficznie przypomina Proton, ale ma prawdziwą atmosferę, wodę, roślinność i wiele gatunków istot żywych. Idealny świat, gdyby nie... - zamilkł na chwilę. - Pamiętaj, ostrzegłem. W tym świecie, nazywanym Phaze, nauka jest bezradna, ale działa magia.

- Magia działa - powtórzyła, chcąc wprawić go w dobry humor.

- Tak. Zabrał mnie do krainy, w której żyją jednorożce, wilkołaki i wampiry. Rzucił kilka zaklęć i został Błękitnym Adeptem, jednym z głównych magów tego świata. Ale wcześniej zabił go inny Adept, więc służyłem mu za straż przyboczną i chroniłem jego żonę, to znaczy ciebie.

- Masz rację - rzekła poważnie Blurette. - Trudno w to uwierzyć. Doceniam twoją wyobraźnię i jestem pewna, że celujesz w grze w kłamstwa. Czuję się też zaszczycona, że uczyniłeś mnie bohaterką tej fantazji. Ale jak się to ma do naszego porwania?

- Wrogі Adept prawdopodobnie też może przekraczać zasłonę - ciągnął niezręcznie Hulk. - Działa więc w obu światach. Nie mogąc pozbyć się Błękitnego Adepta na Phaze, zaczął zastawiać na niego pułapki na Protonie. Na pewno sądził, że Błękitny Adept przyjdzie

po ciebie osobiście, więc zorganizował to tak, by każdy, kto pojawi się na zamku, z wyjątkiem twojego pracodawcy i jego niewolników, został porwany. Ale w pułapkę wpadł niewłaściwy człowiek.

- To czemu zalecasz się do żony swego przyjaciela? - spytała czujnie Blulette. Nie należała do istot myślących powoli. Stile już to wcześniej zauważył, mając do czynienia z jej sobowtórem.

- Większość ludzi istnieje w obu światach. Kiedy jeden z sobowtórów umiera, drugi może przejść przez zasłonę, zajmując jego miejsce. Kiedy zginął Błękitny Adept, jego sobowtór z Protonu przeszedł na Phaze i starał się o względy wdowy - Błękitnej Pani. Uznał jednak, że należałoby też ubiegać się o względy jej protońskiego sobowtóra, czyli twoje, Blulette.

- I pozwolił, byś robił to ty, skoro jestem mu niepotrzebna?

- Nie ma niepotrzebnych diamentów - stwierdził Hulk. - Każda cenna rzecz znajdzie swego amatora. Mój przyjaciel jest człowiekiem szczodrym, pani. Kocha cię, lecz weźmie tylko tę z was, którą spotkał jako pierwszą. Jego zainteresowanie twoją osobą nie wynika, moim zdaniem, tylko z waszego podobieństwa.

- Mam nadzieję. A co ty na to? Wyglądasz na człowieka, który może przebierać wśród kobiet. Po co przyjmujesz to, co twój przyjaciel odrzuca? Czy jest on potężniejszy nawet od ciebie?

- W pewnym sensie, pani. Wydaje mi się też, że jesteśmy podobni do siebie w wielu sprawach, włączając w to nasze upodobanie do tych samych kobiet. Lepiej nie potrafię tego wyjaśnić.

- Myślę, że możesz. Czy byłeś blisko z jego żoną?

- Strzegłem jej przed niebezpieczeństwem w czasie jego nieobecności. Poznałem ją dobrze; wszystkie jej ukryte zalety. Jestem człowiekiem honoru: gdy zrozumiałem, co się dzieje, wyjechałem.

- Ale co masz na myśli? - spytała Blulette. - Gdybym była żoną jednego, nie uwodziłabym innych.

- Nigdy! - zgodził się pospiesznie Hulk. - Ty, to znaczy, Błękitna Pani... nigdy w żaden sposób... to wszystko odbyło się w mojej wyobraźni, to jednostronne uczucie... Ale w tym świecie ona nie jest żoną mego przyjaciela i nigdy nią nie będzie; on nie chce jej nawet zobaczyć. To znaczy ciebie. Wobec tego ja do ciebie przyszedłem, do jej sobowtóra.

- Powoli, kolego. Nie udało mi się jeszcze przejść ze świata twojej fantazji do świata rzeczywistego. - Przechyliła głowę. - Jak się nazywasz?

- Hulk. To ze starożytnego komiksu. Uśmiechnęła się.

- A mnie nazwano na cześć słynnego konia.

Roześmiali się czując, że zaczynają się lubić.

- No więc, Hulk - powiedziała po chwili. - Co dało ci powód, by sądzić, że któraś z moich postaci będzie gotowa ulec twoim zabiegom? Dlaczego miałabym flirtować ze strażnikiem w którymkolwiek z alternatywnych światów?

- Jak to przyjmiesz, to już twoja sprawa - Hulk rozłożył ręce - ale ja musiałem spróbować. Zawsze mnie możesz odrzucić.

- A jednak musiała być to trudna decyzja.

- Pewnie tak. - Hulk kiwnął głową. - Phaze jest pełna życia, włączając w to bakterie i wirusy. Moja naturalna odporność na tego typu choroby jest niewielka, gdyż Proton jest prawie zupełnie sterylny. - Umilkł zastanawiając się. - Tak, sterylny i to nie tylko w tym jednym aspekcie. - Machnął ręką sygnalizując, że nie ma to większego znaczenia. - Zachorowałem. Błękitna Pani zorientowała się, o co chodzi. Kazała mi się położyć i dotknęła mnie, a jej dłonie miały w sobie leczniczą moc, która przeniknęła mnie na wylot.

- O, tak - zgodził się Stile, odrywając się na chwilę od magii holograficznej wizji. - Ja też poznałem dotyk tych dłoni.

- Nie jesteś zazdrosny? - spytała Sheen. - Interesuje mnie to tylko z punktu widzenia robota.

- Co oznacza, że to ty jesteś zazdrosna - stwierdził Stile. - Uważasz, że Błękitna Pani jest zbyt piękna.

- Gdyby chodziło tylko o urodę, to miałabym jakieś szansę. Uważam, że poświęcasz jej zbyt wiele uwagi.

- Ale nie na Protonie. Hulk odstąpił mi ją na Phaze; ja robię dla niego to samo na Protonie. Dla żadnego z nas nie była to łatwa decyzja. Tak, jestem zazdrosny. Ciężko mi patrzeć, jak zaleca się do niej inny mężczyzna.

- A jeszcze ciężiej, gdy ona patrzy na to przychylnie. Dobrze ci tak.

- Dobrze mi tak - zgodził się Stile.

- Nie oddaję tak łatwo ani mego ciała, ani serca - tłumaczyła Blurette Hulkowi. Kiedy Sheen i Stile rozmawiali, holograficzna scena zamarała; to Sheen dotknęła któregoś z przycisków. - Jesteś śmiesznym człowiekiem opowiadającym bajki. Ale nie ma żadnych wątpliwości, że zostaliśmy uwięzieni i na pewno ktoś będzie nas przesłuchiwał. Czy opowiesz tę samą historyjkę porywaczom?

- Nie wiem jeszcze. Nie jestem tym, którego miano porwać. - Hulk zastanawiał się przez chwilę. - Pani, obawiam się, że nic dobrego nie może nas czekać, gdy pomyłka zostanie zauważona. Byłoby lepiej, gdyby porywacz nie zdawał sobie z tego sprawy.

- Dlaczego?

- Myślę, że porywacz chce czegoś więcej niż tylko śmierci mego przyjaciela. W przeciwnym wypadku roboty nie przyniosłyby nas tu, lecz zabiły na miejscu. Może potrzebne mu są informacje. A skoro porwanie jest przestępstwem, nawet jeśli dotyczy niewolnika, porywacz zabije mnie, bym nie mógł opowiedzieć tej historii mojemu pracodawcy.

- Aha. Ja też nie będę nadawać się więcej na przynętę. Ale nie wiem, co możemy zrobić. Jeśli zepsujemy holoprzekaźnik, porywacz zaraz o tym się dowie i przyśle... Mówiłeś, że to były roboty.

- Kiedy odzyskiwałem przytomność, zobaczyłem dwa.

- I to one mają maski tlenowe, w których nas tu przyniosły - stwierdziła Blurette, która nagle zrozumiała, o co tu chodzi. - Co proponujesz, Hulk?

- Po pierwsze, muszę zniknąć z oczu kamery. Po drugie, musisz nazywać mnie Stile i opisać jako bardzo niskiego mężczyznę, niższego niż ty. Historia pozostaje ta sama... Zgodnie z tym, co on ci powiedział, przyszedł, żeby cię wyratować, i wpadł w pułapkę.

- Rozumiem - powiedziała Blurette. - Przyjmując, że twoja opowieść jest prawdziwa, to będzie ona wiarygodna dla kogoś ze świata alternatywnego. Ale jak...

- Schowam się w tunelu, poza polem siłowym. Jeżeli wprowadzę się w trans i zmniejszę do minimum aktywność, to mogę przez pewien czas przetrwać w zewnętrznej atmosferze. A ty postarasz się zwabić roboty w poblizze pola siłowego i sama uciekniesz. To nie będzie łatwe.

- Wiem. - Dobrze ukrywała napięcie. Należała, jak to wiedział Stile, do tego typu kobiet, które nie załamują się w trudnych sytuacjach. - Przykro mi, że spotkaliśmy się w taki sposób; jesteś świetnym facetem.

- Dziękuję. Powtórz to, gdy nie będę musiał ratować nam życia, a zobaczymy, dokąd nas to zaprowadzi. - Hulk przeszedł przez pole siłowe.

Kamera usiłowała nie stracić go z pola widzenia, ale udało mu się uniknąć jej

obiektywu i zniknąć z widoku. Kamera podjęła więc obserwację drugiego z celów, kobiety.

Przez chwilę nic nie było widać, co miało zamarkować upływ czasu. Potem obraz z tunelu powrócił i w hologramie zawierał się drugi hologram. Stile nie rozumiał, jak przekaźnik może pokazywać sam siebie, ale był to tylko jeden z pomniejszych cudów protońskiej techniki.

Obraz pokazywał kobietę. Była wysoka, o posągowej sylwetce, z włosami ukrytymi pod małą czapczką. I była naga: niewolnica, a nie obywatelka. Patrzyła prosto na Bluette. - Gdzie on jest? - spytała władczo.

- Kim jesteś? - Bluette odpowiedziała pytaniem na pytanie. - Dlaczego to zrobiłaś?
- Nie powiedział ci? A więc pozostań w nieświadomości. Spełniłaś już swoją funkcję.
- Mój pracodawca będzie...
- To mnie nie interesuje.

W tunelu pojawiły się dwa roboty.

- Niech cierpi, dopóki nie pojawi się jej kochanek - rozkazała kobieta.

Człękkształtne roboty pozbawione zostały cech szczególnych; twarze zastępowały im nieruchome maski. Ich siła była siłą maszyn. Nie potrafiły mówić, poruszały się trochę sztywno; nie należały do robotów o wysokiej jakości. Niewolnik miał prawo posiadać takie maszyny, w przeciwieństwie do doskonalszych robotów takich jak Sheen, które mogły być własnością tylko obywatela. Jednak takie prymitywne modele były wręcz stworzone do tego typu zadań. Robot podobny do Sheen miałby zbyt wiele zahamowań.

Stile sprężył się do ataku. Sama myśl, że ktoś mógłby skrzywdzić Panią, wydała mu się przerażająca. Ale to był jedynie zapis holograficzny; wszystko już się stało. Mógł tylko patrzeć.

- Dziwne, że porywaczka nie sfilmowała poprzednich scen - powiedział. - Zdobyłaby wszystkie informacje bez kłopotów. Może podróżujący między światami nie mają czasu na drobiazgi, a ona nie posiada możliwości dostępnych obywatelom i stąd ten prymitywizm wykonania.

Bluette widząc, co jej zagraża, rzuciła się w kierunku górnego rogu pomieszczenia. Oba

roboty błyskawicznie ruszyły, by przeciąć jej drogę. Odwróciła się na pięcie i ze zdumiewającą zręcznością pobiegła w stronę dolnego rogu komnaty, gdzie oczywiście chciała się znaleźć od początku.

Roboty zawróciły prawie jednocześnie z nią. Poruszały się może trochę niezręcznie, lecz refleks miały nieludzko dobry; opóźniony był tylko ich rozwój umysłowy. Schwytały ją, gdy była w połowie drogi, i zaciągnęły na sam środek.

- Czy Hulk nie powinien już się pokazać? - dopytywała się Sheen. - Mogą ją skrzywdzić.

- Nawet Hulk nie jest w stanie pokonać dwóch robotów - odparł Stile. - Nie są takie delikatne jak ty. Każdy z nich jest silniejszy od Hulka i nie ma żadnych ludzkich słabości. Przypomnij sobie, z jaką łatwością zanieśli Hulka i Blulette do odległej o kilka kilometrów kopalni.

- To prawda, ale jeśli będzie jeszcze czekał...

- Porywacz myśli, że to ja kryję się w tunelu. Sądzi, iż kocham Blulette i nie zniosę widoku jej cierpień. To dlatego Hulk twierdził, że pomyłka porywacza może się jeszcze okazać dla nas korzystna; nie będzie miał takich możliwości nacisku.

- Powiedział to kierowany lojalnością w stosunku do ciebie. To twoja hojność wpędziła go w pułapkę. Ale czy on też się w niej nie zakochał?

- Jeszcze nie. Będzie czekał dłużej, niż ja mógłbym wytrzymać. Może nawet za długo. - Stile zacisnął pięści.

Jeden z robotów stanął za Blulette, trzymając ją mocno za wykręcone do tyłu ręce. Drugi spojrzał na holograficzną kobietę w poszukiwaniu aprobaty.

- Żadnych trwałych uszkodzeń, na razie - zdecydowała. - Ściśnij ją za kolano. Chcę usłyszeć, jak krzyczy.

- Kolano! - wykrzyknął Stile. - To ona jest moim wrogiem!

Robot sięgnął w kierunku kolana Blulette. Dziewczyna uniosła obie nogi, oparła je na piersi robota i gwałtownie pchnęła. Choć silny, nie był bardzo ciężki; kopniak odepchnął go na kilka kroków.

- Walczy, to dobrze - stwierdziła kobieta z hologramu. - Przyda nam się to zamieszanie.

Robot trzymający Blulette nie rozluźnił chwytu. Zachwiał się tylko i cofnął o krok, lecz zaraz wrócił do równowagi.

- Nie zdołasz pokonać robota - stwierdziła porywaczka. - Zresztą nie ty jesteś mi potrzebna, lecz on. Pokrzyycz trochę i sprowadź go tu, a obiecuję, że nie będziesz cierpieć.

- Czego chcesz od Stile'a? - zapytała głośno Blulette.

- Pamiętała, żeby użyć twojego imienia - zauważyła Sheen. - Sprytna dziewczyna.

- Tym razem chcę mieć pewność, że nie żyje - odparła porywaczka. - Ale najpierw muszę się dowiedzieć, dlaczego próbował mnie zniszczyć. Adepti rzadko występują przeciwko sobie. A on nie miał powodu, by mnie atakować.

Zdziwienie Bluette było całkiem prawdziwe. - To znaczy, że świat magii naprawdę istnieje?

- Nigdy go nie zobaczysz. Zawołaj teraz Błękitnego Adepta.

- Żebyś go mogła torturować? Nigdy!

- Zaczynaj - poleciła porywaczka robotowi.

Robot złapał Bluette za nogę i nie puścił, mimo iż się szarpała. Objął stalowymi palcami kolano i ścisnął. Ucisk był mocny i nasilał się, jakby noga znalazła się w imadle. Bluette zaczerpnęła powietrza do krzyku, ale opanowała się i wstrzymała oddech.

- Laser na moje kolana, robot na jej - zazgrzytał zębami Stile. Bał się o dziewczynę; dusił go gniew i poczucie bezsilności. Cokolwiek miało się teraz stać, było już przeszłością.

- Och, boli! Jak strasznie boli! - Bluette upadła, łkając.

- Zawołaj go - poleciła porywaczka beznamiętnym tonem. - Krzycz. Niech przyjdzie po ciebie.

Bluette odpowiedziała wyzywającym spojrzeniem. Robot znowu zacisnął palce na jej nodze. Znowu upadła.

- Przestańcie! Zrobię wszystko!

Maszyna zatrzymała się, lecz nie zmniejszyła ucisku. Tam, gdzie jej palce uszkodziły delikatną skórę, widać było tworzące się siniaki. Bluette zaczerpnęła gwałtownie powietrza.

- Sts... - wychrypiała, próbując krzyknąć przez łyżę.

- Postaraj się lepiej - poleciła jej porywaczka bez śladu współczucia.

- On... on poszedł korytarzem - wyjąkała zupełnie załamana Bluette. - Ja... ja spróbuję. Pozwólcie mi podejść bliżej.

- Ale z ciebie mazgaj - zakpiła ostro kobieta.

- Ona wcale się nie załamała. Dobrze wie, co robi. - Stile uśmiechnął się ponuro.

- Robot nie ma żadnej szansy z kobietą - zgodziła się Sheen.

Porywaczka podjęła decyzję.

- Zabierzcie ją do granicy pola siłowego. Wystawcie jej głowę na zewnątrz i trzymajcie dotąd, aż nadejdzie mężczyzna. Bluette cofnęła się o krok. - Nie...

- Zawołasz go albo powoli się udusisz - obiecała jej porywaczka.

Robot zaciągnął szarpiącą się Bluette do granicy pola. Złapał ją za włosy i wysunął jej

głowę na zewnątrz.

Matowa płaszczyzna pola siłowego została rozerwana ciałem jakiegoś mężczyzny. Przybysz złapał jednego z robotów za nogi, uniósł w powietrze aż nad głowę i uderzył nim mocno o ścianę. Błękitny błysk mógł oznaczać tylko zwarcie obwodów; robot wypadł z gry.

Hulk błyskawicznie odwrócił się ku drugiej z maszyn. Ale robot nie wypuszczał Bluette z rąk, tak że znalazła się pomiędzy nim a mężczyzną.

Bez chwili namysłu Hulk wrócił do pierwszego robota, podniósł go znowu za nogi i jeszcze raz uderzył nim o ścianę. Skoczył na jego korpus, złapał za jedno z ramion i zaczął je szarpać. Widać było, jak pracują mu mięśnie... ramię robota odpadło; ciągnęły się za nim jakieś druty. Hulk oderwał je do końca.

- On jest po prostu piękny - stwierdziła Sheen.

- Dostali więcej, niż prosili - zgodził się Stile z ponurą satysfakcją. - Hulk to mistrz w zapasach wśród niewolników powyżej trzydziestki, jest też świetny w wolnej amerykance. Teraz ma broń i tylko jednego robota do zniszczenia. Jego szansę rosna.

- Wypuść ją, blaszanko. Nie możesz walczyć i jednocześnie trzymać dziewczynę.

Robot cofnął się, ale nie zwalniał chwytu. - Co to znaczy! - wrzasnęła porywaczka. - Wcale nie jesteś Błękitnym Adeptem.

- Nigdy tak nie twierdziłem - odparł Hulk, obnażając zęby w agresywnym uśmiechu. - Jestem jego strażnikiem. - Zamachnął się maczugą na robota i trafił go w tył głowy. Robot wypuścił Bluette, która odbiegła utykając.

- Zabij ich oboje! - rozkazała rozwścieczona kobieta.

Hulk patrzył na robota, ale mówił do Bluette.

- Podejdź do ciała. Otwórz klatkę piersiową. Wyjmij maskę tlenową, nałóż ją i uciekaj. Ja zajmę się tym tutaj.

- Nie mogę cię zostawić! - jęknęła Bluette.

- Musisz się stąd oddalić, zanim wiedźma nie wezwie posiłków. Uciekaj do swego pracodawcy; niech wyśle mi pomoc. Nie pozwól, żeby robot wziął cię na zakładnika. Potrzebuję przestrzeni, żeby móc z nim walczyć.

- Dobrze - odparła, szybko nakładając maskę. - Jesteś strasznie dzielny i myślę, że mogłabym cię pokochać. Jeśli ci się uda, idź za mną. Sprowadzę pomoc. - Podeszła do pola siłowego.

- Zatrzymaj ją! - wrzasnęła porywaczka.

Robot rzucił się na Bluette, a Hulk na robota, uderzając go gwałtownie w głowę. Ale robot zdążył wysunąć ramię, by odparować cios, i szarpał się teraz z Hulkiem.

Bluette, kulejąc, uciekła. Nic tu nie mogła pomóc.

Robot próbował biec za nią, lecz Hulk, korzystając ze swoich zapaśniczych umiejętności, przywarł do niego.

- Najpierw zajmij się mężczyzną - zdecydowała kobieta. - Zabij go, a potem łap dziewczynę!

Robot, otrzymawszy tak jednoznaczne zadanie, skupił na nim swoje wszystkie siły. Nie miał żadnych słabych punktów, typowych dla człowieka; nie można było go udusić, nic nie dało kopnięcie w pachwinę lub inne wrażliwe u człowieka miejsce. Był w tej walce silniejszym z przeciwników; nie krępowały go też żadne ludzkie skrupuły. Wbił palce w twarz Hulka, zaciskając je jak stalowe imadło, jednocześnie wyłupiając mu oczy i rozrywając chrząstkę nosa.

Hulk walił na oślep maczugą, lecz nie mógł się dobrze zamachnąć. Jego twarz zamieniła się w pokrwawioną, ślepą maskę. „Przypominało to”, pomyślał z paniką Stile, „walkę z drewnianym goleniem”. Robota nie można było trwale uszkodzić; nie można też było oczekiwać litości. Ciosy

Hulka wgniotły metal w kilku miejscach, lecz nie udało mu się doprowadzić do zwarcia. Uczynił jeszcze jeden, desperacki wysiłek, unosząc maszynę w powietrze w niedźwiedzim uścisku i waląc nią o ścianę; chciał, by zginęli razem.

Robot jednak nie został zniszczony. Zacisnął rękę na głowie Hulka, objął go mocno nogami i przekręcił głowę. Rozległ się głuchy trzask.

- O, Boże - jęknął zrozpaczony Stile.

- Zostaw to. Idź za dziewczynę - poleciała porywaczka - a ja wyłączę pole.

Robot oderwał się od ciała Hulka i potoczył w kierunku, w którym zniknęła Bluette. Niezłe ucierpiał w walce; wcale nie poruszał się szybciej niż przedtem dziewczyna. Kobieta wyłączyła pole siłowe. Powietrze uciekało z komory.

Jeśli Hulk jeszcze żył, to groziła mu śmierć przez uduszenie. Ze złamanym karkiem i bez powietrza - jego sytuacja była beznadziejna.

Hologram zniknął. Zapis dobiegł końca.

Rozdział 8

POSZUKIWANIA

Stile przekroczył zasłonę i znalazł się na Phaze w dobrze mu znanym punkcie, na południe od Błękitnego Królestwa. Poczł nagły przyplływ zdecydowania. Otworzył torbę, wyjął z niej magiczny flet i grał na nim - długo i z zapamiętaniem. Wraz z rozchodzącymi się platynowymi dźwiękami, zbierała się wokół niego moc. Przez chwilę wydawało mu się, że góra zadrżała, ale okazało się to złudzeniem. To był najlepszy instrument, na jakim przyszło mu kiedykolwiek grać, jednak nie będzie go mógł zatrzymać. Kiedy tylko znajdzie człowieka grającego na nim lepiej niż on sam...

Teraz coś innego zajmowało jego uwagę. Grał, a słowa same do niego przychodziły. Po chwili odłożył instrument i dziko zawołał:

- Mordercy mego przyjaciela, zabójcy mego sobowtóra, ja, Stile, Błękitny Adept, przysięgam wam zgubę.

Magia rozlała się dookoła sprawiając, że zadrżała ziemia, drzewa zakołysały się, a sklepienie niebieskie obróciło się. Igły sosnowe zajęły się płomieniem. Echo, odbite od Gór Purpurowych, grzmiało głosem potwora: - ... zgubę... zgubę... zgubę... - Błyskawica przecięła niebo i dało się słyszeć pomruk grzmotu. Zaskoczony gryf wzniósł się w powietrze i umknął ku zachodowi. Na ziemię spadła krótka ulewa, gasząc płomienie lokalnego pożaru i pozostawiając mokry popiół. Przysięga Stile'a zatrzęsa całym firmamentem, lecz nie mogła wrócić życia jego przyjacielowi. Stile oparł się o osmalone drzewo i zapłakał.

Neysa i Błękitna Pani pełne nadziei czekały na niego w zamku. Kiedy go zobaczyły, zrozumiały, że stało się coś niedobrego.

- Hulk nie żyje - poinformował je bez ogródek Stile. - Zginął zamiast mnie z ręki mojego wroga. Poprzysięgłem mu pomstę.

- Ta nagła burza na południu - przypomniała sobie Pani. - Twoja przysięga! Byłam pewna, że to nie jest naturalne zjawisko.

- To była moja przysięga - potwierdził Stile. Szybko przekazał im szczegóły tragedii. - Nie wiem, czy twój sobowtór, pani, przeżył - zakończył. - Obawiam się, że niechcący sprowadziłem na Blurette nieszczęście. Nie powinienem był sugerować Hulkowi...

- Nie - przerwała Pani. Wymieniły z Neysą spojrzenia; dziewczyna-jednorożec wygrała na rogu nutę zgody i opuściła komnatę.

Stile poczuł, jak zwiększa się przytłaczający go ciężar.

- Ma rację, czyniąc mi wyrzuty - stwierdził. - Za moje błędy zapłacili inni.

- Neysa nie czyni ci wyrzutów - zaprotestowała Pani. - Rozumie, że chciałeś wyświadczyć przyjacielowi przysługę. Winien jest tylko twój wróg...

- Powinienem być przewidzieć...

- Tak jak mój pan powinien był przewidzieć niebezpieczeństwo grożące mu z ręki tego samego wroga. Tak jak ja powinnam była to przewidzieć i ostrzec go. Nikt z nas nie jest bez winy. - Podeszła do niego i położyła mu ręce na ramionach; Stile poczuł ich kojącą moc. - Wszyscy mieliśmy dobre chęci i grzeszyliśmy naiwnością. Nie chcieliśmy uwierzyć, że zło na nas czyha.

- A ty, pani - zaczął Stile, nie patrząc jej w oczy. - Wciągnąłem twego sobowtóra we wszystkie te kłopoty. Nie miałem prawa...

- Oddać ją innemu mężczyźnie? Ona sama potrafi za siebie decydować! Twój przyjaciel jest dobrym człowiekiem; myślę, że mogłaby go z czasem polubić, jeśli nie jest już zaangażowana. Z pewnością sama potrafi wybrać w stosownym, jej zdaniem, momencie.

Błękitna Pani musiała przecież o tym wiedzieć.

- A więc nie masz mi za złe, że nie...

- Że nie poszedłeś sam starać się o jej względy i nie okryłeś Królestwa powtórna żałobą? Nie miałabym ci za złe, nawet gdyby niebezpieczeństwo było zerowe. Skoro sama zrezygnowałam z twoich względów, to dlaczego miałabym czuć zazdrość na myśl, że interesujesz się moim sobowtorem? Sądzę zresztą, że zdobyłbyś jej sympatię.

- Ależ ja jej nie próbowałem uwodzić! - zaprotestował Stile, spoglądając w rozterce na jej piękną twarz.

- Czyżbym powinna czuć się urażona tym, że pragniesz wyłącznie mnie i nie zadowolisz się moim sobowtorem z innego świata?

- Twoja ocena jest niezwykle precyzyjna, pani.

- Z powodu tej cechy wybrał mnie, jak sądzę, twój sobowtór - odparła z uśmiechem, w którym krył się cień smutku. - Bez niej nie potrafiłabym utrzymać Królestwa podczas jego nieobecności. To ona, a nie uroda czy dowcip, sprawiła, że Wyrocznia uznała mnie za idealną żonę dla Błękitnego Adepta.

- Masz również wiele innych zalet - stwierdził Stile. - Proszę cię, pani, pozwól mi teraz odejść, zanim sytuacja nie stanie się kłopotliwa dla nas obojga...

Nie pozwoliła mu.

- Bardzo jesteś podobny do mego pana. Dobrze wiem, co zrobiłbyś, gdybym była ci przychylna.

- Więc wiesz też dobrze, że nie pozwolę, by się mną bawiono.

- Jesteś teraz Błękitnym Adeptem. Dowiodłeś swojej potęgi. Wolę, byś został tu i nie narażał życia, szukając zemsty.

- Przysięgłem - odparł sztywno Stile.

- Czyż nie znam siły twojej przysięgi? Lecz różne są sposoby jej spełnienia, a to miejsce jest twoją twierdzą. Zmusz wroga, by przyszedł po ciebie tu, gdzie twoja muzyka ma największą moc; nie ryzykuj, udając się do wrogich królestw.

- Słowa twe brzmią rozsądnie - odpowiedział Stile, nie potrafiąc nie myśleć o jej bliskości, o dłoniach spoczywających na jego ramionach. Swoje ręce przyciskał mocno do ciała - lecz obawiam się, że głupotą byłoby czekać biernie na atak. Mój wróg zdążył już przecież zagrozić memu życiu w obu światach, zabił mego przyjaciela i prawdopodobnie również twojego sobowtóra. Nie chcę, by znowu inni cierpieli za mnie. Wolę przejąć inicjatywę i śmiało uczynić to, co powinienem. Dopiero potem gotów jestem osiąść w Błękitnym Królestwie.

- Lękam się, iż stracę cię tak jak jego! Tak się już prawie stało! Co będzie ze mną i Błękitnym Królestwem, gdy odejdziesz śladem mego pana?

Jej słowa poruszyły go.

- Nigdy nie narażę cię na niebezpieczeństwo, pani, jeśli tylko będzie to możliwe. Nie mogę też wziąć cię ze sobą, gdy udam się szukać zemsty.

Mocniej zacisnęła dłonie na jego ramionach.

- Ja również mam prawo do zemsty i mogę z niego skorzystać lub zrezygnować. Jeśli mnie kochasz, spełnij mą prośbę! Nie zostawiaj mnie!

- Nie mam prawa cię kochać, teraz mniej nawet niż przedtem - odparł Stile. - Wolno mi tylko ciebie strzec.

- Jesteś Błękitnym Adeptem! Masz tyle praw, ile sobie weźmiesz!

- Sumienie dyktuje mi moje prawa. Nie szukam łupów w królestwie mego sobowtóra. Gdybym tylko mógł, chętnie zwróciłbym ci twego pana.

Zacisnęła chwyt i przyciągnęła go brutalnie do siebie. Pocałowała go. Stile czuł, że serce pęka mu z tęsknoty, lecz żelazna wola sprawiła, iż nawet nie drgnął.

Potrząsnęła nim.

- Nie bądź bierny, Adepcie. To królestwo jest twoim łupem, i ja też. Bierz to, co jest twoim prawem. Nie zostawiaj mnie bez pana i jego mocy. Dam ci wszystko, czego będziesz chciał. Urodzę ci syna. Przysięgam, że żadnym słowem, gestem czy czynem nie dam nikomu podstawy do podejrzeń, iż nie kocham cię naprawdę. Tylko zostań i obroń królestwo.

Jej słowa zraniły go prawie tak mocno, jak śmierć przyjaciela. Delikatnie, lecz stanowczo uwolnił się z jej objęć.

- Jeśli przyjdzie czas, że będę mógł w to uwierzyć, wtedy może zareaguję tak, jak sobie życzysz. To przedstawienie nie pasuje do ciebie.

Uderzyła go boleśnie w twarz.

- Jak śmiesz mówić mi o scenach, skoro sam szukasz próżnej zemsty, która stać się może przyczyną twjej zguby i upadkiem tego, co pozostało jeszcze z dzieła mego pana.

- Wybacz mi moją głupotę - odparł sztywno Stile.

Cała ta sytuacja budziła w nim gniew, choć jednocześnie kochał Błękitną Panią za jej gotowość do tyłu poświęceń. Skłonna była zrobić wszystko, by ocalić pamięć i dzieło swego pana. Gotowa była poświęcić nawet dumę.

- Jestem taki, jaki jestem, i spełnię moją przysięgę najlepiej, jak potrafię.

Rozłożyła szeroko ręce i ku jego zdziwieniu uśmiechnęła się.

- Idź więc i niech towarzyszy ci moje błogosławieństwo. Pomogę ci tak, jak umiem.

Zdumiało to Stile'a.

- Skąd ta nagle zmiana, pani?

- Dbam o twoje dobro, bez względu na powody. Jeśli nie mogę ocalić cię przed twoją własną głupotą, tak jak tego pragnę, muszę pomóc ci zrobić to po twojemu. Zawsze tak było w tym królestwie.

Stile skinął głową.

- Znowu precyzyjna ocena sytuacji. Dziękuję ci, pani, za pomoc. - Odwrócił się, by odejść.

- Jesteś tak podobny do mego pana - powtórzyła, gdy był już w drzwiach. - Ani podstęp, ani logika, ani gniew nie mogły tam, gdzie sprawa dotyczyła jego honoru, skłonić go do zmiany postępowania nawet o włos.

Stile zatrzymał się.

- Cieszę się, że mnie rozumiesz.

Rzuciła w niego błękitnym pantofelkiem.

- Wcale cię nie rozumiem! Mój ukochany życiem zapłacił za ten upór... i to samo ciebie spotka!

Stile odnalazł Neyse na dziedzińcu, skubiącą wciąż odrastający spłachetek trawy.

- Musimy działać szybko, tak bym zdołał zaskoczyć wroga i nie spóźnił się na kolejny pojedynek na Protonie. Nie śmiem jednak zostawić Błękitnej Pani bez opieki, zwłaszcza gdy jest w takim nastroju. Bez Hulka...

Neysa zarząła uspakajająco i zaprowadziła go na zewnątrz. Ku zamkowi zbliżały się jakieś postaci.

- Wilkołaki! - wykrzyknął Stile.

Wkrótce przybyło ich całe stado, ciężko dysząc. Przywódca natychmiast przeistoczył się w człowieka. Był to Kurrelgyre, przyjaciel Stile'a, rozczochrany, pokryty bliznami, lecz budzący zaufanie.

- Wataha wita cię, Adeptcie.

- Potrzebuję waszej pomocy - powiedział Stile. - Ale skąd ty się o tym dowiedziałeś?

- Dowiedziałem? Nie wiemy nic - odparł wilkołak. - Przyszliśmy odwiedzić klacz, z którą wymieniliśmy przysięgę przyjaźni.

- Ależ Neysa i ja właśnie wyjeżdżamy - zaprotestował Stile.

- A więc zmuszeni jesteśmy skorzystać z gościnności królestwa, by oczekiwać jej powrotu. Czyż moja wataha mogłaby postąpić inaczej?

Stile zrozumiał. Neysa wezwała, w sobie tylko znany sposób, watahę, z której członkami wymieniła kiedyś przysięgę przyjaźni i którzy mieli teraz strzec Błękitnego Królestwa podczas nieobecności jej i Stile'a. Wrogo nastawiony Adept mógłby przedostać się przez taką ochronę, lecz nie bez trudności; któż dobrowolnie chciałby stawić czoła stadu wilkołaków? Błękitna Pani była bezpieczna na tyle, na ile to możliwe.

- Prawdziwych przyjaciół poznajemy w biedzie - rzekł z wdzięcznością Stile.

Biały Adept był kobietą, więc Stile skierował Neysę ku Białemu Królestwu. Biała nie przypominała, co prawda, kobiety z hologramu, lecz w czasie Roźcolimpiady występowała przecież w przebraniu. A więc pojedzie tam i zmusi ją, by pokazała mu swą prawdziwą postać, udowadniając w ten sposób swą winę lub niewinność. Stile, uzbrojony w Platynowy Flet, czuł, że może stawić czoła Adeptowi w jego własnym królestwie.

Neysa dobrze znała drogę. Stile spał na jej grzbiecie, odzyskując siły. Wiedział, że Neysa potrafi go obronić, a taki sposób podróżywania mniej rzucał się w oczy niż użycie magii. Jedna z panujących na Phaze zasad głosiła, by nie marnować zaklęć. Lepiej użyć przygotowanych wcześniej wierszy, by przyspieszyć w razie niebezpieczeństwa ucieczkę z

Białego Królestwa, niż marnować je teraz niepotrzebnie.

Stile pragnął towarzystwa Neysy z jednego jeszcze powodu. Był przybity absurdalną przegraną w jednej z gier Turnieju, czuł się winny brutalnej śmierci Hulka; niepokoiło go też postępowanie Błękitnej Pani, usiłującej odwieść go od celu. Potrzebował czasu, by uporządkować swe uczucia i zorientować się w nich; potrzebował też oparcia w kimś, kto go dobrze rozumie. Neysa była właśnie taką osobą. Nie musiała nic mówić ani udawać; sama jej obecność uspakajała go. Miała rację podkreślając, jak bardzo potrzebna jest mu jej pomoc; była mu niezbędna i to nie tylko z czysto fizycznych powodów. Czuł się przy niej bezpieczny, zarówno fizycznie, jak i emocjonalnie.

Podróżowali na północny wschód, kierując się ku rozległemu masywowi Białych Gór. O zachodzie dotarli do wąskiej przełęczy. Neysa ruszyła niespiesznym galopem, przedzierając się przez śniegi, podczas gdy Stile kulił się pod płaszczem. Klacz zużywała tyle energii, że z nozdrzy jej unosiły się małe płomyki, a kopyta wytapiały dziury w ubitym śniegu. Ciepło jej ciała grzało Stile'a i po chwili pochylił się do przodu, obejmując ją za szyję i kryjąc twarz w cudownie czarnej grzywie. Była jego najlepszym przyjacielem na Phaze i mógł zawsze na niej polegać. Jak dobrze znowu z nią podróżować.

Kiedy stanęli na przełęczy, przeniknął ich lodowaty wiatr. Przed nimi rozciągało się ponure, zamrożone jezioro szerokie na wiele mil. Jego powierzchnia nie była płaska; w miejscach, gdzie naprężenie rozszerzającego się lodu było największe, wypiętrzały się potrzaskane lodowe pagórki.

Pośrodku wznosił się lodowy zamek Białego Królestwa, uformowany z brył lodu, które spojono, nadtapiając je i znów zamrażając. Strzeliste przypory podtrzymywały ściany. Zamek był na swój sposób ładny, lecz zbyt ciężki i przysadzisty, by uznać go za prawdziwe dzieło sztuki.

Neysa podeszła do brzegu jeziora. Lód stanowił dla niej problem, gdyż rozgrzane kopyta zupełnie nie nadawały się do chodzenia po nim. Będzie miała kłopoty z przedostaniem się przez jezioro!

- Mogę wyczarować dla ciebie łyżwy... - zaproponował Stile bez przekonania.

Zaprzeczyła jedną zdecydowaną nutą i przemieniła się w świetlika.

- Ale tu jest za zimno dla świetlików - zaprotestował Stile. - Może i jesteś odporna na ogień, ale na pewno nie na mróz. Po kilku minutach lotu to małe owadzie ciało odmówi ci posłuszeństwa.

Przysiadła na jego ramieniu i zaświeciła; już zaczynała marznąć.

- Och - zrozumiał Stile. - Mam cię nieść. Oczywiście! Wobec tego schowam cię pod

kurtkę, gdzie będzie ci cieplej.

Zrobił to. Neysa błysnęła podziękowaniem i usadowiła się wygodniej.

Potem Stile wyczarował dla siebie solidną parę łyżew. Był świetnym łyżwiarzem; doskonalił zarówno szybkość, jak i artyzm jazdy, by móc je wykorzystywać w czasie Turnieju.

Ruszył przed siebie. Lód był mocny, a nierówność powierzchni nie stanowiła przeszkody. Poruszał się szybko, lecz płynnie ku lodowemu zamkowi, nie zawracając sobie głowy rzucaniem czaru niewidzialności. To miało być wyzwanie, a nie podstępny atak. Chciał tylko odkryć rodzaj czarów, jakich używała Biała Adeptka, i zobaczyć, jak naprawdę wygląda. Jeśli jej magia nie ma nic wspólnego z amuletami i golemami, to nie jej poszukuje. Demon z amuletu o mało co go nie zabił, gdy po raz pierwszy przekroczył zasłonę; później, kiedy użył leczniczego amuletu, wytropiło go czterech zbirów. Teraz omijał amulety z daleka, lecz te przygody dostarczyły mu bardzo obiecującej wskazówki co do tożsamości wroga.

I jeszcze jedna zagadka - kobieta, która zatrzasnęła pułapkę na Protonie, twierdziła, że to Błękitny Adept pierwszy ją zaatakował, a nie odwrotnie. Dlaczego? Przecież jego sobowtór musiał być niewinny. Nie zaatakowałby bez powodu innego Adepta, a zwłaszcza kobiety. Więc z pewnością była to jakaś pomyłka. Jednak Stile czuł się zaniepokojony, gdyż kobieta nie wiedziała nic o nagrywającej ją kamerze: mówiła to, co dyktowało jej zimne serce, szczerze, a nie dla publiczności.

Zbliżał się coraz bardziej do zamku. Przyszedł czas na przedstawienie.

- *Jesteśmy tuż tuż, za błazna przebierz mnie już* - zawołał śpiewnie. Jego ubranie przemieniło się w jaskrawy strój błazna, znacznie zresztą - co nie było przypadkowe - cieplejszy od poprzedniego odzienia.

Chodziło o to, że przeciętny Adept miał z rzeczy materialnych wszystko, czego mógłby zapragnąć lub potrzebować. Mógł wyczarować jedzenie, zbudować przy pomocy magii dowolny zamek czy inną budowlę, kupić pozostałe potrzebne mu przedmioty. Jednak w pilnie strzeżonych twierdzach czaiła się nuda i samotność. Dlatego Adepci chętnie uczestniczyli jako widzowie lub jurorzy w imprezach takich jak Rożcolimpiada. Dzięki temu mieli kontakt z innymi stworzeniami, nie tracąc przy tym swej uprzywilejowanej pozycji. Żółta Adeptka wprost kwitła, sprawując funkcję głównego sędziego z pawilonu Adeptów, upiększając się na tę okazję najlepszymi ze swych odmładzających eliksirów. Wyłączył stąd wniosek, że Adepci pragnęli korzystać z rozrywek również u siebie w domu. Nie mogli bawić się własną magią, nawet gdyby chcieli marnować w ten sposób zaklęcia. A więc Stile przybrał postać błazna i liczył, że zostanie wpuszczony do Białego Zamku bez żadnych nadzwyczajnych

środków ostrożności. Skakał, obracał się i robił piruety. Zakręcił młynka i przewrócił się naumyślnie, w bardzo wyszukany sposób. Był teraz klownem, błaznem, żartownisiem, ale tylko dopóki nie uda mu się stanąć przed Białą Adeptką i poznać prawdziwą naturę jej magii.

Podjechał bliżej zamku. Jak dotąd wszystko szło dobrze. Nikt nie rzucił w niego wrogim zaklęciem.

Zamek otoczony był wolną od lodu fosą; ta przeszkoda mogła zatrzymać każdego łyżwiarza. Stile zatrzymał się.

- Hej! - zawołał. - Czy wpuścicie błazna?

Strażnik był człowiekiem. Wyglądało na to, że pewna liczba okolicznych mieszkańców znajdowała zatrudnienie w zamkach Adeptów.

- Czego chcesz?

- Zabawić... za dobrą opłatą. Rozejrzeć się za informacjami.

- Szpieg?

- Oczywiście.

Strażnik zniżył głos.

- Doprawdy musisz być głupcem, skoro szukasz wejścia do tego królestwa. Adept jest w złym humorze. Odejdź, dopóki masz całe kości.

- Dzięki za ostrzeżenie - odparł Stile - lecz przychodzę z daleka i muszę wypełnić swą misję. Zaanonsuj mnie Adeptowi i daj mi szansę.

- Sam tego chciałeś, głupcze. Ja ostrzegałem. - I strażnik zniknął w zamku.

Powrócił po chwili i zabrał się do opuszczania zwodzonego mostu, który wyglądał, jakby wykonano go z jednego kawałka lodu. Stile beztrąsko przejechał po nim i znalazł się na wewnętrznym dziedzińcu. Z podziwem patrzył, jak promienie słoneczne załamują się, przechodząc przez lodowe ściany. Lód niepostrzeżenie zamienił się w kamienną podłogę. Stile potknął się i przewrócił; zupełnie przestał patrzeć pod nogi. Postarał się zamienić upadek w figurę akrobatyczną, która - jak miał nadzieję - zrobi wrażenie śmiesznej. Zdjął łyżwy.

Neysa nie wychodziła z ukrycia. Pozostała dalej w postaci świetlika i chowała się w jego kapeluszu. Stile wiedział dlaczego: powrót do naturalnej postaci jednorożca zwróciłby na nich uwagę. Czyż to nie Platynowe Elfy przypomniały mu, iż nikt poza Błękitnym Adeptem nie dosiada jednorożca? Kiedy nadejdzie potrzeba, Neysa przeobrazi się błyskawicznie. Czuł się dużo bezpieczniej, mając ją u swego boku.

Nie było żadnych specjalnych ceremonii. Biała Adeptka po prostu weszła do sali. Wyglądała tak samo jak w czasie Rożcolimpiady, choć teraz była starsza i dużo tęższa. Widocznie używała zaklęć tylko po to, by trochę poprawić swój wizerunek.

- Czego tu szukasz, prostaku? - zapytała z irytacją. - Czego chcesz?

- Potrafię jak nikt wyczyniać sztuczki i błazeństwa - zaczął Stile, starając się, by jego głos brzmiał komicznie. - Zdejmę z twego serca ciężar i cię rozweselę. A w zamian proszę o najmniejszą z łask.

- To znaczy? - Była najwyraźniej przyzwyczajona do żebraków.

Stile wyciągnął srebrny medalion, który wyczarował wcześniej specjalnie w tym celu.

- Moc tego amuletu wyczerpała się. Chciałbym, żeby znowu chronił mnie od chłodu.

- Nie zajmuję się amuletami - odrzekła krótko. - Powinieneś być zwrócić się do tej, która je wytwarza.

A więc to Adeptka, kobieta, robi amulety! To była niezwykle cenna informacja.

- Kiedyś zaatakował mnie amulet - powiedział Stile. - Nie chciałbym kupować używanych.

- Zaatakował? - zakrzuszyła się śmiechem Adeptka. - Dobrze ci tak! Niech będzie, jeśli potrafisz mnie rozbawić, wynagrodzę cię odpowiednio.

- Dzięki ci, pani - odparł pokornie Stile.

Zdawał sobie dobrze sprawę, że czarownica nie zobowiązała się do niczego ściśle określonego. Potrzebował czegoś więcej. Gdy tylko ujrzy, na czym polegają jej czary...

- Bierz się do pracy, błaznie - warknęła Biała, zaciskając usta w ponurym grymasie. - Spraw, bym się roześmiała.

Stile rozpoczął przedstawienie. Miał przygotowany cały szereg błazeńskich scen do ewentualnego wykorzystania w czasie gry; był również bardzo sprawny manualnie. Rozpoczął pantomimę o „głupkowatym karle”. Próbował zjeść uciekającego mu z rąk kartofla, bezskutecznie poszukiwał miejsca do spania, plątał się we własne kończyny, wyciągał chustki z uszu, przewracał się i w ogóle robił z siebie wesolutkiego idiotę. Zawsze był w tym dobry. Nie używał żadnej magii poza sceniczną, bo popisował się przed osobą, która świetnie potrafiłaby wyczuć wszelkie nieprawidłowości. I choć Biała Adeptka usiłowała zachować ponurą twarz, jej powaga szybko zaczęła znikać. Widać było, że nie cierpi wieśniaków, i ta udana parodia sprawiała jej głęboką satysfakcję. Kobieta uważała też, wzorem wielu innych ludzi, że nieszczęścia spotykające karła są wielce zabawne. Pod koniec śmiała się już z całego serca.

Stile zakończył przedstawienie. Adeptka natychmiast spoważniała.

- Podobasz mi się, błaznie. Chyba cię zatrzymam, byś mnie bawił w przyszłości.

- Szlachetna Adeptko, nie mogę z tobą zostać - odparł szybko Stile, choć spodziewał się czegoś podobnego. - Proszę tylko, byś przywróciła moc memu amuletowi.

Zmarszczyła brwi.

- Dobrze, ty głupcze. Dawaj go tu.

Najwyraźniej szykowała się do jakichś sztuczek. Stile podał jej medalion i sprężył się do skoku.

Biała Adeptka położyła amulet na podłodze. Wzięła kawałek węgla w drugiej oprawce i narysowała wokół medalionu tajemnicze znaki. Kiedy figura została ukończona, kobieta stuknęła pięć razy: stuk-stuk, stuk-stuk, STUK.

Medalion eksplodował, zamieniając się w tuzin dziwnych kształtów. Były to śnieżne potwory, przezroczyste, ze śniegowym futrem, zębami z sopli i oczami z matowych gradowych kulek. Nieduże kawałki metalu przywarły tylko do ich potężnych pazurów: ich szpony przypominały gwoździe.

- Zabierzcie tego prostaka, sopolki. Niech ochłonie w lodowni - rozkazała, wskazując Stile'a.

Potwory rzuciły się ku niemu. Stile próbował wybiec z dziedzińca, lecz stwory otoczyły go. Uśmiechając się zimno, zaczęły zacieśniać krąg. Nie będzie tu litości.

Nagle Neysa wyfrunęła z ukrycia i zamieniła się w jednoroźca. Rzuciła się naprzód, nadziała jednego z potworów na róg i uniosła głowę, wyrzucając go w powietrze. Uderzył w inną bestię i oba upadły przy akompaniamencie rozsypujących się sopli.

- Ha! Jednorożec! - zawołała oburzona Adeptka. - Myślisz, że umkniesz mej mocy w moim własnym królestwie? - Zaczęła rysować na podłodze następny symbol.

Znaleźli się w kłopotach. Biała potrafiła przy pomocy właściwego rysunku wyczarować dosłownie wszystko. Stile rzucił się w jej kierunku, lecz broniący jej potwór schwycił go w prawdziwie niedźwiedzi uścisk i uniosł w powietrze.

- Ty głupcze! - beształ sam siebie Stile.

Powinien był rzucić zaklęcie. Lecz nie... Adeptka nie odkryła jeszcze jego tożsamości, najwyraźniej nie łącząc jego osoby z pojawieniem się jednoroźca. Stile wołał, by jego imię pozostało jak najdłużej tajemnicą. Postara się poradzić sobie bez magii!

Zresztą nie miał innego wyjścia! Potwór położył mroźną łapę na jego ustach, prawie go dusząc i uniemożliwiając mówienie.

Stile spróbował dosięgnąć ręką Platynowego Fletu. To byłaby dobra broń. Ściśnięty jednak przez zimnego demona nie mógł uchwycić instrumentu.

Uderzył bestię łokciem. Do licha! Lód był rzeczywiście twardy! Kopnął, lecz monstrum pozbawione było chyba czucia. Nie mógł też wykorzystać chwytu dzudo, gdyż nie dotykał stopami ziemi. Straszliwe zimno powoli zaczęło przenikać go na wylot.

Neysa zajęła się pozostałymi demonami. Stile nie mógł poradzić sobie z jednym śnieżnym potworem, ale za to całe ich stado nie było w stanie sprostać Neysie. Wierząc i jej tylne kopyta roztrzaskały dwa monstra; następne nadziała na róg. Każdy jej cios przynosił zgubę którejś z bestii. Stile nigdzie nie znalazłby lepszego sojusznika.

Ale teraz nie był w stanie wypowiedzieć nawet słowa, a Biała Adeptka kończyła rysować nowy symbol. Na tym nie koniec więc tarapatów!

Stile ugryzł zasłaniającą mu usta dłoń. Pomogło: lodowe palce skruszyły się pod jego zębami. Potwór nie czuł, co prawda, bólu, ale nie mógł zasłaniać ust Stile'a nie istniejącymi palcami. Stile gryzł i szarpał, po kawałku odłamując i wypluwając ogromną dłoń.

Narysowany przez wiedźmę symbol ożył. Rój gryzących owadów pojawił się nie wiadomo skąd. Poleciały od razu w kierunku Neysy, która zeszywniała zaraz po pierwszym użądleniu i wyrzuciła z nozdrzy wąskie płomyki. A potem, z jękiem rozpacz, padła na podłogę.

Nie było już wątpliwości, czy Adeptka potrafi poradzić sobie z jednorożcem. Jej magia wymagała więcej czasu niż zaklęcia Stile'a, ale działała wstrząsająco.

- Wrzucie to zwierzę do jeziora, pod lód - poleciała Biała dwom ostatnim potworom. - I tego prostackiego błazna też; przyczynia za dużo kłopotów.

Lecz Stile mógł już mówić.

- *Potwory ze śniegu, myszy w biegu!* - zawołał zdyszczym głosem.

Nie mógł wcześniej zgromadzić graniem mocy, więc jego zaklęcie nie było specjalnie silne. Stanowiło to pewną niedogodność. Kiedy przygotowywał się w pełni, jego magia nie miała równych sobie, ale oczywiście Biała Adeptka, jeśli tylko zdążyła wyrysować swe znaki, na pewno mu w niczym nie ustępowała. Jego zaklęcie zadziało nie do końca - dwa lodowe potwory zamieniły się w dwa tłuste, białe szczury.

- Magia! - syknęła Adeptka. - Teraz cię rozpoznaję! Jak śmiesz zakłócać spokój mego królestwa, Błękitny?

Stile wyciągnął harmonijkę i podszedł do Neysy. Zdecydował, że tym razem flet nie będzie mu potrzebny. Śmiertelnie groźne owady wzniosły się w powietrze i szumiący rój ruszył w jego kierunku.

- Przyszedłem tu, by dowiedzieć się, czy to ty jesteś moim wrogiem - wyjaśnił.

- Przedtem nie byłam, ale teraz zostanę nim na pewno! - zawołała. - Żądłcie go, muchy!

Stile zagrał na harmonijce. Owady poczuły zbierającą się moc magii i zawahały się. Stile wyobraził sobie żar - i podlatujące bliżej muchy schły i opadały na podłogę. Kilka bardziej odpornych nie dawało za wygraną, dopóki ich skrzydełka nie buchnęły płomieniem.

Stile stanął, patrząc na leżącego bezwładnie jednoroźca. Przypomniawszy sobie ogłuszonych gazem Hulka i Bluetta. Które z podobieństw miały znaczenie, a które były tylko wytworem nieczystego sumienia? Ale z tą sytuacją potrafił sobie poradzić.

- *Neyso, wstawaj, muchom się nie dawaj!* :- zaśpiewał.

Jednorożec obudził się i z niejakim trudem wstał. Stile nie potrafił leczyć samego siebie, ale innych, tak.

Biała Adeptka rysowała pospiesznie nowy symbol. Stile stanął przed nią i zaśpiewał:

- *Uciekaj stąd daleko, bądź ropuchą nad... jeziorem.*

Wiedźma uchyliła się, gdy zaklęcie poleciało w jej kierunku. Stile nie użył właściwego i oczywistego rymu. Biała znów sięgnęła po węgiel.

- *Stań się brzydka jako mara* - zaśpiewał Stile i magia sprężyła się do skoku. - *Chcę byś była bardzo... głupia.*

Znowu drgnęła, spodziewając się najgorszego; nikt tak nie boi się starości jak kobieta w średnim wieku. I znowu zaklęcie rozplynęło się, nie czyniąc jej szkody. Bez rymu czary Stile'a nie działały. Kobieta wróciła do swego rysunku.

- *Biała Królowa, płomieni ozdoba* - zaśpiewał Stile. Tym razem białe włosy wydały się przez chwilę przybierać kolor ognia.

- Wystarczy! - zawołała. - Wygrałeś, Błękitny! Twoja magia nie może zmienić moich kształtów, lecz potrafi być bardzo nieprzyjemna. Czego żądasz?

- Chcę zobaczyć, jak działają twoje zaklęcia - odparł Stile. - A potem odejdę w pokoju.

- Nikt nie może tego ujrzeć i odejść w pokoju! - zaprotestowała. - To sekret Adepta. Prędkiej tańczyć będę nago przed wyjąłym tłumem.

- Ale ty widziałas, jak formuję moje zaklęcia - zwrócił jej uwagę Stile. - Zanim przybyłem na Phaze, przez całe życie chodziłem nago w tłumie.

- Ale nikt inny nie obnaża ani swego ciała, ani magii.

- Znasz przecież imię twórczyni amuletów!

Zastanowiła się.

- Ach, teraz wszystko już jasne. Idzie o zemstę.

- Tak - zgodził się Stile. - Nie jesteś tą, której szukam, lecz możesz mi pomóc, ujawniając, kim jest mój wróg.

- Znam ją. Wiedzmy dzielą się pewnymi sekretami. Ale nie powiem ci. To nie twoja sprawa.

- Twórczyni amuletów zamordowała mnie! - zawołał Stile. - I próbuje znowu to zrobić. Uważasz, że to nie moja sprawa?

- No cóż, jeśli patrzeć na to z tej strony. Ale na pewno nie jest moją sprawą zdradzenie tobie jej imienia.

- Wiedzmo, chcesz wzbudzić mój gniew - rzekł Stile, czując rosnącą furię. Pchała go moc przysięgi. - Zamienię cię...

- Nie, moc Adepta nie może nic zdziałać przeciwko przygotowanemu na to Adeptowi. Nie jest jednak również moją sprawą poinformowanie jej o twoich poszukiwaniach. Odejdź, a nie zdradzę jej, że krąg podejrzanych zawęził się do dwóch osób.

Do dwóch. Zostały jeszcze dwie Adeptki. Biała dała mu więc, w ramach przeprosin, jakąś wskazówkę. To ważna pomoc. Problem polegał jednak na tym, że Stile wiedział o jednej tylko jeszcze Adeptce.

Cóż, może więc sprawdzić tę jedną. Dosiadł Neysy. Zagrał krótką melodyjkę i zaśpiewał:

- *Jeździec i rumak mkną, w Brązowym Królestwie są!*

Wystartowali bokiem, ze straszliwym przyspieszeniem przelatując pomiędzy lodowymi ścianami, i nie dotykając ich nawet, skierowali się na południowy wschód. Równiny, góry i lasy przypominały rozmazane plamy. Po chwili zwolnili i zatrzymali się gwałtownie.

Stali przed ogromnymi, brązowymi wrotami zbudowanego z brązowego piaskowca zamku, na którego najwyższej wieży powiewał brązowy proporzec. Byli w Brązowym Królestwie.

Stile rozejrzał się dookoła. Błotnista rzeka przepływała obok zamku, lecz nawet kropla wody nie dochodziła do wyschniętej fosy. Na jej brzegach rósł brązowy las o zwiędłych liściach. Na Phazie mogło panować lato, lecz w Białym Królestwie była wtedy zima, a w Brązowym - jesień.

Neysa parsknęła z niezadowoleniem. Stile dobrze ją rozumiał: trawa też zbrązowiła.

- Co robimy tym razem? Wkradamy się chyłkiem czy idziemy otwarcie? - spytał Stile jednorożca.

Melodia zagrana przez Neysę zabrzmiała początkowo jak protest i przeszła w pełne aprobaty trele.

- Zgadzam się. - powiedział. - Męczy mnie to skradanie się. Tym razem zagramy w otwarte karty. - Zastanawiał się teraz, czy prawdą było, iż jeden Adept nie mógł zaczarować innego, jeśli ten miał się na baczności. W każdym razie pogład ten dodał mu otuchy.

Stanął przed wrotami i zawołał głosem tak donośnym, jak tylko potrafił.

- Wychodź, Brązowy. Staw czoła Błękitnemu!

Ogromne drzwi otworzyły się skrzypiąc. Stanął w nich olbrzym. Był równie potężny

jak pień dębu i podobnie jak on sękaty. Trzymał w ręku maczugę, która długością przewyższała wzrost Stile'a.

- Wynoś się, błaznie! - zaryczał.

Błazen? Do licha - wciąż jeszcze przebrany był za klowna. Trudno, na razie tak musi zostać. Nie będzie się teraz bawił w unieważniające czar zaklęcia.

Stile nawykł do tego, że napotyka ludzi większych od niego; wszyscy mężczyźni byli od niego wyżsi, ale ten był monstrualny. Miał chyba dziesięć stóp wzrostu. Gdyby zamachnął się maczugą, zmiotłby Stile'a z grzbietu Neysy, zanim ten zdołałby zbliżyć się na tyle, by móc coś zdziałać.

Chyba że użyłby Platynowego Fletu jako lancy lub piki...

Najpierw jednak powinien wypróbować środków pokojowych.

- Chciałbym spotkać się z Brązowym Adeptem.

Olbrzym zastanowił się. Jego inteligencja wydawała się odwrotnie proporcjonalna do masy ciała.

- Och - sapnął. - Wejdz do środka.

Tak po prostu! Neysa podążyła truchtem za olbrzymem. Wkrótce znaleźli się w dużej, wyłożonej brązowym drewnem sali. Znajdujący się tu mężczyzna ubrany był w brązowy strój i miał tego koloru włosy, oczy i skórę.

- Czego ode mnie chcesz? - zapytał, marszcząc brwi.

- Nic - odparł Stile. - Chcę rozmawiać z Adeptem.

- A więc mów - rzekł mężczyzna. - Ja jestem Brązowym Adeptem.

- Brązowy jest kobietą - stwierdził Stile. - Czy magia ma rozstrzygnąć nasz spór?

- Śmiesz używać magii w moim królestwie? - zdziwił się mężczyzna w brązie.

Stile wyciągnął harmonijkę i zagrał kilka nut.

- Śmiem - odparł.

- Straż! Wyrzućcie tego człowieka!

Olbrzymy rzuciły się na Neysę i Stile'a.

- *Miotła olbrzymy wymiecie* - zaśpiewał Stile pospiesznie - *Brązowego Adepta przyniesie.*

Wyglądało to tak, jakby ogromna, niewidzialna miotła usunęła olbrzymy z sali. Jednocześnie prąd powietrza wniósł potargane, rozzłoszczone dziecko.

- Ty niedobry człowieku! - zawołała dziewczynka. - Nie musiałeś tego robić.

Stile prawie zapomniał języka w gębie.

- To ty jesteś Brązowym Adeptem? - Nie mogło być inaczej; przyniosło ją tu jego

zaklęcie.

- Gdybym była dorosła i silna, nie mógłbyś tak mnie traktować! - krzyczała przez lzy. - Nigdy nic ci nie zrobiłam, błźnie.

Pozory mogą mylić, lecz Stile gotów był przyznać jej rację. Dlaczego dziecko miałoby mordercą Adepta, który niczym mu nie zagroził? Chyba że jest to jeszcze jedno przebranie, kryjące jej prawdziwą postać. - Jestem tu, by się o tym przekonać - powiedział Stile. - Pokaż mi swoje prawdziwe oblicze.

- Ale ja tak właśnie wyglądam. Dopóki nie dorosnę. Idź już sobie teraz, skoro nie jesteś śmiesznym kłownem.

- Pokaż mi swoją magię - zażądał Stile.

- Czy jesteś ślepy? Zniszczyłeś właśnie wszystkie moje golemy!

Golemy!

- Tworzysz drewnianych ludzi?

- Oczywiście. - Uspokoila się. - Używam rosnących pod zamkiem drzew, ale większość z nich to dzieło mojego pop... ostatniego Brązowego Adepta. Nauczył mnie tego przed śmiercią. - Łzy stanęły w jej oczach. - Był dobrym człowiekiem. Czuję się bez niego samotna.

- Czy nie słyszałaś, że drewniany golem uzurpował sobie władzę w Błękitnym Królestwie?

- To kłamstwo! - Błysnęła bystrymi oczkami. - Golemy robią tylko to, co im się każe. Wiem to dobrze. Nie mają własnego życia. .

Tak jak roboty na Protonie. Tylko niektóre z nich, jak Sheen i jej niezwykli przyjaciele, miały świadomość i wolną wolę.

- Nie przysłałaś podobnego do mnie golema, by mnie zgładził?

Zawahała się, potrząsając brązowymi lokami.

- Ja... ja nie. Ale dopiero od niedawna jestem Adeptem. Mój pop... pop...

- Twój poprzednik - pomógł jej Stile.

- Właśnie. Dzięki. Poprzednik. Może to on. Nie wiem. Ale on był dobrym człowiekiem. Nigdy nie atakował innych Adeptów. Realizował tylko ich zamówienia. Golemy to najlepsi żołnierze i służący; i nigdy nie potrzebują snu ani jedzenia, ani...

- Tak więc inny Adept mógł zamówić podobnego do mnie golema? - upewniał się Stile, próbując złożyć tę łamigłówkę.

- Oczywiście. Robił różne golemy, w zamian za inne wyczarowywane rzeczy, których potrzebował. Na przykład pełną spiżarnię albo leczniczy amulet...

Stile rzucił się na tę informację niczym tygrys.

- Kto sprzedawał mu amulety?

- Czerwona Adeptka, oczywiście. Ona robi wszystkie amulety.

Coś się tu nie zgadzało.

- Spotkałem Czerwonego Adepta na Rożcolimpiadzie. Był wysokim, przystojnym mężczyzną.

- Och... a więc przyszła w przebraniu. To się często robi. Tak jak ja próbowałam z golemem, kiedy przyszedłeś. Obcy nie zawsze lubią dzieci i Brązowy ostrzegł mnie, bym nie pokazywała się nieznanym. Nie wiedziałam, że znasz moją pleć.

Stile nagle zrozumiał. Przebranie! Nie tylko inne ubranie albo inny wygląd, lecz również inna pleć! Dzieci lubią bawić się w takie gry. A Czerwona mogła to zrobić i bez magii. Gdyby usunąć wąsy, wydłużyć włosy i założyć suknię... Adept, którego widział, byłby wtedy kobietą. Rozebrać ją do naga i przykryć włosy czapeczką i już mamy kobietę, która zabiła Hulka w kopalni. Jak mógł to przegapić?

- Przepraszam cię, Brązowy Adeptcie - powiedział Stile. - Golem zaatakował moje królestwo i uznałem cię za winną. Widzę teraz, że była to pomyłka. Proszę o wybaczenie.

- Och, wszystko w porządku - uśmiechnęła się nieśmiało. - Już od dawna nie miałam żadnego towarzystwa. Mógłbyś jednak zwrócić mi moje golemy.

Stile szybko rzucił czar przywracający wymiecione olbrzymy.

- Czy coś jeszcze mógłbym dla ciebie zrobić, zanim odejdę? - zapytał.

- Chyba nic. Podoba mi się twój jednorozec, lecz wiem, że one nie pozwalają się nikomu dosiadać, ani Adeptowi, ani człowiekowi. Próbuję też założyć ładny ogród kwiatowy, ale wszystkie rośliny schną i brązowieją. Nie chcę używać żadnego zaklęcia; muszę zrobić to sama.

Neysa zagrała na rogu. Stile zsiadł, a ona przekształciła się w dziewczynę.

- Na nawozie jednorozców wyrastają magiczne rośliny - rzekła.

- To cudownie! A czy ładne? - spytała Adeptka i oczy jej zabłysły. - Takie jak mrucząca lilia tygrysa albo dźwięczny dzwoneczek?

Neysa zdążyła już powrócić do swej naturalnej postaci. Zagrała potwierdzającą nutę.

- Wyślij jednego ze swych golemów z widłami i wozem. Największego, żeby mógł dużo przywieźć. Czy wiesz, gdzie pasie się stado?

Brązowa kiwnęła głową.

- Ciągle tam chodzę, są takie piękne - powiedziała tęsknie. - Ale nie mam odwagi podejść blisko.

„Wszystkie dziewczynki lubią konie”, przypomniał sobie Stile. Spojrzał na Neysę, która

kiwnęła łbem.

- Jeśli chcesz, Neysa zawiezie cię tam i poprosi swych przyjaciół, by pozwolili golemowi zabrać nawóz.

- Przejazdzka na jednorożcu? - Brązowa klasnęła w dłonie. - Och, tak, tak!

- A więc jedź - rzekł Stile, szczęśliwy, że może jej wynagrodzić swoje brutalne wtargnięcie. - Do zobaczenia.

Dziewczynka nieśmiało wsiadła na jednorożca i Neysa oddaliła się najrówniejszym ze swych kroków. Stile wiedział, że nie pozwoli dziewczynce spaść, a stado zezwoli golemowi zabrać kilka wozów doskonałego nawozu, gdyż nie odmawia się przyjaciołom. Neysa znów wybawiła go z kłopotów, sprawiając, że mała Adeptka uszczęśliwiona była ich wizytą

Mimo że Brązowa nie okazała się tym, kogo szukał, wycieczka przyniosła pozytywne rezultaty. Teraz wiedział przynajmniej, kim jest jego wróg. Po powrocie Neysy nie będzie miał czasu szukać Czerwonej Adeptki; musi przejść przez zasłonę, by zdążyć na kolejną rundę Turnieju. Ale gdy wróci na Phaze...

Rozdział 9

MUZYKA

Szósta runda Turnieju. Pozostał już tylko co piąty z uczestników, lecz tym samym więcej było graczy wykwalifikowanych i mających szczęście. Widownia obserwująca poszczególne pojedynki zwiększyła się i wiadomo było, że będzie rosnąć w miarę znikania kolejnych zawodników i wzrostu ważności każdej rundy.

Przeciwnikiem Stile'a okazał się obywatel. Nic w tym niezwykłego; obywatele często byli świetnymi graczami, trudnymi do wyeliminowania. Ten, z którym Stile miał walczyć, osiągnął już podeszły wiek i szczyt swych fizycznych możliwości miał najwyraźniej za sobą, lecz z definicji każdy obywatel był niebezpieczny i w Turnieju, i poza nim.

Stile zdecydował się wybrać opcję FIZYCZNE, jeśli oczywiście los da mu szansę wyboru; nie chciał ryzykować starcia ze zgromadzonym przez przeciwnika doświadczeniem i wiedzą.

Udało się! Wybrali wspólnie 2B, gry fizyczne z wykorzystaniem narzędzi. Ulubiona konkurencja Stile'a. Mimo to obywatel nie wyglądał na zaniepokojonego. Czyżby kryła się w tym jakaś tajemnica?

Rozegrali podplaszę i wylosowali górę lodową. Konkurencję rozgrywano na zamrzniętym wodospadzie o wysokości około piętnastu metrów, na który wspinano się przy pomocy raków i haków. Asekuracja odgórna zapewniała bezpieczeństwo, lecz wspinaczka była wyczerpująca. Stile nie potrafił sobie wyobrazić, jak starszy mężczyzna miał zamiar sobie z tym poradzić.

Stile był jak zwykle nagi; musiał teraz nałożyć rękawice, buty z rakami i obwiązać się liną. Nie potrzebował odzieży ochronnej; lód zamrażano od wewnątrz, a powietrze w kopule było ciepłe. Nagi mężczyzna mógł sobie dobrze radzić; rozgrzewało go ciepło produkowane w czasie wspinaczki.

Luźne szaty obywatela przeszkadzały we wspinaczce. Zdejmował je powoli.

Stile poczuł zdziwienie. Pod szatą obywatela kryło się żylaste, dobrze umięśnione ciało. Mężczyzna starszy był od Stile'a... może nawet dużo starszy, biorąc pod uwagę procesy odmładzające... lecz miał tors dobrze zbudowanego czterdziestolatka. Przewaga Stile'a okazała się mniejsza, niż sądził.

Zebrali swój sprzęt i podeszli do lodospadu. Błyszczał pięknie jak przezroczysty kwarc. Stile miał się wspinać przy prawej krawędzi, obywatel przy lewej. Pierwszy, który dotknie

elektronicznego czujnika na górze, zostanie zwycięzcą. Pierwszy, który odpadnie - przegra. Teoretycznie można było zawisnąć na linie ubezpieczającej i kołyszac się na niej, przeszkadzać przeciwnikowi, lecz oznaczało to porażkę. Rzucanie w drugiego gracza hakami groziło dyskwalifikacją. Na oszukiwanie i nieczystą grę nie było miejsca w Turnieju.

Obywatel stanął twarzą do lodospadu i wpatrywał się w niego, stojąc nieruchomo. Pojedynek powinien się już zacząć, ale obywateli nie wolno popędzać. Stile musiał czekać.

Mężczyzna trwał w milczeniu przez kilka minut. O co tu chodzi? Stile, zawsze czujny, zaniepokoił się tym postępowaniem. Musiał istnieć jakiś powód. Dlaczego ktoś miałby odwlekać pojedynek, stojąc jak w transie?

Trans! To jest to! Obywatel wprowadzał się w autohipnozę, lub też stosował jedno z ćwiczeń jogi, mających pozwolić mu na wykorzystanie wszelkich możliwości ciała, bez żadnych ograniczeń. To stąd brała się siła szaleńców i matek, broniących zagrożonych dzieci. Stile nigdy tego nie robił; wolał prowadzić normalne, zdrowe życie, zachowując ostatnie siły na prawdziwe niebezpieczeństwo. Najwyraźniej obywatel nie odczuwał takiej potrzeby.

Mogło to oznaczać niezłe kłopoty! Nic dziwnego, że stary zaszedł tak wysoko w Turnieju. Jego wygląd wprost kusił przeciwników, by wybierali konkurencje fizyczne, a wtedy on, korzystając z ukrytych zasobów swego ciała, pokonywał ich. Stile również znalazł się w tej pułapce.

Lecz był przecież dzięki swej niewielkiej wadze, wysokiej sprawności fizycznej i nieustannemu praktykowaniu wszelkich dyscyplin gry doskonałym wspinaczem. A przynajmniej do czasu, gdy przestrelono mu kolana. Mógł jednak wbijać haki w takich odstępach, by uniknąć nadmiernego zginania stawów, więc zranienie nie powinno mu specjalnie przeszkadzać. Niewielu ludzi potrafi wspiąć się szybciej niż on. Trans to świetna sprawa, ale żeby z niego korzystać, trzeba dysponować jakimiś rezerwami sił, a wielokrotnie odmładzane ciało obywatela mogło ich wiele nie mieć.

Stile wykonał kilka lekkich ćwiczeń rozluźniających mięśnie. Oczywiście, potrafił swobodnie wprowadzać się w lekki trans, lecz nigdy tego nie robił. Nawet w takich sytuacjach jak ta.

Wreszcie obywatel wyszedł z transu.

- Jestem gotów - oznajmił.

Opasali się linami. Lina ubezpieczająca przesuwiała się w miarę postępów wspinaczki, zawsze do góry, nigdy w dół. W przewidywaniu wysiłku puls Stile'a zaczął bić szybciej, a oddech się skrócił.

Rozległ się gong oznajmiający początek wyścigu. Obaj przeciwnicy rzucili się do wbijania pierwszego haka. Ta konkurencja ma swoje małe subtelności; zmienne warunki środowiska powodowały przemiany w strukturze lodu. Czasami miękł nieco i haki wchodziły lekko, lecz nie trzymały się dobrze; tego dnia natomiast lód był bardzo twardy i kruchy. Każdy hak należało wbić jak najszybciej, a więc ocena stanu lodu stawała się niezwykle ważna. Jeśli zawodnik guzdrał się, zbyt starannie umieszczając każdy hak i zapominając, że służyć on będzie tylko przez chwilę, tracił czas i zmniejszał swą szansę wygranej; jeśli zaś wspinał się nieuważnie, mógł odpaść i przegrać. Wybór właściwej taktyki był więc równie ważny, jak siła fizyczna i wytrzymałość.

Obywatel był szybszy. Stał już na pierwszym haku i wbijał drugi, wysoko nad głową Stile'a. Spieszył się i uderzał młotkiem zbyt mocno, lecz na razie lód trzymał. Stile był tuż za nim, lecz odległość między nimi powiększała się; Stile grał ostrożnie. Lód to dziwna substancja; czasami wydaje się wytrzymywać wszystko, ale potrafi sprawiać niemiłe niespodzianki.

Posuwali się ku górze. Stile zostawał coraz bardziej w tyle, ale nie odważył się mocniej uderzać w haki. Mógł tylko z podziwem obserwować szczęście, które wydawało się nie opuszczać obywatela, i mieć nadzieję, że prawa natury...

Stało się. W połowie drogi do zwycięstwa lód nie wytrzymał nacisku haka. Obywatel mógł jeszcze przenieść hak na nowe miejsce i wbić go ostrożniej, lecz wtedy straciłby tyle czasu, że Stile by go dogonił. Prawa statystyki w końcu zadziałały.

Jednak pogrążony w transie obywatel zupełnie tego nie zauważył. Automatycznym ruchem stanął na haku, który natychmiast wypadł. Obywatel zawisł na linie... Został zdyskwalifikowany.

Stile nie musiał nawet kończyć wspinaczki. Wystarczyło, że wspinał się o centymetr wyżej niż jego przeciwnik. Ostrożność, uwaga i znajomość praw statystyki przyniosły mu łatwe zwycięstwo. Mimo to dziwnym trafem nie uważał, że osiągnął je tanim kosztem.

Tym razem nie było żadnych fałszywych wezwań. Sheen zajęła się wszystkim; wypytała go o ostatnie przeżycia na Phaze i pozwoliła mu zasnąć. Podobnie jak Błękitna Pani, nie pochwaliała walki z Czerwoną Adeptką w jej własnym królestwie.

- To twarda sztuka. Widziałam na hologramie. Jest gotowa poderżnąć ci gardło z radosnym uśmiechem. Lecz ja jestem tylko maszyną logiczną - poskarżyła się. - Nie mogę

powstrzymać nielogicznego postępowania cielesnego stworzenia o męskim mózgu od popełnienia szalonej głupoty.

- Racja - zgodził się spokojnie Stile. - Powiedz nawet „błazeńskiej głupoty”. - Sheen zawsze powoływała się na swoje techniczne pochodzenie, kiedy coś wytrąciło ją z równowagi.

Najpierw jednak musiał rozegrać siódmą rundę. Przeciwnikiem okazał się niewolnik w tym samym co Stile wieku. Na imię miał Clef, co nawiązywało do symbolu klucza muzycznego używanego w zapisie nutowym. Był to wysoki, szczupły mężczyzna, który znalazł się wśród zakwalifikowanych do Turnieju wyłącznie dlatego, że najlepsi gracze jego drabiny wiekowej chcieli uniknąć uczestnictwa. Stile znał wszystkich mistrzów gry wśród niewolników, lecz Clefa widział po raz pierwszy. Oznaczało to, że człowiek ten nie mógł być wykwalifikowanym graczem, choć prawdopodobnie był ekspertem w pojedynczych konkurencjach.

Oczekując swojej kolejki, gawędzili przez chwilę. - Zwycięzca tej rundy otrzyma dodatkowy rok pobytu na Protonie - przypomniał Stile - albo nawet więcej, jeśli dojdzie do wyższych rund.

- Tak, moim największym marzeniem jest osiągnięcie ósmej rundy - stwierdził Clef. - Nie mam, w przeciwieństwie do ciebie, szans na wygranie Turnieju.

- W przeciwieństwie do mnie?

- Mam nad tobą pewną, że tak powiem, przewagę - wyjaśnił Clef. - Znam twoje kwalifikacje w grze. Żeby było fair, powinienem wyjawić ci moje mocne punkty.

- W grze nie ma miejsca na tego typu uczciwość - odparł Stile. - Korzystaj z każdej możliwości, jaką masz. Może ja źle cię ocenię i wybiorę specjalność, w której jesteś mistrzem? Zresztą nie mam szansy dowiedzieć się, czy twoja informacja jest zgodna z prawdą.

- Och, ja przecież nie mogę kłamać! - krzyknął wstrząśnięty Clef. - W moim światopoglądzie nie ma miejsca na fałsz.

Stile uśmiechnął się; jeszcze raz przekonał się, że może polubić swego przeciwnika. - Miło mi to słyszeć. Lecz powtarzam, nie musisz...

- Jestem muzykiem, stąd mój przydomek. Mam tylko jedno, poza muzyką, hobby... rapier.

- A więc jesteś specem w dwóch, zupełnie od siebie odmiennych konkurencjach. To bardzo praktyczne.

- Tak też się okazało. No i los mi sprzyjał. Co prawda przegrałem jeden pojedynek w

grach losowych, ale skoro wygrałem aż trzy w tej samej kategorii, nie powinienem się uskarżać. Zaszedłem w Turnieju dalej, niż mogłem oczekiwać.

- Lecz zdajesz sobie chyba sprawę, że będę rozgrywał plansze tak, by omijać twoje mocne punkty? - rzekł Stile.

- Równie dobrze mogę znowu spróbować LOSOWYCH i zneutralizować twoje umiejętności.

- Chyba że wylosujesz litery.

- Będę miał wtedy łatwy wybór. I rapier, i flet to narzędzia.

Flet? Stile nie był pewien, jak Platynowy Flet sprawowałby się na Protonie, skoro nie działa tu magia, lecz tak wspaniały instrument mógł znacznie zwiększyć jego szansę. - Nie jestem mistrzem rapiera - powiedział, przypominając sobie treningi z Neysą na Phaze - lecz nie jestem również ignorantem, a w innych rodzajach broni czuję się świetnie. Jeśli nie uda ci się skierować wyboru na rapier, a na przykład na miecz, to wątpię, czy miałbyś ze mną szansę.

- Wolałbym mieć innego przeciwnika - przyznał Clef.

- Lecz ja straciłem już jeden pojedynek w grach losowych, podobnie jak ty, i nie chciałbym powtarzać tego doświadczenia.

- Proponujesz układ? - spytał Clef, unosząc jedną brew. Miał bardzo eleganckie i wymowne brwi.

- Jest to zgodne z prawem i etyką. Oczywiście, żadne porozumienie nie jest dla gry wiążące, lecz dwaj honorowi gracze mogą się porozumieć, jeśli tego chcą.

- Rozumiem. A więc chcesz rywalizować ze mną w muzyce.

- To zależy.

- Wybierzesz muzykę, jeśli oddam ci wybór instrumentu.

- To właśnie miałem na myśli.

- Muszę cię jednak ostrzec, że mam solidne wykształcenie muzyczne. Najbardziej odpowiada mi flet, lecz nie mam też nic przeciwko instrumentom strunowym i drewnianym. Sądzę, że jestem lepszy od ciebie; słyszałem już, jak grasz. Tak więc może wolałbyś wybrać jakiś prostszy instrument.

Słowa te pobudziły ambicję Stile'a. Zawsze był ofiarą wewnętrznego przymusu, który kazał mu wybierać ulubione konkurencje przeciwników. Przecież dlatego walczył z Hulkiem w jednej z czysto fizycznych konkurencji. Jeszcze raz rozważył problem Platynowego Fletu, z pewnością najlepszego instrumentu, jakim mógłby się posłużyć. Na nim mógłby zagrać tak jak nigdy w życiu. Mógłby dorównać temu samochwale! Zwyciężyła jednak ostrożność.

Skoro flet jest ulubionym instrumentem Clefa, to Stile nie ma szans na zwycięstwo i głupotą byłoby sądzić, że może być inaczej. Zresztą Flet nie jest własnością Stile'a, a jego użycie mogłoby niepotrzebnie przyciągnąć uwagę obywateli i... nie, nie może tak ryzykować. Szczęściem, ma alternatywę.

- Harmonijka - rzekł Stile.

- Dobra harmonijka to nie zabawka - przyznał Clef. - Jeśli wykorzystasz ją właściwie, to dorówna każdemu z instrumentów orkiestrowych. Jesteś pewien swego wyboru? Staram się postępować fair, skoro tak szczerze oferowałeś mi wybór dyscypliny...

- Jestem pewien - stwierdził Stile, choć pewność siebie Wiolina trochę go zaniepokoiła. Czyżby jego przeciwnik był też mistrzem gry na harmonijce?

- A więc niech tak będzie - powiedział Clef i wyciągnął rękę.

- Umowa tego typu nie jest warta ceny papieru, na którym ją zapisano - przypomniał Stile.

- Lecz mówi się też, że człowiek, który obdarza innych zaufaniem, robi mniej błędów od tego, kto im nie dowierza.

- Tak mi się wydaje. - Stile przyjął wyciągniętą rękę i mocny uścisk przypieczętował umowę.

Właśnie przyszła ich kolej na rozgrywanie planszy. Zrobili tak, jak się umówili. W tej rundzie walczyć będą na harmonijki.

Sheen miała już przygotowany instrument Stile'a; mogła przechowywać różne przedmioty w skrytkach wewnątrz swego ciała. Była też jedyną osobą na Protonie, której Stile mógł w tym względzie zaufać. Musi grać na instrumencie, który zna, na którym grywał już wielokrotnie, a nie na jakimś nieznanym, zaoferowanym mu przez kierujący grą komputer. Choć nie był to Platynowy Flet, to jednak unosiła się wokół niego pewna aura magii. Stile wierzył, że zdoła zagrać na nim tak dobrze, że pokona swego przeciwnika. Sądził też, że człowiek ciągle grający na flecie będzie miał trudności z przestawieniem się w tak krótkim czasie na zupełnie inny instrument. Ze Stile'em było inaczej. Wcale nie był takim słabym muzykiem, a do tego świetnie pojmował samą naturę gry. Nie tylko kwalifikacje mogły przynieść zwycięstwo; istniały też różne sztuczki. A Stile praktykował u jednorożca.

Jednakże Sheen okazywała niepokój. Miała jedną krótką chwilę, by przekazać mu swe informacje.

- Stile, przeprowadziłam małe śledztwo. To nie amator, to ekspert! Clef jest chyba najlepszym muzykiem na tej planecie; obywatele wypożyczają go sobie na wszelkie uroczystości. On umie grać na wszystkim.

Do licha! Czyżby Stile znowu dobrowolnie wszedł do paszczy lwa? Była to konsekwencja tego, że spędzał cały wolny czas na pogoni za czarownikami z magicznego świata, zamiast zająć się porządnie Turniejem. Kiedyż się wreszcie nauczy! Przecież integralną częścią gry było gromadzenie informacji, ustalanie mocnych i słabych stron prawdopodobnych przeciwników, przygotowywanie strategii takiego rozgrywania planszy, by wykorzystać każdą sposobność. Byłoby dla Stile'a lepiej pozostawać na Protonie przez cały czas trwania Turnieju, rozstrzygając sprawę raz na zawsze. Nie mógł się jednak na to zdecydować - pokusa magii, statusu Adepta, wolnego i rozległego świata, a może przede wszystkim pragnienie zdobycia ideału kobiety, były zbyt wielkie. Uznał pewność siebie Clefa za zwykłą brawurę i mógł to być kolosalny błąd. - Zrobię, co się da - obiecał Sheen.

- To nie wystarczy - szepnęła, gdy się rozstawali. Czasem była aż nazbyt ludzka.

Spotkali się z Clefem w sali koncertowej. Widzowie mieli tu prawo wstępu; było około stu miejsc siedzących. Sala została zapełniona prawie w całości.

- Spore zainteresowanie - zauważył Clef. - Chyba jesteś znany.

- Może to miłośnicy muzyki - powiedział Stile.

Często przyciągał widownię, lecz teraz wydawało mu się, że tłum jest gęstszy niż zwykle. Choć, oczywiście, nigdy jeszcze nie występował w Turnieju; wyeliminowano już prawie dziewięć dziesiątych zawodników i widzowie koncentrowali się na znacznie mniejszej liczbie gier.

Zajęli miejsca na niewielkiej scenie. Stały na niej krzesła i pulpity dla muzyków; zwykle, trochę archaiczne rekwizyty konkurencji muzycznych. Clef dostał z magazynów harmonijkę podobną do tej, która należała do Stile'a.

- Oto reguły konkurencji - oznajmił głos komputera. - Każdy z zawodników zagra losowo wybrany utwór solowy. Komputer oceni techniczny poziom gry, widownia zaś siłę oddziaływania. Ostateczna decyzja zostanie podjęta na podstawie obu ocen. Możecie zaczynać. - I na ekranie przed Clefem pojawiła się stronica z zapisem nutowym.

Muzyk podniósł harmonijkę do ust i zaczął grać. Stile poczuł, że opuszcza go odwaga.

Clef był więcej niż dobry; był znakomity. Zaznajomiony ze wszystkimi niuansami gry, umiał zagrać *staccato*, *vibrato*, wykonywał tryle i bez wahania czy błędu zmieniał tonacje. Nawet jeśli harmonijka nie była jego ulubionym instrumentem, ukrył to starannie!

Jego długie, smukłe palce czule obejmowały instrument, prawy palec wskazujący spoczywał na regulatorze skali chromatycznej, rozchylone dłonie modyfikowały jakość dźwięku. Każda nuta była czysta, jasna i trwała tyle, ile powinna; nawet maszyna nie mogłaby zagrać precyzyjniej. Stile wiedział, że nie zrobi tego lepiej.

A jednak nie był pozbawiony wszelkich szans. Komputer wyczulony był na technikę gry, ale widownia reagowała na przekazywane uczucia. Liczył się wygląd grającego, wdzięk jego ruchów i gestów, emocje, które przekazywał widzom, dzielone z nimi piękno, wspólne doświadczenie. Muzyka wymagała udziału publiczności; nawet ludzie pozbawieni skłonności artystycznych lubili stukać palcami, kiwać głową i poruszać się do taktu szczególnie porywającej melodii. Stile zawsze potrafił porwać słuchaczy. Jeśli uda mu się to teraz, wygra połowę punktów i zremisuje. Udział widowni w ocenianiu konkurencji artystycznych miał ogromne znaczenie; dawniej zdarzało się, że zwycięstwo w Turnieju przypadło zawodnikowi, którego gra podobała się wyłącznie komputerowi. Problem ten zresztą był kiedyś powszechny. Przyznawano nagrody obrazom, których nikt nie potrafił zrozumieć, rzeźbom, które tylko śmieszyły widzów, i utworom literackim, których prawie nikt nie czytał. Wyrafinowanym, wyszukany smakiem krytyka zastąpiło osąd prawdziwej widowni, zwykłego człowieka, co zaowocowało upadkiem formy. Tak więc zdecydowano teraz, że w czasie Turnieju sztuka musi być zrozumiała i dla eksperta, i dla przeciętnego odbiorcy, i musi się obu podobać. Stile mógł wyrównać szansę, osiągnąć remis, co zmusiłoby ich do ponownego rozgrywania planszy. Tym razem Stile trzymałby się jak najdalej od muzyki.

Clef skończył grać. Widownia klaskała uprzejmie. Był to świetny występ, nikt w to nie wątpił, lecz drobne i subtelne niuanse nie są tak łatwo dostrzegalne dla przeciętnego człowieka. Ludzie rzadko wiedzą, dlaczego podoba się im właśnie to, a nie co innego; w tym wypadku czuli tylko, że czegoś tu brakuje.

Przyszła kolej na Stile'a. Clef opuścił instrument i stał cicho, tak jak przedtem Stile. Na ekranie znowu zajaśniały nuty. Stile zupełnie ich nie potrzebował; mógł grać z pamięci. Na wszelki wypadek jednak nie odrywał od nich oczu, gdyż nie chciał popełnić choćby najmniejszego błędu, który mógłby zabrzmieć jak zgrzyt w uszach słuchaczy.

Stile grał. Od samego początku czuł, że jego ręce poruszają się po mistrzowsku. Wydawało się, że w dźwiękach harmonijki ożyły wszystkie jego wspomnienia od chwili, gdy ją znalazł w wielkiej dolinie pomiędzy Białymi a Purpurowymi Górami na Phaze. Grając przypominał sobie Neysę i przez chwilę czuł się tak, jakby znowu grał dla niej, razem z nią, pełen miłości. Każda nuta przepojona była prawdą; był pewien, że nie może się pomylić.

Lecz teraz nie grał ani dla siebie, ani dla Neysy. Grał dla publiczności. Skupił więc na niej uwagę, pochylając się do przodu, patrząc kolejno słuchaczom w oczy. Wybijał rytm bosą stopą, nie żeby mu to było potrzebne, lecz by przekazać go widowni. Rytm wybijany palcami stopy trudny jest do zaobserwowania, lecz jeśli użyje się pięty, widać, jak porusza się cała noga. Ludzie zaczęli łapać rytm i go wystukiwać. Stile wybrał sobie pewną młodą

dziewczynę i przez chwilę patrzył jej prosto w oczy, jakby grał tylko dla niej. Za moment skoncentrował się na kimś innym, powoli wciągając wszystkich do gry.

Widownia reagowała doskonale. Wkrótce cała sala kiwała się w takt muzyki, przytupywała, machała rękami. Rozgrzewał ich, czynił częścią muzyki, dzielił się podnieceniem płynącym z uczestnictwa w przedstawieniu. Stali się jednością i wszyscy razem grali na jego harmonijce.

Koniec zaskoczył go. Utwór był taki krótki. Czy to wystarczy?

W chwili gdy Stile odłożył instrument, sala wybuchła frenetycznymi oklaskami. Spojrzał na Clefa... przeciwnik wpatrywał się w niego z rozchylonymi ustami. Wyglądało na to, że nie zdawał sobie sprawy, iż można grać w ten sposób, rzucając w widzów melodią jak bumerangiem i wciągając ich do gry. Pewnie uważał to za sprzeniewierzenie się czystej formie. Stile wygrał uznanie widowni.

I rzeczywiście, oceny okazały się podzielone.

- Technika gry, pierwszy gracz, Clef. Oddziaływanie, drugi gracz, Stile. Remis. - Ze względu na widzów komputer nie używał nadawanych zwykle graczom numerów.

- Wiele mnie nauczyłeś, Stile. Grałeś świetnie. - Clef pokiwał głową ze smutkiem.

Odpowiedź Stile'a zagłuszył kolejny werdykt komputera.

- Prowadzący grę komputer ma prawo zarządzić kontynuację pojedynku zakończonego remisem. Z prawa tego postanowiono skorzystać. Zawodnicy odegrają w duecie wiązankę melodii według zapisu nutowego. Ostatecznym arbitrem będzie zespół wykwalifikowanych muzyków.

Och, nie! A Stile już myślał, że mu się udało. Wpadł w kolejną pułapkę. Cóż, nie pozostawało mu nic innego, jak zagrać najlepiej, jak potrafi, choć nie wątpił, że sędziowie zagłosują przeciwko niemu. Nie mógł liczyć na wzbudzenie wśród nich podobnych emocji jak u zwykłych widzów.

Ogłoszono przerwę, potrzebną do skompletowania zespołu sędziowskiego.

- To dla mnie zupełna nowość - stwierdził Clef. - Czy znasz jakieś precedensy?

- Słyszałem o tym - rzekł Stile - lecz zwykle praktykuje się to w sytuacji, gdy któryś z zawodników nie wyraża zgody na remis i nalega na rozstrzygnięcie meczu.

- Czy to jest sprawiedliwe? Ja oczywiście nie będę protestować przeciwko muzyce, ale wydaje mi się, że ty wolałbyś... to znaczy... wiesz, zespół muzyków...

- Będzie wyżej oceniał muzyka - zgodził się Stile. - Może uda mi się znowu zdobyć poparcie widowni, ale na pewno nie komputera i sędziów. Wygląda na to, że wygrasz.

- Powinieneś złożyć protest!

- Nic z tego - odparł Stile. - Komputer miał prawo wyboru. Muszę się zgodzić. Przecież znałem przepisy Turnieju, jeszcze zanim zostałem jego uczestnikiem. - A teraz prawdopodobnie nadszedł koniec jego uczestnictwa. Tak blisko do pierwszej kluczowej rundy dającej nagrodę w postaci przedłużenia kontraktu!

- Nie podoba mi się to - oznajmił Clef. - Chcę wygrać, to jasne, i będę grać najlepiej, jak potrafię, ale to jest wręcz fundamentalna niesprawiedliwość i to pod kilkoma względami. Po pierwsze, miałbyś większe szansę wygrać ze mną, gdybyśmy jeszcze raz zaczęli od planszy. A po drugie, mógłbyś zająć w tym Turnieju daleko wyżej niż ja; jesteś wykwalifikowanym graczem, a ja jestem dobry tylko w jednej dziedzinie. To ty powinieneś przejść do następnej rundy; ja szybko zostanę wyeliminowany.

- Graj najlepiej, jak potrafisz - poradził mu Stile. - Przypadek zawsze był bardzo ważnym czynnikiem w grze. Jeden przegrywa, drugi wygrywa. Ja sobie jakoś poradzę. - Stile wiedział, że grozi mu klęska, lecz jego sympatia dla tego uczciwego człowieka musiała wzrosnąć. O ileż lepiej ulec takiemu talentowi niż ślepemu losowi!

- Skoro musimy czekać... czy mógłbyś wyjaśnić mi, dlaczego publiczność tak reagowała na twoją muzykę? Obserwowałem cię, lecz nigdy bym nie potrafił tego dokonać. Trochę ci zazdroszczę.

- To coś - Stile wzruszył ramionami - co znajduje się poza muzyką a jednocześnie stanowi jej integralną część. Po prostu musisz nawiązać kontakt z widownią, dla której grasz. Musisz ich czuć.

- Ależ to nie ma nic wspólnego z muzyką! - zaprotestował Clef.

- Na tym polega siła muzyki - ciągnął Stile. - Akustyka emocji. Przenoszenie nastrojów i odczuć jednej osoby na drugą. Instrument spełnia tylko rolę nośnika. Nuty też. Muzyka jest tylko procesem, a nie celem samym w sobie.

- Nie wiem. Brzmi to jak herezja. Kocham muzykę, czystą. Większość ludzi i instytucji daleka jest od ideału; muzyka jest doskonałością.

- Nie możesz ich od siebie oddzielić - stwierdził Stile, którego dyskusja wciągała coraz bardziej. - Uważasz muzykę za perły, a widzów za wieprze, lecz w rzeczywistości perły są wydzieliną podrażnionego ciała małża, a widownią jest ludzkość. Jeśli muzyka ma mieć sens, to nie można tego rozdzielić. To tak jak z kobietą i mężczyzną... jeśli są razem...

- Kobieta i mężczyzna - powtórzył Clef. - Tego też nigdy nie udało mi się do końca zrozumieć.

- Bo to nie takie proste - rzekł Stile, przypominając sobie Błękitną Panią i jej nagłe zmiany nastroju, których doświadczył podczas ich ostatniego spotkania. - Lecz jeśli...

Znowu przerwał mu prowadzący grę komputer.

- Zespół sędziowski jest gotów. Zaczynajcie.

Przed Clefem i Stile'em pojawiły się nuty. Dźwięk metronomu odmierzał czas. Szybko unieśli harmonijki.

Wiązanka melodii była bardzo ciekawa, wysoce urozmaicona przeplatającymi się fragmentami muzyki popularnej, ludowej i klasycznej, pochodzącymi z planety Ziemia. Widownia wpadła w trans. Dźwięk pojedynczego instrumentu może być doskonały, ale dwie idealnie współbrzmujące harmonijki zdecydowanie go przewyższały.

Stile szybko zorientował się, że składanka bardzo mu odpowiada. Grał dobrze, lepiej nawet niż przedtem. Częściowo wynikało to z samej radości płynącej z zastosowania techniki kontrapunktu; to dlatego przecież tak często grali z Neysą w duecie. Ważna też była przyjemność grania z takim partnerem jak Clef- muzykiem tak świetnym, że Stile nie musiał na niego uważać. Mógł w pełni na nim polegać, oprzeć się, wiedząc, że nie popełni żadnego błędu. Stile mógł dać z siebie wszystko. Grunt był przygotowany.

I Stile wystartował. Grał swoją partię z uczuciem, wkładając w grę cały swój zachwyt nad perfekcją harmonii. Spostrzegł, że widownia reaguje żywo; jego technika zaczęła działać. Wprowadził synkopowanie, nieco ubarwiając przedstawienie. Oczywiście, komputer odejmie mu za to kilka punktów; maszyna nie tolerowała najmniejszego odejścia od zapisu nutowego. Do diabła z tym; Stile i tak przegra! Nie mógł prześcignąć swego przeciwnika w doskonałości wykonania, a więc należało korzystać z tego, co sam potrafi najlepiej. Jeśli już pójść na dno, to w swoim własnym stylu. Stile zdecydował się odrzucić wszelkie ograniczenia interpretacji komputerowej. On musi czuć muzykę. I zrobi to... bardzo dobrze.

Nagle zastanowiło go coś w grze Clefa. Początkowo grał on w całkowitej zgodzie z nutami, lecz pewne innowacje wprowadzone przez Stile'a zmusiły i jego do odejścia od wyświetlanego na ekranie zapisu, gdyż jako świetny muzyk nie mógł dopuścić do faktycznego rozpadnięcia się duetu. Muzyka musiała zachować spójność. Teraz, nieoczekiwanie, Clef sam zaczął wprowadzać nowe warianty. Odstępstwa nie były znaczne, lecz Stile wyraźnie je dostrzegał, a więc nie mogli ich nie zauważyć sędziowie; komputer zaś na pewno aż się skręcał z elektronicznej złości. Clef z pewnością miał tego świadomość, dlaczego więc tak robił?

Ponieważ też zaczął czuć muzykę. Z początku niepewnie, nabierając z czasem coraz większego zaufania. Ze zdumiewającą precyzją podążał śladem Stile'a, naśladując go, nawiązując tak jak i on kontakt z widzami. Nie tracił przy tym perfekcyjności wykonania. Grał już tak jak Stile... tyle, że lepiej. Stile musiał ustąpić mu pola, stał się muzycznym tłem

dla Clefa. Nie miał innego wyjścia; w przeciwnym wypadku muzyka utraciłaby swoją jedność, rozpadłaby się, a była zbyt piękna, by Stile mógł na to pozwolić. Clef zajął jego miejsce.

Doszli teraz do fragmentu muzyki klasycznej znanego Stile'owi - *Dziewiąta Symfonia* Beethovena. Cudowna muzyka, której głuchy kompozytor nie usłyszał nigdy. Wspaniałe dzieło... Clef grał swój temat w sposób wręcz natchniony. Stile czuł, że ma rozdartą duszę. Z jednej strony bliski był rezygnacji, czując, że nie jest w stanie dorównać grze przeciwnika i traci nie tylko głosy zespołu sędziowskiego i komputera, lecz również widowni, i w ten sposób kończy się jego udział w Turnieju. Z drugiej strony, zachwycało go czyste piękno *Ody do radości*, świadomość, że nigdy jeszcze tak nie grał; odczuwał szczęście, że uczestniczy w tak doskonałym duecie. Róg Neysy mógł zastąpić niejedną harmonijkę, ale Stile musiał przyznać, że instrument Wiolina był lepszy. Potrafił złożyć wszystkie elementy w jedną całość lepiej niż ktokolwiek inny. I sam też zaczął odczuwać radość muzykowania, dynamicznie poruszał się po scenie, tak jak Stile i cała widownia. Co za przeżycie!

Granie dobiegło końca. Emocje powoli opuszczały Stile'a. Opadła z niego euforia, powoli wracał do rzeczywistości. Nie miał najmniejszej wątpliwości, że przegrał. Jeśli gdzieś we wszechświecie istniał lepszy od Clefa muzyk, to Stile nie był w stanie sobie tego wyobrazić.

Clef stał w milczeniu, ze spuszczonej oczyma. Nikt nie klaskał. Słysząc tylko stłumione szepty pięciu sędziów, którzy porównywali wrażenia, konsultowali się, dyskutowali jakiegoś szczegóły. Stile nie rozumiał, po co to wszystko; nie mogło być przecież wątpliwości, który z nich grał lepiej. Stile był sam sobie winien; wytłumaczył przeciwnikowi, na czym polega tajemnica jego gry, a ten wykorzystał to genialnie. Stile nie potrafił jednak tego żałować, pomimo przykrych konsekwencji; przyjemność wspólnej gry była tak wielka. Przegrana na automacie do gry była dla Stile'a czymś degradującym, bezsensownym, niezadowolającym; ta klęska była podniecająca. Dla tej muzyki warto było oddać królestwo. Przez małą chwilę zetknęli się z nieopisanym pięknem; Stile czuł, że nigdy nie będzie tego żałował. Lepsza wspaniała klęska od nędznego zwycięstwa.

Przewodniczący zespołu sędziowskiego porozumiał się z komputerem.

- Decyzja została podjęta - oznajmił komputer. - Duet ten został uznany za najwspanialszy w historii przykład wykorzystania harmonijki i uwieczniony w archiwum Turnieju jako lekcja do naśladowania. Przegrany otrzymuje specjalną nagrodę, którą jest przedłużenie o rok prawa pobytu na Protonie.

Stile gwałtownie uniósł głowę. Jest uratowany! To była nagroda przeznaczona dla tych,

którym udało się przejść do następnej rundy. Zwycięstwo było oczywiście lepsze, ale i taka nagroda jest nie do pogardzenia.

Dziwne tylko, że Clef zareagował tak samo. Dlaczego miałby się interesować nagrodą obiecaną przegrywającemu? Powinien cieszyć się teraz zwycięstwem.

- Doradczy głos komputera został oddany na Clefa - ciągnął komputer. - Doradczy głos widowni, po przeliczeniu głosów ludzi przysłuchujących się meczowi, pada na Clefa.

Oczywiście. Tym razem Clef otrzymał punkty i za techniczną precyzję wykonania, i za wrażenie - zasłużenie. Stile podszedł, by uściskać dłoń przeciwnika.

- Decyzja zespołu sędziowskiego brzmi: - powiedział wreszcie komputer - Stile.

Stile wyciągnął rękę do Clefa.

- Gratulacje - rzekł.

- Wobec tego zwycięzcą rundy zostaje Stile - zakończył komputer.

Ręka Stile'a zastygła w połowie drogi.

- Co?

Odpowiedzi udzieliła mu maszyna.

- Głosy doradcze nie są dla sędziów wiążące. Stile został zwycięzcą ukończonej właśnie konkurencji. Proszę opróżnić salę przed kolejnym meczem.

- Ale... - zaczął protestować oszołomiony Stile, lecz jego słowa zagłuszyły burzliwe oklaski widowni, a w głośnikach rozległ się równie silny aplauz zachwyconych ludzi, którzy przysłuchiwali się transmisji na zewnątrz.

Clef ujął go mocno pod ramię i poprowadził do wyjścia. Zdumiony, nic nie rozumiejący Stile pozwolił sobą kierować.

Za drzwiami uformowała się już kolejka. Na jej czele stał Strzelec. Obywatel złapał Stile'a za rękę i mocno nią potrząsnął.

- Gratuluję! - powtarzał. - Cudowna gra! - Potem inni kolejno zaczęli mu wieszować, aż wreszcie przebiła się do niego Sheen.

Clef odwrócił się do wyjścia.

- Poczekaj! - krzyknął Stile. - Nie możesz tak odejść! To jakaś pomyłka! To ty wygrałeś! Czy wszyscy oszaleli?

- Nie, ty jesteś zwycięzcą. - Clef uśmiechnął się. - Dziwne, że jeszcze tego nie zauważyłeś.

- Powinieneś złożyć protest! - upierał się Stile. - Przecież słyhać było wyraźnie, że grasz lepiej. Myślę, że jesteś najlepszym muzykiem na świecie!

Sheen zaprowadziła ich do wagonika metra.

- Możliwe... ale dopiero teraz - przyznał Clef. - Pokazałeś mi, jak mam wzbogacić grę. Jestem twoim dłużnikiem.

- Ale jak...

- To przyjemność móc cię czegoś nauczyć. - Uśmiechnął się Clef. - Pamiętasz, jak graliśmy za pierwszym razem i uzyskaliśmy remis?

- Aha - skrzywił się Stile.

- I jak wyjaśniłeś mi, że muzyka nie może obejść się bez współuczestnictwa, że żaden człowiek nie jest wyspą?

- Tak, oczywiście! Okazałeś się bardzo pojętym uczniem!

- Duet jest przedsięwzięciem wspólnym. Jeden musi pomagać drugiemu albo obaj poniosą klęskę.

- Oczywiście, ale...

- Człowiek, który lepiej gra solo, lepszy też będzie w duecie... o ile znajdzie wsparcie w partnerze. Harmonia i kontrapunkt dadzą muzyce nowy wymiar.

- Tak, grałem lepiej, gdyż wiedziałem... byłem pewien, że nie uczynisz żadnego błędu... Ale ty zagrałeś jeszcze lepiej i wzbogaciłeś muzykę bardziej niż ja.

- Też tak sędzę. Ale było to możliwe tylko dzięki twojej pomocy - tłumaczył Clef. - Ja mogłem ci zaoferować tylko bezbłędne technicznie wykonanie, przynajmniej na samym początku; ty pokazałeś mi, jak wypełnić muzykę uczuciem. Nauczyłeś mnie. Samemu nigdy nie udało mi się tego osiągnąć, lecz w duecie z tobą poczułem prawdziwą siłę muzyki, jej duszę i serce. Napęliła mnie sobą, czułem, jak zlewam się z nią w jedno i po raz pierwszy w życiu... uleciałem.

- I wygrałeś! - wykrzyknął Stile. - Zgadzam się ze wszystkim, co powiedziałaś. Obaj wiemy, jak wiele skorzystałaś. Zagrałeś moim sposobem, ale lepiej niż ja mógłbym to kiedykolwiek uczynić. Jednym susem z ucznia stałaś się mistrzem! Sędziowie nie mogli tego nie dostrzec!

- I dostrzegli. Znam ich od lat i oni mnie. Często razem grywaliśmy.

I mimo to dali zwycięstwo Stile'owi? Czyżby chcieli sprawić wrażenie bezstronnych?

Wagon zatrzymał się. Sheen wzięła ich obu za ręce i zaprowadziła do mieszkania.

- I dlatego wygrałeś - upierał się Stile. - To jasne.

- Spójrz na to z drugiej strony; robisz się równie uparty jak ja kiedyś. Jeśli grasz solo na jakimś instrumencie i robisz to dobrze, a potem grasz ten sam kawałek na innym instrumencie tego samego typu i efekt jest lepszy, to gdzie kryje się źródło poprawy?

- W instrumencie - odparł Stile. - Należy założyć, że moje kwalifikacje nie uległy

zmianie.

- Właśnie. A teraz wyobraź sobie, że grasz w duecie z jakąś osobą, a potem z inną i z tą drugą grasz lepiej?

- Prawdopodobnie ten drugi muzyk jest lepszy i to pozwala mi... - nagle Stile umilkł. Zaczynał rozumieć. - Jeśli moja muzyka staje się lepsza dzięki innemu muzykowi, to wszystko zawdzięczam jemu!

- Kiedy graliśmy razem, nauczyłem się więcej niż ty - ciągnął Clef. - Kto z nas wniósł więc więcej do wspólnego przedsięwzięcia? Ten, który stanął na szczycie, czy ten, który go tam postawił?

- Duet... nie jest po to, by popisywać się indywidualnym mistrzostwem - Stile powoli to sobie porządkował. - Ma ujawnić mistrzostwo zbiorowe. Każdy jest tylko częścią zespołu. Ale komputer nie może tego wiedzieć. Więc nie powinien...

- Ostateczna decyzja należała nie do maszyny, lecz do muzyków, i to ich głos był decydujący.

Mózg człowieka jest, mimo wszystko, bardziej złożony od mózgu najinteligentniejszej z maszyn! Oczywiście, muzycy narzucili swój punkt widzenia!

- Tak więc ja wspomogłem twoje wysiłki...

- Bardziej niż ja twoje - dokończył Clef. - Ustąpiłeś mi z drogi; poświęciłeś się dla dobrej muzyki. Byłeś lepszy; dałeś z siebie więcej niż ja, tym samym pokazałeś, że twój udział ważniejszy jest od mojego. Przy tobie każdy zostałby mistrzem. To jest właśnie ten drobny aspekt, który rozumieją eksperci, a którego zupełnie nie uwzględnił ani komputer, ani widzowie. Eksperci rozumieli, że ty dałeś mi możliwość pokazania wszystkiego, co we mnie najlepsze. Należysz do tych muzyków, którzy lepiej czują się w grupie; twój talent polega na uzewnętrznianiu zdolności innych.

Duet z Neysą. Ich melodie były zawsze takie piękne.

- Ja... chyba masz rację - przyznał, wciąż jeszcze oszołomiony.

- Teraz pozwól - Clef wyciągnął do niego rękę - że pogratuluję ci zasłużonego zwycięstwa. Jesteś lepszy i mam nadzieję, że daleko zajdziesz w Turnieju.

- Zwyciężyłem dzięki dosyć niekonwencjonalnemu sędziowaniu, ale na pewno nie jestem lepszy. - Stile uścisnął dłoń Clefa. - Lecz skoro przegrałeś... nie będziesz mógł już więcej grać na Protonie.

- Mam przecież jeszcze rok dzięki specjalnej nagrodzie. A poza tym razem daliśmy najpiękniejszy recital harmonijkowy w historii Protonu. Nie to jest jednak najważniejsze. Proton nie jest mi już potrzebny. Ty podarowałeś mi cały Kosmos! Dzięki temu, czego mnie

nauczyłeś, mogę grać wszędzie i dostawać nieograniczone wprost honoraria. Mogę żyć jak obywatel. Naprawdę, zyskałem więcej, niż straciłem.

- Cieszę się - uspokoił się Stile, - Muzyk twojego kalibru... najlepszy, jakiego można oczekiwać... - Umilkł i coś wspaniałego zaczęło przychodzić mu do głowy. - Twoim ulubionym instrumentem jest flet, prawda?

Clef uniósł wyrazistą brew.

- Oczywiście. Pracodawca dostarczył mi srebrny flet, a czasami mogę grać na złotym. Mam nadzieję, że pewnego dnia będzie mnie stać na taki instrument. Jego dźwięk...

- A co myślisz o flecie platynowym?

- To byłoby najlepsze! Ale wszystko zależy od tego, kto go zrobił. Mistrzostwo wykonania ważniejsze jest od metalu, choć oczywiście najlepszy rzemieślnik nie może poprawić natury metalu. Lecz na cóż te głupie marzenia. Jedynymi rzemieślnikami, którzy potrafią poradzić sobie z platyną, są ludzie z Ziemi.

- Sheen - mruknął Stile.

Sheen wyciągnęła Platynowy Flet i podała go Clefowi.

Ujął go w rękę z szacunkiem i strachem.

- Więc on naprawdę istnieje! Platynowe arcydzieło! Nie rozpoznaję twórcy, lecz wykonanie wydaje się doskonałe. Kto to był... czy jest to wyrób obcych?

- Elfów - odparł Stile.

- No, nie. - Clef wybuchnął śmiechem. - Ja chcę naprawdę to wiedzieć. To ma dla mnie ogromne znaczenie. Instrument wydaje mi się wprost idealny.

- Lud Kurhanu. Mali Ludzie. Pomiędzy nimi jestem olbrzymem. Wkładają w swoje dzieła trochę magii. Ten flet jest zaczarowany; pożyczono mi go i mogę posługiwać się nim, dopóki nie odnajdę kogoś, kto potrafi lepiej go użyć niż ja. Powinienem rozpoznać cię od razu, kiedy się spotkaliśmy, lecz podejrzewam, że podświadomie nie chciałem rozstać się z tym magicznym instrumentem i tłumilem w sobie pewne uczucia. Złożyłem jednak przysięgę i muszę jej dotrzymać. Teraz rozumiem, co musiały czuć elfy, gdy oddawały mi ten instrument. Nie tak łatwo jest wypuścić go z rąk.

- Nie wątpię! - Clef obracał flet w dłoniach; nie mógł oderwać od niego oczu. Światło migotało na powierzchni instrumentu, jakby hipnotyzując go. Wreszcie Clef uniósł flet do ust.

- Czy mogę?

- Oczywiście. Chciałbym usłyszeć, jak grasz.

I Clef zagrał. Muzyka popłynęła platynowym strumieniem, tak czystym i bogatym, że Stile zdrzął z rozkoszy. Był pewien, że żaden jeszcze człowiek nie grał tak wspaniale.

Czysto ludzki zachwyty widać było nawet na twarzy Sheen; coś niezwykłego u robota. Stile nie umiałby tak zagrać.

Clef skończył i znowu wpatrywał się w instrument.

- Muszę go mieć.

- Cena jest bardzo wysoka - ostrzegł go Stile.

- Cena nie gra roli. Wszystko, co zarobiłem na Protonie, jest do...

- Nie pieniądze. Życie. Możliwe, że będziesz musiał porzucić Proton, a nawet swoją karierę zawodowego muzyka. Odwiedzisz kraj magii, gdzie grozić ci będą potwory i wrogie zaklęcia; oddasz flet tym, którzy go zrobili, i nie będziesz miał żadnej gwarancji, że pozwolą ci go zachować. Mogą zażądać od ciebie jakiejś trudnej i czasochłonnej usługi. Może też się zdarzyć, iż raz wszedłszy na ich tereny, nigdy nie zdołasz ich opuścić. Elfy nie lubią ludzi, lecz wciąż poszukują człowieka, którego przyjsie zostało przepowiedziane, lecz co takiego ma on zrobić, nie wiem; na pewno coś ważnego i trudnego.

Oczy Clefa nie odrywały się od Platynowego Fletu.

- Pokaż mi tylko drogę.

- Pomogę ci na samym początku, lecz gdy dotrzemy już do ziem Platynowych Elfów, musisz poradzić sobie sam. Flet będzie dla ciebie obroną; w potrzebie może przekształcić się w świetny rapier. Kiedy dojdiesz do Kurhanu, znajdziesz się w mocy elfów. Ale jeszcze raz cię ostrzegam...

- Muszę tam iść - przerwał mu Clef.

Stile rozłożył ręce.

- A więc Flet jest teraz twój. Możesz używać go, dopóki nie dowiesz się, czy naprawdę jesteś tym z przepowiedni. Przeprowadzę cię przez zasłonę. Może jeszcze kiedyś się spotkamy. - Jakoś nie miał wątpliwości, że Clef z łatwością przekroczy zasłonę.

- Już kiedyś zabrałeś tam Hulka - przypomniała mu Sheen. - Kiedy wrócił...

- Pewne sprawy są poza życiem i śmiercią - odparł Stile. - Będzie to, co ma być. - Cały czas męczył go problem, skąd elfy mogły wiedzieć, że Stile napotka na swej drodze Clefa, człowieka, którego tak bardzo potrzebowały, lecz nie mogły osiągnąć w tym obcym dla nich świecie. Przecież jego spotkanie z Clefem było czystym przypadkiem... a może...?

Rozdział 10

CZERWIEN

- Tak wysłałem go do Ludzi Kurhanu - skończył swą opowieść Stile. - Nie wiem, czego od niego potrzebują, lecz mam nadzieję, że nie spotka go krzywda.

- Elfy nie są złe - odparła Błękitna Pani. - Tak jak i my, posłuszne są swemu przeznaczeniu, lecz zwyczajnie ich różni się od naszych.

- Teraz ja muszę spełnić me przeznaczenie i w końcu stanąć do walki przeciwko mojemu i twojemu wrogowi. Muszę zabić Czerwoną Adeptkę; tak przysiągłem i tak musi się stać.

- Niech więc tak będzie - odparła w zamyśleniu.

Jak zwykle odziana była na błękitno, a jej uroda zniewalała. Znajdowali się w prywatnych komnatach Błękitnego Zamku. Neysa była chwilowo nieobecna; pilnowała, by Clef dotarł bezpiecznie do Ludzi Kurhanu. Wilki Kurrelgyre'a polowały w okolicach zamku, pilnując go przy okazji. Na razie jednak żaden wrogi czyn nie zakłócił spokoju królestwa.

- Rozumiem, co dla ciebie znaczy zemsta - ciągnęła Błękitna Pani. - I z chęcią zobaczyłabym mego pana pomszczonego; nie jestem wcale łagodniejsza od ciebie. A jednak nie podoba mi się to. Jest coś, o czym nie masz pojęcia.

- Mam nadzieję, że nie będziemy się znowu kłócić - zaniepokoił się Stile. - Choć bardzo pragnę twej przychylności, o czym zresztą dobrze wiesz, to jednak nie pozwolę odwieść się od...

- Spór wydaje mi się nieunikniony - przerwała Błękitna Pani - ale inny od poprzednich. Wstyd mi, że wcześniej nadużyłam twej cierpliwości. Obiecałam pomóc ci w twych usiłowaniach i nie złamię danego słowa. Wcale nie podoba mi się rola obrońcy wroga, lecz muszę ci wyjawić, że zostałeś wprowadzony w błąd.

- To nie Czerwona Adeptka jest moim wrogiem? - spytał nagle zaniepokojony Stile.

- Zapomnij choć na chwilę o Czerwonej Adeptce - krzyknęła. - To dotyczy nas.

- Czy obraziłem cię w jakiś sposób? Wybacz, proszę. Są w tym świecie pewne zwyczaje, których jeszcze...

- Nie przepraszaj mnie! To ja cię skrzywdziłam!

- Nie sądzę, byś była do tego zdolna, pani - Stile pokręcił głową.

- Słuchaj mnie! - Jej błękitne oczy rozbłysły nagle, aż pojaśniało w komnacie. - Muszę ci to powiedzieć. - Odetchnęła głęboko. - Wiedz, że nigdy przedtem, zanim ty nie pojawiłeś

się w Błękitnym Królestwie, nie skłamałam.

Stile dotąd nie traktował całej tej sprawy poważnie.

- Wiesz przecież, że nie toleruję w królestwie kłamstwa. Jestem pod tym względem wiernym odbiciem mego sobowtóra. Dlaczego mnie okłamałaś? Co ci zrobiłem?

- To dlatego - Błękitna Pani mówiła z trudem - że okłamałam najpierw sama siebie. Nie chciałam dostrzec prawdy. - wyszeptała, a w jej oczach zabłyśły łzy.

Stile pragnął objąć ją, pocieszyć, lecz stał sztywno jak najdalej od pani. Nie miał prawa jej obejmować, bez względu na to, co zrobiła. Wspomnił jednak, jak sam wzbraniał się przed uznaniem Clefa za właściwego depozytariusza Fletu, i pomyślał, że może Pani broni się przed ujawnieniem podobnie bolesnej rewelacji. Nie było to kłamstwo, które potępiłby bezwzględnie.

- Pani, muszę to wiedzieć. Co to za kłamstwo?

Kiedyś okłamała go kobieta, bardziej z litości niż gniewu. Kłamstwo to złamało mu serce i odmieniło jego życie. A jednak patrząc teraz w przeszłość, nie potrafił jej tak bardzo winić, gdyż jednocześnie zaznajomiła go z muzyką. Błękitna Pani miała wyższą pozycję niż niewolnica i jej kłamstwo mogło przysporzyć więcej szkód. Wiedział, że nie zrobiła tego dla kaprysu.

Wstała i odwróciła się od niego, zawstydzona.

- Kiedy powiedziałam... kiedy mówiłam ci... - Nie mogła dokończyć.

Stile przypomniał sobie, jak Sheen próbowała początkowo ukryć przed nim swą tożsamość. Zmusił ją do jej ujawnienia i potem tego żałował. Związek z Sheen doprowadził go do Phaze, jeszcze raz zmieniając w zasadniczy sposób jego życie.

Wydawało się, że wszystkie ważne wydarzenia i kryzysy w jego życiu związane są z kłamstwami kobiet.

- Taki jesteś podobny do mego pana! - wyrwało się z ust Błękitnej Pani, ramiona jej drżały.

- To nie przypadek, pani. - Stile uśmiechnął się ponuro. Przypomniał sobie, jak podobna była do niej Blulette, jej protoński sobowtór. Czy zdołała umknąć łapom robota? Stile nie miał odwagi tego sprawdzać. Martwa Blulette byłaby dla niego wyrzutem sumienia. A żywa? Jak miałby się do niej odnosić - pułapka, w którą wpadła, została przecież zastawiona na niego!

- Kiedy powiedziałam... - Błękitna Pani zamilkła na chwilę, a potem zmusiła się do mówienia - że cię nie Kocham.

Stile poczuł się tak jak wtedy, gdy ogłoszono go zwycięzcą konkursu gry na harmonijce. Czyżby źle usłyszał lub wziął życzenie za rzeczywistość?

- Kochasz przecież swego pana, prawdziwego Błękitnego Adepta, do którego ja jestem tylko podobny. Zawsze o tym wiedziałem.

- Ciebie - odparła. - Ciebie... ciebie.

Wspominała mu kiedyś o zwyczajach miłości, lecz zrozumiałby, nawet gdyby tego nie zrobiła. Powietrze zadrżało, zafalowały zasłony w oknach, a leciutki podmuch wiatru zmierzwił mu włosy. Przez chwilę pokój jarzył się błękitem. Potem wszystko przygasło i stało się takie jak przedtem.

Z wyjątkiem kłamstwa, które zostało unicestwione. Gdyż takie właśnie fale przebiegały przez magiczny świat Phaze za każdym razem, gdy wypowiedziana została najgłębsza prawda. Błękitna Pani wyznała miłość... jemu właśnie.

Stile nie wiedział, jak ma się zachować. Był przecież głęboko przekonany, że uczucie Pani przyjdzie mu zdobywać przez wiele lat, o ile w ogóle uda mu się to kiedykolwiek. Znał najbardziej naturalną odpowiedź na takie wyznanie, lecz nie mógł się na nią odważyć.

Pani, wyjawivszy prawdę, zapagnęła wyjaśnić mu wszystko.

- Kiedy dzięki magii udowodniłeś swoją tożsamość, a ja ujrzałam, jak bardzo kochają cię zwierzęta, poczułam się tak, jakby moje serce było obłożoną twierdzą. Sądziłam, że albo będziesz podobny do golema - drewniany, martwy, odrażający, albo też użyjesz magii, by, jak to sugerowała Żółta Wiedźma, uczynić mnie powolną twoim pragnieniom.

- Nie, tylko nie to! - zaprotestował Stile. - Jesteś przecież wdową!

- I zawsze starałeś się zapewnić mi bezpieczeństwo, czy to przy pomocy Hulka, Neysy i wilków, czy też magicznych wywarów. Tak czynił mój pan.

- Ależ oczywiście! Pani Błękitnego Królestwa zawsze musi być otoczona opieką!

- Czy mógłbyś zamilknąć choć na chwilę?! - zakrzyknęła - Próbuję wyjaśnić ci, dlaczego cię pokochałam. Mógłbyś przynajmniej dać mi skończyć.

Stile, nie mając innego wyjścia, zamilkł.

- Trzy cechy wyróżniały mego pana - ciągnęła. - Był najlepszym jeźdźcem na Phaze... i ty także. Był najsilniejszym z Adeptów... ty też. I wreszcie jego uczciwość była absolutna... tak jak twoja. A nawet... choć długo nie chciałam tego przyznać, lecz nie będę więcej kłamać... sądzę, że w pewien sposób jesteś od niego lepszy.

- Pani...

- Nie prześladowaj mnie więcej tą skromnością! - krzyknęła i Stile znowu posłusznie zamilkł.

- Nigdy pan mój nie dosiadł jednoroźca - rzekła. - Nigdy nie zaczarował całego ich stada tak, by przysięgły mu przyjaźń. Nigdy nie zdobył lojalności wilczej watahy. Myślę, że

mógłby tego dokonać, gdyby chciał, ale on nigdy nie próbował. A więc był mniej wart niż ty, gdyż mniej zadawał sobie trudu. Mógł zawsze polegać na magii; może dlatego nie był tak ambitny. A ty... ty jesteś tym, kim on mógłby być. I ja... Kocham tego, którym on mógłby być.

Stile znowu spróbował coś powiedzieć, lecz powstrzymała go ostrym spojrzeniem. - Kiedy przysięgałeś Neysie przyjaźń, to siła twego zaklęcia była tak wielka, że ogarnęła nas wszystkich. To magia pokonała mnie i w tej samej chwili zrozumiałam, że nigdy więcej nie zdołam ci się sprzeciwić. Obdarzyłam Neysę tym samym uczuciem co ty, i tak już zostało. Nie wyrzekłabym się go, nawet gdybym mogła. Neysa zawsze będzie moją przyjaciółką, gotowa jestem oddać za nią życie i honor. Wiem jednak, że to nie z powodu jej zalet, choć ma ich tak wiele, narodziła się nasza przyjaźń. To siła twego zaklęcia, któremu nic na tym świecie nie może dorównać. Kocham Neysę, a ona - ciebie i przez to ja też muszę darzyć cię miłością.

Ponownie Stile chciał jej przerwać i znów mu to udaremniła.

- Mówię ci to, by udowodnić, że wiem, jak bardzo podziałała na mnie twoja magia. Z pewnością jednak moja miłość zrodziła się nie tylko pod jej wpływem. Kocham cię po części dlatego, że doświadczyłam głębi twego uczucia do Neysy, a trudno jest odrzucić uczucie o takiej sile. Umiesz kochać, Adepcie, i dlatego wart jesteś miłości. Lecz ja Kocham cię zbyt gorąco, by można to było złożyć tylko na karb magii.

Umilkła i tym razem Stile okazał tyle przytomności umysłu, by się nie odzywać.

- Kiedy zabrałeś mnie ze sobą na poszukiwania Ludzi Kurhanu - mówiła - i gdy Sidhowie igrali z naszym losem, a ty tańczyłeś z małą czarodziejką, cierpiałam męki zazdrości. A kiedy zatańczyłeś ze mną, tak jak robił to mój pan... - Zamilkła i przeszła się po pokoju. - Byłam głupia. Sądziłam, że potrafię odrzucić twoje prośby, lecz kiedy usłyszałam, jak grasz na magicznym flecie... O panie mój, cóż to była za muzyka! Nie słyszałam takiej od czasu, gdy po raz pierwszy starałeś się o mnie. Odszedłeś, by walczyć z okropnym Robalem, a ja przeklinałam sama siebie za okazane ci okrucieństwo i przysięgałam, że wynagrodzę ci to, jeśli tylko powrócisz żywy. A jednak, kiedy wróciłeś, stwardniało me serce i powtarzałam sobie, iż to być nie może. Kłamstwo było we mnie samej, a ja nie potrafiłam go odrzucić. I w czasie Roźcolimpiady, gdy tak ochoczo broniłeś mnie przed obelgami Żółtej... cóż, jestem kobietą, jestem słaba... moje serce wezbrało wdzięcznością i wstydem. I nie mogłam powstrzymać się, musiałam usłyszeć jeszcze raz, jak grasz, więc zdradziłam twą tajemnicę Żółtej. Patrzyłam potem, jak o mało co nie zginąłeś w pojedynku z Ogierem. Mimo to nadal postępowałam niemądrze, tak jak powiedziała to Żółta. A wreszcie, gdy przyszedłeś do mnie po utracie przyjaciela i odniesionej porażce w grze... jakże pragnęłam pocieszyć cię z całego

serca, lecz kłamstwo leżało między nami jak cuchnący trup, zmieniając w drwinę to, co mogło być takie piękne, zwiększając twe cierpienia, sprawiając, że stałam się jako przekupka. A jednak ty potrafiłeś znaleźć właściwą drogę, dokładnie tak, jak on by to zrobił, i zrozumiałam, że jestem zgubiona. Przestraszyłam się, że zginiesz, zanim będę miała okazję prosić cię o wybaczenie, na które nie zasłużyłam...

- Wybaczam ci to kłamstwo! - zawołał Stile i znowu powietrze wokół nich zafalowało, zadrżały sprzęty w komnacie, a wiatr poruszył warkocze Błękitnej Pani.

Znowu odwróciła się od niego, jakby zawstydzona tym, co musiała powiedzieć.

- Kiedy pierwszy Błękitny Adept starał się o moją rękę, byłam jeszcze głupią dziewczyną: Nie potrafiłam traktować go zupełnie poważnie, gdyż dla mego niedoświadczonego oka zbyt przypominał dziecko lub kogoś z Małego Ludu. Nawet gdy zostałam jego żoną, nie kochałam go tak, jak powinnam. Kiedy dowiedziałam się o wróżbie mówiącej, że nie będę miała z nim dziecka, bolałam bardziej nad moją stratą niż nad jego. Przez lata ociągałam się i powoli uczyłam się kochać go naprawdę; dopiero gdy zginął, pojęłam, jak głęboka stała się moja miłość. Jakaż byłam niemądra. Dopiero gdy odszedł, zatraciłam się w miłości. Przysięgam, gdy już było za późno, że nigdy więcej nie postąpię tak głupio. A jednak potraktowałam ciebie tak samo jak jego. Teraz odchodzisz, może idziesz na śmierć i nie mogę już dłużej oszukiwać - ani siebie, ani ciebie. Zanim zginiesz, musisz najpierw poznać moją miłość. I to właśnie chciałam ci powiedzieć.

Dopiero teraz pozwoliła mu mówić. Stile nie wątpił w jej szczerą miłość. Kochał ją i oboje świetnie o tym wiedzieli, lecz nie był pewien, czy chce takiej właśnie miłości.

- W jaki sposób zginął twój pan? - spytał.

Nawet jeśli uważała, że pytanie to nie ma teraz znaczenia, to nic nie dała po sobie poznać. - Podczas nieobecności mego pana zjawił się w zamku golem podobny do niego jak dwie krople wody. Na początku myślałam, że to Błękitny Adept, lecz prędko poznałam moją pomyłkę. „Przynoszę Błękitnemu amulet”, powiedział golem i dał mi posążek demona na łańcuszku, taki, jakiego używają podróżujący między światami, by stworzyć iluzję ubrania, którego nie mają.

- Spotkałem jednego z nich! - wykrzyknął Stile. - Kiedy wypowiedziałem zaklęcie, demon usiłował udusić mnie łańcuszkiem.

- Tak właśnie się stało - potwierdziła ze smutkiem. - A ja w mej niewinności przekazałam amulet memu panu, który sądził, że zawiera on wiadomość, może podziękowanie za oddaną przysługę. Prosiłam, by uruchamiał go ostrożnie, na wypadek gdyby kryło się w nim jakieś niebezpieczeństwo, lecz nie posłuchał mnie. Założył go na szyję

i... - Nie mogła dalej mówić.

- I amulet zadusił go, zanim zdołał wypowiedzieć osłaniające go zaklęcie - dokończył Stile. - Magię przyzwyczaił się zwalczać magią, a tym razem nie mógł. Gdyby użył siły fizycznej...

- Nie potrafię wskrzesić martwego - łkała Pani. - Nie mogłam też pozwolić, by rozeszła się wieść o jego śmierci; zaszkodziłoby to królestwu. Ten odrażający golem zajął jego miejsce, a ja musiałam z nim współpracować...

A więc znowu Stile nie dowiedział się niczego o motywie zbrodni. Czerwona Adeptka zamówiła u Brązowego Adepta golema i użyła go, bez wiedzy jego twórcy, do złych celów. Może nawet spowodowała śmierć poprzedniego Brązowego Adepta, by uniemożliwić mu interwencję, pozostawiając na jego miejscu niedoświadczone dziecko. Sam golem nie mógł popełnić morderstwa; nie do tego został stworzony. Brązowy sądził pewnie, że jego twór będzie służyć jako sobowtór Błękitnego, gdy ten zechce ukryć swą nieobecność w zamku lub nie będzie czuć się na tyle dobrze, by występować publicznie. Taką samą rolę spełniał podobny do Stile'a robot na Protonie.

- To przekleństwo bezpłodności... o co tu chodzi?

- Kiedy wyszłam za Błękitnego, odwiedziłam Wyrocznię, by dowiedzieć się, ile będę miała dzieci; dla próżnej dziewczęcej ciekawości zmarnowałam moje jedyne pytanie. Wyrocznia odparła: „Z pierwszym nic, z drugim syna”. Nie rozumiałam sensu tych słów, dopóki nie zginął mój pan. Będę miała dzieci, lecz nie z moim pierwszym mężem. Och, pojęłam to, ale nie przyszło mi do głowy, że nie jest to przekleństwo bezpłodności, lecz zapowiedź rychłej śmierci. Sądziłam, że on nie może mieć dzieci... - Znowu załkała, lecz opanowała się szybko. - Teraz ty jesteś moim drugim mężem i zanim zginiesz, szukając zemsty, musisz dać mi syna! - dokończyła pełnym determinacji tonem.

- Mój syn nie będzie wychowywany przez wdowę! - odparł Stile.

Pani w końcu spojrzała mu w twarz.

- Kocham cię. Wyznałam ci to w końcu. Nie karz mnie swoją odmową. Muszę choć tyle od ciebie dostać.

Umysł Stile'a nie przestawał pracować. Kochał Błękitną Panią, lecz to jej niespodziewane wyznanie miłości było zbyt nagłe, by umiał na nie odpowiedzieć. Będzie gotów dopiero po przemyśleniu pewnych spraw; w tej chwili wszystko to wydało mu się zbyt nieoczekiwanym zrządzeniem losu. Bał się trochę, że dar ten może mu być odebrany równie nagle, jak został ofiarowany, i pragnął się przed tym zabezpieczyć. Miłość go już nie zaślepiała, cierpienie nauczyło ostrożności. Tak więc rozglądał się teraz w poszukiwaniu

pułapek. Nie wątpił w szczerłość Pani i bardzo jej pragnął, ale nie ufał magicznym zrządzeniom losu.

- Wyrocznia zawsze mówi prawdę.

- Tak. - Spojrzała na niego pytająco. Nie zachowywał się tak, jak się tego spodziewała, wnosząc z dotychczasowych swoich doświadczeń z nimi oboma.

- A więc nie umrę, zanim nie dam ci syna. Pozwól więc, że wstrzymam się z tym, dopóki nie rozprawię się z Czerwoną Adeptką, bym miał szansę i na dziecko, i na życie z tobą.

Jej piękna twarz rozjaśniła się zrozumieniem.

- Tak! Musisz przeżyć! Jeśli nie zniknie niebezpieczeństwo wiszące nad twym życiem, nie ma nawet cienia gwarancji, że przeżyjesz choć jeden dzień po narodzinach dziecka.

To była pułapka, którą zastawił nań los, czyniąc ich związek potencjalnie krótkim. Nie zmiana jej uczuć, lecz jego śmierć. Chwila namysłu uratowała mu pewnie życie.

Błękitnej Pani też coś przyszło do głowy.

- Ale ty przecież nie jesteś moim mężem. Jeśli będziesz się opierał, może się zdarzyć, że inny mężczyzna... jakież obrzydzenie budzi we mnie ta myśl!... ożeni się ze mną i da mi syna. To musisz być ty, nie chcę nikogo innego, więc...

Jakżeż los chciał go oszukać! Niewiele brakowało, a Stile wpadłby w pułapkę.

- Jest na to rozwiązanie - odparł. Ujął jej dłonie w swe ręce. - Pani Błękitnego Królestwa, błagam cię, zostań moją żoną.

- Nie powiedziałaś, że mnie kochasz - poskarżyła się.

- Wszystko we właściwym czasie.

Nie mogła mu się więcej sprzeciwić.

- Oddaję ci moją rękę i serce - rzekła z promiennym uśmiechem.

Wyszli na zewnątrz. Neysa wróciła właśnie, wypełniwszy swą misję i wyraźnie przeczuwała, co się dzieje.

- Przyjaciółko - zwrócił się do niej Stile. - Poprosiłem Panią o rękę i zostałem przyjęty. Czy zechcesz zostać świadkiem naszych zaślubin?

Neysa zagrała pojedynczą nutę. Prawie natychmiast zgromadziła się wokół niej wataha wilków; zwierzęta przybywały ze wszystkich stron. Kurrelgyre przemienił się w człowieka.

- Klacz mówi, że zdobyłeś wreszcie Panią! - zawołał. - Gratuluję!

Stile po raz kolejny zdumiał się, jak wiele treści potrafi zawrzeć jednorozec w jednym tylko dźwięku. Wilki uformowały krąg, Kurrelgyre stał naprzeciwko narzeczonych, a Neysa, w swej naturalnej postaci, pomiędzy nimi. Nikt nie mógł mieć wątpliwości co do sensu tej

ceremonii.

- Mocą władzy danej mi jako przywódcy watahy rozpoczynam ceremonię zaślubin - ogłosił Kurrelgyre. - Neyso, czy gotowa jesteś świadczyć, jako przyjaciel obu stron, że ten oto mężczyzna i ta kobieta chcą dobrowolnie i bez przymusu zawrzeć małżeństwo? - Neysa parsknęła melodyjnie. - Ta suka... to znaczy, ta kobieta - poprawił się wilkołak; Błękitna Pani uśmiechnęła się, wiedziała, że słowo „suka” nie jest w ustach wilka obraźliwe. Neysa potakująco zagrała na rogu.

- Wilki i suki mej watahy, czy możecie zaświadczyć, że związek został zawarty zgodnie z prawem? - spytał się retorycznie Kurrelgyre.

Odpowiedział mu ogólny pomruk zgody, przerywany tylko kilkoma pełnymi podniecenia poszczekiwaniami. Wilki świetnie się bawiły.

- A więc ogłaszam was teraz mężem i suką... hę, żoną. - stwierdził uroczyście Kurrelgyre. Neysa, która stała między nimi, cofnęła się o krok.

Stile i Pani zwrócili się ku sobie. Przez chwilę Stile trzymał ją na odległość wyciągniętych ramion. Miała na sobie swoją codzienną, niebieską sukienkę, lecz dla niego była najcudowniejszą istotą, o jakiej mógł zamarzyć. - Ciebie... ciebie... ciebie - powiedział. A potem ją pocałował.

Otoczyło ich migotanie przysięgi, jak wiatr przemknęło przez królestwo, poruszając sierścią zwierząt i barwiąc trawę na wszystkie kolory tęczy. Przez chwilę, która wydawała się wiecznością, obejmował ją, a kiedy uwolnił ją z uścisku, odziana była w jasnyniebieską suknię ślubną, jaśniejącą magicznym blaskiem.

- A teraz muszę udać się na poszukiwanie Czerwonej Adeptki - oznajmił Stile, gdy ceremonia została zakończona.

I wilki, i Neysa byli wyraźnie zdziwieni. Rozległy się pomruki i piski zaskoczenia, a Neysa odegrała na rogu całą wiązkę melodii.

- Chyba nie teraz! - zaprotestował Kurrelgyre. - Może jutro...

- Natychmiast - odparł Stile, wskazując na grzbiet Neysy. - Spotkamy się wkrótce, żono.

- Wkrótce - zgodziła się z uśmiechem.

Neysa, reagując na jego nie wypowiedziane polecenie, pokłusowała na wschód, ku Czerwonemu Królestwu.

Kiedy oddalili się już od zamku, zagrała na rogu pytającą nutę. Stile rozjaśnił się.

- Skoro jesteś gotowa wydobyć ze mnie odpowiedź nawet przy pomocy ostrza twego rogu, nie mogę milczeć. Wyrocznia powiedziała Pani: „Z pierwszym nic, z drugim syn”. To

ja jestem tym drugim mężem i...

Neysa zaśmiała się melodyjnie. Od razu zrozumiała wszystko. Ilu Adeptów potrafiłoby zdobyć zapewnienie Wyroczni, że przeżyje śmiertelny pojedynek, by spłodzić syna? Stile sprytnie zmusił wróżbę, by pracowała na jego korzyść.

Podczas długich godzin jazdy Stile skoncentrował się na wymyślaniu zaklęć. Potrzebował najrozmaitszych: zaczepnych i obronnych. Wiedział, że przeżyje to spotkanie, lecz nie miał gwarancji zwycięstwa. Mógł zostać okaleczony, stracić wzrok; co z tego, że spłodziłby syna, skoro nie mógłby żyć pełnią życia. Proroctwa Wyroczni często były niejasne i Stile musiał strzec się ukrytych w nich pułapek, których nie udało mu się przewidzieć. Rozumiał zresztą dobrze, dlaczego proroctwa mogły wprowadzać w błąd. Osoba, której przepowiedziano w określonym miejscu i czasie śmierć, będzie starała się ze wszystkich sił uniknąć tej sytuacji, a więc jasno wyrażone proroctwo mogło samo się zneutralizować. Niemożliwa była jednocześnie i całkowita jasność, i stuprocentowa dokładność. Zresztą zagrożenie nie musi być wcale jednoznacznie określone; człowiek może umrzeć na wiele różnych sposobów i przeżyć za cenę gorszą od śmierci. Wypowiedzi Wyroczni musiały być krótkie i zawierać w sobie wszystkie te możliwości, a więc z natury rzeczy nie mogły być jednoznaczne. Tak więc Stile zamierzał walczyć o jak najkorzystniejszą interpretację tego szczególnego proroctwa. Wyrocznia nie powiedziała przecież wprost, jaki będzie jego los; zdefiniowała tylko ogólnie możliwe parametry. Interpretacja stanowiła o istocie wróżby.

„Niech czar umyka, w piekle znika”, pomyślał, starając się przy tym niczego sobie nie wyobrażać. Czy podziała to na amulet? Powinno, jeśli tylko wypowie słowa z właściwą mocą. Jak mógł wnioskować ze swego dość ograniczonego doświadczenia, amulet był zestalonym zaklęciem, uśpionym do chwili uruchomienia go. Niektóre z talizmanów, jak te leczące lub zastępujące odzież, działały powoli i ich efekt był długotrwały. Inne, takie jak duszący demon, osiągały całą swą moc w kilka sekund. Najważniejsze, żeby miał wystarczająco dużo czasu do zaśpiewania wcześniej przygotowanego kontrzaklęcia. Może powinien przygotować sobie kilka łatwych wariantów, które nie będą co prawda miały pełnej mocy, lecz w sytuacji podbramkowej wystarczą. „Zaklęcie znika, szybko umyka. Zamień zaklęcie w ręk kłaśnięcie. Zaklęcie umyka, wraca muzyka. Groźne czary, efekt mały”. Jako poezja bardzo to było nieudolne, lecz tak działała jego magia. Prawdziwa poezja, w której forma, styl i znaczenie były ważniejsze od rymu czy rytmu, wymagała czasu, a Stile nie był pewien, ile go będzie miał. Z pewnością lepsze wiersze przynosiły silniejszy efekt - Stile uważał słowa swojej przysięgi przyjaźni z Neysą za trochę zgrabniejsze od zwykłej rymowanki - lecz w normalnych sytuacjach nie potrzebował aż takiej mocy. Zajął się więc

wymyślaniem prościutkich wierszyków, próbując przygotować się na każdą okoliczność.

Minęli opustoszałe teraz tereny Roźcolimpiady.

- Byłaś wspaniała, Neyso - wyszeptał Stile. - Przyniosłaś zaszczyt swemu stadu.

Neysa parsknęła z zadowoleniem. Nie zwycięstwo było dla niej ważne, lecz zdobycie prawa do występowania w zawodach.

Przed nocą zbliżyli się do Czerwonego Królestwa. Stile zaczął rozglądać się za miejscem na biwak; nie chciał walczyć po ciemku. Tyle było jeszcze do przemyślenia. Mógł oczywiście wyczarować dla nich jakieś schronienie, lecz na razie nie chciał używać magii. Czerwona Adeptka mogła wyczuć obecność magicznej mocy w pobliżu, a Stile wołał sprawić swym przybyciem jak największą niespodziankę.

Neysa wybrała już miejsce. Zatrzymała się przed ogromną jaskinią i zagrała na rogu. Z ciemności wyleciały nietoperze i otoczyły gości. W chwilę potem opadły na ziemię, zamieniając się w mężczyzn i kobiety.

- Wampiry! - wykrzyknął Stile. - Nie miałem pojęcia, że tu mieszkają! - Lecz Neysa dobrze o tym wiedziała; jeszcze jeden powód, dla którego jej obecność była tak użyteczna.

Jeden z wampirów podszedł do nich. Był do Vodlevile, który rozmawiał już ze Stile'em w czasie Roźcolimpiady.

- Witaj, Adepcie! Co słyhać u mego przyjaciela, Hulka?

Niewłaściwe pytanie!

- Niestety, został zamordowany na Protonie - odparł Stile. - Czerwona Adeptka zapłaci mi za to.

- Zabity? - zdziwił się zszokowany wampir. - A tak niedawno go widziałem! To był najmilszy ze znanych mi olbrzymów.

- To prawda - zgodził się Stile. - Czerwona zabiła go, nie mogąc mnie dosięgnąć.

Vodlevile zmarszczył brwi i lekko obnażył kły.

- Zawsze żyliśmy z Czerwoną w pokoju. Nigdy nam nie pomagała, ale też i nigdy nie przeszkadzała. Nie odważyłem się prosić ją o amulet dla mego syna, gdyż bałem się, że zażąda jego jako zapłatę. Niespecjalnie szanujemy Adeptów. Ty jesteś pierwszym, który udzielił nam pomocy. A dzięki tobie, również Żółta. - Uniósł dłoń i spłynął na nią mały nietoperz. - Mój syn - oznajmił z dumą Vodlevile.

- Jestem szczęśliwy - Stile skinął głową - że moja pomoc odniosła skutek. Czy możemy zostać tu na noc?

- Oczywiście. Wszystko, co mamy, jest do waszej dyspozycji. Czy zechcesz przyłączyć się do naszej wieczornej uczyty?

- Nie chcę was obrazić, ale wolałbym nie. Wasze zwyczaje odmienne są od moich, a ta noc to noc moich zaślubin, którą muszę spędzić sam. Nie chciałbym też popsuć waszych stosunków z Adeptką, gdyby udało jej się przetrwać nasze spotkanie; lepiej, by nie wiadano, gdzie nocowałem.

- Noc poślubna... samemu! Masz rację, nasze tradycje różnią się od waszych! Uszanujemy twoje pragnienie samotności. Bądź pewien, że nikt nie zakłóci twego spokoju.

W ten sposób Stile znalazł się w ciepłej jaskini strzeżonej przez krwiozercę wampiry. Czuł się tu zupełnie bezpiecznie; niewiele stworzeń usiłowałoby zbliżyć się do niego w obawie przed wysysającymi krew nietoperzami.

Neysa przyniosła mu trochę owoców i wyszła, by się paść. Nocą potrafiła jednocześnie i jeść, i spać. Stile'owi nie udało się do końca zrozumieć, jak to robi, lecz zdążył się już do tego przyzwyczaić.

Ułożył się do snu, czując straszliwą samotność. Naraz zobaczył małego nietoperza, który wleciał do jaskini. Stworzenie wyglądało tak, jakby starało się ukryć kierunek swego lotu. W chwilę potem wampir zamienił się w sześciolatniego chłopca.

- Adecpie, nie powinienem ci przeszkadzać, ale czy moglibyśmy przez chwilę porozmawiać? - spytał nieśmiało.

- To ty zostałeś wyleczony wywarem Żółtej? - domyślił się Stile. - Witaj, miło mi będzie z tobą pogawędzić.

Chłopiec uśmiechnął się z wdzięcznością.

- Ojciec wyrzuciłby mnie z gniazda, gdyby się dowiedział o mojej wizycie. Bardzo proszę, nie mów mu o tym.

- Ani słowa - obiecał Stile. Dzieci zawsze traktowały poważniej groźby kary niż wszystkie zakazy i nakazy, jakich nie szczędzili im dorośli. - Cieszę się, że możesz już latać.

- To dzięki wywarowi Żółtej, ale ojciec mówi, że dała go tylko na twoją prośbę. Jestem ci winien...

- Nic - szybko wtrącił Stile. - Twój ojciec spłacił wszystkie długi, jakie moglibyście mieć u mnie. Pomógł mi zmierzyć się z Ogierem.

- A jednak przegrałeś - zauważył chłopiec. - A więc jego pomoc nie była wystarczająca.

- Raczej moje umiejętności - stwierdził Stile. - Chciałem tylko, by pojedynek był równy i nie przyniósł żadnemu z nas hańby. I to się udało. Jednorożec był po prostu lepszy.

Chłopiec miał pewne kłopoty ze zrozumieniem.

- Koszałki-opałki, jak powiada mój ojciec. Uważa, że zawsze dajesz więcej, niż może być ci zwrócone, i wychodzisz na tym lepiej, niż można by przypuszczać. Czy to ma sens?

- Żadnego - odparł pogodnie Stile.

- W każdym razie czuję się wobec ciebie zobowiązany, gdyż pomogłeś mi osiągnąć pełnię życia. Nie wiem tylko, co mógłbym dla ciebie zrobić.

- Nic nie musisz! - przekonywał go Stile, ale zobaczył, że chłopcu zbiera się na płacz. Mały wampir podchodził do życia bardzo poważnie i chciał spłacać swoje długi. - No, chyba że... - Stile szybko starał się coś wykombinować. - Jest wiele rzeczy, których nie znam, a jestem ich ciekaw. Gdybyś zauważył coś interesującego i zawiadomił mnie o tym... Może chore zwierzę, które mógłbym uleczyć, albo coś ładnego, co mógłbym podarować mojej Pani. - Uśmiechnął się smutno do wspomnień. - Z jaką radością przyniosłbym mej ukochanej jakiś prezent!

Oczy chłopca pojaśniały, błysnęły małe, wampirze zębki.

- Rozejrzę się, Adeptcie! - zawołał uszczęśliwiony. - Coś ważnego, coś miłego! - Przekształcił się w nietoperza i wyfrunął z jaskini.

Stile, zadowolony, ułożył się z powrotem do snu. Mały nietoperz spędzi kilka przyjemnych chwil na poszukiwaniach, a potem zapomniał o całej tej sprawie w natłoku innych wrażeń.

Rano Stile pożegnał się z kolonią wampirów.

- Spróbuj nas zrozumieć - przepraszał go Vodlevile. - Nie mamy odwagi towarzyszyć ci do Czerwonego Zamku lub zbyt jawnie pomagać ci w twojej misji. Gdyby Adeptka dowiedziała się, że wystąpiliśmy przeciwko niej...

- Rozumiem was - odparł Stile. - To nie wasza wojna.

- Raczej nie. Gdy jednak wspominam olbrzyma...

- Wstrzymaj się na razie. Hulk zostanie pomszczony.

Vodlevile wyglądał na zaskoczonego, lecz nic nie powiedział. Stile dosiadł Neysy, która wyglądała na wypoczętą i najedzoną, i pokłusowali na południe, w stronę Czerwonego Królestwa.

Zamek wyglądał dziwnie. Wznosił się na szczycie miniaturowej góry; wąska ścieżka okrążała ją serpentyną, doprowadzając do niewielkiego otworu, który był głównym wejściem. Był to niewątpliwie dom Adepta; otaczało go słabo migoczące światło, podobnie jak kopuły na Protonie.

Magiczna kopuła? Oczywiście! Zamek zbudowany został na pewno tak, że przez jego środek biegła zasłona i Adeptka mogła swobodnie - i nie będąc obserwowaną - przechodzić z jednej strony na drugą i czynić zło w obu światach. To wiele tłumaczyło. Błękitne Królestwo nie leżało w miejscu, gdzie przechodziła zasłona, gdyż Błękitny Adept nie mógł przez nią

przejsć.

Okrążyli budowlę. Rzeczywiście, Stile wypatrył zasłonę. Chcąc zdobyć pewność, przeniósł się na drugą stronę. Oczywiście - ten sam zamek, tylko że otoczony polem siłowym. Wrócił na Phaze. - To bardzo skomplikowana sytuacja - poinformował Neysę. - Adeptka od lat działa w obu światach.

Jednorożec parsknął. Nie podobało mu się to. Neysa nie mogła przechodzić przez zasłonę, pewnie dlatego, że była stworzeniem magicznym, a więc nie mogła ochraniać go w tym drugim świecie.

- W porządku - zdecydował Stile. - Zabiła mnie podstępem, ja zrobię to jawnie. - Zaśpiewał półgłosem: - Muzyko graj, megafon mi daj. - I w jego ręku pojawił się piękny, duży megafon. Oczywiście, nie miał zewnętrznego źródła energii, bo magia tak nie działa, lecz Stile był pewien, że urządzenie się sprawdzi.

Ale najpierw środki ostrożności.

- *Miecz i zbroja, zguba twoja.* - I nagle Stile przyodziany został w mocną, lekką, metalową zbroję, a u pasa kołysał mu się nieduży, ostry, stalowy miecz w pochwie. Platynowy Flet byłby oczywiście lepszy, ale na to nie było szansy. Musi mu wystarczyć zwykła broń.

Uniósł megafon.

- Błękitny Adept wyzywa Czerwoną Adeptkę na pojedynek. - Dźwięk był wprost ogłuszający; nie można go było nie usłyszeć.

Jednak z Czerwonego Zamku nie nadeszła żadna odpowiedź. Stile raz za razem powtarzał swoje wyzwanie - bezskutecznie.

- A więc wyciągniemy lwa z legowiska - zdecydował niezbyt tym zdziwiony Stile. Spodziewał się najgorszych pułapek.

Neysa nie wyglądała na zachwyconą, lecz dzielnie pomaszerowała naprzód. Nagle przyszło mu do głowy, że może potrzebować czegoś solidniejszego niż zbroja. Przypuśćmy, że jakieś potwory zaczną obrzucać go głazami albo włóczniami? Musiał zabezpieczyć się również przed niemagicznymi atakami.

- *Pociski nie trafiajcie, do źródła zawracajcie.* - Powinno go to obronić przed podobnego rodzaju niespodziankami. Nie był pewien, jaki zasięg mają zaklęcia, zwłaszcza we wrogim środowisku obcej magii, ale jeszcze jeden środek ostrożności z pewnością nie zaszkodzi. Nie zniweczy tym czarów Czerwonej, lecz i tak ograniczały się one tylko do amuletów. A więc jest szansa na uczciwą walkę; o nic innego nie prosił. Uczciwa walka, tak by mógł bez skrępowań zabić Czerwoną Adeptkę.

Neysa pięła się wijącą ścieżką w górę. Nikt ich nie atakował. Stile czuł niepokój; wolałby już jakieś oznaki jawnego oporu. Spokój mógł oznaczać, że nikogo nie ma w domu, lub też, że zastawiono na niego pułapkę.

Pułapka! Taka jak ta, w której przynętą była Bluette? Dziewczyna nic oczywiście nie wiedziała; została w okrutny sposób wykorzystana. Stile miał nadzieję, że udało jej się uciec, choć wiedział, że nie ma tam czego szukać. Był mężem Błękitnej Pani i związek z Bluette nie miałby żadnej przyszłości. Rósł w nim jednocześnie gniew wywołany straszliwym losem Hulka i Stile z trudem tłumił go w sobie. Hulk, zupełnie niezaangażowany w ten spór, został przez Stile'a wysłany na śmierć. Czy ta krzywda zostanie kiedykolwiek naprawiona?

Złowroga działalność Czerwonej Adeptki przysporzyła mu całego szeregu głębokich duchowych ran; nie pozwoli sobie teraz na rozpamiętywanie swych strat. Przysięga zemsty obejmowała je wszystkie. Kiedy Czerwona zginie, przyjdzie czas oplakiwania i żałoby. Teraz nie mógł sobie pozwolić na rozpacz, czy też miłość. Najpierw musiał dokończyć dzieła.

Pierwszy zakręt ścieżki zaprowadził ich niespodziewanie wysoko. Z daleka zamek wydawał się mały, lecz teraz sprawiał wrażenie niezwykle wysokiego. Podnóże góry znajdowało się jakieś trzydzieści stóp poniżej miejsca, gdzie stali, a budynek około sześćdziesięciu stóp powyżej. Może to magia powodowała, że z daleka góra wydawała się mała, a teraz przemieniła się w zdumiewająco wysoką.

Stile wyjął harmonijkę i zaczął grać. Magia otoczyła go, zamek zaczął leciutko migotać i nagle perspektywa zmieniła się. Jego magia zniweczyła działanie czarów Czerwonej, obnażając prawdę; zamek był większy, niż można było sądzić, za to góra znacznie mniejsza - jedno złudzenie nakładało się na drugie. Sprytne; Adeptka najwyraźniej doceniała zarówno estetykę, jak i ekonomię.

Podjechali do bramy. Pomalowane na jaskrawe kolory półkoliste wrota były otwarte i przypominały wejście do wesołego miasteczka. Ze środka dochodziła muzyka, trochę stłumiona i odrobinę fałszywa. Kłóciła się z dźwiękami harmonijki, lecz Stile nie przestawał grać. Chciał, by magia otaczała go jak najdłużej, przynajmniej dopóki nie zrozumie, co tu się dzieje.

Weszli do środka. Muzyka była teraz głośniejsza i jakby ochrypła. Po obu stronach stały budki, obsługiwane przez pokrzykujących golemów.

- Zapraszamy do nas! Spróbuj szczęścia, zdobądź nagrodę! Wszyscy wygrywają!

To miała być siedziba Adepta! Ten bałaganiarski karnawał? Stile powinien był przybyć przebrany za kłowna!

Ostrożnie podszedł do najbliższego stoiska. Zarządzający nim golem rzucił się go

obsłużyć.

- Jeden celny rzut kulą, a wygrasz! To łatwe.

Neysa parsknęła. Zupełnie się jej to nie podobało. Stile zapragnął dowiedzieć się, jakie znaczenie ma cała ta przebieranka, o ile oczywiście miała jakiegokolwiek. Spodziewał się czegoś zupełnie innego. To wrodzona ciekawość sprawiła, że został jednym z najlepszych na Protonie.

Zjawiska przeważnie miały jakiś sens; należało tylko go odgadnąć. Ten jarmark w miejsce rozwścieczonej Czerwonej Adeptki... cóż to ma oznaczać? Gdzie jest klucz do tej zagadki?

Nie było to, rzecz jasna, bezpieczne, lecz Stile zdecydował się połknąć przynętę. Jeśli nie potrafi rozpoznać charakteru pułapki, oglądając ją, nie pozostawało mu nic innego, jak tylko ją uruchomić - w odpowiednim dla niego momencie. Oczywiście, mógł bez trudu trafić kulą w cel - był w tym dobry - lecz prawdziwe gry z wesołego miasteczka rzadko bywają uczciwe; wykorzystuje się klientów, którzy tracą pieniądze, próbując zdobyć pozornie łatwe do wygrania nagrody o wątpliwej wartości. Na Protonie niewolnicy używali oczywiście symbolicznych pieniędzy, gdyż nie istniały tam prawdziwe. A tutaj...

- Ile to kosztuje?

- Za darmo, za darmo! - krzyczał android, a raczej golem. - Wszyscy wygrywają!

- Akurat - mruknął Stile pod nosem.

Nie zsiadł z Neysy; to mogło stanowić część pułapki. Ostrożnie wziął podaną mu kulę, szykując się na spotkanie z obcą magią, ale nic takiego nie nastąpiło. Kula sprawiała wrażenie zupełnie zwykłej.

W ramach eksperymentu zamachnął się i rzucił. Kula trafiła prosto w środek tarczy. Budka grzmiała teraz muzyką jak oszalała; zwłaszcza rogi buczały tak głośno, jakby chciały same siebie zagłuszyć. Z otworu wypadł metalowy krążek. Golem podniósł go i podał Stile'owi.

- Oto nagroda! Świetny rzut!

Stile zawahał się. Celował przecież tak, by chybić. A jednak magia spowodowała, że trafił bezbłędnie. Każdy inny poddałby się iluzji myśląc, iż to dzięki jego umiejętnościom kula uderzyła w sam środek tarczy. Golem nie kłamał: wygrywał każdy. Na tym polegało oszustwo tej gry. Ale dlaczego?

Stile spojrzął na krążek. Był to oczywiście amulet. Podarowano mu go, lecz przecież nie mógł być przygotowany specjalnie dla niego, Stile przyjechał bez zapowiedzi, a jeżeli nawet oczekiwano go, to cała ta scena była zbyt skomplikowana. Po co tak traktować gości?

Od razu znalazł odpowiedź. Czerwona Adeptka była, jak i inni Adepcci, podejrzliwa i nietowarzyska, a więc nie lubiła gości. Władza, według powszechnej opinii, korumpuje, a Adepcci mieli jej aż nadto i stąd tendencja do pewnego zepsucia. Musieli gdzieś mieszkać, a więc założyli oddzielne królestwa, położone daleko od siebie, i bronili ich na najrozmaitsze sposoby, jakie dyktowała im ich perwersyjna natura. Nie mogli jednak zabijać intruzów jak popadło, gdyż byli pomiędzy nimi handlarze oferujący potrzebne usługi i wysłannicy tak potężnych ludów, jak elfy lub jednorożce. Zdarzało się również, że sami Adepcci ruszali w odwiedziny. Tak więc zmuszeni zostali do zastosowania selektywnie działających środków odstraszających. Czarny Adept miał swój labirynt, w którym niewielu tylko potrafiło znaleźć drogę; Biała Adeptka lodowy pałac, a Brązowa olbrzymie golemy.

Poważny gość zlekceważyłby prawdopodobnie budki i nawoływania zachwalających swe usługi golemów. Chciwi i głupi wpadliby zaś w pułapkę. Amulet był pewnie takim właśnie silnym środkiem zniechęcającym, może nawet śmiertelnym. Lepiej go pozostawić w spokoju.

Stile jednak odznaczał się w takich sprawach niezwykłym uporem. Zżerała go ciekawość; poza tym chciał pokonać Czerwoną Adeptkę bez względu na jej zaklęcia. Jeśli nie potrafi poradzić sobie z jednym tylko amuletem, to jak ma zwyciężyć ich twórczynię? A więc dobrowolnie wszedł w pułapkę.

- Ukaż swe oblicze, amulecie - powiedział, gotów na wszystko; taką przynajmniej miał nadzieję.

Krażek zamigotał i zaczął rosnać. Pojawiły się na nim wyrostki, wydłużające się i zakrzywiające w jego kierunku. Pośrodku krażka uformowały się metaliczne usta z błyszczącymi zębami. Całość przypominała trochę dynię z wigilii Wszystkich Świętych. Wyrostki przemieniły się w chwytne ramiona, usta otwarły w żarłocznym grymasie.

Oczywiście zbroja i ochronne zaklęcie powinny zabezpieczyć go przed tym tworem, ale Stile wolał nie ryzykować.

- *Zaklęcie umyka, w piekle znika* - zaśpiewał ułożoną uprzednio rymowaną.

Podziałało. Rosnący amulet zniknął w małym obłoczku dymu. Magia Stile'a nie straciła swej mocy, czego zresztą się spodziewał. W ten sposób uczyniony został pierwszy krok.

Ścisnął kolanami boki Neysy i jednorożec ruszył głównym przejściem między budkami. Nie zwracali już więcej uwagi na wrzeszczące golemy; dowiedzieli się wszystkiego, co było im potrzebne.

Zamek od środka wydawał się znacznie większy, lecz w rzeczywistości nie był zbyt przestronny. Wkrótce znaleźli się na przeciwległym jego końcu i stanęli przed drzwiami

prowadzącymi na zewnątrz. Gdzież więc jest Czerwona Adeptka?

- Może na innym piętrze - mruknął Stile. - Więc jak, będziemy się bawić w chowanego, czy też wykorzystamy magię?

Neysa zagrała na rogu. Stile nauczył się rozumieć niektóre dźwięki.

- Masz rację - powiedział. - Użyjemy zaklęcia, by nas do niej zaprowadziło. - Zastanawiał się przez chwilę. - *Do Czerwonej doprowadź nas, póki jeszcze mamy czas* - zaśpiewał.

Przed nimi pojawił się świetlny punkt. Neysa ruszyła w jego kierunku i wtedy punkt cofnął się, okrążył ich i zaczął posuwać się drogą, którą tu przyszli. Ruszyli jego śladem. W pewnym miejscu zakręcił i zbliżył się do jednej z budek.

- Odwiedźcie niesamowite domostwo strachów - zawołał golem-właściciel.

Światelko zniknęło w drzwiach. Otwór był zbyt wąski, by mogła przezeń przejść Neysa. Jednak problem ten rozwiązali szybko i bez kłopotów. Stile zeskoczył na ziemię, a Neysa przemieniła się w dziewczynę ubraną w czarną spódniczkę i białe pantofelki. Nie miała zamiaru zostawić go samego w niebezpieczeństwie.

Stile przeszedł przez próg, Neysa znajdowała się o krok z tyłu. Nie podobało mu się to, gdyż w ten sposób oddzielono go od niej, ale nie było lepszego wyjścia. Należało wysledzić kryjówkę Czerwonej Adeptki; może złapią ją w czasie snu. Jeżeli tak się stanie, to obudzi ją, zanim z nią skończy. Najprawdopodobniej jednak Czerwona czyhała teraz w centrum najstraszliwszej ze swych pułapek, używając samej siebie jako przynęty. Stile musiał uruchomić tę pułapkę i to we właściwy sposób. Sama śmierć Czerwonej nie wystarczała mu; chciał ją schwytać, pozbawić mocy i dowiedzieć się, dlaczego zamordowała jego poprzednika. Musiał znać powód. Skończy z tą sprawą dopiero wtedy, gdy dowie się wszystkiego.

Zabicie Czerwonej nie będzie najtrudniejszym zadaniem - nie po tym, jak widział śmierć Hulka. Najgorzej będzie zrozumieć powody, pojąć prawdę. A może Stile sam się oszukuje? Nigdy przedtem, zanim nie rozpoczęto przeciwko niemu anonimowej wojny w obu światach, nie planował, że zostanie mordercą. Lecz tylu nowych rzeczy już się nauczył...

W środku domu strachów panowała ciemność. Korytarz wił się raz w jedną, raz w drugą stronę, co było zupełnie naturalne dla tego typu urządzeń; Stile poznał podobne w czasie Turnieju. Ciemności też go specjalnie nie niepokoiły. Również Neysa dobrze sobie w nich radziła, zwłaszcza że miała znacznie od niego lepszy słuch.

Światelko prowadziło ich przez labirynt. Z ciemności wyskoczyła zjawa, złowrogo błyskając oczyma; nieszkodliwa kulka. Stile pomyślał zaraz o innym, bardziej realnym

niebezpieczeństwie: pętli duszącej go, nie pozwalającej na wypowiedzenie obronnego zaklęcia. Tak przecież zginął jego sobowtór. Typowy atak Czerwonej Adeptki. Zamiast zjawy mogła pojawić się pętla, a on nie zauważyłby jej w ciemnościach, póki nie zacisnęłaby się na jego szyi. Potrzebował ściśle określonego środka ochronnego. - Niech zaklęcie obce mknie, ty przed pętlą ochroń mnie - zaśpiewał cicho.

Wokół szyi wyrósł mu kołnierz: mocny pierścień z ostrymi, pionowymi wyłobieniami, których krawędzie mogły przeciąć każdą linię, zaciskającą się na jego szyi. Ochrona przed arkanem.

Korytarz-labirynt przemienił się w wąską klatkę schodową, prowadzącą do góry. Każdy stopień był podświetlony i jego brzegi fosforyzowały. Rozsądne zapożyczenie z Protonu; żadne dziecko nie potknie się na takich schodach. Stile postawił nogę na pierwszym stopniu i kiedy oparł się na nim całym ciężarem, stopień opadł do poziomu podłogi, co przypominało trochę jadące w dół schody ruchome. Spróbował jeszcze raz - to samo. Schody wcale nie musiały być magiczne, być może zostały zamocowane na rolkach. Skutek jednak był ten sam: nie dało się na nie wejść. Wyczarowane przez niego światełko zmierzało do góry; gdzieś tam ukryła się Czerwona Adeptka.

- Chyba znowu trzeba będzie użyć magii - stwierdził Stile. Odwrócił się w stronę schodów i zaśpiewał: - Schody stojcie, miejsca pilnujcie. - I znowu postawił stopę na najniższym stopniu.

Tym razem stopień nie przesunął się w dół. Poruszył się nieznacznie, tak jakby usiłował się opuścić, lecz pozostał na miejscu. Stile zaczął więc piąć się do góry. Schody kręciły mu się coraz energiczniej pod stopami, lecz nie zmieniały położenia.

I wtedy jeden ze stopni ugryzł go w stopę. Stile spojrzał w dół i ujrzał zębatą paszczę pracującą nad jego butem. Był to, przebrany za stopień, demon, który teraz odzyskiwał swe naturalne kształty. Stile, układając zaklęcie, zupełnie o tym nie pomyślał, więc nie objęło ono tego szczególnego przypadku.

Usłyszał okrzyk Neysy. Ona też została zaatakowana. Wszystkie stopnie okazały się demonami, a oni znaleźli się w samym ich centrum. Pułapka zatrzęsnęła się z hukiem.

Stile pospiesznie spróbował wymyślić jakieś zaklęcie, lecz rozpraszały go żujące jego but zęby demona.

- *Zaklęcie umyka, w piekle znika!* - zaśpiewał w końcu.

Nic się nie stało. Oczywiście! Przecież już raz je wykorzystał. Potrzebował innego wariantu. - *Wyślij zapach... uch!* - zęby przegryzły się przez but; demon nabierał siły. - *Schowaj zaklęcie srogie... w muszli kształty drogie!* - zaśpiewał desperacko.

Muszla, piękna, biała i rowkowana - dokładnie taka jak to sobie w pośpiechu wyobraził - zamknęła w sobie wszystkie demony... razem ze Stile'em i Neysą. Wcale sobie tym nie pomógł.

Neysa ruszyła mu na ratunek. Wróciła do postaci jednoroźca. Na schodach ledwie starczało dla niej miejsca, lecz kopyta stanowiły pewną osłonę przed zębami demonów. Wciągnęła brzuch, żeby zrobić trochę więcej miejsca i dźwiękiem rogu zaprosiła Stile'a na swój grzbiet.

Wskoczył z wdzięcznością. Neysa zatańczyła, rozbijając kopytami zębate paszcze. Teraz przyszła pora na bolesne jęki demonów; wcale im się to nie podobało.

Neysa biegła do góry, aż dotarła do podestu. Po drodze rozerwała muszlę, którą wyczarował Stile. Kawałki skorupy spadały, mieszając się z zalegającymi schody powybijanymi zębami.

Stile zeskoczył i spojrzał w dół.

- Czegoś tu nie rozumiem - mruknął. Demony odzyskały już w pełni swe naturalne kształty, lecz unieruchomione zaklęciem nie mogły opuścić swego miejsca. - Jeśli Czerwona ma na służbie demony, to dlaczego chowa je tutaj, zamiast skierować przeciwko nam? Dlaczego ożyły dopiero później, a nie wtedy, gdy dotknąłem ich po raz pierwszy. Gdzieś tu musi być klucz...

Neysa wróciła do postaci dziewczyny; było to znacznie dogodniejsze w wąskich korytarzach.

- Amulety trzeba najpierw uruchomić - przypomniała.

Jedną rzecz należało zapisać jej na plus: nigdy nie kpiła z niego, gdy nie mógł czegoś od razu zrozumieć. Pomagała mu we wszystkim. Była, pod wieloma względami, idealną kobietą, choć oczywiście tylko klaczą.

- Ach, tak. - Amulety uruchamiało się drobną magią werbalnego polecenia. A więc stopnie-demony czekały na tę magię. Lecz on przecież nie uruchomił ich, tylko zmusił do pozostania na miejscu!

Chyba że uruchomić mogły je nie słowa, lecz dowolna, skierowana na nich magia. Wtedy, gdy rzucił zaklęcie... tak.

Oznaczało to, że musi bardzo uważać z użyciem magii. Żaden amulet nie mógł go sam z siebie skrzywdzić, lecz można je było uruchomić niechcący. Wszystkie, które znajdowały się w zasięgu zaklęcia.

Nagle rozjaśniło mu się w głowie. To mogło wyjaśnić powód zbudowania tego wesołego miasteczka. Jeśli zamek broniony był przez amulety, które musiały być przez

intruzów uruchomione, to pozostawały one do czasu aktywacji zupełnie bezużyteczne. A więc oferowano je jako nagrody, które chciwcy pospiesznie uruchamiali. Nieczynny amulet był tylko niewiele wartym kawałkiem metalu. Kiedy golemy - właściciele budek - twierdziły, że „każdy wygrywa”, właśnie to miały na myśli. Lub też raczej: „każdy przegrywa”, gdyż amulety były napastnikami. Stile postąpił tak, jak założyła to sobie Czerwona, i gdyby nie był Adeptem, do tego ostrożnym, wpadłby w niezłe tarapaty wywołane przez jego pierwszą „nagrodę”.

Schody nie były nagrodą. Były obroną przeciwko magii... bardzo zresztą skuteczną. Skoro jednak Stile atakowany był przez coraz bardziej wymyślne pułapki, znaczyło to, że posuwa się we właściwym kierunku.

A może Czerwona Adeptka nie mogła sama uruchamiać swych amuletów... bo zaatakowałyby i ją, gdyby to uczyniła? Tak jak bomby niszczące każdego, kto uruchomił zapalnik? Czy wobec tego musiała zmusić intruza, by sam spowodował własną śmierć? Jeśli tak, i jeśli Stile powstrzyma się od uruchamiania amuletów słowem lub magią, to zdobędzie przewagę...

Przewagę? Przecież magia była jego najważniejszą bronią! Jeśli nie może jej użyć, to jak ma zwyciężyć Czerwoną?

Zgrabna pułapka, pozbawiająca go głównego oręża! W odróżnieniu jednak od swego sobowtóra, Stile przez całe życie musiał doskonalić swe niemagiczne umiejętności. Umiał niezłe sobie radzić i bez czarów. Niemożność stosowania zaklęć ograniczała i jego, i Czerwoną, a obiektywnie rzecz biorąc, był od niej lepszy. Sztuczka Adeptki odniesie więc wręcz przeciwny skutek.

- Już chyba rozumiem - wyjaśnił Neysie. - Każda magia aktywuje amulety, lecz dopóki ich nie uruchomię, nie mogą mi nic zrobić. A więc walczyć będziemy jak na Protonie. Omijanie pułapek może wymagać dużej pomysłowości, lecz warto się wysilić.

Neysa parsknęła powątpiewająco, lecz nic nie powiedziała.

Korytarz zwięził się i wprowadził ich do sali luster. Stile o mało co nie wszedł w pierwsze z nich, ustawione pod kątem czterdziestu pięciu stopni, co powodowało, że przejście, choć skręcało, wydawało się prowadzić prosto. Neysa, bardziej niż on wyczulona na takie sztuczki, zatrzymała go w ostatniej chwili. Potem był już ostrożniejszy i omijał lustra w bezpiecznej odległości.

Niektóre z nich zniekształcały obraz, zamieniając go w wielkogłowego i wielkostożego goblina, a Neysę w groteskową lalkę. Potem następne lustra sprawiły, że wyglądali jak mocno nadmuchane balony. Potem...

Poczuł, że spada. Zapatrzony w lustro, nie zauważył braku jednego fragmentu podłogi. Prymitywna pułapka, a on dosłownie w nią wpadł. Zareagował w dwa różne sposoby i oba okazały się niewłaściwe. Złapał za brzegi otworu, które były zbyt śliskie, by mógł się utrzymać, i rzucił zaklęcie:

- Leć, nie zwlekaj, z pułapki uciekaj!

Zatrzymało to upadek i spowodowało, że zaczął wznosić się do góry, lecz jednocześnie uruchomiło najbliższe amulety, którymi okazały się lustra. Zaczęły zmieniać kształt, wyciągając się jak rozgrzane szkło, sięgając ku niemu amebowatymi pseudokończynami. Były wszędzie, nawet na suficie i w podłodze; Stile nie chcąc wpaść w ich silikonowe objęcia, musiał unosić się pośrodku komnaty.

Neysa przyjęła formę światełka i krążyła wokół niego. Lustra spuszczały ku nim z sufitu galaretowate macki, zamieniając pokój w jaskinię o przezroczystych stalaktytach. Jeszcze chwila, a zajmą całą wolną przestrzeń.

Drogę ucieczki pokazało im prowadzące ich światełko. Przebrnęli jego śladem przez otwór, w który wpadł przed chwilą Stile, a potem w górę do następnej komnaty, gdzie amulety pozostały uśpione.

Stile chciał już anulować swoje zaklęcie o lataniu, lecz uświadomił sobie, że nie może tego zrobić bez magii, a to znowu uruchomi pułapkę. Nawet nie sądził, że tak trudno będzie mu powstrzymać się od używania czarów. Na razie lepiej już było latać; taki sam dobry sposób przemieszczania się jak każdy inny.

Płynęli w powietrzu za światełkiem. Prowadziło ich przez pokoje z ruchomymi podłogami - co nie było dla nich teraz żadnym utrudnieniem - potem przez las błyszczących włóczni, być może pokrytych trucizną, aż dotarli do komnaty, której osadzone na ruchomych walcach ściany gotowe były zmiażdżyć każdego, kto był na tyle nieostrożny, by włączyć mechanizm wyzwalany naciskiem na środkową płytę podłogi. Była to prawdziwa komnata strachów. Wydawało się, że jedynym ratunkiem może być tu tylko magia. Znaleźli wyjście z tej sytuacji; długo trwający czar nie uruchamiał amuletów. Czyniło to jedynie rzucenie nowego zaklęcia. A więc mieli szansę przetrwać.

Przebrnęli pod portalem i nieoczekiwanie znaleźli się w przyjemnym apartamencie urządzonym w guście protońskich obywateli: freski na ścianach, dywany na podłodze, w oknach zasłony, automat z jedzeniem, odtwarzacz hologramów i sofa. Wytwory techniki nie funkcjonowały na Phaze. Chyba że uruchamiała je magia. Stile nie był pewien, na ile było to możliwe. Czy urządzenie techniczne, pracujące dzięki magicznej mocy, mogło się stać...

Nagle Stile zreflektował się; na sofie spoczywała Czerwona Adeptka.

Zatrzymał się w powietrzu. Tym razem Czerwona nie ukrywała swej płci. Nosiła obcisłą, czerwoną suknię, rozciętą po bokach i z przodu, tak że widać było jej nogi i zagłębienie między piersiami. Bujne, czerwone włosy opadały lśniąca kaskadą na jej ramiona. Patrząc bezstronnie, była zgrabną, atrakcyjną kobietą w tym samym wieku, co Stile... i o głowę wyższą od niego. Nie było wątpliwości, że to ona jest winna śmierci Hulka.

- Zanim to rozstrzygniemy - rzekła - odpowiedz mi, Błękitny, na jedno pytanie: dlaczego?

Zaskoczyło to Stile'a, który spodziewał się raczej nagłego ataku niż pytania. - I ty, wcielenie zła, pytasz mnie, dlaczego?

- Adeptci przeważnie nie występują przeciwko sobie. Wiele złego może się zdarzyć, gdy zderzają się wrogie magie. Dlaczego zdecydowałeś się pogwałcić tę zasadę i przyczynić wszystkim tak wiele kłopotów?

- To ja żądam od ciebie odpowiedzi na to pytanie! Cóż złego ci uczyniłem, że zapragnęłaś zamordować mnie i to w obu światach?

- Nie udawaj niewiniątka, draniu! Przecież najechałeś właśnie moje królestwo, co planowałeś od dawna. Słyszałam pogłoski, że uważasz się za uczciwego człowieka. Daj temu teraz dowód i wyjaw mi swoje motywy. Nie potrafię ich sama zgadnąć.

Było w tym coś dziwnego. Czerwona zachowywała się tak, jakby to ona była stroną pokrzywdzoną, i robiła to przekonywająco. Dlaczego miałyby kłamać, przecież jej zbrodnie były dla wszystkich oczywiste? Zachwiało się w nim przekonanie o słuszności i sprawiedliwości jego sprawy; musiał rozwiązać tę sprzeczność... w przeciwnym wypadku nigdy nie będzie pewien słuszności swego czynu.

- Czerwona Adeptko, wiesz dobrze, że przybyłem cię zniszczyć. Nie ma sensu ukrywać dłużej prawdy. Powiedz, czy jesteś szalona, czy też miałaś jakieś powody, by tak postępować?

- Powody! - wykrzyknęła. - Dobrze, Błękitny, skoro już zdecydowałeś się na tę niesmaczną grę, to proponuję ci układ. Ujawnię ci moje motywy, jeśli ty zrobisz to samo.

- Zgoda - odparł, trochę zdziwiony. - Powiem ci, zanim cię zabiję. I jeśli twoja odpowiedź usatysfakcjonuje mnie, zabiję cię szybko, bez niepotrzebnych cierpień. Tyle mogę ci zaoferować. Przysięgam z tobą skończyć.

- Oto moje uzasadnienie - zaczęła takim tonem, jakby dyskutowali o pogodzie. - Wróżby były niejasne, lecz niepokojące i ukazywały nadciągające zło. Lud wampirów burzył się i niechętnie spełniał moje polecenia. A jeden z nich zwrócił się nawet do Wyrocni z pytaniem: „Jak możemy pozbyć się ucisku Czerwonej?” Wyrocni odpowiedziała: „Poczekajcie

dwa miesiące”. Oddany mi szpieg przyniósł tę wiadomość do zamku i oczywiście musiałam ją sprawdzić. Nigdy nie można być pewnym takich nie przekazywanych bezpośrednio słów Wyroczni; można interpretować je na nazbyt wiele sposobów. Wydawało mi się jednak jasne, że po dwóch miesiącach grozi mi jakieś niebezpieczeństwo... i zwróć uwagę, że czas ten właśnie teraz mija. A więc dosiadłam latającego amuletu i udałam się do Wyroczni. Zapytałam ją: „Co czeka mnie za dwa miesiące?”, a ona odparła: „Błękit zniszczy Czerwień”. Zrozumiałam więc, że muszę działać. Wyrocznia nigdy się jeszcze nie pomyliła, lecz ja nie miałam wyboru. Działam w obu światach; w obu można mi zaszkodzić. Wyrocznia nie powiedziała, że stracę życie, lecz iż zostanę zniszczona, a to może oznaczać wiele różnych rzeczy. Jedynym sposobem zapewnienia sobie bezpieczeństwa było usunąć Błękitnego, zanim on zdoła wystąpić przeciwko mnie. I tak wysłałam Błękitnemu jednego z golemów, będących dziełem Brązowego, wraz z amuletem-demonem i w tym samym czasie odszukałam na Protonie jego sobowtóra, gdyż obawiałam się, że Błękitny może zniszczyć mnie nawet po śmierci. Ktoś jednak ostrzegł cię i wysłał robota, by cię chronił; tej przeszkody nie udało mi się obejść. Muszę zrobić to teraz, lub też stać się ofiarą proroctwa Wyroczni. Jeśli będzie trzeba, umrzemy razem pokazując, że Wyrocznia ma zawsze rację. Jesteś przyczyną wszystkich moich nieszczęść.

Zdumienie nie opuszczało Stile'a.

- Moje motywacje są jasne. Zamordowałaś mego sobowtóra, okryłaś żałobą Błękitną Panią, usiłowałaś zabić mnie zarówno na Protonie, jak i na Phaze, i wreszcie spowodowałaś śmierć mego przyjaciela Hulka. Zapłacisz mi za te dwa morderstwa.

- Twierdzisz, że gdyby nie mój atak, nie byłoby między nami sporu? - Skrzywiła się.

- Tak mi się przynajmniej wydaje - rzekł Stile. - O ile wiem, mój sobowtór, Błękitny Adept, nie planował niczego przeciwko tobie. Wdowa po nim, a teraz moja żona, nie wiedziała, ani kto go zamordował, ani dlaczego. A jeśli idzie o mnie, to nigdy nie mógłbym przekroczyć zasłony, gdyby nie śmierć Błękitnego Adepta, i nigdy nie porzuciłbym kariery dżokeja, gdyby nie uszkodzone laserem kolana. - Zamilkł na chwilę. - Ale dlaczego celowałaś w kolana, a nie w głowę? Gdybym wtedy zginął, nie musiałabyś obawiać się teraz mojej zemsty.

- Laser, który przemyślałam na tor wyścigowy, był zaprogramowany tak, że uniemożliwiał zabójstwo - stwierdziła z obrzydzeniem. - Obywatele nie lubią wypadków śmiertelnych, więc maszyny mogące zabijać muszą być wyposażone w zabezpieczenie. Zresztą łatwiej jest zniszczyć cienkie tkanki ścięgna, niż przepalić mózg zamknięty w grubej czaszce. Pewnie nie umarłabyś; trochę podgrzałyby ci się mózg i to wszystko. Obywatele zaś

zareagowaliby na podobny wypadek, zamykając cały stadion polem statycznym, i na pewno by mnie schwytali. Musiałam działać subtelnie; najpierw cię okaleczyć, zapewniając sobie drogę ucieczki z miejsca zbrodni, a potem, gdy zostałbyś pozbawiony opieki obywatela, zabić cię bez rozgłosu. Niestety, przeszkodził mi robot.

- Ach, robot - powtórzył Stile. - Kto go przysłał?

- Tego nie wiem - przyznała Czerwona. - Sądziłam, że ty wiesz, i że stanowi to część twego planu. Gdybym na samym początku zorientowała się, jak dobrze jesteś chroniony, przygotowałabym się staranniej. Byłam przekonana, że więcej trudu będzie kosztowało mnie wyeliminowanie Błękitnego Adepta niż ciebie.

Zupełnie logiczne przypuszczenie! Podobne drobne błędy bywają przyczyną upadku lub powstania imperiów. - A więc mamy i tajemnicę - zauważył Stile. - Ktoś dowiedział się o twoich zamierzeniach i postanowił mnie ocalić. Wprawdzie jesteśmy nieprzyjaciółmi, lecz informacja, kim jest ta osoba i dlaczego zdecydowała się działać skrycie, przydałaby się nam obojgu. Czy masz jeszcze innych wrogów?... może kogoś, kogo można zidentyfikować jako Błękitnego, choć nie Adepta? Jestem pewien, że źle zinterpretowałaś słowa Wyroczni, gdyż zanim nie zaczęła działać ta samospełniająca się przepowiednia, byłem zupełnie niewinny. Teraz Błękit rzeczywiście zniszczy Czerwień; nie ma przebaczenia dla twych zbrodni, lecz nigdy by mnie tu nie było, gdyby Wyrocznia nie skierowała cię przeciwko mnie.

- Ukryty wróg, przeciwstawiający Błękit Czerwieni - powtórzyła z namysłem. - Jakże byłam głupia, pytając nie o tożsamość mego wroga, lecz o mój los po upływie dwóch miesięcy. Wyrocznia odpowiedziała mi na inne pytanie, niż sądziłam. Zdradziła mnie.

- Też tak sędzę - zgodził się Stile. - Gdzieś jednak musi ukrywać się prawdziwy wróg, i mój, i twój nieprzyjaciel. Zawrzyjmy jeszcze jedną umowę: to z nas, które ocaleje, odszuka go, by nigdy więcej nie wzbudzał konfliktów pomiędzy Adeptami.

- Zgoda! - wykrzyknęła. - Nasz spór jest zbyt poważny; rozstrzygnąć go może tylko śmierć jednego z nas. Lecz możemy jeszcze zostać pomszczeni.

- Czy mógłby to być jeden z Adeptów? - zapytał Stile. Wciąż miał się na baczności, choć nie spodziewał się ataku przed końcem tej ważnej rozmowy. Nawet wrogowie, jak widać, mogą mieć wspólne interesy. Stile tak długo działał, nie wiedząc nic o siłach, które występowały przeciwko niemu, że teraz pragnął wydrzeć tyle prawdy, ile się da. - Może jeden z nich pozazdrościł mi lub tobie władzy?

- Mało prawdopodobne. Większość z nich nie może przekraczać zasłony. Ja sama ciężko zapracowałam na to prawo i drogo za to zapłaciłam. Zorganizowałam zamach na mojego sobowtóra, a po jej śmierci przeszłam przez zasłonę i zajęłam jej miejsce, mając

nadzieję, że zostanę wyznaczona spadkobierczynią naszej matki, obywatelki. Ta nędznica jednak wybrała adoptowaną córkę i zostałam zmuszona do pójścia na służbę i przygotowania się do Turnieju.

Stile był wstrząśnięty jej pomysłowością, lecz dobrze to ukrył. Miała więc zwyczaj uderzać, zanim inni zdążyli to zrobić. To dlatego zaatakowała Błękitnego Adepta. Jej protoński sobowtór prawdopodobnie planował zrobić to samo z Czerwoną. A teraz Czerwona usiłuje uspić jego czujność, by móc uzyskać przewagę.

- A więc bierzesz udział w grze?

- Jestem bardzo dobrym graczem, mimo to orientuję się, że jesteś moim najgroźniejszym rywalem w nadciągającym Turnieju.

- Nie widziałem cię w czasie żadnych rozgrywek.

- Przystąpiłam do eliminacji dopiero w ostatniej chwili. Ćwiczyłam sama, korzystając z urządzeń należących do mojej matki - obywatelki.

- Nawet gdyby Wyrocznia miała na myśli moje zwycięstwo nad tobą w Turnieju i pozbawienie cię szans uzyskania statusu obywatela - mówił powoli Stile - to przecież miałem jeszcze prawo do trzech lat na Protonie i gdyby nie twoje działania, nigdy nie zdecydowałbym się uczestniczyć w tegorocznych rozgrywkach.

- A więc Wyrocznia oszukała mnie i to w niejednej sprawie - stwierdziła Czerwona.

Jakże mądrze postąpił Stile, tak dokładnie analizując każde słowo Wyroczni! Lecz zło, zapoczątkowane przez Wyrocznię kryło się nie tylko w jej mylących odpowiedziach; nigdy sama nie inicjowała działań. Ktoś musiał to dobrze zaplanować. Ale cóż to za wymyślna intryga!

- A może ktoś z Protonu szuka na tobie pomsty? Jakiś przyjaciel twojego sobowtóra, mszczący się za jej śmierć?

- Nie miała przyjaciół; była taka jak ja. To dlatego została wydziedziczona. A zresztą nikt nie zdaje sobie sprawy, że zginęła; wszyscy sądzą, że ja nią jestem.

To była bardzo sprawna operacja!

- A więc ktoś z Phaze. Nie może zaatakować Adepta, więc występuje przeciwko tobie na Protonie? Może któryś z wampirów, przechodzący w ludzkiej postaci przez zasłonę...

Nagle Stile zamyślił się. Czy Neysa, polatująca teraz nad nim, mogłaby, jako dziewczyna, przejść na Proton? Czy już próbowała? Na Protonie nie ma jednorożców, lecz są dziewczęta, a więc gdyby nie miała sobowtóra...

- Ale dlaczego miałyby wysyłać chroniącego cię robota? Prościej byłoby przysłać go, by zabił mnie. To bardzo drogi robot; za tę samą kwotę można by mieć zespół kompetentnych

morderców. Możliwe, że atak skierowany był przeciwko twojemu sobowtórowi ze świata magii, a ty zostałeś ochroniony, byś mógł mnie zniszczyć.

Ileż materiału do rozmyślań! - Chyba masz rację - zgodził się Stile. - Wyrocznia musiała wiedzieć, że mimo śmierci Błękitnego Adepta jego protoński sobowtór potrafi cię odnaleźć. Kluczem do zagadki jest tożsamość właściciela robota. Jeśli odnajdziemy go, będziemy na tropie naszego wroga. Gra toczy się o coś więcej niż moje bezpieczeństwo czy twoje życie; intryga jest jak na to zbyt skomplikowana.

- To na pewno! Niezbyt wiele osiągnęliśmy w rozmowie, ale to musi wystarczyć. - Uniosła prawą dłoń. - Jak powiedziałeś, tak się stanie. Koniec rozejmu! - I rzuciła w niego jakimś przedmiotem.

Stile uskoczył. Pocisk przypominał mały nóż czy sztylet - może nawet nim był - ale przede wszystkim był amuletem i Stile nie zamierzał go uruchamiać. Przedmiot uderzył w ścianę za jego plecami i leżał na podłodze jak tykająca bomba.

Czerwona wypuściła z rąk następny pocisk. Z wyglądu przypominał kulę. Stile uskoczył, a pocisk odbił się od ściany i zatrzymał dopiero u jego stóp. Dzięki zaklęciu nadal unosił się kilka cali nad podłogą i kula nie dotknęła go.

Kobieta rzuciła kolejny przedmiot, przypominający woreczek z fasolą, który ciężko spadł za Stile'em. Żaden z pocisków nie mógł go zranić, jeśli nie został uruchomiony.

Czerwona zrobiła to sama. Wzięła amulet w ręce, coś do niego powiedziała i położyła na podłodze. Przemienił się w syczącego węża o lśniących zębach.

- Zaatakuj tego człowieka - poleciła mu.

Gad zaczął czołgać się pośpiesznie ku Stile'owi. Nie chcąc wznieść się wyżej, czego mogła sobie życzyć Czerwona, Stile wyciągnął miecz i obciął stworowi łeb.

Ale jego przeciwniczka miała już gotowy następny amulet... nietoperza. Stile nie chciał go zabijać, gdyż mógł być to członek wampirzego klanu, który udzielił mu gościny poprzedniej nocy. Więzień okrutnej Adeptki, zmuszony do spełniania jej poleceń. Lecz jeśli zaatakuje...

I tak się stało. Małe oczka nietoperza płonęły szaleństwem, kropelki śluzowatej śliny spływały z jego zębów. Stworzenie mogło być wściekłe. Nie było wyjścia - musiał użyć czarów.

- *Nietoperz zmiata, daleko ulata* - zaśpiewał i zwierzę znikło.

Magia uruchomiła trzy amulety leżące nieruchomo obok niego. Jeden przeobraził się w goblinopodobnego demona i z każdą sekundą stawał się coraz większy. Drugi pluł jakąś zielonkawą mgłą, która mogła być toksyczna. Trzeci wybuchnął płomieniem, zamieniając się

w ognistą kulę.

Stile musiał się nimi zająć. Na razie nie mogły go osiągnąć, lecz wszystkie szybko rosły. Wolna przestrzeń nie była taka znów wielka, sufit zaś obwieszony był amuletami. Jeśli Stile uniesie się wyżej i zniszczy je zaklęciem, sufit przypominać będzie buchające płomieniami piekło. Czerwona miała więcej amuletów, niż Stile gotowych zaklęć, i taka wymiana magii mogła się dla niego źle skończyć. Atak na Czerwoną w jej własnym zamku mógł go wiele kosztować; jej siła była tu przeważająca. Już lepiej było chwycić się innych sposobów.

Czerwona Adeptka ze złośliwym uśmiechem rzucała kolejne amulety. Stile musiał albo zaatakować, albo się wycofać, a ustąpienie równało się porażce, gdyż przejście po raz drugi przez linie obronne czarownicy z pewnością przysporzyłoby mu nowych kłopotów. Musiał podjąć decyzję.

Neysa, dotąd polatująca nad nim jako świetlik, przeobraziła się w klacz. Nadziła demona na róg i wepchnęła w sam środek zielonej mgły. Stwór zawył w agonii i zdechł. A więc gaz był naprawdę trujący! Neysa cofnęła się, niosąc na rogu martwe monstrum. Nie odważyła się dotknąć trującej mgły niemagicznymi częściami ciała. W tej samej chwili ognista kula rozjarzyła się jeszcze bardziej i potoczyła w kierunku Stile'a.

Stile wpadł nagle na świetny pomysł. Zagrał na harmonijce. Muzyka wypełniła cały pokój, przyzywając magię, lecz Stile nie wypowiedział żadnego zaklęcia. Po prostu grał. Wiedział dobrze, że sama muzyko-magia, nawet bez towarzyszącego jej zaklęcia, może przynieść pewien efekt, jeśli kierować nią siłą wyobraźni. A więc w myślach rozkazał jej stłamsić cudzą magię. Jeśli muzyka podziała jak nowe zaklęcie, to efekt będzie wprost przeciwny dożądanego, a Stile znajdzie się w nieporównanie większych kłopotach; lecz jeśli działać będzie prawidłowo...

Ognista kula zmniejszyła się, pobladła i opadła na podłogę; magia zdusiła ogień. Zielony dym stracił kolor i przestał się rozprzestrzeniać. Żaden nowy amulet nie został uruchomiony. Hura! Ryzyko opłaciło się bez wątpienia.

Neysa ostrożnie zbliżyła się do mgły, która wyglądała tak, jakby podlegała powolnej denaturacji. Przy pomocy nabitego na róg martwego demona, używając go jako prymitywnej miotły, wepchnęła mgłę do ognia. Natychmiast rozgorzała walka między usiłującymi zniszczyć się nawzajem amuletami. Stile przestał na chwilę grać i bitwa, choć na coraz mniejszym terytorium, wybuchła ze zdwojoną siłą: ogień usiłował wypalić mgłę, zanim zdąży go ona zagasić. Mgła okazała się silniejsza; wkrótce ogień został stłumiony.

Neysa wytarła demonem resztę mgły z podłogi i jednym silnym ruchem głowy rzuciła

stwora prosto w Czerwoną Adeptkę.

Atak zaskoczył czarownicę. Zerwała się z sofy dosłownie na sekundę przed wylądowaniem na niej namoczonego demona. Amulety rozsypały się po podłodze jak biżuteria. Zielona mgła nasączyła obicie sofy, czyniąc ją bezużyteczną dla człowieka, demon zaś spoczywał na niej jak we śnie.

Stile wpadł na jeszcze jeden pomysł. Dostrzegł, że Czerwona bardzo uważnie wybiera amulety, które sama uruchamia. Najwyraźniej jedne z nich atakowały tego, kto je wyzwolił, a inne mu służyły. Były jak dobre i złe zaklęcia. Gdyby udało mu się zdobyć kilka dobrych amuletów, mógłby ich użyć przeciwko Czerwonej. To powinno dać mu szansę zwycięstwa.

Wiedźma świadoma była tego zagrożenia. Rzuciła się w stronę swej zagrożonej kolekcji i zgarnęła talizmany, zanim Stile zdążył się zbliżyć.

Pod wpływem nagłego impulsu Stile rzucił zaklęcie, mając nadzieję, że nie będzie musiał tego żałować.

- *Zaklęcia znikają, szybko uciekają!* - zaśpiewał, w myślach rozkazując wszystkim znajdującym się w jego zasięgu amuletom opuszczenie zamku. Muzyka harmonijki powinna dać jego magii siłę wystarczającą, by wypędzić większość z nich.

Wokół zapanował chaos. Zaklęcie uruchomiło wszystkie znajdujące się w pobliżu amulety, lecz jednocześnie skierowało je na zewnątrz zamku. Usiłowały więc wszystkie na raz ożyć i opuścić budowlę. Było ich tak wiele, że ich magia przytłumiła magię Stile'a. Dlatego szybciej ożywały, niż udawało się im wydostać na zewnątrz.

Żywiłowo powstające kształty i stworzenia przepychały się do wyjścia. Jedno z nich przypominało wędrującą na ruchomych mackach ośmiornicę, inne żółtą, toczącą się gąbkę, pozostawiającą za sobą wilgotną, śmierdzącą rozkładem ścieżkę. Kilka przybrało postać nietoperzy i innych latających stworzeń. Były też różnokolorowe chmury i jasne lub ciemne błyskawice. Jeden z amuletów przeobraził się w miniaturowy potop, wlewający się we wszystkie szczeliny, inny przypominał sznur hałaśliwie wybuchających ogni sztucznych. Stile zmuszony był uchylać się i skakać, by uniknąć zetknięcia się z amuletami. Jego czary pozbawiły mocy również unoszące go w powietrzu zaklęcie; nie mógł więc opuścić podłogi, choć wolałby znaleźć się gdzie indziej. Chociażby dlatego, że stała na niej również Czerwona Adeptka, uchylająca się przed amuletami z równą mu zrećnością. Właśnie próbowała wytrzepać sobie z włosów cały rój małych, czerwonych pajęczków. Oboje, i Błękitny, i Czerwona, zbyt byli zajęci, by poświęcić sobie choć odrobinę uwagi.

Ale dlaczego Stile bawił się tymi cząstkowymi zaklęciami, skoro mógł rozwiązać cały problem, pozbywając się samej Czerwonej? Może coś powstrzymywało go, mimo złożonej

przysięgi, przed zabiciem ludzkiej istoty. Stile przypomniał sobie śmierć Hulka i to umocniło go w powziętej decyzji.

- *Czerwona, bądź zgubiona!* - wydeklamował śpiewnie.

Kobietę objęła jednocześnie bezgłówna eksplozja i implozja. Jej ubranie ogarnęły płomienie. Po chwili była naga... i żywa.

- Głupcze! - syknęła. - Czyżbyś nie wiedział, że żaden Adept nie może zostać zniszczony przez samą magię. Giną tylko nieostrożni i nieodporni.

- Lecz twój amulet zabił Błękitnego Adepta! - zaprotestował Stile.

- Nigdy by nie zadziałał, gdyby Błękitny był choć trochę ostrożny, ale on stał się łatwówiernym głupcem. Zresztą i tak jestem zdziwiona, że się nie uratował; sądzę, że mógłby, gdyby tylko się postarał.

Tak jak Stile, który po ciężkiej walce zwyciężył ten sam amulet. Powinien był wiedzieć, że niełatwo przyjdzie mu zniszczyć Czerwoną. Gdyby było inaczej, mógłby rzucić zaklęcie z sanktuarium Błękitnego Królestwa i zabić Czerwoną we śnie. O ileż trudniej walczyć jest z czujnym przeciwnikiem! Zabić można jednym uderzeniem noża, lecz jeśli wróg ma się na baczności, ostrze może chybić lub zostać odwrócone w stronę atakującego. Biała Adeptka twierdziła, że jego zaklęcia nie mogą uczynić jej krzywdy. Stile myślał wtedy, że przemawia przez nią pycha, lecz najwyraźniej miała rację.

Stile wyciągnął miecz.

- A więc zabiję cię bez użycia magii.

Czerwona jednym ruchem zerwała identyczną broń ze ściany.

- Myślisz, że nie umiem posługiwać się mieczem? Tylko patrz, karle!

Zwarli się w walce. Czarownica była dobrym szermierzem, a jej broń miała większy zasięg. Jej kondycji fizycznej niczego nie można było zarzucić, a do tego płonęła żądzą zwycięstwa. Ale Stile władał mieczem wręcz świetnie - to była jego ulubiona broń. Parował ciosy Adeptki i przygotowywał atak. Czuł, że zwycięży.

Czerwona też to czuła. Niespodzianie zniknęła w przejściu otwierającym się za sofą. Stile rzucił się za nią, lecz opadająca, drewniana płyta zagroziła mu drogę. Porąbał ją mieczem, lecz gdy udało mu się oczyścić przejście, Czerwonej Adeptki już tam nie było.

Rozdział 11

PUŁAPKA

Nadszedł właściwy moment, by użyć zaklęcia.

- *Szybko i skrycie, pokaż mi wroga ukrycie!* - zaśpiewał i zaraz pojawiło się przed nim nowe światełko, prowadzące go w głąb korytarza. - *Straszydła, mamidła!* - dodał jeszcze pośpiesznie, by pozbyć się małych, nieprzyjemnych niespodzianek, które mogły ukrywać się w ciemnościach. Oczywiście nie zlikwiduje ich to zupełnie, lecz zawsze pomoże. Czujność załatwi resztę.

Stile pobiegł tunelem, prowadzony przez światełko. Nagle ognik zatrzymał się, a Adeptki nigdzie nie było widać.

Stile cofnął się zaniepokojony. Rozglądał się po korytarzu.

- Zasłona - odezwała się Neysa. Teraz znowu była dziewczyną.

Dopiero teraz zobaczył... korytarz przecinało słabe migotanie zasłony. Sprytne! Żaden z wrogów z Phaze nie mógł jej tam dosięgnąć.

Stile musiał się pośpieszyć, jeśli chciał ją złapać.

- Neyso... powinienem przejść na drugą stronę. Ja... - Nie umiał znaleźć odpowiednich słów, chcąc wyrazić wdzięczność za jej nieustającą pomoc i poparcie, prośbę, by mu dalej pomagała, i to, że nie może zabrać jej na Proton. Chyba że przeszłaby zasłonę jako dziewczyna... ale wtedy byłaby ograniczona do tej jednej postaci, a brak możliwości powrotu do naturalnej formy naraziłaby ją na wiele niebezpieczeństw w tym obcym dla niej świecie. Nie, nie powinien jej tam zabierać! Więc po prostu objął ją i mocno ucałował.

- Wymyśl zaklęcie, które pokaże mi drogę - poprosiła.

Świetny pomysł! Dlaczegoż by nie miał rzucić jednego zaklęcia na siebie, a drugiego na Czerwoną Adeptkę? Gdyby się to udało, to za każdym razem gubiąc trop wroga, przechodziłby na Phaze i prosił Neysę o pomoc! Łatwiej byłoby mu osiągnąć sukces. Jego magia była bardziej wszechstronna od zaklęć Czerwonej Adeptki, co prawda nie był w stanie zlikwidować swej przeciwniczki jednym zaklęciem, lecz mógł przecież ją wytropić. Przynajmniej taką miał nadzieję.

Prowadzące ich do tej pory światełko stworzone zostało po to, by iść śladem Czerwonej; zasłona zatrzymała je, więc migotało bezradnie ciągle w tym samym miejscu. Stile nie chciał przekraczać zasłony tam, gdzie zrobiła to Adeptka; nie wiadomo, jakie pułapki zastawiła na nieostrożnych.

Korytarzem biegł mały demon o zwierzęcych kształtach. Jeden z ostatnich, mocno spóźnionych, ożywionych amuletów. Stile i Neysa rozpląszczyli się o ścianę korytarza i pozwolili mu przejść. Stworzenie minęło miejsce, gdzie wisiała zasłona, w ogóle jej nie zauważając; szukało wyjścia z Czerwonego Królestwa. Minęło zakręt... i nagle rozległ się odgłos eksplozji.

- Myślę, że to właśnie ta pułapka, w którą mieliśmy wpaść - szepnął Stile. Prawdopodobnie antyzakłęcie uratowałoby ich, ale Stile nie mógł być tego tak zupełnie pewien. Deptanie Czerwonej Adeptce po piętach nie należało do bezpiecznych zajęć - Zabierz mnie w jakieś bezpieczne miejsce, a ja spróbuję wymyślić odpowiednie zakłęcie - polecił.

Neysa wzięła go za rękę i poprowadziła, a Stile koncentrował się na swoim zadaniu. Wkrótce znaleźli się na zewnątrz Czerwonego Zamku; zakłęcia były gotowe. Ale najpierw należało rozstrzygnąć pewną wątpliwość.

- Neysa, wiem, że nie cierpisz być przedmiotem magicznych zabiegów...

Tak jak się spodziewał, rzuciła mu tylko spojrzenie mówiące: no dalej! na co czekasz! Kiedyś nienawidziła magii, lecz kiedy zaakceptowała jego status Błękitnego Adepta, zaczęła odczuwać dumę z dowodów jego mocy.

- *Gdzie nasz wróg, tam twój róg!* - zaśpiewał Stile. Neysa, ciągle jeszcze w postaci dziewczyny, zwróciła twarz ozdobioną małym, czysto symbolicznym różkiem na południe, gdzie najwidoczniej przebywała Czerwona Adeptka. - *Chcesz wiedzieć, gdzie trop mój, spójrz tylko na ogon swój!*

Neysa obróciła się na pięcie i uderzyła dłonią w zgrabny tyłeczek, jakby odpędzała natrętą muchę. Brak ogona był tu pewnym problemem, ale zaraz przekształciła się w jednorożca i wszystko było w porządku.

- Wypróbujmy to. Ja przejdę przez zasłonę, a ty będziesz mnie szukać - powiedział Stile. - Lepiej sprawdzić. - Tracili co prawda czas, ułatwiając Czerwonej ucieczkę, lecz jeśli zakłęcie działać będzie tak, jak sobie to Stile wyobraził, to nie miało to wielkiego znaczenia.

Stile przeniósł się na drugą stronę zasłony, przebiegł jakieś sto metrów po piasku i przeszedł na Phaze, łapczywie wdychając czyste powietrze. Neysa stała o trzysta stóp od punktu wyjścia, a jej zgrabny, czarny ogon zwrócony był w jego kierunku. Zakłęcie działało!

- Świetnie! - wykrzyknął Stile. - Teraz możesz śledzić i ją, i mnie, nawet przez zasłonę. Kiedy tylko zgubię trop Adeptki, wrócę do ciebie po wskazówki. Jeśli Czerwona wróci na Phaze, złapiemy ją od razu. Do zobaczenia za chwilę! - I znowu przeszedł przez zasłonę, zmierzając w kierunku, który wskazała mu Neysa. Na razie żadnych pułapek!

To był jednak Proton... i do tego na zewnątrz kopuły; rozrzedzone i zanieczyszczone powietrze szybko zaczęło mu dokuczać. Czerwona Adeptka na pewno kryła się w środku, kopuła był jej protońskim domem. Niełatwo przyjdzie mu wdrzeć się do środka!

Odszukał zasłonę i przedostał się na Phaze. Neysa już czekała; odnalazła go bez kłopotów.

- Muszę się lepiej przygotować - oznajmił. - Jestem pewien, że Czerwona nie omieszkała tego uczynić! Wejście do jej kopuły nie będzie łatwe.

Przez chwilę zastanawiał się głęboko. Choć tylko przez krótki czas wystawiony był na działanie protońskiej atmosfery, czuł, jak opuszczają go siły. Wewnątrz kopuły powietrze musiało być dobre, lecz tam Czerwona dysponowała potęgą, której mu brakowało. Jej matka - obywatelka - mogła jej nie lubić, ale i tak nie pozwoli, by jacyś obcy, wrogo nastawieni niewolnicy wtargnęli do wnętrza kopuły.

- Muszę ją jakoś stamtąd wykurzyć i spotkać się z nią na neutralnym gruncie. Przydałaby się nam pomoc Sheen. Zadzwonię do niej, bo wolałbym nie spuszczać Czerwonej z oka. Tak.

Poszedł do miejsca, gdzie, jak zapamiętał, znajdował się przystanek metra, skąd można było dostać się do kopuły. W takich miejscach łatwo było znaleźć ekran przekazujący wiadomości.

Przeszedł przez zasłonę. Pewne zaklęcia zaliczano do podstawowych; nie musiały się nawet rymować. Wystarczyło tylko używać za każdym razem innych słów. Stile zmarnował mnóstwo rymów, zanim na to wpadł.

Po chwili był już na stacji. Jak dobrze jest oddychać czystym powietrzem! Zadzwoił do Sheen.

Od razu pojawiła się na ekranie.

- Już jesteś? Grasz dopiero jutro...

- Przyjdź pod ten adres - powiedział. - Potrzebuję pomocy.

Ekran zgasł. Czerwona przechwyciła rozmowę; mógł się domyślić, że nie będzie siedziała bezczynnie. Oczywiście, nie szedł bezpośrednio jej śladem, więc uniknął wszystkich pułapek, które na niego zastawiła, lecz i tak wiedziała, że zaatakuje ją w kopule. Stile popełnił taktyczny błąd. Rzucił się w kierunku zasłony.

Z jakiegoś otworu zaczął z sykiem wydobywać się gaz. Pewnie coś oszałamiającego, Czerwona była miłośniczką takich metod. Gdyby tylko dokładnie wiedziała, gdzie i kiedy pojawi się Stile, już by go miała. A tak tylko otarł się o śmierć; zanim przeszedł przez zasłonę, musiał wciągnąć trochę gazu do płuc. Zakręciło mu się w głowie. Neysa podtrzymała

go i po chwili dolegliwości ustały.

- Dobrze, że nie oddalałem się od zasłony - stwierdził. - Będę musiał wymyślić coś odwracającego jej uwagę, by nie zdołała mnie wypatrzeć następnym razem. Wyrocznia orzekła, że Błękit zniszczy Czerwień, więc niech tak się stanie. Daj mi harmonijkę.

Neysa przekształciła się w dziewczynę. Ubrana była w sukienkę - w zależności od kaprysu mogła być ubrana lub nie - i miała chlebak, w którym nosiła harmonijkę Stile'a wraz z innymi drobiazgami. Nie udało mu się do końca zrozumieć, jak nosiła przedmioty, które miała ze sobą w postaci dziewczyny, gdy była w innej formie. Umiała bez problemów przekształcić się w świetlika, i to niosąc ze sobą jego harmonijkę, dużo przecież większą od jej nowego ciała. Ciągle jeszcze odkrywał nowe aspekty magii, które w świecie nauki nie miały żadnego sensu; zresztą sama magia nie miała żadnego sensu. W przeciwnym wypadku nie byłaby magią. Musiał więc pogodzić się z faktem, że rzeczy niemożliwe są w świecie magii zupełnie normalne i już.

Wziął harmonijkę i zagrał ponurą melodię. Platynowy Flet byłby pewnie odpowiedniejszy, ale przecież nie należał nigdy do niego na własność. Stile miał nadzieję, że Clef dobrze sobie radzi z Ludem Kurhanu, i próbował się domyślić, czy muzyk jest rzeczywiście owym przepowiedzianym i w jaki sposób mógłby ocalić Phaze. Od czasu do czasu Stile czuł, że jest tylko pojedynczą nitką w skomplikowanym wzorze i robi to, co mu przeznaczone, nie mając więcej wolnej woli niż robot. Tyle pozornie przypadkowych zdarzeń go spotkało... Choć mógł się też mylić. Clef wcale nie musiał być muzykiem z proroctw, nie było pewności, że góra zadrzy, gdy on zagra na Flecie. I ich spotkanie mogło być przypadkiem, tak jak to się na pierwszy rzut oka wydawało.

Magia wokół niego zgęstniała. Stile skoncentrował się na Czerwonym Zamku.

- Niech nie minie nawet godzina, w miejsce królestwa, ruina!

Patrzyli w ciszy. Cała struktura zamku jakby zamigotała. Uniósł się dym. Z wnętrza budowli w panice wybiegły stwory, uciekając przed czymś okropnym. Tuż za nimi pojawiły się zielonkawe języki ognia. Kłęby dymu powiększały się, pod jego naporem pękały szyby w oknach; czarna mgła rosła i zagęszczała się w kształty przypominające groteskowe głowy goblinów.

Nagle rozległ się huk eksplozji. Ściany uniosły się i rozpadły. Płonące fragmenty rozpryskiwały się we wszystkie strony, padały na ziemię, wybuchając snopami iskier. Przelatywały ogniste rakiety, rozsypując się płatkami płomieni. Początkowo widać było dosłownie wszystkie kolory, potem zagłuszyła je czerwień; był to bądź co bądź dom Czerwonej Adeptki.

- To powinno dać jej do myślenia - stwierdził Stile. - Nie lubię co prawda takich zniszczeń, ale musiałem zetrzeć z powierzchni Phaze wszystko, co należało do Czerwonej, by nie znalazła żadnego punktu oparcia i musiała się stąd wynieść. - Znowu przypomniał sobie Hulka i Blulette. Czy udało jej się przeżyć? Miał taką nadzieję, choć jednocześnie nie chciał jej nigdy spotkać. Ileż cierpień przysporzyła jej Czerwona, próbując go schwytać! Tak, trzeba ją zniszczyć.

Zamek Czerwonej nie przestawał być sceną popisów pirotechniki; powoli zmieniał się w ruinę, tak jak zostało powiedziane w zaklęciu. Stile przeszedł na drugą stronę zasłony, aby sprawdzić, czy Sheen już jest. Ominął zagazowaną stację wiedząc, że Sheen będzie go szukać na zewnątrz. Wrócił na Phaze, by zaczerpnąć świeżego powietrza, i znowu przeszedł na Proton.

Zobaczył ją za trzecim razem. Podbiegła do niego i otworzyła jedną ze skrytek znajdujących się w jej ciele, by wyjąć maskę tlenową umożliwiającą mu przeżycie na zewnątrz kopuły. Stile szybko objaśnił jej sytuację.

- Mam zamiar przerwać dopływ energii do generatora pola siłowego tworzącego kopułę - zakończył. - Czy możesz zdobyć laser dużej mocy?

Sheen uśmiechnęła się. Otworzyła inną skrytkę i wyciągnęła miniaturowy, przenośny, napędzany protonem laser, a także urządzenie wykrywające kable przewodzące energię.

- Jesteś wspaniała! - wykrzyknął Stile. Ucałował ją i zaraz nałożył z powrotem maskę.

Szli przez pustynię, szukając kabla. Stile obawiał się, że ktoś wyjrzy na zewnątrz i zobaczy ich, lecz tego ryzyka nie można było uniknąć. I obywatele, i niewolnicy żyli wyłącznie w kopułach, starając się ignorować świat zewnętrzny. Teraz mogło to pomóc Stile'owi. Zresztą cała operacja miała trwać krótko; pola siłowe, które tworzyły kopułę wymagały ciągłego podtrzymywania i ogromnych dostaw energii. Tak grube kable łatwo jest zlokalizować. Wkrótce znaleźli jeden z nich.

Stile wycelował i strzelił. Promień lasera zamienił piasek w szkło i wypalił w nim dziurę, prowadzącą aż do samego kabla. Centymetr po centymetrze przegryzał się przez kabel, przecinając osłonę i izolację.

Na dnie wypalanej dziury coś błysnęło. Z kopuły zaczęło z sykiem uciekać powietrze. Pole siłowe zniknęło.

- Myślę, że Czerwona zaraz wyjdzie - stwierdził z ponurą satysfakcją Stile. - Przysięgłem jej śmierć, ale będę postępować fair. Nie chcę, żebyś to za mnie robiła. Prawo zabrania niewolnikom zabijać innych niewolników, więc muszę zwabić ją na Phaze. Może uda się postawić ją tam przed sądem i pozbyć w etyczny sposób. Tak więc pozostaw ją

mnie... ale bądź czujna, bo jestem pewien, że Czerwona nie zrezygnuje z żadnego podstępu - legalnego czy nie - który mógłby zapewnić jej zwycięstwo. Stara się zachować nasz pojedynek w tajemnicy, gdyż w razie jakiegokolwiek śledztwa wyjdzie na jaw jej udział w morderstwie Hulka i obywatele wydalają z Protonu. Tak więc sprawa powinna zostać między nami; nie chciałbym paść ofiarą oszustwa.

- Twoja logika jest czysto ludzka - stwierdziła ponuro Sheen. - Gdybym nie była zaprogramowana tak, by cię kochać...

- Mów dalej. Pamiętaj, że potrzebny jest nam także jakiś środek transportu.

- Pracodawca Blurette rozpoczął śledztwo. Wkrótce dostanie zapis wideo pokazujący śmierć Hulka. - Sheen ruszyła w kierunku tunelu metra. Trujący gaz nie stanowił dla niej przeszkody; miała zamiar nawiązać kontakt ze swymi przyjaciółmi.

A więc pracodawca Blurette zaczął działać. Na Protonie ziemia zaczynała palić się Czerwonej pod stopami. To jednak nie mogło wpłynąć na jego postępowanie; sam się z nią rozprawi.

Stile wbiegł na teren kopuły zniszczonej nagłą dekompresją. Odrobina szczęścia wystarczy, by złapać Czerwoną, zanim minie pierwszy szok. Wszyscy mieszkańcy kopuły powinni teraz nerwowo szukać masek tlenowych, o których istnieniu na pewno już dawno zapomnieli; mało prawdopodobne, by zwrócili teraz uwagę na cokolwiek poza własnym bezpieczeństwem.

W przejściu minął go pojazd przystosowany do jazdy po piasku, pomalowany na czerwono, z przezroczystą kopułą zamiast dachu. Czerwona uciekała.

Stile pobiegł w kierunku piwnic. Może został tam jeszcze jakiś środek transportu. Musi znaleźć sposób, by ją dogonić.

W podziemiach stały jeszcze trzy pojazdy... wszystkie płonęły. Czerwona umiała zabezpieczyć się przed pościgiem.

To nic, znajdzie inny sposób. Stile dobiegł do zasłony i przeszedł na drugą stronę. Zdjął maskę tlenową, która na Phaze przestała natychmiast funkcjonować, i rozejrzał się wokół. Neysa już czekała, pokazując mu kierunek, w którym uciekała Czerwona. - Wyprzedzę ją za pomocą zaklęcia, a potem przejdę przez zasłonę - wyjaśnił Neysie. Klacz trąciła go nosem, protestacyjnie trąbiąc na rogu. Nie miała zamiaru puścić go samego.

- W porządku, zrobimy to razem - ustąpił Stile. - Nie chcę jednak zmęczyć cię pościgiem za protońskim samochodem. Przyspieszę naszą podróż magią.

Neysa wciąż jeszcze nie przepadała za zaklęciami, lecz zgodziła się, podobnie jak za poprzednim razem, robiąc dobrą minę do złej gry.

- *Jak na skrzydłach pojedziemy i Czerwoną prześcigniemy.* - Dało im to szansę minięcia Czerwonej i znalezienia się przed nią... na pozycji, którą Stile bardzo chciał zająć.

Poruszali się teraz tak szybko, jak wtedy, gdy opuścili Białe Królestwo. Po chwili znaleźli się na wyznaczonym miejscu. Była to przyjemna polanka, na wschód od Czerwonego Zamku. Róg Neysy pokazywał teraz na zachód; minęli wroga.

- Teraz wystarczy, że przejdę na drugą stronę i zastąpię jej drogę... - Stile umilkł nagle.
- Och, nie!

W pobliżu nie było zasłony.

- Cóż, musimy jechać równoległe do Czerwonej, dopóki nie natrafimy na zasłonę - zdecydował Stile.

Tak też zrobili, galopując z szybkością niemalże przekraczającą możliwości jednorożca. Czuli się dziwnie. Z dala od zasłony, Czerwonej nie było widać i tylko róg Neysy pokazywał, w którym miejscu alternatywnego świata znajdowała się ścigana. Przypominało to pogoń za duchem.

Duch. Ciekawe, czy na innych planetach istniały zjawiska podobne do zasłony. Na przykład na planecie Ziemia, gdzie powstały wszystkie te legendy... Czy obecność zasłony mogłaby wyjaśnić problem duchów? Ludzi i innych stworzeń istniejących i jednocześnie nieobecnych? Wiele spraw wydających się czystą fantazją można by wyjaśnić, gdyby...

Nagle Stile ujrzał zasłonę.

- Jest! - krzyknął.

Zdarł z siebie ubranie, nałożył maskę tlenową i przeniósł się do równoległego świata.

Czerwona wyraźnie kierowała się ku temu miejscu. Jej pojazd jechał teraz wolno. Zaraz też skręcił w jego stronę. Czyżby Czerwona starała się zagnać go z powrotem na drugą stronę zasłony? Stile obawiał się jakiegoś podstępu, więc nie ruszał się z miejsca. Kobieta miała teraz cztery możliwości: mogła skręcić w lewo - by go złapać, gdyby uskoczył w tę stronę, skręcić w prawo, jechać prosto - zakładając, że Stile będzie stał w miejscu, albo się zatrzymać. W to ostatnie wątpił. Czuł, że Adeptka miała zamiar przejechać go lub przepędzić na Phaze.

Bardzo się starała. Skręciła leciutko w lewo, a potem zaraz w prawo, chcąc sprowokować go do ucieczki. Stile stał jednak nieruchomo i samochód z pełną prędkością runął w jego kierunku.

Stile skoczył w ostatniej chwili. Wehikuł był niski, płaski, szybszy niż Stile początkowo sądził. W chwili gdy mężczyzna znajdował się w powietrzu, pojazd przejechał pod nim. Czasem warto być akrobatą. Stile wylądował lekko w tumanach piasku wzniesionych przez

auto i nawet nie zaboląły go kolana.

Zobaczył, że zbliża się drugi samochód. To musiała być Sheen; przyjaciele zdobyli dla niej środek lokomocji. Nic dziwnego, że Czerwona się tak spieszyła; jeszcze chwila, a pogoń by ją dopędziła.

Ale dlaczego chciała zagnać go na Phaze? Jeśli planowała sama przejść przez zasłonę, po co zmuszać do tego i przeciwnika? Przecież wiedziała, że w świecie magii Stile ma nad nią przewagę. Nie mógł tego zrozumieć.

Stile robił się w takich sytuacjach uparty. Czerwona wpadła na jakiś pomysł i chciała się go chwilowo pozbyć, by nie mógł jej w tym przeszkodzić... a więc on nie pozwoli wyprowadzić się w pole. Zatrzymał drugi z samochodów; oczywiście, to była Sheen. Zwolniła na chwilę, by mógł wsiąść, i zaraz pomknęła śladem uciekającej czarownicy.

Pojazd Sheen był większy i szybszy. Jej przyjaciele już się o to postarali. Stile nawet nie próbował dowiedzieć się, skąd go wzięli. Na pewno zapisy komputerowe były w jak największym porządku. Pędzili po piasku z prędkością stu, stu dwudziestu kilometrów na godzinę. Nawet Neysa nie była w stanie tak szybko się przemieszczać. Żeby dotrzymać im kroku, musiałaby mknąć na przełaj przez magiczny świat Phaze z prędkością sześćdziesięciu, siedemdziesięciu mil na godzinę. Mogłaby ułatwić sobie trochę zadanie, zamieniając się na najtrudniejszych odcinkach w świetlika, ale i tak pozostałaby w tyle.

Oba samochody pozostawiały za sobą pióropusze pyłu. Szybko dogonili pojazd Czerwonej i jechali teraz za nią, ale nie bezpośrednio jej śladem, by uniknąć ciągnącej się za nią, podobnej do ogona komety chmury pyłu. Pył wydawał się jeszcze podkreślać martwość Protonu - świata, który postęp techniczny doprowadził do ruiny.

Czerwona kierowała się na południowy wschód, ku pasmu Gór Purpurowych. Czy miała jakiś określony cel?

- Czy możemy jakoś ją zatrzymać? - spytał Stile. - Nie chciałbym pozostawiać Neysy w tyle, na wypadek gdyby cała akcja miała się przenieść na drugą stronę zasłony.

- Oczywiście. To przecież maszyna bojowa. Możemy wystrzelić substancję, która spowoduje spięcie w jej układzie elektrycznym.

Samochód Czerwonej zniknął nagle w wąskim przesmyku między górami. Przemknął przez poszarpaną przełęcz i wjechał na nagie zbocze. Pojazd Sheen był tuż za nią, lecz nie mieli dobrej okazji do strzału. Cały czas jechali teraz w tumanach pyłu. Widać było, że Adeptka jest znakomicie zaznajomiona z terenem; Sheen i Stile byli tu po raz pierwszy.

Pędzili dalej, przemykając ze straszną szybkością pomiędzy wzgórzami i wąwozami; wciąż jeszcze nie mieli szansy na trafienie.

- Nie podoba mi się to - zauważył Stile. - Czerwona zawsze rozumowała kategoriami pułapek; rzeczy, które uśpione czekają, aż się je obudzi. Na pewno ma tu coś przygotowanego.

- Wezwę moich przyjaciół przez radio i poproszę...

- Nie! Oni muszą zachować anonimowość. Popełnili „urzędowe nadużycie”, by zdobyć dla mnie pojazd, i nie wolno im się dalej posunąć. To moja sprawa.

- Nie masz racji. Wcale nie musieli symulować pomyłki. Są inne sposoby...

- Nie.

- Wydaje mi się, że już coś mówiłam na temat pewnych defektów w sposobie rozumowania ludzi.

- Mnie się też tak wydaje - potwierdził Stile.

- Czyżbyś miał pewność, że wyjdiesz cało z tej głupiej historii?

- Tak. Wyrocznia stwierdziła, że będę miał syna z Błękitną Panią, którą właśnie poślubiłem, i skoro jeszcze nie...

Samochód Sheen nagle zaczął jechać po ścianie tunelu.

- Ożeniłeś się z Błękitną Panią?

Do licha! Stile zupełnie zapomniał, jakie wrażenie wiadomość ta uczyni po tej stronie zasłony.

- Tak.

Sheen wyrównała tor jazdy, lecz ręce drżały jej na kierownicy.

- A więc z nami koniec.

- Nie! Wcale nie. To zupełnie coś innego. Jesteśmy nadal przyjaciółmi...

- Mimo że jestem maszyną?

- Mimo że jesteś maszyną! - zapewnił. - Jesteś przecież również osobą! I kocham cię jako osobę!

Przyspieszyła, zmniejszając odstęp, jaki powstał między pojazdami. Kurz ograniczał widoczność.

- Tak, oczywiście.

I Stile zrozumiał, iż wszystko, co zdobył na Phaze, odbyło się kosztem jego życia na Protonie. Kolejny krok prowadzący do rozstania z Sheen został uczyniony. Oboje wiedzieli, że to nieuniknione, lecz mimo to poczuli ból.

- Nie sądzę, byś zadowolila się przysięgą przyjaźni jak Neysa? - spytał z udawaną beztróską.

- Jestem mniej skomplikowana od żywych stworzeń. Przysięgi nie wchodzą w skład

mego oprogramowania.

Nagle wyrósł przed nimi pojazd Czerwonej, co oszczędziło Stile'owi udręki kontynuowania tej rozmowy. Adeptka zatrzymała swój samochód tuż za zakrętem i katapultowała się. Porzucony pojazd blokował wszystkie przejścia, nie można go było ominąć. Stile zobaczył, jak Czerwona biegnie w górę stromym zboczem, uciekając z miejsca mającej nastąpić katastrofy. Pułapka została uruchomiona.

Palec Sheen poruszył się z mechaniczną precyzją i prędkością, dotykając guzika na tablicy rozdzielczej. Katapulta zadziałała. Stile wyrzucony został z fotelem na zewnątrz. Włączyło się urządzenie antygravitacyjne, łagodzące upadek; Stile miękko opadł na ziemię.

Pędzący samochód wpadł na stojącą maszynę. Oba wyleciały w powietrze. Ogarnęła je kula ognia, z której zaczęły się wydostawać kłęby dymu. Protonit tak nie eksploduje; pojazd Czerwonej był widocznie napełniony środkami wybuchowymi. To była prawdziwa pułapka.

I nagle Stile zobaczył, że jest sam.

- Sheen! - krzyknął w rozpacz. - Dlaczego się nie katapultowałaś? - Znał jednak odpowiedź na to pytanie. Chciała, by pozbył się jej w zdecydowany sposób, gdy przyjdzie czas ich rozstania; dopilnowała, by tak się stało.

Wiedział, że nic już nie może dla niej zrobić. Pozostała mu już tylko pogoń za Czerwoną. Pozbył się resztek fotela i pobiegł śladem uciekinierki.

Adeptka trzymała w ręku jakąś broń. Skierowała jej wylot na niego.

Stile rzucił się na ziemię, kryjąc się w nierównościach terenu. Promień lasera stopił piasek tuż obok niego; czuć było ostry, nieprzyjemny zapach dymu. Odpęzł na bok, złapał odłamek skały i rzucił w Czerwoną, nie unosząc z ziemi głowy ani reszty ciała. Potrafił w ten sposób dokładnie trafić.

Ale Czerwona też zmieniła położenie, szukając lepszego miejsca do strzału. Tylko ciągłe przemieszczanie się ochroniło Stile'a przed zabójczymi promieniami lasera. Teraz i on był uzbrojony... zebrał kilka poręcznych kamieni. Umiał rzucać szybko i nie chybi celu, o ile będzie miał w co wymierzyć... I o ile wcześniej jego samego nie dosięgnie promień lasera.

To były prawdziwe podchody. Obserwowali, nad słuchiwali, skradali się. Czerwona nie była w tym nowicjuską; umiała chronić się przed bezpośrednim niebezpieczeństwem i była lepiej uzbrojona. Musi jakoś ją zaskoczyć, trafić kamieniem, zanim zdąży wycelować w niego laser. Przypominało mu to pewien typ gry, w którym był zresztą bardzo dobry. Adeptka miała jednak nad nim przewagę dzięki lepszej broni i znajomości terenu.

Mimo to przechytrył ją, zajął korzystną pozycję i przygotował się do ataku. Byłoby najlepiej, gdyby udało mu się pozbawić ją przytomności uderzeniem w głowę, lecz kamienie

za mało ważyły. Prawdopodobnie ogłuszyły ją tylko na chwilę albo zranił i musiałby stoczyć z nią walkę wręcz. Trudno. Szkoda, że zostawił miecz po drugiej stronie zasłony, lecz nawet gołymi rękami i mając do dyspozycji niewiele czasu, potrafił nieźle uszkodzić ludzkie ciało.

Obserwował ją przez chwilę, zanim zdecydował się na atak. Wstał i rzucił pierwszym kamieniem. Celował dobrze; pocisk odbił się od jej głowy. Czerwona krzyknęła, lecz gęste, rude włosy podziały jak poduszka; kamień tylko ją zranił i to niezbyt poważnie.

Kobieta skoczyła... i zniknęła.

Zasłona! Była tuż obok i czarownica umiała to wykorzystać. I w tym okazała się lepiej od niego przygotowana. Stile pobiegł w stronę zasłony i siłą woli przeniósł się na drugą stronę.

Nagle góra wokół niego pokryła się zielenią. Stał na szmaragdowej murawie; purpurowe plamy kwiecica ubarwiały zbocza. Powietrze było ciepłe i pachnące.

Czerwona trwała w oszołomieniu. Dotknęła ręką rany i krew zlepiająca jej włosy poplamiała jej palce, lecz kiedy ujrzała Stile'a, uniosła lufę laserowego pistoletu i strzeliła prosto w niego.

Laser nie wypalił. Zasłona rozdzielała nie dwa kraje, lecz dwa światy, z różnymi źródłami energii. Czerwona była wyraźnie zdenerwowana i zaczęła popełniać błędy.

Stile rzucił w nią kamieniem. Jego broń nadawała się do każdego ze światów.

Adeptka uskoczyła w bok i wyciągnęła skądś amulet. Nie mógł się zorientować, skąd go ma, gdyż była naga, tak jak wszyscy niewolnicy na Protonie.

- Działaj! - zawołała.

Amulet przekształcił się w żarłocznego gryfa, stworzenie o ciele lwa, głowie i skrzydłach orła. Spojrzało na Stile'a i ruszyło do ataku.

Stile ledwo zdążył przenieść się na drugą stronę zasłony.

Znow stał na ziemi Protonu, wdychając przez maskę tlen. Jakże ponury był ten świat! Dym unosił się jeszcze z pogruchotanych maszyn. Sheen była gdzieś tam w środku, wołała popełnić samobójstwo, niż kontynuować bezcelowe istnienie.

Stile zastanowił się przez chwilę i wrócił na Phaze.

- *Daleko umykaj, na zawsze znikaj!* - zaśpiewał, a gryf, który gotów był do powtórnego ataku, rozpostarł szeroko skrzydła i uleciał. Jeden przeciwnik został wyeliminowany.

Stile rzucił się na Czerwoną, która wyciągnęła kolejny amulet. Zobaczył dopiero teraz, że miała na sobie cielistego koloru pas z przegródkami, które kryły prawdziwy arsenał. Z daleka wyglądała na zupełnie nagą. Złapał ją za rękę i wydarł jej amulet.

- Działaj! - zawołał.

Amulet urósł, przybierając kształty latającej ośmiornicy. Głodne macki wyciągnęły się w stronę Czerwonej. Stile już wcześniej zaobserwował, że Adeptka dysponowała złośliwymi amuletami, które atakowały wywołującego je człowieka, i pożytecznymi, które mu pomagały. Ponieważ Stile zaniechał dotykania amuletów, Czerwona zaczęła używać przeciwko niemu tych drugich. Teraz odebrał jej jeden z nich i wykorzystał jego moc.

Czarownica przeskoczyła na drugą stronę zasłony, uciekając przed stworzonym przez samą siebie potworem. Stile udał się jej śladem... i o mało co nie oberwał kamieniem w głowę. Kobieta przyjęła jego taktykę.

Zaczęli się szamotać. Była od niego o stopę wyższa - w tym świecie oznaczało to trzydzieści centymetrów - i sporo cięższa. Nie brakowało jej też siły. Prawdziwa Amazonka, naga tygrysica żądna mordy. Sięgnęła paznokciami do jego oczu; kolaniem uderzyła go w podbrzusze. Stile wciąż miał przed oczami dymiące pogorzeliśko, w którym zginęła Sheen, i walczył jak dzikie zwierzę. Wszyscy, których kochał, nie żyją; teraz on też zacznie zabijać. Był przecież mistrzem walki, wiedział, gdzie leżą wrażliwe nerwy i sploty nerwowe, gdzie należy trafić, by obezwładnić przeciwnika, a gdzie nacisnąć, by wyłamać kończynę ze stawu. Zablokował jej atak i rozpoczął własny.

Czerwona znalazła się w defensywie i bezbłędnie oceniła swe szansę. Błyskawicznie przeniosła się na Phaze... a Stile zaraz za nią. Tutaj jednak zadziałały jej czary; wezwała jednego ze swoich demonów - z butelki wydostał się z sykiem ogromny dżin, ukształtowany z obłoku gazu męczyzna składający się wyłącznie z głowy i ramion. Stile szybko przeszedł na drugą stronę zasłony.

Potrzebował zaklęcia, by zniszczyć dżina. I następnego, by przejąć inicjatywę. Nie był w stanie zaatakować bezpośrednio Czerwonej, lecz mógłby ją izolować...

Coś poruszyło się pomiędzy wrakami pojazdów. Przerwywający martwą ciszę dźwięk przykuł uwagę Stile'a. Czyżby...?

Pobiegł w tamtym kierunku, ze słabą nadzieją w sercu. Tak... jakiś kształt szamotał się wśród szczątków samochodów. Nie znajdował się w świecie magii - to nie demon!

- Sheen? - zawołał na wszelki wypadek.

- Stile? - odezwała się. Jej głos był dziwnie zniekształcony.

- Sheen, żyjesz! Myślałem...

- Jestem maszyną. Uszkodzoną, lecz jeszcze działającą. Niestety. Nie dotykaj mnie. Parzę.

Rzeczywiście. Kiedy wygrzebała się ze zwałów metalu, mógł ocenić rozmiary szkód. Większość jej sztucznego ciała została spalona. Twarz przedstawiała jedną ruinę. Cudowna

skóra i włosy zostały zdarte, odsłaniając osmalony metal, z wiszącymi kawałkami jakiejś substancji. Smugi dymu i pary unosiły się z jej stawów, a z otwartej klatki piersiowej kapął gorący olej. Żadna maszyna nie mogła wyglądać bardziej martwo, trupio niż Sheen. Żywy trup...

- Sheen, powinnaś natychmiast znaleźć się w warsztacie! Ty...

- Goń Czerwoną, Stile! - Jej głos był słaby. - Nie przejmuj się mną. Nie jestem ci już do niczego potrzebna. Gdybym tylko nie miała wbudowanego tego przekłętą samozachowawczego obwodu...

Stile był w rozterce. Już raz przecież ucierpiała przez niego, co sprawiło, że pojął, jak bardzo mu na niej zalety. Tym razem jej uszkodzenia były poważniejsze, choć mogła się poruszać; cała jej skóra została zwęglona i Sheen działała już pewnie na ostatnich kroplach protonitowego paliwa. Wydało mu się też, że stan fizyczny wiernie oddaje jej rozpacz, gdyż Sheen została zaprogramowana, by go kochać... a już nigdy nie zostanie jego kochanką.

Może lepiej byłoby po prostu pozwolić jej umrzeć. I tak zbliżała się do kresu.

Ta myśl wywołała w nim dziką reakcję.

- Przysięgałem zemstę, lecz nie kosztem przyjaźni - powiedział. - Chodź ze mną na drugą stronę zasłony, potrafię cię tam uzdrowić.

Pozbawiona oczu skorupa głowy zwróciła się ku niemu.

Jej narządy mowy były w strzępach.

- Nie wolno ci. Czerwona wciągnie cię w pułapkę...

- Myślę, że Czerwona jest już daleko stąd. Zostawiłem jej sporo czasu na ucieczkę. Ty jesteś dla mnie ważniejsza.

- Nie zostaw jej czasu, by... - wreszcie zawiódł ją głos. Źródło energii zaczęło się wyczerpywać. Nawet protonit się kiedyś kończy.

- Chodź, albo będę musiał cię zanieść - powiedział surowo, wiedząc, że nie pozwoli, by zrobił sobie krzywdę, dotykając jej parzącego ciała.

Szła, chwiejąc się coraz bardziej. Gubiła zwęglone kawałki ciała. Coś obijało się i stukało w jej wnętrzu. Dymiąc zwała się do przodu. Doszła jednak do samej zasłony.

Stile odnalazł mniej gorący punkt na jej ciele i dotknął jego palcem, siłą woli przenosząc oboje na drugą stronę. Znowu pojawiła się trawa, powietrze nappełniło świeżością, a ciało Sheen zaczęło syczeć, stygnąc gwałtownie. Stile cofnął palec, zanim metal zdążył go oparzyć.

Jak przypuszczał, Czerwona Adeptka zniknęła. Pokonał ją, pragnęła już tylko uciec, oszczędzając siły i środki na kolejne spotkanie, które miała nadzieję rozegrać w bardziej

sprzyjających okolicznościach. Stile wolałby tego uniknąć, lecz bał się zostawić Sheen samą; jeśli upłynie zbyt wiele czasu, reperacja może okazać się niemożliwa, a poza tym on sam może zginąć albo stracić na trwałe swą moc. Jeśli dla zemsty nad Czerwoną pozwoli Sheen umrzeć, poświęci więcej, niż go stać - swoje człowieczeństwo! I choć może wtedy uda mu się zapewnić bezpieczeństwo Błękitnemu Królestwu i potęgę Błękitnemu Adeptowi, to stanie się takim jak pozostali Adepci - cynicznym, skorumpowanym posiadającym władzę, egoistycznym draniem.

Usłyszał dźwięk kopyt. To doganiała ich Neysa; z jej nozdrzy tryskały płomienie. Przyniosła mu harmonijkę, właśnie wtedy, gdy potrzebował jej najbardziej. Użyje jak poprzednio magii, by zreperować Sheen, a potem przeniesie ją na Proton i ożywi. Może wymyśli też jakieś zaklęcie na poprawę samopoczucia; nie da to pewnie rezultatu, ale warto spróbować. I wreszcie wystartuje w ósmej rundzie Turnieju.

Tym razem jego przeciwnikiem była młoda, dwudziestodwuletnia kobieta, dobra zawodniczka, z którą rywalizował już kilka razy. Na imię miała Tulip i pracowała jako ogrodniczka u obywatela, który wielce sobie cenił dekoracyjne rośliny. Sama piękna była niczym kwiat i nie czuła żadnych skrupułów, wykorzystując swoje wdzięki. Stile nie miał jednak zamiaru rezygnować ze zwycięstwa dla jej pięknych kształtów. Wybrał opcję UMYSŁOWE, neutralizując jej wybór, który padł na NAGO. Tym razem żadnych sportów wymagających cielesnego kontaktu! Wylosowali gry słowne.

- Przeprowadźcie łańcuch skojarzeń od „ciała” do „duszy” - polecił im komputer. - Czas: pięć minut.

Stile i Tulip zabrali się do pracy. Należało utworzyć łańcuch słów, używając na zmianę synonimów i homonimów, które połączą słowa „ciało” i „dusza”. Liczyły się i czas, i długość łańcucha; w obrębie pięciominutowego limitu wygrywał krótszy ciąg skojarzeń. Jeśli oboje przekroczą limit, wygrywa osoba, która jako pierwsza zgłosiła swe rozwiązanie, bez względu na długość łańcucha. Tak więc opłacało się wykorzystać całe pięć minut na wyszukanie najkrótszego możliwego szeregu. Nie należało przy tym zbyt pośpiesznie zgłaszać rozwiązania, gdyż przeciwnik mógłby wówczas wpaść na pomysł krótszego łańcucha; przeciąganie zaś poszukiwań poza limit czasowy mogło spowodować, że współzawodnik zgłosi co prawda dłuższy łańcuch, ale zrobi to szybciej. Zła decyzja mogła wiele kosztować.

„Ciało”, myślał Stile. „Synonimami mogą być materia, masa, substancja... oczywiście

były i inne, lecz na razie wystarczy”. Jeśli zacznie sprawdzać każdą możliwość, to nigdy nie uda mu się zbudować łańcucha. Umiejętność dokonywania wyboru - oto gdzie leży klucz do zwycięstwa.

Zacznijmy od materii; to słowo wydawało się przedstawiać najwięcej możliwości: na półkach leżały wzorzyste materie; z rany sączy się materia; materia wszechświata; materia rozważań filozoficznych. Może: tkanina, tkać, a więc wpychać coś na siłę. Pchać w przepaść; pchać w coś kapitał; pchać taczkę życia. Czy to mogło doprowadzić go do „ducha”? Z trudem. Trzeba najpierw wypróbować jedną z możliwości. Jego pierwszym zadaniem było stworzyć w ciągu pięciu minut dowolny łańcuch skojarzeń, którego komputer nie będzie mógł odrzucić. Jeśli Tulip nic nie wymyśli, Stile automatycznie wygra.

Oczywiście, jeśli oboje podadzą ten sam ciąg słów, to zwycięzcą zostanie pierwszy zgłaszający rozwiązanie. Więc jeśli przyjdzie mu do głowy coś rzeczywiście świetnego, powinien od razu to zasygnalizować. Stile nie martwił się, był mistrzem w wymyślaniu skojarzeń.

Spojrzał ukradkiem na Tulip. Gryzła dolną wargę i delikatnie gestykulowała lewą ręką, jakby formując z opornej materii kształty słów. Czy zaszła dalej od niego? Chyba nie - nie sądził, by odznaczała się taką inteligencją - ale nie można było tego wykluczyć. Nagle spostrzegła, że Stile ją obserwuje, i prowokacyjnie poruszyła biodrem. Odwrócił oczy, bojąc się, że jego myśli zaczną krążyć wokół spraw ciała i przegra pojedynek. Do tego chyba dążyła, flirtowała! Pewnie dzięki takim chwytom udało jej się tak wysoko awansować.

Spróbujmy raz jeszcze. Ciało, masa, na przykład masa czegoś, więc synonimem może być ciężar. Ciężar spadł mi z serca, a więc pocieszenie, pociecha. Synonimem pociechy mogłoby być dziecko. Dzieci są pociechą mej starości. Dziecko... co dalej? Czyżby znowu ślepa uliczka, strata czasu, jak w labiryncie, w którym o mało co nie przegrał... też z kobietą. Zbyt wiele czasu już minęło, nie mógł sobie pozwolić na dalsze straty! Emocje współzawodnictwa strasznie komplikowały taką prostą grę. Nie, żadnych powrotów, nie ma już czasu. Dziecko... beniaminek, ktoś ulubiony, coś ulubionego... smakołyk, coś takiego jak delikcja, na przykład krem. Dalej! Krem kosmetyczny, synonim - maść, homonim - maść w sensie umaszczanie, a więc odcień koloru... odcień uczucia - o tak, był już blisko! Odcień uczucia... może nastrój, a więc duch i wreszcie dusza. Łańcuch został zamknięty. Chyba że komputer nie zaaprobuje przejścia: dziecko - smakołyk. Rzeczywiście, niezbyt to precyzyjne. Lepiej je czymś zastąpić.

Minęły już jednak cztery minuty. Nie było czasu na wymyślenie czegoś lepszego. Tulip wyglądała tak, jakby była na progu odkrycia. Stile zdecydował się na zgłoszenie swego

rozwiązania. - Łańcuch! - zawołał.

- Do licha! - jęknęła Tulip.

- Podaj rozwiązanie - polecił komputer.

Stile zrobił to, skrzętnie kryjąc zdenerwowanie, niepewny prawidłowości jednego ogniwa. Komputer nie zakwestionował go; akceptował bardzo nawet liberalny sposób posługiwania się językiem.

Tulip miała jeszcze minutę na stworzenie łańcucha krótszego lub tej samej długości. Stile czekał, cały w nerwach.

Wyglądało na to, że kobieta poddała się. Minął czas, a ona niczego nie zgłosiła. Stile wygrał, choć chyba walkowerem.

- Gdybyś wybrał FIZYCZNE, inaczej byśmy teraz rozmawiali - stwierdziła przez łyżę. Poniosły ją emocje w kluczowym momencie pojedynku i teraz musiała to odreagować.

- I dlatego ominąłem tę opcję - odparł Stile, choć wiedział, że mógłby zawsze wybrać biegi i pokonać Tulip jeszcze szybciej. Zresztą dziewczyna tak wiele nie traciła; ze swoim wyglądem poradzi sobie w każdym zakątku galaktyki. Mimo to Stile czuł lekki niesmak, spowodowany tym nie do końca zasłużonym zwycięstwem.

Przerwy między rundami robiły się coraz krótsze. Stile miał rozegrać dziewiątą rundę po południu tego samego dnia. Planował kilka godzin wolnego czasu poświęcić na wymyślanie zaklęć i sposobów pokonania Czerwonej Adeptki; chciał też odświeżyć się trochę i odpocząć. Martwił się o Sheen; czary przywróciły jej sprawność, ale jak miał zreperować jej, co prawda mechaniczne, lecz pęknięte serce? Zaklęcie, które miało pomóc, nie zadziałało. Sheen straciła jakby część ze swej woli życia i Stile nie wiedział, jak jej pomóc. Lekarstwem mogło być tylko to, czego nie mógł jej dać - miłość. Znowu prześladowała go myśl, że powinien był pozwolić jej umrzeć, a nie skazywać na tę beznadziejną wegetację. Obiecał Czerwonej Adeptce dobrą śmierć, czyż mógł mniej zrobić dla swej przyjaciółki?

Ktoś zapukał do drzwi. Dziwne, goście przeważnie zapowiadali swe przybycie na ekranie wideo. Sheen, czujna na każde niebezpieczeństwo, podeszła do wyjścia.

- Och! - wykrzyknęła, doskonale wprost imitując zdziwienie. - A więc udało ci się przeżyć!

- Muszę mówić ze... Stile'em - poprosił gość. Stile zerwał się na równe nogi. To był głos Błękitnej Pani!

Podszedł do drzwi. Stała tam, trochę potargana, lecz wstrząsająco piękna. Oczywiście, Bluette. Uciekła z łap robota i odszukała człowieka, którego opisał jej Hulk. Sprytna dziewczyna!

Sytuacja była jednak dla niego bardzo niezręczna.

- Wejdz! - zaprosił ją do środka. - Oczywiście, pomogę ci. Jestem właśnie na tropie kobiety, która zabiła Hulka, ale o jednym muszę cię uprzedzić: między nami nie może być nic osobistego.

Zmarszczyła zgrabne brwi.

- Nic?

- Jestem mężem twojego sobowtóra z Phaze - Błękitnej Pani. Wyglądasz, co prawda, tak samo jak ona... i jesteś taka sama jak ona... ale to ją kocham. Nie chciałbym, żebyś przyjęła to za jakieś słowa krytyki; bardzo cię podziwiam. I wiem, że nie jesteś osobiście zainteresowana. Ale... wiesz, gdyby ona pomyślała, że się z tobą widuję...

Kobieta uśmiechnęła się, wcale nie była zakłopotana.

- Rozumiem.

- Stile - przerwała Sheen, która najwyraźniej próbowała mu coś przekazać. - Ona nie jest...

- Nie jest moją kobietą - zgodził się Stile. - Widzisz, Bluette, ja nigdy nie chciałem się z tobą spotkać. To... zbyt deprymujące. I czuję, że po tym wszystkim, co przeszłaś... Czy robot wciąż cię goni? Przynajmniej z tym możemy sobie poradzić!

- Stile, posłuchaj - próbowała dalej Sheen. - Właśnie zrozumiałam, że to...

- Sheen, czy mogłabyś na chwilę przestać wszystko komplikować?! - warknął Stile. - Każda chwila, którą ona tu spędza... Ta kobieta tak podobna jest do mojej ukochanej...

Nowo przybyła znowu się uśmiechnęła.

- Teraz już wiesz, Adepcie, przez co musiałam przejść. Fałsz tak podobny bywa do prawdy.

- Co? - Coś tu nie miało sensu.

- Ciebie... ciebie... ciebie...

Stile zamarł.

- Och, nie!

- Jestem Błękitną Panią - rzekła. - Miło mi słuchać wszystkich tych zapewnień o twojej miłości, mój panie, lecz nie po to przesłałam przez zasłonę. Przynoszę ci ważne wiadomości.

Stile nigdy nawet nie próbował wyobrazić sobie Błękitnej Pani na Protonie.

- Ale to znaczy...

- To znaczy, że Blulette nie żyje - dokończyła za niego Sheen. - W końcu minęło już kilka dni. Gdyby udało się jej uciec, dałaby nam jakoś znać.

- O, Boże - jęknął Stile. - Nigdy tego nie pragnąłem. A teraz jeszcze to spotkanie... Nigdy do niego miało nie dojść. - Gdzieś w głębi jego mózgu leżała się myśl, że Sheen może zrobić krzywdę swej ludzkiej rywalce. I myśl ta przybierała coraz bardziej realne kształty. Trzeba jak najszybciej zabrać stąd Błękitną Panią!

- Mówisz tak, jakby była to rzecz wstydliva - powiedziała Błękitna Pani. - Od dawna wiem przecież, jak oddaną przyjaciółką jest ci w tym świecie piękna pani Sheen, i szczęśliwa jestem, że wreszcie mogliśmy się spotkać. - Zwróciła się ku Sheen. - Wymieniłyśmy z Neysą przysięgę przyjaźni. Czyż z tobą mogłoby być inaczej? Jeśli zaszczybisz mnie tym honorem, najszlachetniejsza z dam...

Sheen rozpląkała się. Łzy nie należały do repertuaru typowych zachowań robota, lecz jej przyszło to jakoś naturalnie. - Och, pani...!

Obejmowały się, płacząc. Stile czuł się lekko ogłupiały. W jakiś dziwny sposób Sheen została uleczona, choć mechanizm tej kuracji pozostawał dla niego tajemnicą.

Kiedy minęły już pierwsze, jakże burzliwe emocje, Błękitna Pani przekazała Stile'owi swe wieści.

- Młody nietoperz przybył do naszego królestwa wielce utrudzony długim i szybkim lotem. Sądziłam, że potrzebuje pomocy, lecz on przyniósł dla ciebie wiadomość.

- Syn Vodlevile'a! - zawołał Stile. - Nigdy nie sądziłem, że on...

- Powiedział, że Czerwona Adeptka powróciła na ruiny swego królestwa i ułożyła straszliwe zaklęcie w formie amuletu-bazyliuszka, mające zniszczyć tego, kto będzie trzymał ten przedmiot w rękach. A uruchomi go sam kontakt z Phaze. Czerwona chce dać ci ten amulet na Protonie i w chwili, gdy przeniesiesz go na drugą stronę zasłony...

- Jej ostateczna pułapka! - stwierdził Stile. - Bazyliuszek, stwórz, którego dotknięcie równa się straszliwej śmierci, a spojrzenie zamienić może człowieka w kamień.

Lecz skąd przyszło jej do głowy, że przyjąłbym taki amulet z jej rąk?

- Nietoperz słyszał, że ma on przypominać swym wyglądem coś, czego nie mógłbyś odmówić. Coś, co od razu zabrałbyś na drugą stronę zasłony. To wszystko, czego zdołał się dowiedzieć; bał się podejść bliżej. Czuł, że powinieneś jak najszybciej się o tym dowiedzieć... i ja byłam tego samego zdania. Spróbowałam więc cię odnaleźć i udało mi się.

- To tak, jakby Blulette oddała życie za to, byś ty mogła mnie ostrzec - stwierdził Stile. - A ten mały nietoperz... Może ta drobna przysługa, jaką mu oddałem, ocali mi życie. Jakie to wszystko dziwne! Ale dlaczego ostrzegać mnie przed czymś, czego i tak nigdy bym nie

zrobił? Czyż nie znam dobrze mocy kryjącej się w amuletach Czerwonej?! Na Protonie są zupełnie niegroźne, lecz nigdy nie zabrałbym żadnego z nich na Phaze.

Błękitna Pani rozłożyła ręce.

- Może uda się nam coś wymyślić, mój panie. Za trzy godziny muszę powrócić do wilków. Nie chcę, by się martwiły. Ale na razie, czy mogłabym obejrzeć coś jeszcze na tym wspaniałym świecie? To może być moja jedyna szansa, a chętnie dowiedziałabym się czegoś więcej o twojej ojczyźnie.

- Pokażę ci - obiecała Sheen. - Pokażę ci wszystko!

Sheen była maszyną, ale nie mogła oszukać Stile'a. Jeśli chciała towarzyszyć Błękitnej Pani, to znaczy, że chciała zapewnić jej bezpieczeństwo. A jeśli tego pragnęła, to czyż warto jej odmawiać? I w ten sposób Stile w samotności głowił się nad zagadkową informacją, a obie panie udały się na zwiedzanie okolicznych kopuł.

Kto by pomyślał, że ta, która stała się przyczyną cierpień Sheen, znajdzie na nie lekarstwo? A jednak od chwili, gdy Błękitna Pani nazwała ją panią Sheen...

Jakaż uzdrawiająca moc kryła się w tych słowach! Błękitna Pani zupełnie naturalnie i bez żadnej ukrytej myśli przyznała Sheen równorzędną pozycję, zaoferowała jej przyjaźń i zaufanie, podbijając swym urokiem. Problem robociej natury Sheen nie został w ogóle poruszony.

Stile powrócił do starych problemów. Domyślał się, że Czerwona Adeptka zamierza podarować mu amulet rękami jakiejś trzeciej osoby, tak by uspić jego podejrzenia. Amulet mógłby mieć na przykład kształt srebrnej broszy przeznaczonej dla Błękitnej Pani; wtedy bez wahania zabrałby go ze sobą na Phaze. Teraz jednak został już ostrzeżony; postanowił nie przenosić przez zasłonę niczego.

Wróciły po dwóch godzinach jako przyjaciółki na śmierć i życie.

- Co za świat! - wykrzykiwała Błękitna Pani, zachowując się jak typowa turystka. - Od czasu wycieczki na Biegun Zachodni nie widziałam niczego równie wspaniałego! To prawdziwie czarodziejski świat!

- Biegun Zachodni? Chcesz powiedzieć, że Phaze ma również...

- Nie wiedziałeś? Zabiorę cię tam, mój miły, jak tylko pozbędziemy się naszych kłopotów.

- Chętnie go zobaczę - odrzekł Stile. Fascynujące, obcy z odległej galaktyki słyszał o Biegunie Zachodnim, a Stile, który żył niemalże obok, pozostawał pełnym ignorantem. - A teraz... Kocham cię, pani, i chciałbym, byś ze mną została, lecz zanim nie poznamy ostatecznego znaczenia słów Wyroczeni, dających nam szansę na długie wspólne życie,

musimy trzymać się od siebie z daleka.

- Idę już, mój panie. - Podeszła do Stile'a i pocałowała go.

Sheen odprowadziła ją do zasłony. Stile zajął się zbieraniem informacji przed kolejną rundą Turnieju; bał się, że jego towarzystwo może narazić Błękitną Panią na niebezpieczeństwo. Przychodząc tu i radząc sobie z licznymi technologicznymi zagadkami protońskiego środowiska, okazała zdumiewającą odwagę. Kochał ją za to, ale to nie był jej świat.

W dziewiątej rundzie przegrywający otrzymywał nagrodę pocieszenia w postaci dwóch lat pobytu w świecie Protonu; zwycięzca zyskiwał jeszcze szersze perspektywy. Stile wypłynął już na spokojne wody; wyeliminowanie z Turnieju nie oznaczało już natychmiastowej deportacji. Napięcie trochę spadło. Pojedynek z Czerwoną Adeptką stał się teraz ważniejszy od zwycięstwa w kolejnej grze. Och, wygranie całego Turnieju byłoby cudowne... lecz jego szansę były niewielkie, zwłaszcza że przegrał już przecież jeden mecz. Gdyby zaś pozbył się Czerwonej, cały świat Phaze stanąłby przed nim otworem. Oczywiście, zagra najlepiej, jak potrafi, lecz bez tej straszliwej, prześladowującej go przedtem konieczności. I dobrze, miał teraz ważniejsze sprawy na głowie od zbierania informacji o prawdopodobnych przeciwnikach, co stało się już dla niego uciążliwym obowiązkiem.

Tym razem grać miał przeciwko obywatelce. Doprawdy, to już trzeci taki przeciwnik... Miał pecha! Chociaż nie, prawdopodobnie aż połowa graczy, którzy doszli do tej rundy, to obywatele... to już nie sprawa szczęścia lub pecha.

Nie miał zamiaru spartaczyć tej gry. Wylosował oznaczony literami bok planszy, więc nie mógł przeszkodzić przeciwnicze w wyborze ulubionej specjalności - pewnie będą to UMIEJĘTNOŚCI lub GRY UMYSŁOWE - ale mógł udaremnić jej dalsze plany. Wybrał opcję NARZĘDZIE.

Na ekranie pojawiło się 4C, sztuka z wykorzystaniem maszyn. Nie była to ulubiona dziedzina Stile'a, ale obywatelka też pewnie za nią nie przepadała. Z podplanszy mogli teraz wybrać grę w terenie - rzeźbienie za pomocą detonowania małych ładunków wybuchowych lub wykonywanie ćwiczeń artystycznych w czasie skoku spadochronowego z symulowanej wieży. Prawdopodobnie Stile lepiej poradzi sobie w tych konkurencjach.

Gdy jednak przyszła pora na rozgrywanie podplanszy, obywatelka okazała się sprytniejsza - mieli rywalizować w posługiwaniu się maszynami do szycia, tworząc skomplikowane wzory i rysunki na materiale. Obywatelka miała oczywiście więcej styczności z materiałami; ubrana była w wyszukaną suknię wyszywaną złotą i srebrną nitką. Ale przecież krawiectwem zajmowała się nie ona, lecz jej niewolnice, a więc jeśli nie ćwiczyła

specjalnie tej sztuki...

Stile, oczywiście, szkolił się w tej dziedzinie. Spędził całe lata, doskonaląc swe umiejętności w każdej z konkurencji. Umiał obsługiwać maszyny do szycia, co prawda nie po mistrzowsku, ale wystarczająco.

Jak się okazało, był trochę lepszy od obywatelki. Zwycięstwo, choć mało spektakularne, pozostawało zwycięstwem.

A teraz czas na rozprawę z Czerwoną Adeptką. Przyjaciele Sheen, którzy jako maszyny mieli wielkie kłopoty z zobaczeniem, należącej przynajmniej częściowo do świata wyobraźni, zasłony, zbudowali specjalne urządzenie wykrywające. Niosła je teraz Sheen. Mogła wykrywać teraz obecność zasłony, podobnie jak Neysa obecność Czerwonej Adeptki. W ten sposób czarownica nigdy więcej nie ucieknie im, przechodząc na drugą stronę zasłony w miejscu, o którym Stile nie wiedział.

Przygotowywali się bardzo starannie. Sheen miała pełny asortyment broni i innych użytecznych urządzeń: laser, granat radiacyjny, peryskop, kapsuły z gazem paraliżującym i składany stalowy miecz. Przyjaciele wyposażyli ich również w dwuosobowy żyrocykl, na którym Sheen mogła szybko przewozić Stile'a z miejsca na miejsce, przynajmniej tam gdzie pojazd ten nie wywołałby zbiegowiska. Na Protonie działo się wiele rzeczy, o których obywatele nic nie wiedzieli, lecz wszystko ma swoje granice. Stile zamierzał zresztą tak poprowadzić walkę, by zwrócić uwagę obywateli na działalność Czerwonej, samemu jednocześnie pozostając w cieniu. Jediną jego zbrodnią było, jak dotychczas, uszkodzenie kopuły należącej do matki Czerwonej; obywatelka na pewno nie była z tego zadowolona, ale zniszczenia można było złożyć na karb awarii jednej z maszyn. Czerwona знаła, oczywiście, prawdę, lecz nie mogła jej ujawnić, bo śledztwo objęłoby również jej osobę. Była przecież odpowiedzialna za śmierć Hulka i Blulette - och, ten ból! ta wina! - co zostało uwiecznione na taśmie wideo. Gdyby zbrodnie te wyszły na jaw, deportowano by ją natychmiast z Protonu, nawet gdyby wygrała w Turnieju przedłużenie kontraktu.

Chyba że wygrałaby Turniej i została obywatelką. Nie podlegałaby wtedy żadnym karom. Stile musiał postarać się, by nigdy nie osiągnęła tej pozycji.

Wyruszyli na poszukiwanie wroga. Od dziesiątej rundy dzieliła Stile'a jedna doba... a jeśli nie starczy im czasu, podejmą pościg po grze. Przysiągł zemstę i dokona jej, w ten lub inny sposób.

Odnalazł w pewnym zapomnianym zakątku zasłonę i przeszedł na drugą stronę. Czekala tam na niego Neysa... i Błękitna Pani.

Zaskoczony, zaczął protestować. - Pani, prosiłem przecież, byś pozostała pod opieką

wilkołaków.

- Jeden z wilków udał się do Wyrocni - odparła. - Powiedziano mu, że jego przyjaciółka Neysa naraziła się na śmiertelne niebezpieczeństwo, biorąc udział w twojej misji. A skoro Neysa nie chce zrezygnować, wilki i jednorożce podjęły się patrolowania zasłony, by móc jej przyjść w razie potrzeby z pomocą. Nie chcąc utrudniać im tej akcji, przyłączyłam się do nich.

Stile nie był zachwycony tym pomysłem, lecz pojął, iż zwierzęta chciały mu w ten sposób pomóc, włączyć się do jego działań.

- Sądzę, że Czerwona walczyć będzie ze mną na Protonie - powiedział. - Moja magia silniejsza jest niż jej, a więc nie będzie chciała przechodzić przez zasłonę, zanim nie zniszczy mnie na Protonie. Proszę, uważajcie na siebie.

- Oczywiście - zgodziła się pani. - I ty też, mój miły.

Jakież będzie szczęśliwy, gdy wszystkie problemy zostaną już rozwiązane i bez obaw weźmie ją w ramiona!

Musieli z tym jednak jeszcze poczekać, pomni słów Wyrocni.

Neysa wskazała mu kierunek. Stile przeszedł przez zasłonę i razem z Sheen pojechali kawałek równoległe do niej. Zatrzymali się, Stile przeszedł na Phaze i otrzymał wynik nowego pomiaru. Mógł teraz posłużyć się metodą triangulacji. Wyglądało na to, że Czerwona znajdowała się w pobliżu miejsca, gdzie Stile poprzednim razem ją dogonił i gdzie przeskoczył jej samochód. Musiała mieć tam jakąś kryjówkę.

Pojechali tam, utrzymując umiarkowaną prędkość, by Neysa mogła bez trudu za nimi nadążyć. Gdyby Czerwona spróbowała znowu swoich sztuczek z przechodzeniem przez zasłonę, natychmiast wpadłaby w tarapaty. Oczywiście, jej amulety mogły zabić i Neysę, i Błękitną Panią, toteż Stile nie chciał, by brały udział w walce. Mogły jednak przypatrywać się z bezpiecznej odległości. Przynajmniej wynik będzie im od razu wiadomy. A zresztą obecność Pani powinna stanowić dla Neysy gwarancję bezpieczeństwa; gdyby Pani zginęła w walce, nie mogłaby urodzić mu syna, tak jak przepowiedziała to Wyrocnia. A więc Pani przetrwa i na pewno nie pozwoli, by zabito Neysę.

Jechali na wschód, unikając pojedynczych kopuł. Zwolnili, zbliżając się do celu. Gdyby nie powaga misji, wycieczka byłaby zupełnie przyjemna. Stile porównywał otaczający ich pustynny krajobraz do widoków na Phaze. Te pagórki, wąwozy i zagłębienia gruntu, w których mogłyby być jeziora! Gdyby tylko obywatele zaczęli interesować się odtwarzaniem zasobów planety, a nie wyłącznie ich zużywaniem. Ale to mrzonka; obywatele nie dbają o środowisko naturalne. Przecież właśnie fakt, iż środowisko tak bardzo wrogie było życiu,

zapewniał im dodatkową kontrolę nad społeczeństwem; mieli pewność, że żaden niewolnik nie ucieknie poza kopułę.

W miejscu, gdzie powinna znajdować się Czerwona, nie znaleźli nic. Cały obszar pokrywały niskie wydmy.

Odszukali najbliższy fałd zasłony. Stile przeszedł na Phaze, odnalazł kłacz i Panią. Wykonali jeszcze dwa pomiary, uściślając obliczenia. Czerwona nie znajdowała się na Phaze, lecz na Protonie, ukryta w bunkrze pod powierzchnią ziemi. Pomieszczenie pełne było amuletów; może był to skarbiec Czerwonej.

Amulety nie mogły jednak działać w świecie nauki. Zasłona przechodziła przez środek tego miejsca, lecz ciemności nie pozwalały im nic zobaczyć. Stile musiał przejść na drugą stronę i sprawdzić, co tam jest.

Neysa stanowczo zaprotestowała. Przecież w bunkrze kryje się Czerwona! Z pewnością obserwuje Stile'a, który znajduje się po lepiej oświetlonej stronie zasłony. Może czaić się z wysoko uniesionym mieczem, gotowa ściąć głowę pierwszej osobie, która waży się przejść przez zasłonę. Taka prosta, a skuteczna pułapka.

A więc Stile postarał się jej uniknąć. Przeszedł kawałek dalej, przedostał się przez zasłonę i wyjaśnił całą sytuację Sheen.

- To na pewno zasadzka - potwierdziła. - Chce cię tam zwabić. Nie rób tego.

- Nie mogę przecież pozwolić, by wszystko uszło jej płazem! A ona dobrowolnie nie wyjdzie!

Sheen otworzyła swą klatkę piersiową i wyjęła z niej laser.

- Wypal otwór i wrzuć do środka kapsułkę z gazem.

Dobry pomysł. Stile uruchomił laser. Dziura szybko się powiększała. Wkrótce promień przepalił stalowy sufit bunkra. Wrzucili do środka kapsułkę. Słychać było syczenie gazu, a z otworu wydobył się mały obłoczek dymu.

- Słyszałam jakiś stukot - oznajmiła Sheen. - Użyjmy peryskopu. - Wyciągnęła zminiaturyzowany przyrząd. Był całkowicie elektroniczny i nie wymagał podstawki; spuszczało się go w dół na prawie niewidocznej, cienkiej nici.

Zobaczyli Czerwoną Adeptkę, leżącą nago na podłodze miniaturowej twierdzy, z amuletem w jednej dłoni, a staroświeckim pistoletem w drugiej. Czyżby zamierzała zmusić go do wzięcia amuletu, grożąc mu pistoletem? Jeśli tak, to była zdumiewająco naiwna.

- To bardzo podejrzane - stwierdziła Sheen. - Do bunkra nie ma stąd dostępu; wejście znajduje się tylko na Phaze. Czerwona spodziewała się, że wejdiesz tamtędy. Możliwe, że naruszenie zasłony spowoduje uruchomienie jakiejś automatycznej pułapki.

- Tak. Musimy przedostać się tędy.

Zabrali się do pracy. Sheen wyjęła kilka ładunków wybuchowych i użyła ich do usunięcia piasku i wyrąbania w ścianie bunkra otworu odpowiedniej wielkości. Weszła pierwsza.

- Nie ma tu żadnych automatycznie uruchamianych pułapek - oznajmiła. - Myślę jednak, że powinieneś trzymać się z daleka.

- Do diabła z tym - odparł Stile, schodząc w dół po piasku. - Nie mogę pozwolić, by wszystko robiły za mnie kobiety.

- Ale skąd możemy wiedzieć, że nie kryją się tam pułapki innego rodzaju?! To zbyt proste; nawet ja zdołałabym coś wymyślić, a przecież nie mam wyobraźni twórczej. Pozwól, bym przynajmniej przeszukała ten bunkier...

- Zrób to, a ja zwięzę Czerwoną. - Stile przekonał się, że nie potrafi zabić jej w ten sposób - kiedy jest nieprzytomna. Śmieszne, że pozwoliła się tak łatwo złapać; przecież musiała słyszeć, jak wypalali otwór.

Pochylił się nad ciałem. Z powodu kolan wolał unikać przyklęknięcia. Sheen przeszukiwała bunkier. Coś nagle zaczęło go niepokoić, ale nie potrafił tego umiejscowić.

- Na pewno nie dotknę tego amuletu!

Nagle Czerwona poruszyła się. Odwróciła głowę w jego stronę i uniosła rękę trzymającą pistolet. Wcale nie była nieprzytomna!

Padł strzał. Stile uskoczył w ostatniej chwili. Gdyby kucał, jak każdy normalny człowiek, rana okazałaby się śmiertelna. Pistolet wycelowany był w serce kucającego mężczyzny. A tak, kula trafiła go w lewe udo.

Postrzał wyglądał fatalnie. Stile wprowadził się w trans. Leciał do tyłu, zaciskając obie ręce na ranie. Ból był okropny, ale udało mu się go opanować; jednocześnie starał się zatamować tryskającą z rany krew. Nie mógł pozwolić sobie na utratę przytomności; szybko wykrwawiłby się na śmierć. Kula uszkodziła główną arterię; potrzebował pilnej pomocy chirurga.

Sheen rzuciła się na Czerwoną. Pistolet i amulet poleciały gdzieś w kąt, a czarownica wylądowała na ścianie.

Udało się jej jednak odzyskać równowagę i odepchnąć Sheen z nieludzką wprost siłą.

- Ona jest robotem! - krzyknęła Sheen. - Maszyną, tak jak ja!

- To prawda - przyznała kopia Czerwonej. - I mam dla Stile'a wiadomość: śpiesz się, karle, gdyż właśnie w tej chwili Czerwona Adeptka uruchamia pocisk nakierowany na znajdującą się w twym ciele kulę. Ile szkody wyrządzi ci ta rakietka, zależeć będzie od

miejsca, w którym cię dogoni.

Usłyszeli gdzieś nie opodal szum uruchamianej maszynarii. Coś wylaniało się z sąsiedniego bunkra.

- Uciekaj, Błękitny! - mówił robot. - Ciesz się, póki możesz, króliczku. Koniec przekazu. - I robot zamarł.

- Sheen! - krzyknął Stile. - Zanieś mnie do zasłony. Tam pomogą mi, a pocisk nie przeleci na Phaze.

- Amulet! - zawołała Sheen. - Kula jest amuletem!

- Kula! - powtórzył Stile. Dopiero teraz zrozumiał, w jak straszliwej znalazł się pułapce, i to pomimo ostrzeżenia Błękitnej Pani. Gdyby przeszedł teraz przez zasłonę, to kula w jego nodze zamieniłaby się w bazyliuszka i Stile zginąłby, zanim zdążyłby wypowiedzieć najprostsze choćby zaklęcie. Lecz jeśli zostanie na Protonie...

Usłyszeli przesuwający się po piasku pocisk-rakietę. Znajdujące się w jej wnętrzu materiały wybuchowe mogły rozsadzić całą górę.

Sheen podniosła go, posadziła na fotelu żyrocykla i przypięła pasami bezpieczeństwa. Stile trzymał się rozpaczliwie resztek przytomności i usiłował zatamować upływ krwi. Sheen uruchomiła pojazd.

Rakieta, która okazała się pojazdem na kołach, wylaniała się właśnie zza bunkra, nabierając prędkości. Sheen nacisnęła pedał gazu, kierując się pod kątem prostym do toru rakiety. Po chwili osiągnęli siedemdziesiąt kilometrów na godzinę, zostawiając ścigającą ich bombę daleko w tyle. Na szosie prędkość tę uznać by można za umiarkowaną, lecz na pustyni wydawała się przerażająca. - Musimy jakoś wyciągnąć kulę, zanim zabiorę cię do lekarza!

- Ciekawe, jak masz zamiar to zrobić, bez pomocy medycznej i nie zatrzymując się? - zgrzytnął zębami Stile. Nie był w najlepszym humorze, jednocześnie walcząc z upływem krwi i ogarniającą go słabością grozącą mu w każdej chwili utratą przytomności. Jazda przez pustynię wcale mu tego nie ułatwiała.

- Wezwę jednego z moich przyjaciół, by się z nami spotkał.

- Lepiej niech wysadzi raketę w powietrze!

- Niemożliwe. To by zwróciło na nich uwagę obywateli. Któryś z nich zajmie się tobą, a potem zniknie. Rakieta nie będzie miała wtedy znaczenia.

- Nie chciałbym cię popędzać - zauważył Stile - ale długo już nie wytrzymam. Wprowadziłem się w trans, ograniczając krążenie w nodze, ale rana jest paskudna i zaczynam tracić kontrolę. Kończą mi się rezerwy.

- Znam to z doświadczenia - odparła. - Będziemy trzymać się zasłony, byś mógł przejść

na Phaze, gdy tylko pozbędziesz się kuli. Kilka zaklęć i...

- Nie mogę sam siebie leczyć.

- To Błękitna Pani znajdzie jakiegoś innego Adepta. Może Żółta Pani...

- Żółciutka nie jest żadną panią, to stara wiedźma. - Zaczynał już zrzędzić. Żółta pewnie by mu pomogła.

Przypomniawszy sobie, jak Błękitna Pani zdobyła jej względy, inicjując aplauz zgromadzonych w pawilonie Adeptów. Błękitna Pani umiała sobie radzić w takich sytuacjach.

Sheen skierowała żyrocykl w stronę zasłony, która teraz wydawała się Stile'owi dziwnie wyraźna. Czyżby zjawisko to uległo wzmocnieniu, a może za tę ostrość widzenia odpowiadał trans blokujący ból? Nieważne, bez względu na powód widział Phaze równie wyraźnie jak przez otwarte okno.

Żyrocykl pozostawił ścigającą ich rakietę daleko w tyle, lecz na Phaze Neysa miała spore kłopoty. Teren był tam bardziej urozmaicony, a drzewa, krzewy i strumienie utrudniały drogę.

- Zwolnij, Sheen. Neysa zostaje w tyle, a będzie mi potrzebna od razu, jak tylko przejdę na drugą stronę.

Sheen zwolniła... i pocisk zaczął ich doganiać. Zaczęło wyglądać to niebezpiecznie; dotychczas zdobyta przewaga stanowiła cały ich margines bezpieczeństwa. A w dodatku teren stawał się coraz trudniejszy. Jechali teraz mniej więcej na zachód, wzdłuż zasłony, w kierunku dużej grupy kopułów. W czasie poprzednich podróży przez pustynię mogli swobodnie manewrować wokół głazów, wydm, wąwozów i skał. Zasłona przecinała wszystkie te przeszkody bez ograniczeń i teraz niezwykle utrudniało to jazdę. Sheen ześlizgiwała się po stromych zboczach, skakała przez żleby, przedzierała się przez zwały piasku. Goniący ich pocisk też na tym cierpiał, lecz miał szerokie koła i był niezwykle solidnie zbudowany. Jazda po tym terenie stanowiła większe niebezpieczeństwo dla żyrocykla niż dla tego trzykołowego pojazdu.

Neysa zaczęła mieć na Phaze kłopoty. Stile przyglądał się temu bezradnie, podczas gdy Sheen prowadziła żyrocykl wzdłuż zasłony, raz po jednej, raz po drugiej stronie, co ciągle zmieniało pole obserwacji. Jednorożec radził sobie dobrze z trudnym terenem, lecz pojawiły się niebezpieczeństwa innego rodzaju. W pewnym momencie na drodze znalazła się cała kolonia demonów, które zaraz rzuciły się w pościg, żądne mięsa jednorożca. Neysa mogłaby z łatwością im uciec, gdyby nie musiała trzymać się zasłony i dbać o bezpieczeństwo Błękitnej Pani. Mogłaby też stoczyć z nimi walkę, przepędzając je kilkoma zaledwie ciosami rogu, lecz musiała przecież pędzić za pojazdem Stile'a. Demony wyskakiwały teraz z każdej

szczeliny w skałach, odcinając jej drogę. Szczęrzyły radośnie zęby; wiedziały, że już im nie ucieknie.

Neysa w desperacji zagrała na rogu. Stile słyszał, choć bardzo słabo, jej głos zza zasłony. Jechali teraz dokładnie tą samą drogą, w niedostrzegalny sposób nakładając się na siebie. Stile mógł obserwować Neysę tylko wtedy, gdy znajdowała się pomiędzy nimi zasłona, przez którą spoglądał jak przez okno, ale trwało to tylko mgnienie. Zasłona to interesujące zjawisko, kiedyś będzie je musiał zbadać i dokładniej zrozumieć. Podobnie jak Wyrocznia, zasłona wydawała się nie mieć żadnego wyraźnego pochodzenia i wytłumaczenia; po prostu istniała i zapewniała łączność między światami.

Neysa znowu zatrąbiła. Dźwięk rogu potoczył się przez pustkowie. Demony ryknęły śmiechem... głos przecież nie mógł im w niczym zaszkodzić. Stile zapragnął przeskoczyć na drugą stronę i rzucić w nie zakłębieniem, ale nie miał na to szansy.

Wtedy pojawił się wilk, zwabiony głosem jednoroźca. Zawył. Atakowano jego przyjaciela. Właśnie w obawie przed tym wilki podjęły się patrolowania zasłony; ostrzeżono je przed niebezpieczeństwem. Znajdowały się daleko jeden od drugiego, gdyż mocno pofałdowana zasłona ciągnęła się przez ogromne terytorium, lecz z pomocą przychodziły im niezwykle wyostrzone zmysły.

Odpowiedziało mu wycie pozostałych wilków. Nagle pojawiło się ich całe mrowie. Z dziką radością i w słusznym gniewie rzuciły się demonom do gardeł. Wilkołak ma tylko jeden cel w życiu - uczciwie walczyć o słuszną sprawę.

Drapieżny śmiech demonów zamienił się w okrzyk gniewu, a potem strachu, gdy coraz więcej wilków pojawiało się jak spod ziemi, obnażając zęby w złowrogim grymasie śmierci i odcinając je od Neysy.

Neysa zagrała jedną tylko, przepojoną wdzięcznością, nutę i wciąż niosąc na swym grzbiecie Błękitną Panią, pomknęła śladem Stile'a. Dźwięki toczony bitwy powoli przygasały; tym razem demony zaatakowały niewłaściwe stworzenie.

Sheen prowadziła żyrocykl z desperacką odwagą. Tuż przed nimi zasłona przecinała na pół kopułę mieszkalną. Musieli ominąć ją, lecz gdy wrócili do zasłony, Neysa już tam była; parsknęła ogniem i była mocno zgrzana, lecz nie miała zamiaru zostać w tyle. Błękitna Pani przywarła do jej grzbietu, jadąc wprost doskonale, wypatrując niebezpieczeństw i prowadząc Neysę lekkim uciskiem kolan, który zawsze był tylko radą, nigdy rozkazem. To jednorożec kierował pogonią, lecz Pani więcej miała czasu na obserwację drogi. Neysa coraz bardziej koncentrowała się na utrzymaniu prędkości; nie unosiła już głowy, by rozejrzeć się dookoła. Ufała bystrym oczom Pani. Stile znał to z doświadczenia; często biegał w maratonach i

wiedział, że przychodzi taki czas, gdy cały świat ogranicza się tylko do bolesnego ruchu nóg i wykrzykiwanych wskazówek przyjaciół. Nawet wzrok przestaje być wtedy przydatny.

Stile czuł się teraz podobnie. Dłonie ociekały mu krwią. Powoli tracił przytomność. Z trudem utrzymywał razem duszę i ciało. Ciało i duch, czy to było ostrzeżenie? Wtedy, w czasie Turnieju udało mu się zwyciężyć, lecz teraz walka toczyła się o większą i trudniejszą do zdobycia stawkę. A za nimi cały czas pędziła rakietka.

Widział jakieś urywki scen rozgrywających się za zasłoną; jakieś wzgórze, rzekę, którą Neysa przepłynęła, wyrzucając całe fontanny wody. Rzeka stawała się coraz głębsza, a klacz nie mogła zamienić się w świetlika, gdyż niosła na grzbiecie Błękitną Panią. Żyrocykl pędził dnem tej samej, lecz tu wyschniętej rzeki.

Zasłona prowadziła ich teraz na południe, obok jaskini wampirów, potem przez jeszcze jedną rzekę ku ruinom Czerwonego Królestwa. Obok Neysy biegły teraz jednorożce, oczyszczając jej drogę. W górze leciały nietoperze, wypatrując niebezpieczeństw i ostrzegając przed nimi. Jakiś smok uciął sobie drzemkę w poprzek zasłony; gdy sześć szarżujących jednorożców pojawiło się przed nim, pospiesznie przeniósł się w inne miejsce. Mali Ludzie ze szczepu, któremu nie szkodziło światło dzienne, ustąpili drogi tej dziwnej procesji. Wielki bieg trwał.

„To wszystko dla mnie”, pomyślał Stile. „Wszystkie te jednorożce, wilkołaki i wampiry gonią resztkami sił tylko po to, by pomóc mi zachować życie. Neysa zagoniona prawie na śmierć. Czy moje życie jest tego warte?” Jej kopyta płonęły czerwienią, żarzyło się jej ciało. Zostawiała za sobą smugę dymu; to paliło się poszycie.

Obok żyrocykla pojawił się jakiś inny pojazd. Jechał tuż obok dokładnie z tą samą prędkością. Wysunęły się z niego mechaniczne ręce. Jakieś mierniki przesunęły się po ciele Stile'a, dotykając zakrwawionej nogi. Środki znieczulające, potem odkażające. Robot-chirurg, nie zważając na prędkość i nierówną drogę, usunął kulę, załatał uszkodzoną arterię, zszył i zabandażował ranę, podając jednocześnie Stile'owi sztuczną krew właściwej grupy. Macki robota z powrotem zablokowały nerwy zranionej nogi, tak że Stile wciąż nie czuł bólu. Wreszcie ręce i macki cofnęły się, a oba pojazdy rozłączyły. Stile usłyszał tylko ostrzeżenie: Strzeż naszych interesów! Znaczyło to, że nikt na Protonie nie ma prawa dowiedzieć się o tym, co zaszło.

Kiedy przyjaciele Sheen decydowali się przyjść komuś z pomocą, robili to wyjątkowo szybko, precyzyjnie i skutecznie. Stile wiedział, że nie będzie mógł zgłosić się teraz do któregoś z protońskich szpitali; przysiągł przecież, iż nie zdradzi żadnej z tajemnic maszyn o wolnej woli, a więc musiał ukryć przed obywatelami dokonany przed chwilą zabieg

chirurgiczny. Nie było to trudne - nie potrzebował już żadnej operacji.

Mimo to wciąż bliski był utraty przytomności. Czuł się skrajnie wyczerpany, a ani operacja, ani transfuzja nie mogły zastąpić wypoczynku. Sheen skierowała żyrocycl w stronę zasłony. Neysa dogoniła ich rozpaczliwym wysiłkiem i galopowała równolegle do nich. Ścigający ich pocisk zbliżył się niebezpiecznie.

Jednorożec i żyrocycl nałożyły się teraz na siebie, rozdzielone odmiennością światów, do jakich należały.

- Teraz - krzyknęła Sheen i Stile wysiłkiem woli przeniósł się na Phaze.

Upadł prosto na rozgrzany grzbiet Neysy. Błękitna Pani objęła go, przycisnęła mocno do siebie; lecznicza magia jej rąk zaczęła działać. Nareszcie był bezpieczny!

Po drugiej stronie zasłony pojazd Sheen nabierał prędkości. Kula została w jej rękach i rakietą nie przerywała pościgu.

Stile z ulgą stracił przytomność.

Rozdział 12

TANIEC

Dziesiąta runda oznaczała wyraźny skok jakościowy. W grze pozostało już tylko dwudziestu zawodników, z których zresztą aż osiemnastu miało już jedną porażkę. Gracze wyeliminowani w tej rundzie otrzymywali nagrodę pocieszenia w postaci pięcioletniego przedłużenia kontraktu.

Stile miał teraz aż dwa słabe punkty: chore kolana i nie do końca wyleczone udo. Kula-amulet utkwiała w kości, uszkadzając po drodze arterię. Rana, choć paskudna, była mniej groźna, niż się wydawało, lecz Stile mocno ucierpiał w wyniku szoku i utraty krwi. Żółta Adeptka zaoferowała mu napój dziesięciokrotnie przyspieszający gojenie. Mimo to nic nie mogło zastąpić czasu i odpoczynku, a Stile miał tylko dziesięć godzin do następnego pojedynku. Nic dziwnego, że nie był w najlepszej formie.

Sheen zaprowadziła ścigającą ją rakiety z powrotem do bunkra Czerwonej i wrzuciła do środka kulę. I tyle. Opowiedziała mu potem, zachowując pełny obiektywizm, że eksplozja była spektakularna i całkowicie zniszczyła ukrytą komnatę, w której chowała się Czerwona Adeptka. Niestety, kobiety tam nie było. Zniknęła ze sceny w czasie pogoni rakiety za Stile'em, a nikt nie pomyślał o namierzeniu kierunku jej ucieczki.

Dzięki pomocy i opiece ze strony kilku pań zamieszkujących oba światy, Stile uwolniony został od troski o swe bezpieczeństwo i mógł zająć się grą. Miał szczerzy zamiar trzymać się jak najdalej od konkurencji fizycznych. Sheen opiekowała się nim, jak mogła, lecz pomoc w czasie Turnieju była wykluczona.

Jego przeciwnikiem okazał się tym razem mężczyzna z drabiny wiekowej Stile'a, przewiskiem Track, mający 35 lat, mistrz biegów w klasie powyżej trzydziestu lat. W pozostałych konkurencjach lekkoatletycznych też nie należał do ostatnich.

Stile, nawet gdy był w pełni formy, nie mógł dorównać mu w biegach, skokach czy pływaniu. W obecnej sytuacji nie miał żadnych szans. Lecz Track był stosunkowo słaby w konkurencjach umysłowych i do tego jeszcze brakowało mu zdolności artystycznych. A więc zwycięstwo mogło przyjść Stile'owi łatwo pod warunkiem, że trzymałby się z dala od opcji LOSOWE i FIZYCZNE.

Ale okazało się, że Stile otrzymał bok planszy oznaczony literami. Nie mógł więc wyeliminować kolumny: FIZYCZNE.

Błyskawicznie rozważał wszystkie możliwości. Opcja NAGO była oczywiście

wykluczona. NARZĘDZIE też nie należało do najlepszych: Track świetnie radził sobie na rowerze wyścigowym, był mistrzem tenisa, bilardu i innych, podobnych gier. MASZYNA... Tu wybór wyglądał lepiej; Track czuł się niepewnie w takich konkurencjach jak wyścigi motocyklowe, w których Stile nawet ze zranioną nogą poradziłby sobie dużo lepiej. ZWIERZĘTA... Stile był, oczywiście, mistrzem jazdy konnej. Uszkodzenie kolan zmniejszyło znacznie jego możliwości, lecz wciąż jeszcze mógł polegać na swym doświadczeniu, umiejętnościach i zrozumieniu psychiki konia. Ta opcja była dla niego najkorzystniejsza.

W związku z tym jej nie wybrał. Zdecydował się na NARZĘDZIA, mając nadzieję, że Track zaryzykuje UMYSŁOWE. Opcja 2D kryła w sobie takie na przykład konkurencje jak tresowanie zwierząt, a jego przeciwnik świetnie radził sobie z cyrkowym batem.

Nie udało się. Na ekranie pojawiło się 1B. Gry fizyczne z użyciem narzędzi.

Stile'owi udało się jednak przechytryć przeciwnika podczas rozgrywania podplanszy; pojedynek stoczyć mieli przy użyciu baniek mydlanych. Niewiele było równie subtelnych gier fizycznych.

Przy pomocy słomek wydmuchiwali bańki, kierując je specjalnie oznakowanym torem. Punktacja zależała od wielkości, odległości i czasu; należało przeprowadzić jak największą bańkę przez ściśle określony odcinek toru i w dokładnie oznaczonym czasie. Stile świetnie sobie radził z tym zadaniem; jego bańki były co prawda średnich tylko rozmiarów, lecz za to mocne, a znacznie większe wytwory Tracka pękały przed osiągnięciem mety.

Stile zwyciężył, tak jak wiele razy przedtem, dzięki swym umiejętnościom rozgrywania planszy. Przeciwnicy uścisnęli sobie dłonie i rozstali się, a tłumek widzów nagroził ich oklaskami. Gra nie była ani dramatyczna, ani zacięta, ale wysokość stawki uczyniła ją bardziej atrakcyjną. Track, mając w perspektywie pięć dodatkowych lat na Protonie, nie bardzo martwił się przegraną.

Stile spędził sześć godzin przyspieszonej kuracji na Phaze i zameldował się do kolejnej rundy Turnieju, jedenastej. Liczba uczestników spadła do jedenastu i tylko jeden z nich nie poniósł jeszcze porażki. Przegrani w tej rundzie otrzymywali nagrodę w postaci dziesięcioletniego kontraktu. Z Turnieju odpadło już tysiąc trzynastu zawodników.

Przeciwnikiem Stile'a był tym razem obywatel, i to bardzo młody; miał około piętnastu lat. Stile był przekonany, że poradzi sobie we wszystkich konkurencjach wymagających większych kwalifikacji, lecz nadal wolał unikać konkurencji fizycznych. Wylosował oznaczony numerami bok planszy, a więc wybrał opcję UMYSŁOWE; tutaj nic mu nie mogło zagrozić.

Ku jego zdumieniu obywatel wybrał ZWIERZĘTA. A więc 2D, opcja, której Stile usiłował w poprzedniej grze uniknąć. Kiedy rozegrali podplansze, okazało się, że rywalizować będą w konkurencji komunikacji międzygatunkowej.

Każdy z graczy otrzymał trzy niewytresowane zwierzęta: psa, kota i szczura. Mieli również do swej dyspozycji różne smakołyki dla zwierząt i elektryczną pałkę: bodźce pozytywne i negatywne. Zadanie polegało na zmuszeniu wszystkich trzech zwierząt do przejścia przez wyznaczony labirynt, nie dotykając żadnego z nich. Wygrywał pierwszy gracz, któremu się to udało.

Zwierzęta były z początku bardziej zainteresowane pogonią lub ucieczką jedno przed drugim niż wykonywaniem sztuczek. Należało ich bardzo pilnować. Elektryczną pałką można było wpływać na ich zachowanie, sprawiając zwierzętom ból od łagodnego do paralizującego; zwłaszcza koty szybko uczyły się, pod wpływem tajemniczego dla nich cierpienia, nie rzucać się na szczury. Jednak nakłonienie zwierzęcia do wykonania czegoś było trudniejsze od zniechęcenia go do popełniania jakiegoś czynu. Nie wolno było używać smakołyków do prowadzenia zwierząt; mogły służyć tylko jako nagroda za właściwe zachowanie. Reguły te nie były zupełnie jasne dla zwierząt.

Labirynt wyposażono w szereg „śluz”, w których dwa zwierzęta musiały się, choć na chwilę, spotkać przed przejściem do następnej części labiryntu; dzięki tej osobliwości konkurencja ta zaliczona została do gier umysłowych. Przewidywana nagroda skłonić miała zwierzęta do wejścia do pierwszej śluzi, a pałka zniechęcić do atakowania się nawzajem; zwierzęta starały się powtarzać te czynności, za które je wynagradzano poprzednim razem, i unikać tych, które zakończyły się karą. Tym, co liczyło się w tej grze najbardziej, była umiejętność wymyślenia odpowiedniej strategii, tak by w zależności od miejsca, w którym znajdowało się zwierzę, właściwie dobranymi bodźcami kierować jego ruchem.

Doświadczenie Stile'a i jego znajomość psychiki zwierząt znowu mu pomogły. Ukończył zadanie, zanim młody obywatel zdołał namówić swego kota, by przyłączył się do warczącego psa w pierwszej śluzie i przestał rozglądać się za szczurem. Gdyby wpuścił do śluzi szczura jako pierwszego, osiągnąłby lepszy wynik; każde z pozostałych zwierząt chętnie by tam za nim weszło. Stile wybrał taką właśnie kolejność: szczur, kot, pies. Kiedy zwierzęta ukończyły labirynt, gotowe były do kolejnych zadań. Zwycięstwo przypadło Stile'owi.

Śmieszne, ale te końcowe, tak ważne rundy, wydały mu się, kiedy już do nich doszedł, mało znaczące. Jego pierwsza runda, football, była najtrudniejsza; ostatnia okazała się najłatwiejsza. Takie anomalie charakterystyczne były dla gry.

Noc spędził na Phaze, odpoczywając i lecząc się. Zajęła się nim Żółta Adeptka, w swej naturalnej postaci staruchy. Umiała przyrządzać wszelkie wywary, a do tego nie przedstawiała sobą takiej pokusy jak Błękitna Pani. Nie groziło mu więc, że nierozważnym czynem pozbawi się gwarancji, jaką dawały mu słowa Wyroczeni.

Ale dlaczego Żółciutka tak mu pomagała? Stile znowu się u niej zadłużył, a do tego zdążył ją polubić. To, że była mu potrzebna, wydawało się budzić w niej długo uśpione lepsze cechy. Może podobała się jej praca w zespole, świadomość robienia czegoś wartościowego, zdobywanie uznania u innych. Adeptci mało mieli takich doświadczeń.

Odwiedziła go również mała Brązowa Adeptka. Miała wyrzuty sumienia, że jej golem wziął udział w morderstwie popełnionym na Błękitnym Adeptce, i chciała mu to wynagrodzić. Horyzont wokół Stile'a zaczął się przejaśniać.

Jednak bez wyeliminowania Czerwonej Adeptki nic nie mogło zostać rozstrzygnięte. Na pewno spędziła cały czas jego rekonwalescencji, pracowicie produkując kolejne pułapki. Sheen zameldowała, że Czerwona dalej startuje w Turnieju. Przeszła do wyższych rund, tylko raz przegrywając. Jeśli oboje, Stile i Czerwona, dalej będą wygrywać, czeka ich spotkanie w Turnieju.

Tak właśnie stało się w dwunastej rundzie. Uczestniczyło w niej już tylko sześciu zawodników; jeden z nich nie odniósł żadnej porażki. Nagrodą dla przegrywającego było dwadzieścia lat, dodatkowo pełny kontrakt.

Noga Stile'a zagoiła się już prawie całkowicie, a dodatkowym bodźcem była chęć zemsty. Gotów był do walki z Czerwoną. Zwłaszcza że znaleźli się teraz w jedynej sytuacji, w której Adeptka nie mogła oszukiwać, ani też uciec. Zwyciężając ją, Stile nie tylko pozbawiłby ją szansy zdobycia obywatelstwa, lecz wyeliminowałby ją również z Turnieju, a skoro dzięki śledztwu prowadzonemu przez pracodawcę Blulette wyszło na jaw, iż Czerwona zamordowała i ją, i Hulka, groziła jej deportacja. W takich warunkach nagrody pocieszenia nie przyznawano.

Stile długo to rozważał. Początkowo chciał ją zabić, lecz przysięgał przecież tylko „zrobić z nią koniec”. Wyroczenia też nic nie mówiła o zabijaniu; przepowiedziała, że Błękit zniszczy Czerwień. Czy wygnanie można uznać za zniszczenie? Możliwe. Obywatele wypracowali wysoce wyszukane metody zapewniające, że raz wygnana osoba nie mogła już nigdy powrócić na Proton. Tego można było być pewnym. A w każdym razie, im dłużej Stile rozważał konieczność zabicia ludzkiej istoty, tym mniej mu się to podobało. Po prostu nie nadawał się na mordercę. Więc jeśli tak należało rozumieć słowa Wyroczeni, gotów był je zaakceptować z pewną nawet ulgą.

Pozycja Czerwonej była zupełnie inna. Musiała zabić Stile'a. Jeśli Stile zostałby wyeliminowany z Turnieju w tej rundzie, to otrzymałby przedłużenie kontraktu na dalsze dwadzieścia lat i mógłby do woli przeciw niej spiskować, zakładając oczywiście, że Czerwona zdobędzie obywatelstwo. Dalej miałby swoją bazę operacyjną na Phaze, gdzie nie mogłaby go osiągnąć, i skąd mógłby organizować przeciwko niej akcje odwetowe. Władza obywatela była ogromna, lecz w końcu dostałby ją i oboje o tym wiedzieli. Tak więc Czerwona potrzebowała czegoś więcej niż tylko zwycięstwa w Turnieju.

Morderstwo w czasie gry było zupełnie możliwe. Zawody organizowano tak, by zapewnić graczom jak największe bezpieczeństwo, lecz podczas szczególnie wyczerpującego pojedynku uczestnik mógł przecież doznać zawału, sprzęt mógł zawieść w krytycznym momencie, a nieszkodliwy pocisk pistoletu mógł zostać zanieczyszczony jakimś w pełni legalnym, lecz śmiertelnym narkotykiem. Czerwona na pewno spróbuje coś takiego wymyślić, choć czujne oko prowadzącego grę komputera czyniło to zadanie skrajnie trudnym. Stile, ze swej strony, robić będzie wszystko, by jej to uniemożliwić.

W wyższych rundach nie było kolejek; wszystkie urządzenia stały do dyspozycji sześciu tylko graczy. Każdemu pojedynkowi miała przyglądać się ogromna widownia. Na szczęście Stile nie był zmuszony do konwersowania ze swą nieprzyjaciółką. Nie musieli czekać na dostęp do planszy.

Znowu wylosował litery. Za każdym razem, kiedy naprawdę potrzebował cyfr, los odbierał mu tę możliwość.

Stile nie próbował nawet wykorzystywać słabości Czerwonej; nic przecież nie wiedział o jej grze. Wybrał opcję, w której był najlepszy: NARZĘDZIA. Lubił co prawda zwierzęta i dobrze sobie z nimi radził, ale nie życzył sobie więcej footballu z androidami albo gier w zespole szczur - kot - pies.

Na ekranie zapaliło się 4A. A więc Czerwona wybrała UMIEJĘTNOŚĆ.

4A? Przecież nacisnął B.

Zapis komputera był jednak wyraźny; Stile pomylił klawisze. Po raz pierwszy w życiu! Ta nieuwaga mogła kosztować go zwycięstwo!

Nie było czasu na żale. Konkurencja obejmowała śpiew, taniec, pantomimę, gawędziarstwo, poezję, humor i temu podobne. Występom przyglądała się widownia. Stile dobrze sobie radził w tego typu zawodach; Czerwona prawdopodobnie też. Podejrzał, że Adeptka miała nadzieję na opcję 4B i rzeźbiarstwo; gdyby Stile się nie pomylił, pewnie by się na tym skończyło. Spędziwszy całe życie na wytwarzaniu amuletów, zdobyła w tej dziedzinie ogromne doświadczenie i pogłębiła swe umiejętności. Oczywiście nigdy nie pozwoliłby jej na

przeforsowanie ulubionej konkurencji; manewrowałby tak, aż musiałaby wybrać muzykę. Walcząc z Clefem miał niewielkie szansę, a z Czerwoną na pewno uporałby się łatwo. Naturalnie, ona zrobiłaby wszystko, by zapobiec temu wyborowi, i pewnie skończyłoby się na rywalizacji w jakiejś obcej obu stronom specjalności, na przykład pisaniu. Tak więc może pomyłka nie była taka groźna. Stile był mistrzem w większości konkurencji z grupy 4B, a z pozostałymi też był dobrze zaznajomiony. Jeśli Czerwona zechce dorównać mu w tworzeniu wierszy...

Okazało się, że wybór padł na taniec. W porządku, potrafi też tańczyć. Ciekawe, czy miała jakiś ulubiony taniec, na przykład klasyczny menuet? Wolał nie ryzykować; lepiej wybrać jakąś bardziej kreatywną formę, gdzie jego wyobraźnia pozwoli mu uzyskać przewagę. Na pewno nie balet; noga dawała mu się jeszcze we znaki, lecz może coś luźno z baletem związanego.

W końcu zdecydowali się na taniec dramatyczny. Tańczono według scenariusza, ze ściśle określonymi scenami, lecz w ich obrębie tańczący mieli pełną swobodę interpretacji. Występowano w kostiumach; uważano, że strój nie stanowi w tej konkurencji narzędzia. Określenie „nago” nie oznaczało fizycznej nagości; przecież wszyscy niewolnicy chodzili, niczym nie osłaniając ciała. Słowem tym określano gry, które nie wymagały użycia specjalnych urządzeń, do których należał równie dobrze komputer, jak nietoperz lub pies myśliwski. Tak więc, dla rozbawienia publiczności naga sztuka tańczyła w ubraniu. Stile, który zdążył przyzwyczaić się już do zwyczajów na Phaze, nie miał żadnych kłopotów z noszeniem ubrania. Czerwona tym bardziej.

Biorąc to wszystko pod uwagę, pojedynek nie zapowiadał się źle.

Komputer wybrał scenariusz. Miał całą bibliotekę różnych historii i losował je tak, by unikać powtórzeń. Oznaczało to, że niektóre ze scenariuszy były słabo znane, ale należało to do ryzyka gry.

Wybrana teraz opowieść oparta była na jednej z bajek tysiąca i jednej nocy - *Konkurs piękności ifrytów*. Obywatele lubowali się w motywach arabskich, identyfikując się z domniemanym bogactwem kultury arabskiej dziewiątego i dwunastego wieku.

Stile otrzymał rolę księcia Kamara al Zamana, a Czerwona księżniczki Budur, zwanej Księżycem wśród Księżyców. Stile nie znał tej bajki i miał złe przeczucia. Historie arabskie potrafiły być takie zasadnicze. Ta z pewnością opiewała jakiś romans, a ostatnią rzeczą, jakiej by sobie życzył, była gra miłosna z nieprzyjaciółką, którą przysiągł zniszczyć. Niestety, nie mógł się teraz wycofać, nie tracąc twarzy.

Komputer spełniał podwójną rolę narratora i reżysera. Sędziował zespół krytyków

teatralnych. Nie byli oni zobowiązani kierować się osądem widowni; wiadomo, że widzowie często zdradzali brak wyrobionego smaku, nie mówiąc już o ich kolosalnej wręcz ignorancji. Stile bardzo był z tego zadowolony; oznaczało to, że jego gra oceniana będzie na podstawie kryteriów estetycznych, a nie jego wzrostu czy wyglądu Czerwonej.

Nadzieją też - choć może nieuzasadnioną - napełniało go poprzednie doświadczenie z podobnym zespołem sędziowskim. Rozumiał, oczywiście, że taka sytuacja - miał na myśli rywalizację w grze na harmonijce - pewnie się już nie powtórzy, lecz...

Zajęli miejsca na zaciemnionej scenie. Reflektor oświetlił połowę, na której miał tańczyć Stile. Ku jego zdziwieniu dekoracje nie nawiązywały wcale do arabskiego charakteru bajki; przedstawiały prostą, zbudowaną z udającego kamień materiału, dwupoziomową alkowę.

- Kamar al Zaman, arabski książę, został skazany na uwięzienie w swej komnacie przez króla, swego ojca, gdyż odmówił zaślubienia którejkolwiek ze stanowiących dobrą partię dziewcząt królestwa i księżniczek zaprzyjaźnionych państw. Król pragnąłby zapewnić kontynuację królewskiej linii, gryzły go też podejrzania, iż syn jego mógłby okazać się gejem, tak więc przedsięwziął surowe środki, mające zarówno rozwiązać ten problem, jak i ukryć go przed opinią publiczną. Książę Kamar poddał się wyrokowi ojca, zachowując poczucie własnej godności. Tańczy teraz Taniec Nieugiętości, symbolizujący jego determinację i pragnienie życia według własnych zasad, a nie poddane dyktatowi królewskiej tradycji.

Nagle scenariusz zaczął się Stile'owi podobać. Czuł, że potrafi dobrze zatańczyć tę rolę. Wierzył przecież w wolność jednostki i swobodę działania, zwłaszcza od czasu, kiedy odkrył Phaze. Mimo że nieomyłne sądy Wyroczeni określały los pojedynczego człowieka, ludzka pomysłowość mogła przemienić go w coś innego. Na Phaze Stile był księciem, na Protonie - niewolnikiem. Uświadomił sobie teraz, że uczestnictwo w Turnieju motywowane było pragnieniem zmiany statusu. Pragnął stać się księciem.

Stile tańczył. Jego archaiczny kostium zaprojektowany został tak, by raczej zapewnić mu swobodę ruchów niż wiernie oddawać realia epoki. Nosił na sobie obcisły strój, nie krępujący nóg, i błękitną, obszerną pelerynę, powiewającą przy każdym ruchu. Taniec okazał się wspaniałą zabawą; Stile improwizował, wyrażając ruchem wyzwanie rzucone systemowi i palącą wolę zwycięstwa. To był Stile przeciwko Protonowi. Stile przeciwko losowi. Skakał, obracał się i rozkładał ramiona w uniwersalnym geście wyzwania, by przejść wreszcie do uległości; był przecież księciem Kamarem, uwięzionym jak zwykły niewolnik w wieży za to tylko, że śmiał wybrać swój własny sposób życia i miłości. W ciemnej wieży nikt nie mógł docenić jego odwagi. Gest wyzwania stawał się pustym gestem.

Z wyjątkiem, oczywiście, widzów. Zebrało się ich wielu i kiedy Stile skończył, nagrodzili go brawami. Być może klaskali dlatego tylko, iż tak należało robić, lecz Stile miał nadzieję, że udało mu się przekazać im pewne uczucia, które powinni dobrze zrozumieć. Niewolnik przeciwko obywatelowi...

Eksperci należący do zespołu sędziowskiego coś sobie notowali. To był świetny taniec, zarówno technicznie, jak i tematycznie, dobry początek roli. Może jeszcze mu się uda.

Należąca do Stile'a część sceny ściemniała, a reflektory oświetliły połowę, na której miała tańczyć Czerwona. Tu wystrój był bardzo kobiecy, z draperiami, lustrami i miękkim, puchowym łóżem ustawionym na podeście z tyłu sceny; kostium Czerwonej był równie bogaty. W tym samym czasie księżniczka Budur, Księżyc wśród Księżyców, słynna w całym królestwie ze swej urody i talentów, przeżywa podobne kłopoty. Odmówiła wszystkim swym wielbicielom, gdyż gotowa była zawrzeć małżeństwo wyłącznie z miłości, a nie dla prestiżu czy bogactwa. Jej ojciec, w złości, zabronił jej opuszczać komnatę, dopóki nie podda się jego decyzjom. Teraz, sama, tańczy Taniec Zawiedzionych Nadziei, symbolizujący tęsknotę za prawdziwą miłością.

Czerwona tańczyła; ubrana w piękny kostium z szeroką spódnicą, ozdobiony błyszczącymi klejnotami migoczącymi przy każdym jej ruchu. Była, Stile przyznawał to z pewną niechęcią, piękną kobietą, zgrabną i zdrową. Kiedy tańczyła sama, jej wzrost nie rzucał się tak w oczy; wyglądała normalnie, tak jak i Stile. Zło, które przepelniało jej życie, w niczym nie zmąciło jej urody.

Była też świetną tancerką i potrafiła wręcz doskonale oddać charakter postaci. Kręciła piruety niezwykle precyzyjne; w czasie obrotów spódnica unosiła się, ukazując jej olśniewające nogi. Jej gesty tak wyraziście wyrażały tęsknotę za miłością, że nie można było ich nie pojąć, twarz rozjaśniała się nadzieją i smutniała pod wpływem rozczarowania. Czy była utalentowaną aktorką, czy też naprawdę doznała kiedyś takich uczuć? Stile poczuł zakłopotanie; trudno było nienawidzić jej z pełną mocą i jednocześnie obserwować ten doskonały taniec.

W końcu tancerka upadła na ziemię, poddając się rozpacz i kończąc jednocześnie swój występ. Nigdy jeszcze nadzieje nie wydawały się w równym stopniu zawiedzione, a nieszczęście mniej zasłużone.

Widownia wybuchnęła oklaskami. Stile uświadomił sobie z lękiem, że Czerwona tańczy lepiej. Potrafiła przekazać więcej uczuć i w bardziej efektowny sposób niż on. Nielatwo przyjdzie mu wygrać tę rundę. Co gorsza, zrozumiał, że zdobywając obywatelstwo, Czerwona uzyska znacznie więcej władzy niż miała dotychczas, i z pewnością nie pozostanie

w defensywie, może przecież wynająć zabójców i z łatwością się go pozbyć. Wcale nie musi zabijać go na scenie, wystarczy, że go pokona. Jego sytuacja zaczęła wyglądać teraz gorzej.

- Kamar i Budur rozebrali się i udali na spoczynek - oznajmił narrator.

Zapaliły się przyćmione, symbolizujące noc światła, punktowo oświetlające aktorów. Reszta sceny pozostała w ciemności. Stile zdjął swój kostium, złożył go starannie - jak przystało na księcia - i wyciągnął się na podwyższeniu z tyłu sceny, udając sen. Ale to chyba jeszcze nie koniec roli, musi przecież zakasować Czerwoną.

- Wieża, w której zamknięto księcia Kamara, nawiedzana była przez ifrytkę, nadprzyrodzoną istotę, należącą do jednego ze szczepów dżinów - ciągnął komputer. Stile uśmiechnął się w duchu; komputer nie wiedział, że w alternatywnym świecie Phaze naprawdę żyją dżiny! To wszystko mogło zdarzyć się rzeczywiście - nawet tutaj, wzięwszy, że oba światy nakładają się na siebie. Może właśnie teraz, w tym samym miejscu, ifryci odgrywają to samo przedstawienie. Gdyby mogły zobaczyć, bez pomocy zasłony, to, co się tu właśnie dzieje...

- Ifrytka przez cały dzień przebywała poza wieżą, zajmując się tym, co zwykle, czyli dokuczaniem ludziom. Na noc powraca do domu. Przechodzi przez kamienną ścianę do komnaty; kiedy chce, potrafi być niewidzialna i niematerialna. I nagle odkrywa na swym łożu księcia Kamara. Zdumiewa ją i zaskakuje uroda tego śmiertelnika. Przez chwilę przygląda mu się, żałując, iż należy on do innego gatunku, a potem odlatuje, by opowiedzieć o tym swoim przyjacielom. Spotyka ifryta, który mówi jej, że spotkał śmiertelniczkę piękniejszą od jej znaleziska. Obrażona, proponuje mu konkurs piękności. Położą śmiertelnych obok siebie i porównają ich urodę.

Światła na chwilę przygasły. Stile wstał, przebiegł przez scenę i ułożył się obok Czerwonej na puchowym łożu; to ifryci przenieśli śpiącego księcia. Jego niepokój wzrósł; nie życzył sobie tak bliskiego z nią zetknięcia. Nie wolno było jednak odchodzić od scenariusza; każda drobna niezgodność pociągała za sobą punkty karne, a duża zakończyć się mogła dyskwalifikacją. Leżał obok niej udając, że śpi, i pragnąc usunąć ją z tej planety. Gojąca się rana zaczęła mu nagle dokuczać, zjawisko czysto psychologiczne, lecz charakterystyczne.

- Ifryci porównali urodę śpiących śmiertelników - ciągnął swój wątek narrator - lecz oba okazy wydały im się wprost doskonałe i nie potrafili dokonać wyboru. Do głowy przyszedł im pewien pomysł: niech sami śmiertelni zdecydują, które z nich jest piękniejsze. Ifryci postanowili obudzić najpierw jedno, a potem drugie, i pilnie obserwować ich reakcje. Ta istota, która okaże mniej wzruszenia, wygra, gdyż oznacza to, że partner jest piękniejszy.

„Tak jak w zawodach w grze na harmonijce”, pomyślał Stile, „wygrywa ten, kto mniej

zmienił”. Zaczęło go interesować zakończenie bajki.

Światła rozjarzyły się tak, by widownia mogła wszystko wyraźnie obserwować. Księżę i księżniczka spali nago obok siebie. Na Protonie scena ta nie miała specjalnych uczuciowych konotacji, lecz zdjęcie przez aktorów wyszukanych kostiumów sugerowało pewną intymność.

Przez chwilę panowała zdumiona cisza. Wreszcie ktoś parsknął i wkrótce wesołość ogarnęła całą salę.

Stile od razu zrozumiał powód. Spotykał się z tym przez całe życie. Teraz, kiedy aktorzy leżeli obok siebie, widownia spostrzegła ogromną różnicę w ich wzroście. Komputer nie dbał o to, sędziowie umieli nie zwracać uwagi na sprawy tego typu, lecz widownia nie była aż tak doświadczona. Dlatego też nie mogła decydować o zwycięstwie w tej konkurencji.

- Pigmej i Amazonka! - zawołał ktoś i cała sala ryknęła śmiechem. Komputer uruchomił pole stazy. Nikt nie mógł się nawet poruszyć i na widowni i na scenie, choć nie utracili słuchu. Długie pozostawanie w obrębie takiego pola mogło prowadzić do uszkodzeń ciała, a nawet do śmierci; krótkotrwałe było tylko bardzo nieprzyjemne, gdyż powodowało spowolnienie wszystkich funkcji życiowych.

- Pierwsze ostrzeżenie - głos komputera pozbawiony był jakichkolwiek emocji. - Dalsze przypadki niewłaściwego zachowania się na widowni będą karane usunięciem z sali.

Pole zostało wyłączone. Widownia spoważniała. Śmiać się będzie teraz wyłącznie w momentach przewidzianych scenariuszem, i żadnych uwag. Komputer potrafił być surowy; w polu znalazło się nawet kilku obywateli. Nie protestowali jednak; utrzymanie dyscypliny leżało przecież w ich interesie.

Ale zło się już dokonało. Widownia patrzeć mogła z pełną powagą, ale taniec stał się śmieszny i absurdalny. Stile wiedział, że za kamiennymi twarzami krył się szaleńczy śmiech.

Walczył ze sobą, by stłumić wstyd i gniew. Posłużył się sposobem, który wypracował sobie przed wielu laty, by zmniejszyć męczącą go od czasu do czasu tremę. Wyobraził sobie każdego widza jako bełkoczącego demona z wielkimi zaostrzonymi uszami i gołym czerwonym tyłkiem, pogryzionego przez pchły i z ogonem na sztorc zaczepiającym sąsiadów. Przeniósł na nie wszystkie negatywne uczucia. „Ja jestem człowiekiem, wy małpami. Gapcie się, głupcy. Zaślnicie się na śmierć”.

Nie zawsze działało to skutecznie, ale często pomagało. Zauważył, że Czerwona drży z ukrywanej wściekłości; zachowanie widowni oburzyło i ją. Po raz pierwszy podzielał jej uczucia.

Nie było jednak innego wyjścia, jak grać dalej. Pigmej i Amazonka toczyli ze sobą śmiertelnie poważną grę. Sędziowie nie roześmiali się, a to było najważniejsze. Gra toczy się

dalej.

- Ifrytka zamieniła się w owada i ugryzła księcia w nogę. Kamar budzi się...

Stile uderzył się po nodze, jak ukąszony, i usiadł. W tym momencie widownia miała pełne prawo roześmiać się, lecz nie słychać było nawet pojedynczego chichotu.

- ...i widzi księżniczkę Budur, Księżyc wśród Księżyców, leżącą obok niego. Kamar jest zdumiony; nie zauważa nawet, że przeniesiono go w inne miejsce. Cały zajęty jest podziwianiem księżniczki. Ogląda ją, dotyka, by upewnić się, iż nie jest ona jakimś fragmentem snu, wreszcie próbuje ją obudzić. Lecz księżniczka została zaczarowana i nie reaguje na jego zabiegi.

Stile robił wszystko, czego wymagał scenariusz, żadnym gestem nie zdradzając, że wolałby ją udusić. Była jego wrogiem; dlaczego przynajmniej nie miała wzrostu Ney-sy - w jej kobiecej postaci - tak, by on nie wyglądał śmiesznie w jej towarzystwie? Obelga dodana do krzywdy. Ale jednocześnie musiał przyznać, że Czerwona jest niezwykle piękną kobietą i w innych okolicznościach... nie, przecież nienawidził jej i nawet na chwilę nie mógł o tym zapomnieć.

I wtedy zobaczył nie do końca zagojoną ranę, ukrytą pod rudymi włosami; nie umiał sprecyzować swoich uczuć.

- Kamar sądzi, że dziewczyna leżąca obok niego jest jedną z tych dam, które jego ojciec uznał za godne poślubienia; boi się, że jest to podstęp, mający nakłonić go do posłuszeństwa. Kamar potępia takie fortele, lecz Budur jest tak piękna, że od razu zdobywa jego serce. Postanawia, że z samego rana wyrazi zgodę na ślub. Ale teraz nie zbruka swej przyszłej żony i nie skorzysta z jej uśpienia. Kamar kładzie się obok niej i zasypia.

Któryś z widzów cichutko jęknął. Czy to możliwe, by młody, zdrowy mężczyzna postąpił tak, znalazłszy się w obecności ślicznej a śpiącej dziewczyny? Może ten, który bronił się przed małżeństwem, gdyż postanowił sam decydować o swoim życiu i wolał zostać więźniem, niż pozwolić, by złamano jego wolę. Był to pewien przykład, któremu widownia powinna się uważnie przyjrzeć. Stile z dumą wspominał podobną próbę, jaką przeżył w związku z Błękitną Panią, i był zadowolony, że postąpił niemal tak samo.

Z ulgą położył się. Mogło być gorzej! Scenariusz mógł przecież zawierać prawdziwą miłosną scenę. To też zdarzało się w grze, ale dla Stile'a równałoby się to dyskwalifikacji. Jak mógłby robić coś takiego z Czerwoną, bez względu na wymagania scenariusza?

- Ifryt zamienił się w owada i ugryzł księżniczkę Budur w jej najbardziej czułe miejsce - opowiadał dalej komputer. Stile przez chwilę sądził, że narrator ma zamiar powiedzieć, iż Księżyc wśród Księżyców została ugryziona w sam środek księżycy; musiał zdusić w sobie

narastający śmiech. W niebezpiecznych sytuacjach, nawet śmiertelnie niebezpiecznych, drobne rzeczy zawsze wydawały się niemożliwie śmieszne. - Budur budzi się, natomiast Kamar pozostaje we władzy usypiającego zaklęcia.

Czerwona ruszyła do akcji.

- Księżniczka zaskoczona jest obecnością obcego mężczyzny w jej łóżku. Na początku przeraża się, lecz szybko uświadamia sobie, że nie została skrzywdzona. Jest poruszona: nieznajomy to najprzystojniejszy mężczyzna, jakiego widziała. - I znowu widownia przyjęła te słowa z powagą. - Sądzi, że ojciec przysłał go tu, by pokazać jej, jak wiele traci. Czuje wzruszenie; przeklina swój poprzedni upór. Gdybyż wiedziała! Oto mężczyzna, którego mogłaby pokochać! Próbuje obudzić go, lecz bezskutecznie.

Stile sądził, że Czerwona będzie nim szarpać gwałtownie, usiłując zranić go ukradkiem, lecz kobieta była ostrożna i trzymała się ściśle scenariusza. Wiedziała, że ma przewagę, i wystarczy, iż jej nie utraci.

- Księżniczka Budur, owładnięta uczuciem do księcia Kamara, obejmuje go i całuje, prosząc, by się obudził.

Nawet to Czerwona gotowa była wypełnić, podczas gdy Stile leżał jak martwy. Lecz kiedy muskała wargami jego lewe ucho, szepnęła:

- Zapłacisz mi za tę obelgę, niegodziwcze. Jeszcze nigdy ktoś taki jak ty nie dotknął mnie inaczej niż w walce.

Ona nienawidziła mężczyzn! Nie tylko jego, ale wszystkich! Prawdziwa Amazonka! Te słowa jednego z widzów zabolęły ją równie mocno jak jego. Dla niej akt miłosny z mężczyzną był czymś nie do pomyślenia; przeciwna płeć była dla niej wrogiem.

A jednak była też utalentowaną aktorką, co zresztą wydawało się typowe dla tak wielu kobiet. Nikt spośród sędziów i widzów nie mógł nawet zauważyć jej prawdziwych uczuć. Miała żelazną wolę; gotowa była zrobić wszystko, by wygrać tę rundę. Stile nie mógł na przykład próbować wywołać jej gniew, gdyż scenariusz był zbyt jednoznaczny. Oficjalnie przecież spał.

- Wreszcie księżniczka daje za wygraną. Przytula się do księcia i zasypia.

Czerwona objęła go lewą ręką, przytuliła się, dotknęła ustami jego lewego ucha i powoli, metodycznie się w nie wgrzyła.

Stile nie mógł ani podskoczyć, ani krzyknąć, w obawie przed utratą kolejnych punktów. Do tego jeszcze nikt z widzów nie miał nawet szansy tego dostrzec. Wydawało im się, że Czerwona całuje go w ucho, gest bardzo odpowiedni dla jej roli. Stile musiał leżeć nieruchomo, mimo że ból rósł.

To była naprawdę twarda walka.

- Zakład wygrywa ifryt, gdyż Budur okazała więcej namiętności wobec Kamara niż on wobec niej. Zadowoleni ifryci przenoszą księcia z powrotem do wieży i znikają. Ta sprawa przestała już ich interesować.

Światła przygasły i Stile cichutko przebiegł na swoją stronę sceny. Ucho napuchło mu i pulsowało nieprzyjemnie, ale nie mógł nawet jego dotknąć. Kamar nie miał przecież żadnego powodu, by to zrobić. Musiał przyznać, że Czerwona znów wywiodła go w pole, zagrała nieczysto i to tak, że nikt tego nie zauważył.

Opowieść była wprost klasyczna - chłopiec spotyka dziewczynę, a potem ją traci. Oczywiście, odnajdą się przed końcem sztuki. Stile miał nadzieję, że zdoła uzyskać przewagę. Będzie to zależało od scenariusza. Na razie, na szczęście, nie musi być blisko Czerwonej.

- Kiedy księżniczka i książę obudzili się rano, ze smutkiem spostrzegli, że są sami. Zakochali się w sobie, lecz żadne nie zna imienia swego nocnego gościa. Tańczą teraz Taniec Rozłąki, symbolizujący ból i zagubienie wywołane tym tajemniczym zniknięciem.

Stile i Czerwona tańczyli teraz razem, choć każde oddzielnie, na swojej połowie sceny. To było prawdziwe wyzwanie; musieli koordynować swe ruchy, a także dostosować się do muzyki generowanej przez komputer. Tak jak w duecie harmonijkowym był to test zarówno ich indywidualnych umiejętności, jak i zgrania partnerów. Stile, zawsze dobrze sobie radzący z tego typu wyzwaniami, miał nadzieję zdobyć wiele punktów. Czekala go jednak kolejna niespodzianka.

Czerwona przejęła prowadzenie w tańcu, wybierając figury wymagające głębokich przyklęknięć. Stile, jak dobrze wiedziała, nie mógł tego powtórzyć. Gdyby ugiął kolana tak bardzo, miałby kłopoty z utrzymaniem równowagi, a ból uniemożliwiłby mu taniec. Czerwona mogła dostać kilka punktów karnych za przejęcie prowadzenia, ale on z pewnością otrzymałby ich dużo więcej za niedotrzymywanie kroku partnerce. Adeptka zwiększyła swoją przewagę.

I tak było dalej. Czerwona okazała się świetną tancerką, miała zdrowe kolana i bez skrupułów potrafiła to wykorzystać. Naprawdę umiała tańczyć tak, by podkreślić wszystkie błędy partnera. Zmieniała krok w połowie figury, powodując, że Stile się mylił, ale robiła to w taki sposób, że wyglądało to na jego winę. Rozpocynała jakąś figurę, a potem nagle kończyła ją, robiąc z niego głupca. A to była w grze dobra taktyka; kiedy sędziowie zorientują się, będą dawać jej punkty za mistrzostwo. Umiejętności Stile'a, wcale przecież niemałe, niweczył defekt kolan. Gra stawała się beznadziejna.

Odtańczyli jeszcze scenę, jak Kamar bezskutecznie poszukuje swej ukochanej po całym

cywilizowanym świecie, i drugą, obrazującą jej tęsknotę za nim. Stile coraz bardziej pozostawał w tyle. Widzowie stopniowo opuszczali salę, pewni, że znają już wynik pojedynku. Stile uświadomił sobie, że Wyrocznia wcale nie obiecała mu zwycięstwa; to tylko on tak pokierował wydarzeniami, by odpowiedź, jaką otrzymała Błękitna Pani, zapewniła mu przeżycie tej walki. Nie miał żadnej gwarancji sukcesu. Złożona przysięga była ważna tylko dla niego, lecz niczego nie zapewniała.

A jednak jego życie wydawało się mieć teraz jakiś sens, jakiś cel. Konieczność walki z Ogierem zaprowadziła go i Błękitną Panią do Ludu Kurhanu, otrzymał Platynowy Flet, przegrał pojedynek z Ogierem i przekazał Flet Clefowi. Możliwe, że wszystko to było czystym przypadkiem, lecz jeśli Clef naprawdę był tym przepowiedzianym, to wszystko nabierało znaczenia. Stile był ważnym ogniwem w łańcuchu...

Ogniwem, którego rola skończyła się wraz z przekazaniem Fletu. Potem stał się już zbędny jak aktor, który odegrał swoją rolę. Cel nie był tu żadną odpowiedzią. Był sam. Miał kłopoty. Jaki sens ma dotrwanie do końca tego tańca, jeśli Czerwona miałaby zamordować go wkrótce po tym, jak on obdarzy Błękitną Panią dzieckiem?

Taniec zaprowadził księcia Kamara do księżniczki Budur. Księżę przewędrował cały cywilizowany świat, tracąc wiele czasu, by ją odnaleźć. Spotkanie miało być wręcz ekstatyczne; kochankowie połączyli się po rozłące, która wydawała im się trwać wieki. Stile czuł obrzydzenie, lecz zmuszał się do tańca. Bez względu na swe życzenia, nie mógł zniszczyć Czerwonej.

Oczywiście słowo to ma różne znaczenia. Może Czerwona wygra Turniej, zostanie obywatelką i utonie w rozpuście. Ale wtedy Stile nie odegrałby żadnej roli w jej unicestwieniu. Po cóż Wyrocznia miałaby ostrzegać ją, że Błękit zniweczy Czerwień, jeśli Błękit był tylko jedną z wielu przeszkód, które musiała pokonać? Cała ta sprawa pachniała wyraźnie złą interpretacją słów Wyroczni. I cóż Stile ma teraz zrobić?

Pozostawała jeszcze przysięga zemsty. Wszystko jedno, co przepowiedziała Wyrocznia. Stile zniszczy Czerwoną w ten lub inny sposób, i nie powróci do Błękitnej Pani, zanim tego nie uczyni. Jeśli nie uda mu się zrobić tego w czasie gry, dokona tego kiedy indziej. I już. Gdyż przysiągł. A teraz rozegra swój pojedynek najlepiej, jak potrafi, przyjmując klęskę z taką samą godnością jak uprzednie zwycięstwa.

Kiedy taniec zbliżał się już ku końcowi, sytuacja Stile'a wyglądała beznadziejnie. Był tak bardzo w tyle, że pomoc mógł mu tylko prawdziwy nokaut, a to nie był boks! Czerwona parła do zwycięstwa, nie mając nawet większych trudności.

Nagle Stile doznał olśnienia. Może mógłby jednak znokautować ją! Wymagać to będzie

całej dyscypliny i odwagi, na jaką go stać... i sukces wcale nie jest taki pewny... Ale wszystko, co wiedział o charakterze Czerwonej, wskazywało, że ma szansę. Stile zebrał się w sobie.

- Wreszcie kochankowie spotkali się - oznajmił narrator. - Rzucają się ku sobie, Kamar obejmuje księżniczkę.

Stile na szczęście stał na podium z tyłu sceny, tak że prawie dorównywał Czerwonej wzrostem. „Udawaj, że to Błękitna Pani”, powtarzał sobie. „Kobieta, którą kochasz”.

- Ich radość i miłość nie mają granic - ciągnął komputer. To był finał.

Błękitna Pani. I prawie w to uwierzył. Rozpoczęli końcowy Taniec Radości. Stile włożył w niego wszystkie swe uczucia, przekazując widowni, sędziom, a przede wszystkim Czerwonej, cały żar swej miłości. Gotów był zatańczyć wszystko, kochać ją w tańcu tak, jak książę Kamar kochał księżniczkę Budur. Wewnętrzny bunt tlił się w nim, lecz Stile stłumił go bez litości. Tylko kochając swą nieprzyjaciółkę, mógł ją zniszczyć.

A ona... ona musiała pójść jego śladem. Jak mogła księżniczka Księżyc wśród Księżyców, złączona ze swym kochankiem po tak długiej i bolesnej rozłące, nie zaspokoić tak naturalnych przecież pragnień? Stile przejął prowadzenie w tańcu... wreszcie!

Widownia też zrozumiała.

- Zrób to! - szepnął ktoś, i tym razem komputer nie zareagował, gdyż było to logiczne zakończenie opowieści. Czymże jest taniec, jeśli nie udramatyzowanym wyrazem ludzkich namiętności?

Czerwona nie mogła tego nie zrozumieć. Schwytna w pułapkę tańca, załamała się. Zamiast paść w jego objęcia, uderzyła go pięścią i łokciem.

Sędziowie poruszyli się. Trochę przemocy nie było w miłości zabronione; to chyba tylko gra?

- Ukochana! - szepnął do niej Stile.

Twarz Czerwonej zamieniła się w upiorną maskę. Schwyciła Stile'a za głowę i rzuciła nim o ścianę. O mało co nie stracił przytomności, ale się nie bronił. Rozwścieczona, rzuciła nim o podłogę. Bał się, że uszkodzi mu kręgosłup, ale leżał nieruchomo. Zaczęła go dusić, a po jej twarzy płynęły łzy wściekłości.

- Zabiję cię! Zabiję! Zabiję! - krzyczała. - Śmiesz mnie kochać! Zabiję cię za to!

Była pełną nienawiści bestią i zasłużyła na swój los. Lecz nawet teraz, gdy jej szaleństwo zagroziło jego życiu, Stile czuł żal wiedząc, że ona, tak jak i on, była ofiarą okoliczności, przeznaczenia. Ktoś nieznany tak pokierował ich życiem, że musieli spotkać się w tej okrutnej walce.

Tracąc przytomność, poczuł, jak pole stazy opada nad sceną, i zrozumiał, że wygrał. Jego trudny, desperacki manewr zakończył się zwycięstwem w pojedynku z tą pozeraczką mężczyzn. Nawet wygrana w Turnieju, obywatelstwo czy życie nie wydały się jej stosowną zapłatą za to ostateczne upokorzenie; nie chciała być kochana, choćby tylko na scenie, przez mężczyznę. Czerwona sama się zdyskwalifikowała.

KONIEC tomu 2